

STEINBECK

GRONA GNIEWU

Kłęska wyziera z oczu tych ludzi.
Z oczu tych zgłodniałych wyziera rosnący gniew.
W sercu ich wzbierają i dojrzewają grona gniewu
- zapowiedź przyszłego winobrania...



Prószyński i S-ka

STEINBECK

GRONA GNIEWU

Przełożył Alfred Liebfeld

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE GRAPES OF WRATH

Copyright © John Steinbeck, 1939
All rights reserved

Projekt okładki
Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce
© Bettmann/Corbis/FotoChannels

Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka

Korekta
Michał Załuska

ISBN 978-83-8069-697-6

Warszawa 2012

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Carol, która tej książki pragnęła,
i Tomowi, który ją przeżył

*Widziałem przyjście Pana – potęgę i chwałę,
On zdepcze grona gniewu w winnicy dojrzałe.*

Julia Ward Howe
The Battle Hymn of the Republic

Rozdział 1

Na czerwone pola i na część szarych pól Oklahomy ostatnie deszcze spłynęły łagodnie, nie naruszając bruzd. Pługi po wielokroć przeorały ślady strumyków. Dzięki tym deszczom weszła szybko kukurydza, a po obu stronach dróg wyrosły kępy bujnych chwastów i trawy – i oto ziemia szara i ziemia ciemnoczerwona zaczęły stopniowo niknąć pod kobiercem zieleni. W końcu maja niebo stało się bledsze i rozproszyły się wiosenne, kłębiaste chmury, które tak długo wisiały nad ziemią. Dzień po dniu słońce ziało żarem na kielkujące zboże, znacząc smugą krawędź każdego zielonego pędu. Raz po raz pojawiały się jeszcze i znikwały chmury, aż wreszcie nie próbowały się już nawet ukazywać. Chwasty w obronie przed suszą przybrały ciemniejszą zieloną barwę i przestały się rozrastać. Ziemię pokryła cienka, twarda skorupa, a w miarę jak bladło niebo, bladła też barwa pól: czerwone poróżowiały, a szare stały się niemal białe.

W wyżłobionych wodą bruzdach ziemia osypywała się suchymi strużkami pyłu. Krety i mrówki strącały miniaturowe lawiny. Pod ostrym słońcem, które dzień po dniu paliło żarem, żdźbła młodej kukurydzy wiotczały coraz bardziej. Tracąc swą sztywność, gięły się zrazu w łuk, a potem – w miarę słabnięcia podtrzymujących je zielonych żeberk – chyliły ku ziemi. Nadszedł czerwiec i słońce rozsrożyło się jeszcze bardziej. Brunatne smugi, znaczące brzegi listków, rozszerzały się ku żyłkom środkowym. Chwasty wiedły, cofając się jak gdyby ku własnym korzeniom.

Na drogach, którymi jechały zaprzęgi, na ziemi, którą meły koła i biły końskie kopyta, skorupa zeschniętego błota pękała, wzbijając obfity kurz. Wzbijało go zresztą wszystko, co było w ruchu: człowiek idący zwykłym krokiem wznosił rzadką, sięgającą mu do piersi warstwę pyłu, zaprzęg konny kurzył na wysokość parkanu, za samochodem kłębiła się istna chmura. I kurz, nie opadając, wisiał długo w powietrzu.

Gdy minęła połowa czerwca, od strony Teksasu i zatoki napłynęły ciężkie, nabrzmiałe deszczem chmury. Ludzie w polu spoglądali w górę, wężąc i podnosząc zwilżone śliną palce, by rozpoznać kierunek wiatru. Chmury wisiały czas jakiś, wprawiając konie w stan nerwowego niepokoju, i bryznawszy skąpymi kroplami deszczu, pośpieszyły w inne okolice. Pozostało po nich blade jak przedtem niebo i żarzące się oślepiającym blaskiem słońce. Krople deszczu utworzyły w kurzu małe krater, splukały tu i ówdzie zboże – i to wszystko.

Wietrzyk łagodny nadbiegł w ślad za chmurami, pędząc je ku północy i szeleszcząc z lekka schnącymi łanami kukurydzy. Dzień mijał i wiatr wzmacniał się stopniowo, nieustannie, bez nagłych podmuchów. Z dróg uniósł się kurz, rozsnuł na wszystkie strony, zasypał przydrożne chwasty i skraje pól. Wiatr przybrał teraz na sile, dmąc coraz mocniej w zaskorupiałe po deszczu pola. Wirujący pył zaciemniał z wolna niebo, gdy nagle wichur runął na ziemię, wzniecił tuman kurzu i poniosł go dalej. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Zbita, twarda powierzchnia ziemi rozsypała się w proch; z pól wzniosła się kurzawa, tworząc siwe pióropusze niby ospałe kłęby dymu.

A najdrobniejszy pył nie opadał już na dół, lecz rozwiewał się na tle ciemniejącego nieba.

Wichur wzmacniał się nieustannie, wciskał pod kamienie, porywał źdźbła słomy, zeszcłłe liście, a nawet grudki ziemi, znacząc swój bieg przez pola. Powietrze i niebo zasnuwał coraz gęstszy mrok, przez który kłasnające dokuczliwym żarem słońce siało czerwone błyski. Nocą wiatr gwał nad ziemią jeszcze szybciej, wdzierał się podstępnie pod korzonki kukurydzy, której słabnące listeczki opierały się jego podmuchom, aż w końcu natrętny wichur wyrwał źdźbła z korzeniami i wszystkie roślinki pokładły się, wyczerpane, na ziemi, wskazując kierunek wiatru.

Nadszedł świt, dzień jednak nie wstawał. Na szarym niebie ukazało się czerwone słońce – zamglona, krwawa tarcza, sącząca skłpe, przyćmione jak o zmierzchu światło. W miarę jak dzień upływał, zmierzch zapadał z powrotem w ciemność, a nad powalonym zbożem wciąż zawodził i skomlał wiatr.

Ludzie kryli się po domach, a wychodząc, osłaniali nosy chusteczkami, oczy zaś okularami ochronnymi.

Nadeszła noc, noc o nieprzeniknionym mroku, gwiazdy bowiem nie mogły przebić się przez kurzawę nad ziemią, a światła padające z okien nie przedostawały się nawet poza dziedzińce domostw. Pył tak pomieszał się z powietrzem, że była to jak gdyby emulsja powietrza i kurzu. Domy zamknięto szczelnie, drzwi i okna poobtykano szmatami, do wnętrza wdzierał się jednak kurz drobny, niedostrzegalny w powietrzu i niby kwietny pyłek osiadał na stołkach, stołach, naczyniach. Ludzie raz po raz strzepywali go z ramion, na progach kładł się on cienką warstwą.

O północy wiatr ustał, pozostawiając ziemię w spokoju. Nasycone pyłem powietrze tłumiło wszelkie odgłosy, bardziej niż tłumi je mgła. Ludzie, leżąc w łóżkach, usłyszeli, że wiatr ucichł. Obudzili się, gdy wyjąca wichura pognała dalej. Leżeli bez ruchu, wsłuchani w głęboką ciszę. Po pewnym czasie odezwały się koguty, ale głosy ich były stłumione. Ludzie przewracali się niespokojnie w łóżkach, nie mogąc doczekać się ranka. Wiedzieli, że upłynie sporo czasu, zanim kurz opadnie na ziemię. Rano wisiał w powietrzu niby mgła, a słońce czerwieniło się jak świeża krew. Z nieba przez cały ten dzień i następny spadał na ziemię pył, jak przesiany przez sito, pokrywając ją równą warstwą. Osiadał na kukurydzy, na słupach ogrodzeń, na drutach, zasypał dachy, chwasty i drzewa.

Ludzie wyszli z domów, wdychając kąsające żarem powietrze i osłaniając nosy. Wyszły z domów i dzieci, nie biegały jednak i nie pokrzykiwały jak zwykle po deszczu. Mężczyźni zatrzymali się u płotów, patrząc na zniszczoną, schnącą w oczach kukurydzę i na nieliczne plamy zieleni przebłyskujące tu i ówdzie spod powłoki kurzu. Patrzyli w milczeniu, nie ruszając się prawie z miejsca. Wyszły z domów i kobiety, by stanąć u boku swych mężczyzn i wyczuć, czy się oni tym razem nie załamią. Badały ukradkiem wyraz ich twarzy, mniejsza bowiem o zboże, byle pozostało coś innego, o wiele ważniejszego. Nieopodal stały dzieci, rysując w kurzu palcami bosych stóp i również starając się przeniknąć dziecinną intuicją, czy ich rodzice załamią się, czy nie. Od czasu do czasu przyglądały się ukradkiem twarzom mężczyzn i kobiet i znowu rysowały palcami stóp równe linie w kurzu. Konie podeszły do koryt z wodą i zanurzyły w niej pyski, odgarniając szary nalot, który osiadł na powierzchni. Po chwili z twarzy zapatrzonych przed siebie mężczyzn znikł wyraz tępego osłupienia, ustępując miejsca twardej, upartej zaciekłości. Teraz kobiety wiedziały, że są bezpieczne i że mężczyźni już się nie załamią. I wtedy

spytały: „Cóż poczniemy?”. Odpowiedź każdego z mężczyzn brzmiała: „Nie wiem”. Mimo to wszystko było już dobrze. Wiedziały o tym kobiety, wiedziały i obserwujące dorosłych dzieci. I kobiety, i dzieci czuły w głębi duszy, że nie złamie ich żadne nieszczęście, skoro mężczyźni wzięli się w garść. Kobiety wróciły do domów, do swoich zajęć, dzieci zaczęły się bawić, nieco onieśmiałe z początku. W miarę jak dzień mijał, słońce traciło swą krwawoczerwoną barwę, zionąc wciąż oślepiającym żarem na zasypaną lotnym piaskiem ziemię. W progach domostw zasiedli mężczyźni, przekładając bezwiednie z ręki do ręki patyczki i małe kamyki. Rozmyślając i obliczając, siedzieli tak w milczeniu.

Rozdział 2

Przed małą przydrożną restauracyjką stał wielki samochód ciężarowy. Z pionowej rury wydechowej dochodził stłumiony odgłos, a nad jej wylotem unosił się niemal niewidoczny siny obłoczek dymu. Wóz był nowy, lśniący czerwonym lakierem, zaopatrzony z boków w napis z dwunastocalowych liter: „Towarzystwo transportowe Oklahoma City”. Nowe były również bliźniacze opony; u skobla na tylnych drzwiach sterczała mosiężna kłódka. Zza siatek osłaniających okna restauracji dochodziły tony nadawanej przez radio spokojnej tanecznej melodii, przyciszonej jak zwykle, gdy nikt właściwie nie słucha. Mały wentylator obracał się bezszelestnie w okrągłym otworze nad wejściem, muchy brzęczały, tłukąc się gorączkowo o siatki u drzwi i okien. W lokalu siedział na stołku jedyny gość, kierowca ciężarówki, wspierając się łokciami o kontuar i patrząc sponad filiżanki z kawą na samotną, chudą kelnerkę. Mówił do niej szorstką, niedbałą gwarą tamtejszych gościńców.

– Spotkałem go jakieś trzy miesiące temu. Po operacji. Coś mu tam wycięli. Zapomniałem co.

Na to kelnerka:

– Nie ma chyba tygodnia, jak go widziałam. Wyglądał już dobrze. Jak nie jedzie od niego wódą – do rany go przyłożyć.

U siatki osłaniającej drzwi bzykały raz po raz muchy. Z maszynki do kawy buchnął strumień pary, kelnerka, nie odwracając się, sięgnęła poza siebie i wyłączyła kontakt.

Mężczyzna idący brzegiem szosy przeszedł na drugą stronę i zbliżył się do ciężarówki. Wolnym krokiem podszedł od przodu, położył rękę na lśniącym błotniku, rzucając okiem na napis na szybie: „Pasażerów nie zabieramy”. Przez chwilę miał zamiar ruszyć w dalszą drogę, rozmyślił się jednak i usiadł na stopniu, osłonięty wozem od strony restauracji.

Wyglądał najwyżej na lat trzydzieści. Oczy miał ciemnopiwe, gałki oczne z lekka zabarwione brązowym pigmentem, kości policzkowe szerokie i wydatne. Głębokie bruzdy przecinały mu policzki, załamując się łukiem przy ustach. Górna wargą była długa, wystające jednak zęby sprawiały, że stale zwarte usta mężczyzny musiały być napięte. Ręce miał twarde i spracowane, palce grube o paznokciach szerokich i porysowanych jak muszle małych skorupiaków. Dłonie w miejscu między kciukiem a palcem wskazującym pokryte były lśniącymi odciskami.

Mężczyzna miał na sobie nowe ubranie – wszystko, co nosił, było nowe i tanie. Daszek nowiutkiej szarej czapki był wciąż jeszcze sztywny, a jej guzik na swoim miejscu, nie wyglądała więc na zdefasonowane, wypchane nakrycie głowy, którym człowiek posługuje się najrozmaiciej – jako torbą na zakupy, ręcznikiem, chustką do nosa. Nowy był również garnitur z szarej, lichej tkaniny, o czym świadczyły kanty zaprasowanych spodni. Niebieska perkalowa nakrochmalona koszula zachowała swą sztywność i gładkość. Marynarka była za obszerna, spodnie na tak wysokiego mężczyznę – przykrótkie. Mimo zbyt szerokiej marynarki zbyt krótkie były również jej rękawy, chociaż przód zwisał luźno z brzucha. Na nogach mężczyzna miał nowe, żółte trzewiki w rodzaju kamaszy wojskowych z niewyprawionej skóry, o podeszwach nabijanych stalowymi ćwiekami i podkówkami chroniącymi obcasy.

Siadłszy na stopniu, zdjął czapkę i otarł nią twarz. Włożył czapkę z powrotem i pociągnął za daszek, dając początek jego ruinie. Potem przyjrzał się bacznie swym butom, nachylił się, rozluźnił sznurowadła i już ich nie zawiązał. Nad jego głową unosiły się obłoczki niebieskawego dymu, a z rury wydechowej silnika Diesla dochodził szmer gazów.

Płynąca z restauracji muzyka ucichła, z głośnika rozległ się męski głos, kelnerka nie wyłączyła jednak radia – nie zauważyła, że skończyła się melodia taneczna. Jej błądzące po omacku palce wyczuły za uchem jakąś obrzmiałość. Usiłowała ją dojrzeć w lustrze za kontuarem, nie chcąc zaś, by dostrzegł to kierowca, udawała, że poprawia włosy.

– W Shawnee była wielka zabawa taneczna. Podobno zakatrupiono tam kogoś. Nic pani o tym nie słyszała? – spytał kierowca.

– Nie – odpowiedziała kelnerka, dotykając troskliwie guza za uchem.

Mężczyzna siedzący na stopniu wstał, wyjrzał znad maski samochodu i przez chwilę obserwował uważnie restaurację. Usiadł znowu, wyjął

z bocznej kieszeni woreczek tytoniu i bibułki. Nieśpiesznie, z wprawą skręcił papierosa, obejrzał go uważnie, wygładził. Zapaliwszy wreszcie, wepchnął płonąca zapalkę w piasek pod nogami.

Zbliżało się południe, słońce wdzierało się coraz bardziej w cień wozu. Kierowca w restauracji zapłacił rachunek, otrzymaną zaś resztę – dwie monety pięciocentowe – wsunął w szczelinę automatu. Obracające się walce nie wyrzuciły nic w zamian.

– Tak je zawsze ustawiają, że człowiek nie może nic wygrać – sarknął w stronę kelnerki.

– Nie ma nawet dwóch godzin, jak gość wygrał stawkę – obruszyła się kelnerka. – Trzy osiemdziesiąt! A pan kiedy będzie tędy wracał?

Uchylając osłonięte siatką drzwi, odpowiedział:

– Za jakiś tydzień, dziesięć dni. Muszę jechać do Tulsy, a tam zawsze człowiek zmarudzi dłużej, niż myśli.

– Nie wpuszczaj pan much! – zirytowała się nagle kelnerka. – Jedno z dwojga: albo pan wchodzi, albo wychodzi.

– Do zobaczenia! – pożegnał się kierowca i pchnął drzwi. Zamknęły się za nim z trzaskiem. Stał w słońcu, odwijając z opakowania gumę do żucia. Był to mężczyzna ciężki, o szerokich barach i wydatnym brzuchu. Twarz miał czerwoną, niebieskie oczy dalekowidza były wąskie jak szparki od ciągłego mrużenia ich w ostrym świetle. Miał na sobie wojskowe spodnie i wysokie, sznurowane buty. Przytrzymując gumę wargami, zawołał przez siatkę:

– A niech pani nie zmałuje tu czegoś, bo mi ludzie powiedzą i będzie pani żałowała.

Kelnerka stała tyłem do niego, przeglądając się w lustrze. W odpowiedzi mruknęła coś pod nosem. Kierowca żuł z wolna gumę, raz po raz rozwierając szeroko szczęki i mlaskając głośno. Idąc ku wielkiej, czerwonej ciężarówce, ugniatał gumę zębami i obracał ją na wszystkie strony pod językiem.

Amator jazdy na łebka podniósł się ze stopnia, spoglądając przez szyby samochodu.

– Podwiezie mnie pan kawałek, panie mechanik?

Kierowca obejrzał się szybko, rzucając okiem na restaurację.

– Nie widziałeś, bracie, napisu: „Pasażerów nie zabieramy”?

– Ano, ślepy nie jestem. Czasem jednak trafi się równy chłop, co podwiezie, choćby mu nawet jakiś bogaty drań kazał wywieszać plakat z napisem.

Gramoląc się z wolna do wozu, kierowca rozważał treść tej odpowiedzi. Jeśli odmówi, nie będzie równym chłopem, a nadto musi jeszcze obwozić napis, że nie wolno mu zabierać do wozu nikogo. Jeżeli natomiast weźmie łebka, stanie się automatycznie równym chłopem, którego żaden bogaty drań za nos nie wodzi. Kierowca czuł, że jest w pułapce, z której nie ma wyjścia. A bardzo chciał uchodzić za równego chłopą. Zerknął znowu na restaurację.

– Kucnij, bracie, na stopniu, póki nie miniemy zakrętu! – zdecydował w końcu.

Podróżny przycupnął i uczepiony klamki od drzwi starał się być możliwie niewidoczny. Rozległ się szum, zgrzyt włączanych biegów i wielki samochód ruszył naprzód – na pierwszym, drugim, trzecim biegu, aż wreszcie zawyły koła zębate, by przejść na ostatni, czwarty bieg. Przed oczyma uczeplonego wozu człowieka migąła szosa jak w zawrotnie kręcącym się kalejdoskopie. Do pierwszego zakrętu było około mili. Tu ciężarówka zwolniła. Pasażer na gapę wyprostował się, otworzył drzwiczki i wśliznął się do kabiny. Kierowca przyjrzał mu się zmrużonymi oczyma, nie przestając żuć, jak gdyby ruchy szczęk porządkowały i układały jego myśli, zanim uszeregują się one w mózgu. Oczy kierowcy zatrzymały się na nowej czapce, po czym ześliznęły się na nowe ubranie i trzewiki. Tymczasem pasażer rozsiadł się wygodnie, zdjął czapkę i otarł nią spoczone czoło i brodę.

– Dziękuję, bracie! – odezwał się. – Nóg już nie czułem.

– To nowe buciska – powiedział kierowca. W głosie jego była ta sama dyskretna poufałość, co w wyrazie oczu. – Nie trzeba wychodzić na spacer w nowych butach w taki upał.

Pasażer spojrział na swoje zakurzone żółte trzewiki.

– Nie mam innych – wyjaśnił. – Człowiek nosi to, co ma.

Kierowca zerknął uważnie przed siebie i zwiększył nieco szybkość wozu.

– Daleko pan jedziesz?

– Ech, doszedłbym i na piechotę, ale nie mogłem już ruszać nogami.

W pytaniach kierowcy był jakiś subtelnie badawczy ton. Zdawał się z ich pomocą rozsnuwać sieci, zastawiać pułapkę.

– Szukasz pan roboty? – zapytał znowu.

– Nie, mój stary ma kawałek gruntu, czterdzieści akrów. Dzierżawi go tylko, ale siedzimy tam od dawna.

Kierowca spojrzał znacząco na rozciągające się wzdłuż drogi pola; leżała tam powalona, przysypana warstwą pyłu kukurydza. Z ziemi sterczały drobne krzemienie.

– Dzierżawi chłop głupie czterdzieści akrów i patrzcie – nie dał mu rady kurz i nie wyparły go ciągniki.

– No, nie bardzo wiem, co się tam działo w ostatnich czasach.

– Toś pan tu chyba dawno nie był – stwierdził kierowca.

Do kabiny kierowcy wpadła pszczoła i brzęcząc, tłukła się o przednią szybę. Kierowca wyciągnął rękę i ostrożnie skierował ją w strumień powietrza, który wyrzucił owada przez okno.

– Teraz dzierżawcy wykańczają się szybko – zauważył. – Taki jeden ciągnik potrafi wyrzucić z ziemi dziesięć rodzin. Ciągników jest wszędzie do diabła i trochę! Rozłazały się po gospodarstwach i wypędzają dzierżawców. Jakim cudem utrzymał się pana stary?

Znowu puścił w ruch język i szczęki, obracając i żując zapomnianą na chwilę gumę. W otwierających się raz po raz ustach widać było język, który obrabiał ciągliwą masę.

– Ano, ostatnio nic o nim nie słyszałem. Nigdy nie miałem drygu do pisania, a mój stary to samo – powiedział pasażer i dodał pośpiesznie: – Ale obaj, jak trzeba, umiemy się wypisać.

– Miałeś pan gdzieś robotę? – Znów ten ton dyskretnej, pozornie obojętnej ciekawości. Kierowca rozejrzał się po polach, rzucił okiem na drgające w upale powietrze i wypychając gumą policzek, splunął przez okno.

– Pewnie, że miałem – odpowiedział pasażer.

– Tak też myślałem. Przyjrzałem się pana rękóm. Musiał pan niezgorzej pracować kilofem, siekierą czy młotem. Widać to zaraz. Mam na takie rzeczy oko. Czym jak czym, ale tym mogę się pochwalić.

Pasażer utkwiał wzrok w twarzy kierowcy. Opony ciężarówki pośpiewywały na szosie.

– A może chciałbyś pan wiedzieć coś więcej? Wygarnę panu wszystko. Nie będziesz pan musiał zgadywać.

– Nie bądź pan taki obraźliwy! Ani mi się śni wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Jazda, powiem panu wszystko. Nie ma co ukrywać.

– Tylko bez urazy! Taki już jestem, że lubię przyuważyć to i owo. Tak sobie, żeby się czas nie dłużył.

– Ano, jak wszystko, to wszystko! Nazywam się Joad, Tom Joad. Tak samo jak mój ojciec, stary Tom Joad. – Wpatrywał się posępnie w kierowcę.

– Powiadam panu, że nie ma się o co obrażać. Nie myślałem nic złego.

– Ja też nie – odpowiedział Joad. – Ot, staram się żyć tak, żeby nikomu wody nie mącić.

Zamilkł i spojrzał na spalone suszą pola i na kępy uschniętych drzew, sterczących sztywno w upale. Z bocznej kieszeni wydobył tytoń i bibułki. Skręcił papierosa, trzymając go między kolanami, tam bowiem nie docierał pęd powietrza.

Tymczasem kierowca żuł w zamyśleniu swoją gumę, rytmicznie jak krowa. Czekał, aż opadnie i zostanie zapomniane napięcie wywołane poprzednim starciem. Gdy wydało mu się, że atmosfera rozładowała się, powiedział:

– Taki, co nigdy nie był kierowcą, nie wie, jak to jest. Właściciele nie pozwolą nikogo podwieźć. Wolno ci tylko siedzieć i jechać przed siebie, bo inaczej wylecisz. Ot, choćby i przez pana mogę stracić robotę.

– Myśli pan, że nie rozumiem – powiedział Joad.

– Toteż znałem takich kierowców, którzy podczas jazdy odstawiali rozmaite kawałki. Pamiętam takiego, co za kierownicą układał wiersze. Czas jakoś prędzej mu schodził.

Zerknął ukradkiem na Joad, aby przekonać się, czy go zaniepokoił lub zdziwił. Joad milczał wpatrzony w uciekającą w dal białą drogę, która wznosiła się i opadała łagodnie niby rozfalowane morze. A kierowca po chwili mówił dalej:

– Pamiętam jeden taki wierszyk, który ten szofer ułożył. Było tam o nim i o jeszcze paru chłopakach, co to wędrowali po świecie, popijali sobie, wyprawiali rozmaite hece. Szkoda, że nie mogę sobie przypomnieć, jak to wszystko szło po kolei. Gość używał takich słów, że diabeł by się w tym nie wyznał. W jednym miejscu było tak jakoś: „Ścigaliśmy Murzyna, strzelając z karabina większego od *proboscis* słonia, a nawet chyba od fiuta wieloryba”. Ten *proboscis* to niby nos. A *proboscis* słonia to jego trąba. Ten

gość pokazał mi to czarno na białym w słowniku. Obwoził się z nim po całym świecie. Wczytywał się w niego nawet przy kawie z placikiem.

Kierowca zamilkł, czując się osamotniony w tej przydługiej gadaninie. Zerknął ukradkiem na swego pasażera. Joad trwał w milczeniu. Kierowca usiłował nerwowo wciągnąć go w rozmowę:

– A pan znałeś może kogoś, co używał takich uczonych wyrazów?

– Był taki jeden kaznodzieja.

– Diabli człowieka biorą, kiedy słucha, jak się komuś gęba od uczonego gadania nie zamyka. Takiemu kaznodziei to jeszcze wolno, bo kto by się tam do niego wtrącał. Ale tamten bubek był paradny. Nie zdążył człowiek zakląć, a ten już wyjeżdża z takim słowem, że po prostu zatyka. I to tak sobie – dla kawału. A przecież chłop nie chciał z nikogo wariata robić.

Kierowca odzyskał już pewność siebie. Wiedział przynajmniej, że Joad słucha. Skręcił tak gwałtownie, aż zgrzytnęły opony.

– Jak mówiłem panu przed chwilą – ciągnął – kierowca ciężarówki rozmaite kawały odstawia. Musi odstawiać, bo inaczej nie może. Skapcianiłby do reszty od tego siedzenia nad drogą, co mu spod kół umyka. Mówią, że kierowcy obżerają się, że stale przesiadują w przydrożnych knajpach.

– No, wygląda na to, jakby w nich mieszkali – stwierdził Joad.

– To prawda, zatrzymują się po szynkach, ale nie dla żarcia. Nawet rzadko kiedy są głodni. Po prostu rzygać im się chce od tej jazdy, mają jej wyżej uszu. Knajpa to jedyne miejsce, gdzie można rozprostować kości, a jak już człowiek wstąpi, musi coś kupić, a przy okazji pożartuje sobie z kobietką zza kontuaru. Dostaje filiżankę kawy i kawałek placka. Niby nic, a trochę odsapnie.

Przeżuwał powoli gumę, obracając ją językiem.

– To musi być ciężkie życie – zauważył Joad bez przekonania.

Kierowca spojrzał na niego szybko, podejrzewając go o kpiny.

– No, lekkie to ono nie jest, cholera! – rzucił z rozdrażnieniem. – Wydaje się, że łatwo tak sobie tu siedzieć, dopóki nie wyciągniesz swoich ośmiu, jeśli nie dziesięciu czy czternastu godzin. Ale droga w końcu dokuczy. Człowiek musi się czymś zająć. Jeden śpiewa, inny gwizdże. Spółka nie pozwala mieć radia. Niejeden zabiera ze sobą ćwiartkę, ale taki długo nie pociągnie. – Dodał z przechwałą: – Ja nigdy na służbie nie zaglądam do kieliszka.

– Tak? – zapytał Tom przeciągle.

– A tak. Człowiek musi iść naprzód. Chcę nawet zapisać się na jakiś kurs korespondencyjny. Na kurs techniczny. To nietrudne. Trzeba tylko przerobić w domu parę łatwych lekcji. Wciąż o tym myślę. A wtedy, bywaj zdrowa, ciężarówko! Niech inni trochę pojeżdżą.

Joad wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki półlitrową butelkę wódki.

– No to na pewno nie chce pan golnąć? – W jego głosie przebijała lekka drwina.

– Nie, jak Boga kocham, nie tknę wódki. Człowiek nie może pić, kiedy chce się uczyć, jak ja postanowiłem.

Joad odkorkował butelkę, pociągnął szybko dwa łyki, potem zakorkował ją z powrotem i schował do kieszeni. Ostry korzenny zapach wypełniłabinę.

– A to się pan zawziął! – zdziwił się Joad. – O co chodzi, masz pan może dziewczynę?

– No pewnie. Ale i bez tego chciałbym się jakoś wybić. Diabli wiedzą, jak długo już ćwiczę pamięć.

Wódka zdawała się rozkrochmalać Joadą. Skręcił jeszcze jednego papierosa i zapalił go.

– Mnie tam nic nie pili, żeby się pchać w górę – oznajmił.

Kierowca podjął natychmiast:

– A mnie nie trzeba poganiać. Wciąż ćwiczę mój mózg. Dwa lata temu przerobiłem nawet taki specjalny kurs. – Poklepał prawą ręką koło kierownicy. – Mijam, przypuśćmy, jakiegoś gościa na drodze. Przyjrzę mu się, a później staram się przypomnieć sobie o nim wszystko: jakie miał ubranie, buty, kapelusz, jak facet chodzi, jaki ma wzrost, ile może ważyć i jakie ma znaki szczególne. Wyćwiczyłem się w tym jak cholera. Jakbym miał obraz człowieka w głowie. Czasem myślę, że powinien bym skończyć kurs dla speców od odcisków palców. Pan sobie nawet nie wyobraża, ile człowiek może zapamiętać.

Joad szybko łyknął z flaszki. Zaciągnął się po raz ostatni wypalonym już prawie papierosem i zgasił jego żarzący się koniec pomiędzy stwardniałym kciukiem a palcem wskazującym. Zgniół niedopałek na miazgę i wysunął rękę za okno, pozwalając wiatrowi unieść go z palców. Grube opony, sunące po asfalcie, śpiewały cienko. W spokojnych, ciemnych, wpatrzonych w szosę oczach Joadą pojawił się wyraz ubawienia. Kierowca

spoglądał na niego wyczekująco, z zakłopotaniem. Wreszcie górna warga Joada uniosła się, ukazując zęby i zachichotał cicho, trzęsąc się z tłumionego śmiechu.

– Zmarnował pan cholernie dużo czasu, żeby dojść do tego, bracie!

Kierowca, nie podnosząc oczu, zapytał:

– Dojść do czego? Co panu strzeliło do głowy?

Joad zacisnął na chwilę wargi, osłaniając długie zęby, a potem oblizał się jak pies, dwukrotnie, na obie strony. Głos jego stał się ostry:

– Wiesz, bracie, o co mi chodzi. Przyglądasz mi się od samego początku, jak tylko wsiadłem. Już ja to przyuważyłem.

Kierowca patrzył prosto przed siebie, zaciskając ręce na kole kierownicy tak mocno, aż poduszki dłoni nabrzmiały mu, a wierzch ich zbieleł. Joad ciągnął dalej:

– Wiesz, skąd wracam.

Kierowca milczał.

– Może nie? – nastawał Joad.

– No, pewnie. To znaczy – może. Ale to nie moja rzecz. Nie wtrącam się w cudze sprawy. Nic mnie to nie obchodzi. – Plątał się w słowach. – Nie tkam nosa do cudzego prosa.

Nagle zamilkł, jak gdyby wyczekując. Ręce jego, zaciśnięte na kole kierownicy, były wciąż białe. Konik polny wpadł przez okno i wylądował na szczycie tablicy rozdzielczej, gdzie usadowił się, czyszcząc skrzydełka kanciastymi tylnymi nóżkami. Joad sięgnął przed siebie, zmiażdżył w palcach twardą główkę owada i wyrzucił go w strumień powietrza za okno. Zaśmiał się znowu, ścierając z czubków palców szczątki pasikonika.

– Oszukałeś się na mnie, bratku – powiedział. – A ja nie ukrywam niczego. Pewnie, że siedziałem w McAlester. Trzymali mnie tam cztery lata. Pewnie, że to ubranie dali mi przy zwolnieniu. Ale guzik mnie obchodzi, czy się kto o tym dowie. I wracam do mojego starego, toteż nie muszę łąć, żeby dostać robotę.

Kierowca odparł:

– Pięknie, ale to nie moja sprawa. Nie jestem wścibski.

– Niech cię diabli, jeżeli nie jesteś! – zawołał Joad. – Ten ciekawski nochal sterczy ci z pyska na osiem mil. Obwąchałeś mnie ze wszystkich stron jak owca grądkę warzyw.

Twarz kierowcy stężała.

– Źle mnie zrozumiałeś... – zaczął niepewnie.

Joad roześmiał mu się w nos.

– Wiem, żeś równy chłop. Podwiozłeś mnie przecie. Psiakrew! Odsiedziałem swoje, i co z tego? Chcesz wiedzieć, za co mnie zamknęli, co?

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Nic cię nie obchodzi prócz twojej roboty przy tej budzie, ale to cię właśnie najmniej zajmuje. Widzisz tę drogę przed nami?

– Widzę.

– Ja tam wysiadam. Wiem, że nasikałeś w portki z ciekawości, co też zmalowałem. Ale ja cię nie będę męczył.

Wysoki pomruk silnika ścichł nagle, a śpiew opon urwał się na najwyższej nucie. Joad wydobył swoją półlitrowkę i raz jeszcze z niej pociągnął. Samochód zatrzymał się w miejscu, gdzie droga polna przecinała szosę pod kątem prostym. Joad wysiadł i stanął przy oknie kabiny. Pionowa rura wydechowa słała w górę ledwo widoczny błękitny dymek. Joad pochylił się ku kierowcy.

– Zabójstwo – powiedział szybko. – Wielkie słowo, to znaczy, że zabiłem jednego gościa. Siedem lat. Puścili mnie po czterech, bo grzecznie się sprawowałem.

Oczy kierowcy prześliznęły się po twarzy Joada, chcąc utrwalić ją w pamięci.

– Wcale cię o to nie pytałem – podkreślił. – Pilnuję własnego nosa.

– Możesz rozpowiadać o tym w każdej knajpie stąd aż do Texoli. – Joad uśmiechnął się. – Do zobaczenia, bracie! Porządny z ciebie chłop, ale widzisz, kiedy się trochę było pod wozem, to potem od razu czuje się pismo nosem. Wygadałeś się od razu, ledwie otworzyłeś gębę. – Poklepał dłonią metalowe drzwiczki. – Dziękuję za podwiezienie. Bywaj!

Odwrócił się i ruszył boczną drogą.

Przez chwilę kierowca spoglądał za nim, a potem zawołał:

– Powodzenia!

Joad pokiwał ręką, nie oglądając się. Rozległ się ryk silnika, zgrzytnęły kolejno biegi i wielki czerwony samochód potoczył się ciężko w dalszą drogę.

Rozdział 3

Asfaltowa szosa obrzeżona była gęstwą splątanej, połamanej, uschniętej trawy, której źdźbła ugiwały się pod ciężarem kolczastych kulek łopianu czepiających się psiej sierści, wyczyńców czyhających na końskie pęciny i ostów wpijających się w wełnę owczą.

Uśpione życie czekające na to, by rozprzestrzenić się i rozsiać, każde nasionko zbrojne w narządy służące do rozsiewania, w skrócone żądła i baldaszki unoszone wiatrem, w miniaturowe dziuryty i kulki drobniotkich kolców – wszystko to czekało na zwierzęta, na wiatr, na mankiet męskich spodni lub rąbek kobiecej spódnicy, bierne, lecz uzbrojone w środki aktywności, nieruchome, a przecież kryjące w sobie potencjał ruchu.

Słońce kładło ciepłe blaski na trawie, a w jej cieniu roiły się owady: mrówki i czyhające na nie mrówkolwy, koniki polne, raz po raz wyskakujące w górę i błyskające na sekundę żółtymi skrzydełkami, stonogi, podobne do miniaturowych pancerników, przebijające niezmordowanie niezliczonymi, słabymi nóżkami. Wyżej, brzegiem drogi, pełznął żółw, zbaczając od czasu do czasu bez przyczyny i ciągnąc po trawie swą wypukłą skorupę. Jego twarde łapki o żółtych pazurkach przedzierały się powoli przez roślinny gąszcz, nie tyle posuwając się, co dźwigając z trudem i wlokąc za sobą pancerz. Kulki łopianu ześlizgiwały się z jego grzbietu, puszki ostu spadały nań i staczały się na ziemię. Zrogowaciały pyszczek, podobny do dzioba, był półotwarty, a srogie, zabawne oczka pod brwiami w kształcie paznokci patrzyły prosto przed siebie. Przedzierał się przez trawę, zostawiając za sobą wygnieciony ślad, aż wyrosło przed nim wzgórze – skarpa szosy. Zatrzymał się na chwilę z podniesioną głową. Mrugał i mierzył wzrokiem przeszkodę. Wreszcie zaczął się wspinać na wzniesienie. Przednie, zbrojne w pazurki łapki wysunęły się do przodu, ale nie znalazły oparcia. Tylne popychały naprzód krótkimi wierzgnięciami skorupę, która ocierała się z chrzęstem o trawę i żwir. Im bardziej stroma

stawiała się pochyłość, tym zapamiętalsze były wysiłki żółwia. Wspinając się w górę, napięte łapki ześlizgiwały się pod ciężarem skorupy, zrogowaciały łebek wysuwał się tak daleko, na ile mogła wyciągnąć się szyja. Wreszcie żółw wczołgał się na skarpe, lecz nagle szlak marszu przeciął mu twardy brzeg szosy, wysoki na cztery cale. Tylne łapki, jakby działając samorzutnie, popchnęły skorupę ku asfaltowej ścianie. Główka podniosła się i zajrzała ponad nią na rozległą, gładką równinę. Teraz przednie łapki, uczipione brzegu szosy, napięły się i dźwignęły, skorupa podniosła się wolno i przód jej spoczął na asfalcie. Przez chwilę żółw odpoczywał. Czerwona mrówka wbiegła mu pod pancerz na miękką skórę i raptem głowa i łapki cofnęły się pod skorupę, a opancerzony ogon podkulił się ukośnym ruchem. Mrówka została zmiażdżona pomiędzy tułowiem a łapkami. Wraz z przednią nóżką dostał się pod pancerz kłos dzikiego owsa.

Przez dłuższą chwilę żółw leżał nieruchomo. Potem wysunęła się szyja, starcze, śmieszne, posępne oczka rozejrzały się wokoło, łapki i ogon ukazały się znowu spod skorupy. Tylne nóżki wróciły do pracy, natężając się jak nogi słonia, skorupa nachyliła się pod takim kątem, że przednie łapki nie mogły dosięgnąć asfaltowej płaszczyzny. Lecz tylne coraz wyżej dźwigały pancerz, aż wreszcie równowaga została osiągnięta, przód ciała żółwia opadł, przednie łapki zazgrzytały po asfalcie i zwierzątko znalazło się na szosie. Kłos dzikiego owsa owinał mu się jednak wokół przednich łapek.

Teraz wędrówka była łatwa, pracowały wszystkie cztery nóżki i skorupa sunęła szosą, kołysząc się z boku na bok. Nadjechała limuzyna kierowana przez kobietę w średnim wieku. Dostrzegła ona żółwia i skrzyła gwałtownie ze środka szosy w prawo, aż przenikliwie zapiszczały opony i wzniósł się tuman kurzu. Dwa koła zawisły na chwilę w powietrzu i opadły znów na ziemię. Samochód wśliznął się z powrotem na drogę i pojechał dalej, ale już mniej szybko. Żółw schował się na chwilę gwałtownie pod pancerz, teraz jednak znowu pośpieszał naprzód, bo parzyła go rozgrzana szosa.

Nadjechała nieduża ciężarówka i gdy już była blisko, kierowca dojrzał żółwia i zboczył, by go potraścić. Przednie koło uderzyło w brzeg skorupy, szturchnęło zwierzątko jak pchełkę w dziecinnej grze, obróciło niby monetę i straciło z jezdni. Ciężarówka powróciła na swoją trasę po prawej stronie

drogi. Przez czas dłuższy żółw leżał na grzbiecie wyprężony w swej skorupie. W końcu jednak począł przebierać łapkami w powietrzu, szukając oparcia, by się obrócić. Przednią łapką uczepił się grudki kwarcu i oto z wolna skorupa odwróciła się, dźwigając grzbiet do góry. Wypadł z niej kłos dzikiego owsa i trzy ziarenka niby ostrza włóczni utkwily w ziemi. Gdy zaś żółw poczołgał się w dół skarpy, skorupa jego przykryła ziarenka ziemią. Żółw wszedł na piaszczystą ścieżkę, posuwając się naprzód urywanymi ruchami i rysując w piasku swoją skorupą falistą, płytką bruzdę. Starcze, śmieszne oczka patrzyły przed siebie, zrogowaciały pyszczek był z lekka rozchylony. Żółte pazurki ślizgały się nieco w pyle.

Rozdział 4

Gdy ciężarówka wśród zgrzytu zmieniających biegów i drgań nawierzchni wstrząsanej uderzeniami opon ruszyła w dalszą drogę, Joad przystanął i odwrócił się, odprowadzając wzrokiem wóz, póki nie zniknął mu z oczu. A i nie widząc go już nawet, spoglądał wciąż przed siebie, wpatrzony w rozedrgane błękitne powietrze. W zamyśleniu wydobył z kieszeni półlitrowkę, odkręcił metalową zakrętkę i ostrożnie pociągnął łyk wódki, wsunawszy język w szyjkę butelki, a potem oblizując wargi, by nie uronić ani kropli. Na próbę zanucił: „Ścigaliśmy Murzyna...”, i urwał, dalszego ciągu bowiem nie zapamiętał. W końcu odwrócił się w stronę piaszczystej bocznej drogi biegnącej pod kątem prostym od szosy na przełaj przez pola. Słońce przypiekało coraz mocniej, najlżejszy powiew nie poruszał rozsianego gęsto w powietrzu pyłu. Koleiny, które przecinały drogę, zasypywał obsuwający się piasek. Ledwie Joad zrobił kilka kroków, poruszony pył osiadł na jego nowych żółtych trzewikach, pokrywając je siwym nalotem.

Schylił się i rozwiązał sznurowadła, a potem zzuł kolejno oba trzewiki. Z uczuciem ulgi i zadowolenia zanurzał wilgotne stopy w gorącym, suchym piasku, aż spomiędzy palców wytrysły smużki pyłu, a skóra nóg skurczyła się i wyschła. Zdjął marynarkę, owinął nią trzewiki i wsunął zawiniątko pod pachę. W końcu ruszył naprzód, wzbijając chmurę ciągnącą się za nim tuż nad ziemią.

Po prawej stronie drogi biegło ogrodzenie – dwa rzędy kolczastego drutu rozpiętego na krzywych, kiepsko ciosanych wierzbowych palikach. Tam gdzie rozwidlony palik znajdował się na właściwej wysokości, drut był o niego zaczepiony, gdzie zaś rozwidlenia brakło, przymocowano drut kolczasty do palików zwykłym, zardzewiałym drutem. Za płotem leżała kukurydza powalona na ziemię wichurą, upałem i posuchą, a wgłębienia u zbiegu jej łodyg z listkami pełne były piasku.

Joad brnął naprzód, wlokąc za sobą obłok kurzu. Parę kroków dalej dostrzegł wypukłą skorupę żółwia, który pełził wolno w pyłe, przebierając sztywnymi łapkami. Joad przystanął, by mu się przyjrzeć, i jego cień padł na żółwia. Momentalnie głowa i łapki schowały się, a krótki, gruby ogon zwinął się bokiem pod skorupę. Joad podniósł żółwia i odwrócił. Grzbiet jego był brązowoszary, barwy piasku, lecz czysta i gładka od spodu skorupa miała odcień żółtokremowy. Joad podrzucił wyżej zawiniątko pod pachę, pogłaskał palcem gładkie podbrzusze i nacisnął je. Było miększe od grzbietu. Żółw wysunął twardą, starczą głowę, usiłując dojrzeć uciskający go palec, i wierzgał rozpaczliwie nóżkami. Zmoczył rękę Joadą, szamocąc się bezskutecznie w powietrzu. Joad odwrócił go grzbietem do góry i zawinął wraz z butami w marynarkę. Czuł, jak pod pachą żółw rzuca się, szarpie i szamocze. Ruszył teraz szybciej naprzód, powłócząc nieco nogami w miałkim pyłe.

W dali, przy drodze, wąła, zakurzona wierzba rzucała na ziemię cętkowany cień. Joad widział ją przed sobą – nędzne gałęzie chylące się nad drogą i liście skąpe i nastroszone jak piórka zmokłego kurczęcia. Pocił się teraz. Niebieska koszula pociemniała mu na plecach i pod pachami. Pociągnął za tekturowy daszek czapki, zginając go pośrodku i łamiąc tak dokładnie, że już nigdy nie mógłby uchodzić za nowy. Szybszym i bardziej zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku dość jeszcze odległej wierzby. Wiedział, że znajdzie tam cień, a przynajmniej jedną jego smugę, którą rzucał pień drzewa, bo słońce minęło już zenit. W tej chwili raziło jego kark, wywołując lekki szum w głowie. Nie mógł dojrzeć dolnej części wierzby wyrastającej z kotlinki, gdzie woda trzymała się dłużej niż na miejscach płaskich. W ucieczce przed słońcem Joad przyspieszył kroku i ruszył pochyłością w dół. Zwolnił ostrożnie, gdyż pas cienia był już zajęty. Siedział tam na ziemi jakiś człowiek, opierając się o pień. Nogi miał skrzyżowane, a jedna z bosych stóp sterczała prawie na wysokości jego głowy. Nie usłyszał zbliżającego się Joadą, gwizdał bowiem z powagą melodię: *Tak, Panie, to moje dzieciątko*. Wyciągnięta stopa huśtała się z wolna w takt piosenki. Nie było to tempo taneczne. Przestał gwizdać i zaśpiewał swobodnym, wysokim tenorem:

O tak, to mój Zbawiciel,

*To mój Zbawiciel Je-zus.
Mym Zbawcą dzisiaj Je-zus...
Już osłabła zła moc diabła,
Dziś mnie zbawi Je-zus.*

Joad wkroczył w obręb skąpego cienia rzucanego przez rzadkie liście wierzby, zanim nieznajomy usłyszał jego kroki, przerwał śpiew i odwrócił głowę. Była to głowa długa, kanciasta, o napiętej skórze, osadzona na szyi żylastej i umięśnionej jak łodyga selera. Gałki oczne mężczyzny były ciemne i wypukłe, powieki – wrażliwe na słońce i zaczerwienione. Brązowe, nieowłosione policzki lśniły, a pełne usta zdradzały humor lub zmysłowość. Skóra na wydatnym, zakrzywionym nosie była tak naciągnięta, że aż zbieiała u nasady. Na twarzy ani nawet na bladym czole nie było śladu potu. Czoło to, niezwykle wysokie, pokrywała na skroniach siatka błękitnych żyłek. Połowa twarzy znajdowała się ponad oczami. Sztwyne, siwe włosy odgarnięte były z czoła, jak gdyby przed chwilą nieznajomy szeszał je palcami. Miał on na sobie kombinezon i niebieską koszulę. Kurtka z mosiężnymi guzikami i wyplamiony brązowy kapelusz, splaszczony na placek, leżały obok na ziemi. Płóciennie pantofle, szare od kurzu, leżały również nieopodal, tam gdzie upadły, zrzucone z nóg jednym ruchem.

Nieznajomy długo przyglądał się Joadowi. Światło zdawało się przenikać w głąb jego piwnych oczu, wydobywając złotawe cętki z tęczówek. Splot napiętych mięśni uwydatniał się na karku.

Joad stał nieruchomo w plamach półcienia. Zdjął czapkę, otarł nią wilgotną twarz i upuścił wraz z zawiniątkiem na ziemię.

Obcy, siedzący w zupełnym cieniu, wyprostował nogi i palcami stóp grzebał w piasku.

Joad odezwał się:

– Halo! Gorąco na drodze jak w piekle.

Siedzący człowiek popatrzył na niego pytająco.

– Czy wy czasem nie jesteście młody Tom Joad, syn starego Toma?

– Tak – odpowiedział Joad. – Całe życie. Wracam właśnie do domu.

– Nie pamiętacie mnie chyba – mówił nieznajomy. Uśmiechnął się i jego pełne wargi odsłoniły wielkie, końskie zęby. – No, nie możecie mnie

pamiętać. Zajmowało was jedynie szarpanie za warkocz małych dziewczynek, podczas gdy ja karmiłem was Duchem Świętym. Ze skóry wylaziliście, żeby wyrwać ten warkocz. Może wyszło wam to z pamięci, ale mnie nie. To targanie za włosy sprawiło, że i wy, i ona przyszlście razem do Jezusa. Ochrciłem was w rowie z wodą. Szamotaliście się i darli wniebogłosy jak para kotów.

Joad popatrzył na niego spod spuszczonej powiek i roześmiał się.

– A toć przecie nasz pastor! Nasz pastor! Nie ma godziny, jak wspominałem o was jednemu gościowi.

– Byłem pastorem – oświadczył tamten z powagą. – Wielebny Jim Casy, Krzak Gorejący. Wykrzykiwał imię Jezusa ku Jego chwale i spędził do rowu z wodą tylu skruszonych grzeszników, że aż się od nich roilo, a połowa o mało nie utonęła. Ale to się skończyło. – Westchnął. – Teraz jestem po prostu Jim Casy. Straciłem powołanie. Mam dużo grzesznych myśli, ale wydają mi się wcale rozsądne.

Joad zauważył:

– Musi się dojść do różnych myśli, kiedy się człowiek zacznie zastanawiać nad tym i owym. Ma się rozumieć, że was pamiętam. Fajne były te wasze zebrania. Nie zapomnę, jak raz rąbnęliście całe kazanie, chodząc wokoło na rękach i wrzeszcząc na całe gardło. Mama lubiła was jak nikogo. A babcia mawiała, że objawienia oblażą was jak wszy.

Joad pogrzebał w zawiniątku i namacawszy kieszę, wydobyl półlitrowkę. Żółw poruszył łapką, ale został zawinięty jeszcze szczelniej. Joad odkręcił zakrętkę i wręczył butelkę Casy'emu.

– Łykniecie trochę?

Casy wziął butelkę i patrzył na nią w zamyśleniu.

– Nie wygłaszam już kazań. W ludziach nie ma już ducha bożego. Gorzej, bo i ja go nie czuję w sobie. Od czasu do czasu coś się tam jeszcze we mnie odezwie i urządzę nabożeństwo albo odmówię modlitwę, gdy ludzie zaproszą mnie do stołu, ale straciłem serce do tych rzeczy. Robię to tylko dlatego, że oczekują tego po mnie.

Joad znów otarł czapkę twarz.

– Chyba nie taki z was święty, żeby się nie napić, co? – zapytał.

Casy jakby dopiero teraz zauważył butelkę. Przechylił ją i pociągnął trzy duże łyki.

– Dobra wódka – pochwalił.

– No, jasne – odparł Joad. – Nie żaden samogon. Kosztuje dolara.

Casy łyknął jeszcze raz z butelki, zanim zwrócił ją Joadowi.

– No tak! – powiedział. – No tak.

Joad wziął od niego butelkę i przez grzeczność nie otarł szyjki rękawem, zanim zaczął pić. Przykucnął i oparł flaszkę o zawiniątko. Palce jego natrafiły na patyk, którym mógł kreślić na ziemi własne myśli. Odgarnął liście, wygładził piasek i zaczął rysować trójkąty i kółeczka.

– Dawno was nie widziałem – stwierdził.

– Nikt mnie nie widział – odpowiedział pastor. – Odszedłem samotnie, siedziałem i rozmyślałem. Duch we mnie jest silny, ale nie ten sam. Nie jestem już tak pewny wielu rzeczy.

Oparł się mocniej o drzewo. Jego koścista ręka wśliznęła się jak wiewiórka do kieszeni kombinezonu i wyciągnęła czarną, nadgryzioną tabliczkę prasowanego tytoniu do żucia. Starł starannie żdźbła słomy i kurz, które przyłgnęły do niej w kieszeni, a potem nadgryzł róg i wepchnął tytoń pod policzek. Na podsuniętą mu tabliczkę Joad machnął odmownie patykiem. Żółw rzucał się w zawiniątku. Casy spojrzał na ruszający się pakunek.

– Co tam macie? Kurczaka? Udusi się.

Joad zwinął marynarkę jeszcze szczelniej.

– To żółw. Znalazłem go na drodze. Stary cwaniak. Pomyślałem, że zabiorę go dla młodszego brata. Dzieci lubią żółwie.

Pastor pokiwał z wolna głową.

– Każde dziecko dostaje żółwia przy tej czy innej okazji. Żadne jednak nie potrafi go zatrzymać. Starają się o to na wszystkie sposoby, ale pewnego dnia żółw odchodzi, nie wiadomo dokąd. Tak jak ja. Nie wystarczyło mi czytać starej, pocziwej Ewangelii, co leżała pod ręką. Musiałem grzebać w niej i zastanawiać się nad każdym słowem, aż podarłem ją w strzępy. Spływa na mnie czasem jakieś natchnienie, ale nie mam już co głosić. Czuję powołanie do tego, by ludzi prowadzić, a nie mam ich dokąd wieść.

– A prowadźcie ich w kółko! Ciągłe w kółko! – poradził Joad. – Pchajcie do rowów z wodą. Mówcie, że będą się smażyć w piekle, jeśli ośmielą się myśleć inaczej niż wy. Po kiego licha chcecie ich dokądś prowadzić? Prowadźcie ich, i koniec!

Prosty cień pnia wydłużył się na ziemi, Joad przesunął się z ulgą w jego pasmo, przykucnął i wygładził nowe miejsce do kreślenia patykiem swych myśli na piasku. Drogą nadbiegł kudłaty, żółty owczarek ze spuszczoneym łbem i wywieszonym, ociekającym śliną językiem. Dyszał głośno, opuściwszy bezwładnie ogon. Joad gwizdnął na niego, ale pies spuścił tylko trochę niżej łeb i pokłusował szybko do jakiegoś znanego sobie celu.

– Śpieszy mu się gdzieś – wytłumaczył dotknięty nieco Joad. – Może do domu.

Pastor nie dał się oderwać od swego tematu.

– Gdzieś mu się śpieszy – powtórzył. – Racja, dokądś podąża. A ja – ja nie wiem, dokąd zmierzam. Wiecie, często doprowadzałem ludzi do tego, że skakali, gadali i wykrzykiwali na chwałę bożą, a potem jeden po drugim przewracali się na ziemię bez zmysłów. Niektórych chrzcilem, aby przywrócić ich do przytomności. A potem... Wiecie, co potem robiłem? Zabierałem którąś z dziewczyn i pokładałem się z nią w trawie. I to za każdym razem. Sumienie mnie potem gryzło, modliłem się i modliłem, ale to nic nie pomagało. Kiedy następnym razem znów wstępowałem w nie i we mnie duch boży, robiłem to samo. Powiedziałem sobie, że nie ma już dla mnie ratunku i że ze mnie przeklęty stary obłudnik. A przecież nie chciałem tego.

Joad uśmiechnął się, odsłaniając długie zęby i oblizując wargi.

– Nie ma jak takie gorące zebranie, nietrudno wtedy o obłapkę. Sam to robiłem.

Casy pochylił się naprzód, podniecony.

– Widzicie! – zawołał. – Jakem to zrozumiał, zacząłem rozmyślać.

Poruszał kościstą ręką o grubych stawach z góry na dół, jak gdyby głaskał kogoś.

– I tak sobie wymedytowałem: zaznałeś, człowieku, łaski głoszenia słowa bożego, ale łaska przenika ludzi tak mocno, że skaczą i drą się wniebogłosy. Spać w trawie z dziewczyną to ponoć diabelska sprawa. A przecież dziewczyna tym bardziej chce pójść na trawę, im więcej czuje w sobie łaski bożej. I przyszło mi do głowy – co, do jasnej cholery... przepraszam!... jakim cudem diabeł może wstąpić w dziewczynę, kiedy jest w niej tak pełno Ducha Świętego, że się jej wprost uszami i nosem przelewa. Myślałby kto, że kiedy jak kiedy, ale w takiej chwili wskóra on tyle, co kupa śniegu w piekle. A tu masz! – Oczy błyszczały mu z podniecenia.

Przez chwilę żuł tytoń w zębach, a potem splunął w kurz. Ślina potoczyła się, obrastając coraz bardziej pyłem, aż nabrała wyglądu okrągłej, suchej kulki. Pastor wyciągnął rękę i wpatrzył się w dłoń, jak gdyby czytał z książki. – A ja – ciągnął cicho – ja, dzierżący w dłoni dusze tych wszystkich ludzi, odpowiedzialny za nich i świadomy tej odpowiedzialności, za każdym razem pokładałem się z dziewczyną.

Gdy podniósł oczy na Joadą, twarz jego wyrażała bezradność. Zdawał się prosić o ratunek.

Joad wyrysował starannie w kurzu sylwetkę nagiej kobiety – piersi, uda, biodra.

– Nigdy nie byłem pastorem – powiedział. – I nigdy nie marnowałem okazji, kiedy pchała mi się w ręce. Po co miałem łamać sobie głowę, jak mi się trafiła gratka. Cieszyłem się jak cholera, brałem, i tyle.

– Ale nie byliście pastorem – upierał się przy swoim Casy. – Dziewczyna była dla was tylko dziewczyną. Wyście się nimi wiele nie przejmowali, ale dla mnie one wszystkie były naczyniami świętości. Pracowałem nad zbawieniem ich dusz. I dźwigając całą tę odpowiedzialność, doprowadzałem je do tego, że płonęły świętym żarem, a potem szły ze mną na trawę.

– Kto wie, może powinienem był zostać pastorem – zauważył Joad. Wydobył z kieszeni tytoń i bibułkę i skrzył papierosa. Zapalił go i spoglądając z ukosa poprzez dym na pastora, dodał: – Dawno już nie miałem dziewczyny. Trzeba będzie to teraz nadrobić.

Casy mówił dalej:

– Męczyło mnie to tak, że spać po nocach nie mogłem. Miałem na przykład pójść wygłosić naukę i powiadam sobie: „Na miłość boską, tym razem tego nie zrobisz”. I właśnie wtedy, kiedy to mówiłem, wiedziałem, że to zrobię.

– Trzeba się było ożenić – powiedział Joad. – Był u nas kiedyś pastor z żoną. Jehowici. Nocowali na piętrze. A kazania odbywały się w naszej stodole. My, dzieciaki, podsłuchiwalismy. Po każdym kazaniu wieczornym młócił swoją paniusię, że nie daj Boże.

– Dobrze, żeście mi o tym powiedzieli – ucieszył się Casy. – Myślałem, że to tak tylko ze mną. W końcu tak mi było ciężko, że sam wszystko rzuciłem i poszedłem w świat. A myślałem nad tym strasznie długo. –

Podkurczył nogi, drapiąc się pomiędzy palcami suchych, zakurzonych

stóp. – Pytałem sam siebie: „Co cię gnębi? Czy to, że wyściskałeś dziewczynę?”. I odpowiadałem sobie: „Nie, grzech”. I znowu pytałem: „Dlaczego jest tak, że kiedy człowiek, pełen łaski bożej, powinien twardo opierać się grzechowi, dlaczego właśnie wtedy grzeszy?”. – Położył dwa palce na dłoni, poruszając nimi rytmicznie, jak gdyby delikatnie układał obok siebie słowa. – Mówiłem sobie: „A może to i nie grzech. Może już tacy ludzie są. Może na darmo wypędzamy z siebie diabła batem”. Przypomniałem sobie, jak niektóre siostry biczowały się długimi plecionkami z drutu. Przyszło mi do głowy, że może lubią zadawać sobie ból i że może i ja to lubię. Leżałem pod drzewem, głowiłem się i głowiłem, aż w końcu usnąłem. Spałem do wieczora, a kiedy się obudziłem, było już ciemno. Gdzieś w pobliżu wydierał się kojot. I zanim pojawiłem, co wygaduję, powiedziałem na głos: „Do diabła z tym wszystkim! Nie ma grzechu i nie ma cnoty. Jest tylko to, co ludzie robią. I wszystko, co robią, jest ludzkie. Czasem to, co robią, jest ładne, czasem jest brzydkie, ale tylko tyle ma się prawo o tym powiedzieć”.

Zamilkł i podniósł oczy znad dłoni, na której jak gdyby układał słowa. Joad uśmiechnął się do niego, ale baczny jego wzrok zdradzał zaciekawienie.

– No i poradziliście sobie. Dobrzeście to wszystko wykalkulowali.

Casy podjął znowu, a w głosie jego dźwięczały rozterka i ból:

– Pytam siebie: „Co to jest powołanie, co to jest duch boży?”. I odpowiadam: „To miłość. Kocham ludzi tak mocno, że czasem ta miłość prawie mnie rozsadza”. I pytam znowu: „A czy Jezusa kochasz?”. No i głowię się od nowa, aż w końcu powiadam: „Nie, nie znam nikogo, komu na imię Jezus. Znam dużo przypowieści, ale kocham tylko ludzi. Czasem kocham ich tak, że aż mnie rozsadza i chciałbym im nieba przychylić, głoszę więc to, co myślę, że im da szczęście”. I tak gadam ze sobą diabli wiedzą jak długo. Dziwicie się pewno, że tak sadzę diablami. Ano, nie widzę w takich słowach nic złego. Używa ich człowiek, choć nie ma nic paskudnego na myśli. Tak czy owak, powiem wam jeszcze coś, co wymyśliłem, a co w ustach pastora jest okropnym bluźnierstwem. I dlatego nie mogę już być pastorem, bo tak właśnie myślę i wierzę w to.

– A co to takiego? – zapytał Joad.

Casy spojrzał na niego z zakłopotaniem.

– Jeśli was to zgorszy, nie obrażacie się chyba, co?

– Nie obrażam się tak łatwo, chyba że mi kto nos rozbije – oświadczył Joad. – Cóżecie wymyślili?

– Zastanawiałem się nad Duchem Świętym i Panem Jezusem. I takem sobie myślał: „Dlaczego to mamy łączyć Ducha Świętego z Bogiem Ojcem czy z Panem Jezusem? A może Duch Święty to wszyscy ludzie, których kochamy, może Duch Święty a duch człowieczy to jedno i to samo. Może cała ludzkość ma jedną wielką duszę, a każdy z nas jest jakąś jej częścią”. Siedziałem i rozmyślałem nad tym, aż nagle zrozumiałem. Wiem teraz na pewno, że to prawda, i święcie w to wierzę.

Joad spuścił oczy, jak gdyby nie mógł znieść szczerego, uczciwego spojrzenia pastora.

– Z takimi myślami nie utrzymacie się w żadnym kościele – powiedział. – Wypędzą was za to ze wsi. Skakać, krzyczeć to ludzie lubią. Dobrze im to robi. Kiedy moja babcia rozgada się o religii, to nikt jej nie da rady. Mogłaby pięścią zwalić z nóg tęgiego diakona.

Casy patrzył na niego pośpiesznie.

– Chciałbym was o coś zapytać. O coś, co mnie gryzie.

– Jazda! Czasem potrafię odpowiedzieć do rzeczy.

– A więc – mówił wolno pastor – kiedyś, gdy byłem pełen łaski, ochrzciłem was. Tego dnia przez moje niegodne usta przemówił Jezus. Nie możecie tego pamiętać, bo byliście zbyt zajęci ciągnięciem za warkocz jakiejś dziewczynki.

– Pamiętam! – przerwał Joad. – To była Suzy Little. W rok później złamała mi palec.

– No więc, czy ten chrzest wyszedł wam na dobre? Czy wasze uczynki od tego czasu były lepsze?

Joad namyślał się przez chwilę.

– Nieee... nie mogę powiedzieć, żebym czuł potem coś specjalnego.

– No to może chrzest wyszedł wam na złe? Zastanówcie się dobrze.

Joad chwycił butelkę i pociągnął łyk.

– Nie było w tym nic dobrego ani nic złego. Tylko tyle, że miałem zabawę.

Wręczył flaszkę pastorowi. Ten westchnął, napił się, popatrzył na niski poziom wódki w butelce i łyknął jeszcze trochę.

– No, dobrze – powiedział. – Gnębiło mnie, czy narobiwszy wszędzie tyle bigosu, nie wyrządziłem komu krzywdy.

Joad spojrzał w stronę zwiniętej marynarki i zobaczył żółwia, który wydostał się z zawiniątka i podążał śpiesznie w tym samym kierunku, w którym czołgał się wtedy, gdy go znalazł. Joad przyglądał mu się przez chwilę, a potem wstał z wolna, schwycił go i ponownie zawinął w marynarkę.

– Nie mam żadnego prezentu dla dzieciaków – wyjaśnił. – Nic prócz tego starego żółwia.

– Zabawna rzecz – powiedział pastor. – Kiedyście nadeszli, myślałem właśnie o starym Tomie. Myślałem, że warto by go odwiedzić. Kiedyś uważałem go za bezbożnika. Jak on się miewa?

– Nie wiem. Cztery lata nie byłem w domu.

– A nie pisywał do was?

Joad był zakłopotany.

– No cóż, ojciec nie miał lekkiej ręki do pisania i nie lubił pisać, ot, tak sobie. Owszem, pośliniwszy ołówek podpisywał się niegorzej od innych. Ale listów nie pisał nigdy. Mówił zawsze, że jak czego nie można z kim załatwić na gębę, to i nie warto marnować ołówka.

– Podróżowaliście po świecie? – zapytał Casy.

Joad spojrzał na niego podejrzliwie.

– Toście nic nie słyszeli? Pisano o mnie we wszystkich gazetach.

– Nie. A co? – Casy założył nogę, na nogę, sadowiąc się niżej pod drzewem. Popołudnie mijało szybko i barwa słońca przybierała coraz głębszy ton.

Joad powiedział pogodnie:

– Lepiej może powiem wam wszystko i nie będziemy o tym więcej mówili. Ale gdybyście jeszcze byli pastorem, pary bym z ust nie puścił, bobym się bał, że zaczniecie się za mnie modlić.

Wysączył resztę wódki i odrzucił butelkę. Płaska, brązowa flaszka podskoczyła lekko w kurzu.

– Siedziałem cztery lata w McAlester.

Casy obrócił się gwałtownie. Zsunął brwi tak nisko, że jego wysokie czoło wydawało się jeszcze wyższe.

– Nie macie ochoty rozmawiać o tym, co? Jeśli popełniliście coś złego, nie będę was ciągnął za język...

– To, co zrobiłem, zrobiłbym jeszcze raz – oświadczył Joad. – Zabiłem jednego gościa w bójce na zabawie. Byliśmy pod gazem. Skoczył na mnie

z nożem, a ja rąbnąłem go łopata, co leżała pod ręką. Rozwaliłem mu łeb na miazgę.

Brwi Casy'ego powróciły do normalnego poziomu.

– Nie żałujecie więc niczego?

– Nie – odparł Joad. – Nie żałuję. Dostałem tylko siedem lat, bo tamten dźgnął mnie nożem. Wyszedłem po czterech – przed terminem.

– Toście przez cztery lata nie mieli wiadomości o swoich.

– O, miałem. Dwa lata temu przyszła kartka od matki, a na ostatnie Boże Narodzenie od babki. Ale się chłopcy w celi zaśmiewali! Na kartce było drzewko i na nim coś świecącego jak śnieg. A u dołu wierszyk:

Dziś życzenia niech ci złoży

Słodki Jezus, Synek Boży.

A pod drzewkiem, pod choinką,

Dar ode mnie masz, dziecińko.

Myślę, że babka sama tego nie czytała. Kartkę pewno kupiła u wędrownego handlarza i wybrała taką, co się najmocniej świeciła. Myślałem, że chłopaki w celi pozdychają ze śmiechu. Od tego czasu przezywali mnie „Słodkim Jezusem”. Babka na pewno nie chciała nabijać się ze mnie. Myślała sobie pewnie: „Taka ładna kartka, szkoda czasu na czytanie, co tam napisane”. Tego roku, kiedy dostałem się do kryminału, zgubiła okulary. Może ich do dziś nie znalazła.

– A jak tam było w tym McAlester? – spytał Casy.

– O, nieźle. Regularny wikt, czysty przyodziewek, no i człowiek miał się gdzie wykapać. Na swój sposób całkiem możliwie. Trudno tylko wytrzymać bez kobiet. – Joad roześmiał się nagle. – Był tam gość, którego zwolnili warunkowo przed terminem. Minał miesiąc, a już jest z powrotem. Pytam chłopą, co też znalazł nowego. A on mi powiada: „Do cholery z takim życiem! W chałupie mojego starego nie ma za grosz wygod. Ani elektryczności, ani natrysków. Książki ani poświeć, a żarcie podłe”. Wrócił, bo w mamrze są wygodę i żywią regularnie. Mówił, że mu się przykrzyło na wolności i że nie wiedział, co ze sobą robić. No to buchnął wóz i wrócił.

– Joad wydobył tytoń, dmuchnął w bibułki, oddał jedną i skrzył papierosa. – Chłop miał rację – powiedział. – Wczoraj wieczorem strach mnie obleciał

na samą myśl, że nie wiem, gdzie będę spał. Myślałem o swojej pryczy i o tym, co porabia karaluch, który był moim kumplem w celi. Mieliśmy tam orkiestrę rżniętą, zmontowaliśmy ją z paroma chłopakami. Była całkiem dobra. Jeden nawet mówił, że moglibyśmy grać w radio. A dziś rano nie wiedziałem, o której godzinie mam wstać. Leżałem i czekałem na pobudkę.

Casy zaśmiał się cicho.

– Bywa i tak, że człowiekowi czegoś brak, gdy tartak stanie.

Żółtawe, przyćmione kurzem popołudniowe słońce kładło na ziemię złociste blaski. Łodygi kukurydzy wydawały się też pozłoczone. Kilka jaskółek śmignęło w powietrzu w drodze ku sadzawce. Żółt owinięty w marynarkę Joad podjął na nowo walkę o wolność. Joad zgiął daszek swej czapki, nadając mu teraz wydłużony kształt sterczącego wroniego dzioba.

– Myślę, że trzeba będzie szybciej wyciągać nogi – powiedział. – Nie lubię iść pod słońce, ale teraz jakoś da się radę.

Casy podniósł się.

– Starego Toma nie widziałem już chyba od wieków – powiedział. – I tak chciałem go dawno odwiedzić. Długi czas przychodziłem do was ze słowem bożym, ale nigdy nie brałem za to nic prócz łyżki strawy.

– Chodźmy – przynaglał Joad. – Ojciec będzie wam rad. Zawsze żartował, że jak na pastora macie za długi nochal.

Podniósł z ziemi zawiniątko, owijając ciasno marynarką buty i żółwia. Casy sięgnął po swoje płócienne trzewiki i wsunął w nie boscie stopy, mówiąc:

– Ja nie jestem taki odważny jak wy. Zawsze się boję, że w tym kurzu trafię na kawałek drutu albo szkła. A niczego się tak nie boję jak tego, że mógłbym rozharatać sobie palec u nogi.

Na granicy cienia wahali się przez chwilę, a potem dali nura w żółty słoneczny blask, niby dwaj pływacy podążający śpiesznie do brzegu. Już po kilku krokach zwolnili tempo, idąc dalej rozważnie, bez pośpiechu. Łodygi kukurydzy rzucały teraz na ziemię ukośne, szare cienie, powietrze przesycone było ostrym zapachem rozgrzanego kurzu. Po chwili skończyło się kukurydziane pole, a zaczęło pole bawełny – ciemnozielonych, pokrytych warstwą pyłu liści i dojrzewających nasion. Bawełna była jakaś kępiasta, gęsta tam gdzie przedtem stała woda, świecąca nagimi łysinami

w miejscach położonych wyżej. Rośliny zmagaly się ze słońcem. W oddali, na widnokręgu, wszystko zlewało się w jeden brunatnawy, niewidzialny prawie odcień. Przed nimi, wznosząc się i opadając, biegła piaszczysta droga. Linia wierzb rosnących nad strumieniem ciągnęła się w kierunku zachodnim, a leżące odłogiem pole na północnym zachodzie zaczynało już zarastać rzadkimi krzakami. Zapach rozgrzanego słońcem kurzu unosił się wciąż w powietrzu tak suchym, że śluz w nosie krzepł na skorupę, a z oczu płynęły łzy, co chroniło przed wyschnięciem gałki oczne.

– Patrzcie, jaka ładna była kukurydza przed tą burzą piaskową – odezwał się Casy. – Wspaniałe byłyby zbiory.

– Tak jest co roku – powiedział Joad. – Co roku, odkąd pamiętam, zapowiadały się dobre zbiory, a nigdy ich nie było. Dziadek mówił, że udawały się przez pierwsze pięć lat uprawy, kiedy rosła tu jeszcze dzika trawa.

Droga zbiegła z niewielkiego pagórka i wspięła się znów na inne łagodne wzniesienie.

– Dom starego Toma nie może być stąd dalej niż o milę – powiedział Casy. – Czy nie za tą trzecią górką?

– Tak – odpowiedział Joad. – Chyba że go ktoś ukradł, jak swego czasu ojciec.

– To wasz ojciec ukradł dom?

– A jakże. Znalazł go o jakieś półtorej mili stąd na wschód i przytaszczył tutaj. Rodzina, co w nim mieszkała, wyprowadziła się. Dziadek, ojciec i mój brat Noah chcieli zabrać od razu całą chałupę, ale nie dali rady. Przytaszczyli tylko część. Dlatego z jednego końca chałupina wygląda tak dziwnie. Przepiłowali dom na pół i przewieźli w dwanaście koni i dwa muły. Wybrali się po drugą połowę, żeby je razem złączyć, ale zanim dotarli na miejsce, przyszedł tam Wink Manley ze swymi chłopakami i ukradł ją. Ojciec i dziadek wpadli w szewską pasję, ale w jakiś czas potem popili sobie z Winkiem i pękali ze śmiechu. Wink mówił, że jego połowa domu to kłacz, a nasza – ogier, możemy więc złączyć je i dochowamy się wychodka. Stary Wink to był morowy kompan, jak zalał pałę. Od tego czasu ojciec i dziadek zaprzyjaźnili się z nim i wszyscy trzej upijali się razem przy każdej okazji.

– Stary Tom to porządny chłop – zgodził się Casy.

Brnęli w piachu, schodząc na dno parowu, a potem zwolnili kroku, wspinając się znów pod górę. Casy otarł rękawem czoło i znowu włożył na głowę spłaszczony kapelusz. – Tak – powtórzył – fajny chłop z waszego starego. Jak na niedowiarka – wspaniały. Widywałem go czasem na nabożeństwach; kiedy natchnął go choć trochę Duch Święty, skakał na dziesięć, dwanaście stóp w górę. Powiadam wam, kiedy Tom zażył porcję Ducha Świętego, trzeba było szybko uciekać, boby człowieka stratował i rozniósł. Wierzgał jak ogier w stajni.

Weszli na następne wzniesienie, skąd droga opadała ku staremu łożysku rzeki o brzydkim, chropowatym dnie, pociętym z obu stron bruzdami wyżłobionymi przez wodę. Kilka kamieni służyło za przejście. Joad przeszedł, stąpając po nich ostrożnie bosymi nogami.

– Mówicie o moim starym – podjął – ale może nie widzieliście, jak koło chałupy Polka chrzcili stryja Johna. Ten dopiero nurkował i skakał. Jak nic przeskoczył tam i z powrotem krzak wielki jak fortepian. A wył przy tym jak wilk do księżycy. Zobaczył to ojciec, a mój stary uważa się przecież za najlepszego skoczka bożego w całej okolicy. Wybrał krzak dwa razy większy od stryjowego, kwiknął jak maciora rodząca potłuczone butelki, wziął rozpęd, przeskoczył, no i złamał prawą nogę. Od razu stracił natchnienie. Pastor chciał modlić się o uleczenie tej nogi, a ojciec na to, żeby dał spokój i na miłość boską sprowadził doktora. Ano, doktora nie było, ale znalazł się wędrowny dentysta i nastawił nogę. A pastor i tak odklepał nad nią swoje pacierze.

Wspięli się na wzniesienie po drugiej stronie wyschniętego koryta rzeki.

Teraz, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, żar jego zelżał trochę i chociaż powietrze nadal było rozpalone, promienie słoneczne nie raziły już tak mocno. Brzegiem drogi wciąż ciągnął się drut kolczasty rozpięty na krzywych palikach. Na prawo linia drucianego płotu przedzielała plantację ciemnozielonej bawełny, jednakowo po obu stronach pokrytej kurzem i wyschniętej.

Joad wskazał palcem druciany płot.

– To nasza granica. Ogrodzenie było, prawdę mówiąc, niepotrzebne, ale mieliśmy drut i ojciec chciał, żeby było. Mówił, że jak się ma ogrodzenie, to człowiek czuje się gospodarzem na swojej ziemi. Nie byłoby tego płotu, gdyby nie stryj John, który pewnej nocy przywiózł wozem sześć zwojów drutu. Dał je ojcu za wieprzka. Nigdyśmy się nie dowiedzieli, skąd

wytrzasnął ten drut. – Zwolnili kroku, idąc pod górę; brnęli w głębokim, miękkim pyle, lecz czuli pod stopami twardą ziemię. Joad zatonął we wspomnieniach. Zdawał się śmiać w duchu. – Stryj John to był kawał wariata – powiedział. – Czego on nie wyrabiał z tym wieprzkiem! –

Zaśmiał się krótko i szedł dalej w milczeniu. Casy czekał niecierpliwie na koniec opowiadania, a w końcu zapytał z irytacją:

– No i cóż on wyprawiał z tym wieprzkiem?

– Co wyprawiał? Oho! Wieprzka zarznął na miejscu i uprosił matkę, żeby rozpałała ogień pod kuchnią. Powycinał kotlety, pokładł je na patelni, a żeberka i jedną nogę wsadził do piecyka. Kotlety żarł tak długo, póki się żeberka nie upiekły, a żeberka zdążył wrębać, zanim upiekła się szynka. Wtedy zabrał się do szynki. Krajał wielkie kawały i pakował do gęby. Nam, dzieciakom, ślinka ciekła i stryj dał nam trochę, ale ojcu nic. W końcu tak się chłop obżarł, że porzygał się i poszedł spać. Kiedy już zasnął, tośmy z ojcem wykończyli szynkę. Nad ranem stryj się budzi, i lu! – drugą szynkę do piecyka. Ojciec powiada: „John, chcesz zeżreć całego wieprzka?”. A stryj na to: „Chcę, tylko się boję, że nie dam rady. Lubię wieprzowinę, ale zanim wrębię wszystko, część może się zepsuć. Weź trochę, ale oddasz mi za to dwie rolki drutu”. No, ale ojciec był nie w ciemię bity. Wolał zaczekać, aż stryj opchnie tyle, że mu się na rzyganie zbierze. I rzeczywiście, stryj wysiadł, zanim dojechał do połowy wieprzaka. Ojciec powiada: „Czemu nie zasolisz reszty?”. Ale stryj John był już taki: Jak chciał wieprzka, to całego, a jak mu się odechciało, to nie mógł patrzeć na wieprzowinę. Machnął ręką na resztę, a ojciec wziął ją i zasolił.

– Dawniej, kiedy miałem w sobie ducha kaznodziei, wyciągnąłbym z tego naukę i wygłosił ją wam na kazaniu, ale już się tym nie zajmuję – powiedział Casy. – Jak myślicie, po co John to zrobił?

– Nie wiem – odparł Joad. – Po prostu miał chłop apetyt na wieprzowinę. Mnie na samą myśl o wieprzowinie kiszki marsza grają. Przez te cztery lata zjadłem tylko cztery kawałki pieczeni wieprzowej – po kawałku na każde Boże Narodzenie.

Casy spytał z emfazą:

– A może Tom zarżnie tłuste ciele, jak dla syna marnotrawnego w Piśmie Świętym?

Joad roześmiał się lekceważąco.

– Nie znacie ojca. Gdy zabije kurczaka, to sam lamentuje więcej od kurczęcia. Taki już jest. Zawsze oszczędza świnie na Boże Narodzenie, a ona zdycha we wrześniu ze wzdęcia lub na jakąś zarazę, tak że nie można jej zjeść. Kiedy stryj John chciał wieprzowiny, jadł wieprzowinę. I miał ją.

Wdrapali się na szczyt wzgórza i ujrzeli u swych stóp obejście Joadów. Tom zatrzymał się.

– Wygląda tu jakoś inaczej – powiedział. – Widzicie ten dom? Coś tu się stało. Tam nie ma nikogo.

Stali i patrzyli na grupkę zabudowań.

Rozdział 5

Okolicę zaczęli odwiedzać właściciele ziemi, częściej jednak od właścicieli zjawiali się ich pełnomocnicy. Przyjeżdżali zamkniętymi samochodami, rozcierali w palcach grudki suchej ziemi, czasem zapuszczali w grunt wiertła, by pobrać próbki gleby. Ze swych zalanych słonecznym żarem podwórek dzierżawcy z niepokojem spoglądali na zamknięte samochody objeżdżające pola. W końcu przybysze zajeżdżali na podwórze i nie wysiadając z wozów, wszczynali przez okno rozmowę. Przystanawszy na chwilę koło samochodów, chłopci kucali na ziemi, sięgali po patyki i zaczęli rysować nimi na piasku.

Z otwartych drzwi wyglądały kobiety, a za nimi dzieci, dzieci o główkach złotych jak kukurydza i szeroko rozwartych oczach, przestępujące z nogi na nogę i przebierające palcami bosych stóp. Kobiety wraz z dziećmi przyglądały się bacznie w milczeniu, jak mężczyźni rozmawiają z pełnomocnikami właścicieli.

Niektórzy z przybyszów byli uprzejmi, mierziło ich bowiem to, co musieli robić, niektórzy byli źli, bo nienawistna była im myśl, że muszą być okrutni, niektórzy wreszcie zachowywali się chłodno i obojętnie, wiedząc, że właściciel nie byłby właścicielem, gdyby nie był taki. Wszyscy zaś pozostawali we władzy czegoś, co ich przerastało. Niektórzy nienawidzili matematyki, która skłaniała ich do postępowania w ten sposób, inni bali się jej, a jeszcze inni czcili ją jak boga, pozwalała bowiem uciec od myśli i uczuć. Jeśli ziemia należała do banku lub do spółki finansowej, pełnomocnicy mówili: Bank lub Spółka chce... żąda... musi mieć... – jak gdyby ów bank czy spółka były myślącymi i czującymi potworami, które wzięły ich w niewolę. Nie czuli się odpowiedzialni za czyny banków i spółek, jako że byli ludźmi i niewolnikami, banki zaś maszynami a zarazem ich panami. Niektórzy z pełnomocników odczuwali pewną dumę z powodu tego, że są niewolnikami tak nieludzkich i potężnych władców.

I oto siedzieli w swych wozach, wyjaśniając i perswadując: Sami wiecie, że ziemia jest licha. Bogiem a prawdą, nagrzebaliście się w niej dosyć.

Nie wstając z kucek, dzierżawcy kiwali głowami, dziwowali się, rysowali na piasku. Tak, Bóg świadkiem, że pojmują. Gdyby nie ten pył, który nie trzyma się ziemi, a unosi w powietrze, nie byłoby może najgorzej.

A pełnomocnicy mówili dalej, zmierzając do swego: Rozumiecie chyba, że ziemia jałowuje. Wiecie też, co robi z ziemią bawełna: okrada ją, wysysa z niej soki do ostatniej kropli.

Chłopi kiwali głowami, że niby owszem, rozumieją, Bóg świadkiem, że rozumieją. Gdyby tylko dało się coś zrobić z płodozmianem, można by te wyssane z ziemi soki wpompować z powrotem.

No tak, ale na to już za późno. Przybysze jęli wyjaśniać czyny i myśli silniejszego od nich samych potwora. Człowiek może utrzymywać się na roli, gdy ma co jeść i płaci podatki – inaczej nie.

Tak, daje sobie radę, jeśli go zbiory nie zawiodą i nie musi pożyczać pieniędzy z banku.

Widzicie jednak, że bank ani spółka nie może tego zrozumieć, bo to są stwory, które nie oddychają powietrzem i nie jedzą mięsa. Oddychają zyskami, a żywią się odsetkami. Gdy im tego zabraknie, umierają tak samo, jak umiera człowiek bez powietrza i jedzenia. Smutne to, ale tak już jest. Właśnie tak, nie inaczej.

Siedzący w kucki chłopi podnosili oczy, pragnąc to wszystko zrozumieć. A czy nie moglibyśmy jakoś przetrwać? Może przyszły rok będzie dobry. Bóg jeden tylko wie, ile bawełny będzie w przyszłym roku. A jeszcze te wszystkie wojny – nie wiadomo, jakie będą ceny bawełny. No bo przecież z bawełny robi się materiały wybuchowe. A mundury? Niech tylko będzie więcej wojen, a cena bawełny skoczy w górę. Może w przyszłym roku... I spoglądali pytająco.

Nie, na to nie możemy liczyć. Bank, ten potwór, musi mieć stałe zyski. Nie może czekać. Bo umrze. Czynsze dzierżawne trzeba płacić. Bo gdy potwór przestaje rosnąć, wtedy umiera. Nie może zatrzymać się w rozwoju.

Miękkie palce bębniły w parapet okna samochodu, twarde palce zaciskały się na patykach kreślących coś nerwowo w piasku. Kobiety w drzwiach palonych słońcem domków wzdychały, przestępując z nogi na nogę i poruszając palcami bosych stóp. Psy podchodziły, obwąchując samochody, i kolejno podlewały jedną oponę po drugiej. W zalanym

słońcem pyłe kładły się kurczęta, strosząc piórka, by piasek oczyszczający skórę dotarł do niej. Świnie w chlewikach pochrząkiwały pytająco nad błotnistymi resztkami pomyj.

Dzierżawcy znowu patrzyli w ziemię. Gadajcie, czego chcecie od nas. Mniej brać ze zbiorów, niż bierzemy, już nie można – i tak przymieramy głodem. Dzieciaki są stale głodne. Przyodziejku nie ma, same podarte łachy. Gdyby sąsiedzi nie byli tak samo obdarci, człowiek wstydziłby się pójść do kościoła.

Pełnomocnicy docierali wreszcie do sedna sprawy. System dzierżaw już się przeżył. Jeden kierowca z ciągnikiem zastąpi dwanaście albo i czternaście rodzin. Płaci mu się dniówkę i zabiera całe zbiory. Musimy tak robić, choć niechętnie to robimy. Ale potwór jest chory, coś niedobrze z nim.

Ale przecież samą tylko bawełną zabijecie ziemię.

Wiemy o tym. Toteż musimy zebrać ją szybko, nim ziemia zamrze. Wtedy ją sprzedamy. Niejedna rodzina na wschodzie chciałaby mieć kawałek gruntu na własność.

Dzierżawcy zaniepokojeni podnosili oczy. A co się stanie z nami? Jak się wyżywimy?

Będziecie musieli opuścić ziemię. Ciągniki zaorzą wasze podwórza.

Teraz dzierżawcy porwali się z gniewem na nogi. Dziadek zdobył tę ziemię, zabijając i wypędzając Indian. A ojciec tu się urodził, tępił chwasty i walczył z węzami. Potem trafił się ciężki rok i ojciec musiał pożyczyć trochę pieniędzy. I myśmy się tu porodzili. Pod tym dachem przyszły na świat nasze dzieci. A ojciec musiał znowu pożyczyć pieniędzy. Wtedy ziemia przeszła na własność banku, lecz myśmy pozostali na niej i mieli odrobinę z tego, cośmy z niej wydobywali.

Wiemy, wszystko to wiemy. To nie my, to bank. A bank to nie człowiek. Właściciel pięćdziesięciu tysięcy akrów też nie jest podobny do człowieka. To potwór.

Ano pewnie! – krzyczeli dzierżawcy. – Ale to nasza ziemia. Zmierzyliśmy ją i podzielili. Tu urodziliśmy się, tu żyliśmy i umierali. Marna to ziemia, ale zawsze nasza. Nasza dlatego, żeśmy na niej przyszli na świat, uprawiali ją i na niej konali. To właśnie, a nie papier zapisany cyframi, zrobiło z nas właścicieli.

Przykro nam. To nie my. To potwór. Bank to nie człowiek.

Tak, ale bank to przecie też ludzie.

Nie, mylicie się, mylicie się zupełnie. Bank to nie ludzie, to zupełnie co innego. Bywa i tak, że wszyscy pracownicy banku nienawidzą tego, co bank robi, a on mimo to robi swoje. Bank to nie ludzie, to coś więcej. To potwór. Ludzie go stworzyli, ale nie mają nad nim władzy.

Dzierżawcy krzyczeli: Dziadek zabijał Indian, ojciec zabijał węże, a wszystko dla ziemi. Może i nam uda się zabić banki, bo to gorsze od Indian, gorsze od węży. Może i my będziemy musieli bić się o ziemię, jak bił się o nią dziadek i ojciec.

Teraz i plenipotenci wpadli w złość. Będziecie musieli iść precz!

Ale przecież to nasze! – krzyczeli dzierżawcy. – My...

Nie, ziemia jest własnością banku-potwora. Musicie się stąd wynosić.

Chwycimy za broń, jak nasi ojcowie i dziadkowie, kiedy napadali ich Indianie. A wtedy co?

No to przyjdzie szeryf, a po nim wojsko. Upierając się przy pozostaniu tutaj, będziecie złodziejami, zabijając, by się utrzymać, będziecie mordercami. Potwór to nie ludzie, ale potrafi zmusić ich do posłuchu.

A jeśli stąd pójdziemy, to dokąd? Jakże możemy odejść? Nie mamy grosza przy duszy.

Na to pełnomocnicy właścicieli: Przykro nam bardzo, ale bank, czyli właściciel pięćdziesięciu tysięcy akrów, nie jest za to odpowiedzialny. To nie wasza ziemia. Gdy już ją opuścicie, może dostaniecie na jesieni robotę przy zbiorze bawełny. Może otrzymacie zasiłek. Czemu nie chcecie wyruszyć na zachód, do Kalifornii? Tam jest dosyć roboty i nigdy nie bywa zimno. Wystarczy sięgnąć ręką, by zerwać pomarańczę. Tam jest zawsze robota przy tych czy innych zbiorach. Dlaczego nie mielibyście wybrać się w tamte strony? Po czym pełnomocnicy właścicieli uruchomili swoje samochody i odjechali.

A dzierżawcy znowu przysiedli w kurzu, by kreślić w nim patykami, snując dalej swe rozważania i kalkulacje. Ogorzałe od słońca twarze spochmurniały, jasne były tylko rażone słońcem oczy. Z domu wysunęły się kobiety zmierzające ostrożnie ku mężczyznom, za nimi skradały się płochliwie dzieci, gotowe w każdej chwili do ucieczki. Starsi chłopcy kucnęli koło ojców; dodawało im to męskiej powagi. Minęła chwila, zanim kobiety spytały: Czego chcieli?

Mężczyźni podnieśli na chwilę głowy, w oczach ich czał się ból. Musimy się stąd wynosić. Tu przyjdzie ciągnik i nadzorca. Jak w fabryce.

Dokąd pójdziemy? – pytały kobiety.

Nie wiemy. Nie wiemy.

Kobiety szybko, bez słowa, wróciły do domów, zaganiając przed sobą gromadki dzieci. Wiedziały, że mężczyzna tak mocno dotknięty i strapiony może wyrzucić swój gniew nawet na najbliższych, najbardziej kochanych. Pozostawiły więc mężów samych, by snuli dalej swe medytacje, rysując patykami w piasku.

Może po pewnym czasie ten czy ów z dzierżawców obrzucił wzrokiem wszystko dokoła: pompę, którą postawił przed dziesięciu laty, dźwignię w kształcie szyi gąsiora, ozdobiony kwiatami kutymi w żelazie króciec, pniak, na którym zabito z tysiąc kurcząt, pług stojący w otwartej szopie, żłób zawieszony u krokwi.

Dzieci po domach stłoczyły się wokół kobiet. Co teraz będzie, mamó? Dokąd pójdziemy?

Kobiety odpowiadały: Nie wiem jeszcze. Idźcie na dwór i bawcie się. Tylko nie kręćcie się koło ojca. Jak podejdziecie za blisko, możecie oberwać. I wróciły do swojej roboty, wciąż zerkając na mężczyzn przykucniętych w piasku, strapionych i zamyślonych.

Na drogi i pola wyległy ciągniki – wielkie płazy poruszające się niczym owady i obdarzone niewiarygodną jak na owady siłą. Pełzły po ziemi, torując sobie szlak i posuwając się wciąż naprzód. Kiedy ciągniki stały, słyszeć było tylko przyciszone pykanie ich silników, zmieniające się w grzmot, gdy ruszały z miejsca, i przechodzące stopniowo w głuchy warkot. Potwory wzbijające kurz i nurzające w nim swe pyski pełzły polami na przełaj, przez płoty i podwórza, staczając się w rozpadliny i wydostając z nich, wciąż naprzód po prostej, jak strzeł. Posuwały się po drodze, którą same sobie torowały. Nie zważały na wzgórza i parowy, strumienie, płoty, domostwa.

Człowiek na żelaznym siodelku niepodobny był do człowieka: w rękawicach, w okularach ochronnych, w gumowej masce osłaniającej od kurzu nos i usta był jedną z części składowych potwora – robotem na żelaznym siodelku. Grzmot cylindrów silnika rozbrzmiewał na całą

okolicę, udzielał się powietrzu i ziemi, które wtórowały mu drzeniem i pomrukiem. Kierowca nie był panem ciągnika, który parł wciąż naprzód na przelaj tam i z powrotem, równając z ziemią dziesiątki gospodarstw. Jeden ruch rąk na kierownicy, a maszyna mogła skrócić, lecz kierowcy nie stać było na ten ruch, potwór bowiem, który ciągnik zbudował, potwór, który go wysłał, zaczarował jakby dłonie kierowcy, jego mózg i mięśnie, spętał go i nałożył mu kaganiec, obezwładnił umysł, narzucił hamulec mowie, stępił dar spostrzegania, uczynił go niezdolnym do jakiegokolwiek protestu. Nie widział on ziemi takiej, jaką była, nie czuł jej zapachu; nie wyczuwał stopami jej brył, nie owiewało go jej ciepło, nie ogarniała jej potęga. Siedział na żelaznym siodełku i naciskał żelazne pedały. Nie mógł ani zagrzewać i zachęcać, ani bić i przeklinać sił, którymi kierował, i dlatego nie był w stanie pokrzepiać ani smagać, ani kląć, ani podniecać samego siebie. Nie znał ziemi, nie miał jej na własność, nie ufał jej, nie błagał jej o plony. Gdyby rzucone ziarno nie wzeszło, byłoby mu to obojętne. Gdyby kiełkujące zboże zwiędło z powodu suszy lub zostało splukane deszczem, dla kierowcy znaczyłoby to nie więcej niż dla jego ciągnika.

On nie kochał ziemi, tak jak nie kochał jej bank. Mógł podziwiać ciągnik, obróbkę mechaniczną jego części, moc jego zrywu, ryk silnika, ale nie była to jego maszyna. Za ciągnikiem toczyły się błyszczące tarcze tnące ostrzami ziemię, nie była to jednak orka ziemi, lecz jej chirurgiczne krajanie. Pierwszy rząd tarcz odrzucał skiby na prawo, drugi na lewo, tnące ostrza lśniły w słońcu, wypolerowane ziemią, którą cięły. Za tarczami wlokły się brony czeszące rolę żelaznymi zębami; małe grudki rozsypywały się, tworząc gładką powierzchnię. Za bronami siewnik dwunastorzędowy – dwanaście żelaznych wygiętych w łuk, wykonanych w odlewni przewodów siewnych, sterowanych przekładniami ciągnika, gwałcących i zapładniających ziemię metodycznie, bez cienia pasji. Kierowca na żelaznym siodełku dumny był z prostych zagonów, które krajał, nie wkładając w to duszy, pysznił się ciągnikiem, który nie był jego własnością i którego nie kochał, pysznił się siłą, nad którą nie panował. A gdy wreszcie plony dojrzały i zostały zebrane, nikt nie kruszył w dłoni ciepłej grudki ziemi, nikt nie przesiewał jej przez palce. Nikt nie dotykał ziarna, nikt nie pragnął gorąco, by obrodziło. Ludzie jedli to, czego nie zbierali, nie czując związku z chlebem. Ziemia rodziła pod żelazem i pod żelazem stopniowo

zamierała, bo nie była ani kochana, ani nienawiedzona, bo nie słyszała ani modlitw, ani przekleństw.

W południe ciągnik zatrzymywał się niekiedy w pobliżu zagrody któregoś z dzierżawców i kierowca rozpakowywał swój obiad: kanapki zawinięte w papier pergaminowy: biały chleb, pikle, ser, szynkę, kawałek placka ze znakiem fabrycznym, niby część maszyny. Jadł bez przyjemności. A pozostający wciąż jeszcze na miejscu dzierżawcy wychodzili, żeby przyjrzeć się z zaciekawieniem, jak wygląda bez okularów i gumowej maski, które pozostawiły białe koliste ślady wokół jego oczu i wielkie białe koła wokół nosa i ust. Rura wydechowa ciągnika pykała bez przerwy, bo ropa jest tak tania, że bardziej opłaca się nie wyłączać silnika niż rozgrzewać go na nowo. Wokoło ciągnika tłoczyły się zaciekawione dzieci, obdarte dzieciaki, które przyglądając się, gryzły podpłomyki. Rzucali wygłodzone spojrzenia na kanapki rozwijane z papieru, a noski ich, zaostrzone z głodu, wciągały woń pikli, sera i szynki. Nie odzywały się do kierowcy, wpatrzone w jego rękę podnoszącą do ust jedzenie. Nie patrzyły, jak żuje, wzrok ich był przykuty do dłoni, w której trzymał kanapkę. Po chwili wyszedł dzierżawca, który nie mógł się zdobyć na opuszczenie swej zagrody, i przysiadł w cieniu obok ciągnika.

– Patrzcie, toć to chłopak Joego Davisa.

– A ja! – odpowiedział kierowca.

– I cóż, ile ci płacą za taką robotę przeciwko swoim?

– Trzy dolary dziennie. Bokiem mi już wylazła harówka na obiad, którego i tak nie było. Mam żonę i dzieci. Musimy jeść. A tu trzy dolary dziennie, i to co dzień.

– To prawda – potwierdził dzierżawca. – Ale przez te twoje trzy dolary dziennie, piętnaście albo i dwadzieścia rodzin nie ma co włożyć do gęby. Bez mała setka ludzi musiała porzucić domy i błąka się po drogach przez te twoje trzy dolary. Czy to sprawiedliwe?

Na to kierowca:

– To nie moja rzecz. Muszę myśleć o własnych dzieciach. Trzy dolary dniówki to jest coś. Inne teraz czasy, mój panie, nie wiecie o tym? Jak kto nie ma dwóch, pięciu albo i dziesięciu tysięcy akrów i nie stać go na ciągnik, to się na roli nie utrzyma. Gospodarka na wsi to już nie dla

takich jak my dziadów. Nie robicie przecie piekła o to, że nie możecie fabrykować fordów, ani o to, że nie jesteście spółką telefoniczną. Ano, to samo jest teraz z gospodarką na wsi i na to nic się nie pomoże. Jedyna rada to starać się gdzieś o te trzy dolary dniówki.

Dzierżawca medytował na głos:

– Dziwne to jakieś wszystko. Człowiek ma ziemi tyle, co kot napłakał, a przecież ta ziemia i on to jedno, to jakby kawałek jego samego, bo bez niej nie jest sobą. Kiedy ma ziemi tylko tyle, że może po niej chodzić, uprawiać ją własnymi rękami, frasować się, kiedy coś nie dopisze, radować, kiedy deszczu jest dosyć, wtedy ta własna ziemia to on sam i przez to czuje się jakoś większy, bo przecież to własny kawałek gruntu. I niechby mu nawet nie bardzo się wiodło, to i tak czuje się pewniej. Tak to już jest.

Myślał głośno dalej:

– Ale niech ma posiadłość, której nigdy na oczy nie oglądał i nie przyłożył do niej ręki ani po niej chodził, wtedy majątek bierze górę nad człowiekiem. Nie robi on już wtedy tego, co chce, ani nie myśli tak, jak chce. Ten majątek jest wówczas panem silniejszym od niego. A człowiek staje się mały. Tylko jego dobra są wielkie, a on jest ich sługą. Tak to już jest.

Kierowca żuł placek, na którym był nalepiony znak fabryczny, i wypłukał skórę.

– Cząsy się zmieniały, nie wiecie? Takimi myślami nie nakarmicie dzieci. Starajcie się o te trzy dolary na dzień, żeby mieć dzieciom co do gęby włożyć. I nie ma się co troszczyć o cudze bachory, kłopotcie się o własne. Jak będziecie wygadywać podobne rzeczy, zepsujecie sobie opinię i nigdy nie dostaniecie tych trzech dolarów. Żaden z tych wielkich nie da wam zarobić, jeśli będziecie myśleć o czymś innym poza waszymi trzema dolarami dniówki.

– Prawie setka ludzi błąka się po drogach przez te twoje trzy dolary. Gdzie się podziejemy?

– Dobrze, żeście mi przypomnieli – odpowiedział kierowca. – Lepiej wynoście się co prędzej. Po obiedzie wjadę w wasze obejście.

– Zasypaliście dziś rano studnię.

– Wiem o tym. Muszę jechać prosto i nie zbaczać. A jak zjem obiad, przejadę się przez wasze podwórze. Muszę uważać, żeby linia była prosta. I jeszcze coś: znaliście mojego starego, Joego Davisa, to wam powiem.

Zapowiedziano mi, że jak się która rodzina nie wyniesie z dobrej woli, to jak się coś przydarzy... no, wiecie, jak podjadę za blisko i wyrnę w chałupę, to dostanę za to parę dolarów. A mój najmłodszy dzieciak jeszcze nigdy nie miał bucików.

– Zbudowałem ten dom własnymi rękami. Prostowałem stare gwoździe, żeby przybić dach. Przywiązywałem drutem krokwie do belek. To mój dom. Sam go stawiałem. Spróbujcie go zwalić ciągnikiem, a będę na was czekał w oknie z fuzją. Zbliźcie się tylko, zastrzelę was jak królika.

– A cóżem ja winien? Nic na to nie poradzę. Nie zrobię tego, to stracę robotę. I weźcie na rozum: dajmy na to, że mnie zabijecie. Powieszą was po prostu, ale zanim będziecie wisieli, inny gość siądzie na ciągnik i wyrznie w wasz dom. Nie zabijecie tego, co zawinił.

– To prawda – zgodził się dzierżawca. – Ale kto wydał wam taki rozkaz? Już ja go znajdę. To jego trzeba zabić.

– Nie macie racji, ten ktoś dostał rozkaz z banku. Bank dał mu polecenie: „Wypędź tych ludzi, bo stracisz pracę”.

– No więc, jest jakiś prezes tego banku. Jest jakiś zarząd. Nabiję fuzję i pójde do banku.

Na to kierowca:

– Mówił mi jeden gość, że bank otrzymuje zlecenia z Nowego Jorku. Dostał takie polecenie: „Zróbcie tak, żeby ziemia dawała zyski, bo inaczej zamkniemy bank”.

– Ale gdzież jest koniec tego łańcucha? Kto zasługuje na kulę? Zanim zdechnę z głodu, muszę zakatrupić człowieka, który mnie chce zagłodzić.

– Nie wiem. Może i nie ma nikogo takiego. Może to wcale nie człowiek jest wszystkiemu winien. Może macie rację, mówiąc, że za to odpowiedzialna jest własność. Tak czy owak, powiedziałem wam, co muszę zrobić.

– Trzeba się nad tym namyślić – orzekł dzierżawca. – Musimy się wszyscy zastanowić. Jest chyba jakaś rada. Przecież to nie piorun ani nie trzęsienie ziemi. Skrzywdzili nas ludzie, ale przecież, na Boga, można to zmienić.

Dzierżawca usiadł w progu swego domu, silnik zagrzmiał i kierowca ruszył ciągnikiem. Gąsienice opuszczały się ku ziemi i znowu sunęły

w górę, brony cesały glebę, przewody siewnika wślizgiwały się w rolę. Ciągnik przeciął podwórze i oto twarda, udeptana ziemia stała się obsianym polem. Potem maszyna przejechała raz jeszcze i pozostał już tylko pas nietkniętej przestrzeni szerokości dziesięciu stóp. I znów powróciła. Żelazny przód potwora uderzył w róg domu, rozwalił ścianę i wyrwał chatę z fundamentów, tak że upadła na bok, zgnieciona jak robak. Kierowca miał oczy osłonięte okularami, a gumowa maska zakrywała mu nos i usta. Ciągnik parł po linii prostej, powietrze i ziemia drżały od jego warkotu. Dzierżawca patrzył za nim, trzymając fuzję w ręku. Obok niego stała żona, za nią milczące dzieci. I wszyscy odprowadzali wzrokiem ciągnik.

Rozdział 6

Wielebny Casy i Tom stali na wzgórzu i patrzyli w dół na zagrodę Joadów. Mały niemalowany domek był zmiażdżony w jednym rogu i zepchnięty z fundamentów, tak że przechylił się na bok, spozierając ślepymi oknami gdzieś w niebo nad widnokreślem. Płoty znikły, na podwórzu, przy chacie i wokoło stodoły rosła bawełna. Szopa była zwalona na bok i również obrosnięta bawełną. Na miejscu podwórza, twardo ubitego stopami dzieci, kopytami końskimi i szerokimi kołami wozu, krzewiła się na uprawnej teraz ziemi ciemnozielona, pokryta kurzem bawełna. Młody Joad patrzył długo na wynędzniałą wierzbę nad suchym korytem, w którym pojono konie, i na cementowy fundament, gdzie dawniej stała pompa.

– Do stu piorunów! – odezwał się wreszcie. – Musiało się tu przewalić piekło. Toż tam nie ma żywej duszy.

Szybkim krokiem ruszył w dół, a Casy za nim. Joad zajrzał do opuszczonej stodoły: na ziemi i w rogu, w przegrodzie dla muła, leżało trochę sieczki. W chwili gdy zajrzał, rozległ się szelest i cała rodzina myszy znikła pod słomą. Joad zatrzymał się chwilę na progu komórki, gdzie przechowywano narzędzia – była prawie pusta. Został tylko złamany lemiesz od pługa, w rogu splątany kłęb drutu do wiązania siana, żelazne koło od grabiarki, chomąto muła pogryzione przez szczury, płaska bańka na oliwę, zatłuszczona i oblepiona brudem, i podarty kombinezon wiszący na gwoździu.

– Nic nie zostało – stwierdził Joad. – Mieliśmy ładne narzędzia. Nie zostało nic.

Casy odezwał się:

– Gdybym był jeszcze pastorem, powiedziałbym, że uderzyło karzące ramię Pana. Ale nie wiem, co się stało. Nie było mnie tu. I o niczym nie słyszałem.

Poszli w kierunku cementowego fundamentu studni, po zaoranej ziemi, wśród krzaczków bawełny, na których tworzyły się już włochate kulki.

– Tutaj nigdy nie sialiśmy nic – powiedział Joad. – Ten kawałek zawsze pozostawał nietknięty. No, a teraz nie można tu wprowadzić konia, bo stratowałby bawełnę.

Przystanęli koło pustego koryta na wodę. Znikły chwasty, które zwykle rosły pod nim, stare grube drewno koryta rozeschło się i popękało. Z płyty sterczały sworznie, podtrzymujące kiedyś kadłub pompy, gwinty były zardzewiałe i brak im było nakrętek. Joad zajrzał w ciemny otwór studni, splunął w głąb i nasłuchiwał. Potem rzucił grudkę ziemi i znowu nastawił ucha.

– Dobra była studnia – powiedział. – Ale nie słyszę wody. – Zdawał się ociągać z pójściem w kierunku domu. Rzucił do studni jedną grudkę ziemi za drugą. – Może wszyscy wymarli – zastanawiał się. – Ale ktoś by mi o tym powiedział. Coś by do mnie przecież doszło.

– Mogli zostawić list albo jakąś wiadomość w domu. A czy wiedzieli, że wychodzicie na wolność?

– Nie wiem – odpowiedział Joad. – Nie, chyba nie. Tydzień temu sam jeszcze nie wiedziałem o tym.

– Zajrzyjmy do domu. Poharatany jest na amen. Coś w niego wyrznęło jak wszyscy diabli.

Podeszli z wolna do rozwalonego budynku. Dwa słupki podtrzymujące daszek ganku zostały wyrwane i dach opadł z jednej strony. Róg domu wgnieciony był do środka. Poprzez masę strzaskanego drewna widać było narożny pokój. Drzwi frontowe stały otworem, chyląc się do środka, a niska, mocna krata u wejścia zwieszała się na zewnątrz na skórzanych zawiasach.

Joad stanął na stopniu z grubej belki.

– To jest próg – westchnął. – Ale ich nie ma... albo matka nie żyje. – Wskazał palcem zwisającą kratę. – Gdyby matka była gdzieś w pobliżu, krata byłaby zamknięta i zaczepiona na haczyk. Matka zawsze dbała o to, żeby krata nie zostawała otwarta. – Oczy Toma nabrały ciepłego blasku. – To od czasu jak świnia wdarła się do Jacobsów i pożarła im dziecko. Milly Jacobs wyszła na chwilę do stodoły. Gdy wróciła, świnia jeszcze je żarła. No a Milly chodziła wtedy z drugim dzieckiem i oszalała. Nigdy już do zdrowia nie wróciła. Zawsze była odtąd pomyłona. Ale matka

wyciągnęła z tego naukę. Nigdy więcej nie zostawiała tej kraty otwartej, chyba że była w domu. Nigdy nie zapominała o tym. Nie... oni wywędrowali gdzieś... albo nie żyją...

Wdrapał się na zniszczony ganek i zajrzał do kuchni. Szyby były powybijane, na podłodze leżały kamyki wystrzelone z procy, pochylone ściany odstawały od drzwi, na deskach osiadł kurz. Joad wskazał kamyki i potłuczone szkło.

– Bachory – powiedział. – Lecą dwadzieścia mil, byle móc wybić szybę. Sam to robiłem. Zaraz zwęszą, że dom pusty. To pierwsza rzecz, jaką robią dzieciaki, kiedy się ktoś wprowadzi.

Kuchnia była ogołocona ze sprzętów, piec zniknął, a przez okrągły otwór w ścianie wpadało urwaną rurą światło. Na półce nad zlewem leżał stary korkociąg i złamany widelec bez drewnianej rączki. Joad wśliznął się ostrożnie do izby, podłoga jęknęła pod jego ciężarem. Pod ścianą leżał stary egzemplarz filadelfijskiego czasopisma „Ledger” o pożółkłych i pozawijanych stronicach. Joad zajrzał do sypialni – ani łóżek, ani krzeseł – nic. Na ścianie wisiał kolorowy obrazek przedstawiający Indiankę, z napisem „Czerwone Skrzydło”. O ścianę oparta była deska z łóżka, w rogu pokoju leżał porzucony wysoki damski bucik zapinany na guziki, wykrzywiony i złamany na podbiciu. Joad podniósł go i przyjrzał mu się.

– Pamiętam dobrze – powiedział. – To bucik matki. Całkiem już zniszczony. Bardzo lubiła te buciki. Nosiła je całe lata. No tak, wynieśli się stąd i zabrali ze sobą wszystko.

Słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi, aż wreszcie ukośne promienie padły na pochylone okna i zabłyśły na krawędziach potłuczonych szyb. Joad zawrócił, wyszedł i przeszedł przez ganek. Usiadł na jego skraju, opierając boscie stopy na drewnianym schodku. Na pola kładło się światło wieczorne, krzaczki bawełny i nastroszona wierzba rzucały na ziemię długie cienie.

Casy usiadł obok Joad.

– Nigdy do was nie pisali? – zapytał.

– Nie. Mówiłem już, że do pisania nie byli skorzy. Ojciec jest piśmienny, ale nie lubi pisać. Ciarki go przechodziły na samą myśl o tym. Jakieś zamówienie z cennika potrafił wypisać lepiej niż niejeden z sąsiadów, ale za żadne skarby nie usiadłby do pisania listu.

Siedzieli ramie przy ramieniu, wpatrzeni w dal. Joad położył zwiniętą marynarkę na ganku przed sobą. Skręcił papierosa, wygładził go i zapalił, zaciągając się mocno i wypuszczając dym nosem.

– Coś tu się stało – powiedział. – Nie umiem się w tym wyznać. Czuję, że to coś diabelnie złego. Rozwalony dom, rodziny nie ma...

– O, tam ciągnął się rów, w którym was chrzcilem – wskazał palcem Casy. – Nie był z was zły chłopak, tylko uparty. Uczepiliście się wtedy warkocza tej małej, niczym buldog. Ochrzciłem was już oboje w imię Ducha Świętego, a wy wciąż nie puszczaście tego warkocza. Stary Tom powiedział: „Przytrzymajcie go pod wodą”. Wepchnąłem wam łepetynę pod wodę i trzymałem, aż zaczęliście puszczać bańki, i dopiero wtedy udało się nam oderwać was od warkocza. Nie, chłopak był z was niezły, tylko uparty. Czasem taki mały uparciuch wyrasta na ludzi.

Ze stodoły wymknął się chudy szary kot i przekradał się pomiędzy krzaczkami bawełny w kierunku domu. Wskoczył bezszelestnie na ganek i przyczołgał się na brzuchu do siedzących mężczyzn. Wybrał sobie miejsce między nimi, za ich plecami, i usiadł z wyprostowanym równo na podłodze ogonem, którego sam tylko koniuszek poruszał się z lekka. Siedział i wraz z ludźmi patrzył w dal.

Joad, odwracając się, spostrzegł go.

– Jak Boga kocham, patrzcie, kto tu jest. Ktoś jednak został.

Wyciągnął rękę, ale kot dał susa, usiadł poza jej zasięgiem i zaczął lizać poduszcзки podniesionej łapy. Joad przyglądał mu się, na jego twarzy odmalował się wyraz zastanowienia.

– Wiem już! – zawołał. – Ten kot pomógł mi zgadnąć, co tu się stało.

– Zdaje mi się, że dużo złego – stwierdził Casy.

– Nie, nie więcej tu niż gdzie indziej. Czemu ten kot nie wyniósł się do któregoś z sąsiadów? Choćby do Rance'ów? Jak to się stało, że nikt nie ukradł jeszcze desek z tego domu? Od trzech czy czterech miesięcy nie ma tu nikogo i nikt nie buchnął desek. Porządne deski w stodole, mnóstwo dobrych desek w domu, ramy okienne – i nikt niczego nie tknął. Coś tu jest nie w porządku. I to mnie właśnie gnębiło, bo nie mogłem sobie tego wytłumaczyć.

– No dobrze, ale coście wymyślili?

Casy schylił się, zsunął z nóg płócienne pantofle i poruszał długimi palcami nóg wspartych o schodek.

– Nie wiem sam dobrze. Wygląda na to, jakby wszyscy sąsiedzi wyjechali. Gdyby któryś pozostał, nie byłoby tu tych porządných desek. Do pioruna! Swego czasu Albert Rance zabrał rodzinę, bachory i psy na święta Bożego Narodzenia do Oklahomy. Wybrali się w odwiedziny do krewnych. Ludzie myśleli, że Rance wyniósł się cichaczem na dobre, że może miał długi, a może jakieś porachunki z babami. Kiedy wrócił po tygodniu, nie zastał w domu nic, ani pieca, ani łóżek, ani ram w oknach. Znikła nawet część belek z południowej ściany domu, tak że dziura była w niej na przestrzał. Nadjechał w chwili, kiedy Muley Graves zabierał właśnie drzwi i pompę od studni. Dwa tygodnie objeżdżał Albert wszystkich sąsiadów i odbierał swoje rzeczy.

Casy drapał z upodobaniem palce u nóg.

– I nikt nie wzbraniał się? Oddali mu, co wzięli?

– Rozumie się. Oni przecież nie kradli. Myśleli, że zostawił wszystko, więc po prostu zabrali, co się dało. Odebrał wszystkie rzeczy z wyjątkiem aksamitnej poduszki z kanapy, na której był wyhaftowany Indianin. Albert czepiał się o nią dziadka. Mówił, że dziadek ma w sobie krew indiańską i dlatego chce mieć tego Indianina. Ano, dziadek rzeczywiście wzięł poduszkę, ale diabła go tam obchodził jakiś haft. Podobała mu się, i tyle. Nosił ją zawsze ze sobą i podkładał pod tyłek, gdzie tylko usiadł. I za nic nie chciał jej oddać Albertowi. „Jeżeli Albert tak bardzo chce mieć tę poduszkę – mawiał – niech po nią przyjdzie. Ale radzę mu wziąć fuzję, bo jak mnie będzie nudził, strącę mu z karku ten jego paskudny łeb”. Toteż Albert machnął w końcu ręką i zrobił dziadkowi prezent z poduszki. A staremu strzeliło do głowy coś nowego. Zaczął zbierać pióra kurcząt. Mówił, że robi sobie pierzynę na łóżko. Ale nic z tego nie wyszło. Któregoś dnia ojciec wpadł pod domem na śmierdziela. Tak się wściekł, że wyrznął zwierzaka deską, a mama musiała potem spalić całe pierze dziadka, żeby wypędzić smród, bo nie moglibyśmy w domu wytrzymać.

– Joad parsknął śmiechem. – O, z dziadka był kawał drania! Siadał na tej poduszce z Indianinem i mawiał: „Niech tylko Albert przyjdzie mi ją zabrać. Złapię tego szczeniaka i wykręcę jak parę gaci”.

Kot znowu zbliżył się do siedzących i wśliznął pomiędzy nich. Ogon jego spoczywał na ziemi, wąsy od czasu do czasu drgały. Słońce opuściło się nisko na skraj widnokręgu, powietrze nasycone kurzem przybrało

czerwonożłocisty odcień. Kot wysunął pytająco szarą łapkę i dotknął zwiniętej marynarki Joad. Ten obejrzał się.

– O, do diabła! Zapomniałem na śmierć o żółwiu. Nie mam zamiaru taszczyć go wiecznie z sobą.

Odwinął żółwia i wepchnął pod dom. Ale po chwili żółw wylazł stamtąd i ruszył na południowy zachód, w tym samym kierunku co przedtem. Kot skoczył ku niemu, rzucił się na wysunięty łebek i zaatakował poruszające się nóżki. Stara, uparta, śmieszna główka znikła w jednej chwili pod skorupą, a za nią gruby ogon. Gdy kot zmęczony czatowaniem oddalił się, żółw ruszył znowu w kierunku południowo-zachodnim.

Młody Tom Joad i pastor patrzyli, jak posuwa się przebierając łapkami i dźwigając ciężki, wypukły pancerz. Przez pewien czas kot skradał się za nim, ale niebawem wygiął grzbiet w łuk, ziewnął i wrócił ukradkiem do siedzących mężczyzn.

– Dokąd on tak, do diabła, lezie, jak myślicie? – zastanawiał się Joad. –

Sporo żółwi widziałem w życiu i zawsze dokądś wędrowały. Wygląda na to, że chcą koniecznie gdzieś dojść.

Szary kot usadowił się znowu między ludźmi, za ich plecami, mrużąc oczy. Raz po raz drgała mu i stopniowo wygładzała się znowu drażniona przez pchły skóra na grzbiecie. Podniósł łapkę i obejrzał ją, wysuwając i chowając jak gdyby na próbę pazury, a potem zaczął lizać poduszeczki łapek różowym jak muszelka językiem. Czerwone słońce dotknęło widnokręgu i rozpostarło się jak meduza, niebo powyżej zdawało się lśnić jaśniejszym i żywszym blaskiem. Joad rozwinął marynarkę, wyjął swoje nowe żółte trzewiki i nałożył je, wytarłszy przedtem dłonią zakurzone stopy.

Pastor, ze wzrokiem utkwionym ponad polami, odezwał się:

– Ktoś tu idzie. Patrzcie! Tam, w dole, na przełaj przez bawełnę.

Joad spojrzał w kierunku, gdzie wskazywał palcem Casy.

– Ktoś idzie – potwierdził. – Taki kurz podnosi, że nie można go dojrzeć. Kto to, u diabła, może być?

Nie odrywali oczu od postaci zbliżającej się w wieczornym świetle. Zachodzące słońce malowało czerwienią obłok pyłu wzbijany przez wędrowca.

– Mężczyzna – zawyrokował Joad.

Przybysz zbliżał się coraz bardziej, a gdy mijał stodołę, Joad powiedział:

– O, wiem już, kto to jest. I wy go znacie, to Muley Graves. – I krzyknął:
– Hej, Muley! Jak się masz?!

Przybysz stanął spłoszony okrzykiem, a potem ruszył szybko naprzód. Był to mężczyzna chuderlawy i niewysoki, o ruchach gwałtownych i prędkich. Niósł w ręku torbę z grubego płótna. Jego dżinsy były wyblakłe na kolanach i na siedzeniu, stara czarna marynarka – brudna i poplamiona. Rękawy jej, powyrywane z tyłu na ramionach, świeciły na łokciach wystrzępionymi dziurami. Gdy szedł, na czarnym kapeluszu, równie wypłamionym jak marynarka, trzepotała na wpeł odpruta wstążka. Muley miał twarz gładką i bez zmarszczek, było w niej coś z zaczepnego wyrazu złośliwego dziecka. Usta miał nieduże i zaciśnięte, a małe oczka chmurne i zagniewane.

– Pamiętacie Muleya? – zapytał cicho Joad.

– Kto tam jest?! – zawołał zbliżający się mężczyzna. Joad nie odpowiedział. Muley musiał podejść bardzo blisko, zanim rozpoznał twarz. – Niech mnie diabli porwą! – wykrzyknął. – Toż to Tommy Joad. Kiedy cię wypuścili, Tommy?

– Dwa dni temu – odpowiedział Joad. – Trzeba było trochę czasu, zanim dostałem się do domu. I patrz, co tu zastałem. Gdzie są moi, Muley? Dlaczego dom jest rozwalony, a na podwórzu rośnie bawełna?

– Szczęście, jak Boga kocham, że przechodziłem tędy! – zawołał Muley. – Stary Tom zamartwiał się. Siedziałem tu w kuchni, kiedy postanowili, że wyjadą. Powiedziałem właśnie Tomowi, że ani myślę się stąd wynosić, a on na to: „Martwię się o Tommy’ego. Przypuśćmy, że wróci i nie zastanie tu nikogo. Co sobie wtedy pomyśli?”. A ja powiadam: „Czemu nie napiszecie do niego?”. A Tom na to: „Może i napiszę. Pomyślę nad tym. Ale gdybym nie napisał, a ty będziesz się tu kręcił, to uważaj, czy nie zjawi się Tommy”. „Będę tutaj – powiadam – zostanę, póki piekło nie zamarznie. Nie znajdzie się nikt, co by potrafił wygrzyźć stąd takiego, co się nazywa Graves”. I nikomu się to do dziś nie udało.

Joad przerwał niecierpliwie:

– Gdzie oni są teraz? O tym, jak się nie dałeś, opowiesz później, a teraz gadaj, gdzie są moi?

– Ano musieli się wynieść, kiedy bank postanowił zaorać wszystko ciągnikami. Twój dziadek stanął tu z fuzją i strzaskał kulami reflektory traktora, ale to i tak nic nie pomogło. Dziadek nie chciał ukatrupić gościa,

który prowadził traktor, bo to był Willy Feeley. Willy wiedział o tym, no i jechał dalej. Rąbnął w dom jak wszyscy diabli. Potrzęsnał chałupą jak pies szczurem. W Toma jakby piorun strzelił. Tak go wzięło, że od tego czasu jest jakby nie ten sam.

– Ale gdzie oni są? – spytał Joad gniewnie.

– Przecie ci mówię. Trzy razy obrócili wozem stryja Johna, zabrali piec, pompę i łóżka. Trzeba ci było widzieć te łóżka, a na nich dzieci, babkę i dziadka, no i twojego brata Noaha z papierosem w zębach, jak sfluwał z wozu na ziemię.

Joad otwierał już usta, gdy Muley dodał szybko:

– Wszyscy są u stryja Johna.

– Aha. Wszyscy u Johna. No, dobrze, ale co oni tam robią? Tylko nie zaczynaj gadać o czym innym, Muley. Trzymaj się już jednego. Za chwilę będziesz mógł sobie pleść po swojemu. Co oni tam robią?

– Ano wszyscy pracowali przy zbiorze bawełny. Wszyscy, nawet dzieci i dziadek. Ciulają pieniądze, bo chcą wyruszyć na zachód. Chcą kupić samochód i wyjechać. Na zachodzie ponoć łatwiej o zarobek. Tu bieda z nędzą. Pięćdziesiąt centów od akra za zbieranie bawełny, i to jeszcze ludzie żebrzą o robotę.

– Ale jeszcze nie wyjechali?

– Nie – odpowiedział Muley. – Przynajmniej nic o tym nie wiem. Ostatnią wiadomość o nich miałem cztery dni temu, bo spotkałem twojego brata, Noaha, jak polował na dzikie króliki. Mówił, że wybierają się w drogę za jakieś dwa tygodnie. Stryj John też otrzymał zawiadomienie, że ma się wynosić. Najlepiej będzie, jak się przejdiesz te osiem mil do Johna. Znajdziesz tam swoich; siedzą na kupie jak krety zimujące w norze.

– Dobra – oświadczył Joad. – Teraz możesz gadać, co ci ślina na język przyniesie. Nie zmieniłeś się ani trochę, Muley. Jak masz opowiedzieć o czymś, co się zdarzyło u Pawła, zawsze zaczynasz od Gawła.

Muley najeżył się.

– Tyś się też nie zmienił; zawsze odstawiałeś chojraka i teraz znowu zadzierasza nosa. Nie będziesz mnie chyba uczył, jak mam żyć, co?

Joad uśmiechnął się.

– Ani mi się śni. Jak ci się zechce wsadzić łeb w kupę tłuczonego szkła, to zrobisz swoje. Ale prawda, znasz chyba naszego pastora? Wielebny Casy.

– No, pewnie. Tylko mu się nie przyjrzałem. Pamiętam go dobrze.

Casy wstał i mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

– Cieszę się, że was znowu zobaczyłem – powiedział Muley. – Ładny kawał czasu nie było was tu widać.

– Włóczyłem się po świecie, łamiąc głowę nad tym i owym – odpowiedział Casy. – Ale co się tu dzieje? Dlaczego wypędzają ludzi z ziemi?

Usta Muleya zacisnęły się tak mocno, że pośrodku górnej wargi utworzył się jakby mały papuzi dziób, sterczący nad dolną wargą. Zasepił się.

– Skurwysyny! – zaklął. – Skurwiele zasrane! Mówię wam, że ja tu zostanę. Nie pozbędą się mnie. Jak mnie wyrzucą, to i tak wrócę. A jak im się zdaje, że się uspokoję pod ziemią, to się mylą. Zabiorę sobie do kompanii na tamten świat ze dwóch, trzech skurwysynów. – Poklepał się po bocznej kieszeni marynarki, którą obciągał jakiś ciężki przedmiot. – Nie pójdę stąd. Mój ojciec przywędrował tu przed pięćdziesięciu laty. I ja się stąd nie ruszę.

– I co to za kalkulacja, żeby ludzi wypędzać z ziemi? – zastanawiał się Joad.

– O, takie dranie potrafią wszystko pięknie wytłumaczyć. Sam wiesz, jakie ostatnio mieliśmy lato. Przychodził kurz i niszczył wszystko; człowiek nie zebrał z pola nawet tyle, żeby wystarczyło na zatkanie gęby mrówce. Każdy był zadłużony w sklepiku po uszy. Sam wiesz, jak to bywa. No więc, ci ludzie, do których należy ziemia, powiadają: „Nie stać nas na utrzymanie dzierżawców”. I jeszcze mówią: „To, co dzierżawca zabiera ze zbiorów, to właśnie nasz zysk, którego nie możemy tracić”. I wymędrkowali: „Jeśli skomasujemy wszystkie nasze grunta, to i tak ziemia zaledwie się nam opłaci”. No i wyparli ciągnikami wszystkich dzierżawców z gospodarstw. Wszystkich, z wyjątkiem mnie. I, jak Boga kocham, nie pójdę stąd. Znasz mnie, Tommy. Znamy się od dziecka.

– Święta racja – przytaknął Joad. – Znamy się od dziecka.

– No to wiesz, że nie jestem wariat. Prawda, że ziemia tu kiepska. Zawsze nadawała się tylko na pastwiska. Nie trzeba jej było tykać pługiem. A teraz bawełną wykończą ją do reszty. Gdyby tylko dranie nie kazali mi się wynosić, kto wie, może bym już teraz był w Kalifornii, opychał się winogronami i zrywał pomarańcze. Ale te cholery mówią, że mam iść precz. Do diabła! Człowiek nie może odchodzić, bo mu tak każą.

– Pewno – zgodził się Joad. – Że też ojciec dał się tak łatwo ruszyć z miejsca. Dziwna rzecz, że dziadek nikogo nie zakatrupił. Nie urodził się jeszcze taki, co by dziadka za nos wodził. A i matka nie dała sobie nigdy w kaszę dmuchać. Widziałem na własne oczy, jak kiedyś uczyła rozumu wędrownego handlarza. Waliła go żywym kurczakiem, bo ośmielił się z nią spierać. Kurczę trzymała w jednej ręce, a w drugiej siekierę – właśnie miała uciąć mu łeb. Chciała rąbnąć handlarza siekierą, ale ręce jej się pomyliły i jak nie wyrznie go kurczakiem! Z kurczaka naturalnie po tym wszystkim pociechy nie było. Matce zostały w ręku dwie łapki. Dziadek tak się śmiał, że aż mu noga ze stawu wyskoczyła. Że też teraz tak łatwo ustąpili!

– Ano, gość, co się tu kręcił, był słodki jak miód. „Musicie się wynosić. To nie moja wina”. „Dobrze – powiadam – a czyja? Już ja winnego dopadnę i wypruję mu flaki”. „To Spółka Rolniczo-Hodowlana w Shawnee. Ja mam tylko rozkaz”. „A kto to taki ta Spółka Rolniczo-Hodowlana?”. „No, nikt specjalnie. Spółka”. Od tego wszystkiego kręćka można dostać. Nie ma nikogo i nie ma komu dać po łbie. Toteż niejeden chłop miał dosyć tego wypatrywania, na kogo by tu wyrzucić złość. Ale ja nie z takich. Wściekły jestem na wszystko jak cholera. I zostaję tu.

Ostatnia czerwona kropla słońca jak gdyby ociągała się nad widnokregiem, aż wreszcie zapadła się i znikła. W miejscu tym niebo lśniło jasnością, a nieco wyżej poszarpana chmura zawisała niby krwawy łachman. Od wschodu zmrok skradał się z horyzontu na niebo, a na ziemię spływały ciemności. Gwiazda wieczorna zabłysła i płonęła wśród mroku. Szary kot przekradł się ku otwartej stodole i zniknął w niej jak cień. Joad odezwał się:

– No cóż, nie pomaszerujemy chyba tych osiem mil do wuja Johna po nocy. Nóg już nie czuję. Co ty na to, żebyśmy poszli do ciebie, Muley. To nie dalej niż mila stąd.

– To nie ma sensu. – Muley był zakłopotany. – Moja żona i dzieciaki, i szwagier, wszyscy zabrali się i wywędrowali do Kalifornii. Nie mieli co do gęby włożyć. Nie są tacy wściekli jak ja, więc wyruszyli. Tu nie było już co jeść.

Pastor poruszył się nerwowo.

– Powinniście byli jechać razem z nimi. Nie należało rozbijać rodziny.

– Nie mogłem – odpowiedział Muley Graves. – Po prostu coś mi nie dawało.

– Gadanie gadaniem, ale ja jestem głodny – oświadczył Joad. – Przez cztery bite lata jadłem według zegarka. A teraz kiszkę mi marsza grają. Co ty będziesz jadł, Muley? Jak sobie radzisz z żarciem?

– Jakiś czas jadłem żaby, wiewiórki i szczury polne – przyznał się Muley, nieco zmieszany. – Co było robić? Ale teraz założyłem kilka sideł z drutu w krzakach nad wyschniętym strumieniem, tam gdzie zobaczyłem ślady. Łapię króliki, od czasu do czasu kurkę, a nawet skunksa czy kunę.

Schylił się, podniósł worek i wyrzucił jego zawartość na ganek. Wypadły z niego i potoczyły się bezwładnie dwa małe króliczki i jeden duży samiec, wszystkie miękkie i puszyste.

– Mocny Boże! – zawołał Joad. – Więcej niż cztery lata nie miałem w ustach świeżego mięsa.

Casy podniósł jednego królika i trzymał go w ręku.

– Podzieli się pan z nami, Muley? – zapytał.

Muley nie potrafił ukryć zakłopotania.

– Nie ma innej rady. – Zamilkł, wyczuwszy, że słowa te zabrzmiały nieprzychylnie. – Nie to chciałem powiedzieć. Nie o to mi chodzi... Miałem na myśli – jakaś – miałem na myśli, że jeżeli człowiek ma co jeść, a ktoś drugi jest głodny, no to nie ma innego wyjścia. Bo przecież nie zabiorę tych królików, nie pójdę sobie i nie zjem ich sam. Rozumiecie?

– Rozumiem! – zawołał Casy. – Potrafię to zrozumieć. Muley ma trochę racji. Ale to wszystko nie na jego ani na moją głowę.

Tom zacierał ręce.

– Który z was ma kozik przy sobie? Weźmy się za te nieszczęsne króle. Jazda!

Muley sięgnął do kieszeni spodni i wydobył duży składany nóż w rogowej oprawie. Tom Joad wziął go z jego rąk, otworzył i powąchał stalowe ostrze. Wepchnął kilkakrotnie nóż w ziemię, znowu powąchał i wytarłszy go o nogawkę spodni, wypróbował kciukiem ostrze.

Muley wyjął teraz z tylnej kieszeni butelkę wody i postawił ją na ganku.

– Ostrożnie z wodą – powiedział. – Więcej nie ma. Studnia jest zasypana.

Tom wziął do ręki jednego królika.

– Niech który z was przyniesie ze stodoły trochę drutu. Rozpalimy ogień z tych kawałków desek z domu. – Spojrzał na martwego królika i dodał: – To żadna sztuka dać sobie z tym radę.

Podniósł skórę na grzbiecie zwierzątka, naciął, wsadził palce w otwór i zdarł ją z królika. Zsunęła się jak pończocha, z tułowia aż do karku i z łapek aż po pazurki. Joad sięgnął znowu po nóż i odciął łebek i nóżki. Rozpostarł na ziemi zdjętą skórę, rozplatał królika wzdłuż żeber, wytrząsnął wnętrzności na skórę i rzucił ją na pole bawełny. Gładko umięśniony, mały tułów króliczy był gotów, Joad odciął łapki i przepołowił mięsisty grzbiet. Właśnie podnosił drugiego królika, gdy wrócił Casy ze zwojem drutu w ręku.

– Rozpalcie teraz ognisko i wbijcie z dwóch stron paliki – zarządził Joad.
– Rany boskie! Ależ mam apetyt na te króle!

Oprawił i pokrajał resztę królików i ponawlekał mięso na drut. Muley i Casy oderwali deski ze zgruchotanego narożnika domu, rozniecili ogień i po obu jego stronach wbili w ziemię paliki, by przeciągnąć między nimi drut.

Muley zwrócił się do Joad:

– Nie zostaw tam flaków. Nie lubię jeść królika z bebechami. – Wyjął z kieszeni mały płócienny woreczek i położył go na ganku.

– Królik jest czysty jak noworodek po kąpieli – odpowiedział Joad. – Do diabła! To ty masz i sól? Czy przypadkiem nie chowasz w kieszeni namiotu i kilku talerzy?

Usypał trochę soli z woreczka na dłoń i posolił nawleczone na drut kawałki mięsa.

Płomienie ognia strzelały w górę, rzucając ruchliwe cienie na dom, suche drzewo trzaskało. Niebo ogarnęła teraz niemal zupełna ciemność, gwiazdy zaś lśniły ostrym blaskiem. Szary kot wyszedł ze stodoły i miaucząc, pobiegł truchcikiem ku ognisku, ale gdy już był blisko, zawrócił i ruszył w kierunku porzuconych na ziemi króliczych wnętrzności. Żuł je i łykał, a jelita zwisały mu z pyszczka.

Casy usiadł na ziemi przy ogniu i podsyczał go kawałkami połamanej deski, popychając długie szczapy, w miarę jak płomienie pożerały ich końce. W oświetlony krąg wpadały nietoperze i znikwały w mroku. Kot przysiadł przy ogniu, oblizując pyszczek i wąsy.

Joad podniósł oburącz drut obciążony króliczym mięsem i podszedł do ogniska.

– Weź za jeden koniec, Muley, i owiń go dokoła tego palika. Tak, dobrze. Teraz naciągnijmy go. Powinni byśmy poczekać, aż płomień będzie

mniejszy, ale ja już nie mogę dłużej wytrzymać.

Naciągnął drut, poszukał patyka i przesunął nim kawałki mięsa, aż znalazły się nad ogniem. Płomienie lizały je ze wszystkich stron, powlekając kruchą błyszczącą skórą. Joad usadowił się przy ognisku, poruszając i obracając pieczone patykiem, by nie przywarło do drutu.

– To mi dopiero wyżerka! – cieszył się. – Muley ma sól i wodę, i króliki. Chciałbym, żeby miał jeszcze w kieszeni garnek kukurydzianej zupy. Nic mi więcej do szczęścia nie trzeba.

Muley rzucił poprzez ognisko:

– Wy pewno myślicie, że jeżeli tak żyję, to jestem trochę kopnięty.

– Kopnięty? Gdzie tam! – zaoponował Joad. – Chciałbym, żeby każdy był taki kopnięty.

Muley mówił dalej:

– Bo to, wiecie, w ogóle dziwne. Kiedy mi powiedzieli, że mam się stąd zabierać, coś jakby we mnie wstąpiło. Najprzód chciałem pójść i pozabijać kupę ludzi. No, ale potem cała moja rodzina powędrowała na zachód. Wtedy zacząłem włóczyć się po okolicy. Po prostu szwendałem się z miejsca na miejsce. Ale nigdy nie odchodziłem daleko. Spałem tam, gdzie mnie noc zaskoczyła. Dziś chciałem się tu przespać. Dlatego właśnie przyszedłem. Powtarzałem sobie w kółko: „Pilnuję, żeby ludzie zastali wszystko w porządku, jak wrócą”. A wiedziałem przecież, że to nieprawda. Że pilnować nie ma czego. Że ludzie już nigdy tu nie wrócą. Toteż błąkałem się po okolicy niby stary, przeklęty upiór po cmentarzu.

– Człowiek przyzwyczaja się do miejsca i trudno mu je opuścić – powiedział Casy. – Przyzwyczaja się też do jakiegoś sposobu myślenia i niełatwo mu go zmienić. Nie jestem już pastorem, a wciąż przyłapuję się na tym, że modlę się, nie myśląc nawet o tym, co robię.

Joad obracał kawałki mięsa na drucie. Kapał z nich teraz tłuszcz i za każdą kroplą spadającą w ogień wystrzelał w górę płomień. Gładka powierzchnia mięsiwa pomarszczyła się, nabierając bladobrunatnej barwy.

– Powąchajcie to! – zawołał Joad. – Spójrzcie tylko i pociągnijcie nosem!

A Muley mówił dalej:

– Niby przeklęty upiór po cmentarzu. Szwendałem się po miejscach, gdzie mi się kiedyś to i owo przydarzyło. Jest tam koło naszego obejścia takie miejsce nad jarem jak te tu krzaki. Tam po raz pierwszy w życiu spałem z dziewczyną. Miałem wtedy czternaście lat, toteż jeździłem po

niej, rzucałem się, parskalem jak rogacz w lesie i beczałem jak cap. Teraz poszedłem tam, położyłem się na trawie i widziałem to wszystko, jak było, na nowo. Jest tam też jedno miejsce za stodołą, gdzie byk zabódł na śmierć mojego ojca. Jego krew jest w ziemi do tej pory. Jakże ma nie być? Nikt jej przecież nie zmył. Położyłem rękę na tym kawałku ziemi, z którą zmieszana jest krew mojego taty... – Zamilkł na chwilę, zmieszany. – Wy pewno myślicie, że mam źle w głowie.

Joad obracał mięso, jak gdyby wpatrzony w głąb siebie. Casy, podciągawszy kolana, patrzył nieruchomo w ogień. O parę kroków za ludźmi siedział syty kot, owinawszy wdzięcznie długi szary ogon dokoła przednich łapek. Nad ogniskiem przeleciała, zawodząc, wielka sowa i blask płomieni padł na jej białe podbrzusze i rozpostarte skrzydła.

– Nie – odpowiedział Casy – nie macie źle w głowie. Jesteście tylko samotni.

Drobna, napięta twarz Muleya zeszywniała jeszcze bardziej.

– Położyłem rękę na tym miejscu, gdzie wciąż jeszcze jest jego krew. I widziałem ojca z dziurą w piersi, czułem znowu, jak drżał, kiedy go chciałem podnieść, i jak upadł, wyciągając ręce i nogi. Widziałem, jak mu oczy zaszyły bielmem z bólu i jakie były jasne, wbite w niebo, kiedy już przestał się ruszać. I widziałem siebie – mały byłem jeszcze wtedy chłopak – jak siedziałem, nie płacząc ani nic, tyle że siedziałem. – Potrząsnął gwałtownie głową. Joad wciąż obracał mięso na wszystkie strony. –

Poszedłem do izby, w której urodził się Joe. Łóżka już nie było, ale pokój ten sam. I wszystkie te same sprzęty, i akurat w tym samym miejscu, co wtedy. Właśnie tam przyszedł na świat Joe. Zachłysnął się powietrzem, a potem wrzasnął tak, że go było słychać na milę od domu. Jego babka była cały czas przy tym i powtarzała w kółko: „Udał nam się chłopak! Udał nam się chłopak!”. I chodziła taka dumna, że aż stłukła tej nocy trzy kubki.

Joad odchrząknął.

– Myślę, że może lepiej zabierzmy się teraz do jedzenia.

– Niech mięso dojdzie porządnie, niech się przyrumieni jak należy, całkiem na ciemno – odpowiedział Muley z irytacją. – Dajcie mi się raz wygadać. Nie miał człowiek do kogo gęby otworzyć. Jeśli jestem pomyłony, to jestem, i tyle. Jak upiór z cmentarza nawiedzam nocą domy sąsiadów. Błąkam się od Petersów do Jacobsów, od Jacobsów do Rance’ów, od Rance’ów do Joadów. Wszędzie ciemno, chałupy wyglądają jak nędzne,

potrzaskane pudła, a przecie bywały tutaj zabawy i tańce, zebrania i śpiewy na chwałę bożą. We wszystkich tych domach wyprawiali wesela. Jakem to wspomniał, to rwałem się do miasta, żeby łby porozwalać tym draniom za to, co nam odebrali, gdy ciągnikami przepędzili ludzi z ziemi. A co nam wydarli, żeby nie stracić swoich zysków? Konającego na ziemi ojca i Joego wydającego pierwszy okrzyk i mnie harcującego jak kozioł pod krzakiem owej nocy. Co im z tego przyjdzie? Bóg świadkiem, że ziemia tu licha. Od lat nikt nie doczekał się z niej plonu. A te sukinsyny przy biurkach dla swego zysku flaki z ludzi wypruwają. Prują z człowieka flaki, i tyle. Bo ludzie i miejsce, gdzie żyją – to jedno. Kiedy się znajdą na wozach w drodze, to już nie ci sami ludzie. Już nie żyją. A zabiły ich te skurwysyny.

Muley zamilkł, lecz jego wąskie wargi poruszały się nadal, a pierś podnosiła się w ciężkim oddechu. Usiadł i w blasku ognia przyglądał się swym rękom.

– Ja... ja nie przemówiłem do nikogo słowa przez tyle czasu – usprawiedliwiał się. – Snułem się dokoła jak stary upiór z cmentarza.

Casy dołożył długich desek do ognia, płomienie oblizały je wokoło i znowu podskoczyły ku pieczeni. Z domu dochodziły głośnie trzaski: to drewno kurczyło się pod wpływem nocnego chłodu.

Pastor powiedział spokojnie:

– Muszę pójść do ludzi, którzy błakają się po drogach. Czuję, że powinienem do nich iść. Potrzebują pomocy, jakiej nie da im żadne kazanie. Co tu mówić im o nadziei na niebo, kiedy ich życie nie jest życiem. Co ich może obchodzić Duch Święty, kiedy sami upadają na duchu i są smutni? Będą potrzebowali pomocy. Muszą zacząć żyć, zanim będą mogli myśleć o śmierci.

Zniecierpliwiony Joad zawołał:

– Rany boskie! Jedzmy to mięso, zanim się tak zeschnie, że go będzie mniej niż w pieczonej myszy! Spójrzcie i powąchajcie!

Zerwał się i odsunął po drucie mięso znad ognia. Nożem Muleya zdjął kawałek.

– To dla pastora.

– Mówiłem wam, że nie jestem już pastorem.

– No to dla człowieka.

Odkrajał następny kawałek, mówiąc:

– Tak źle z tobą chyba jeszcze nie jest, Muley, żebyś nie mógł jeść. To, bracie, królik jak się patrzy, a nie pieczeń z psa.

Usiadł z powrotem, zatopił długie zęby w mięsie, odgryzł spory kęs i zaczął żuć.

– Rety! Posłuchajcie, jak chrupie!

I żarłocznie oderwał zębami następny kęs. Muley siedział i patrzył na swoją porcję.

– Może nie powinienem był tego wszystkiego gadać – zastanawiał się. – Może człowiek powinien dusić takie rzeczy w sobie.

Casy spojrział na niego z pełnymi ustami. Przeżuł mięso; jego żylaste gardło drgnęło, gdy przełykał.

– Owszem, powinniście mówić – powiedział. – Czasem ktoś nieszczęśliwy pozbywa się smutku, kiedy się wygada. Czasami temu, kto chciał zabić, myśl o morderstwie wylatuje przez usta razem ze słowami i nie popełnia już zbrodni. Dobrzeście zrobili. Nie trzeba zabijać nikogo, jeśli można tego uniknąć.

Ugryzł znowu kawałek królika. Joad wytrząsnął kości w ogień, zerwał się i odciął dalszą porcję mięsa z drutu. Muley zaczął teraz powoli jeść, a jego małe, niespokojne oczka biegały od jednego towarzysza do drugiego. Joad jadł, pomrukując jak zwierzę, usta jego otaczała obwódka tłuszczu.

Przez dłuższą chwilę Muley patrzył na niego prawie nieśmiało. Opuścił rękę, w której trzymał mięso, i odezwał się:

– Tommy...

Joad podniósł oczy i nie przestając żuć, zapytał z pełnymi ustami:

– Co?

– Tommy, nie jesteś na mnie zły za to, co gadałem o zabijaniu ludzi? Nie gniewasz się, Tom?

– Nie, ani mi to w głowie – odpowiedział Joad. – Coś takiego zawsze może się zdarzyć.

– Wszyscy wiedzieli, że to nie była twoja wina. Stary Turnbull mówił, że musi cię dostać w ręce, jak wyjdiesz z więzienia. Że nie daruje temu, co zabił jego chłopaka. Ale tutejsi ludzie wybili mu zemstę z głowy.

– Byliśmy pijani – opowiadał Joad cicho. – Upiliśmy się na zabawie. Nie wiem, jak się to zaczęło. A potem poczułem, że ktoś dźga mnie nożem i wytrzeźwiałem. Pierwsza rzecz, jaką zobaczyłem, to Herb, który szedł na mnie z nożem. Stała tam łopata oparta o ścianę szkoły. Chwyciłem ją

i zdzieliłem Herba przez łeb. Nigdy nic przeciwko niemu nie miałem. Miły był chłopak. Kiedy był jeszcze mały, przychodził przekomarzać się z moją siostrą Rosasharn. Lubilem go.

– No więc, każdy mówił to jego ojcu, aż w końcu stary uspokoił się. Ktoś twierdził, że w żyłach Turnbulla płynie po matce krew Hatfieldów i że musi go to do czegoś zobowiązywać. Nie wiem, jak to tam jest naprawdę. Turnbull z rodziną wywędrował do Kalifornii już pół roku temu.

Joad zdjął z drutu ostatni kawałek królika i podzielił go. Potem znów usiadł i jadł, ale już wolniej, żując dokładnie i ocierając rękawem usta z tłuszczu. Jego ciemne, na pół przymknięte oczy zasnuwała zaduma, gdy patrzył w dogasające ognisko.

– Wszyscy wędrują na zachód – westchnął. – Ale ja jestem zwolniony warunkowo. Nie wolno mi opuścić stanu.

– Warunkowo? – powtórzył Muley. – Słyszałem o czymś takim, ale nie wiem, co to znaczy.

– Ano wypuścili mnie wcześniej – trzy lata przed terminem. Muszę dotrzymać pewnych wymagań, bo inaczej zamkną mnie z powrotem. I muszę się często meldować.

– A jak cię tam traktowali w McAlester? Brat cioteczny mojej żony był w McAlester i mówił, że miał tam piekło.

– Tak źle znowu nie było – zaprzeczył Joad. – Nie gorzej niż gdzie indziej. Jak ktoś podnosił piekło, to robili mu też piekło. A tak to można było wytrzymać, chyba że któryś z dozorców uwziął się na ciebie. Wtedy było gorzej. Ja nie mogę narzekać. Nie wtykałem nosa w nie swoje sprawy. Nauczyłem się pisać, i to diablo dobrze. I nie tylko pisać, ale i rysować, ptaszki i takie tam różne rzeczy. Mojemu staremu oko zbieleje, jak zobaczy, że ot tak, jednym pociągnięciem wyrysuję ptaszka. Stary się wścieknie, jak mu się coś takiego pokaże. Cholernie nie lubi takich głupstw. Nie cierpi nawet pisaniny. Myślę, że się trochę boi tych spraw. Ile razy ojciec widział jakieś pismo, zawsze ktoś mu coś zabierał.

– Ale nie bili cię tam ani nic podobnego?

– Nie, bo pilnowałem swego nosa. Naturalnie, rzygać się człowiekowi chciało, że przez cztery okrągłe lata musi dzień w dzień robić to samo. I jeszcze gdyby się chociaż popełniło coś takiego, czego trzeba by żałować, można by nad tym rozmyślać. Ale, do diabła: gdybym dziś zobaczył Herba Turnbulla idącego na mnie z nożem, znowu rozwalilibym mu łeb łopatą.

– Każdy zrobiłby to samo – osądził Muley.

Pastor patrzył w ogień, jego wysokie czoło bieląło wśród gęstniejących ciemności. W odbłasku płomieni dogasającego ogniska występowały na jego szyi żyły. Ręce splótł na kolanach i wyłamywał sobie palce w stawach.

Joad rzucił w ogień ostatnie kości, oblizał zatłuszczone palce i wytarł je o spodnie. Wstał i przyniósł z ganku butelkę wody, pociągnął z niej mały łyk, podał ją towarzyszom i usiadł znowu.

– Co mnie trapiło najbardziej – mówił dalej – to myśl, że to wszystko jest bez sensu. Rozumiem, że człowiek nie szuka sensu w tym, że piorun zabije mu krowę albo że przyjdzie powódź. Taki już jest na tym świecie porządek rzeczy. Ale kiedy banda ludzi zamyka cię na cztery lata, to przecież w tym powinien być jakiś sens. Ludzie muszą się zastanawiać nad tym, co robią. A tu zamykają mnie, trzymają i żywią przez cztery lata. Powinni byli raczej zrobić coś takiego, żebym się więcej nie ważył na podobną rzecz, albo też ukarać mnie tak, że bałbym się znów tak postąpić. – Przerwał na chwilę. –

Ale gdyby dziś napadł mnie Herb czy kto inny, zrobiłbym to samo. Zrobiłbym bez namysłu. Zwłaszcza gdybym był pijany. Taki brak sensu złości człowieka.

– Sędzia powiedział – wtrącił Muley – że dał ci lekki wyrok, bo to nie była tylko twoja wina.

Joad mówił dalej:

– Jest w McAlester jeden gość – dożywotni. Cały czas się uczy. Sekretarzuje naczelnikowi więzienia, pisze mu listy i inne rzeczy. No i chłop uczony, jak cholera, zna się na prawie, i w ogóle. No, więc raz uciałem sobie z nim pogawędkę, bo ciekawiło mnie, że tyle czyta. Powiedział mi, że nie warto czytać książek. Mówił, że czyta właśnie o terażniejszych więzieniach i o tym, jak więzili za dawnych czasów. Twierdził, że im więcej czyta, tym mniej widzi w tym wszystkim sensu. Tłumaczył mi, że z tymi więzieniami od samego początku było źle i ciągle zmienia się na gorsze, i nie wygląda na to, żeby ktoś mógł coś na to poradzić, bo nie znalazł się dotąd człowiek z odrobiną oleju w głowie. Doradzał, żeby, na miłość boską, nie czytać tylu książek, bo mi się jeszcze bardziej pokręci w głowie i stracę szacunek dla tych, co zasiadają w rządzie.

– No, wielkiego szacunku to ja tam dla nich nie mam – oświadczył Muley. – Jedyne rządy, jakie my znamy, to takie, co pilnuje „zabezpieczenia marzy zysku”. Jednej tylko rzeczy nie rozumiem, jak taki Willy Feeley mógł rozjeżdżać tym ciągnikiem i udawać ważnego we wsi, z której sam pochodzi. To mnie trapi. Żeby to jeszcze kto inny, z innej wsi, co nie zna tych ludzi, ale taki Willy Feeley! Tak mnie to gnębiło, że poszedłem do niego i zapytałem go. A ten się od razu wściekł. „Mam dwa małe bachory – powiada – mam żonę i teściową na karku. Muszą jeść!”. Wściekał się coraz bardziej. „Przede wszystkim muszę myśleć o własnej rodzinie – mówi – a co się stanie z innymi, o to niech się sami martwią”. Wyglądało na to, że mu było wstyd i że dlatego tak się złościł.

Jim Casy wpatrywał się w dogasający ogień. Oczy rozszerzyły mu się, mięśnie na karku nabrzmiały. Nagle krzyknął:

– Czuję go! Jeśli kiedykolwiek duch boży wstąpił w człowieka, to ja go czuję! Wiem już teraz! Oświecił mnie.

Zerwał się i zaczął chodzić tam i z powrotem, potrząsając głową.

– Miałem kiedyś namiot. Co wieczór gromadziło się w nim do pięciuset ludzi. Było to jeszcze wtedy, zanim mnie poznaliście. – Przerwał i spojrzał na Toma i Muleya. – Zauważyliście kiedy, żebym po kazaniu robił składkę – w stodole czy pod gołym niebem?

– Nigdy! Jak Boga kocham! – przyświadczył Muley. – Tak przyzwyczailiście tutejszych ludzi do tego, że za kazania nie żąda się pieniędzy, że cholera ich brała, kiedy jakiś obcy kaznodzieja nadstawiał swój kapelusz o datek. To prawda!

– Przyjmowałem czasem coś z jedzenia – mówił Casy. – Zgadzałem się wziąć parę spodni, kiedy moje się zdarły, albo stare trzewiki, kiedy mi palce od nóg dziurami wyłaziły. Wtedy jednak, gdy miałem namiot, było inaczej. Zdarzało się, że jednego dnia uzbierałem z dziesięć albo i dwanaście dolarów. Ale nie czułem się z tym dobrze, przestałem więc brać pieniądze i wtedy byłem przez jakiś czas szczęśliwy. A teraz zdaje mi się, że wiem, co powinienem zrobić. Nie jestem pewien, czy potrafię wam to powiedzieć, i myślę, że nawet nie będę próbował... Ale kto wie, może znowu będę kaznodzieją. Może znów będę wygłaszał kazania. Ludzie opuszczeni na drogach, bez ziemi i bez domu... Musi się dla nich znaleźć jakiś dom. Może...

Stał nad ogniskiem. Na szyi wystąpiły mu sploty żył, a płomień odbijał się w jego oczach i zapalał w nich czerwone iskry. Patrzył w ogień z twarzą tak napiętą, jak gdyby nasłuchiwał, a ręce, którymi przed chwilą gestykulował, by wyrazić rozproszone myśli, znieruchomiały i po chwili zniknęły w kieszeniach. Nietoperze przelatwały w blasku wygasającego ognia, z pól dochodził głos lelka, podobny do cichego bulgotu wody.

Tom sięgnął spokojnie do kieszeni, wydobyl tytoni i powoli skrecil papierosa, wpatrzony w zarzace sie węgla. Pominął milczeniem całe przemówienie pastora, jak gdyby była to sprawa osobista, do której nie należy się wtrącać, i powiedział:

– Co noc, leżąc na pryczy, wyobrażałem sobie, jak to będzie, kiedy wrócę do domu. Myślałem, że mogę już nie zastać przy życiu dziadka i babki i że może urodzą się jakieś nowe dzieci. Że ojciec trochę podupadnie na zdrowiu. Że matka odpocznie, zdając część roboty na Rosasharn. Wiedziałem, że to nie będzie to samo, co przedtem. Ano, chyba tu przenocujemy, a o świcie wyruszymy do stryja Johna. Ja przynajmniej pójdę na pewno. A wy pójdziecie ze mną, Casy?

Pastor wciąż jeszcze patrzył w żar. Odpowiedział powoli:

– Tak, idę z wami. A kiedy wasza rodzina wybierze się w drogę, pójdę razem z nimi. Chcę być z tymi, co błakają się po drogach.

– Będziemy wam radzi – zapraszał Joad. – Matka zawsze was lubiła. Mówiła, że można wam jako pastrowi zaufać. Rosasharn była wtedy jeszcze mała.

Odwrócił głowę w stronę Muleya.

– A ty, Muley, pójdiesz z nami?

Muley patrzył w stronę drogi, którą przyszli.

– Myślę, że chyba pójdiesz? – powtórzył Joad.

– Co? Nie! Nigdzie nie pójdę. Nie ruszę się stąd. Widzicie światełko podskakujące tam z góry na dół? To pewno nadzorca tej plantacji bawełny. Ktoś musiał dojrzeć nasze ognisko.

Tom popatrzył w tamtą stronę. Światło zbliżało się od strony wzgórza.

– Nie robimy przecież nic złego – stwierdził. – Tyle, że siedzimy. Nic więcej.

Muley zachichotał.

– A jakże! Robimy coś złego tylko przez to, że tu siedzimy. Popełniamy przestępstwo. Jesteśmy na cudzym terenie. Nie możemy tu zostać.

Od dwóch miesięcy starają się mnie złapać. Słuchajcie no: jeżeli to samochód, wejdziemy w bawełnę i położymy się. Nie potrzebujemy odchodzić daleko. Niech nas szukają. Musieliby chyba przeszukać całą plantację. Wystarczy położyć się i nie podnosić głowy.

– Co się z tobą stało, Muley? – zapytał Joad. – Nigdy nie bawiłeś się w ciuciubabkę. Zrobiłeś się tchórzliwy.

Muley nie odrywał oczu od zbliżającego się światła.

– Tak. Kiedyś byłem śmiały jak wilk. Teraz jestem chytry jak łasica. Gdy człowiek na coś poluje, wtedy jest myśliwym i jest odważny. Nikt mu nie da rady. Ale gdy ciebie tropią, wtedy jest inaczej. Coś się wtedy w człowieku odmienia. Traci siłę. Może być zawzięty, ale jest słaby. Na mnie polują od dłuższego czasu. Przestałem już być myśliwym. Mógłbym jeszcze zastrzelić kogoś w ciemności, ale porwać się na niego z kołkiem od płotu już bym nie potrafił. Nie mam co udawać ani przed tobą, ani przed sobą. Tak już jest.

– To zmykaj i schowaj się – powiedział Joad. – My z Casym zaczekamy na tych bęcwałów i powiemy im do słuchu.

Smuga światła przybliżała się. Pojawiała się na niebie, gasła i znów się pojawiała. Trzej mężczyźni śledzili ją uważnie. Muley znów zabrał głos:

– I jeszcze jedna rzecz: gdy człowieka ścigają, przychodzą mu do głowy wszystkie możliwe niebezpieczeństwa. Kiedy poluje sam, nie myśli o nich i nie czuje lęku. Ty sam przecież mówiłeś mi przed chwilą, że gdybyś znowu wdepnął w jakąś awanturę, odesłaliby cię z powrotem do McAlester, żebyś odsiedział do końca twoją karę.

– To prawda – przyznał Joad. – Tak mi zapowiedzieli, ale to, że tu siedzimy, odpoczywamy czy śpimy, to nie jest narażanie się na awanturę. To nie żadna zbrodnia. Nie urządzamy pijatyki ani żadnych burd.

Muley roześmiał się.

– Ano, zobaczysz. Poczekaj, aż zajedzie samochód. Może to Willy Feeley, a Willy jest teraz zastępcą szeryfa. „Co wy tu robicie na cudzych gruntach?” – zapyta zaraz. A wiesz przecież, że Willy to kawał drania, więc odpowiesz: „Co ci do tego?”. Wtedy Willy się wścieknie i wrzaśnie: „Wynoście się stąd, do cholery, albo was przymknę!”. Ty, Tommy, nie dasz się wodzić za nos takiemu Willy’emu, który się tylko ciska, a naprawdę to ma pietra. Będzie nadrabiał miną, bo co ma chłop robić, a ty mu się postawisz, bo też nic innego zrobić nie możesz... Do diabła, lepiej już

położyć się w bawełnie, niech szukają. Nawet większa z tego może być uciecha, bo oni będą wściekli, że nic nam nie mogą zrobić, a my się będziemy śmiali w kułak. A wdasz się w rozmowę z Willym czy jakim innym nadzorcą, awantura gotowa, zabiorą cię i odeślą na trzy lata do McAlester.

– Racja – skapitulował Joad. – Co prawda, to prawda! Ale nie lubię, psiakrew, jak mi byle kto po piętach depcze! Wolałbym dać w pysk takiemu Willy’emu.

– Ma przy sobie broń – odparł Muley. – I użyje jej, bo za nim stoi prawo. I albo on zakatrupi ciebie, albo ty będziesz musiał odebrać mu strzelbę i wykończyć chłopca. Chodź, Tommy! Możesz sobie powiedzieć, że leżąc w ukryciu, wystawiasz ich do wiatru. Wszystko ostatecznie zależy od tego, jak sobie sam rzecz przedstawisz.

Silny snop światła liznął niebo, a równy warkot silnika słyszeć już było wyraźnie.

– Chodź, Tommy! Nie potrzebujemy odchodzić daleko, wystarczy oddalić się o jakieś czternaście, piętnaście rządków i możemy przyglądać się, co oni będą robili.

Tom zerwał się.

– Jak Boga kocham, masz rację! – zawołał. – Nic nie wygram, jeśli zostanie.

– Chodźmy więc. Tędy!

Muley skręcił za dom i przeszedł jakieś pięćdziesiąt jardów polem.

– Tu będzie dobrze – powiedział w końcu. – Kładźcie się. Musicie tylko schylić głowy, jeśli zaczną szperać reflektorem po polu. A to zabawa!

Wszyscy trzej wyciągnęli się na ziemi, wsparci na łokciach. Muley zerwał się nagle i popędził do domu, a po chwili wrócił i rzucił w bawełnę naręcze ubrań i butów.

– Zabraliby to przez zemstę – wyjaśnił.

Światła dotarły na szczyt wzgórza i padły na dom. Joad zapytał:

– A czy nie przyjdą tu szukać nas z latarkami? Szkoda, że nie mam kija.

Muley zachichotał.

– Nie, nie odważą się. Mówiłem ci już, że jestem teraz chytry jak łasica. Którejś nocy Willy zjawił się tutaj, a ja zdzieliłem go z tyłu kołkiem.

Nakrył się nogami. Opowiadał potem, że napadło go pięciu drabów.

Samochód podjechał pod dom, rozbłysły reflektory.

– Schylcie się! – powiedział Muley.

Smuga zimnego, białego światła prześliznęła się nad ich głowami i omiotła pole. Przyczajeni mężczyźni nie mogli dostrzec żadnego ruchu, usłyszeli tylko trzask drzwiczek samochodu i głosy.

– Boją się wleźć w zasięg światła – szepnął Muley. – Ze dwa razy już strzeliłem w zapalone reflektory. Teraz Willy jest ostrożny. Zabrał dziś kogoś ze sobą.

Do uszu ich doszedł odgłos stąpania po drewnianej podłodze, wewnątrz domu rozbłysło światło latarki.

– Może strzelić w dom? – szepnął Muley. – Nie będą wiedzieli, z której strony padł strzał. To im da do myślenia.

– Jazda, wał, bracie! – zachęcał Joad.

– Nie róbcie tego! – szepnął Casy. – Nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie warto. Musimy wymyślić coś takiego, co ma sens.

Od strony domu dobiegło jakby jakieś skrobanie.

– Gaszą ognisko – szepnął Muley. – Zasypują je piaskiem.

Znowu rozległ się trzask drzwiczek samochodu, światła reflektorów zatoczyły krąg i skierowały się na drogę.

– Schylcie się teraz! – zakomenderował Muley.

Zaledwie schylili głowy, przesunęło się tuż nad nimi światło reflektora, omiatając pole bawełny. Samochód ruszył, oddalił się, wjechał na szczyt wzgórza i znikł.

Muley siadł na ziemi.

– Willy zawsze próbuje zaskoczyć zniecacka tym ostatnim błyskiem światła. Robił to już tak często, że potrafię obliczyć dokładnie, kiedy to nastąpi. A jemu się ciągle zdaje, że jest bardzo chytry.

– Może zostawili paru ludzi w domu, żeby nas przyłapali, jak wrócimy – odezwał się Casy.

– Możliwe. Zaczekajcie tu. Ja znam się na tych kawałach.

Odszedł cicho i jedynie lekki chrzęst deptanych grudek ziemi zdradzał jego kroki. Dwaj czekający mężczyźni wyteżali słuch, ale kroki ucichły. Po pewnym czasie rozległ się z domu głos Muleya:

– Nie ma nikogo! Chodźcie!

Joad i Casy wstali i ruszyli w stronę czerniejących szczątków domu. Zastali Muleya nad dymiącym stosem pyłu, który niedawno jeszcze był ich ogniskiem.

– Wiedziałem, że tu nikogo nie zostawią – oświadczył z dumą. – To, że Willy raz już oberwał i że parę razy strzeliłem w reflektory samochodu, nauczyło ich ostrożności. Nie są pewni, kto to zrobił, a ja nie dam się złapać. Nie nocuję w pobliżu żadnego domu. Jeśli pójdziecie ze mną, to wam pokażę, gdzie można się przespać tak, że nikt was nie wywęszy.

– Prowadź! – powiedział Joad. – Idziemy z tobą. Nigdy nie myślałem, że przyjdzie mi się kryć na gruntach rodzonego ojca.

Muley ruszył przez pola. Joad i Casy podążyli za nim. Raz po raz zaczepiali o krzaczki bawełny.

– Jeszcze nieraz będziecie się musieli ukrywać – przepowiadał Muley.

Przecięli plantację, krocząc gęsiego. Wreszcie doszli do jaru i bez trudu zeszli w dół.

– Jak Boga kocham, wiem! – zawołał Joad. – Jaskinia w ścianie jaru, tak?

– Zgadłeś. Skąd wiesz?

– Sam ją wykopałem – odpowiedział Joad. – Razem z moim bratem Noahem. Mówiliśmy, że szukamy złota, ale po prostu kopaliśmy ot tak, jak to dzieciaki.

Brzeg jaru znajdował się teraz ponad ich głowami.

– To musi być gdzieś całkiem blisko – mówił Joad. – Wydaje mi się, że pamiętam to miejsce.

– Wejście zakryłem gałęziami – wyjaśnił Muley. – Nikt go nie znajdzie.

Dno jaru stawało się coraz równiejsze, pod nogami zazgrzytał piasek. Joad usadowił się na nim wygodnie.

– Nie będę spał w żadnej jaskini. Tu się prześpię.

Zwinął marynarkę i położył ją sobie pod głowę. Muley jednak odsunął gałęzie zakrywające wejście do jaskini i wczołgał się do środka.

– Wolę tutaj. Jestem przynajmniej pewien, że nikt mnie nie znajdzie.

Jim Casy usiadł na piasku obok Joad.

– Prześpijcie się – powiedział Joad. – O świcie wyruszymy do stryja Johna.

– Nie chce mi się spać – odparł Casy. – Za dużo myśli tłucze mi się po głowie.

Podkurczył kolana i oplótł je rękami. Odrzuciwszy w tył głowę, wpatrywał się w błyszczące gwiazdy. Joad ziewnął i podłożył sobie rękę pod głowę.

Zapadło milczenie i stopniowo ożyły rozpadliny, nory i krzaki. Krety zaczęły się ruszać, króliki szukały zielonego żeru, myszy polne przemykały między grudkami ziemi, a skrzydlaci myśliwi unosili się bezgłośnie w powietrzu.

Rozdział 7

W miastach, na przedmieściach, w polu, na rozstajach dróg, na niezabudowanych placach – składy starych samochodów, magazyny wraków, garaże z ozdobnymi wywieszkami: „Samochody używane”, „Samochody używane w dobrym stanie”, „Trzy przyczepy za bezcen”, „Ford – model 27, prawie nowy”, „Wozy po przeglądzie”, „Na każdy wóz gwarancja”, „Odbiornik radiowy gratis”, „Do każdego wozu dodajemy 100 galonów ropy gratis”, „Wejść i zobacz!”, „Sprzedajemy wozy bez żadnej prowizji”.

Kawałek placu i buda, w której jest miejsce tylko na biurko, krzesło i książkę rachunkową. Paczka wymiętych, postrzępionych kontraktów, spiętych spinaczami, obok porządnie ułożone czyste blankiety. Pióro wieczne – zawsze gotowe do użytku, napełnione atramentem. Niejedna sprzedaż nie doszła do skutku, bo nie było pod ręką napełnionego pióra.

Te skurwysyny nic nie kupują. Łażą od składu do składu i gapią się. Ani im się śni kupować, zabierają tylko czas człowiekowi. Ale o to ich głowa nie boli. Patrz, tamtych dwoje – nie, ci z dziećmi. Pakuj ich do wozu. Zaceń go na początek dwieście dolarów, a potem opuść. Wygląda na to, że da się z nich wyciągnąć sto dwadzieścia pięć. Weź się do nich. Zabierz ich na przejażdżkę. Wepchnij im ten wóz. Dosyć nam czasu zabrali.

Właściciele z zawiniętymi rękawami. Sprzedawcy eleganccy, niezawodni, o małych, czujnych oczkach polujących na chwilę słabości klienta.

Uważaj na minę kobiety. Jeżeli wóz wpadnie jej w oko, to męża już nietrudno naciągnąć. Zaczniij od cadillaca. W najgorszym razie kupią buicka 26. Jeśli zaczniesz od buicka, to zdecydują się najwyżej na forda. Zakasz rękawy i bierz się do roboty. Taka gratka nieprędko się zdarzy. Pokaż im tamtego nasha, a ja tymczasem podpompuję trochę dodge’a. Dam ci znak, jak skończę.

Chodzi o środek lokomocji? Pana nie będę bujał. No tak: obicie wewnątrz jest zniszczone. Ale poduszki to nie koła i na nich samochód nie jeździ.

Samochody ustawione w rząd, obrócone wszystkie w jedną stronę, samochody o pordzewiałych maskach i sflaczałych oponach. Zaparkowane ciasno jeden obok drugiego.

Chciałby pan wsiąść, żeby wypróbować ten samochód? Proszę bardzo, nie sprawi to żadnego kłopotu. Wyprowadzę go z rzędu.

Staraj się ich zobowiązać. Nie żałuj dla nich czasu. Daj im odczuć, że ci go zabierają. Ludzie są na ogół delikatni i nie lubią nadużywać niczyjej uprzejmości. Niech wiedzą, że sprawili ci dużo kłopotu, i niech za to płacą.

Samochody ustawione w rzędy, wszelkie modele, wysokie i przysadziste, o skrzypiących kołach i zdartych obręczach. Buicki, nashe, de soto...

Tak, proszę pana. To dodge 22. Słowo honoru, najlepszy samochód, jaki Dodge kiedykolwiek wypuścił. Nie do zużycia. Niski stopień sprężenia. Wysoki stopień sprężenia daje wprawdzie w pierwszej chwili znaczną siłę, ale żaden metal tego długo nie wytrzyma. Plymouthy, rocknesy, stary. Do licha! A skąd wytrzasnęli tego appersona? Z arki Noego? A ten chalmers albo tamten chandler – od lat już nie produkuje się tych modeli. My nie sprzedajemy takiego szmelcu. Niech tam, muszę brać stare gruchoty. Nie chcę nic droższego ponad dwadzieścia pięć do trzydziestu dolców. Sprzedamy to za pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć. Dobry zysk. Boże, cóż można utargować na nowym samochodzie? Kupuj stare graty. Sprzedaje się je równie szybko, jak nabywa. Nie drożej niż za dwieście pięćdziesiąt. Jim, zabierz się do tego starego durnia, co stoi na chodniku. Ten osioł wrósł tam w ziemię. Spróbuj wepchnąć mu tego appersona. Słuchaj, gdzie się podział apperson? Sprzedany? Jeżeli zabraknie nam gruchotów, nie będziemy mieli co sprzedawać.

Wzdłuż krawężnika chorągiewki: czerwono-białe, biało-niebieskie. „Samochody używane”. „Używane samochody w dobrym stanie”.

Wystawić współczesny wóz na przynętę. Nie wolno go sprzedać. Niech tylko przyciąga ludzi. Gdybyśmy sprzedali ten samochód po takiej cenie, nie zarobiliśmy nawet dziesięciu centów. Mówić po prostu, że już sprzedany. Zanim go wydasz, wyjmij zapasowy akumulator. Rany boskie, czego im się zachciewa za sześć dych! Zakasz rękawy – i jazda! Nie będziemy się wiecznie w to bawili. Gdybym tylko zdobył dosyć starych gratów, mógłbym za pół roku rzucić ten cały interes.

Słuchaj, Jim, ten chevrolet ledwo zipie. Grzechocze, jakby ktoś tłukł butelki. Wsyp mu parę garści trocin. I do skrzynki biegów też, nie żałuj. Musimy opchnąć tego grata za trzydzieści pięć dolarów. Nabrał mnie na niego jeden kanciarz. Dawałem mu dziesięć, ale wydusił ze mnie piętnaście, a potem, hycel, zwędził wszystkie narzędzia. Boże! Gdyby tak mieć z pięćset starych wozów! Wiecznie tu nie będę siedział. Co, nie podobają mu się opony? Powiedz, że zrobią jeszcze dziesięć tysięcy mil, i opuść mu półtora dolara.

Stosy zardzewiałego złomu pod płotem, w głębi szeregi starych gruchotów, błotniki, szczątki czarne od smarów, kadłuby silników poniewierające się na ziemi, cylindry, spomiędzy których wyrastają chwasty. Drażki hamulcowe, rury wydechowe splątane jak węże. Smary i benzyna.

Rozejrzyj no się za jaką niepopękaną świecą. Do diabła! Gdybym mógł dostać z pięćdziesiąt przyczep poniżej setki, zrobiłbym majątek. A ten gość czego się znowu ciska: Sprzedajemy samochody na miejscu, ale nie dostarczamy ich klientom do domu. Dobry slogan, co? Do domu nie dostarczamy. Zaręczam ci, że dam to do gazety. Wygląda na to, że kupi. Nie? To wyrzucić go na zbity łeb. Nie mamy czasu na zawracanie sobie głowy facetem, który sam nie wie, czego chce. Zdejm prawą przednią oponę z tego grahama. Obróć koło tak, żeby nie było widać łąty. Poza tym wygląda wspaniale. Pójdzie jak bułka z masłem. W tym gracie siedzi jeszcze jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Z pewnością. Tylko nie żałować oleju. No, powodzenia!

Szukają państwo samochodu? A o jaki chodzi? Może pan już sobie coś upatrzył? Ach, jak mi zaschło w gardle! Może łykniemy cośkolwiek? Pan pozwoli ze mną, a tymczasem małżonka obejrzy sobie tego la salle'a. Nie powinien pan brać la salle'a. Zużyte łóżyska. Zjada za dużo benzyny. Radzę lincolna 24. To dopiero wóz jak się patrzy. Na całe życie. Można go przerobić na ciężarówkę.

Gorące słońce na zardzewiałym żelastwie. Kałuże benzyny. Snujący się ludzie, oszołomieni, w poszukiwaniu wozu.

Wytrzymaj nogi. Nie opieraj się o ten wóz, jest brudny. Jak się właściwie kupuje samochód? I ile może kosztować? Uważaj teraz na dzieci. Ciekaw jestem, jak drogi może być ten. Zapytamy. To nic nie kosztuje. Możemy

zapytać, jak myślisz? Nie dam ani grosza ponad siedemdziesiąt pięć, bo nie starczy na podróż do Kalifornii.

Boże, gdybym tylko mógł dostać ze sto gruchotów! Na chodzie albo i nie na chodzie, mniejsza o to.

Opony zużyte, zdarte, poukładane w wysokie stosy. Dętki czerwone, szare, wiszące jak kiełbasy.

Łaty do opon? Filtr? Urządzenia wzmacniające iskry zapłonu? Wrzuci pan tę pigułeczkę do zbiornika i ma pan dziesięć mil ekstra na każdy galon benzyny. Pomaluje pan wóz za pięćdziesiąt centów i będzie jak nowy. Wycieraczki, paski do wentylatorów, uszczelki? A może chodzi panu o zawór? Niech pan kupi nowy drażek popychający. Cóż to kosztuje – grosze!

Dobra jest, Joe! Ty ich obrób, a potem przyślij do mnie. Już ja ich przycisnę: albo kupią, albo flaki z nich wypruję. Nie przysyłaj ich, póki nie będą gotowi. Ja mogę tylko dobijać targu.

Tak, proszę pana, może pan tu pozwoli. Może pan zrobić dobry interes. Za jedyne osiemdziesiąt dolarów wóz jak się patrzy.

Nie mogę dać więcej niż pięćdziesiąt. Pański pomocnik tam przed domem powiedział pięćdziesiąt.

Pięćdziesiąt? Pięćdziesiąt?! Oszalał! Sam zapłaciłem siedemdziesiąt osiem. Pięćdziesiąt za ten wóz! Joe, ty kiepski wariacie, chcesz nas z torbami puścić? Co ja mam z tym chłopakiem! Ostatecznie mógłbym wziąć sześćdziesiąt. Ale, proszę pana, ja nie mam czasu targować się z panem cały dzień. Interes interesem, ale pan nie jest jedynym klientem. Może pan ma coś do sprzedania?

Mam parę mułów, które chcę sprzedać.

Mułów! Halo, Joe, słyszałeś coś podobnego? Gość chce sprzedać parę mułów. To pan nie wie, że żyjemy w wieku maszyn? Po kiego licha potrzebne komu muły, chyba na klej?

Duże, piękne muły, jeden ma pięć, drugi siedem lat. Ale może lepiej rozejrzymy się jeszcze gdzie indziej.

Rozejrzycie się gdzie indziej! Przychodźcie, kiedy jesteśmy zajęci, zabieracie nam czas, a teraz idziecie sobie. Joe, dlaczego nie powiedziałeś mi od razu, że to kanciarze?

Nie jestem żaden kanciarz. Chcę kupić samochód. Jedziemy do Kalifornii. I muszę mieć wóz.

Frajer ze mnie. Joe zawsze mówi, że jestem frajer. Powiada, że jeśli nie przestanę robić ludziom prezentów, to zdechnę z głodu pod płotem. Powiem panu szczerze: mogę dostać po pięć dolarów za muła, sprzedając je na mięso dla psów.

Nie chciałbym, żeby poszły na mięso dla psów.

No dobrze, może uda mi się wyciągnąć za nie po siedem lub osiem dolarów. Powiem panu, jak ostatecznie zrobimy. Weźmiemy muły za dwadzieścia, zgoda? Razem z wozem, naturalnie. A pan zapłaci gotówką pięćdziesiąt i podpisze zobowiązanie, że resztę przyśle ratami po dziesięć dolarów miesięcznie.

Ale przecież pan powiedział osiemdziesiąt.

A o opłatach stemplowych i kosztach ubezpieczenia to pan nie słyszał? To zawsze trochę podnosi cenę. Spłaci pan wszystko w ciągu czterech, pięciu miesięcy. Niech pan się tu podpisze, a resztą już my się zajmimy.

Ano, sam nie wiem...

No więc, weź pan na rozum. To tak, jakbym oddawał panu ostatnią koszulę. I zajął mi pan tyle czasu. Mógłbym załatwić ze trzy sprzedaże zamiast tu sobie strzępić język z panem. Aż mi się rzygać chce. Tak, podpisuje pan tutaj. W porządku. Joe, napełnij bak temu panu. Benzynę damy gratis.

Rany boskie, Joe, ale twardy facet! Ile to sami zapłaciliśmy za tego grata? Trzydzieści... nie, trzydzieści pięć. Wziąłem te muły i jeżeli nie sprzedam ich za siedemdziesiąt pięć dolarów, to żaden ze mnie kupiec. Gotówką dostałem pięćdziesiąt, a umowę podpisał gość na czterdzieści. Wiem, że nie wszyscy oni są uczciwi, ale nie masz pojęcia, ilu przynosi w zębach należność co do grosza. Jeden przyszedł ze stówką w dwa lata po tym, jak wpisałem go na konto strat. Założę się, że ten chłopak przyśle pieniądze. Psiakrew! Gdyby tak udało się zdobyć pięćset gruchotów. Zakasz rękawy, Joe. Idź, obrabiaj klientów i przysyłaj ich do mnie. Z ostatniej sprzedaży masz u mnie dwadzieścia. Nie możesz chyba narzekać.

Wiotkie chorągiewki w południowym słońcu. Napisy: „Dziś nowe okazje”, „Ford 29 w dobrym stanie”.

A co chcielibyście za pięćdziesiąt dolców – może zephyra?

Sterczące z poduszek siedzeń kłaki włosów, pogięte błotniki naprostowane młotkiem. Poodrywane i zwisające zderzaki. Luksusowy sportowy ford z dwiema kolorowymi lampkami na froncie i trzema z tyłu. Błotniki i duża

gałka na dźwigni biegów. Piękna kolorowa dziewczyna i jej imię „Cora” na pokrowcu zapasowej opony. Popołudniowe słońce na zakurzonych przednich szybach.

Cholera! Nie miałem czasu wyjść, żeby coś zjeść. Joe, poślij chłopaka po hamburgery.

Rozdygotany warkot starych silników.

Joe, jakiś frajerowaty bubek gapi się na chryslera. Idź i wymacaj, czy ma trochę grosza przy duszy. Czasem taki prostak ze wsi potrafi zbić trochę gotówki. Obrób go, a potem przyślij do mnie. Postaraj się, chłopie.

Jasne, że wóz sprzedany. Gwarancja? Owszem, gwarantujemy, że to samochód, a nie maszyna do szycia. Nie gwarantowaliśmy, że będziemy go niańczyć. Słuchaj no pan: kupił pan wóz, a teraz się pan ciska. Nie będzie pan płacił rat – guzik mnie to obchodzi. Nie mamy pańskiej umowy. Poszła już do spółki finansowej. Oni będą się z panem rozprawiali, nie my. Nie trzymamy u siebie żadnych papierów. Tak, proszę pana. I nie stawiaj się pan, bo wezwę policjanta. Nie, panie, opon nie zamieniliśmy. Joe, wyprowadź tego gościa. Kupił samochód, a teraz jest niezadowolony. Co by pan powiedział, gdybym kupił befsztyk, zjadł połowę, a resztę chciał zwrócić. To jest interes handlowy, a nie instytucja dobroczynna. Widziałeś coś podobnego, Joe? Oho, popatrz no tam! To jakaś gruba ryba. Leć! Pokaż im tego pontiaca 36. Jazda!

Maski kwadratowe, maski okrągłe, maski zardzewiałe, maski jak łopaty. Długie, opływowe linie i płaskie kształty dawniejszych modeli. Ogłoszenie: „Dziś okazje”. Przedpotopowe potwory o wyściełanych siedzeniach, łatwe do przerobienia na ciężarówkę. W palącym popołudniowym słońcu dwukołowe przyczepy o zardzewiałych osiach. „Samochody używane. Samochody używane w dobrym stanie. Czyste. Na chodzie. Małe zużycie benzyny”.

Joe, spójrz no na ten samochód. Musiał być kiedyś w dobrych rękach.

Cadillaki, la salle’e, buicki, plymouthy, packardy, chevrolety, ford, pontiaki. Rząd za rzędem, z reflektorami połyskującymi w słońcu. Dobre używane wozy.

Obrób ich, Joe! Boże, gdybym tak miał z tysiąc gruchotów! Obrób ich i przyślij do mnie. Już ja resztę załatwię.

Jedziecie do Kalifornii? Oto wóz, jakiego wam trzeba. Wygląda na sfatygowany, ale odwali jeszcze tysiąc mil.

Stoją rzędem jeden obok drugiego. Samochody używane w dobrym stanie. Okazyjne. Czyste. Na chodzie.

Rozdział 8

Niebo szarzało pośród gwiazd, blady sierp księżyca lśnił niematerialnym, skąpym blaskiem. Tom Joad i kaznodzieja kroczyli szybko drogą, która była właściwie tylko ubitym szlakiem pojazdów kołowych i gąsienicowych ciągników poprzez pole bawełny. Jedyne niewyraźnie rysujące się niebo wskazywało zbliżanie się świtu, a linia widnokregu widoczna na wschodzie ginęła z oczu ku zachodowi. Dwaj wędrowcy szli w milczeniu, oddychając zapachem kurzu, który wzbijali nogami.

– Mam nadzieję, że znacie dobrze drogę – odezwał się Jim Casy. – Nie chciałbym znaleźć się o świcie na drodze do piekła, lichy wie gdzie.

Plantacja bawełny zaczynała pulsować budzącym się życiem: ptaki szukające pożywienia trzepotały się żywo przy ziemi. Spłoszone króliki śmigały ponad bruzdami. Ciche stąpanie ludzkich stóp i chrzęst grudek ziemi rozgniatanych butami wdzierały się w tajemnicze odgłosy świtu.

– Mógłbym zamknąć oczy i trafiłbym na miejsce – odpowiedział Tom. –

Zbłądziłbym tylko wtedy, gdybym się zaczął zastanawiać nad drogą. Najlepiej nie myśleć o niej, a wtedy nogi same niosą. Przecież, do licha, urodziłem się tutaj. Obiegnę całą tę okolicę, kiedy byłem szczeniakiem. O, tam jest drzewo – spójrzcie, widać je już! Kiedyś mój stary powiesił na nim zdechłego kojota. Wisiał dopóty, dopóki nie zgnił i nie spadł na ziemię. Wyglądał jak zasuszony. Rety! Mam nadzieję, że matka coś tam pitrasi. Czuję pustkę w brzuchu.

– Ja to samo – przyznał się Casy. – Chcecie trochę tytoniu do żucia? Można tym oszukać głód. Nie dokuczałby nam, gdybyśmy nie wyruszyli tak wcześnie. Za dnia człowiek raźniej się czuje. – Urwał, by odgryźć kawałek prasowanego tytoniu. – Spałem doskonale.

– To ten zwariowany Muley – powiedział Tom. – Przez niego jestem dziś taki nerwowy. Budzi mnie i powiada: „Bywaj zdrow, Tom, odchodzę. Muszę jeszcze zajść w różne miejsca”. I jeszcze mówi: „I wy lepiej

zabierajcie się stąd, zanim się rozwidni”. Od czasu jak prowadzi takie życie, zrobił się płochliwy jak zajac. Myślałby kto, że go ścigają Indianie. On ma chyba bzika, nie sądzicie?

– Hm, nie wiem. Widzieliście wczoraj ten samochód, który nadjechał, gdyśmy rozpalili ognisko. Widzieliście, jak zrujnowany jest dom. Tu się dzieje coś bardzo złego. Jasne, że Muley jest pomyłony – i nic dziwnego. Wałęsa się jak kojot, można od tego zwariować. Tylko patrzeć, jak zakatrupi kogoś, a wtedy go psami wytropią. Mogę to śmiało przepowiedzieć. Będzie z nim coraz gorzej. Powiadacie, że nie chciał iść z nami?

– Nie – odparł Joad. – Wydaje mi się, że boi się teraz ludzi. Dziwię się, że podszedł do nas. O wschodzie słońca będziemy u stryja Johna.

Szli jakiś czas w milczeniu. Nad nimi przelatywały spóźnione sowy, śpieszące, aby jeszcze przed świtem skryć się po stodołach, dziuplach i zakamarkach. Niebo na wschodzie stawało się coraz jaśniejsze, można już było dojrzeć krzaczki bawełny i szarzejącą ziemię.

– Niech mnie diabli porwą, jeżeli wiem, jak oni wszyscy mieszczą się u stryja Johna. Ma tylko jedną izbę, kuchnię i małą stodołkę. Musi tam być teraz niezgorszy tłok.

Pastor odparł:

– Nie przypominam sobie, żeby John miał rodzinę. Mieszkał sam, prawda? Nie pamiętam go zresztą dobrze.

– Sam jak palec – opowiadał Joad. – Też kawał wariata – coś jak Muley, tylko pod niektórymi względami gorszy. Można go było spotkać wszędzie: W Shawnee na pijaństwie albo u pewnej wdowy, do której latał jak opętany trzydzieści mil, albo tłukącego się po nocy z latarnią koło gospodarstwa. Kopnięty! Wszyscy myśleli, że chłop długo nie pociągnie. Takie odludki nie żyją długo. Ale stryj John jest starszy od ojca. Tyle że z roku na rok chudszy i coraz bardziej żyłasty. Chudszy niż dziadek.

– Patrzcie, dnieje – zauważył pastor. – Jaki srebrny świt! Czy stryj John nigdy nie miał rodziny?

– Miał, miał, ale wtedy się właśnie pokazało, co to za człowiek. Zawsze wszystko robił po swojemu. Ojciec nam o tym opowiadał. Stryj John miał młodą żonę. Żyli ze sobą cztery miesiące. Kobieta spodziewała się dziecka. Którejś nocy chwyciły ją jakieś bóle i mówi do męża: „Musisz pojechać po doktora”. A stryj ani się ruszy i powiada: „Zjadłaś za dużo, to cię brzuch

musi boleć. Weź proszek na bóle. Opchałaś się i boli cię żołądek”
A na drugi dzień w południe kobieta straciła przytomność, no i koło czwartej po południu skołała.

– A co to było? – zapytał Casy. – Zatrula się czym?

– Nie, coś tam w niej pękło. Ślepa kiszka czy coś takiego. No, ale stryj John, choć zawsze brał rzeczy lekko, bardzo się tym przejął. Uważał, że to jego grzech. Przez długi czas ust do nikogo nie otwierał. Wałęsał się tylko tu i tam, jak gdyby nic nie widząc, i modlił się trochę. Dwa lata minęły, zanim się z tego otrząsnął, ale nigdy już nie był taki jak dawniej. Na mózg mu padło. Wciąż było z nim jakieś zawracanie głowy. Ile razy któreś z nas, bębnow, miało robaki albo go brzuch zabolął, stryj John od razu sprowadzał doktora. Ojciec w końcu powiedział mu, żeby dał z tym spokój. Dzieciaki zawsze przecież chorują na żołądek. Stryj ubrdał sobie, że to z jego winy żona mu umarła. Trudno było chłopu zrozumieć. Żeby to odpokutować, ciągle coś robi dla innych: daje dzieciom upominki, podrzuca ludziom na próg worki mąki. Rozdaje prawie wszystko, co ma, ale i tak nie jest szczęśliwy. Czasami włóczy się samotnie po nocy. Ale rolnik z niego dobry. O ziemię potrafi dbać.

– Biedny człowiek – westchnął pastor. – Biedny samotnik. Czy chodził do kościoła po śmierci żony?

– Nie, wcale nie chodził. Nie chciał zbliżać się do ludzi. Wolał być sam. Nie znałem dzieciaka, który by nie przepadał za nim. Przychodził do nas czasem wieczorem i wtedy każde z nas, dzieci, wiedziało, że pod poduszką znajdzie paczuszkę gumy do żucia. Uważaliśmy go za wszechmocnego Boga.

Pastor kroczył w milczeniu ze spuszczoną głową. Nie odpowiedział Tomowi. Światło wstającego ranka sprawiało, że czoło jego zdawało się jaśnieć. Ręce, którymi wymachiwał, to migały w blasku, to znów nikły w mroku.

Tom również zamilkł, jak gdyby zwierzył się z rzeczy zbyt poufnej i wstydził się tego. Przyśpieszył kroku, pastor podążył za nim. Teraz w szarej dali przed sobą mogli już coraz więcej dojrzeć. Spomiędzy rządów bawełny wypełził powoli na drogę wijący się wąż. Tom przystanął i przyjrzał mu się.

– To zaskroniec, niech sobie idzie.

Wyminęli węża i poszli dalej. Niebo na wschodzie zabarwiło się z lekka i niemal natychmiast samotne światło brzasku rozlało się po ziemi. Krzaczki bawełny nabierały coraz bardziej zielonej barwy, ziemia stała się szarobrązowa. Z twarzy wędrowców znikał szarawy poblask. Twarz Joada, w miarę jak wstawał dzień, wydawała się coraz ciemniejsza.

– Ładnie jest o tej porze – powiedział Joad miękko. – Jako mały chłopak zrywałem się nieraz i włóczyłem samotnie, kiedy było tak jak teraz. Co to się dzieje tam przed nami?

Na drodze odbywało się zebranie całej gromady psów ku czci suki. Pięć psów – różnorakich kundli, których rasy zatarła swoboda życia towarzyskiego – ubiegało się o względy suki. Każdy pies rozpoczynał od wytwornego obwąchiwania, potem kroczył na sztywnych łapach pod krzak bawełny, podnosił ceremonialnie tylną łapę, podlewał krzak i wracał, by znów przystąpić do obwąchiwania. Joad i pastor przystanęli, żeby popatrzeć. Joad parsknął wesołym śmiechem, wołając:

– O, jak Boga kocham!

W tej właśnie chwili wszystkie psy spotkały się, sierść im się zjeżyła. Warczały, wyprężone, czekając, który pierwszy da sygnał do walki. Nagle jeden z nich dosiadł suki, inne ustąpiły przed faktem dokonany i przyglądały się z zainteresowaniem, wywiesiwszy jęzory ociekające śliną. Dwaj mężczyźni poszli dalej..

– Do licha! – powiedział Joad. – Zdaje mi się, że ten na wierzchu to nasz Filut. A myślałem, że już nie żyje, Filut, chodź tu! – Roześmiał się znowu. –

Ech, u diabła, gdyby mnie ktoś w takiej chwili wołał, też bym nie słyszał. Przypomina mi to historię, jaką opowiadano o Willym Feeleyu. Jako młody chłopak Willy był wstydlivy, strasznie wstydlivy. Któregoś dnia zabrał jałówkę do buhaja Gravesów. Nie zastał tam nikogo prócz Elsie Graves, a ta znów niczego się nie wstydziła. Willy stał, gapił się, czerwony jak rak, i zapomniał języka w gębie. A Elsie powiada: „Wiem, po co przyszedłeś, byk jest za stodołą”. No, więc zaprowadzili tam jałówkę i usiedli na płocie, żeby się przyglądać. Po chwili Willy miał ochotę uciekać. Elsie spojrzała na niego i pyta z głupia frant: „Co się z tobą dzieje, Willy?”. A Willy nie mógł już usiedzieć: „Jak Boga kocham – mówi – chciałbym robić to samo”. A Elsie na to: „Czemu nie, Willy? To przecież twoja jałówka”.

Pastor roześmiał się cicho.

– Wiecie, że to dobrze nie być już pastorem. Nikt mi przedtem nie opowiadał takich historii, a nawet gdyby mi opowiadali, nie mógłbym się śmiać. I nie wolno mi było zakłąć porządnie. Teraz klnę, ile chcę i kiedy mi się podoba, a to dobrze robi, jeśli można zakłąć, gdy ma się ochotę.

Na wschodzie niebo nad horyzontem poczerwieniało, na ziemi zaczęły głośno świergotać ptaki.

– Patrzcie – odezwał się Joad. – tam, prosto przed nami. To zbiornik na wodę stryja Johna. Wiatraka jeszcze nie widać, ale to jest zbiornik. Widzicie go na tle nieba? – Przyśpieszył kroku. – Ciekaw jestem, czy też zastanę wszystkich?

Nad wzgórzem wznosił się kadłub zbiornika. Joad, idący szybkim krokiem, wzbijał wokół siebie chmurę kurzu sięgającą mu po kolana.

– Chciałbym wiedzieć, czy matka...

Dojrzeli teraz podstawę zbiornika, domek – małe czworoboczne pudło, niemalowane i nagie, i stodołę skurczoną pod niskim dachem. Z blaszanego komina unosił się nad daszkiem dym. Na podwórzu widniał stos rupieci, różnorakie sprzęty, skrzydła i motor wiatraka, łóżka, krzesła, stoły.

– O, do diabła! Szykują się do wyjazdu! – zawołał Joad.

Przed domkiem stała ciężarówka o wysokich bokach, ale dziwna jakaś ciężarówka, z przodu bowiem miała wygląd krytego samochodu osobowego, z tyłu zaś odcięto połowę jej nadwozia i umocowano na jego miejscu skrzynię ładunkową. Gdy Joad i pastor podeszli bliżej, z podwórza dobiegł stuk młotka, gdy zaś zza widnokręgu wychylił się rąbek olśniewającego słońca i promienie jego padły na wóz, ujrzeli mężczyznę, który coś przybijał, i błysk podnoszącego się i spadającego młotka. Okna domku zapłonęły w słońcu. Drewniane, zniszczone przez niepogody ściany lśniły w jego blasku. Dwa ryże kurczaki na podwórzu zabłyśły jak płomień.

– Nie krzyczcie – prosił Tom. – Zaskoczmy ich po cichu.

Ruszył tak szybko, że tuman kurzu wzbił się na wysokość jego piersi. Wreszcie doszli do skraju bawełnianego pola. Znaleźli się teraz na właściwym podwórzu, na twardo ubitej, lśniącej ziemi, po której gdzieś pełzały zakurzone chwasty. Joad zwolnił kroku, jak gdyby obawiał się iść dalej. Pastor, który go obserwował, zwolnił również. Tom postąpił jeszcze kilka kroków naprzód i z zażenowaniem zboczył ku ciężarówce. Był to sześciocylindrowy wóz marki Hudson Super z przepołowionym nadwoziem. Stary Tom Joad stał w samochodzie i wbijał

gwoździe w górne listwy bocznych ścian skrzyni ciężarówki. Jego twarz, okryta siwym zarostem, pochylała się nisko nad robotą, z ust sterczało mu kilka gwoździ. Przyłożył gwoźdź do deski i wbił go, waląc głośno młotkiem. Z domu dobiegło trzaśnięcie drzwiczek od pieca. Tom podszedł do samochodu i oparł się o jego bok. Ojciec popatrzył na niego, ale go nie dostrzegł. Przytknął następny gwoźdź i wbił go z boku. Stadko gołębi zerwało się z pokrywy zbiornika, zatoczyło krąg w powietrzu, osiadło z powrotem i podreptało na skraj, by rozejrzeć się po podwórzu – białe, niebieskie, szare gołębie o skrzydłach mieniących się tęczowo.

Joad chwycił palcami najniższą listwę boku ciężarówki. Spojrzał w górę na siwego starca na samochodzie. Zwilżył językiem pełne wargi i powiedział cicho:

– Tato!

– Czego tam? – mruknął stary Tom z ustami pełnymi gwoździ.

Na głowie miał czarny, brudny pilśniowy kapelusz. Ubrany był w niebieską koszulę roboczą i kamizelkę bez guzików. Spodnie przytrzymywał szeroki pas ze skóry, jakiej używa się na uprząż, z wielką kwadratową mosiężną klamrą. Skóra i metal lśniły wypolerowane długoletnią służbą. Rękawy koszuli opinały mu się na ramionach o wydatnych mięśniach. Był szczupły w biodrach, miał płaski brzuch i krótkie, ciężkie, mocne nogi. W twarzy starego Joada, obramowanej szczeciniastym, siwym zarostem, najbardziej przyciągała uwagę silna, wystająca broda, uwydatniona jeszcze bardziej przez ów zarost, w tym miejscu mniej siwy. Skóra na wygolonych kościach policzkowych była brunatna jak gliniana fajka, a od kącików oczu rozchodziły się promieniste zmarszczki powstałe od ciągłego mrużenia powiek. Żrenice miał ciemnopiwe jak ziarnka kawy. Gdy na coś patrzył, wysuwał głowę do przodu, bo ciemne, błyszczące oczy były już słabe. Wargi, z których sterczały duże gwoździe, były wąskie i czerwone.

Zatrzymał młotek w powietrzu, przygotowując się do wbicia następnego gwoździa i spojrzał sponad ciężarówki na Toma. Wyglądało, jakby był niezadowolony z tego, że mu przeszkodzono. I naraz broda jego wysunęła się do przodu, spojrzał prosto w twarz Toma i stopniowo do mózgu jego dotarła świadomość, na kogo patrzy. Powoli opuścił wzdłuż boku dłoni z młotkiem, a lewą ręką wyjął z ust gwoździe. Potem powiedział ze zdumieniem, jakby sam siebie zawiadamiał o tym fakcie:

– To Tommy... – I dalej wciąż jeszcze jak gdyby informując sam siebie: – To Tommy wrócił do domu. – Znów otworzył usta, w oczach jego pojawił się lęk. – Tommy – zapytał cichutko – aleś ty chyba nie nawiał? Nie potrzebujesz się ukrywać?

Czekał z niepokojem na odpowiedź.

– Nie – uspokoił go Tom. – Puścili mnie warunkowo. Jestem wolny. Mam papiery. – Zacisnął palce na dolnych listwach ściany wozu i spojrzał w górę.

Stary Tom położył delikatnie młotek na dnie ciężarówki i wsypał gwoździe do kieszeni. Przerzucił nogę przez ścianę skrzyni samochodu i zeskoczył lekko na ziemię, lecz gdy znalazł się obok syna, wydawał się dziwnie zakłopotany.

– Tommy – powiedział – my jedziemy do Kalifornii. Chcieliśmy do ciebie o tym napisać. – I dodał z niedowierzaniem: – Ale wróciłeś. Możesz jechać z nami! Możemy jechać razem.

W domu brzęknęła pokrywka od dzbanka do kawy. Stary Tom obejrzał się przez ramię.

– Zróbmy jej niespodziankę – zaproponował i oczy zabłyśły mu z podniecenia. – Matka ciągle miała przeczucia, że już cię nigdy więcej nie zobaczy. Spogląda tak smutno, jakby ktoś w domu umarł. Ledwie się zgodziła jechać do tej Kalifornii, bo bała się, że cię już nie ujrzy.

Z domu znowu doleciało trzaśnięcie drzwiczek od pieca.

– Zróbmy jej niespodziankę – powtórzył stary Tom. – Wejdźmy tak, jakbyś nigdy stąd nie odjechał. Zobaczymy, co powie matka.

Dotknął wreszcie syna, kładąc mu nieśmiało rękę na ramieniu; zaraz ją jednak cofnął. Wzrok jego padł na Jima Casy. Tom wyjaśnił:

– Pamięta ojciec naszego pastora? Przyszedł tu razem ze mną.

– To on też siedział w więzieniu?

– Nie. Spotkałem go w drodze. Wędrował po świecie.

Ojciec uściśnął z powagą dłoń pastora.

– Radzi wam jesteśmy.

– Cieszę się, że tu przyszedłem – oznajmił Casy. – Warto popatrzeć na powrót syna do domu. Warto.

– Do domu? – powiedział stary.

– Ano, do swoich – poprawił się prędko pastor. – Byliśmy w waszym obejściu dziś w nocy.

Stary wysunął brodę do przodu i przez chwilę patrzył na drogę w stronę swego dawnego domu. Potem zwrócił się do Toma:

– No jakże, będziemy nabierali matkę? – zapytał podniecony. – Może wejdę i powiem: „Mamy gości i trzeba im dać śniadanie”. A może ty wejdiesz i staniesz sobie spokojnie, aż cię zauważy? Jak myślisz? – Twarz jego drgała z podniecenia.

– Nie, lepiej nie nabierajmy matki – odparł Tom. – Mogłaby się przestraszyć.

Dwa wychudzone psy pasterskie nadbiegły wesoło, zwęszywszy jednak obcych, cofnęły się przezornie w tył. Patrzyły czujnie, wymachując z wolna i jak gdyby na wszelki wypadek ogonami, oczy ich jednak i pyski gotowe były do szybkiej reakcji w wypadku wrogiego ataku lub niebezpieczeństwa. Jeden z nich wysunął się naprzód, wyciągnawszy szyję, gotów każdej chwili do ucieczki, powoli zbliżył się do Toma i obwąchał głośno jego łydki. Potem cofnął się i patrzył pytająco na starego Joadę, jakby czekając na jakiś znak od niego. Drugi pies nie był tak odważny. Rozejrzał się wokoło, szukając czegoś, ku czemu mógłby wycofać się z honorem, dostrzegł rude kurczę drepzące obok i skoczył ku niemu. Rozległ się pisk oburzonej kwoki, posypało się rdzawe pierze i kurczę uciekło, machając w pośpiechu krótkimi skrzydełkami. Młody psiak obejrzał się z dumą na ludzi, a potem ułożył się w kurzu, bijąc z zadowoleniem ogonem o ziemię.

– Chodź! – powiedział ojciec. – Wejdźmy teraz. Musi cię zobaczyć. A ja muszę popatrzeć na jej minę. Chodź! Za chwilę będzie wołała na śniadanie. Już dość dawno słyszałem, jak rzuciła boczek na patelnię.

Ruszył przodem przez podwórze pokryte cienką warstwą pyłu. Dom nie miał ganku, tylko jeden stopień przed progiem. Przy drzwiach stał pień, którego wierzch był nierówny, posiekany od długoletniego rąbania na nim. Na drewnianym oszalowaniu domu odcinały się słoje, kurz bowiem wżarł się w miękkie drzewo. W powietrzu unosił się zapach spalonej wierzbiny, a gdy trzej mężczyźni zbliżyli się do drzwi, doleciała ich woń smażonego boczku, mocno przyrumienionych grzanek i ostry aromat kawy bulgoczącej w garnku. Ojciec wszedł i stanął w otwartych drzwiach, wypełniając je swą kręłą, szeroką postacią.

– Matko – odezwał się – przyszli jacyś dwaj ludzie z drogi. Pytają, czy nie mogliby się u nas pożywić.

Tom usłyszał tak dobrze znany głos matki, spokojny, łagodny, przyjazny.

– Niech wejdą – odpowiedziała. – Mamy dużo jedzenia. Powiedz im, żeby umyli ręce. Grzanki już gotowe. Zaraz zdejmę z patelni boczek.

Od strony płyty kuchennej rozległo się skwierczenie topiącego się tłuszczu. Ojciec wszedł do środka i odsłonił drzwi. Wówczas Tom zajrzał i popatrzył na matkę. Zdejmowała z patelni skręcone platy boczku. Drzwiczki piecyka były otwarte i widać tam było dużą blachę grzanek przyrumienionych na brązowo. Matka spojrzała w stronę drzwi, lecz Tom stał tyłem do światła, dojrzała więc tylko ciemną sylwetkę rysującą się na tle jasnego, żółtego słońca. Skinęła uprzejmie głową.

– Proszę do środka. Całe szczęście, że przygotowałam sporo grzanek.

Tom stał i przyglądał się matce. Była to kobieta tęga, ociężała na skutek odbytych porodów i przepracowania, ale nie otyła. Miała na sobie luźną, podobną nieco do habitu suknię z szarej tkaniny, którą kiedyś ozdobił kolorowy deseń, lecz której barwne kwiatki tak wyblakły w praniu, że były już mało co jaśniejsze od tła. Suknia sięgała jej do kostek, mocne, bose, szerokie stopy poruszały się żwawo i zwinnie po izbie. Rzadkie, stalowosiwe włosy zebrane były z tyłu głowy w skąpy, mały węzełek. Silne, upstrzone piegami ręce miała obnażone do łokci, a dłonie pulchne i delikatne jak dłonie małej, puciołowej dziewczynki. Patrzyła w słońce. Na jej pełnej twarzy nie widać było śladu słabości; malowała się w niej stanowczość i dobroć. Orzechowe oczy zdawały się znać wszelkie możliwe tragedie i wszelkie rodzaje bólu i udręki, po których, jak po stopniach, dochodzi się do wyżyn spokoju i nadludzkiej wyrozumiałości. Wydawało się, że uświadamia sobie, przyjmuje i dźwiga z radością rolę opoki rodziny i twierdzy, która nie może paść. A ponieważ stary Tom i dzieci nie odczuwali cierpienia ani lęku, dopóki ona nie zgodziła się z ich istnieniem, nauczyła się nie dopuszczać do siebie myśli o cierpieniu i lęku. Dlatego, gdy zdarzało się coś pomyślnego i oni spoglądali na nią, szukając radości w jej oczach, miała zwyczaj udawać śmiech nawet wtedy, gdy nie było po temu powodu. Ale jeszcze lepszy od radości był spokój. Wszyscy mogli liczyć na jej opanowanie. Skromna, lecz mocna pozycja w rodzinie opromieniła matkę godnością i pełnym spokojem pięknem. Jej ręce uzdrowicielki stały się pewne i opanowane. W roli rozjemcy była bezstronna i nieomylna w sądach jak bogini. Zdawała się wiedzieć, że jeśli ona się zachwieje, cała rodzina dozna wstrząsu, a gdyby kiedykolwiek

załamała się lub poddała rozpacz, rodzina rozpadłaby się, bo znikłaby wola stanowiąca o jej istnieniu.

Patrzyła na podwórze zalane słońcem i na ciemną sylwetkę w progu. Tuż obok stał ojciec, drżąc z podniecenia.

– Prosimy! – zawołał. – Prosimy pana do środka.

Tom jak gdyby zawstydzony przekroczył próg.

Matka spojrzała życzliwie znad patelni. A potem ręka jej opadła z wolna i widelec upadł z hałasem na drewnianą podłogę. Oczy jej rozwarły się szeroko, źrenice rozszerzyły. Oddychała ciężko otwartymi ustami. Przymknęła oczy.

– Bogu niech będą dzięki! – powiedziała wreszcie. – O, Bogu dzięki! –

Nagle twarz jej przybrała wyraz z troskania. – Tommy, czy ciebie nie szukają? Nie uciekłeś?

– Nie, mam. Zwolnili mnie warunkowo. Mam papiery. – Dotknął piersi.

Podeszła ku niemu lekkim, bezszelestnym krokiem, twarz jej była pełna zdumienia. Małą dłonią dotknęła jego ramienia, wyczuła krzepkość mięśni. A potem palce jej powędrowały ku policzkowi syna, błędząc po nim niby palce ślepego. Radość jej wyglądała prawie na smutek. Tom przygryzł dolną wargę.

Oczy matki spoczęły ze zdziwieniem na zranionej wardze. Ujrzała małą smużkę krwi na zębach Toma i kroplę na jego ustach. Wtedy zrozumiała, opanowała się i opuszczała rękę. Oddychała głośno.

– A to dopiero! – wykrzyknęła. – O mało nie odjechaliśmy bez ciebie. Głowiliśmy się, jak nas odnajdziesz.

Podniosła widelec i zamieszawszy wrzący tłuszcz, zdjęła z patelni ciemny płat kruchego boczku. Odstawiła garnek z gotującą się kawą.

Stary Tom chichotał.

– Nabraliśmy cię, co, matko? Chcieliśmy spłatać ci figla i udało się. Stałaś jak baran przeznaczony na rzeź. Szkoda, że dziadek tego nie widział. Wyglądałaś, jakby cię kto zdzielił młotkiem między oczy. A dziadek tak by się pewnie z radości trzepnął w udo, że znowu noga wyskoczyłaby mu ze stawu, jak wtedy, kiedy Al strzelał do tego wielkiego sterowca. Wiesz, Tommy, któregoś dnia nadleciał taki balon długi na pół mili. Al złapał strzelbę i zaczął kroić w niego, ile wlezie. Dziadek wrzeszczy: „Nie strzelaj, błaznie, do nieopierzonych ptaszków! Zaczekaj, aż większy

przyleci”. I jak grzotnie się w udo – od razu noga wyskoczyła mu ze stawu.

Matka zaśmiała się i zdjęła z półki stos blaszanych talerzy. Tom zapytał:

– A gdzie dziadek? Nie widziałem jeszcze starego drania!

Matka postawiła piramidę talerzy na stole kuchennym, a obok zgromadziła kubki. Odpowiedziała tonem poufnej informacji:

– Och, dziadek i babka śpią w stodole. Za często muszą wstawać w nocy. Zawsze potykali się wtedy o dzieciaki.

Ojciec wtrącił:

– Tak, dziadek wściekał się co noc. Zawsze potykał się o Winfielda. Winfield darł się, a stary wpadał w pasję, popuszczał w spodnie i za chwilę było w domu piekło. – Słowa padały wśród wybuchów śmiechu. –

Mieliśmy dobrą zabawę. Którejś nocy, kiedy każdy krzyczał i kłął na czym świat stoi, twój brat Al – niezły z niego teraz kawał łobuza – powiada: „Do diabła, czemu dziadek nie zwieje z domu i nie zostanie korsarzem?”. Na to dziadek tak się wściekł, że pognął po strzelbę. Al musiał tej nocy przespać się w polu. Ale teraz dziadek i babka śpią w stodole.

Matka dodała:

– Mogą po prostu wstać, kiedy poczują potrzebę, i od razu są na dworze. Skocz no, ojciec, do nich i powiedz im, że Tommy wrócił. Dziadek przecież przepadał za nim.

– Racja. Powinienem był to wcześniej zrobić.

Wyszedł i ruszył przez podwórze, wymachując mocno rękami. Tom przyglądał mu się, lecz uwagę jego odwrócił głos matki. Nalewała kawę, nie patrząc na niego.

– Tommy... – odezwała się z wahaniem, niepewnie.

– Co?

Jej onieśmienie udzieliło mu się. Każde wiedziało, że drugie jest zażenowane, i świadomość ta powiększała ich skrępowanie.

– Tommy! Chciałam cię zapytać o jedną rzecz. Nie jesteś rozeźlony?

– Rozeźlony, mam?

– Nie zatrąła cię złość? Nie czujesz nienawiści do ludzi? Nie zrobili ci nic takiego w tym więzieniu, żebyś był teraz wściekły na cały świat?

Popatrzył na nią z ukosa, przyglądając się jej badawczo. Oczy jego zdawały się pytać, skąd mogła wiedzieć takie rzeczy.

– Niece – powiedział przeciągle. – Przez jakiś czas czułem coś podobnego. Ale nie jestem hardy jak niektórzy. Takie rzeczy spływają po mnie. Ale o co mamie chodzi?

Patrzyła teraz na niego, rozchyliwszy usta, jak gdyby chciała słyszeć go lepiej, i przeszywając go wzrokiem, żeby lepiej zrozumieć jego myśli. Jej spojrzenie szukało odpowiedzi, którą można zawsze ukryć w słowach. Powiedziała z zakłopotaniem:

– Znałam chłopca Floydów. Znałam jego matkę. Dobrzy byli ludzie. Chłopaka, jak to chłopaka, ponosiło. – Zamilkła na chwilę, a potem wyrzuciła z siebie potok słów: – Są różne rzeczy, o których nie wiem, ale co wiem, to wiem. Chłopak Floydów coś przeszkrobał, no i skrzywdzili go – złapali i skrzywdzili. Wtedy wściekł się i zaraz potem przeszkrobał coś jeszcze gorszego, a wtedy skrzywdzili go jeszcze mocniej. Minęło trochę czasu i zrobił się z niego wściekły zbój. Strzelali do niego jak do dzikiego zwierza, ścigali jak kojota, a on opędzał się i odgryzał jak wilk. I oszalał na dobre. To nie był już ani chłopiec, ani dorosły chłop, tylko okrutny, oszalały zbój. Ale ludzie znali go i nie krzywdzili. Na nich się nie wściekał. W końcu tamci dopadli go i zabili. Powypisywali o nim Bóg wie co w gazetach, ale naprawdę to było tak, jak mówię. – Urwała i zwilżyła językiem wyschnięte wargi. Cała jej twarz była jednym bolesnym pytaniem. – Muszę wiedzieć, Tommy. Bardzo cię tam skrzywdzili? Doprowadzili cię do szaleństwa jak tamtego?

Grube wargi Toma zacisnęły się mocno na zębach. Spuścił wzrok na swe wielkie, płaskie dłonie.

– Nie – odpowiedział – ze mną nie jest tak źle. – Urwał i przyglądał się swym połamanym paznokciom, porysowanym niby muszle skorupiaków. – Zawsze trzymałem się w więzieniu z daleka od awantur. Nie ma we mnie tyle złości.

– Dzięki Bogu! – szepnęła cicho.

Podniósł na nią szybko oczy.

– Ale kiedy zobaczyłem, mamó, co zrobili z naszym domem...

Podeszła do syna, stanęła tuż przed nim i powiedziała z pasją:

– Tommy, nie waż się sam z nimi zaczynać. Upolują cię jak kojota. Tommy, przemyślałam, przemyślałam to wszystko i zadałam sobie wiele pytań. Powiadają, że takich jak my wygnali z ziemi sto tysięcy.

Tommy! Gdybyśmy wszyscy razem powstałi przeciwko nim, nie odważyliby się prześladować nikogo!

Umilkła.

Tom, który patrzył na nią, stopniowo opuszczał powieki, aż tylko wąska szparka przeblyskiwała spośród rzęs.

– A dużo ludzi tak myśli? – zapytał.

– Nie wiem. Na razie wszyscy są jak otumanieni. Chodzą, jakby na wpół spali.

Z dworu, z podwórza, dobiegł bekliwy starczy skrzek:

– Chwała niech będzie Bogu za zwycięstwo! Chwała niech będzie Bogu za zwycięstwo!

Tom odwrócił głowę, ukazując zęby w uśmiechu.

– Babka dowiedziała się nareszcie, że wróciłem. Mamo – dodał – nigdy mama dotychczas nie bywała taka.

Twarz jej stwardniała, oczy nabrały zimnego blasku.

– Nigdy dotychczas nie zburzono mi domu. Nigdy dotychczas nie wyrzucono mi rodziny na drogę. I nigdy jeszcze nie musiałam się ze wszystkiego wyprzedawać... O, już idą.

Wróciła do pieca i wysypała grube grzanki z dużej blachy na dwa blaszane talerze. Dodała mąki do tłuszczu, żeby przyrządzić sos. Mąka ubieliła jej rękę. Tom śledził przez chwilę jej ruchy, a potem ruszył ku drzwiom.

Przez podwórze szło czworo ludzi. Na czele kroczył dziadek – chudy, obdarty, żwawy staruszek, który podrygiwał szybko, oszczędzając prawą nogę – tę właśnie, która lubiła wyskakiwać ze stawu. Idąc, zapinał rozporek, ale stare palce miały kłopot z namacaniem guzików, bo zapiał górny guzik na drugą z kolei dziurkę, co pogmatwało całą kolejność. Miał na sobie czarne spodnie w strzępach, podartą niebieską koszulę, otwartą od góry do dołu i odsłaniającą długie, szare kalesony, również rozpięte. Otwarta koszula ukazywała białą, zapadniętą pierś porośniętą siwymi, kędzierzawymi kłakami. Dał wreszcie spokój rozporkowi, pozostawił go niezapięty i usiłował z kolei namacać guziki kalesonów; w końcu machnął ręką na wszystko i przypiął brązowe szelki. W chudej, nerwowej twarzy świeciły małe oczka, pełne złośliwości jak oczy rozbrykanego dzieciaka. Była to twarz malkontenta i zrzędy, a zarazem kawalarza i wesołka. Skory był do kłótni i bójki, pierwszy do opowiadania sprośnych kawałów. I wciąż

jeszcze tkwił w nim rozpustnik. Zepsuty, okrutny i niecierpliwy jak rozswawolone dziecko, psocił przede wszystkim dla zabawy. Pił ponad miarę, gdy tylko nadarzała się okazja, objadał się, gdy miał czym, i wciąż za dużo gadał.

Za nim kuśtykała babka, która jedynie dlatego dożyła tak późnego wieku, że była równie grzeszna jak jej małżonek. Podtrzymywała się hałaśliwą, dziką religijnością, tak rozpustną i rozpasaną, jak wszystko, czym potrafił popisywać się dziadek. Pewnego razu, tuż po nabożeństwie, mrużąc jeszcze pod nosem pobożne pacierze, wygarnęła z obu luf dubeltówki do męża, omal nie pozbawiając go połowy pośladka. Po czym dziadek nabrał dla babki wielkiego respektu i nie próbował już więcej dręczyć jej tak, jak dzieci torturują owady. Drepcząc przez podwórze, babka podkasała spódnice do kolan i ostrym, przeraźliwym głosem beczała swój wojenny okrzyk:

– Chwała niech będzie Bogu za zwycięstwo!

Babka i dziadek śpieszyli przez podwórze na wyścigi. Zawsze walczyli ze sobą o wszystko – kochali walkę i potrzebowali jej.

Za nimi statecznie i z godnością, lecz dotrzymując im kroku, szli ojciec i Noah – syn pierworodny, wysoki dziwak, na którego spokojnej i zakłopotanej twarzy malował się wyraz jakby zdumienia. Nigdy w życiu nie uniósł się gniewem. Na ludzi rozgniewanych patrzył z takim zdziwieniem i zażenowaniem, jak normalni ludzie spoglądają na obłąkanego. Poruszał się wolno, a mówił tak powoli, że ci, co go nie znali, uważali go często za tępaka. Nie był jednak tępy, tylko zdziwaczały. Brak mu było ambicji, nie miał żadnych potrzeb seksualnych. Pracował i sypiał w niezwykłych porach, co mu jednak nic nie szkodziło. Przywiązany był do rodziny, ale nigdy tego nie okazywał. Wywierał wrażenie czegoś nieudanego, choć nikt obserwujący go nie umiałby powiedzieć dlaczego i wskazać, co było w nim chybione, głowa, tułów, nogi czy umysł. Ojcu zdawało się, że wie, dlaczego Noah jest taki jakiś niewydarzony, ale wstydził się mówić o tym. Owej nocy, kiedy urodził się Noah, ojciec, zostawszy sam w domu, przerażony widokiem nieszczęsnego, wyjącego z bólu strzępka, jakim stała się jego żona, i jej szeroko rozrzuconych ud, oszalał ze strachu. Użył własnych silnych palców jako kleszczy i wyciągnął dziecko, wykręcając mu członki. Gdy później nadeszła położna, zastała niemowlę ze skręconą główką, naciągniętą szyją

i skrzywionym ciałkiem. Naprostowała główkę i nastawiła członki. Pamięć o tym zawsze nurtowała ojca i napełniała go wstydem. Toteż Noahowi okazywał więcej serca niż innym dzieciom. Szeroka twarz najstarszego syna, jego oczy zbyt daleko od siebie osadzone i długa, słaba szczęka przypominały mu zawsze skręconą, zdeformowaną główkę niemowlęcia. Noah potrafił wykonać wszystko, czego od niego wymagano, umiał czytać i pisać, umiał liczyć, umiał pracować, ale wydawało się, że go to nie interesuje. Był niewrażliwy na wszystko, czego ludzie od niego pragnęli i potrzebowali. Żył jakby w dziwnym, cichym domu, z którego spoglądał na świat spokojnymi oczyma. Był obcy temu światu, ale nie samotny.

Czworo członków rodziny nadeszło z podwórza, a dziadek dopytywał się:
– Gdzież on jest, u diabła, gdzie on jest?

Palce jego usiłowały namacać guzik od spodni i błędząc, zawędrowały do kieszeni. Wtedy dostrzegł stojącego w drzwiach Toma. Stał jak wryty, zatrzymując innych. Jego małe oczka rozbłysły złościwością.

– Patrzcie go! Ptaszek z kryminału! Jak świat światem, żaden Joad nie siedział w więzieniu. – Myśl jego szybko dokonała przeskoku. – Nie mieli prawa pakować go do ciupy. Zrobił tylko to, co ja bym także zrobił. Nie miały skurwysyny prawa. – I znowu myśl jego skoczyła gdzie indziej. –

A stary Turnbull, cuchnący śmierdziel, odgrażał się, że wpakuje ci kulkę w łeb, jak tylko cię wypuszczą. Powiada, że w jego żyłach płynie krew Hatfieldów. No to kazałem mu powiedzieć tak: „Nie zaczynaj z żadnym z Joadów. Bo może ja mam w sobie krew McCoyów”. I jeszcze tak: „Tylko mi popatrz krzywo na Toma, a popamięta to twój tyłek”. Tak powiedziałem. I napędziłem mu stracha.

Babka, która go nie słuchała, zaskrzeczała beklowie:

– Chwała niech będzie Bogu za zwycięstwo!

Dziadek podszedł do Toma i poklepał go po piersi. Oczy śmiały mu się miłością i dumą.

– Jak się masz, Tommy?

– Wspaniale – odpowiedział Tom. – A jak zdrowie dziadka?

– Jestem zdrow jak rydz – odparł starzec. Jego myśli znów skoczyły gdzie indziej. – Sprawdziła się moja przepowiednia, że żadnego Joad nie utrzymają długo w kryminale. Mówiłem: „Tommy wyrwie się z tego więzienia jak byk za płot zagrody”. I tak zrobiłeś. Zejdź mi z drogi, bom głodny.

Przepchnął się do izby, rozsiadł przy stole, nakładł sobie na talerz boczku, dołożył dwie wielkie grzanki, polał to wszystko gęstym sosem i zanim inni zdążyli wejść, miał już pełne usta.

Tom uśmiechnął się do niego tkliwie.

– No, czy to nie drań?

A dziadek tak sobie zapchał usta jedzeniem, że nie mógł nawet nic wybełkotać, lecz jego małe, złośliwe oczka uśmiechały się. Kiwnął gwałtownie głową.

Babka oświadczyła z dumą:

– Gorszego i gorzej klnącego drania święta ziemia jeszcze nie nosiła. Pojedzie do piekła na ożogu, chwała Panu na wysokościach! Chce prowadzić ciężarówkę – dodała z pogardą. – Ale nic z tego!

Dziadek zakrztusił się, na kolana wypadła mu z ust przeżuta papka i zaczął słabo pokasływać. Babka uśmiechnęła się do Toma.

– Flejtuch, co? – zauważyła pogodnie.

Noah stał na progu i wpatrywał się w Toma, lecz zdawało się, że jego szeroko rozstawione oczy patrzą gdzie indziej. Twarz jego była niemal bez wyrazu. Tom odezwał się:

– Jak się masz, Noah?

– Dobrze. A ty? – zapytał z kolei.

W tych kilku słowach było jednak coś krzepiącego. Matka spędziła muchy z sosjerki.

– Nie ma dość miejsca przy stole dla wszystkich – powiedziała. – Niech każdy bierze talerz i siada, gdzie może. Na podwórzu czy gdziekolwiek.

Nagle Tom zawołał:

– Halo! A gdzie się podział nasz pastor? Dopiero co był tutaj. Dokąd mógł pójść?

– I ja go widziałem – dorzucił ojciec – ale odszedł.

Babka zaskrzeczała przeraźliwie:

– Pastor? Macie ze sobą pastora? Dajcie go tu! Pomodli się przed jedzeniem. – I wskazując dziadka, dodała: – Na niego już za późno, on już zjadł. Idźcie po pastora.

Tom wyszedł za próg.

– Hej, Jim! Jim Casy! – wołał, idąc przez podwórze.

Pastor wynurzył się spod zbiornika, gdzie usiadł na chwilę, wstał i ruszył w stronę domu.

– Co wy tu robicie? Chowacie się czy co? – zapytał Tom.
– Ależ nie. Tylko człowiek nie powinien wtykać nosa tam, gdzie rodzina ma jakieś swoje sprawy. Siedziałem tu sobie i rozmyślałem.
– Chodźcie coś zjeść. Babka chce, żebyście odmówili modlitwę.
– Ale ja przecież nie jestem już pastorem – zaprotestował Casy.
– E, chodźcie i zmówcie dla niej ten pacierz. Wam to nie zaszkodzi, a jej zrobi przyjemność.

Weszli razem do kuchni. Matka powiedziała spokojnie:

– Witamy!
– Witamy! Prosimy na śniadanie – dodał ojciec.
– Najpierw modlitwa – domagała się babka. – Najpierw modlitwa.
Dziadek utkwiał gniewny wzrok w Casym, w końcu jednak poznał go.
– A, to nasz pastor! Porządny chłop. Zawsze go lubiłem, szczególnie od czasu, kiedy widziałem... – Tu mrugnął okiem tak lubieżnie, że babka, której wydawało się, iż ma zamiar mówić dalej, zawołała:

– Zamknij gębę, stary, grzeszny capie!

Casy przesunął nerwowo palcami po włosach.

– Muszę wam powiedzieć, że nie jestem już pastorem. Bardzo mi tu u was miło i bardzo jestem wdzięczny za wasze dobre i szlachetne serca, i jeśli wam na tym zależy, to... to odmówię coś w rodzaju modlitwy. Ale pastorem już nie jestem.

– Zmówcie pacierz – poprosiła babka. – I powiedzcie coś o naszym wyjeździe do Kalifornii.

Casy pochylił głowę, inni poszli za jego przykładem.

Matka splotła ręce na brzuchu i również opuściła głowę. Babka skłoniła się tak głęboko, że nos jej zawisł tuż nad talerzem z grzankami i sosem. Tom oparty o ścianę, z talerzem w ręce, pochylił się sztywno, a dziadek przechylił głowę na bok, aby jednym szelmowskim, kpiącym okiem śledzić pastora. Na twarzy Casy'ego malowało się nie rozmodlenie, lecz zamyślenie, a w głosie jego zamiast błagania brzmiał jakby namysł.

– Rozmyślałem – powiedział – oddawałem się rozmyślaniom w górach, niby Jezus, który udał się na pustynię, żeby znaleźć wyjście ze swoich kłopotów.

– Chwała niech będzie Bogu! – wrzasnęła babka, a pastor spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Zdaje się, że Jezus miał tych kłopotów wyżej uszu i nie mógł nic na nie poradzić, pomyślał więc, że to wszystko na diabła się zdało i że nie warto głowić się i walczyć. No i poczuł się zmęczony, bardzo zmęczony i duch Jego wyczerpał się do reszty. Wtedy właśnie pomyślał, że wszystko to diabła warte. No i odszedł na pustynię.

– A-men! – zabeczała babka.

Od lat przywykła wtrącać swoje „amen” w każdą pauzę podczas nabożeństwa. I od tylu lat słuchała słów modlitw czy nauk, nie słysząc ich, tak że przestały one mieć dla niej znaczenie.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem podobny do Jezusa – ciągnął pastor. – Ale byłem tak samo jak On zmęczony i tak samo miałem różne kłopoty; poszedłem więc na pustynię, jak On, niczego ze sobą nie zabierając. Nocami leżałem na wznak i wpatrywałem się w gwiazdy; o świcie wstawałem i przyglądałem się wschodzącemu słońcu; w południe patrzyłem ze wzgórza na okolicę dotkniętą posuchą; wieczorem żegnałem zachodzące słońce. Niekiedy modliłem się jak dawniej. Tylko nie wiedziałem już dobrze, do kogo i o co się modłę. Były tam góry i byłem ja, i nic nas już nie dzieliło. Stanowiliśmy jedność i ta jedność była święta.

– Alleluja! – wyrwała się babka i zakołysała się z lekka w przód i w tył, próbując doprowadzić się do ekstazy.

– I zacząłem rozmyślać, ale nie było to zwykłe rozmyślanie, lecz coś znacznie głębszego. Zastanawiałem się nad tym, że byliśmy święci wtedy, gdy wszyscy stanowiliśmy jedność, i że ludzkość była święta, póki nic jej nie dzieliło. I dopiero wówczas utraciła tę świętość, gdy jakiś nędzny człeczyna pochwycił kęs w zęby i uciekł z nim, nie dając go sobie wydrzeć, wierzgając i walcząc o niego. Tacy właśnie ludzie naruszają świętość. Ale gdy wszyscy pracują razem, nie jeden na drugiego, lecz jakby we wspólnym zaprzęgu dla ogólnego dobra, to jest słuszne, to jest święte. A w końcu przyszło mi do głowy, że nie wiem nawet, co znaczy słowo „święte”.

Zamilkł, lecz pochylone głowy nie drgnęły, słuchacze bowiem byli wytresowani jak psy, żeby podnosić je dopiero na słowo „amen”.

– Nie potrafię odmówić takiej modlitwy jak dawniej. Ale cieszę się świętością tej chwili. Rad jestem, że panuje tu miłość. To wszystko.

Głowy trwały w pochyleniu. Pastor rozejrzał się dokoła i zauważył:

– Ostygło wam przeze mnie śniadanie. – Zorientował się nagle i dodał: – Amen!

Wtedy wszystkie głowy podniosły się. Babka wrzasnęła: „Amen!”, i rzuciła się na jedzenie. Twardymi, bezzębnymi starczymi dźwiągami kruszyła rozmiękle w sosie grzanki. Tom jadł szybko, a ojciec napychał sobie usta. Nie padło ani jedno słowo, dopóki jedzenie nie znikło i kawa nie została wypita. Słyszeć było tylko odgłos przeżuwanego jadła i siorbanie kawy studzonej wargami, zanim dostała się na język. Matka obserwowała jedzącego pastora, a oczy jej były pytające, badawcze i pełne zrozumienia. Patrzyła na niego tak, jak gdyby nagle stał się duchem i nie miał już w sobie nic ludzkiego, jakby przemienił się w jakiś głos z głębi ziemi.

Mężczyźni skończyli, odstawili talerze, wysączyli resztę kawy i wszyscy razem wyszli na podwórze – ojciec, pastor, Noah, dziadek i Tom. Ruszyli ku ciężarówce, omijając stos mebli, drewniane łóżka, części wiatraka, stary pług. Podeszli do samochodu i stanęli przy nim, dotykając świeżych sosnowych desek.

Tom podniósł maskę i zajrzał do wielkiego, zaolejonego silnika. Ojciec zbliżył się i powiedział:

– Twój brat Al obejrzał ten samochód, zanim go kupiliśmy. Mówi, że jest w porządku.

– Co on może wiedzieć? Przecież to smarkacz – powiedział z powątpiewaniem Tom.

– Pracował już dla spółki. W zeszłym roku prowadził ciężarówkę. Coś niecoś tam wie. Sprytny chłopak. Zna się na rzeczy. Od biedy potrafi nawet naprawić silnik.

– A gdzie on jest teraz?

– Ano lata za dziewczynami jak kot w marcu. Zalata się kiedy na śmierć. Chłopak niedawno skończył szesnaście lat, a już go rozpiera. Poza silnikami i dziewczuchami świata bożego nie widzi. Ladaco! Już z tydzień nie nocuje w domu.

Dziadek, macając się po piersi, zdołał wreszcie zapiąć guziki swej niebieskiej koszuli na dziurki kamizelki. Czuł pod palcami, że coś jest nie w porządku, ale nie przejmował się tym aż tak, aby szukać przyczyny. Palce jego powędrowały niżej, usiłując uporać się z zawłościami rozporka.

– Ja byłem jeszcze gorszy niż Al – oznajmił z błogą miną. – Gdzie mu tam do mnie! Nie było większego kata na dziewczyny. Pamiętam odpust

w Sallisaw, miałem wtedy parę lat więcej niż Al. Al to jeszcze szkrab, mleko ma pod nosem. A ja już byłem wtedy starszy. No więc, poszliśmy na ten odpust. Zebrało się z pięćset osób, a od jałówek aż się roilo.

– Dziadek i dziś wygląda na zbereźnika – zauważył Tom.

– A bo i jestem. Ale daleko mi do tego, czym byłem. Niech tylko dostanę się do tej Kalifornii, gdzie będę mógł zrywać pomarańcze, kiedy mi się tylko zachce! I winogrona. Tego mi nigdy nie będzie za dużo. Zerwę z krzaka czy gdzie tam to rośnie całe wielkie grono, rozgniotę je sobie na gębie, niech mi sok po brodzie cieknie.

Tom zapytał:

– A gdzie jest stryj John? Gdzie Rosasharn? Gdzie są Winfield i Ruthie? Nikt o nich jeszcze ani słówkiem nie wspomniał.

– A bo nikt nie pytał – odpowiedział ojciec. – John wybrał się do Sallisaw z kupą rzeczy na sprzedaż: z pompą, narzędziami, kurczętami i różnymi tam gratami, któreśmy tu przytaszczyli. Zabrał ze sobą Ruthie i Winfielda. Wyruszyli przed świtem.

– Że też nie spotkałem go po drodze – zdziwił się Tom.

– A boś ty przyszedł pewno od głównej szosy, co? A stryj pojechał boczną drogą, na Cowlington. Rosasharn mieszka teraz u rodziny Conniego. Mój Boże! Ty nawet nie wiesz, że Rosasharn wyszła za Conniego Riversa. Pamiętasz go? Miły chłopak. Rosasharn spodziewa się dziecka za jakieś cztery, pięć miesięcy. Zaczyna już robić się gruba. Ładnie wygląda.

– Rety! – zawołał Tom. – Przecież kiedy wyjeżdżałem, Rosasharn to był jeszcze mały brzdąc, a teraz będzie miała dziecko. Do diabła, dużo rzeczy może się wydarzyć w ciągu czterech lat, gdy człowiek przebywa poza domem. Kiedy myślicie ruszać na zachód, tato?

– Ano musimy wsadzić na samochód te wszystkie graty i sprzedać je. Liczyłem, że gdyby Al wrócił dziś z zalecanek po okolicy, załadował rzeczy na ciężarówkę i wywiózł je do miasta, moglibyśmy wyruszyć jutro lub pojutrze. Nie mamy za dużo pieniędzy, a ludzie mówią, że do tej Kalifornii jest opętane dwa tysiące mil. Im prędzej wyruszymy, tym większa pewność, że tam dotrzemy. Pieniądze ciągle topnieją. A ty masz trochę grosza?

– Tylko parę dolarów. A skąd wy macie pieniądze?

– No cóż, sprzedaliśmy wszystko, co było w zagrodzie, wszyscy pracowaliśmy przy zbiorze bawełny, nawet dziadek.

– Jeszcze jak! – potwierdził staruszek.

– Nasze zarobki złożyliśmy razem i zebrało się dwieście dolarów. Za tę ciężarówkę daliśmy siedemdziesiąt pięć. Przepiłowaliśmy z Alem budę i zrobiliśmy z zamkniętego samochodu otwarty wóz. Al miał jeszcze podszlifować zawory, ale zanadto jest zajęty wałęsaniem się po okolicy, żeby móc się do tego zabrać. Wyjeżdżając, będziemy może mieli z półtorej setki. Na tych przeklętych starych oponach nasza ciężarówka daleko nie zajędzie. Mamy kilka zapasowych, ale też zużyte. Może coś się znajdzie po drodze.

Słońce, rażąc pionowo z góry, kąsało dotkliwie swymi promieniami. Cień ciężarówki kładł się ciemnym pasmem na ziemi, od wozu załatywał zapach smaru, ceraty i farby. Kurczęta opuściły podwórze, kryjąc się przed słońcem w szopie z narzędziami. Świnie leżały, dysząc tuż pod parkanem, który rzucał nikły cień, i od czasu do czasu skarżyły się, kwicząc przeraźliwie. Dwa psy wyciągnęły się w czerwonym pyłe pod ciężarówką i wywiesiwszy okryte kurzem i ociekające śliną jęzory, dyszały ciężko. Ojciec nacisnął kapelusz na oczy i przykucnął, jak gdyby była to naturalna pozycja do rozmyślań i obserwacji; przyjrzał się krytycznie Tomowi, jego nowej, ale już zbakierowanej czapce, garniturowi i nowym trzewikom.

– Czy na ten przyodziełek wydałeś, własne pieniądze? – zapytał. – Bo takie ubranie sprawi ci tylko kłopot.

– Dostałem je – odpowiedział Tom. – Dali mi je, gdy wychodziłem z więzienia.

Zdjął czapkę, przyjrzał się jej z pewnym podziwem, otarł nią czoło, włożył ją z powrotem na bakier i pociągnął za daszek.

– Dali ci ładną parę butów – zauważył ojciec.

– Tak – przyznał syn – bardzo ładnie wyglądają, ale w skwar niedaleko w nich człowiek zajdzie. – Przykucnął obok ojca.

Noah powiedział powoli:

– Jeżeli boki ciężarówki są już przybite na fest, moglibyśmy załadować rzeczy. Przygotujemy wszystko, żeby jak wróci Al...

– Jeżeli chcecie, to ja mogę poprowadzić wóz – zaofiarował się Tom. – Jeździłem na ciężarówce w McAlester.

– Dobrze – przystał ojciec i skierował oczy na drogę. – O ile mnie wzrok nie myli, wlecze się właśnie do domu nasz gagatek. Wygląda, jakby był mocno wypompowany.

Tom i pastor spojrzeli w tamtym kierunku. Zberek Al, widząc, że go zauważono, wyprostował się i wkroczył na podwórze kołyszącym krokiem, niby kogut, który ma zamiar zapiać. Podszedł napuszony zupełnie blisko i dopiero wtedy rozpoznał Toma. Z twarzy jego znikł momentalnie chępliwy wyraz, przestał się nadymać, oczy rozbłyły mu podziwem i szacunkiem. Bo ani sztywne dżinsy podwinięte u dołu na osiem cali, żeby widać było buty na podwyższonych obcasach, ani szeroki pas z mosiężnymi okuciami, ani nawet czerwone gumki na rękawach niebieskiej koszuli i przekrzywiony zawadiacko pilśniowy kapelusz nie mogły sprawić, by dorównał bratu. Tom bowiem zabił człowieka i nikt tego nigdy nie zapomni. Al wiedział, że nawet jego rówieśnicy otaczali go pewnym podziwem, dlatego że miał brata, który był mordercą. Słyszał nieraz, jak pokazując go sobie palcami w Sallisaw, mówili: „To Al Joad. Jego brat zakatrupił łopatą człowieka”.

A teraz Al, zbliżając się nieśmiało, spostrzegł, że ten brat nie jest bufonem, jak go sobie wyobrażał. Zobaczył ciemne, zamyślane oczy, gładką twarz o twardych rysach, wyćwiczoną w maskowaniu się przed więziennymi strażnikami, która nigdy nie okazywała wobec nich ani oporu, ani uniżoności. W jednej chwili Al zmienił się. Podświadomie upodobił się do brata, jego przystojna twarz przybrała wyraz zamyślenia, ramiona odprężyły się. Zapomniał już, jaki jest Tom.

– Halo, Al! Do licha! Rośniesz jak na drożdżach! Nigdy bym cię nie poznał.

Al, trzymając rękę w pogotowiu na wypadek, gdyby Tom zechciał ją uścisnąć, uśmiechnął się z zakłopotaniem. Tom wyciągnął dłoń, prawica Ala wyskoczyła na spotkanie. Łączyło ich przywiązanie braterskie.

– Słyszałem, że znasz się na samochodach – powiedział Tom.

Al, wyczuwając, że brat nie lubi samochwalstwa, odpowiedział:

– No, niewiele się na tym znam.

– Znowu się włóczyłeś – zganił go ojciec. – Wyglądasz jak wypluty. A musisz zawieźć do Sallisaw trochę rzeczy na sprzedaż.

Al spojrział na Toma.

– Chciałbyś się przejechać? – zaproponował pozornie niedbałym tonem.

– Nie, nie mogę. Muszę tu trochę pomóc. W drodze do Kalifornii będziemy przecież ciągle razem.

Al próbował powstrzymać się od pewnego pytania, lecz nie zdołał się opanować:

– Czy... czyś ty uciekł z kryminału?

– Nie, wypuścili mnie warunkowo.

– Ooo...

Al był nieco rozczarowany.

Rozdział 9

W małych domkach rodziny dzierżawców przebierały w swym dobytku i spuściźnie po ojcach i dziadach. Wyszukiwało się rzeczy niezbędnych w podróży na zachód. Zburzono przeszłość tych ludzi, toteż mężczyźni nie litowali się nad niczym, kobiety czuły jednak, że przeszłość owa już niebawem odezwie się wielkim głosem. Mężczyźni wchodzili do stodół i szop.

Ten pług, ta brona – pamiętasz, jak podczas wojny uprawialiśmy gorczycę? Pamiętasz gościa, co to chciał, żebyśmy hodowali taki krzak kauczukowy, który nazywają guayule? „Zbogacie się” – mówił. Wyciągnij no te narzędzia – dostaniemy za nie kilka dolarów. Ten pług kosztował nas osiemnaście dolarów, nie licząc kosztów przewozu – to marka Sears Roebuck.

Uprząż, wozy, siewniki, motyki związane w małe wiązki. Wynieś wszystko, złóż na kupę. Załaduj na furę. Zawieź do miasta. Sprzedaj, za ile się da. Sprzedaj także konie i wóz. Nic już po nich.

Pięćdziesiąt centów za dobry pług to za mało. Siewnik kosztował trzydzieści osiem dolarów. Dwa dolary? Co robić, nie będę go taszczył z powrotem... Dobrze, bierzcie – z naszą krzywdą. Bierzcie pompę od studni i uprzęż. Bierzcie chomąta, kantary, lejce. Weźcie i ten naczółek przybrany czerwonymi paciorkami. Kupiłem go dla naszego gniadego wałacha. Pamiętasz, jaki miał kłus?

Rupiecie spiętrzają się na podwórzu.

Nie sprzedam już nigdzie ręcznego pługa. Mogę dać pięćdziesiąt centów za samo żelazo na wagę. Teraz idą tylko lemiesz do ciągników.

Trudno, bierzcie wszystko na złom i dajcie pięć dolarów. Kupujecie nie tylko złom, kupujecie złamane życia ludzkie. A ponadto – zobaczycie sami – kupujecie naszą gorycz. Kupujecie pług, żeby zaorać w ziemi własne dzieci, kupujecie ręce i dusze, które mogłyby was ocalić. Pięć dolarów,

powiedziałem, nie cztery. Ano, nie będę włókł tego z powrotem... Dobrze, bierzcie za cztery. Ale ostrzegam was: kupujecie lemiesz, którymi przeorzecie groby własnych dzieci. Nie widzicie jeszcze tego, nie potraficie dojrzeć. Bierzcie za cztery. A ile dacie za te konie z wozem? Piękne kasztany, dobrane maścią i chodem; idą równo krok w krok. Gdy ciągną, ich naprężone nogi i zady poruszają się jednocześnie, co do sekundy. A raniem słońce odbija się złociście w ich kasztanowatej sierści. Wyciągają łby nad ogrodzeniem, czując węchem, gdy się do nich zbliżamy, strzygą nastawionymi uszami, by nas usłyszeć. Spójrzcie na te czarne grzywy! Moja córeczka lubi zaplatać je w warkoczyki i przyozdabiać czerwonymi wstążeczkami. Przepada za tym. Nie będzie już tego więcej robiła. Mógłbym opowiedzieć zabawną historyjkę o dziewczynce i kasztanku. Uśmielibyście się. Tamten koń ma osiem lat, a ten od naszej strony – dziesięć, ale można by sądzić, że to bliźniaki, tak są zgrane w pracy. Spójrzcie na ich zęby. Wszystkie zdrowe. Płuca jak miechy. Nogi piękne i mocne. Ile? Dziesięć dolarów. Za oba? I wóz. O, wolałbym zastrzelić je na mięso dla psów. No, ale bierzcie je! Bierzcie, panie! Kupujecie małą dziewczynkę, która zaplatała koniom grzywy i zdejmowała wstążkę z głowy, by porobić z niej kokardki, a potem cofała się, przyglądając im się z przechyloną główką, lub tuliła policzek do ich miękkich nozdrzy. Kupujecie lata mozołu, lata znoju w skwarze i słońcu. Kupujecie smutek, który trudno wyrazić. Ale uważajcie, panie! Do tej góry żelastwa i do tych kasztanków jak malowanie dochodzi premia – tłumok goryczy, która będzie rosła w waszym domu i pewnego dnia wyda owoce. Mogliśmy byli was bronić, aleście nas zrujnowali. Wkrótce spotka was ten sam los i nie znajdzie się nikt, kto by wam na ratunek pośpieszył.

I dzierżawcy ruszyli do domu, z rękami w kieszeniach, z kapeluszami nasuniętymi głęboko na oczy. Ten i ów kupił ćwiartkę wódki i wychylił ją szybko, by od razu uderzyła do głowy. Ale nie śmieli się i nie tańczyli. Nie śpiewali i nie brzękali na gitarach. Wracali do swoich gospodarstw, z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową, wzbijając butami czerwony kurz.

Może będziemy mogli zacząć od początku na nowej, bogatej ziemi – w Kalifornii, krainie owoców. Zaczniemy tam na nowo.

Nie sposób jednak zaczynać od nowa. Tylko niemowlę może zacząć całkiem od początku. Ale ty i ja – to to, co już było. Chwila gniewu, tysiące wspomnień – to my. Ta ziemia, ta czerwona ziemia – to my, lata powodzi,

lata burz piaskowych, lata posuchy – to my. Nie możemy zaczynać od nowa. Gorycz została sprzedana handlarzowi złomu – kupił ją, ale tkwi ona nadal w nas. Kiedy pełnomocnik właściciela kazał wynosić się precz – to kazał nam, i kiedy ciągnik uderzył w nasz dom – to w nas, w nas aż do śmierci. W drodze do Kalifornii czy gdzie indziej – każdy będzie jak dobosz wybijający takt w marszu krzywd i cierpień, maszerujący z sercem pełnym żalu. Nadejdzie dzień, gdy armie rozgoryczonych ruszą tą samą drogą. Pójdą wszystkie razem, szerząc śmiertelny lęk.

Dzierżawcy wlekli się do domów noga za nogą w rdzawym pyłe.

Gdy już sprzedane zostało wszystko, co tylko dało się zbyć – piecyki i łóżka, krzesła i stoły, kredensy, balie i beczki – wciąż jeszcze piętrzyły się po domach stopy dobytku. Kobiety siedziały wśród nich i ze wzrokiem zapatrzonym w przeszłość obracały w rękach każdy przedmiot na wszystkie strony: obrazy, lustra, wazony.

Teraz już wiadomo, co można zabrać ze sobą, a co trzeba zostawić. Będzie się obozowało pod gołym niebem, więc kilka naczyń do gotowania i mycia, materace, trochę pościeli, latarnia i wiadra, kawałek płótna na namiot. Weźmiemy tę blaszankę nafty. I piecyk. I odzież. Trzeba zabrać wszystką odzież. A strzelba? Nie wyruszymy bez strzelby, bylibyśmy jak nadzy. Gdy nie stanie butów ani odzieży, ani żywności, gdy zabraknie nawet nadziei, będziemy mieli broń. Kiedy dziadek tu przyszedł – czy opowiadałem wam o tym? – miał ze sobą trochę pieprzu, soli i strzelbę. Nic więcej. To wystarczy. I butelka na wodę. Tyle nam właśnie trzeba. Jeśli się podniesie boki przyczepki, będą mogły tam jechać dzieci, a babkę posadzi się na materacu. Nie zapomnijmy o narzędziach: łopata, piła, imadło i obcęgi. I siekiera. Mamy ją od czterdziestu lat. Popatrzcie, jaka zużyta. I, ma się rozumieć, powrozy. A co z resztą? Zostawcie albo spalcie.

Nadbiegły dzieci.

Jeżeli Mary zabiera ze sobą tę brudną szmacianą lalkę, to ja muszę wziąć mój łuk indiański. Muszę. I ten kij, taki duży jak ja. Może mi być potrzebny. Mam go już tak dawno, miesiąc... a może rok. Muszę go zabrać. A jak tam jest w tej Kalifornii?

Kobiety siedziały wśród rzeczy skazanych na pozostawienie, obracając je na wszystkie strony, ze wzrokiem zwróconym w przeszłość, w dal.

Ta książka? Należała do mego ojca. Lubił ją. To *Wędrownka pielgrzyma*. Często ją czytywał. Podpisał swoim nazwiskiem. A to jego fajka – wciąż

jeszcze zalatuje stęchlizną. A to obrazek z aniołkiem. Wpatrywałam się w niego przed urodzeniem pierwszych trojga dzieci, ale, zdaje się, że niewiele to pomogło. Jak myślisz, może da się zabrać tego porcelanowego pieska? Ciotka Sadie przywiozła go z wystawy w St. Louis. Widzisz? Napisała coś na nim. Chociaż nie, nie. A to list mego brata pisany w przeddzień śmierci. A to staromodny kapelusz. O, pióra! Nigdy nie miałam okazji ich nosić. Nie, nie ma na to miejsca.

Jakże możemy żyć, skoro pozbawiono nas naszego życia? Jak będziemy mogli czuć się sobą bez naszej przeszłości? Nie. Zostawcie to! Spalcie!

Siedzieli wpatrzeni w szczątki pamiątek i wypalali je w pamięci.

Jakże to będzie, gdy się nie będzie wiedziało, co za ziemia rozciąga się za progiem. Jak to będzie, gdy obudzisz się nocą i będziesz wiedział, wiedział, że nie ma już tej wierzby. Czy potrafisz żyć bez niej? Nie, nie potrafisz. Ta wierzba – to ty... I ten ból, który odczuwasz, siedząc na tym materacu – to też ty.

Nagle wszystkich ogarnęło podniecenie. Teraz pragnęli wyruszyć jak najszybciej. Natychmiast. Nie można czekać. Zgarnęli w stosy rzeczy zgromadzone na podwórzach i podłożyli ogień. Stali i patrzyli, jak płoną. Potem gorączkowo załadowali samochody i odjechali, oddalając się w kłębach kurzu. Długo jeszcze po zniknięciu obładowanych ciężarówek w powietrzu wisiał pył.

Rozdział 10

Po odjeździe ciężarówki pełnej narzędzi i sprzętów, łóżek i materacy – wszystkiego, co tylko można było wywieźć na sprzedaż – Tom wałęsał się po obejściu. Zajrzał do stodoły, do pustej stajni, wszedł do szopy, kopnął porzucone szczątki dobytku; odwrócił nogą wyłamany ząb kosiarki. Potem poszedł obejrzyć miejsca, które utkwily mu w pamięci: czerwony brzeg wąwozu, gdzie gnieździły się jaskółki, i starą wierzbę wznoszącą się nad zagrodą dla świń. Dwa wieprzki, pochrzäkując, wspinały się ku niemu przez płot – czarne, wygrzane na słońcu, zadowolone. Na tym zakończył swą pielgrzymkę i usadowił się w progu domu, gdzie właśnie zaległ cień. Za jego plecami matka krzątała się po kuchni, piorąc w cebrzyku dziecięce ubranka. Z jej silnych, piegowatych ramion ściekały po łokciach mydliny. Gdy Tom usiadł, przestała trzeć bieliznę. Przyglądała mu się przez długą chwilę, a kiedy syn odwrócił się i utkwiał wzrok w palącym słońcu, patrzyła dalej na tył jego głowy. Po chwili wróciła do swego prania.

– Tom, żeby tylko w tej Kalifornii wszystko dobrze poszło – odezwała się.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– A czemu mama myśli, że tak nie będzie? – zapytał.

– E, nic. Tylko to wszystko wydaje się trochę zbyt piękne. Widziałam ulotki, które rozdawano: ile tam pracy, jakie wysokie zarobki, i w ogóle. W gazecie też pisali, że potrzebują ludzi do zbierania winogron, pomarańczy i brzoskwiń. To byłaby przyjemna robota, Tommy, zrywać brzoskwinie. Nawet jeżeli nie pozwoliliby ich jeść, to przecież udałoby się może czasem ściągnąć jakąś trochę robaczywą. I miło byłoby pracować pod drzewami, w cieniu. Aż się boję, tak to wszystko ładnie wygląda. Nie mam jakoś wiary. Boję się, czy nie ma w tym jakiejś pułapki.

– Nie wzbijaj się nadzieją wysoko jak ptak, byś nie musiał pełzać jak robak – powiedział Tom.

– Tak, to prawda. Czy to z Pisma Świętego?

– Zdaje się – odparł Tom. – Od czasu kiedy przeczytałem książkę *Zwycięstwo Barbary Worth*, Pismo Święte nie bardzo jakoś trzyma mi się głowy.

Matka roześmiała się, zanurzając kilkakrotnie w cebrzyku uprane sztuki bielizny. Potem wyżeła kombinezony i koszule, aż mięśnie jej rąk naprężyły się jak postronki.

– Ojcu twego ojca Pismo Święte nigdy z ust nie schodziło. Ale i jemu wszystko się pomieszało, od czasu jak zaczął się rozczytywać w *Kalendarzu doktora Milesa*. Czytał go głośno od deski do deski, nawet listy od ludzi cierpiących na bezsenność albo na ból krzyża. Później powtarzał to wszystko, dodając: „To są słowa Pisma Świętego”. Twój ojciec i stryj John dokuczali mu i wyśmiewali się z niego.

Ułożyła wyżęte sztuki bielizny na stole w stos przypominający sąg drzewa.

– Powiadają, że do tej Kalifornii jest dwa tysiące mil. A ty co myślisz, Tom, jak to daleko? Patrzyłam na mapie, są tam wielkie góry jak na pocztówkach, a my przecież właśnie pojedziemy przez te góry. Jak ci się zdaje, ile czasu zabierze nam taka długa droga?

– Nie wiem – odpowiedział – ze dwa tygodnie, może dziesięć dni, jak dobrze pójdzie. Wie mama, niech się mama lepiej nie kłopotuje. Powiem mamie, jak to było, kiedy siedziałem w kryminale. Człowiek nie może myśleć o tym, kiedy go wypuszczą, bo dostałby bzika. Musi myśleć tylko o dniu dzisiejszym, a następnego dnia znów o tym, że w sobotę będzie grał w piłkę. Tak się trzeba nastawić. Tak robią ci, co lepiej poznali więzienie. A nowicjusz dochodzi do tego, że zaczyna tłuc łbem o drzwi celi. Rozmyśla wciąż o tym, jak długo jeszcze będzie siedzieć. Mama robi podobnie. Po co? Trzeba żyć dniem dzisiejszym.

– To może dobry sposób – przyznała. Napełniła cebrzyk gorącą wodą z płyty kuchennej, zanurzyła brudną bieliznę i zaczęła ją wygniatać w mydlinach. – Tak, to dobry sposób. Aż miło pomyśleć, jak przyjemnie będzie w tej Kalifornii, może... Nigdy nie bywa tam zimno. Wszędzie owoce, a ludzie mieszkają ślicznie w białych domkach wśród pomarańczowych drzew. Ciekawa jestem... może i my dorobimy się takiego białego domku, to znaczy... jeżeli wszyscy dostaniemy robotę i będziemy pracowali. A dzieciaki będą mogły sobie wyjść i zrywać

pomarańcze prosto z drzewa. Przecie nie wytrzymają, gdyby im nawet zabronić. Ile by to było krzyku!

Tom przyglądał się piorącej matce. Oczy mu się śmiały.

– Same takie myśli dobrze mamie zrobiły. Znałem jednego gościa z Kalifornii. Mówił o tym wszystkim trochę inaczej. Można było poznać po jego mowie, że pochodzi z daleka. Opowiadał, że tam już teraz jest za dużo ludzi szukających roboty. I że robotnicy pracujący przy zbiorze owoców mieszkają w brudnych starych barakach i często nie mają co do gęby włożyć. Zarobki są niskie i bardzo o nie trudno.

Po twarzy matki przemknął cień.

– O, to niemożliwe – zaprzeczyła. – Twój ojciec miał w ręku żółtą ulotkę, w której pisali, że potrzebują ludzi do pracy. Nie robiliby sobie takiego kramu, gdyby nie potrzebowali tam wielu robotników. Przecież takie ulotki też trochę grosza kosztują. Po cóż mieliby obełgiwać ludzi i jeszcze do tego dopłacać?

Tom potrząsnął głową.

– Nie wiem, mamó. Kto tam może wiedzieć, po co to robią. Może...

Rzucił okiem na gorące słońce zalewające swym żarem czerwoną ziemię.

– Może co?

– Może jest tam tak dobrze, jak mama mówi. Dokąd poszedł dziadek? I gdzie się podział pastor?

Matka wychodziła właśnie z domu z wysokim naręczem bielizny. Tom odsunął się na bok, żeby ją przepuścić.

– Pastor powiedział, że idzie się przejść. Dziadek śpi w domu. Przychodzi tu czasem w ciągu dnia i kładzie się.

Podeszła do sznura i zaczęła rozwieszać na nim bladoniebieskie dżinsy, błękitne koszule i długie szare kalesony.

Tom, słysząc za sobą człapanie, odwrócił się. Z sypialni wynurzył się dziadek, tak jak i rano szukał palcami guzików rozporka.

– Gadają, gadają – zrzędził – i nie dadzą, skurwysyny, zasnąć staremu człowiekowi. Jak wam, bękartom, mleko pod nosem obeschnie, może nauczycie się nie wrywać ze snu starszych.

Trzęsące się ze złości palce zdołały odpiąć tylko dwa guziki, które poprzednio udało im się zapiąć. Ręka jego zapomniała, co miała zrobić; sięgnął nią głębiej i począł z zadowoleniem drapać się pod jądrami.

Nadeszła matka. Ręce jej były mokre, dłonie pomarszczone i nabrzmiące od gorącej wody i mydła.

– Myślałam, że ojciec śpi. Zaraz ojca pozapinam.

I choć się opierał, przytrzymała go i zapięła mu kalesony, koszulę i rozporek.

– Łazi ojciec i robi z siebie teatr – powiedziała, puszczając go.

Starzec bełkotał ze złością:

– Na ładne rzeczy człowiekowi zeszło, na ładne rzeczy. Żeby go ktoś zapinał! Dajcie mi samemu choć portki sobie zapiąć!

Matka odezwała się żartobliwie:

– W Kalifornii nie wolno chodzić z niezapiętym rozporkiem.

– Nie wolno! Oho! Dobrze, ja im pokażę. Myślą, że będą mi może rozkazywać, co i jak mam robić. Jeśli mi się będzie chciało, to wywieszę, co zechcę, i tak będę chodził.

– On ma, zdaje się, z każdym rokiem paskudniejszy ozór. Chyba się popisuje! – zgorszyła się matka.

Staruszek wysunął naprzód szczeciniastą brodę i świdrował córkę przebiegłymi, złośliwymi, wesołymi oczami.

– No więc, lada dzień wyjeżdżamy. I, jak Boga kocham, winogron jest tam tyle, że zwieszają się nad drogami. A czy wiecie, co będę robił? Narwę pełną balię, siadę i będę się po nich tarzał, aż mi się portkami sok poleje.

Tom roześmiał się.

– Mój Boże! Dziadek dożyje dwustu lat, a jeszcze będą się go psie figle trzymały. Pali się dziadkowi do wyjazdu, co?

Starzec wyciągnął skrzynkę i usiadł ciężko na niej.

– Tak – oświadczył. – I, do cholery, wielki już czas. Mój brat wywędrował tam przed czterdziestu laty. Od tej pory nie miałem od niego żadnej wiadomości. Chytry był, drań. Nikt go nie lubił. I zabrał ze sobą bez pytania mojego colta. Jak go kiedy spotkam albo jego dzieci, jeśli mu się jakieś urodziły w Kalifornii, zapytam o colta. Ale ja znam mego braciszka; jeśli miał dzieci, podrzucił je obcym, jak kukułka, i kto inny je wychowuje. Pewnie, że jestem rad, że jadę. Czuję, że stanę się tam innym człowiekiem. Zaraz się zabiorę do tej roboty przy owocach.

Matka przytaknęła ruchem głowy.

– Staruszek wcale nie żartuje. Jeszcze trzy miesiące temu pracował, dopóki mu ostatnim razem noga nie wyskoczyła ze stawu.

– Racja, do diabła! – potwierdził dziadek.

Tom wyjrzał ze swego miejsca na progu.

– Idzie nasz pastor, właśnie wychodzi zza stodoły.

– Ta modlitwa, którą odmawiał dziś rano – powiedziała matka – to najdziwniejszy pacierz, jaki słyszałam. To właściwie nie była wcale modlitwa. Mówił zwyczajnie, a przecież jakby się modlił.

– Dziwny chłop – zastanawiał się Tom. – Wciąż coś mówi i tłumaczy, ale robi to tak, jakby rozmawiał sam ze sobą. I wcale nie stara się nikomu nic wmówić.

– Przyjrzyj się jego oczom – powiedziała matka. – To są oczy nawiedzonego. Mają takie spojrzenie, jakby przenikały na wskroś. Naprawdę on jest chyba nawiedzony. Chodzi ze zwieszoną głową, z oczami wbitymi w ziemię. To na pewno człowiek nawiedzony.

Zamilkła, bo Casy zbliżył się do drzwi.

– Dostaniecie jeszcze porażenia słonecznego od tego chodzenia po upale – powiedział Tom.

– Ano, możliwe. – Nagle zwrócił się do wszystkich, do matki, dziadka i Toma, i powiedział gwałtownie: – Muszę jechać na zachód. Muszę. Czy zabierzecie mnie ze sobą, ludzie kochani?

Stał zakłopotany własnymi słowami. Matka spojrzała na Toma, ustępując mu głosu jako mężczyźnie. Lecz syn milczał. Zostawiła mu czas, by skorzystał ze swego prawa, a potem odezwała się:

– Czemu nie? To będzie zaszczyt dla nas, jeśli pojedziecie z nami. Naturalnie, nie mogę tak od razu odpowiedzieć nic pewnego. Ojciec mówił, że wszyscy mężczyźni zbiorą się dziś wieczorem na naradę i będą się zastanawiać, kiedy wyruszymy. Myślę, że może zaczekamy z odpowiedzią, aż się zejdą – John, ojciec, Noah, Tom, dziadek, Al i Connie. Zaczną radzić, jak tylko wrócą. Jestem prawie zupełnie pewna, że jeśli tylko starczy miejsca, z przyjemnością was zabierzemy.

Pastor westchnął.

– Tak czy owak, pojedę. Coś się tu dzieje. Chodziłem po okolicy, przyglądałem się i widzę, że wszystkie domy są puste, w polu żywej duszy, cała okolica jak wymarła. Nie mogę tu zostać. Muszę jechać tam, dokąd jadą ludzie. Będę pracował w polu i może to da mi zadowolenie.

– I nie będziecie mówili kazań? – spytał Tom.

– Nie, nie będę.

– I nie będziecie chrzcili? – dopytywała się matka.

– Nie, nie będę już chrzcił. Chcę pracować w polu, wśród zielonych pól, chcę być blisko ludzi. I nie mam zamiaru już niczego ich uczyć, niczego. Spróbuję sam nauczyć się wielu rzeczy. Dowiedzieć się, dlaczego ludzie robią to czy tamto, posłuchać, jak mówią i jak śpiewają. Posłuchać, jak dzieciaki zjadają kaszę. Posłuchać, jak w nocy mąż i żona ubijają razem materac. Chcę siadać do stołu z ludźmi i chcę się uczyć.

Oczy mu zwilgotniały i rozbłysły.

– Będę się pokładał w trawie otwarcie i uczciwie z każdą, która mnie zechce. Będę kłął i złorzeczył, i wsłuchiwał się w poezję prostej mowy. Wszystko to jest święte, wszystko to, czego dotąd nic rozumiałem. To wszystko są rzeczy dobre.

– Amen! – powiedziała matka.

Pastor przysiadł skromnie na pieńku koło drzwi.

– Zastanawiam się, co pozostało w życiu człowiekowi tak samotnemu jak ja.

Tom chrząknął delikatnie.

– Człowiekowi, który już nie mówi kazań... – zaczął.

– O, ja jestem gaduła – przerwał Casy. – Nie mogę się odzwyczaić od gadulstwa. Ale już nie mówię kazań, kazania to wmawianie ludziom różnych rzeczy. A ja chcę zadawać pytania. Pytania to nie kazanie, prawda?

– Nie wiem – odpowiedział Tom. – Kazanie to specjalny ton głosu i pewien sposób patrzenia na rzeczy. Kazania wtedy robią dobrze ludziom, kiedy gotowi są zabijać się o to. W zeszłym roku na Boże Narodzenie zjawili się w McAlester tacy z Armii Zbawienia i uraczyli nas kazaniem. Trzy bite godziny wygrywania na trąbkach, a my musieliśmy siedzieć i słuchać. Byli dla nas jak miód. Ale niechby który spróbował wyjść, to obostrzony areszt murowany. To się nazywa nieść słowo boże. Dobry uczynek wobec człowieka, który jest na dnie i nawet nie może dać ci za to w pysk. Nie, nie jesteście pastorem. Ale nie zabawiajcie się graniem na trąbce.

Matka dorzuciła pod płytę parę patyków.

– Dam wam teraz coś przegryźć, ale nie mam wiele.

Dziadek wyniósł przed dom swoją skrzynkę i usiadł na niej, opierając się plecami o ścianę. Tom i Casy oparli się o nią również. Od budynku kładł się na ziemi długi popołudniowy cień.

Pod wieczór powróciła ciężarówka, trzęsąc się i klekocząc wśród tumanów kurzu. Jego warstwa pokrywała samochód, nawet reflektory przyciemniał czerwony pył. Słońce właśnie zachodziło i ziemia w jego gasnącym blasku przybrała kolor krwi.

Al siedział pochylony nad kierownicą, dumny, poważny i przejęty. Ojciec i stryj John, jak przystało głowom rodu, zajmowali honorowe miejsca obok kierowcy, pozostali, to znaczy dwunastoletnia Ruthie i dziesięcioletni Winfield, jechali, stojąc w ciężarówce i trzymając się boków skrzyni ładunkowej. Buzie mieli umorusane i ożywione, oczy zmęczone, lecz pełne podniecenia, palce i brzegi ust czarne i lepkie od pałeczek lukrecji, które wyblągali od ojca w mieście. Ruthie ubrana w suknię z różowego muślinu, która sięgała jej za kolana, grała poważnie rolę młodej damy. Lecz Winfield był jeszcze małym smarkaczem, knującym figle za stodołą, i zapamiętałym zbieraczem i palaczem niedopałków. Gdy więc Ruthie zdawała sobie sprawę z potęgi, odpowiedzialności i godności, jakimi darzyły ją rozwijające się piersi, Winfield, dziecinnie rozbrykany, nie wyszedł jeszcze z lat cieliących.

Obok nich, wsparta lekko o poręcz, stała Rose of Sharon, kołysząc się dla utrzymania równowagi na piętach i uginając kolana i uda na nierównościach drogi. Rose of Sharon była w ciąży i dbała o siebie. Włosy jej, splecione w warkocz i okręcone wokół głowy, tworzyły jasnopopielatą koronę. Okrągła, łagodna twarz, przed kilku miesiącami zmysłowa i kusząca, odgrodziła się jak gdyby teraz od ludzi brzemiennością, wyniosłym uśmiechem, spojrzeniem pełnym świadomego poznania. Bujne ciało – pełne, miękkie piersi i brzuch, jędrne uda i pośladki, które niedawno kołysały się swobodnie i wyzywająco, jak gdyby prosząc o poklepanie i pieszczotę – całe to ciało stało się powściągliwe i pełne powagi. Wszystkie jej myśli i czyny skierowane były do wewnątrz, ku dziecku. W tej chwili ze względu na nie kołysała się na palcach nóg. Wydawało jej się, że cały świat przeżywa ciężę, potrafiła myśleć jedynie kategoriami rozmnażania się i macierzyństwa. Jej dziewiętnastoletni mąż, Connie, który poślubił pulchną, namiętą, pełną tupetu dziewczynę, przeżywał nieustanny lęk i oszołomienie na widok zmiany, jaka zaszła w żonie. Ustały kocie walki w łóżku, kąsanie i drapanie przy akompaniamencie stłumionych chichotów, kończących się łzami. Rose of Sharon była to teraz zrównoważona, ostrożna, mądra istota, która

uśmiechała się do niego niby nieśmiało, lecz z wielką pewnością siebie. Connie był dumny z żony i bał się o nią. Korzystał z każdej okazji, żeby dotknąć jej ręką lub stanąć tuż przy niej i przyłgnąć ciałem do jej biodra czy ramienia; miał uczucie, że w ten sposób utwierdza związek, któremu może grozić rozchwianie się. Był to szczupły młody człowiek o ostrych rysach, zdradzających pochodzenie z Teksasu. Jego bladoniebieskie oczy miały niekiedy wyraz niebezpieczny, niekiedy łagodny, niekiedy zaś wystraszony. Pracował sumiennie i dobrze i nadawał się na dobrego męża. Pił sporo, ale nie za wiele, nie uchylał się od bójki, gdy mu ją narzucono, i nigdy się nie chełpił. Wśród ludzi był milczący, ale umiał narzucić swoją obecność i sprawić, że się z nim liczone.

Gdyby stryj John nie miał pięćdziesięciu lat i nie był przez to z natury rzeczy jednym z przywódców rodziny, wolałby nie zajmować honorowego miejsca obok kierowcy. Pragnął, aby siedziała tu Rose of Sharon. Było to niemożliwe, bo Rose of Sharon była młoda i była kobietą. Lecz stryj John siedział skępowany, w jego posępnych oczach kryło się zakłopotanie, a szczupłe, silne ciało trwało w napięciu. Prawie zawsze odgradzała go od ludzi i pragnień zaporą osamotnienia. Jadł mało, nie pił i żył w celibacie. Jednak ukryty nurt pożądań wzbierał w nim, parł, aż następował wybuch. Wtedy opychał się jakimś upragnionym jadłem aż do mdłości lub zapijał się dżinem czy wódką, tak że drżał jak paralityk, a zaczerwienione oczy zachodziły mu łzami, albo też rzucał się z drapieżną pożądlivością na pierwszą lepszą płatną dziewczkę z Sallisaw. Opowiadano o nim, że pewnego razu pognął do Shawnee, sprowadził sobie na raz trzy dziewczyny do łóżka i przez godzinę, sapiąc, sycił się ich biernymi ciałami. Ale po nasyceniu żądzy powracał smutek, wstyd i osamotnienie. Wtedy stryj John krył się przed ludźmi i próbował przejednać sobie wszystkich podarunkami. Zakradał się do domów i zostawiał dzieciom pod poduszką gumę do żucia lub rąbał drzewo, nie biorąc za to zapłaty. Oddawał wszystko, co tylko miał: siodło, konia, nową parę butów. Nie można z nim było wtedy rozmawiać, bo uciekał lub przyparty do muru zamykał się w sobie i spoglądał przerażonym wzrokiem. Śmierć żony i miesiące samotności, które potem nastąpiły, naznaczyły go piętnem winy i wstydu i wydały na pastwę nieprzerwanego osamotnienia.

Istniały jednak rzeczy, od których nie mógł się wyłamać. Jako jedna z głów rodziny musiał nią rządzić. I teraz więc zmuszony był zasiadać

na honorowym miejscu obok kierowcy.

Jadący do domu piaszczystą drogą trzech mężczyźni na przednim siedzeniu mieli nachmurzone twarze. Al, schylony nad kierownicą, przenosił wzrok z drogi na tablicę rozdzielczą, śledząc raz po raz strzałkę szybkościomierza skaczącą podejrzenie i czuwając nad manometrem i termometrem olejowym.

Rejestrował w głowie słabe strony samochodu i wszelkie podejrzone objawy. Wsłuchiwał się w zgrzyt, który mógł być wywołany brakiem smaru w tylnym moście, nasłuchiwał, jak podnoszą się i opadają popychacze zaworów.

Trzymając rękę na dźwigni skrzyni biegów, starał się wyczuć, jak pracują koła zębate. Aby sprawdzić tarcze sprzęgła na poślizg, włączył bieg i sprzęgło przy niezwolnionych hamulcach. Ala ponosiła często natura lubieżnego kozła, teraz jednak ciążyła na nim odpowiedzialność za samochód, jego bieg i utrzymanie. Jeśli coś pójdzie źle, będzie to jego wina, i choć nikt tego nie powie, każdy – on sam przede wszystkim –

będzie wiedział, że to on zawinił. Toteż wczuwał się w samochód, obserwował go i nasłuchiwał. Twarz jego była poważna i pełna poczucia odpowiedzialności. Wszyscy traktowali z szacunkiem Ala i jego rolę. Nawet ojciec – głowa rodu – gotów był podawać mu klucz i słuchać jego poleceń.

Pasażerowie samochodu byli znużeni. Ruthie i Winfield czuli się zmęczeni, bo widzieli zbyt wiele ruchu, zbyt wiele twarzy i zbyt wiele trudu kosztowała ich walka o pałeczki lukrecji. Wyczerpało ich też podniecenie wywołane ukradkowym wsunięciem gumy do żucia w ich kieszenie przez stryja Johna.

A mężczyzn w kabinie kierowcy ogarnęło znużenie, gniew i smutek, bo dostali tylko osiemnaście dolarów za wszystkie ruchomości z gospodarstwa: za konie, wóz, narzędzia i całe umeblowanie domu. Osiemnaście dolarów! Spierali się z nabywcą i przekonywali go, ale gdy jego zainteresowanie zdawało się słabnąć i gdy oświadczył im, że w ogóle nie weźmie tego wszystkiego za żadną cenę, poczuli się pokonani, uwierzyli mu i wzięli nawet o dwa dolary mniej, niż proponował poprzednio. A teraz czuli się wyczerpani i zastraszeni, bo zmierzyl się

z systemem, którego nie rozumieli i który zadał im klęskę. Wiedzieli, że konie z wozem miały znacznie większą wartość. Wiedzieli, że handlarz uzyska za nie o wiele więcej, ale nie mieli pojęcia, jak się z nim targować. Arkana handlu były dla nich tajemnicą.

Al, biegając oczyma od drogi ku tablicy rozdzielczej i z powrotem, zauważył:

– Ten kupiec to chyba nie z naszych stron. Mówi nie po tutejszemu. I ubrany jakoś inaczej.

– Kiedy byłem w sklepie z wyrobami żelaznymi, rozmawiałem z kilku znajomymi – odezwał się ojciec. – Mówią, że zjeżdżają się tu kupcy po to, żeby skupować rzeczy, które my na odjeźdźnym musimy sprzedać. Podobno zarabiają na nas zdrowo. Ale my nic na to nie poradzimy. Może Tommy powinien być pojechać z nami. Może potrafiłby załatwić to lepiej niż my.

– Ale przecież tamten nie chciał w ogóle kupować. A trudno było wlec wszystko z powrotem – wtrącił John.

– Ci moi znajomi właśnie o tym mówili – objaśniał ojciec. – Handlarze zawsze tak robią. Straszą w ten sposób ludzi. My po prostu nie wiemy, jak sobie dać z tym radę. Matka będzie zawiedziona. Zawiedziona i wściekła.

– A jak ojciec myśli, kiedy wyjedziemy? – zapytał Al.

– Nie wiem. Obgadamy to dziś wieczorem i coś uradzimy. Bardzo jestem rad, że Tom wrócił. Rażniej z nim jakoś. Tom to chłop do rzeczy.

Al dodał:

– Tato, jacyś ludzie rozmawiali o Tomie. Że niby zwolniony jest na słowo honoru. To podobno oznacza, że nie wolno mu opuścić stanu. Jeśli go złapią w innym stanie, odeślą go do kryminału na trzy lata.

Ojciec przestraszył się.

– Tak mówili? Wyglądali na ludzi, którzy coś wiedzą? Może gadali tylko tak sobie, byle pleść?

– Nie wiem – odparł Al. – Gadali, a ja nie puszczałem pary z gęby, że to mój brat. Stałem tylko i słuchałem.

– Mam nadzieję, że to nieprawda. Potrzebujemy Toma. Sam go o to zapytam. I bez policji na karku kłopotów mamy po uszy. Mam nadzieję, że to nieprawda. Musimy to razem obgadać.

– Tom będzie wiedział najlepiej – zakończył stryj John.

Zamilkli, a ciężarówka waliła z łośkotem naprzód. Silnik pracował hałaśliwie, pełen drobnych zgrzytów, raz po raz kłapały drążki hamulcowe.

Koła trzeszczały jak spękane drewno, a przez dziurę w pokrywie chłodnicy wydostawał się cienki strumyczek pary. Samochód włókł za sobą wysoki, wirujący słup czerwonego pyłu. Gdy koła zadudniły na ostatnim wzniesieniu, słońce wisiało jeszcze półkřęgiem nad horyzontem, lecz w chwili gdy samochód zjechał ku domowi, zgasło. Jęknęły hamulce, a dźwięk ten wyrył w mózgu Ala słowa: „Okładziny zdarte do szczeru”.

Ruthie i Winfield wygramolili się z wrzaskiem z samochodu i zeskoczyli na ziemię, krzycząc:

– Gdzie on jest? Gdzie jest Tom?

Spostrzegli, że stoi koło drzwi, urwali zażenowani i zbliżając się powoli, patrzyli na niego nieśmiało. A gdy zawołał:

– Cześć, jak się macie, bębny?! – odpowiedzieli cicho:

– Cześć, dobrze.

Stanęli z boku, przyglądając się ukradkiem dużemu bratu, który zabił człowieka i był w więzieniu. Oboje pamiętali, jak bawili się w kurniku w więzieniu i jak pobili się o to, kto będzie więźniem.

Connie Rivers opuścił tylną ścianę skrzyni ładunkowej ciężarówki i pomógł wysiąść Rose of Sharon. Młoda kobieta przyjęła z godnością pomoc męża; uśmiechała się dyskretnie i z zadowoleniem, zaciskając kąćki ust, co nadawało jej nieco niemądry wyraz.

– O, Rosasharn! – zdziwił się Tom. – Nie wiedziałem, że przyjedziesz z nimi.

– Szliśmy pieszo, ale nadjechała ciężarówka i zabrała nas. To jest Connie, mój mąż – dodała z godną miną.

Tom i Connie uścisnęli sobie ręce, mierzając się wzrokiem i zaglądając sobie głęboko w oczy. Krótka chwila wystarczyła, żeby obaj poczuli się zadowoleni z zawartej znajomości. Tom powiedział:

– No, widzę, że nie traciliście tu czasu.

Rose of Sharon spuściła oczy.

– Jeszcze chyba nic nie widać.

– Matka mi powiedziała. A kiedy się spodziewasz?

– O, nieprędko. Dopiero zimą.

Tom roześmiał się.

– Chcesz urodzić dziecko w pomarańczowym gaju, co? W jednym z tych białych domków otoczonych drzewami pomarańczowymi?

Rose of Sharon pomacała się rękami po brzuchu.

– Nie widać jeszcze – stwierdziła z uśmiechem zadowolenia i weszła do domu.

Wieczór był ciepły, widnokrąg na zachodzie ciągle jeszcze jaśniał świetlistą smugą. Bez żadnego specjalnego sygnału rodzina zgromadziła się koło ciężarówki i parlament rodzinny rozpoczął obrady.

Przymglony blask wieczornej zorzy padał na czerwoną ziemię, pogłębiając jej wymiary; każdy kamień, słup, budynek wydawał się jak gdyby większy i bardziej masywny niż w świetle dziennym. Przedmioty te nabrały jakiejś szczególnej indywidualności – słup był bardziej rzeczywistym słupem i mocniej odcinał się od ziemi, na której stał, i od pola kukurydzy, na którego tle się rysował. Rośliny nie tworzyły już zwartej masy, nędzna wierzba była wierzbą samą w sobie, wyróżniającą się spośród innych wierzb. Ziemia użyczała swego blasku wieczornej zorzy. Zwrócony frontem na zachód szary, niemalowany dom świecił niby księżyc. Wielki, zakurzony samochód ciężarowy na podwórzu wyodrębniał się czarodziejsko w tym blasku, jak gdyby pokazany w przesadnej perspektywie latarni magicznej.

Wieczór zmienił też i uciszył ludzi. Zdawali się być częścią jakiejś nieświadomej swych czynów organizacji. Ulegali impulsom znajdującym słabe tylko odbicie w ich świadomych myślach, wpatrzeni w siebie, spokojni; oczy ich, rozświetlone blaskiem wieczoru, błyszczały w zakurzonych twarzach.

Rodzina zebrała się w miejscu najważniejszym – w pobliżu ciężarówki. Umarł dla nich dom, umarły pola. Lecz ten samochód był symbolem aktywności i podstawą życia. Staroświecki hudson z pogiętą i porysowaną ozdobną kratą chłodnicy, ze startymi krawędziami wszystkich części swego mechanizmu, pokrytymi grudkami przysypanego kurzem smaru, z piastami kół, których brakujące kołpaki zastąpiła warstwa czerwonego pyłu – oto było nowe ognisko domowe, ośrodek bytu rodziny, pół osobowy, pół ciężarowy, niezgrabny samochód o wysokich bokach.

Ojciec obszedł ciężarówkę, oglądając ją ze wszystkich stron, a potem przykucnął w kurzu i wyszukał sobie patyczek, by rysować nim w piasku. Postawił stopę płasko na ziemi, drugą cofnął nieco i unióśł jej piętę tak, że jedno kolano znalazło się wyżej od drugiego. Lewym łokciem wsparł się na lewym kolanie, prawym – na kolanie prawej nogi i prawą dłońią podparł brodę. Stryj John przysunął się do ojca i przysiadł obok niego. Oczy ich

były zamyślane. Dziadek wyszedł z domu i na widok obu mężczyzn przykucniętych obok siebie podyrdał ku nim i usiadł na stopniu samochodu naprzeciw nich. Stanowili trzon rodziny. Zbliżyli się również i przykucnęli obok: Tom, Connie, Noah i Al. Powstało półkole; w środku jego cięciwy siedział dziadek. Wreszcie wysunęła się z domu matka. Towarzyszyła jej babka, a za nimi kroczyła z wdziękiem Rose of Sharon. Stały za mężczyznami, wsparły ręce na biodrach. A dzieci, Ruthie i Winfield, podskakiwały obok kobiet to na jednej, to na drugiej nodze, przebierały palcami stóp w czerwonym pyłe, ale zachowywały się cicho. Brakowało tylko pastora. Kierując się delikatnością, usiadł za domem na ziemi. Był to dobry pasterz i znał swoje owieczki.

Światło wieczorne przygasło. Przez dłuższą chwilę wśród zgromadzonych panowało milczenie. W końcu ojciec, nie zwracając się do nikogo specjalnie, lecz do całej grupy, złożył sprawozdanie.

– Zdarli z nas dziś skórę w mieście. Wiedzieli, szelmy, że nie możemy czekać. Dostaliśmy za wszystko tylko osiemnaście dolarów.

Matka poruszyła się nerwowo, zachowała jednak spokój. Noah, najstarszy syn, zapytał:

– A ile pieniędzy mamy wszystkiego razem?

Ojciec kreślił przez chwilę cyfry w piasku, mrucząc coś pod nosem.

– Sto pięćdziesiąt – oznajmił. – Al jednak mówi, że potrzebujemy lepszych opon. Powiada, że te niedługo wytrzymają.

Al po raz pierwszy brał dziś udział w konferencji. Dotychczas stawał zawsze z tyłu za kobietami. Teraz wystąpił uroczyście z raportem.

– Samochód jest stary i marny – oświadczył z powagą. – Obejrzałem wszystko dobrze, zanim go kupiliśmy. Nie słuchałem przecież tego gościa, który wmawiał nam, że to Bóg wie jaka okazja. Zbadałem palcami wnętrze mechanizmu, otworzyłem skrzynkę biegów. Trocin w nich nie znalazłem. Wypróbowałem sprzęgło i ustawienie kół. Wlazłem pod samochód i sprawdziłem, że rama trzyma się jakoś. Nigdy nie była rozbita. Pęknięty akumulator musiał chłop na moich oczach zamienić na nowy. Opony są do niczego, ale mają dobry wymiar. Łatwo wszędzie o takie. Samochód będzie się włókł jak odporne ciele, ale nie zje dużo benzyny. Dobrze, że kupiliśmy ten typ, bo takich wozów chodzi dużo. Składy są zawałone starymi, sześciocylindrowymi superhudsonami. Można będzie tanio dostać części zamienne. Za te same pieniądze mogliśmy kupić większy i lepiej

wyglądający samochód, ale trudniej byłoby o części i drożej by kosztowały. Tak przynajmniej myślałem.

Tymi ostatnimi słowami poddawał się pod sąd rodziny. Zamilkł, czekając na opinię zebranych. Dziadek ciągle pozostawał jeszcze tytułarną głową rodziny, ale już nie rządził. Pozycja jego na mocy zwyczajowego prawa była honorowa. Miał jednak prawo do pierwszego słowa, bez względu na zdziennienie starczego umysłu. Przykucnięci na ziemi mężczyźni i stojące za nimi kobiety czekali, co powie.

– Dobrześ się spisał, Al – przemówił dziadek. – I ja jako smarkacz latałem za dziewczuchami jak opętany. Ale jak była robota, to mi się w rękach paliła. Dzielny chłop wyrósł z ciebie – zakończył tonem błogosławieństwa, a Al zaczerwienił się z zadowoleniem.

– I mnie się wydaje, że postąpił jak należy – odezwał się ojciec. – Gdyby szło o konie, nie potrzebowalibyśmy się spuszczać na niego. Ale na samochodach zna się tylko Al.

– Ja też się trochę znam na maszynach. Pracowałem przy samochodach w McAlester. Al ma rację i dobrze wszystko załatwił – oznajmił Tom. Pod wpływem pochwały Toma twarz Ala oblał rumieniec. – Chciałbym powiedzieć jeszcze jedno: pastor chce się zabrać z nami. – Tom zamilkł, a słowa jego zawisły nad siedzącą grupą, która milczała. – To porządny chłop – dodał po chwili. – Znamy go od dawna. Mówi czasem cudacznie, ale zawsze do rzeczy. – I pozostawił swój wniosek do rozstrzygnięcia rodzinie.

Ściemniało się stopniowo. Matka opuściła zebranych i weszła do domu. Z jego wnętrza doleciał szcęk przesuwanych fajerek. Za chwilę jednak wróciła do pogrążonej w zadumie rady rodzinnej.

– Z tym pastorem to na dwoje babka wróżyła – odezwał się dziadek. – Niektórzy powiadają, że pastor przynosi nieszczęście.

– Ale przecież on mówi, że nie jest już żadnym pastorem – odparł Tom.

Dziadek machnął ręką.

– Jak ktoś raz był pastorem, to pastorem zostanie. Tego nie da się tak z dnia na dzień zmienić. Inni gadają, że to dobra i godna rzecz mieć ze sobą duchownego. Umrze ktoś, to ma pochówek jak się patrzy. Ślubu trzeba udzielić – ponieważ albo i w porę – jest pastor pod ręką. Urodzi się dziecko i chcesz je ochrzcić, to ksiądz akurat pod tym samym dachem.

Zawsze mówiłem, że pastor pastorowi nierówny. Trzeba umieć ich dobrać. Ten mi się dosyć podoba. Nie zadziera nosa.

Ojciec wetknął patyk w kurz i obracał go między palcami, aż wywiercił dziurkę.

– Nie w tym sęk, czy pastor przynosi szczęście i czy z niego porządny chłop – odezwał się w końcu. – Trzeba to bliżej rozpatrzeć, rozważyć wszystko. A to nie zabawka. Ano, weźmy na rozum. Dziadek i babka – to dwoje. Ja, John i matka – razem pięcioro. Noah, Tommy i Al – to już ośmioro. Rosasharn i Connie – dziesięcioro. Jeszcze Ruthie i Winfield – a będzie cały tuzin. Psy musimy też zabrać, bo co z nimi zrobić? Nie zastrzelę dobrego psa, a oddać nie ma komu. Razem czternaście sztuk.

– Nie licząc kurcząt i dwóch świniaków – dodał Noah.

– Świniaki trzeba będzie zabić na drogę – powiedział ojciec. – Mięso przyda się bardzo. Zabierzemy ze sobą beczułki. Zastanawiam się tylko, czy pomieścimy się wszyscy w samochodzie z pastorem na dodatek. I czy możemy wyżywić jeszcze jedną gębę? – Nie odwracając głowy, zapytał: – Możemy, matko, czy nie możemy?

Matka odchrząknęła.

– Nie o to chodzi, czy możemy, ale czy chcemy – oświadczyła stanowczo. – Jeśli idzie o to, czy „możemy”, to prawdę mówiąc, nie możemy nie jechać do Kalifornii, nie możemy w ogóle nic. Ale jeśli idzie o to, czy chcemy, no to zrobimy, co będziemy chcieli. A zechcemy na pewno, bo odkąd nasza rodzina osiadła tutaj i zanim tu jeszcze ze wschodu przybyła, nie słyszałam nigdy, żeby Joad czy Hazlett odmówił potrzebującemu strawy, proszącemu o dach nad głową czy o podwiezienie w drodze. Rozmaite miewali Joadowie grzechy na sumieniu, ale nie takie.

– Ale co będzie, jeśli po prostu zabraknie miejsca? – przerwał jej ojciec. Wykręcił szyję, by spojrzeć żonie w oczy, i zawstydził się, zobaczywszy wyraz jej twarzy. – Co będzie, jeśli nie wepchniemy się wszyscy do ciężarówki? – powtórzył.

– I tak będzie ciasno – odparła. – Miejsca jest najwyżej na sześcioro, a będzie nas na pewno dwanaścioro. Jeden mniej, jeden więcej, nie robi różnicy. A zdrowy, mocny chłop nigdy nie bywa zawadą. Mamy dwa świniaki i przeszło sto dolarów, więc zastanawiać się, czy zdołamy wyżywić jeszcze jednego człowieka, to...

Urwała, a ojciec odwrócił głowę, czując się jak wysmagany.

– Dobrze jest mieć ze sobą pastora – dodała babka. – Taką piękną modlitwę odmówił dziś rano.

Ojciec przeniósł wzrok z jednej twarzy na drugą, szukając jakiegoś sprzeciwu, a wreszcie poprosił:

– Może go zawołasz, Tommy? Jeżeli ma jechać, powinien być tu z nami.

Tom wstał i ruszył w kierunku domu, wołając:

– Casy! Hop, hop! Casy!

Zza domu odpowiedział stłumiony głos. Tom podszedł do rogu budynku i zobaczył pastora, który siedział oparty plecami o ścianę, wpatrując się w gwiazdę wieczorną na bladym niebie.

– Wołaliście mnie? – zapytał.

– Tak. Pomyśleliśmy, że ponieważ macie jechać z nami, powinniście być na naradzie i pomóc nam coś postanowić.

Casy podniósł się. Wiedział, co to jest narada rodzinna, i zrozumiał, że przyjęto go do rodziny. Przypadła mu nawet rola niepoślednia, skoro na jego widok stryj John posunął się, robiąc dla niego miejsce między sobą a ojcem. Casy przykucnął za przykładem innych, zwrócony twarzą do dziadka królującego na stopniu samochodu.

Matka znów weszła do domu. Po chwili rozległo się szczęknięcie szkiełka lampy i ciemna kuchnia rozbłysła żółtym światłem. Gdy matka uniosła pokrywę wielkiego garnka, przez drzwi zaleciała woń gotującego się boczku i botwiny. Czekali, aż nadejdzie z powrotem przez podwórze, na którym zapadał coraz gęstszy mrok, matka była bowiem jednym z filarów rodziny.

Ojciec znowu zabrał głos:

– Musimy zdecydować, kiedy wyruszamy. Im prędzej, tym lepiej. Zanim wyjedziemy, musimy zabić świnię, zasolić je, a następnie zapakować i załadować rzeczy. Komu w drogę, temu czas.

Noah poparł ojca:

– Jeżeli zaraz zabierzemy się do roboty, to jutro będziemy gotowi, a pojutrze możemy wyruszyć.

Stary John miał zastrzeżenia:

– Trudno za dnia ostudzić mięso w taki skwar. To niedogodna pora roku na bicie świń. Mięso będzie za miękkie, jeśli dobrze nie ostygnie.

– No to zabierzmy się do tego jeszcze dziś wieczorem. Mięso ostygnie trochę przez noc. Zawsze to coś. Jak tylko zjemy, możemy się brać

do roboty. A sól jest?

– Soli jest dość – odpowiedziała matka. – Mamy dwie pełne baryłki.

– Jak zaraz, to zaraz – potwierdził Tom.

Dziadek zaczął macać wokoło, szukając jakiegoś oparcia, by wstać.

– Ciemno się robi – narzekał – i jeść się człowiekowi chce. Jak już zajedziemy do Kalifornii, będę stale trzymał w garści wielką kiść winogron, żeby poskubywać z niej przez cały boży dzień.

Podniósł się wreszcie, a za nim inni. Ruthie i Winfield, podnieceni, podskakiwali w kurzu jak wariaci. Ruthie szeptała ochryple do braciszka:

– Bijemy świnie i jedziemy do Kalifornii. Bijemy świnie i je-dzie-my... wszyscy razem.

Winfielda ogarnął istny szał. Przyłożył sobie palce do gardła, wykrzywił się okropnie i zaczął biegać, zataczając się i piszcząc przeraźliwie:

– Jestem stary wieprz! Patrz, Ruthie, zarzynają mnie! Patrz, krew!

Wreszcie zachwiał się i upadł na ziemię, poruszając słabo rękami i nogami. Lecz Ruthie, jako starsza, zdawała sobie sprawę z ogromnej doniosłości chwili.

– I jedziemy do Kalifornii – powtarzała, wiedząc, że to jest największe wydarzenie w jej dotychczasowym życiu.

Dorośli ruszyli wśród mroku ku oświetlonej kuchni. Matka podała wszystkim na blaszanych talerzach boczek i jarzyny. Zanim jednak sama zasiadła do stołu, postawiła na płycie kuchennej wielki kocioł i podsyliła ogień, aż płomienie zaczęły huczeć. Potem nanosiła wiadrami wody, a gdy kocioł był już pełny, ustawiła dokoła niego wiadra z wodą. W kuchni zapanowało gorąco nie do zniesienia, toteż wszyscy zjedli z pośpiechem i wyszli, by zasiąść na progu, czekając, aż się woda nagrzeje. Siedzieli i patrzyli w mrok i na prostokąt światła, który rzucała na ziemię kuchenna lampa. W jasną plamę wrzynał się zgarbiony cień dziadka. Noah dłubał w zębach żdźbłem słomy. Matka i Rose of Sharon zmywały naczynia, ustawiając je w stos na stole.

W pewnej chwili rodzina zaczęła nagle działać. Ojciec wstał i zapalił jeszcze jedną lampę. Noah wydobył ze skrzyni w kuchni nóż rzeźnicki o zagiętym ostrzu i przystąpił do ostrzenia go na małej, zużytej ośelce. Położył na pieńku skrobaczkę, obok niej nóż. Tymczasem ojciec przyniósł dwa mocne drążki metrowej długości, zaostrił siekierą ich końce

i do każdego drążka przymocował w środku podwójnym węzłem mocny sznur.

– Nie trzeba było sprzedawać wszystkich orczyków – mruknął.

Woda w kotle i wiadrach parowała i bulgotała. Noah zapytał:

– Czy zaniesiemy wodę pod chlew, czy też przyciągniemy świnię tutaj?

– Przyniesiemy je tu – rozstrzygnął ojciec. – Świni nie rozlejesz ani się nią nie poparzysz, jak to bywa z wodą. A woda prędko będzie gotowa?

– Już się gotuje – odpowiedziała matka.

– Dobrze. Noah, ty, Tommy i Al pójdziecie ze mną. Ja wezmę latarnię. Zabijemy świnię w chlewie i przyniesiemy je tutaj.

Noah wziął nóż, Al siekierę i czterej mężczyźni ruszyli do chlewu; światło latarni migotało na ich nogach. Za nimi pobiegli w podskokach Ruthie i Winfield. Doszedłszy do chlewu, ojciec przechylił się przez ogrodzenie z latarnią w rękę. Młode wieprzki zerwały się ze snu, chrząc podrażnionym. Zjawili się na pomoc także stryj John z pastorem.

– W porządku – powiedział ojciec. – Zakłujcie świniaki, a potem zabierzemy je pod dom i tam spuścimy im krew i oparzemy.

Noah i Tom przeleźli przez ogrodzenie. Zabijali szybko i sprawnie. Tom ogłuszył każdą sztukę dwukrotnym uderzeniem obucha siekiery. Noah, schyliwszy się nad powalonymi zwierzętami, odszukał zakrzywionym nożem główną arterię i przebił ją, aż krew trysnęła strumieniem. Potem przeleźli z zabitymi świniami przez ogrodzenie. Stryj John i pastor wlekli za tylne nogi jedną, Tom i Noah – drugą. Ojciec kroczył za nimi z latarnią. Drogę ich znaczyły w kurzu dwie smugi czarnej krwi.

Pod domem Noah wsunął nóż pomiędzy ścięgna a kości tylnych nóg zwierząt, szeroko rozciągniętych na zaostzonych palikach. Zabite wieprzki zawisły na krokwiach sterczących z dachu. Mężczyźni przynieśli wrzątek i oblali nim cielska. Noah rozplątał świnię przez całą ich długość i wyrzucił wnętrzności na ziemię. Ojciec zaostrzył jeszcze dwa drążki, żeby podeprzeć nimi rozwarte boki i żeby powietrze miało dostęp do rozciętych tułowi. Tom skrobaczką, a matka tęym nożem oczyszczali skórę ze szczeciny. Al przyniósł wiadro, zebrał do niego wnętrzności łopatą i wyrzucił je w pewnej odległości od domu. Śladem jego biegły, miaucząc głośno, dwa koty i powarkujące na nie psy.

Ojciec usiadł w progu i patrzył na świnię wiszącą w świetle latarni. Były już oskrobane i tylko rzadkie krople krwi ściekały jeszcze do czarnej

kałuży, która utworzyła się na ziemi. Po chwili wstał, podszedł ku zabitym zwierzętom, pomacał je ręką i znów usiadł. Babka i dziadek poszli spać do stodoły. Dziadek niósł w ręku latarkę ze świecą. Reszta rodziny rozsiadła się spokojnie przed drzwiami. Connie, Al i Tom na ziemi, oparli plecami o ścianę, stryj John na skrzynce, ojciec na progu. Tylko matka i Rose of Sharon były w ciągłym ruchu. Ruthie i Winfieldowi kleiły się już oczy, bronili się jednak przed snem. Kłócili się w ciemności zaspanymi głosami. Noah i pastor przykucnęli obok siebie, zwrócenii twarzami ku domowi. Ojciec podrapał się nerwowo, zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy.

– Jutro z samego rana posolimy wieprzowinę – powiedział – potem załadujemy wóz, zostawiając w domu tylko łóżka, a pojutrze raniutko wyruszamy. Jak na cały dzień, to nawet niewiele roboty – dodał, nieco zakłopotany.

Tom wtrącił:

– Będziemy się obijali cały boży dzień, bo nie będzie o co rąk zaczepić.

Wszyscy poruszyli się niespokojnie.

– Możemy spakować się do rana i ruszyć o świcie – zaproponował Tom.

Ojciec tarł dłonią kolano. Jego zdenerwowanie udzieliło się wszystkim.

– Nie zaszkodzi zasolić mięso zaraz. W każdym razie warto je pokrajać już teraz, prędzej ostygnie – powiedział Noah.

Ale dopiero stryj John przełamał wahanie, skłoniony do tego zbyt wielkim napięciem wewnętrznym.

– Po diabła jeszcze tu marudzimy? Czas zrobić z tym koniec! Jedziemy wreszcie czy nie jedziemy?

Ta postawa zaraziła innych.

– Czemu nie ruszamy? Spać możemy w drodze. – Ogarnęła ich gorączka pośpiechu.

– Mówią – zauważył ojciec – że to dwa tysiące mil drogi. Opętany kawał drogi. Trzeba jechać. Noah, możemy we dwóch pokrajać to mięso i załadować wszystko na samochód.

We drzwiach ukazała się głowa matki.

– A co będzie, jak zapomnimy czegoś po ciemku?

– Możemy się rozejrzeć, gdy się rozwidni – uspokoił ją Noah.

Przez chwilę wszyscy siedzieli nieruchomo, w zamyśleniu. Lecz zaraz Noah wstał i zaczął ostrzyć zakrzywiony nóż na małej, startej ośce.

– Mamo – poprosił – niech mama zrobi miejsce na stole. – Przystąpił do jednej ze świń, ciął nożem wzdłuż kości pacierzowej i zaczął oddzielać mięso od żeber.

Ojciec zerwał się podniecony.

– Zbierajmy rzeczy! – zawołał. – Chodźcie, chłopcy!

Teraz, kiedy zdecydowali się już na odjazd, wszystkich opętał pośpiech. Noah wnosił płaty mięsa do kuchni i krajał je na małe kawałki, a matka przesypywała je grubą solą i układała jeden na drugim w beczułce, uważając, żeby się ze sobą nie stykały. Kładła je niby cegły, przedzielając warstwami soli. Noah odcinał boczki i nogi. Matka podtrzymywała ogień i gdy Noah oczyścił, ile mógł, z mięsa żebra, kręgi i kości nóg, wsadziła je do piecyka, żeby upiekły się do ogryzania.

Na podwórzu i w stodole migały kręgi światła zapalonych latarni. Mężczyźni znosili na jeden stos wszystkie rzeczy przeznaczone do zabrania, gromadząc je koło ciężarówki. Rose of Sharon wyniosła całą odzież należącą do rodziny: kombinezony, trzewiki na grubych podeszwach, gumowe buty, podniszczone ubrania odświętne, swetry, baranie kożuchy. Wszystko to zapakowała ciasno do drewnianej skrzyni, wskoczyła do niej i ubiła nogami zawartość. Potem przyniosła perkalowe suknie, szale, czarne bawełniane pończochy i dziecinne ubranka, maleńkie kombinezony i tanie kolorowe sukienki. Dołożyła te rzeczy do skrzyni i znowu ugniotła nogami.

Tom poszedł do szopy i zabrał stamtąd narzędzia, które mogły przydać się w drodze: ręczną piłkę, komplet kluczy francuskich, młotek, skrzynkę specjalnie dobranych gwoździ, obcęgi, płaski pilnik i komplet małych, okrągłych pilniczków.

Rose of Sharon wyniosła z domu wielką płachtę brezentową i rozpostarła ją na ziemi obok samochodu. Przeciągnęła z trudem przez drzwi materace – trzy podwójne i jeden mały. Ułożyła je w stos na płachcie, po czym przydźwigała naręcze poskładanych podartych koców i położyła je na materacach.

Matka i Noah pracowali pilnie przy oprawianiu świń. Od pieca kuchennego rozchodził się zapach opiekanych kości. Dzieci zasnęły późną nocą tam, gdzie się przypadkiem znalazły. Winfield leżał zwinięty w kurzu pod drzwiami. Ruthie siedziała na skrzyni w kuchni, skąd chciała się

przyglądać krajaniu mięsa, głowa jej opadła w tył, opierając się o ścianę. Oddychała lekko przez sen, usta jej były rozchylone.

Po zapakowaniu narzędzi Tom wszedł do kuchni z latarnią, za nim zjawiał się pastor.

– Do pioruna! – zawołał Tom. – Powąchajcie to mięso! Posłuchajcie, jak skwierczy!

Matka układała wciąż kawałki mięsa w beczułce, obsypując je ze wszystkich stron solą, pokrywając nią ułożone warstwy i uklepując je. Podniosła wzrok na Toma, uśmiechnęła się do niego słabo, ale oczy jej były poważne i znużone.

– Dobrze będą wieprzowe kostki na śniadanie – powiedziała.

Pastor podszedł do niej.

– Pozwólcie, że zasolę resztę mięsa – poprosił. – Potrafię to zrobić. Wy macie dużo innej pracy.

Przerwała swe zajęcie i przyjrzała mu się ze zdumieniem, jak gdyby zaproponował coś bardzo dziwnego. Ręce jej pokrywała skorupa soli zaróżowiona świeżą krwią.

– To babska robota – odpowiedziała w końcu.

– Robota jak każda inna – odparł pastor. – Za dużo jej tu jest, żeby ją dzielić na męską i babską. Macie jeszcze wiele do zrobienia. Pozwólcie mi zasolić to mięso.

Jeszcze przez chwilę nie spuszczała z niego oczu, a potem nalała z wiadra wody do blaszanej miednicy i umyła ręce. Tymczasem pastor brał kawałki mięsa i posypywał je solą pod baczynym spojrzeniem matki. Układał je w beczułce tak jak ona. Ale dopiero wtedy, gdy ułożył całą warstwę, przysypał ją starannie solą i ugniótł, przestała się niepokoić i wytarła zbielełe, opuchnięte ręce.

– Mamo, co stąd zabieramy? – zapytał Tom.

Rozejrzała się szybko po kuchni.

– Wiadro – powiedziała – i wszystkie naczynia: talerze, kubki, łyżki, noże i widelce. Włóż wszystko do tej szuflady i zabierz razem z nią. Dużą patelnię, duży garnek i dzbanek do kawy. Weź ruszt z pieca, jak ostygnie. Przyda się nad ognisko. Zabrałabym i balię, ale, zdaje się, nie starczy miejsca. Będę prac w wiadrze. Nie warto zabierać drobiazgów. W dużym garnku można ugotować małą porcję, a nie ugotuje się w małym dużej. Ale blachy do pieczenia chleba zabierz wszystkie. Można je powkładać jedna

w drugą. – Stała i rozglądała się po kuchni. – Tom, weź to, co ci powiedziałam. Ja zajmę się resztą. Trzeba pamiętać o dużej puszcze z pieprzem, solą, gałką muszkatołową i o tarce. Wszystko to wezmę na końcu.

Podniosła latarnię i skierowała się ociężale do sypialni. Jej bose stopy poruszały się niemal bezszelestnie po podłodze.

– Wygląda na zmęczoną – zauważył pastor.

– Kobiety są zawsze zmęczone – odpowiedział Tom. – Tak już jest. Ożywiają się tylko czasem na nabożeństwie.

– Niby tak, ale u waszej matki to nie to. Jest naprawdę chora z przemęczenia.

Matka przeszła już próg sypialni, ale dosłyszała słowa pastora. Jej odprężona twarz stężała z wolna, znikły bruzdy z napinającej się na mięśniach skóry. Oczy załśniły twardo, a ramiona wyprostowały się. Obrzuciła wzrokiem огоłocony pokój. Nie pozostało w nim nic prócz śmieci. Nie było już materaców na podłodze. Komody zostały sprzedane. Na podłodze leżał złamany grzebień, puste pudełko po talku, kilka mysich bobków. Matka postawiła latarnię. Sięgnęła za jedną ze skrzyń, które służyły do siedzenia, i wydobyła stamtąd starą szkatułkę, poplamioną i splekaną po rogach. Usiadła i otworzyła pudełko. Znajdowały się tam listy, wycinki z gazet, fotografie, para kolczyków, niewielki złoty pierścionek, łańcuszek do zegarka spleciony z włosów i poprzątkany złotymi kółeczkami.

Dotknęła palcami listów, rozprostowała wycinek z gazety ze sprawozdaniem z procesu sądowego Toma. Przez długą chwilę trzymała w ręku szkatułkę, patrząc ponad nią przed siebie, a palce jej rozrzucały, to znów układały listy. Przygryzła dolną wargę, pogrążona w myślach i wspomnieniach. W końcu zdobyła się na decyzję. Wyjęła pierścionek, łańcuszek, kolczyki i sięgnąwszy głębiej, wyciągnęła złotą spinę. Opróżniła jedną z kopert i wsunęła do niej kosztowności. Potem złożyła ją i schowała do kieszeni sukni. Następnie ruchem pełnym czułości zamknęła łagodnie szkatułkę i pieszczotliwie pogładziła palcami jej wieczko. Usta jej rozchyliły się. Wstała, podniosła lampę i wróciła do kuchni. Odsunęła fajerkę i delikatnie położyła szkatułkę na węgle. Płomienie zaczęły lizać pudełko ze wszystkich stron. Przesunęła na miejsce fajerkę, a ogień natychmiast zahuczał i wchłonał swoim oddechem szkatułkę.

Na ciemnym podwórzu ojciec i Al ładowali ciężarówkę przy świetle latarni. Na dnie spoczęły narzędzia, ale umieszczone tak, żeby były na wszelki wypadek pod ręką. Potem przyszła kolej na kufry z odzieżą, worek z naczyniami kuchennymi i skrzynkę z talerzami i nakryciem stołowym. Wiadro zostało przywiązane z tyłu. Mężczyźni starali się o nadanie ładunkowi możliwie najrówniejszej powierzchni i wypełniali zwiniętymi kocami luki między skrzyniami. Na wierzchu położyli materace, wypełniając samochód równo po brzegi. Wreszcie przykryli wszystko wielką płachtą brezentową, w której brzegach Al porobił w kilkunastocentymetrowych odstępach otwory i przewlekłszy przez nie linki, przymocował ją do bocznych ścian samochodu.

– W razie deszczu – objaśnił – przywiążemy płachtę do górnego drążka i wszyscy będą mogli się pod nią schować. W kabinie i tak nikt nie zmoknie.

Ojciec pochwalił:

– Dobra myśl.

– To jeszcze nie wszystko – mówił Al. – Przy pierwszej okazji, gdy uda mi się skombinować długą deskę, zrobię z niej rodzaj masztu, aby móc rozpiąć płachtę. Wtedy wóz będzie miał budę, która osłoni wszystkich od słońca.

Ojciec znowu zgodził się:

– Mądry pomysł. Ale czemuś o tym wcześniej nie pomyślał?

– Nie miałem czasu.

– Nie miałeś czasu? A na wałęsanie się po okolicy toś miał czas. Bóg raczy wiedzieć, gdzie włóczyłeś się przez ostatnie dwa tygodnie.

– Jest dużo spraw do załatwienia, kiedy się wyjeżdża na dobre – tłumaczył się Al, stracił jednak trochę pewność siebie i zapytał: – Zadowolony ojciec, że wyjeżdżamy?

– Co? Ano, pewnie. Cóż było robić? Mieliliśmy tu ciężkie życie. Tam, naturalnie, będzie inaczej – roboty dosyć, piękna okolica, pełno zieleni, białe domki, pomarańczowe ogródki...

– A czy wszędzie tam rosną pomarańcze?

– No cóż, może nie wszędzie, ale z pewnością jest ich dużo.

Na niebie ukazał się pierwszy szarawy odblask świtu. Praca była skończona, beczułki z wieprzowiną i kojce z kurczętami gotowe do załadowania na sam wierzch ciężarówki. Matka otworzyła piec i wyjęła

stos pieczonych kości pokrytych obficie mięsem – kruchych i przyrumienionych. Ruthie, na pół przebudzona, ześliznęła się ze skrzyni i znów zapadła w sen. Dorośli zgromadzili się koło drzwi i drżąc trochę od porannego chłodu, jedli chrupiącą wieprzowinę.

– Myślę, że trzeba by obudzić dziadka i babkę – odezwał się Tom. – Już dnieje.

– Wolałabym nie budzić ich do ostatniej chwili – odpowiedziała matka. – Potrzebują snu. Ruthie i Winfield też nie wyspali się jak należy.

– Mogą spać w drodze – rozstrzygnął ojciec – i to całkiem wygodnie.

Nagle psy leżące w piasku zerwały się i nastawiły uszu. Po chwili z głośnym ujadaniem popędziły w ciemność.

– A to co, u diabła, takiego? – zaniepokoił się ojciec.

Niebawem usłyszeli głos przemawiający pojednawczo do psów i szczekanie stało się mniej zajadłe. Rozległy się kroki i zbliżył się jakiś mężczyzna. Był to Muley Graves w kapeluszu głęboko nasuniętym na oczy. Podszedł nieśmiało.

– Dzień dobry! – przywitał wszystkich.

– To Muley! – Ojciec wymachiwał kością, którą trzymał w ręku. – Wstąp na chwilę i zjedz z nami trochę wieprzowiny.

– Nie, dziękuję. Nie jestem właściwie głodny.

– Ależ chodź, Muley, chodź i jedz!

Ojciec wszedł do domu i wyniósł garść przypieczonych żeberek.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby was objadać. Przechodziłem i pomyślałem sobie, że pewno już wyjeżdżacie i że mógłbym się z wami pożegnać.

– Za chwilę jedziemy – powiedział ojciec. – Za godzinę już byś nas nie zastał. Widzisz? Wszystko spakowane.

– Wszystko spakowane – powtórzył Muley, obrzucając spojrzeniem naładowany samochód. – Czasem i mnie bierze chętka, żeby wyjechać i odszukać swoich.

– Czy miałeś od nich jakieś wiadomości z Kalifornii? – zapytała matka.

– Nie – odpowiedział Muley – nie miałem. Ale nie dowiadywałem się na pocztce. Muszę tam kiedy wpaść.

– Al, skocz do stodoły i obudź dziadka i babkę – rozkazał ojciec. – Powiedz im, żeby przyszli zjeść, bo niezadługo ruszamy.

Gdy Al skierował się leniwym krokiem ku stodołę, ojciec dodał:

– Muley, a może wciśniesz się jakoś i zabierzesz z nami? Miejsce się znajdzie.

Muley oderwał zębami kęs mięsa od kości i zaczął żuć.

– Czasem myślę, że mógłbym wyjechać. Ale wiem, że nie pojadę. Wiem doskonale, że w ostatniej chwili ucieknę i ukryję się gdzieś jak jakiś przeklęty duch cmentarny.

– I wyciągniesz kiedyś kopyta w polu, Muley – ostrzegał Noah.

– Wiem, myślałem już o tym. Czasem człowiek czuje się samotny bez ludzi, czasem znowu samotność wcale mu nie doskwiera, kiedy indziej nawet mu z nią dobrze. Co prawda, to wszystko jedno. Ale jeśli spotkacie tam w Kalifornii moich – przyszedłem, żeby was o to prosić – powiedzcie im, że jestem zdrow. Powiedzcie, że mi się dobrze powodzi. Nie wygadajcie się tylko, jak ja tu żyję. Powiedzcie, że przyjadę do nich, jak tylko zbiorę trochę grosza.

– A przyjedziesz? – spytała matka.

– Nie – odpowiedział cicho Muley. – Nie, nie przyjadę. Nie mogę się stąd ruszyć. Muszę zostać. Był czas, że mogłem wyjechać. Ale teraz już nie. Człowiek musi przemyśleć różne rzeczy i potem już wie. Nigdy stąd nie odejdę.

Było już jaśniej; wstający świt przyćmił nieco światło latarni. Al wrócił, ciągnąc za sobą dziadka, który kulał i usiłował mu się wyrwać.

– Nie spał wcale – oznajmił Al. – Siedział za stodołą. Coś mu jest.

Oczy starca przygasły i utraciły swój zwykły złośliwy wyraz.

– Nic mi nie jest – oświadczył. – Po prostu nie jadę z wami.

– Nie jedzie dziadek? – zdumiał się ojciec. – Co dziadek wygaduje? Spakowani jesteśmy i gotowi do drogi. Musimy jechać. Nie ma tu gdzie zostać.

– Ja nie mówię, że wy macie zostać – odparł dziadek. – Jedźcie sobie. Ja... zostaję. Przez całą noc myślałem nad tym. Tu moja ziemia i moje miejsce. I nie dbam o te wszystkie pomarańcze i winogrona, choćby nawet wisiały mi nad łóżkiem. Nie jadę, i tyle! Ziemia tu kiepska, ale to moje strony. Wy sobie jedźcie, ale ja zostanę, bo tu moje miejsce.

Wszyscy stłoczyli się dokoła niego. Ojciec perswadował:

– Dziadku, dziadek nie może tu zostać. Wszystkie te grunty idą pod traktory. Kto dziadkowi będzie gotował? Jak tu dziadek wyżyje? To niemożliwe! Nikt się tu dziadkiem nie zaopiekuje i umrze dziadek z głodu.

Staruszek krzyknął:

– Do diabła, choć jestem stary, to przecież dam sobie radę. Muley został i żyje. Poradzę sobie tak samo dobrze jak i on. Powiadam, że nie pojedę, i szkoda o tym gadać. Chcecie, to zabierajcie ze sobą babkę, ale ja się stąd nie ruszę, i koniec.

Ojciec prosił bezradnie:

– Niechże dziadek posłucha. Proszę mnie tylko przez chwilę posłuchać.

– Ani mi się śni słuchać. Powiedziałem, że nie jadę, to nie jadę.

Tom trącił ojca w ramię, mówiąc:

– Niech ojciec wejdzie ze mną do domu. Chcę coś ojcu powiedzieć.

Gdy szli ku domowi, Tom zawołał:

– Mamo, niech mama tu przyjdzie na chwilę, dobrze?

W kuchni paliła się jedna lampa, na półmisku piętrzył się jeszcze wysoko stos przypieczonych wieprzowych kości. Tom zabrał głos:

– Słuchajcie, wiem, że dziadek ma prawo mówić, że nie pojedzie, ale zostać nie może. To chyba jasne.

– Pewnie, że nie może zostać – potwierdził ojciec.

– No to słuchajcie. Jeżeli będziemy musieli zabrać go przemocą i przywiązać, zrobimy mu jaką krzywdę, stary się wścieknie i robi sobie co złego. A żadne tłumaczenia na nic się teraz nie zdadzą. Gdybyśmy go spolił, wszystko poszłoby jak z płatka. Macie trochę wódki?

– Nie – odpowiedział ojciec – nie ma w domu ani kropli. Stryj też nie ma wódki. Jak nie pije, to nie trzyma jej w domu.

– Tom – odezwała się matka – mam gdzieś pół butelki syropu uśmierzającego bóle. Kupiłam go dla Winfielda, kiedy go bolało ucho. Jak myślisz, może to byłoby dobre? Winfield zasypiał po tym, kiedy go bardzo bolało.

– Może – powiedział Tom. – Niech mama to da. Spróbować nie zawadzi.

– Wyrzuciłam butelkę na śmietnik.

Wzięła latarnię i wyszła, a po chwili wróciła z flaszką napełnioną do połowy lekarstwem. Tom wziął ją z rąk matki i skosztował płynu.

– Wcale niezłe – stwierdził. – Niech mama przygotuje kubek dobrej, mocnej kawy i wleje tego – zobaczymy, co tu napisane – łyżeczkę. Chociaż lepiej dodać więcej – parę łyżek stołowych.

Matka otworzyła piec i wstawiła do środka ronderek, umieszczając go na węglach; potem odmierzyła wodę i kawę.

– Będę musiała podać mu w puszcze, bo wszystkie kubki już zapakowane. Tom i ojciec wrócili przed dom.

– Człowiek ma prawo powiedzieć, co chce robić – perorował dziadek. – Mówcie, kto je te żeberka?

– Myśmy już jedli – odpowiedział Tom. – Matka szykuje dla dziadka kubek kawy i trochę wieprzowiny.

Starzec poszedł do domu, wypił kawę i zjadł porcję mięsa. Reszta rodziny obserwowała go spokojnie przez drzwi z podwórza, nad którym jaśniał już wstający świt. Widzieli, jak dziadek ziewał i zaczął się chwiać, jak położył ręce na stole, wsparł na nich głowę i zasnął.

– Zmęczony był i tak – zauważył Tom. – Niech sobie śpi.

Teraz byli już gotowi. Babka, zaniepokojona i oszołomiona, pytała:

– Co się tu dzieje? Co wy tu tak wcześnie robicie?

Ubrana była jednak i pogodna. Obudzili się również Ruthie i Winfield, ale oswiali ze zmęczenia i wciąż jeszcze pogrążeni jakby w półśnie. Światło coraz szybciej rozlewało się po ziemi. Ustała krzątanina rodziny. Stali w miejscu, ociągając się przed zrobieniem pierwszego kroku w kierunku samochodu. Teraz, gdy nadeszła ostatnia chwila, ogarnął ich strach – ten sam strach, który owładnął dziadkiem. Widzieli szopę, której kontury rysowały się coraz wyraźniej w świetle poranka, widzieli latarnię, która bladła coraz bardziej i nie rzucała już kręgów żółtego światła. Gwiazdy gasły kolejno od wschodu na zachód. Rodzina stała wciąż bez ruchu niby pogrążona we śnie grupa lunatyków, obejmując wzrokiem całość, a nie widząc szczegółów, wchłaniając oczyma wszystko naraz: świt, ziemię i kontury całej okolicy. Tylko Muley Graves krążył dokoła niespokojnie, zaglądając przez wierzch ciężarówki i macając palcem zapasowe opony zawieszone z tyłu. W końcu zbliżył się do Toma i zapytał:

– Wyjeżdżasz poza granice stanu? Złamiesz warunki?

Tom otrząsnął się z odrętwienia.

– O, do pioruna! To już prawie wschód słońca! – zawołał. – Trzeba jechać.

Wszyscy ocknęli się z osłupienia i ruszyli ku ciężarówce.

– Chodźmy – mówił Tom – trzeba włożyć dziadka na samochód.

Ojciec, stryj John, Tom i Al weszli do kuchni, gdzie dziadek spał z głową opartą na rękach. Na stole wysychała struga rozlanej kawy. Wzięli śpiącego pod łokcie i dźwignęli na nogi. Starzec bełkotał i mamrotał przekleństwa,

jakby był pijany. Za drzwiami podnieśli go, a gdy doszli do ciężarówki, Tom i Al wspięli się na samochód i wychyliwszy się, wsunęli ręce pod pachy starca, unieśli go ostrożnie i położyli na szczycie załadowanego bagażu. Al odwiązał płachtę, wsunęli pod nią dziadka i postawili koło niego skrzynię, opierając na niej ciężki brezent, tak żeby nie opadł na śpiącego.

– Muszę jak najprędzej dorobić ten pałąk – powiedział Al. – Wezmę się do tego dziś wieczorem na postoju.

Dziadek pomrukiwał i bronił się słabo przeciwko budzeniu go, gdy go jednak wreszcie ułożono, zapadł ponownie w głęboki sen.

– Matko, ty i babka siadajcie tymczasem przy Alu – zarządził ojciec. –

Będziemy się kolejno zmieniali, żeby się nie męczyć. Wy zaczynacie kolejkę.

Kobiety wsiadły do kabiny kierowcy, a reszta rodziny rozlokowała się na spiętrzonych pakunkach – Connie i Rose of Sharon, ojciec i stryj John, Ruthie i Winfield, Tom i pastor. Noah stał na ziemi i patrzył w górę na okazały bagaż ludzki na wierzchu wypełnionego samochodu. Al obszedł ciężarówkę i zajrzał pod spód, sprawdzając stan resorów.

– Boże święty! – zawołał. – Te resory osiadły na całego. Całe szczęście, że je podparłem.

Noah zapytał:

– A co z psami, tato?

– Na śmierć o nich zapomniałem! – odpowiedział ojciec i gwizdnął przeraźliwie. Nadbiegł w podskokach pies, ale tylko jeden. Noah chwycił go i wrzucił na samochód. Zwierzę usiadło sztywno i drżało, spoglądając w dół.

– Trzeba będzie zostawić tamte dwa – rozstrzygnął ojciec i zawołał: – Muley, zajmiesz się nimi trochę? Nie dasz im zdechnąć z głodu?

– Dobrze. Przydadzą mi się psy. Wezmę je.

– Zabierz także kurczęta – dodał ojciec.

Al zasiadł przy kierownicy; zaterkotał rozrusznik. Silnik zapalił i zaczął pracować. Rozległ się ryk sześciu cylindrów na luźnym biegu. Z tyłu ciężarówki wykwitły kłęby błękitnego dymu.

– Do zobaczenia, Muley! – krzyknął Al.

– Bądź zdrow, Muley! – wołali jeden przez drugiego.

Al włączył sprzęgło i pierwszy bieg. Ciężarówka drgnęła i z wolna ruszyła przez podwórze. Al włączył drugi bieg. Samochód wtoczył się

na niewielki pagórek, wznosząc chmurę czerwonego pyłu.

– Do diabła! Co za ładunek! – westchnął Al. – Będziemy jechali jak za pogrzebem.

Matka usiłowała się obejrzeć, ale góra bagażu zasłaniała jej widok. Odwróciła głowę i utkwiała wzrok prosto, przed siebie, w pełną kurzu drogę. W oczach jej widać było wielkie znużenie.

Ci, co siedzieli na szczycie spiętrzonych rzeczy, oglądali się za siebie. Widzieli dom, stodołę i nikłą smugę dymu wciąż jeszcze unoszącą się z komina. Widzieli, jak okna zapłonęły w pierwszych promieniach słońca. Widzieli Muleya stojącego samotnie na podwórzu, śledzącego ich wzrokiem. Potem wszystko znikło za wzgórzem. Wzdłuż drogi rozciągały się pola bawełny. Samochód sunął powoli w kurzu ku szosie – na zachód.

Rozdział 11

Domy na polach wyludniły się, więc i pola opustoszały. Jedyne zajezdnie ciągników, szopy z falistej blachy, srebrzyste i połyskujące, tętniły życiem – życiem metalu, benzyny i smarów, życiem lśniących pługów. Reflektory ciągników były zapalone, bo dla ciągnika nie ma dnia ani nocy – jego lemiesz odwracają skiby ziemi w ciemności i błyszczą w świetle słońca. Gdy koń po skończonej pracy wraca do stajni, jest nadal żywy i żywotny, oddycha i jest ciepły, grzebie nogą w słomie, chrupie siano, żywe są jego uszy i oczy. W stajni czuje się życie, ciepło i zapach życia. Lecz gdy przestaje pracować silnik ciągnika, staje się on martwy jak ruda, z której go zrobiono. Ucieka z niego ciepło jak ze stygnących zwłok. A potem zamykają się drzwi z falistej blachy, kierowca jedzie do domu odległego często o dwadzieścia mil i może nie wracać tygodniami czy miesiącami, ciągnik bowiem jest martwy. Ale to jest prosty i wydajny sposób uprawiania ziemi. Tak prosty, że praca na roli przestaje być cudem, i tak wydajny, że znika wszelkie czary ziemi i pracy dla niej, a wraz z czarem znika zrozumienie ziemi i wszelki z nią związek. A w kierowcy rośnie pogarda, jak w kimś obcym, kto nie rozumie ziemi, nie czuje żadnej z nią łączności. Bo azotany i fosforany to nie ziemia, jak nie jest ziemią najdłuższe nawet włókno bawełny. A węgiel, sól, woda czy wapno to nie człowiek. Człowiek jest tym wszystkim, ale zarazem i czymś ponad to, i ziemia jest czymś więcej niż jej chemiczne składniki. Człowiek kroczący za pługiem po roli, omijający kamienie, zniżający rękojeść pługa, by prześliznąć się nad wzniesieniem gruntu, przyklękający na roli, by zjeść obiad, człowiek, który jest czymś więcej niż sumą pewnych chemicznych składników, zna ziemię i wie, że i ona jest czymś więcej niż tym, z czego się składa. Lecz traktorzysta prowadzący martwy traktor po ziemi, której nie zna i której nie kocha, rozumie jedynie chemię, gardząc ziemią, a przez

to gardzi i sobą. Gdy zaś zamkną się wrota z falistej blachy, wraca do domu, a domem tym nie jest ziemia.

Otwarte na oścież drzwi pustych domów chwiały się i trzaskały, targane wiatrem. Z miast zbiegały się chmary małych urwisów, by wybijać szyby i przetrząsać w poszukiwaniu skarbów pozostawione szczątki mienia.

O, nóż ze złamanym ostrzem! Przyda się.

Ale śmierdzi tu, jakby zdechł gdzieś szczur.

Patrz, co ten Whitey wypisał na ścianie!

To samo napisał w ustępie w szkole, a nauczyciel kazał mu wymazać.

Zaledwie mieszkańcy odjechali, zaraz pierwszego wieczoru wróciły z łowów w polu koty i zasiadły, miaucząc, na gankach domów. A gdy nikt z nich nie wychodził, wśliznęły się przez otwarte drzwi i nie przestając miauczeć, przebiegły puste izby. Potem wróciły na pola i odtąd były to już dzikie koty, polujące na krety i myszy polne w nocy, a w dzień wysypiające się po rowach. Kiedy zapadł wieczór, nietoperze, które z lęku przed światłem zatrzymywały się dotąd u drzwi, wpadły do wnętrza domostw i okrążyły puste izby; niebawem zaś pozostawały i za dnia w ciemnych kątach, zwinąwszy skrzydła i zwiesiwszy się u krokwi głowami w dół, a smród ich odchodów wypełnił puste domy.

Ściągnęły do opuszczonych domów i myszy, gromadząc nasiona chwastów po kątach, skrzyniach, szufladach. Za myszami zjawily się polujące na nie łasice, a brunatne sowy wlatywały i wylatywały, pohukując.

Pewnego dnia spadł drobny deszczyk. Pod progiem, tam gdzie dawniej nie miały dostępu, wystrzeliły w górę chwasty, a podłogi ganków zarosły trawą. Domy stały opuszczone, a opuszczony dom szybko niszczeje. Drewniane ściany zaczęły pękać, w miejscach gdzie tkwiły zardzewiałe gwoździe. Na podłogach osiadł kurz, na którym odcinały się tylko ślady myszy, łasic i kotów.

Pewnej nocy wiatr wyrwał jedną z dachówek i stracił ją na ziemię. Następny podmuch wcisnął się w powstałą dziurę, wyrывая trzy dachówki, a jeszcze następny – tuzin. W południe palące słońce rzuciło przez ten otwór na podłogę snop oślepiających promieni. Zdżiczałe koty skradały się po nocach z pól, nie miauczały już jednak na progu.

Przemykały się jak cień obłoku sunący po tarczy księżyca, by w pustych izbach polować na myszy.

W wietrzne noce trzaskały drzwi, a w oknach bez szyb łopotały podarte firanki.

Rozdział 12

Szosa 66 to główny szlak wędrówki. Szosa 66 to długa asfaltowa droga, oznaczona na mapie linią falistą od Missisipi do Bakersfield, biegnąca przez cały kraj, wśród pól czerwonych i szarych, wijąca się serpentyną przez góry, przecinająca dział wodny, opadająca ku lśniącej w słońcu, groźnej pustyni, by opuściwszy ją, wspiąć się znów na góry, a potem opaść w żyzne doliny Kalifornii.

Szosa 66 to droga ucieczki dla tych, co uchodzą przed lotnym piaskiem i kurczącą się ziemią, przed grzmotem ciągników i wywłaszczaniem, przed powolną inwazją pustyni w kierunku północnym, przed huraganami nadciągającymi z wyciem od Teksasu, przed powodzią, które nie wzbogacają ziemi, lecz niszczą nawet te trochę bogactwa, które można by na niej znaleźć. Przed tym wszystkim uciekają ludzie i ciągną na szosę 66. Ciągną bocznymi drogami, drózkami wyjeżdżonymi przez wozy i polnymi ścieżkami. Szosa 66 to droga-matka, droga-ucieczka.

Clarksville i Ozark, Van Buren i Fort Smith przy szosie 62 – i oto kończy się stan Arkansas. Wiele dróg biegnie ku Oklahoma City: 66 z Tulsy, 270 z McAlester, 81 z Wichita Falls od południa i z Enid od północy. Krzyżują się tutaj gościńce z Edmond, McLoud, Purcell. Opuściwszy Oklahoma City, szosa 66 wije się ku zachodowi przez El Reno i Clinton, przecina Hydro, Elk City i Texolę i dociera do granicy stanu Oklahoma. Zagłębia się w Teksas. Przebiega przez Panhandle, Shamrock i McLean, Conway i żółte Amarillo, Wildorado, Vega i Boise aż po linię graniczną stanu. Dotarłszy do Tucumcari i Santa Rosa, wdziera się w góry Nowego Meksyku i zmierza ku Albuquerque, gdzie kończy się droga biegnąca z Santa Fe. Wreszcie opuszcza się gardzielą Rio Grande ku Los Lunas i znów skręca na zachód do Gallup. Jest to granica Nowego Meksyku.

Teraz zaczynają się wysokie góry. Miasta Holbrook, Winslow i Flagstaff u stóp olbrzymich szczytów Arizony. Z kolei wznosi się i opada niby fala

ogromny płaskowyż. Ashfork, Kingman – i znowu skaliste grzbiety, gdzie wodę trzeba wciągać aż z dolin i płacić za nią. Potem ze spalonych, wykruszonych słońcem gór Arizony do rzeki Colorado, której brzegi zarastają zielone trzciny – i oto już granica Arizony. Kalifornia jest tuż, po drugiej stronie rzeki, a nad nią pierwsze śliczne miasteczko – Needles.

Ale rzeka czuje się tu chyba obco, bo za Needles ciągnie się wypalony pas, a potem pustynia. Szosa 66 biegnie dalej przez tę straszną pustynię, nad którą powietrze drga i migoce, a ciemne góry wznoszą się groźnie na horyzoncie. Wreszcie Barstow i znowu pustynia, aż w końcu raz jeszcze góry, poczciwe góry! – szosa 66 wiję się wśród nich serpentyną. I oto nagle przełęcz, a u jej stóp piękna dolina z sadami, winnicami, małymi domkami, w oddali zaś – miasto. Boże, toż to przecie kres wędrówki!

Szosa 66 płynęli uchodźcy – tu pojedynczy samochód, tam mała karawana. Przez cały dzień jechali wolno drogą, a wieczorem zatrzymywali się w pobliżu wody. Za dnia stare ciekące chłodnice zionęły słupami pary, a luźne łożyska korbowodów klekotały i stukały. Kierowcy ciężarówek i przeładowanych samochodów nasłuchiwali z niepokojem. Jak daleko do następnego miasta? Na przestrzeni dzielącej dwa miasta rodził się strach. A jeżeli się coś zepsuje? No cóż, jeśli się coś zepsuje, rozbijemy obóz tam, gdzie się zatrzymamy, a tymczasem Jim pójdzie do miasta, kupi potrzebną część zamienną i wróci. A ile mamy żywności?

Wśluchuj się w silnik! Wśluchuj się w koła! Wśluchuj się uszami i wczuwaj rękami na kole kierownicy. Wczuwaj się dłonią na rękojeści dźwigni zmiany biegów, wczuwaj stopami wpartymi w deski podłogi. Wczuwaj się i wśluchuj wszystkimi zmysłami w klekotanie starego grata, bo każda zmiana odgłosu, każde zakłócenie rytmu to, być może, tydzień postoju. Ten grzechot – to popychacze zaworów. Nie ma się czym przejmować. Mogą sobie grzechotać do sądnego dnia, nie wyrządzą nam krzywdy. Ale ten głuchy stuk podczas jazdy samochodu – nie słysząc go prawie, daje się tylko wyczuć. Może gdzieś olej nie dochodzi. Może łożysko nawala? A co zrobimy, jeżeli to łożysko? Pieniądze płyną jak woda.

A czegoż ten skurwysyn tak się dziś grzeje! Przecież nie jedziemy pod górę. Trzeba zobaczyć. Psiakrew! Urwał się pasek od wentylatora! Masz, zrób pasek z tego kawałka sznura. Zmierzymy długość, dobra! Ja splecę końce. A teraz wolno, wolniutko, byle się dostać do miasta. Ten pasek z linki długo nie wytrzyma.

Byleśmy tylko zdołali dojechać do Kalifornii, zanim rozleci się to stare pudło. Oby się to udało!

A opony? Dwie warstwy tkaniny zdarte na nic, a to tylko czterowarstwowe opony. Ale jeszcze możemy na nich wyciągnąć ze sto mil, jeśli która nie trzaśnie na jakimś kamieniu. No co, zaryzykujemy te sto mil i nawalenie dętek? Jakże? Sto mil! Tylko nad tym trzeba się zastanowić. Mamy łatki. Może podczas drogi dętka tylko pęknie. A gdyby tak dać podkładkę? Moglibyśmy ujechać z pięćset mil więcej. Zresztą, jedźmy, póki dętka nie nawali.

Musimy kupić nową oponę, ale, cholera, skórę chcą zedrzeć z człowieka za stare ogumienie. Przejrzą cię na wylot od razu. Wiedzą, że musisz jechać, że nie możesz czekać. I cena idzie w górę.

Kupujecie czy nie kupujecie? Nie handluję dla przyjemności. Sprzedaję opony, nie rozdaję ich za darmo. To nie moja wina, że wam dętka nawaliła. Ja muszę myśleć o sobie.

Jak daleko do najbliższego miasta?

Wczoraj widziałem czterdzieści dwa samochody, które przejeżdżały tędy, takie same gruchoty jak wasz. Skąd wy, ludzie, jedziecie? I dokąd was tak gna?

O, Kalifornia to duży stan!

Nie taki znów duży. Całe Stany Zjednoczone nie są duże. Nawet za małe. Za ciasne. Nie ma w nich dość miejsca dla was i dla mnie, dla ludzi takich jak wy czy ja, dla bogatych i biednych, dla złodziei i uczciwych. Nie mogą się pomieścić razem głód i sytość. Czemu nie wracacie tam, skąd przyjechaliście?

Przecież to wolny kraj. Człowiek może jechać, dokąd mu się podoba.

Tak się wam zdaje! Nie słyszeliście nigdy o patrolach na granicy stanu Kalifornia? Policja w Los Angeles zatrzyma was, dziady, i zawróci z drogi. Powiedzą, że jeżeli nie stać was na kupienie porządnego kawałka ziemi, to obejdzie się bez was. Zapytają o prawo jazdy. Obejrzą je, podrą w drobne kawałki i powiedzą, że bez prawa jazdy nie możecie jechać dalej.

Przecież to wolny kraj.

Ano spróbujcie coś zrobić według własnej woli. Dowiedcie się, że macie tyle wolności, ile wam starczy dolarów na jej opłacenie.

W Kalifornii są duże zarobki. Mam ulotkę, w której piszą o tym.

Lipa! Widziałem już niejednego, co stamtąd wrócił. Ktoś was naciąga. Bieriecie tę oponę czy nie bierzecie?

Muszę wziąć, ale, na miłość boską, panie, wysupłamy się z reszty pieniędzy! Niewiele już mamy!

Mówiłem już, że to nie towarzystwo dobroczynności. Zabierajcie!

Ano, co robić! Pozwólcie, że ją jednak obejrzę. Zdejmijcie pokrowiec. Mówiłeś, skurwysynu, że opona w dobrym stanie, a tu dziura prawie na wylot.

Rzeczywiście, do pioruna! Że też tego nie zauważyłem.

Widziałeś dobrze, łajdaku! Ale cztery dolary za dziurawą oponę toś chciał. Mam chętkę dać ci w zęby.

Wolnego, wolnego, nie denerwujcie się. Mówię wam, że nie widziałem. Słuchajcie, wiem, co zrobię. Odstąpię ją wam za trzy pięćdziesiąt.

Jak dam ci w łeb, draniu, to się nogami nakryjesz. Spróbujemy dojechać do najbliższego miasta.

Myślisz, że dojedziemy na tej starej oponie?

Musimy, choćbym miał jechać na samej obręczy, ale temu hyclowi nie dam złamanego grosza.

A za kogo go miałeś? Tak jak powiedział, nie siedzi tu dla przyjemności. Na tym polega handel. A ty coś myślał? W handlu człowiek musi kłamać i oszukiwać, ale nazywa się to całkiem inaczej. I to jest właśnie ważne. Gdybyś zwędził tę oponę, byłbyś złodziejem, ale kiedy gość chce ci ukraść cztery dolary za dziurawą, to się nazywa po prostu dobry interes.

Danny siedzący w głębi samochodu prosi o kubek wody.

Musi poczekać. Tu nie ma wody.

Słuchaj, czy to główna przekładnia?

Trudno powiedzieć co. Cała rama się trzęsie.

To uszczelka nawala, ale cóż, trzeba jechać. Słyszysz ten świst? Musimy znaleźć dobre miejsce na postój, wtedy zdejmę głowicę. Psiakrew! Żywność się kończy i pieniądze się kończą. Jak nie starczy na benzynę – co wtedy?

Danny na tylnym siedzeniu dopomina się o wodę. Chłopcu dokucza pragnienie.

Słuchaj, to świst uszczelki.

Do licha! Już po niej! Dętka trzasła i cała opona poszła w diabły. Muszę ją załatać. Schowaj tę gumę na podkładki. Potnie się ją i podłoży pod słabe

miejsca.

Na skraju szosy samochody z podniesionymi maskami i łaťanymi oponami. Wloką się szosą 66 jak ranne zwierzęta, zdyszane i natężające ostatnie siły. Przegrzane, o obłuźnionych złączach i łożyskach, o klekoczących nadwoziach.

Danny chce wody.

Szosą 66 płynie rzeka uchodźców. Asfaltowa nawierzchnia lśni w słońcu jak lustro, z daleka wydaje się, że to kałuże wody – złudzenie wzroku w upale.

Danny upomina się o kubek wody.

Będzie musiał poczekać, biedaczek. Gorąco mu. Wody dostanie dopiero na najbliższej stacji benzynowej.

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi na drodze. Pięćdziesiąt tysięcy starych gruchotów – okaleczonych, buchających parą. Wzdłuż szosy porzucone wraki. Co im się przydarzyło? Co się stało z ludźmi, którzy nimi jechali? Czy poszli dalej pieszo? Gdzie są teraz? Skąd stać ich na tyle odwagi? Skąd się w nich bierze tyle wiary?

A oto historia, w którą uwierzyć trudno, lecz przecież prawdziwa, zabawna i piękna. Pewna rodzina, złożona z dwunastu osób, została zmuszona do porzucenia swojej ziemi. Nie mieli samochodu. Ze starego żelastwa sklecili przyczepkę i załadowali na nią cały dobytek. Dopchali się do szosy 66 i czekali. Niewiele upłynęło czasu, a zabrała ich przejeżdżająca ciężarówka i pociągnęła za sobą. Pięcioro zmieściło się w samochodzie, a siedmioro podróżowało z psem w przyczepce. Dojechali do Kalifornii w dwóch etapach. Właściciel ciężarówki żywił ich przez całą drogę. I tak było naprawdę. Lecz skąd się bierze tyle męstwa w ludziach i taka wiara w drugiego człowieka? Niewiele rzeczy mogło dać podobną wiarę.

Ludzie uciekają od groźących im okropności, i oto dziwne przydarzają im się rzeczy – niekiedy gorzkie i okrutne, a niekiedy tak piękne, że rozpalają niegasnącą wiarę w człowieka.

Rozdział 13

Staroświecki przeładowany hudson, trzeszcząc i sapiąc, dojechał do Sallisaw i do szosy, a potem w oślepiającym blasku słońca skręcił na zachód. Dopiero na asfaltowej nawierzchni, gdy spłaszczonym resorom przestało już grozić niebezpieczeństwo, Al zwiększył szybkość. Z Sallisaw do Gore jest dwadzieścia jeden mil, a hudson robił trzydzieści pięć na godzinę. Z Gore do Warner trzydzieści mil, z Warner do Checotah – czternaście; z Checotah do Henrietty długi etap – trzydzieści cztery mile, ale też u jego kresu leży prawdziwe miasto. Z Henrietty do Castle – dziewiętnaście mil. Słońce stało w zenicie, a w jego prostopadle padających promieniach drżało nad czerwonymi polami rozprażone powietrze.

Przy kierownicy Al ze skupioną twarzą wczuwał się całym ciałem w bieg ciężarówki i przerzucał niespokojny wzrok z drogi na tablicę rozdzielczą. Zrósł się w jedną całość z maszyną i każdym nerwem łowił jej niedomagania, jej stuki i zgrzyty, jej brzęczenie i szczekanie, które mogły wróżyć jakieś uszkodzenie. Stał się niejako duszą samochodu.

Obok niego, pojękując przez sen, drzemała na siedzeniu babka. Chwilami otwierała oczy, żeby popatrzeć przed siebie, i znowu zapadała w drzemkę. Obok babki siedziała matka z łokciem wysuniętym za okno i zaczerwienionym od ostrego słońca. I ona patrzyła przed siebie, ale oczy jej były puste; nie widziały ani drogi, ani pól, ani stacji benzynowych, ani przydrożnych budek z żywnością. Stary hudson mijał to wszystko, ale ona ani spojrzała.

Al poprawił się na nadwerężonym siedzeniu kierowcy i zmienił ułożenie rąk na kierownicy. Westchnął.

– Hałasuje jak cholera, ale na razie wszystko w porządku. Bóg tylko raczy wiedzieć, co się stanie, jeśli z takim ładunkiem będziemy musieli wjechać

na jakieś wzgórze. Są tam pagórki na drodze do Kalifornii, mamó? – zapytał.

Matka powoli odwróciła głowę, oczy jej ożywiły się.

– Zdaje się, że są – odpowiedziała. – Bo ja tam zresztą wiem? Coś słyszałam, że są tam pagórki, a nawet góry. I to wysokie.

Babka wydała przez sen głębokie, jęklive westchnienie.

– Wykończymy wóz, jeśli trzeba będzie jechać pod górę. Będziemy musieli wyrzucić część gratów – mówił dalej Al. – Może lepiej było nie brać tego pastora.

– Jeszcze będziesz rad, żeśmy go zabrali – odparła matka. – Ten pastor będzie nam pomocą.

Znowu utkwiała wzrok przed siebie, w lśniąca w słońcu drogę.

Al prowadził samochód jedną ręką, drugą położył na drgającej dźwigni zmiany biegów. Coś tamowało mu mowę. Usta jego milcząco układały słowa, zanim wypowiedział je głośno:

– Mamó!

Z wolna zwróciła ku niemu głowę, kołyszącą się lekko w takt ruchu samochodu.

– Mamó, czy mama nie boi się tej jazdy? Czy nie boi się mama obcych stron?

Oczy jej stały się zamyślane i łagodne.

– Trochę – odpowiedziała. – Może to nawet nie jest strach. Po prostu siedzę i czekam. Kiedy się coś stanie i trzeba będzie działać, dam sobie radę.

– A czy nie myśli mama o tym, jak to tam będzie na miejscu? Nie boi się mama, że nie będzie tak pięknie, jakieśmy się spodziewali?

– Nie – odparła szybko. – Nie boję się. Nie wolno się bać. I ja nie mogę się bać. To tak, jakby człowiek chciał przeżyć za wiele od razu. Przed nami jest tysiąc rodzajów życia, ale przeżyjemy tylko jedno. A przewidywać i mędrkować, co nas czeka – nie, to nie dla mnie. Ty możesz żyć przyszłością, jesteś jeszcze taki młody, ale moje życie to jak ta droga, którą jedziemy. I myślę tylko o tym, kiedy zaczniecie wołać o wieprzowe żeberka. – Rysy jej stwardniały. – Tyle tylko mogę – nic więcej. Na więcej mnie nie stać. Gdybym zrobiła coś ponadto, cała rodzina by się rozpadła. Oni wszyscy przecież liczą, że myślę o tym, co trzeba.

Babka ziewnęła przeraźliwie i otworzyła oczy. Rozejrzała się dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

– O mój Boże, muszę wysiąść! – oznajmiła.

– Przy pierwszej kępie krzaków – powiedział Al. – Już je widać.

– Krzaki, nie krzaki, muszę wysiąść, powiadam! – I zaczęła zawodzić: – Muszę wysiąść! Muszę wysiąść!

Al zwiększył szybkość i gdy samochód dojechał do niskich krzaków, zahamował gwałtownie. Matka otworzyła drzwi i prawie wyciągnęła wyrrywającą się staruszkę na skraj szosy w zarośla. Podtrzymywała przykucniętą, żeby się nie przewróciła.

Na szczycie spiętrzonego bagażu nastąpiło poruszenie. Wszystkie twarze lśniły opalenizną, nie sposób było skryć się przed palącym słońcem. Tom, Casy, Noah i stryj John spuścili się ciężko na ziemię. Ruthie i Winfield zsunęli się po ścianach ciężarówki i znikli w krzakach. Connie pomógł troskliwie zejść Rose of Sharon. Dziadek obudził się i wysunął głowę spod brezentowej płachty, lecz oczy jego, pozostające jeszcze pod działaniem narkotyku, były załzawione i nieprzytomne. Przyglądał się wszystkim, ale widać było, że nikogo nic poznaje. Tom zawołał:

– Chce dziadek zejść?

Stare oczy zwróciły się ku niemu obojętnie.

– Nie – odpowiedział dziadek. Na chwilę we wzroku jego pojawił się błysk wściekłości. – Nie jadę, mówię ci. Zostanę jak Muley.

A potem znów zapadł w stan otępienia. Wróciła matka, pomagając babce wspiąć się na skarpę szosy.

– Tom! – zawołała. – Wyjmij patelnię z kośćmi. Jest tam z tyłu pod płachtą. Trzeba coś zjeść.

Tom wydobył patelnię i puścił ją w obieg. Rodzina stała na skraju drogi, ogryzając chrupiące mięso z kości wieprzowych.

– Całe szczęście, żeśmy to zabrali – odezwał się ojciec. – Tak zesztyniałem tam na górze, że ledwo się mogę ruszać. Gdzie jest woda?

– A toście jej nie wzięli? – zdziwiła się matka. – Wystawiłam przed dom ten galonowy dzban.

Ojciec wspiął się na ciężarówkę i zajrzał pod płachtę.

– Nie ma go tutaj. Musieliśmy zapomnieć.

Wszyscy od razu poczuli pragnienie. Winfield podniósł lament:

– Ja chcę pić! Ja chcę pić!

Dorośli również oblizywali wargi, uświadamiając sobie nagle pragnienie. Wszczęł się mały popłoch. Al wyczuł rosnącą panikę.

– Dostaniemy wodę na pierwszej stacji benzynowej. Potrzebujemy także benzyny.

Rodzina rzuciła się do ciężarówki. Matka pomogła wsiąść babce i sama zajęła miejsce obok niej. Al włączył silnik i ruszyli.

Z Castle do Paden jest dwadzieścia pięć mil. Słońce minęło już zenit i chyliło się ku zachodowi. Korek chłodnicy zaczął podskakiwać i wypuszczać ze świstem kłęby pary. W pobliżu Paden stała przy szosie buda. Przed nią widniały dwie pompy benzynowe, a opodał płot, kran z wodą i wąż. Al skręcił i nakierował hudsona frontem ku wężowi. Gdy zahamował, z krzesła stojącego za pompami podniósł się tęgi mężczyzna o purpurowej twarzy i czerwonych ramionach i ruszył ku przybyszom. Miał na sobie brązowe welwetowe spodnie, szelki i sportową koszulę, a na głowie tekturowy srebrzysty hełm od słońca. Pot kroplił mu się na nosie i pod oczami, spływając strugami po pomarszczonej szyi. Leniwym krokiem, z zaczepną i srogą miną zbliżył się do ciężarówki.

– Macie zamiar coś kupić, ludzie? Benzynę czy co innego? – zapytał.

Al wysiadł właśnie i końcami palców odkręcał gorący korek chłodnicy, cofając co chwila rękę, żeby uchronić ją przed oparzeniem parą, gdy korek się rozluźni.

– Potrzebujemy benzyny, proszę pana.

– A pieniądze macie?

– Pewno, że mamy. Myśli pan, że przyszlismy żebrać?

Tłusta twarz złagodniała.

– No to wszystko w porządku. Biercie wody, ile się wam podoba. –

I pośpiesznie wyjaśnił: – Pełno ludzi na drodze, którzy zajeżdżają, biorą wodę, zapaskudzają ustęp, a potem, do diabła, kradną, co im w rękę wpadnie, i nie płacą! Nie mają grosza przy duszy. Przyłóżą żebrać o galon benzyny, żeby jechać dalej.

Rozeźlony Tom zeskoczył na ziemię i podszedł do grubasa.

– Płacimy za wszystko – powiedział porywczo. – Nie macie żadnego prawa nas badać. O nic was nie prosimy.

– Toteż się do was nie wtrącam – łagodził skwapliwie grubas. Pot zaczął mu przesiąkać przez koszulę z krótkimi rękawami. – Weźcie sobie wody, ile wam trzeba, i korzystajcie z ustępu, ile wam się podoba.

Winfield dorwał się do węża. Napił się, a potem skierował na głowę i twarz strumień, spod którego wynurzył się ociekający wodą.

– Wcale nie jest zimna – oświadczył.

– Nie wiem, co to się wyrabia w tym kraju – mówił dalej grubas. Jego narzekania zmieniły adresata, nie mówił już do Joadów ani o nich. – Dzień w dzień przejeżdża tędy pięćdziesiąt, sześćdziesiąt wozów. Ludzie przenoszą się na zachód z dziećmi i całym dobytkiem. Dokąd oni jadą? Co mają zamiar tam robić?

– To samo co my – odpowiedział Tom. – Jadą szukać miejsca, gdzie by się dało żyć. Próbuja po prostu jakoś wybrnąć.

– Bóg wie, do czego dojdzie ten kraj? Po prostu nie mam pojęcia. I ja też staram się jakoś wybrnąć. Myślicie, że tu się zatrzyma jakiś porządny, nowy wóz? Nic podobnego! Wszystko pcha się do miasta, do tych żółto malowanych stacji towarzystwa naftowego. W takim miejscu nie przystanie żaden elegancki samochód. Większość ludzi, co tu stają, nie ma grosza przy duszy.

Al odkręcił do końca korek chłodnicy, który wyskoczył w górę, wypchnięty przez parę. Z chłodnicy dochodził głuchy bulgot. Na szczycie obładowanej ciężarówki spragniony pies przyczołgał się nieśmiało do krawędzi i patrzył w dół, skomląc o wodę. Stryj John wspiął się na samochód i zniósł zwierzę, chwyciwszy je za skórę na karku. Przez chwilę pies chwiał się na zeszywniałych łapach, a potem poszedł chleptać wodę z kałuży pod kranem. Szosą przemykały z warkotem samochody i gorący powiew ich pędu chłodził podwórze stacji benzynowej. Al napełnił za pomocą węża chłodnicę.

– Wcale mi o to nie chodzi, żeby mieć tylko bogatych gości – ciągnął grubas. – Po prostu chcę, żeby handel jakoś szedł. Tymczasem ludzie, którzy się tu zatrzymują, błagają o benzynę i są gotowi wszystko za nią przehandlować. Mógłbym wam pokazać w komórce graty, które dostałem za benzynę i olej: łóżka, wózki dzieciinne, garnki, patelnie. Była tu rodzina, która sprzedała mi lalkę swego dziecka za galon benzyny. I co ja mam z tym począć? Otworzyć sklep ze starzyzną czy co? Jeden gość chciał mi oddać za galon benzyny własne buty. I gdybym tylko chciał, założę się, że mógłbym nawet... – Zerknął na matkę i zamilkł.

Jim Casy polał sobie głowę wodą i krople wciąż jeszcze spływały mu z wysokiego czoła, muskularna szyja i koszula były mokre. Stanął obok

Toma.

– To nie jest wina tych ludzi – wtrącił. – A czy pan chętnie by sprzedał łóżko, na którym pan śpi, za bak benzyny?

– Wiem, że to nie jest ich wina. Każdy, z kim gadam, ma swoje racje i musi jechać. Ale co się stanie z krajem? To tylko chciałbym wiedzieć. Jak się to wszystko skończy? Nie można już wyżyć. Nie można wyżyć, uprawiając kawałek ziemi. Więc pytam was, do czego to dojdzie? Nie mogę sobie tego wyobrazić. I kogo zapytam, nikt tego nie potrafi odgadnąć. Są tacy, co sprzedaliby ostatnią parę butów, byle pojechać o sto mil dalej. Nic z tego nie rozumiem.

Zdjął srebrzysty hełm i otarł dłonią czoło. Tom również zdjął czapkę i wytarł nią czoło. Podszedł do węża, zmoczył dokładnie czapkę, wyżył i włożył na głowę. Matka sięgnęła pomiędzy boczne bariery ciężarówki, wyciągnęła kubek i dała wody babce, a potem dziadkowi. Stała na krawędzi samochodu i podała kubek staruszkowi, który tylko umoczył w nim wargi, a potem potrząsnął przecząco głową i nie chciał pić więcej. Stare oczy spoczęły przez chwilę na matce z wyrazem bólu i oszołomienia i znów pogrążyły się w nieświadomości.

Al uruchomił silnik i cofnął samochód pod pompę benzynową.

– Niech pan napełni bak. Bierze koło siedmiu, ale niech pan da tylko sześć, żeby się nie przelało.

Grubas wsadził wąż do baku.

– Tak, tak – mówił dalej – schodzimy na psy. W końcu wszyscy będziemy żyli z zapomogi dla bezrobotnych.

– Ostatnio wędrowałem sporo po kraju – powiedział Casy. – Wszyscy zadają sobie to samo pytanie. Ku czemu idziemy? A mnie się zdaje, że do niczego nie idziemy. Zawsze tylko jesteśmy w drodze. Idziemy i idziemy. Zastanówcie się nad tym. Na przykład ta wędrówka teraz. Ludzie zmieniają miejsce. Wiemy dlaczego i wiemy, jak się to dzieje. Jadą, bo muszą. Przecież tylko w ten sposób mogą coś lepszego zdobyć. Gdy chcą czegoś i potrzebują, wyruszają na poszukiwanie. To krzywda doprowadziła ludzi do takiej ostateczności, że gotowi są walczyć. Włóczyłem się po całym kraju i spotykałem takich, którzy mówili podobnie jak pan.

Właściciel stacji pompował benzynę, a na tarczy pompy obracała się strzałka rejestrująca jej ilość.

– Tak, ale czym się to wszystko skończy? To chciałbym wiedzieć.

Tom przerwał mu z irytacją:

– Nigdy się chyba nie dowiecie. Casy tłumaczy wam i tłumaczy, a wy wciąż swoje. Znam takich. O nic nie pytacie, tylko powtarzacie ciągle tę samą śpiewkę: „Czym się to wszystko skończy?”. Wcale wam na tym nie zależy, żeby wiedzieć. Cały kraj ruszył w drogę i przenosi się z jednego miejsca w drugie. Ludzie umierają naokoło. Może i wy umrzecie lada dzień, ale nic się nie dowiecie. Za dużo już widziałem takich jak wy. Nie chcecie wiedzieć o niczym, kołyszecie się do snu tą swoją piosenką: „Czym się to wszystko skończy?” – i tyle.

Rzucił okiem na starą, zardzewiałą pompę benzynową, na stojącą za nią budę skleconą ze starych desek, w których przez jaskrawą farbę przezierwały dziury po wbitych tam kiedyś gwoździach. Krzykliwa żółtość miała być imitacją barwy miejskich stacji benzynowych należących do wielkich spółek. Farba nie zdołała jednak ukryć dawnych dziur i szczelin, a na powtórne pomalowanie zbrakło widać pieniędzy. Naśladownictwo było nieudolne i właściciel wiedział, że jest nieudolne. Przez otwarte drzwi budy Tom dojrzał beczki z olejem – wszystkiego dwie – i kontuar ze starymi cukierkami, z laseczkami lukrecji, pożółkłymi od długiego leżenia, i papierosami. Dojrzał też złamane krzesło, a w oknie siatkę od much z dziurą przeżartą przez rdzę. I zaśmiecone podwórze, które należałoby wysypać żwirem, a za nim pole kukurydzy więdnącej i schnącej w słońcu. Koło budy znajdował się mały składzik zużytych i przerobionych opon samochodowych. Tom teraz dopiero dostrzegł, że spodnie grubasa są tanie i sprane, sportowa koszula – tandetna, a hełm – tekturowy.

– Nie chciałem was urazić – tłumaczył się. – To z tego upału. U was też się nie przelewa. Niedługo i wy znajdziecie się na drodze. I to nie ciągniki wypędzą was w świat. Wgnają was te piękne, żółte miejskie stacje benzynowe. Ludzie ruszyli na wędrowną – dodał jakby zawstydzony – ale i was to czeka.

Grubas przestał pompować benzynę i patrzył na Toma zatroskanym wzrokiem.

– Skąd o tym wiecie? – zapytał bezradnie. – Skąd wiecie, że jużemy o tym gadali, czy nie zabrać manatków i nie wyruszyć na zachód?

Odpowiedział mu Casy:

– Każdemu grozi ten sam los. Ja, na przykład, wszystkie moje siły poświęciłem na to, żeby walczyć z diabłem, bo wydawało mi się, że to on

jest najgorszym wrogiem ludzi. Lecz coś jeszcze gorszego od diabła opanowało kraj i nie ustąpi, dopóki nie zostanie powalone. Czy widział pan kiedy, jak przyczepiają się do ciała te jadowite jaszczurki? Przerąbiesz ją na pół, a głowa dalej wisi. Odrąbiesz tułów, to sam łeb się trzyma. Musisz dopiero wziąć śrubokręt i oderwać nim jaszczurczą głowę, żeby się od niej uwolnić. A dopóki tego nie zrobisz, jad sączy się do ranek zrobionych jej zębami.

Zamilkł i zerknął z ukosa na Toma. Grubas, przygnębiony, patrzył przed siebie. Ręka jego zaczęła powoli obracać korbę.

– Bóg raczej wiedzieć, co z nami wszystkimi będzie – powiedział cicho.

Nieopodał, przy wężu z wodą, Connie i Rose of Sharon prowadzili poufną rozmowę. Connie wypłukał blaszany kubek i zanim napełnił go ponownie, sprawdził palcem temperaturę wody. Rose of Sharon przyglądała się samochodom sunącym szosą. Connie podał jej kubek.

– Nie jest zimna, ale przynajmniej mokra – powiedział.

Spojrzała na niego, uśmiechając się tajemniczo. Od czasu gdy zaszła w ciążę, zaczęła przybierać tajemnicze miny, lubując się w sekretach i drobnych przemilczeniach, które zdawały się mieć jakiś ukryty sens. Rozmówiona w swym stanie, uskarżała się na rzeczy pozbawione właściwie znaczenia. Wymagała od Conniego usług, które były niemądre, o czym oboje wiedzieli. Connie również rozmówany był w jej stanie i pełen dla niej podziwu. Przyjemnie było dzielić z nią wszystkie sekrety. Gdy uśmiechała się do niego porozumiewawczo, uśmiechał się i on, wymieniając z nią szeptem poufne zwierzenia. Świat zacieśnił się wokół nich. Stanowili jego ośrodek, ale właściwie ośrodkiem była Rose of Sharon, Connie zaś krążącą wokół niej maleńką orbitą. Wszystko, co sobie mówili, miało charakter tajemnicy. Rose of Sharon oderwała wzrok od szosy.

– Nie jestem bardzo spragniona – powiedziała wytwornie – ale może powinnam pić.

Connie przytaknął ruchem głowy, gdyż wiedział dobrze, o co Rose of Sharon chodzi. Wzięła kubek, wypłukała usta, splunęła, a potem wychyliła resztę letniej wody.

– Chcesz jeszcze? – zapytał.

– Tylko pół kubka.

Napełnił kubek do połowy i podał żonie. Szosą przemknął srebrzysty, niski lincoln zephyr. Rose of Sharon odwróciła się, żeby zobaczyć, gdzie

jest reszta rodziny, i spostrzegła, że wszyscy zgromadzili się przy ciężarówce. Uspokojona, zagadnęła:

– Chciałbyś jechać takim samochodem?

– Może kiedyś – westchnął Connie. Oboje wiedzieli, o czym myślał. – Jeśli się tylko znajdzie robota w Kalifornii, będziemy mieli własny samochód. Ale taki – wskazał w kierunku znikającego zephyra – kosztuje tyle, co duży dom. Wolałbym już mieć dom.

– A ja chciałabym mieć i dom, i taki samochód – orzekła.

– Ale najpierw dom, bo przecież...

I znowu oboje zrozumieli się doskonale. Myśl o oczekiwany dziecku podniecała ich do najwyższego stopnia.

– Czujesz się dobrze? – zapytał.

– Jestem zmęczona. Zmęczyła mnie po prostu jazda w taki upał.

– Musimy jechać, bo inaczej nigdy byśmy się nie dostali do Kalifornii.

– Wiem – odpowiedziała.

Pies kręcił się koło ciężarówki i obwąchiwał ją, a potem znów zbliżył się do kałuży pod wężem i zaczął chleptać brudną wodę. Po chwili pobiegł dalej z nosem przy ziemi i ze spuszczonego uszami. Węsząc, torował sobie drogę wśród zakurzonych chwastów, rosnących przy szosie, aż do skraju nawierzchni. Tu podniósł łeb, spojrzał przed siebie i wbiegł na jezdnię. Rose of Sharon krzyknęła przeraźliwie. Ze świstem opon nadjeżdżał właśnie pędem wielki samochód. Pies szarpnął się bezradnie i ze skowyt, który urwał się nagle, wpadł pod koła. Samochód zwolnił na chwilę, jadący w nim obejrżeli się, a potem wóz zwiększył szybkość i znikł. Na drodze pies – krwawa miazga i splątane, wywalone wnętrza – poruszał słabo łapami.

Rose of Sharon patrzyła z przerażeniem.

– Czy myślisz, że coś mi się stało? – pytała błagalnie. – Powiedz, czy coś mi się stało?

Connie objął ją ramieniem.

– Chodź i usiądź. Nic się nie stało.

– Ale ja czułam, że coś mi się stało. Poczułam, jakby mnie coś szarpnęło, kiedy krzyknęłam.

– Chodź, usiądź! To nic. Nic ci nie będzie.

Odprowadził ją za ciężarówkę, jak najdalej od zdychającego psa, i posadził na stopniu.

Tom i stryj John podeszli do zwierzęcia. Ostatni dreszcz wstrząsnął zmiażdżonym ciałem. Tom wziął psa za nogi i odciągnął na brzeg szosy. Stryj John wyglądał na zakłopotanego, jak gdyby poczuwał się do winy.

– Powinienem był go przywiązać – wyrzucał sobie.

Ojciec patrzył chwilę na psa, potem odwrócił się i powiedział:

– Jedźmy. I tak nie wiem, jak byśmy go wyżywili. Może i lepiej, że się tak stało.

Zza ciężarówki ukazał się gruby właściciel stacji benzynowej.

– Szkoda. Żaden pies nie utrzyma się długo koło szosy. Trzy psy przejechali mi w ciągu roku. Teraz już nie trzymam żadnego. – I dodał: – Nie martwcie się, zajmę się nim, zakopię go w polu.

Matka zbliżyła się do Rose of Sharon, która ciągle jeszcze drżała, siedząc na stopniu samochodu.

– No, jak tam, Rosasharn? – zapytała. – Niedobrze się czujesz?

– Widziałam, co się stało, i przestraszyłam się.

– Słyszałam, jak krzyknęłaś – zauważyła matka. – Teraz weź się w garść.

– A czy to mogło mi zaszkodzić?

– Nie – odparła matka. – Ale jak będziesz o tym za dużo myślała i rozczulała się nad sobą, to ci zaszkodzi. Wstań i chodź pomóc mi posadzić wygodnie babkę. Zapomnij na chwilę o dziecku. Już ono da sobie radę samo.

– A gdzie jest babka? – zapytała Rose of Sharon.

– Nie wiem. Siedzi tu pewno gdzieś w pobliżu. Może w ustępie.

Rose of Sharon poszła do ustępu i po chwili wyprowadziła babkę, podtrzymując ją.

– Zasnęła – powiedziała.

Babka uśmiechnęła się.

– Bardzo tam ładnie – oznajmiła z zadowoleniem. – Mają prawdziwy klozet z wodą do spuszczenia. Bardzo mi się tam podobało. Uciąłabym sobie drzemkę aż miło, gdyby mnie Rosasharn nie zbudziła.

– To nie jest miejsce do spania – powiedziała Rose of Sharon, pomagając babce wsiąść do samochodu.

Staruszka usadowiła się rozpromieniona.

– Miejsce może nie do zabawy, ale ładnie, bo ładnie – chwaliła.

– Ruszamy – niecierpliwił się Tom. – Mamy dziś jeszcze szmat drogi przed sobą.

Ojciec gwizdnął przeraźliwie.

– Gdzież te dzieci poszły? – Włożył palce w usta i znowu zagwizdał. Po chwili dzieci wynurzyły się z kukurydzy – pierwsza Ruthie, a za nią Winfield.

– Jajka! – zawołała dziewczynka. – Znalazłam jajka! – Podbiegła do dorosłych, tuż za nią biegł braciszek. – Patrzcie!

W brudnej rączce spoczywał tuzin miękkich, szarawobiałych jajeczek. Gdy Ruthie wyciągnęła dłoń, wzrok jej padł na martwego psa na skraju szosy. Krzyknęła: „Och!”, i dzieci powoli podeszły do zwierzęcia. Zaczęły mu się uważnie przyglądać.

– Chodźcie, chyba że chcecie tu zostać – przywołał je ojciec.

Odwróciły się z powagą i ruszyły w kierunku samochodu. Ruthie spojrzała raz jeszcze na szare jajeczka jakiegoś płaza, które wciąż trzymała w dłoni, i rzuciła je na ziemię. Oboje z Winfieldem wdrapali się na ciężarówkę.

– Miał jeszcze oczy otwarte – powiedziała Ruthie przyciszonym głosem.

Lecz Winfield podniecał się oglądając przed chwilą sceną.

– A kiszkę to mu całe wylazły na wierzch... na wierzch... – oświadczył zuchwale i zamikł na chwilę. Potem powtórzył: – Wylazły... na wierzch... – Nagle odwrócił się gwałtownie i zwymiotował na bok ciężarówkę. Gdy się wyprostował, oczy miał załzawione i ciekło mu z nosa. – To nie tak jak z biciem świń – tłumaczył się.

Al podniósł maskę hudsona i sprawdził poziom oleju. Spod siedzenia kierowcy wyciągnął galonową bańkę, wlał do skrzyni korbowej trochę taniego, ciemnego oleju i ponownie skontrolował poziom.

Tom podeszedł do niego i spytał:

– Może ja trochę poprowadzę samochód?

– Nie jestem zmęczony – odparł Al.

– Ale tej nocy wcale nie spałeś, a ja się rano przedrzemałem. Włóż na górę. Ja siadę przy kierownicy.

– Dobrze – zgodził się Al niechętnie. – Ale uważaj dobrze na manometr olejowy. Prowadź powoli. Przyjrzę się zresztą trochę, jak ci to idzie. Zerknij od czasu do czasu na wskazówkę amperomierza. Jeśli skoczy poniżej zera, to znaczy, że akumulator się wyładowuje. Jedź pomału, Tom. Wóz jest przeciążony.

Tom roześmiał się.

– Już ja go dopilnuję. Możesz spać spokojnie.

Rodzina znów stłoczyła się na szczycie naładowanego samochodu. Matka usadowiła się w kabinie obok babki, Tom zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik.

– Roztrzęsiony grat – mruknął, włączając bieg i wyjechał na szosę.

Silnik warczał jednostajnie, słońce przed nimi zniżało się na niebie. Babka spała mocno i nawet matka pochyliła głowę i zdrzemnęła się. Tom nasunął czapkę na oczy, osłaniając je przed oślepiającym słonecznym blaskiem.

Z Paden do Meeker jest trzynaście mil; z Meeker do Harrah czternaście; a potem ukazało się wielkie miasto – Oklahoma City. Tom przejechał przez nie, nie zatrzymując się. Matka obudziła się i przyglądała ulicom, którymi jechali. Reszta rodziny przypatrywała się z wysokości samochodu sklepom, wielkim domom, urządnom. Po pewnym czasie domy i sklepy zaczęły coraz bardziej maleć. Wreszcie ukazały się składy złomu, budki z hot dogami, podmiejskie lokale taneczne.

Ruthie i Winfield chłonęli to wszystko wzrokiem i czuli się onieśmieleni wielkością i obcością tego, co widzieli, a elegancko ubrani ludzie budzili w nich lęk. Dzieci nie rozmawiały między sobą. Później pomówią o tym, ale nie teraz. Oglądały poczerniałe szyby naftowe na skraju miasta i wciągały w nozdrza woń ropy naftowej i benzyny unoszącą się w powietrzu. Ale nie wykrzykiwały. Wszystko było tak ogromne i niezwykle, że ogarnął je strach.

Rose of Sharon spostrzegła na ulicy mężczyznę w jasnym ubraniu, białych pantoflach i słomkowym płaskim kapeluszu. Trąciła Conniego i wskazała mu wzrokiem eleganta. Oboje zachichotali cicho. Nie mogli opanować śmiechu. Zakrywali sobie dłonią usta. Tak ich to ubawiło, że zaczęli się rozglądać za przechodniami, z których można by się pośmiać. Dostrzegli to Ruthie i Winfield i uznali za tak zabawne, że spróbowali też parskać śmiechem, ale im się to nie udawało. Tymczasem Connie i Rose of Sharon aż poczerwienieli i dusili się z tłumionego chichotania. Doszło do tego, że dość im było na siebie spojrzeć, żeby na nowo wybuchnąć śmiechem.

Przedmieścia ciągnęły się bez końca. Tom prowadził samochód po zatłoczonych ulicach powoli i ostrożnie, aż wydostali się na szosę 66 – wielki szlak na zachód. Słońce zniżało się ku linii drogi. Pył iskrzył się

na szybie ochronnej. Tom nacisnął głębiej czapkę na oczy – tak głęboko, że musiał odchyłać głowę w tył, żeby cokolwiek dojrzeć. Babka wciąż spała, słońce grzało jej zamknięte powieki. Na skroniach wystąpiły jej sine żyłki, a na policzkach sieć naczynek barwy wina; brunatne starcze plamy na twarzy pociemniały. Tom oznajmił:

– Będziemy jechali tą szosą już do samego końca.

Matka przez dłuższy czas milczała, wreszcie odezwała się:

– Może lepiej poszukamy miejsca na postój przed zachodem słońca. Muszę ugotować trochę wieprzowiny i usmażyć grzanek. To zajmie sporo czasu.

– Racja – przytaknął Tom. – I tak jednym etapem nie dojedziemy. Przyda się też rozprostować kości.

Z Oklahoma City do Bethany jest czternaście mil.

– Ja też jestem za tym, żeby zatrzymać się, zanim słońce zajdzie – mówił Tom. – Al musi zmajstrować tę budę, bo inaczej wszyscy tam na górze umrą z gorąca.

Matka znów zapadła w drzemkę. Drgnęła nagle i podniosła głowę.

– Muszę ugotować coś na kolację – powiedziała i dodała: – Tom, ojciec powiedział mi, co może być, jeśli przejedziesz granicę stanu.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim spytał:

– Tak? No i co, mam?

– No cóż, trochę się tego boję. To tak, jakbyś uciekł. Mogą cię złapać.

Tom osłonił ręką oczy przed promieniami zachodzącego słońca.

– Niech się mama nie przejmuję – uspokajał. – Przemyślałem sobie to wszystko. Dużo jest takich jak ja, zwolnionych warunkowo, i co dzień nowych przybywa. Gdyby mnie przyłapali na zachodzie na czymś nowym, wtedy... W Waszyngtonie mają moją fotografię i odciski palców, odesłaliby mnie z powrotem do kryminału. Ale jeśli nic nie przeszkobię, pies z kulawą nogą nie zwróci na mnie uwagi.

– Tak czy owak, trochę się boję. Czasem człowiek popełnia zbrodnię, a nie wie nawet, że robi coś złego. Może w tej Kalifornii bywają takie przestępstwa, o których my nie wiemy. Możesz być całkiem w porządku, a tam powiedzą, że źle postąpiłeś.

– To samo groziłoby, gdybym nie był zwolniony warunkowo. Tyle tylko, że jak mnie teraz na czymś złapią, to dadzą mi po łbie lepiej niż komu

innemu. Ale dość już tego martwienia się, mamó. I tak mamy dosyć kłopotów bez wynajdywania sobie nowych.

– Nic na to nie poradzę – odpowiedziała. – Z chwilą gdy wyjechałeś poza granice stanu, popełniłeś przestępstwo.

– Lepsze to w każdym razie niż przymieranie głodem gdzieś pod Sallisaw – odparł Tom. – Wypatrzmy lepiej jakieś miejsce na popas.

Przejechali przez Bethany. Po drugiej stronie miasta, w przepuście przebiegającym pod drogą, stał ściągnięty z szosy stary samochód turystyczny. Przy nim rozpięty był niewielki namiot, z którego wystawała dymiąca rura piecyka. Tom powiedział, wskazując palcem w tamtym kierunku:

– Jacyś ludzie tam obozują. Miejsce wydaje się nie najgorsze.

Zmniejszył szybkość ciężarówki i zatrzymał ją na skraju drogi. Maskę wysłużonego samochodu turystycznego była podniesiona, mężczyzna w średnim wieku stał pochylony nad silnikiem. Na głowie miał tanie słomkowe sombrero. Ubrany był w niebieską koszulę, czarną poplamioną kamizelkę i sztywne, świecące z brudu dżinsy. Zapadłe policzki jego wychudzonej twarzy podkreślały głębokie bruzdy uwydatniające kości policzkowe i ostrą, wystającą brodę. Spojrzał na ciężarówkę Joadów, w oczach jego błysnęły zaciekawienie i gniew. Tom wychylił się z okna kabiny.

– Czy jakieś prawo zabrania zatrzymać się tu na nocleg?

Mężczyzna, który patrzył tylko na samochód, przeniósł wzrok na Toma.

– A bo ja wiem? – odpowiedział. – Zatrzymaliśmy się tutaj dlatego, że nie mogliśmy jechać dalej.

– Jest tu gdzie woda?

Nieznajomy wskazał palcem budkę stacji benzynowej widniejącą o jakieś ćwierć mili dalej.

– Tam mają wodę. Pozwolą wam nabrać do wiadra.

Tom wahał się.

– Jak pan myśli, czy moglibyśmy się rozłożyć tu obok obozem? – zapytał.

Chudy człowiek wyglądał na zdumionego.

– Przecież to nie nasz teren. Stanęliśmy tu dlatego, że ten przeklęty stary grat nie chciał jechać dalej.

– W każdym razie wyście tu byli pierwsi, nie my – podkreślił Tom. – Macie prawo powiedzieć, czy chcecie mieć sąsiadów, czy nie.

Odwołanie się do gościnności odniosło natychmiastowy skutek. Wychudłą twarz rozjaśnił uśmiech.

– Czemu nie, rozumie się, zjeżdżajcie z drogi. Będzie nam bardzo przyjemnie. – I zawołał: – Sairy, będziemy mieli sąsiadów! Wyjdź i przywitaj się. Żona mi niedomaga – dodał.

Płótno zasłaniające wejście do namiotu rozchyliło się i wyszła z niego przywidła kobieta o twarzy pomarszczonej jak zeschnięty liść i czarnych, płonących oczach, które zdawały się spoglądać z otchłani grozy. Drobna jej postać drżała. Stała wyprostowana, trzymając się namiotu, a jej ręka przypominała szkielet obciążony pomarszczoną skórą.

Gdy się odezwała, głos jej zabrzmiał pięknym, niskim tonem, miękkim i modulowanym, lecz chwilami pobrzmiwała w nim dźwięczniejsza nuta.

– Powiedz, że ich witam – zwróciła się do męża. – Powiedz, że rada jestem miłym gościom.

Tom zjechał z szosy na pole i zatrzymał ciężarówkę obok samochodu turystycznego. Wszyscy wyroili się na ziemię. Ruthie i Winfield zeskoczyli tak szybko, że nogi ugięły się pod nimi, i wrzasnęli, czując, jak mrowienie przebiega im po zdrętwiałych łydkach. Matka zabrała się natychmiast do pracy. Odwiązała duże wiadro zawieszone w tyle samochodu i podeszła do piszczących dzieci.

– Skoczcie zaraz po wodę, o, tam! Poproście grzecznie: „Przepraszam, czy możemy dostać wiadro wody?”. I powiedzcie: „Dziękuję bardzo”. Nieście wodę razem i nie rozlejcie. A jak zobaczycie po drodze trochę patyków na ogień, to też przynieście.

Dzieci puściły się biegiem w kierunku stacji benzynowej. Przed namiotem zapanowało lekkie zakłopotanie i towarzyska rozmowa urwała się, zanim się naprawdę rozpoczęła. Ojciec zapytał:

– Nie jesteście czasem z Oklahomy?

Al, który stał w pobliżu samochodu turystycznego, rzucił okiem na tablicę rejestracyjną i powiedział:

– Kansas!

Chudy człowiek uzupełnił:

– Galena, a właściwie spod Galeny. Nazywam się Wilson. Ivy Wilson.

– My jesteśmy Joadowie – przedstawił rodzinę ojciec. – Pochodzimy z okolic Sallisaw.

– Bardzo nam miło – oświadczył Wilson. – Sairy, oto nasi goście: Joadowie – zaprezentował.

– Od razu poznałem, że nie jesteście z Oklahomy. Bez obrazu, ale mowę macie dziwną.

– Każdy mówi inaczej – stwierdził Wilson. – Inaczej mówią ludzie z Arkansas, inaczej z Oklahomy. Ale spotkaliśmy jedną paniusię z Massachusetts, która mówiła jeszcze odmiennie od wszystkich. Trudno było w ogóle zrozumieć, o co jej chodzi.

Noah, stryj John i pastor zaczęli wyładowywać ciężarówkę. Pomogli zejść dziadkowi i usadowili go na ziemi. Siedział pochylony, patrząc przed siebie.

– Czy dziadek czasem nie chory? – zapytał go Noah.

– A jakże, do cholery! – odpowiedział starzec słabym głosem. – Chory jak wszyscy diabli!

Sairy Wilson z wolna i ostrożnie zbliżyła się do niego.

– A może pójdziecie do naszego namiotu? – zaproponowała. – Możecie tam położyć się na materacu i odpocząć.

Podniósł na nią oczy, ujęty łagodnością jej głosu.

– Chodźcie ze mną – nalegała. – Odpoczniecie sobie. Pomożemy wam.

Nagle dziadek rozpłakał się. Broda mu się trzęsła, starcze wargi zacisnęły się, łkał ochryple. Nadbiegła matka i otoczyła go ramionami. Dźwignęła go na nogi, natężając szerokie plecy, i pół niosła go, a pół ciągnęła do namiotu.

– Musi być naprawdę chory – zauważył stryj John. – Nigdy dotychczas nie przydarzyło mu się nic podobnego. Nigdy, jak żyję, nie widziałem, żeby płakał.

Wskoczył na ciężarówkę i zrzucił z niej materac. Matka wyszła z namiotu i zwróciła się do Casy'ego:

– Mielście dużo do czynienia z chorymi. Dziadek nam zasłabł. Może zobaczycie, co mu jest.

Casy pośpiesznie ruszył do namiotu i wszedł do środka. Na ziemi leżał podwójny materac zasłany starannie ułożonymi kocami. W małym blaszanym piecyku na żelaznych nóżkach płonął słaby ogień. Wiadro wody, drewniana skrzynka z żywnością, skrzynia zastępująca stół – to było całe umeblowanie. Promienie zachodzącego słońca przeświecały różowo przez płócienne ściany namiotu. Przy materacu klęczała Sairy Wilson. Dziadek

leżał na wznak. Oczy miał otwarte i patrzył w górę, policzki mu pały. Oddychał ciężko.

Casy objął palcami wychudły przegub ręki starca.

– Czuje się dziadek trochę zmęczony? – zapytał.

Nieruchome oczy zwróciły się w kierunku, skąd dochodził głos, ale nie odnalazły pastora. Wargi usiłowały coś powiedzieć, lecz nie wymówiły ani słowa. Casy zbadał puls, puścił rękę chorego i położył mu dłoń na czole. Zgrzybiałe ciało podjęło jakąś walkę, ręce i nogi poruszały się niespokojnie. Starzec wydał całą serię niezrozumiałych dźwięków, twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej pod szczecina siwego zarostu.

Sairy Wilson zapytała cicho Casy'ego:

– Czy wiecie, co mu jest?

Casy podniósł wzrok na pomarszczoną twarz i płonące oczy kobiety.

– A wy wiecie?

– Myślę, że... tak.

– Więc co? – zapytał Casy.

– Mogę się mylić. Wolałabym nie mówić.

Casy przeniósł wzrok na drgającą, czerwoną twarz.

– Myślicie, że... to może atak apopleksji?

– Tak mi się wydaje. Widziałam to już trzy razy.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy charakterystyczne przy rozbijaniu obozu: rąbanie drewna, brzęk naczyń. Matka zajrzała do namiotu.

– Babka chce wejść. Czy pozwolicie jej?

– Jak nie wpuścimy jej, to się jeszcze rozkaprysi – odpowiedział pastor.

– A jak z nim jest? Dobrze? – dopytywała się matka. Casy potrząsnął z wolna głową. Matka obrzuciła szybkim spojrzeniem przekrwioną, drgającą twarz. Wyszła i przed namiotu dobiegł jej głos: – Dobrze się ma, babciu. Odpoczywa teraz trochę.

Lecz babka odpowiedziała nadąsana:

– Tak, ale ja chcę go zobaczyć. To chytry diabeł. Nigdy z nim nic nie wiadomo. – I wśliznęła się do namiotu. Stała nad materacem i przyjrzała się dziadkowi. – Co ci jest? – zapytała. – I znowu spojrzenie jego zwróciło się w kierunku jej głosu, a wargi skurczyły się. – On się tylko złości – mówiła babka. – Znam jego kawały. Miał ochotę drapnąć dziś rano, żeby nie pojechać. A potem rozbolała go ta noga – dodała z niesmakiem. – Po

prostu jest zły. Już nieraz tak bywało, że nie chciał do nikogo gęby otworzyć.

Casy wtrącił łagodnie:

– On się nie złości, babciu. On jest chory.

– Och! – spojrzała jeszcze raz na męża. – Bardzo chory?

– Bardzo, babciu...

Przez chwilę wahała się, ogarnięta niepewnością.

– No to czemu się nie modlicie? – spytała szybko. – Przecież jesteście pastorem.

Mocne palce Casy’ego powędrowały ku ręce dziadka i zacisnęły się dokoła jej przegubu.

– Mówiłem babci, że przestałem już być pastorem.

– Tak czy owak, módlcie się! – rozkazała. – Umiecie klepać różne modlitwy na pamięć.

– Nie mogę – bronił się Casy. – Nie wiem, o co ani do kogo się modlić.

Wzrok babki pobiegł w inną stronę i spoczął na Sairy.

– Nie chce się modlić – oznajmiła. – A czy opowiadałam wam kiedy, jak się modliła Ruthie, kiedy była jeszcze małym szkrabem? Mówiła: „Teraz, o Boże, klęknię przed łóżkiem, Czuwaj nad moim małym serduszkim. A biedna Aza bardzo się trzęsie, A tu nic dla niej nie ma w kredensie, Nic nie znalazło pocziwe psisko, Amen. I to już wszystko”. Taki był jej pacierz.

Po płótnie przesunął się cień, ktoś przeszedł obok namiotu. Dziadek zdawał się toczyć walkę. Wszystkie jego mięśnie skurczyły się. Nagle drgnął, jakby otrzymał mocny cios. Znieruchomiał i przestał oddychać. Casy spojrzał: twarz starca przybrała odcień ciemnopurpurowy. Sairy dotknęła ramienia Casy’ego i wyszeptała:

– Język, język, język!

Casy skinął głową.

– Zasłońcie babkę.

Rozwarł zaciśnięte szczęki dziadka i sięgnął mu do gardła, żeby wyciągnąć język. Gdy tego dokonał, z odsłoniętej krtani wydobył się rżący oddech i staruszek zachłysnął się powietrzem. Casy podniósł z ziemi patyk i przytrzymał nim język. Dziadek dyszał znowu nierównym oddechem.

Babka podrygiwała jak kwoka.

– Módlcie się! – wołała. – Módlcie się! Módlcie się, powiadam wam!

Sairy usiłowała ją uspokoić.

– Módlcie się, psiakrew! – krzyczała babka.

Casy przyglądał się jej przez chwilę. Chrapliwy oddech chorego stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej nierówny.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

– Chwała Panu! – wrzasnęła babka.

– Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

– Amen!

Długie, zdławione westchnienie wyrwało się z otwartych ust, a potem nastąpił jękliwy wydech.

– Chleba naszego powszedniego... daj nam dzisiaj... i odpuść nam...

Oddech ustał zupełnie. Casy spojrzał w oczy dziadka: jasne, głębokie, przenikliwe. Był w nich jakiś błysk pogodnej mądrości.

– Alleluja! – wykrzyknęła babka. – Módlcie się dalej!

– Amen! – powiedział Casy.

Wtedy dopiero babka zamilkła. I poza namiotem ucichły wszelkie hałasy. Szosą przemknął samochód. Casy wciąż jeszcze klęczał na ziemi koło materaca. Przed namiotem wszyscy znieruchomieli, łowiąc uchem odgłosy konania.

Sairy ujęła babkę za ramię i wyprowadziła ją. Staruszka podniosła wysoko głowę i kroczyła z godnością. Jej krok i postawa obliczone były na to, że patrzy na nią rodzina. Sairy doprowadziła staruszkę do leżącego na ziemi materaca i posadziła ją na nim. Babka patrzyła dumnie przed siebie, wiedziała, że jest teraz przedmiotem powszechnej uwagi.

W namiocie panowała cisza. Wreszcie Casy rozchylił płótno rękami i wyszedł. Ojciec zapytał cicho:

– Co to było?

– Apopleksja! – wyjaśnił Casy. – Atak apoplektyczny.

Życie potoczyło się dalej. Słońce dotknęło linii horyzontu i jak gdyby spłaszczyło się na niej. Na drodze ukazał się długi sznur olbrzymich samochodów transportowych pomalowanych na czerwono. Dudniły po szosie, wywołując lekkie drżenie ziemi i wypuszczając rurami wydechowymi kłęby błękitnego dymu. Jeden kierowca siedział za kierownicą, drugi spał na pryczy zawieszanej pod dachem. Lecz

samochody nie zatrzymywały się nigdy; dudniły dniem i nocą, a ziemia drżała pod ich ciężkim ładunkiem.

Rodzina zespoliła się jeszcze bardziej. Ojciec przykucnął na ziemi, obok niego stryj John. Ojciec był teraz głową rodziny. Za nim stanęła matka. Przykucnęli również Noah, Tom i Al. Usiadł i pastor, wsparłszy się na łokciu. Connie i Rose of Sharon przechadzali się opodal. Ruthie i Winfield, pogrążając wiaderko wody, które nieśli między sobą, wyczuli, że coś się stało, zwolnili kroku, postawili wiadro i stanęli spokojnie u boku matki.

Babka siedziała z wyniosłą i chłodną miną, dopóki nie zebrała się cała rodzina i dopóki nie przestano na nią patrzeć. Wtedy położyła się i zakryła twarz ramieniem. Czerwone słońce zaszło, pozostawiając na ziemi jasny odbłask, toteż twarze ludzkie jaśniały w przedwieczornym zmierzchu, a w ich oczach lśnił odbłask nieba. Wieczór chłonał światło, gdziekolwiek je napotkał.

Ojciec odezwał się:

- Skończył w namiocie Wilsonów.
- Wypożyczyli go nam – potwierdził stryj John.
- Poczciwi, zacni ludzie – powiedział miękko ojciec.

Wilson stanął koło swego uszkodzonego samochodu. Sairy podeszła do materaca i usiadła przy babce, ale starała się jej nie dotykać.

– Panie Wilson! – zawołał ojciec.

Wilson zbliżył się ociężale i przykucnął. Przysunęła się również Sairy i stanęła obok męża. Wtedy ojciec powiedział:

- Dziękujemy wam, dobrzy ludzie!
- Radzi jesteśmy, że mogliśmy wam pomóc – odparł Wilson.
- Zaciągnęliśmy u was dług – mówił dalej ojciec.
- Nie ma długów w godzinie śmierci – zaprzeczył Wilson.
- Nie ma mowy o żadnym długu – zawtórowała Sairy jak echo.
- Naprawimy wam wóz, ja i Tom – oświadczył Al. Promieniał dumą, że może spłacić zobowiązania rodziny.
- Pomoc możemy przyjąć – zgodził się Wilson na takie załatwienie sprawy.
- A teraz musimy pomyśleć, co robić – zabrał głos ojciec.
- Według prawa powinniśmy zawiadomić władzę o śmierci, a wtedy wezmą czterdzieści dolarów za pogrzeb albo pochowają go jak dziada.

– W naszej rodzinie nigdy nie było dziadów – wtrącił stryj John.
– Kto wie, może i do tego dojdziemy – zauważył Tom. – Nigdy też dotychczas nikt nie wypędził nas z ziemi.

– Nie mamy nic na sumieniu – powiedział ojciec. – Nikt nie może powiedzieć o nas nic złego. Obywaliśmy się bez rzeczy, za które nie mieliśmy czym zapłacić, nigdy nie prosiliśmy nikogo o jałmużnę. Kiedy Tom znalazł się w opałach, mogliśmy chodzić z podniesioną głową. Zrobił tylko to, co każdy mężczyzna zrobiłby na jego miejscu.

– Jakże więc wybrniemy? – zapytał stryj John.

– Jeżeli postąpimy zgodnie z prawem, przyjdą tu po niego. Mamy wszystkiego sto pięćdziesiąt dolarów. Zedrą z nas czterdzieści za pogrzeb i nie starczy nam do Kalifornii. Inaczej pochowają go jak żebraka. –

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie i wpatrywali się w ciemniejącą przed nimi ziemię. Ojciec mówił cicho dalej: – Dziadek pochował swego ojca własnymi rękami. Pogrzebał go we czci i własną łopatą nadał piękny kształt jego mogile. Były to czasy, gdy człowiek miał prawo spocząć w grobie wykopanym przez rodzzonego syna, a syn miał prawo sam pochować rodzzonego ojca.

– Teraz są inne prawa – rzucił stryj John.

– Czasem bywa tak, że nie można w żaden sposób przestrzegać prawa – odparł ojciec. – Przestrzegać go i mieć pewność, że postępuje się słusznie. Bardzo często tak bywa. Kiedy Floyd uciekł i zbisurmanił się do reszty, prawo żądało, żeby go wydać, a nikt go przecież nie zdradził. Czasem człowiek musi obejść przepisy. Mówię wam, że mam prawo pochować własnego ojca. Czy kto może chciałby coś powiedzieć?

Pastor uniósł się na łokciu.

– Przepisy się zmieniają – powiedział – ale powinność to powinność. Macie prawo zrobić to co trzeba.

Ojciec zwrócił się do stryja Johna:

– Masz to samo prawo co ja. Czy powiesz coś przeciwko temu?

– Nic. Tyle, że będzie to jakby chowanie dziadka po kryjomu. A on lubił zwracać na siebie uwagę.

– Nie możemy postąpić tak, jak postępował dziadek. Musimy dostać się do Kalifornii, zanim wydamy resztę pieniędzy – odpowiedział z zawstydzeniem ojciec.

– Może się zdarzyć – wtrącił Tom – że ludzie wykopią nieboszczyka i podniosą gwałt, myśląc, że został on zamordowany. Rząd interesuje się martwym człowiekiem więcej niż żywym. Poruszą niebo i ziemię, żeby się dowiedzieć, kto to był i jak umarł. Proponuję, żebyśmy napisali wszystko o dziadku, kim był, jak skonał i dlaczego został tu pochowany, i żebyśmy włożyli to pismo do butelki i położyli ją przy nim.

Ojciec skinieniem głowy wyraził zgodę.

– Dobra myśl. Trzeba dobrze to ułożyć i ładnie napisać. I dziadek nie będzie taki opuszczony, jeśli pozostanie tu z nim jego nazwisko, i nie spocznie w ziemi bezimiennie jak jakiś samotny biedak. Czy ktoś chce coś jeszcze powiedzieć?

Zebrani milczeli.

Ojciec zwrócił głowę w stronę matki.

– Przygotujesz dziadka do pogrzebu?

– Przygotuję – odpowiedziała. – Ale kto przyrządzi kolację?

– Ja to zrobię – zaofiarowała się Sairy Wilson – a wy zabierzcie się zaraz do roboty. Pomoże mi wasza starsza córka.

– Bardzo wam dziękuję. Noah, sięgnij no do beczułki i wydostań parę ładnych kawałków wieprzowiny. Sól jeszcze pewno nie bardzo wsiąkła, ale mięso będzie i tak dobre.

– Mamy pół worka ziemniaków – oznajmiła Sairy.

– Daj mi dwie półdolarówki – poprosiła ojca matka.

Pogrzebał w kieszeni i wręczył jej srebrne monety. Wydobyła miednicę, napełniła ją wodą i weszła do namiotu. Wewnątrz panował niemal zupełny mrok. Sairy pośpieszyła za matką, zapaliła świecę, przylepiła ją na skrzyni i opuściła namiot. Przez chwilę matka patrzyła na zmarłego. Ogarnięta litością, oderwała wąski pasek z własnego fartucha i podwiązała szczękę starca. Wyprostowała jego członki i złożyła mu ręce na piersi. Zamknęła zmarłemu powieki i położyła na każdej srebrną monetę. Zapięła na nim koszulę i umyła mu twarz.

Do namiotu zajrzała Sairy i spytała:

– Może wam pomóc?

Matka powoli podniosła głowę.

– Proszę wejść. Chętnie porozmawiam z wami.

– Macie dobrą córkę – pochwaliła Sairy. – Właśnie obiera kartofle. W czym mogę wam pomóc?

– Chciałabym umyć ciało – odparła matka – ale nie mam w co przebrać dziadka. I wasza kołdra naturalnie już na nic. Zapach śmierci nie da się z pościeli wywabić. Pamiętam, jak pies warczał i trząsł się przy materacu, na którym umarła moja matka, i to w dwa lata po jej śmierci. Zawiniemy zwłoki w waszą kołdrę. Jakoś to wam wynagrodzimy. Wystaramy się o kołdrę dla was.

– Nie trzeba tak mówić – zachnęła się Sairy. – Jesteśmy radzi, że mogliśmy wam pomóc. Już dawno nie czułam się tak dobrze. Człowiek musi pomagać drugim.

Matka skinęła głową.

– To prawda.

Patrzyła długo w zgrzybiałą, zarośniętą twarz zmarłego z podwiązaną szczęką i srebrnymi oczami lśniącymi w blasku świecy.

– Bardzo się zmienił. Zawiniemy go w kołdrę.

– Staruszka dobrze to zniosła.

– Ano, stara już jest – powiedziała matka. – Kto ją tam wie, może nawet nie bardzo rozumie, co się stało. I może nieprędko jeszcze zrozumie. A poza tym nasza rodzina jest dumna i trzyma się w garści. Mój ojciec mawiał: „Rozkleić się potrafi każdy. Ale mężczyzna nie daje się byle czemu”. Toteż staramy się zawsze jakoś trzymać.

Otuliła starannie dziadka kołdrą i owinęła mu nią ramiona. Róg kołdry nasunęła niby kaptur na głowę i zakryła twarz starca. Sairy podała jej pół tuzina dużych agrafek i matka opięła gładko i szczelnie ciało, tak że powstał podłużny pakunek. Wreszcie wyprostowała się, mówiąc:

– Nie będzie to najgorszy pochówek. Mamy pastora, który odmówi nad zmarłym modlitwy, no i wszyscy jego bliscy są tutaj.

Nagle zachwiała się nieco. Sairy podbiegła i podtrzymała ją.

– To z niewyspania – tłumaczyła matka z zawstydzieniem. – Nie, nic mi nie jest. Widzicie, mieliśmy tyle roboty z przygotowaniami do wyjazdu.

– Wyjdźmy na powietrze – zaproponowała Sairy.

– Dobrze, zrobiłam tu już wszystko.

Sairy zgasiła świecę i obie kobiety opuściły namiot.

Jasny ogień płonął na dnie małego parowu. Tom zrobił z palików i drutu podpórki, na których wisały dwa kociołki. Dochodził z nich gwałtowny bulgot, a spod pokryw wydobywała się para o kuszącym zapachu. Poza

zasięgiem żaru klęczała na ziemi Rose of Sharon z warząchwią w ręku. Na widok wychodzącej z namiotu matki wstała i powoli podeszła do niej.

– Mamo, chciałam o coś zapytać.

– Znowu się wystraszyłaś? – domyśliła się matka. – Trudno. Nie można przeżyć dziewięciu miesięcy bez zmartwień.

– Ale czy to... nie zaszkodzi dziecku?

– Jest takie stare przysłowie: Gdy świat łzami wita dziecię, szczęście wkrótce mu zaświeci. Czy nie tak, pani Wilson?

– Słyszałam to przysłowie – odpowiedziała Sairy – ale znam też i inne: Dziecku, co się w śmiechu rodzi, nic już w życiu nie dogodzi.

– Wszystko we mnie skacze – uskarżała się Rose of Sharon.

– Nikt z nas nie skacze z uciechy – ucięła matka. – Przypilnuj lepiej garnków.

Mężczyźni zebrali się na skraju świetlnego kręgu, jaki rzucał palący się ogień. Za narzędzia służyły im łopaty i motyki. Ojciec odmierzył na ziemi prostokąt – osiem stóp długi i trzy szeroki. Pracowali na zmianę. Ojciec wzruszał ziemię motyką, a stryj John wybierał ją łopatą. Potem Al kopał, a Tom wybierał, wreszcie Noah brał motykę, a Connie łopatę. Dół pogłębiał się w oczach, bo tempo pracy nie słabło ani na chwilę. Fontanny wyrzucanej łopatą ziemi wylatywały w górę jedna za drugą. Gdy Tom stał już po ramiona w prostokątnej jamie, zapytał:

– Jak głęboko kopujemy, tato?

– Dość głęboko. Jeszcze parę stóp. Wyjdź teraz, Tom, i wypisz tę kartkę.

Tom wydrapał się na brzeg dołu, a miejsce jego zajął Noah. Tom podszedł do matki, która podsycala ogień.

– Czy mamy jakiś papier i pióro, mamo?

Powoli potrząsnęła głową.

– Nie. To jedyna rzecz, której nie wzięliśmy ze sobą. – Spojrzała na Sairy. Mała kobietka szybko weszła do namiotu i wróciła z Biblią i kawałkiem ołówka.

– Patrzcie, tu na początku jest czysta kartka. Możecie na niej napisać, co chcecie, a potem wyrzeć ją.

Wręczyła Biblię i ołówek Tomowi.

Tom zasiadł w świetle ogniska. Zmrużył ze skupieniem oczy i po chwili napisał wolno i starannie wielkimi, wyraźnymi literami u dołu stronicy:

„Tu leży William James Joad, bardzo, bardzo stary człowiek, zmarły na apopleksję. Rodzina pochowała go sama, bo nie miała pieniędzy na pogrzeb. Umarł po prostu na apopleksję”. Przerwał i poprosił:

– Mamo, niech mama posłucha. – Odczytał wolno to, co napisał.

– Ano ładnie – pochwaliła. – A czy nie można by dopisać czegoś z Pisma Świętego, żeby było pobożniej? Otwórz Biblię i poszukaj.

– Musi być coś krótkiego – zastrzegł się Tom – bo mam już niedużo wolnego miejsca.

– A może: „Zmiłuj się, Panie, nad jego duszą” – podsunęła Sairy.

– Nie – sprzeciwił się – bo to by wyglądało, jakby został zdjęty z szubienicy. Spróbuję coś przepisać.

Obracał kartki i czytał, poruszając wargami i mrucząc pod nosem.

– Tu jest coś krótkiego, co by się nadawało: „I rzecze Lot, och, nie, Panie!”.

– To nie ma żadnego sensu – oburzyła się matka. – Jeśli już coś dopisywać, to przynajmniej z sensem.

– Niech pan poszuka w psalmach, przy końcu. W psalmach zawsze znajdzie się coś odpowiedniego – doradziła Sairy.

Tom zaczął znów wertować Biblię i przebiegać wzrokiem wiersze.

– O, mam! – zawołał. – Ładne zdanie, pełne pobożności: „Błogosławiony, któremu wybaczone występki i odpuszczono grzechy”. Jak wam się to podoba?

– To naprawdę piękne – osądziła matka. – Dopisz to.

Tom przepisał starannie werset, a matka wypłukała i wytarła słoik po marmoladzie. Tom włożył zapisaną kartkę do środka i zakręcił szczelnie pokrywkę.

– A może powinien był to wypisać pastor? – powiedział.

– Nie, bo nie jest żadnym naszym krewnym – odparła matka.

Zabrała słoik z jego rąk i weszła do ciemnego namiotu, odpięła kołdrę, wsunęła słoik pod wychudzone, zimne dłonie i znów opięła ciasno ciało. Potem wróciła do ogniska.

Od wykopanego grobu nadeszli mężczyźni. Twarze ich lśniły od potu.

– Gotowe – oznajmił ojciec.

Wszedł do namiotu, za nim John, Noah i Al. Wyszli stamtąd, niosąc długi, opięty pakunek. Ponieśli go w stronę grobu. Ojciec zeskoczył na dno,

przyjął zwłoki w ramiona i złożył je ostrożnie w ziemi. Stryj John wyciągnął rękę i pomógł ojcu wydostać się z grobu.

– A co z babką? – zapytał ojciec.

– Zaraz zobaczę – odpowiedziała matka.

Podeszła do materaca i patrzyła przez chwilę na staruszkę. Potem wróciła do grobu.

– Śpi – oznajmiła. – Może będzie miała później do mnie żal, ale nie będę jej budziła. Jest zmęczona.

– A gdzie pastor? – spytał ojciec. – Musi przecież odmówić modlitwę.

– Widziałem, jak spacerował na drodze – odpowiedział Tom. – Nie lubi się już modlić.

– Nie lubi się modlić?

– Nie. Nie jest już pastorem. Uważa, że nie ma prawa oszukiwać ludzi i udawać pastora, kiedy już nim nie jest. Założę się, że poszedł sobie, żeby go nikt nie prosił o modlitwę.

Casy, który zbliżył się, usłyszał słowa Toma.

– Wcale nie uciekłem. Pomogę wam, ale nie chcę was nabierać.

– Nie powiecie kilku słów? Nikt z naszej rodziny nie spoczął w ziemi bez modlitwy.

– Zmówię pacierz – oświadczył pastor.

Connie podprowadził ociągającą się Rose of Sharon do grobu.

– Musisz – mówił do niej. – To nie wypada, żeby cię nie było. To długo nie potrwa.

Blask ognia padał na zebranych, oświetlając twarze i oczy i gubiąc się w ciemnej odzieży. Wszyscy obnażyli teraz głowy. Drgające błyski tańczyły po ludzkich postaciach.

– To będzie krótka modlitwa – zapowiedział Casy. Pochylił głowę, inni poszli za jego przykładem. Rozległ się jego uroczysty głos:

– Ten oto sędziwy człowiek przeżył zwyczajnie życie i zwyczajnie je zakończył. Nie wiem, czy był dobry, czy zły, ale to nie ma znaczenia. Żył, i to tylko jest ważne. A teraz zmarł – i to jest nieistotne. Słyszałem kiedyś, jak ktoś, deklamując wiersz, wypowiedział takie słowa: „Wszystko, co żyje, jest święte”. Zacząłem się nad tym zastanawiać i wkrótce dojrzałem w tym zdaniu coś więcej niż puste słowa. Nie będę się modlił za starca, który skonał. Jemu jest dobrze. Miał wypełnić swoje zadanie, lecz cel miał wytyczony i prowadzi do niego tylko jedna droga. Ale przed nami leży też

zadanie, które musimy wykonać, i rozpościera się tysiąc dróg. Nie wiemy, którą wybrać. I gdybym miał się modlić, modliłbym się raczej za tych, którzy nie wiedzą, w którą zwrócić się stronę. Dla zmarłego dziadka wszystko jest jasne i proste. A teraz przysypcie go ziemią i niech spełni swoje zadanie.

Casy podniósł głowę. Ojciec powiedział: „Amen”. Inni zawtórowali mu z cicha. Ojciec ujął łopatę, nabrał na nią trochę ziemi i rozsypał ją delikatnie po ciemnym dole. Potem podał łopatę stryjowi Johnowi i ten też rzucił do grobu nieco ziemi. Łopata przechodziła z rąk do rąk, aż obeszła wszystkich. Gdy już cała rodzina spełniła swój obowiązek, ojciec zaatakował wzgórek sydkiej ziemi i pośpiesznie zaczął zakopywać dół. Kobiety powróciły do ogniska, aby przypilnować kolacji. Ruthie i Winfield wpatrywali się w grób jak urzeczeni. Ruthie oświadczyła z powagą:

– Tam w dole jest dziadek.

Winfield spojrzał na nią przerażonym wzrokiem. Uciekł w stronę ogniska, usiadł na ziemi i zaczął szlochać.

Ojciec zasypał dół do połowy i wyprostował się, dysząc z wysiłku. Stryj John dokończył za niego. Gdy formował pagórek, Tom zatrzymał go:

– Stryju, jeśli zostawimy kopczyk, to go na pewno zaraz odkopią. Trzeba zamaskować mogiłę. Niech stryj wyrówna ziemię, a my przykryjemy ją suchą trawą. Trzeba tak zrobić.

– Nie przyszło mi to do głowy – przyznał ojciec. – Nijako zostawić grób bez kopczyka.

– Na to nie ma rady – powiedział Tom. – Wykopią zaraz ciało, a nas będą ciągać za przekroczenie prawa. A ojciec wie, co mnie wtedy czeka.

– Tak, to prawda, zapomniałem o tym.

Wziął łopatę z rąk Johna i zrównał powierzchnię grobu.

– Zapadnie się, jak przyjdzie zima – zauważył.

– Co robić! – westchnął Tom. – W zimie będziemy daleko stąd. Niech ojciec udepcze grób, a my nagarniemy na wierzch, co się da.

Gdy już mięso i kartofle ugotowały się, dwie rodziny zasiadły na ziemi wokół ogniska do kolacji. Posilali się w milczeniu, wpatrzeni w ogień. Wilson, odrywając zębami kęs mięsa, westchnął z zadowoleniem:

– Wieprzowina to dobre jedzenie!

– Ano, mieliśmy dwa świniaki – wyjaśnił ojciec – i pomyśleliśmy, że najlepiej będzie je zjeść. Nic byśmy za nie nie dostali. Gdy już trochę przywyknijemy do tej jazdy i matka będzie mogła upiec chleb, to cóż, bardzo będzie przyjemnie rozglądać się po okolicy, wiedząc, że ma się na ciężarówce dwie faski wieprzowiny. A od jak dawna wy jesteście w podróży?

Wilson oczyścił zęby językiem i przełknął.

– Nie mieliśmy szczęścia – odpowiedział. – Już trzy tygodnie, jak wyjechaliliśmy z domu.

– Jak to? Mocny Boże! A my chcemy się dostać do Kalifornii w dziesięć dni albo i mniej nawet.

– Nie wiadomo, tato – wtrącił Al. – Z takim ładunkiem możemy nie dojechać nigdy; zwłaszcza jeżeli trzeba będzie przejechać przez góry.

Przy ognisku zapanowało milczenie. Wszyscy zwiesili głowy, tylko czoła i włosy błyszczały w blasku ognia. Nad niewielką kopułą światła lśniły blade letnie gwiazdy, upał malał stopniowo. Nieopodal na materacu babka zaczęła kwilić przez sen jak szczenię. Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku.

– Rosasharn, kochanie, idź i połóż się koło babci – poprosiła matka. – Teraz potrzebuje kogoś przy sobie. Zdaje sobie sprawę z tego, co się stało.

Rose of Sharon wstała, podeszła do materaca i położyła się obok staruszki. Szmer ich przyciszonych głosów docierał do ogniska.

– Dziwne to, ale po śmierci dziadka nie czuję się inaczej niż przedtem – zwierzył się Noah. – Nie jest mi bardziej smutno.

– Bo też naprawdę nic się nie zmieniło – stwierdził Casy. – Dziadek i wasz stary dom to jedno.

– Do diabła, wstyd tak gadać! – oburzył się Al. – Dziadek wciąż przecież mówił o tym, jak to będzie wyciskał sobie winogrona na głowę, aż mu sok na brodę popłynie, i różne takie rzeczy opowiadał.

Casy odpowiedział:

– On tylko nadrabiał miną. Myślę, że rozumiał wszystko. I wcale nie umarł dziś wieczór. Umarł już wtedy, kiedy zabraliście go z domu.

– Tak myślicie?! – zawołał ojciec.

– No tak. Pewno, że oddychał – mówił Casy – ale już nie żył. On i gospodarstwo to było jedno, i wiedział o tym.

Stryj John zapytał:

– A wy wiedzieliście, że umiera?

– Tak, wiedziałem.

John popatrzył na pastora i na twarzy jego odmalowało się przerażenie.

– I nikomu nie powiedzieliście?

– Po co miałbym mówić?

– Może... może moglibyśmy temu jakoś zaradzić?

– Nie – powiedział Casy – nie było na to rady. Postanowiliście rozpocząć nowe życie, a dla dziadka nie było w nim miejsca. Nie męczył się wcale. Z samego rana tak, ale potem już nie. Został tam, na swojej ziemi. Nie mógł jej opuścić.

Stryj John westchnął głęboko. Milczenie przerwał Wilson.

– A my musieliśmy zostawić w domu mego brata Willa. – Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Nasze grunty, mieliśmy po czterdzieści akrów, sąsiadowały z sobą. Brat jest ode mnie starszy. Żaden z nas nigdy nie prowadził samochodu. Ano, sprzedaliśmy cały nasz dobytek. Will kupił samochód. Dali mu tam chłopaka, który miał pokazać, jak się z wozem obchodzić. W wigilię wyjazdu Will i ciotka Minnie wyjechali po południu, żeby trochę popraktować w nauce jazdy. Will dojechał do zakrętu, krzyknął: „Wio!”, cofnął wóz i wjechał na płot. Wtedy wrzasnął: „Wio, ty diable!”, dodał gazu, wpakował się do rowu, i koniec. Nie miał już nic do sprzedania i nie miał samochodu. Ale to była, psia krew, jego wina! Tak się chłop potem wściekł, że nie chciał z nami jechać, tylko usiadł i kłął na czym świat stoi.

– I co teraz zrobi?

– Nie wiem. Był taki zły, że nie myślał o tym. A my nie mogliśmy czekać. Mieliśmy przy duszy tylko osiemdziesiąt pięć dolarów. Nie było co dzielić, ale zarazem można się było jakoś wyżywić. Nie ujechaliśmy i stu mil, jak złamał się ząb w kole przekładni. Naprawa kosztowała trzydzieści dolarów. Później musieliśmy kupić oponę, a potem pękła świeca. Wreszcie Sairy mi się rozchorowała. Musieliśmy się zatrzymać na dziesięć dni. Teraz ten przeklęty wóz znowu nawalił, a pieniądze topnieją. Nie wiem, czy dowleczymy się kiedy do tej Kalifornii. Gdybym choć potrafił jakoś naprawić samochód, ale nie znam się zupełnie na maszynach.

– A co się właściwie stało? – zapytał z miną znawcy Al.

– No, po prostu nie chce jechać. Rusza, kopci i staje. Po chwili silnik znów działa, ale zanim ruszy, zaczyna strzelać i gaśnie.

- Idzie przez chwilę i zamiera, co?
- Tak, właśnie. I nie pojedzie, choćbym dodał nie wiem ile gazu. Coraz to bardziej się psuje i teraz już w ogóle nie mogę ruszyć z miejsca.
- Al był pełen dumy i poczucia własnej dorosłości.
- Myślę, że przewód paliwa jest zatkany. Spróbuję go przedmuchać.
- Ojciec również promieniał dumą.
- On ma lekką rękę do samochodu – oświadczył.
- Będę wam wdzięczny za pomoc. I to bardzo. Człowiek czuje się bezradny jak małe dziecko, jeśli nie umie nic naprawić. W Kalifornii chciałbym się dorobić lepszego wozu. Nie będzie się może tak łatwo psuł.
- Byleśmy się tam dostali, w tym cała bieda – wtrącił ojciec.
- O, ale to kraj wart trudu – zachwalał Wilson. – Sam widziałem ulotki, że potrzebują tam ludzi do pracy przy zbiorze owoców i że dobrze płacą. Pomyślcie tylko, jak to będzie, gdy człowiek zacznie zrywać owoce w cieniu drzew i od czasu do czasu trochę sobie skosztuje. Co tam, do pioruna! Nie dbają o to, ile zjesz, bo mają tego zatrzęsienie. A przy dobrych zarobkach można sobie coś odłożyć i kupić kawałek gruntu. Do diabła! Założę się, że za parę lat już się będzie siedziało na swoim.
- Widziałem te ulotki – przyświadczył ojciec. – Jedną mam nawet przy sobie.
- Wyjął portmonetkę i wydobył z niej złożoną żółtą kartkę, którą rozwinął. Czarne czcionki głosiły:
„W Kalifornii potrzebni są robotnicy do zbioru grochu. Przez cały sezon dobre zarobki. Zatrudni się 800 ludzi”.
- Wilson spojrzał na kartkę z zaciekawieniem.
- O, właśnie taką samą widziałem. Taką samiuteńką. Jak myślicie, może oni już mają tych ośmiuset ludzi?
- To chyba tylko mała część Kalifornii – powiedział ojciec. – Przecież Kalifornia to u nas drugi stan co do wielkości. Nawet jeśli już sobie zwerbowali tych ośmiuset, możemy pojechać gdzie indziej. Ja bym tam wolał zrywać owoce. Jak to powiadacie: stać pod drzewami i rwać owoce. No, nawet dzieciaki będą to chętnie robiły.
- Nagle Al zerwał się i podszedł do samochodu Wilsona. Przyglądał mu się przez chwilę, a potem wrócił i znowu usiadł.
- W nocy go pan nie naprawi – zauważył Wilson.
- Wiem. Zabiorę się do niego od samego rana.

Tom spojrzał badawczo na młodszego brata.

– I ja to samo pomyślałem – powiedział do Ala.

– O czym wy gadacie? – zapytał Noah.

Tom i Al zamilkli; jeden czekał, aż odezwie się drugi.

– Ty im powiedz – zdecydował się w końcu Al.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, i Alowi może o co innego chodzi.

W każdym razie sytuacja wygląda tak: mamy za duży ładunek, a Wilsonowie wiozą mało rzeczy. Gdyby kilkoro z nas przesiadło się na ich wóz i gdybyśmy zabrali na ciężarówkę ich lekki bagaż, nie połamalibyśmy resorów i moglibyśmy jechać przez góry. Al i ja znamy się na samochodach i potrafimy upilnować, żeby ten wóz funkcjonował. Będziemy się w drodze trzymali razem i wszyscy na tym dobrze wyjdziemy.

Wilson aż podskoczył.

– A pewnie! Będziemy bardzo radzi. Pewno, że się zgodzimy. Słyszysz, Sairy?

– To dobra myśl – odpowiedziała Sairy. – Ale czy nie będziemy wam ciężarem?

– Nie, jak Boga kocham – zapewnił ojciec. – To nie żaden ciężar. Tylko nam pomożecie.

Wilsona ogarnęły wątpliwości.

– Tak, ale czy ja wiem...

– A o co wam chodzi? Nie chcecie?

– Widzicie, mam tylko trzydzieści dolarów przy duszy, a nie chciałbym was skrzywdzić.

– Nie będzie niczyjej krzywdy – wtrąciła matka. – Wesprzemy się wzajemnie i jakoś wszyscy dojedziemy do Kalifornii. Żona pomogła nam przy dziadku...

Urwała. Sprawa była jasna. Al krzyknął:

– Wóz Wilsonów zabierze jak nic sześć osób. Ja mogę prowadzić tamtą maszynę i wziąć Rosasharn, Conniego i babkę. A rzeczy Wilsonów przełożymy na naszą ciężarówkę. I możemy się często zmieniać.

Al mówił głośno, bo spadł mu z barków wielki ciężar. Wszyscy uśmiechali się z zakłopotaniem i patrzyli w ziemię. Ojciec rozcierał w palcach grudkę ziemi.

– Matka marzy o białym domku z drzewkami pomarańczowymi dokoła – powiedział. – Widziała taki na obrazku z kalendarza.

– Ale jeżeli ja znów zachoruję – zastrzegła się Sairy – wy pojedziecie dalej sami. Nie chcemy wam być ciężarem.

Matka spojrzała na nią uważnie i po raz pierwszy dostrzegła, że oczy jej są zmęczone cierpieniem, a twarz ściągnięta i napiętnowana bólem.

– Pomożemy wam jakoś wydobrzeć. Samiście mówili, że człowiek powinien pomagać drugiemu.

Sairy przyglądała się w blasku ogniska swym pomarszczonym rękom.

– Musimy się trochę przespać tej nocy – oświadczyła i wstała.

– A dziadek... tak jakby umarł rok temu – westchnęła matka.

Obie rodziny rozchodziły się ospale na spoczynek, ziewając raz po raz. Matka spłukała trochę blaszane talerze i wytarła je z tłuszczu woreczkiem po mące. Ogień przygasł, gwiazdy zniżyły się nieco. Szosą rzadko teraz przejeżdżał samochód osobowy, lecz ciężarówki transportowe dudniły co pewien czas, aż ziemia drżała. Samochody w rowie były ledwie widoczne w blasku gwiazd. Od strony stacji benzynowej dochodziło szczekanie psa uwiązane na łańcuchu. Dwie rodziny spały spokojnie. Myszy polne, ośmielone, przemykały pomiędzy materacami. Tylko Sairy Wilson nie zasnęła. Patrzyła w niebo, walcząc dzielnie całym ciałem z cierpieniem.

Rozdział 14

Ziemie zachodnie wytrącone z równowagi nadchodzącą odmianą. Stany zachodnie niespokojne jak konie przed burzą. Ogarnięci niepokojem obszarnicy przeczuwający odmianę, a nieświadomi jej przyczyn. Obszarnicy atakujący objawy bezpośrednie – rząd, który rozciąga swą władzę na wszystkie dziedziny życia, umacniając się jedność robotniczych zrzeszeń, nowe podatki, plany gospodarcze – a nieświadomi tego, że uderzają nie w przyczyny, lecz w skutki. Nie w przyczyny, lecz w skutki, nie w źródła, lecz w następstwa. A przyczyny są głębokie i proste: to trawiący wewnętrzności głód, zwielokrotniony milion razy; to głód każdej duszy spragnionej radości i odrobiny bezpieczeństwa, zwielokrotniony milion razy; to mięśnie i umysły pragnące rozwijać się, pracować, tworzyć, zwielokrotnione milion razy. Oto bowiem człowiek i ostateczna, jasna definicja człowieka: mięśnie spragnione pracy, umysł pragnący tworzyć ponad zwykłe, codzienne potrzeby. Wzniesć mur, zbudować dom, tamę i tchnąć w mur, w dom, w tamę coś z siebie, coś ludzkiego, by z muru, domu, tamy czerpać z kolei dla siebie, dla człowieka; z dźwigania ciężarów mieć twarde mięśnie, a z twórczej myśli – jasne, przejrzyste linie i kształty.

Człowiek bowiem, w przeciwieństwie do wszystkiego, co organiczne i nieorganiczne we wszechświecie, wyrasta ponad własne dzieło, wznosi się w górę po szczeblach swych koncepcji, góruje nad własnymi osiągnięciami. Oto, co można powiedzieć o człowieku: gdy zmieniają się i bankrutują teorie, gdy powstają i rozpadają się szkoły, systemy filozoficzne i ciemne zaułki myśli narodowej, religijnej, gospodarczej, wtedy człowiek dąży naprzód, potykając się, cierpiąc, często błędząc. Zrobiwszy krok naprzód, może cofnąć się, ale już tylko o pół kroku – nigdy o cały. Tyle można powiedzieć o człowieku i tyle trzeba o nim wiedzieć. Tyle należy wiedzieć, gdy z czarnych samolotów spadają na plac targowy ciężkie bomby, gdy jeńcy tłoczą się jak trzoda, gdy ohydnie zmiażdżone ciała poniewierają się

w pyłe. I to też trzeba wiedzieć, że gdyby nie zrobiono owego kroku, gdyby nie żywa wciąż tęsknota za mozolnym, pełnym potknięć posuwaniem się naprzód, ludzie nie rzucaliby bomb i nie podrzynali sobie wzajemnie gardeł. Lękajcie się jednak czasów, w których nie spadają bomby, a żyją miotający je ludzie, każda bowiem zrzucona bomba świadczy o tym, że duch jeszcze nie zmarł. I lękajcie się czasów, gdy ustaną strajki, a żyć będą bogaci obszarnicy, każdy bowiem, najmniejszy nawet, przegrany strajk jest dowodem, że zrobiono ów krok naprzód. I jeszcze jedno należy pamiętać: lękajcie się czasów, gdy człowiek nie zechce cierpieć i umierać dla idei, bo ta właściwość jest podstawą człowieczeństwa i tylko ona tworzy człowieka, wyróżniając go pośród innych stworzeń na ziemi.

Stany zachodnie ogarnięte niepokojem wobec nadchodzących zmian. Teksas, Oklahoma, Kansas i Arkansas, Nowy Meksyk, Arizona, Kalifornia. Oto jakaś rodzina opuszcza swoją ziemię. Ojciec pożyczył pieniądze z banku, a teraz bank domaga się jego gruntu. Bank Ziemski – tak nazywa się bank, gdy posiada ziemię – chce mieć w polu ciągniki, nie rodziny. Czy ciągnik jest sam w sobie zły? Czy siła, z jaką odwraca długie skiby roli, jest złą siłą? Gdyby ciągnik był nasz, byłby dobry – nasz, nie mój. Gdyby ciągnik odwracał długie skiby naszej ziemi, wtedy byłby dobry. Nie mojej, naszej ziemi. Pokochalibyśmy wówczas ciągniki, jak kochaliśmy ziemię, gdy była nasza. Ale ten ciągnik robi dwie rzeczy naraz: odrzuca skiby ziemi i wypędza nas z ziemi. Niewielka jest różnica między nim a czołgiem. Obydwa wypędzają, straszą i krzywdzą ludzi. Musimy się nad tym dobrze zastanowić.

Oto wygnano z ziemi człowieka, rodzinę – zardzewiały samochód, skrzypiąc, jedzie na zachód. Straciłem ziemię – odebrał mi ją jeden zwykły ciągnik. Jestem sam jak palec i czuję się ogłupiały, jakbym dostał pałką po głowie. W nocy jakaś rodzina obozuje w rowie, nadjeżdża druga, rozbijają namioty. Dwaj mężczyźni kucają obok siebie, kobiety i dzieci słuchają. Uwaga, wy, którzy nienawidzicie zmian i lękacie się rewolucji! Tu właśnie wzbiera pierwszy wrzód. Rozdzielcie tych dwóch mężczyzn, sprawcie, by się nienawidzili, by się siebie bali, by nie ufali sobie. Bo to jest zarodek tego, czego się boicie. To jest protoplazma. Bo tu słowa: „Straciłem moją ziemię”, zmieniają się niby rozszczepiona komórka w znienawidzone przez

was słówka: „Straciliśmy naszą ziemię”. Tu tkwi niebezpieczeństwo, bo dwaj ludzie nie są tak osamotnieni i wytrąceni z równowagi jak jeden. I z tego pierwszego słowa „my” urastają jeszcze groźniejsze: „Mam niewiele żywności” plus „Ja nie mam nic”. Jeżeli suma w tym rachunku wyniesie: „Mamy mało żywności”, wtedy sprawa wkracza na właściwą drogę i ruchowi nadano kierunek. Wystarczy teraz krótkie mnożenie, a ziemia i ciągnik są nasze.

Dwaj mężczyźni przykucnięci w rowie, małe ognisko, boczek duszący się w jednym wspólnym garnku, milczące kobiety z nieruchomym wzrokiem utkwionym przed siebie, dzieci wsłuchane całą duszą w słowa, których nie ogarniają umysłem.

Zapada noc. Dziecku jest zimno. O, macie tu koc! Wełniany. Mam go po matce, weźcie dla dziecka. To właśnie należy zbombardować. Bo to jest początek – od „ja” do „my”.

Gdybyście wy, właściciele rzeczy, których brak innym, potrafili to wszystko zrozumieć, moglibyście ocaleć. Gdybyście umieli oddzielić przyczyny od skutków, gdybyście wiedzieli, że Paine, Marks, Jefferson, Lenin – to nie przyczyny, lecz skutki, moglibyście przeżyć. Ale wy nie możecie tego wiedzieć. Fakt, że coś posiadacie, zamroził was na zawsze w „ja” i na zawsze odciął od „my”.

Stany zachodnie drżą z niepokoju wobec nadciągającej odmiany. Potrzeba jest bodźcem myśli, myśl podnieca do czynu. Pół miliona ludzi wędruje z jednego krańca kraju w drugi. Milion innych, powolniejszych, gotuje się do drogi. Dziesięć zaś milionów odczuwa pierwsze dreszcze niepokoju.

A ciągniki odwracają niezliczone skiby opuszczonej ziemi.

Rozdział 15

Wzdłuż szosy 66 kioski z hamburgerami. „U Ala i Suzy”, „Śniadanie u Carla”, „Joe i Minnie”. Bary, w których sprzedają napoje i przekąski. Przed frontem dwie pompy benzynowe, drzwi osłonięte siatką, długi kontuar, metalowa podpórka pod nogi, taborety. W pobliżu drzwi trzy automaty ukazujące przez szkło bogactwo w postaci pięciocentówek, które wyrzucają trzy walce. Tuż obok szafa grająca i płyty spiętrzone niby placki, gotowe w zamian za monety niklowe przeskoczyć na tarczę i wypełnić lokal melodią taneczną: *Ti-pi-ti-pi-tin*, *Dziękuję za pamięć*. Bing Crosby, Benny Goodman. W jednym końcu kontuaru oszklona gablotka: cukierki od kaszlu, pastylki zawierające kofeinę, z etykietkami: „Przeciwsenne”, „Nie śpij!”. Słodycze, papierosy, żyletki, aspiryna, bromo-seltzer, alka-seltzer. Ściany ozdobione plakatami: kąpiące się dziewczęta, blondynki o bujnych piersiach, smukłych biodrach i woskowych twarzach, w białych kostiumach kąpielowych, z butelką coca-coli w ręku i uśmiechem, który mówi: „Patrz, co osiągniesz dzięki coca-coli”. Na długim kontuarze solniczki, pieprzniczki, słoiki z musztardą i papierowe serwetki. Za ladą krany z piwem, a w głębi lśniąco i parujące aparaty do kawy ze szklaną rurką wskazującą poziom płynu. Pod drucianymi siatkami ciastka i pomarańcze w piramidkach po cztery sztuki. Małe, wymyślnie ułożone stopy biszkoptów i pudełek z płatkami owsianymi.

Napisy na tekturowych szyldzikach uwydatnione błyszczącą miką: „Tu się jada jak u mamy!”, „Dasz na kredyt, stracisz klienta!”, „Damy pałace, ostrożnie z niedopałkami!”, „Chcesz mieć żonkę dla siebie, stołuj się u nas!”.

Na drugim końcu kontuaru kuchenka elektryczna: rondle z duszonym mięsem, kartoflami, pieczenią, rostbefem, pieczonym schabem gotowym do krajania w plastry.

Za kontuarem podstarzała Minnie, Suzy czy Mae – wyondulowane włosy, róż i puder na spoconej twarzy. Przyjmuje zamówienia łagodnym, cichym głosem, a przekazuje je kucharzowi, drąc się przeraźliwie jak paw. Wyciera ladę kolistymi ruchami, poleruje wielkie, lśniące aparaty do kawy. Kucharzowi na imię Joe, Carl lub Al; w białej kurtce i fartuchu, zgrzany, z perlącymi się na jasnym czole kroplami potu pod białą kucharską czapką; nachmurzony, odzywa się rzadko, podnosi na chwilę wzrok za każdym razem, gdy ktoś wchodzi do baru. Smaruje patelnię, rzuca na nią hamburgery. Powtarza półgłosem zamówienie Mae, wyskrobuje patelnię, wyciera ścierką. Zasepiony i milczący.

Od kontaktu z gośćmi jest Mae, uśmiechnięta, podirytowana, gotowa każdej chwili wybuchnąć; uśmiechnięta, zapatrzona w przeszłość, gdy nie wypatruje kierowców ciężarówek. Kierowcy to podstawa egzystencji baru. Gdzie przystają ciężarówki, tam są i goście. A kierowców nikt nie nabierze, znają się na rzeczy. To oni robią ruch w interesie. I nie dadzą się zbyć byle czym. Dasz im filiżankę zwietrzałej kawy, a więcej ich noga w lokalu nie postanie. Gdy obsłuży się ich jak należy, wracają. Toteż Mae, zobaczywszy wchodzącego kierowcę, uśmiecha się i wyłazi wprost ze skóry. Prostuje się, poprawia włosy z tyłu głowy, aby gdy podniesie ręce, uwydatniły się piersi, gawędzi, zabawia, wspomina dawne dzieje, dobre czasy, dobre kawały.

Al nie odzywa się nigdy. On nie jest od nawiązywania kontaktu. Czasem, słysząc dobry kawał, uśmiechnie się z lekka, ale nie śmieje się nigdy. Niekiedy, gdy głos Mae ożywia się bardziej, Al podnosi oczy, by po chwili dalej wyskrobywać łąpatką patelnię, zgarniając tłuszcz do rynienki biegnącej dokoła płyty. Przyciska łąpatką skwierczącego hamburgera. Kładzie na blasze pokrajane bułki, by zrobić z nich grzanki. Zgarnia z talerza cebulę i rzuca ją na mięso, przyciskając łąpatką. Połówką bułki przykrywa kawałek mięsa, drugą połówkę smaruje topionym masłem przyprawionym odrobiną sosu z pikli. Przytrzymując bułkę na hamburgerze, podsuwa łąpatkę pod cienki plasterek mięsa, odwraca, nakrywa posmarowaną połówką bułki i przerzuca kanapkę na mały talerzyk. Dokłada nieco marynowanego koperku i dwie czarne oliwki. Przesuwa talerzyk po kontuarze, jak gdyby rzucał krążek do celu. I znowu skrobie łąpatką patelnię, spoglądając posępnym wzrokiem na garnek z duszonym mięsem.

Szosa 66 mkną samochody. Tabliczki rejestracyjne: Mass., Tenn., R.I., N.Y., Vt., Ohio. Jadą na zachód. Piękne samochody, robią sześćdziesiąt mil na godzinę.

O, nadjeżdża właśnie jeden z tych fordów. Wygląda jak trumna na kołach. Ale jak one chodzą!

Widzisz tego la salle'a? To coś dla mnie! Nie, nie jestem chciwy. Wystarczy mi la salle.

No to dlaczego nie cadillac? Trochę większy i szybszy.

Ja bym wziął zephyra. Nie tak dużo kosztuje, a ma klasę i szybkość. Tylko zephyr.

Może będziecie się ze mnie śmiać, ale ja wolę buicka. Dla mnie wystarczy.

Ależ do licha, kosztuje tyle co zephyr, a nigdy tyle nie wyciągnie.

Wszystko mi jedno. Nie chcę mieć nic wspólnego z Henrym Fordem. Nie podoba mi się facet. Nigdy nie czułem do niego sympatii. Mój brat pracował w jego fabryce. Warto posłuchać, co opowiada.

Może być, ale zephyr dobrze ciągnie.

Suną szosą wielkie luksusowe samochody. A w nich omdlewające, wyczerpane upałem damy, otoczone tysiącem kobiecych akcesoriów: kremów, olejków, substancji barwiących czarnych, różowych, czerwonych, białych, zielonych, srebrzystych, aby móc zmieniać kolor włosów, oczu, ust, paznokci, brwi, rzęs, powiek. Olejki, ziarnka, pigułki, by pobudzić trawienie. Torba z buteleczkami, strzykawkami, pigułkami, pudrami, rozpylaczami, kremami – byle tylko pozbawić stosunki płciowe ryzyka, woni i skutków. I to wszystko, nie licząc strojów. Co za piekielnie kłopotliwe życie!

Zmarszczki znużenia wokół oczu, bruzdy niezadowolenia wokół ust, zwisające ciężko piersi w obcisłych biustonoszach, brzuch i uda ściśnięte gumowymi pasami. Rozchylone usta chwytające z trudem powietrze, chmurne spojrzenie, niechęć do słońca, wiatru, ziemi, wstręt do jedzenia, lęk przed zmęczeniem, wrogość wobec czasu, który rzadko dodaje urody, a zawsze postarza.

Obok kobiet mali, otyli mężczyźni w jasnych garniturach i słomkowych kapeluszach. Czyści, różowi, o zdumionych, zatroskanych, niespokojnych oczach. Strapieni, bo zawiodły ich ustalone kanony. Spragnieni bezpieczeństwa, a świadomi zarazem, że znika ono z powierzchni ziemi.

W klapach marynarek odznaki łóż i klubów, do których uczęszczają i w których spotykają wielu równie jak oni zafrasowanych człowieczków, upewniając się i przekonując samych siebie, że handel jest rzeczą szlachetną, a nie swego rodzaju zrytualizowanym złodziejstwem, uprawianym z pełną świadomością. Że ludzie interesu mimo dowodów ich głupoty są inteligentni, że są dobrzy i miłosierni mimo zasad zdrowego rozsądku, jakimi się kierują, że życie ich jest bogate wbrew ubogiej, męczącej rutynie i że nadchodzi czas, który uwolni ich na zawsze od lęku.

Oto tych dwoje jedzie do Kalifornii. Jadą tam, żeby zasiąść w holu hotelu Beverly-Wilshire i przyglądać się z zawiścią przechodzącym ludziom, żeby patrzeć na góry – pomyśl tylko, na góry i na wysokie drzewa! – on wiecznie zatroskanym wzrokiem, a ona rozmyślając nad tym, że słońce wysuszy jej skórę. Jadą, żeby zobaczyć Pacyfik, i założę się o sto tysięcy dolarów, że on zawoła: „Wcale nie jest taki wielki, jak myślałem!”. A ona będzie obserwowała zazdrośnie pulchne młode ciała na plaży. W gruncie rzeczy jadą do Kalifornii po to, żeby móc wrócić do domu. Żeby ona mogła powiedzieć: Ta a ta siedziała koło nas przy stoliku w Trocadero. To wydra, ale ubiera się dobrze. A on: Rozmawiałem tam z poważnymi ludźmi interesu. Mówią, że nic się nie zmieni na lepsze, dopóki nie pozbędziemy się tego gościa z Białego Domu. I znów żona: Dowiedziałam się z pewnego źródła, że ona ma syfilis. Występowała u Warnera. Dostała się do filmu przez łóżko. Ano, ma to, czego chciała.

Zatroskanych oczu nigdy nie nawiedza spokój, a odętych ust nie wygląda zadowolenie. Wspaniały samochód robi sześćdziesiąt mil na godzinę.

Napiłabym się czegoś zimnego.

Dobrze, widać tam przed nami jakiś bar. Chcesz się zatrzymać?

Myślisz, że tu będzie czysto?

O tyle, o ile może być czysto w tym zakazanym kraju.

No, butelkę wody sodowej można będzie wypić.

Wielki samochód zatrzymuje się ze zgrzytem. Zatroskany grubas pomaga żonie wysiąść.

Mae spogląda na nowych gości i odwraca wzrok. Al podnosi na chwilę oczy znad patelni i znów je spuszcza. Mae wie: napiją się wody sodowej za pięć centów, zrzedząc, że nie jest dostatecznie zimna. Kobieta zużyje sześć papierowych serwetek i rzuci je na podłogę. Mężczyzna zakrztusi się

i będzie usiłował zwalić winę na Mae. Dama zacznie pociągać nosem, jakby poczuła zapach zepsutego mięsa, a potem pójdą sobie i będą od tego czasu zawsze opowiadali, że ludzie na zachodzie są opryskliwi i ponurzy. Ale gdy Mae znajdzie się sam na sam z Alem, ma dla nich właściwe określenie: zdrańcy.

Kierowcy ciężarówek to goście do rzeczy.

Właśnie nadjeżdża wielka ciężarówka transportowa. Miejmy nadzieję, że się zatrzyma i zatrze wrażenie pozostawione przez tamtych.

– Al, jak pracowałam w tym hotelu w Albuquerque, żebyś ty widział, jak ci dranie kradli. Byle głupstwo. Im ładniejszym przyjechali samochodem, tym więcej potrafili zwędzić: ręczniki, srebra, mydelniczki. W głowie się człowiekowi nie mieści.

Na to Al ponuro:

– A jak myślisz, skąd wzięli te piękne wozy i to wszystko, co wiozą? Urodzili się z tym? To tylko ty nigdy nic nie będziesz miała.

Ciężarówka transportowa, kierowca i pomocnik.

– A może wstąpimy na filiżankę kawy? Znam tę dziurę.

– A jak tam nasz rozkład?

– O, jedziemy przed czasem!

– No to stajemy. Jest tu taka jedna – niczego sobie. I w dodatku kawa dobra.

Ciężarówka staje. Dwaj mężczyźni w spodniach do konnej jazdy koloru khaki, w butach z cholewami, w krótkich kurtkach i czapkach wojskowych z lśnącymi daszkami. Trzasnęły osłonięte siatką drzwi.

– Serwus, Mae!

– Jak Boga kocham, przecież to Duży Bill Szczur! Od kiedy jeździsz znowu tą trasą?

– Od tygodnia.

Drugi mężczyzna wrzuca niklową monetę do szafy, patrzy, jak płyta ześlizguje się automatycznie, a tarcza podsuwa się pod nią. Rozlega się piękny, dźwięczny głos Binga Crosby'ego:

*Dziękuję ci za słońca blask,
Za plażę, piasek, las i drzewka...
O, jakżeby nam płynął czas,*

Gdybyś nie była taka krewka...

a szofer nuci Mae na ucho:

Gdybyś nie była taka kurewka.

Mae śmieje się.

– Jak się nazywa twój nowy pomocnik, Bill? Pierwszy raz z tobą w drodze, co?

Pomocnik wrzuca nikłową monetę do automatu, wygrywa cztery monety i przegrywa je z kolei. Podchodzi do kontuaru.

– No, co podać?

– Filiżankę kawy. A może są jakieś ciastka?

– Z kremem bananowym, ananasowym, czekoladowym i z jabłkiem.

– Niech będzie z jabłkiem. Chwileczkę... a to duże?

Mae podnosi ciasto i wacha je.

– Z kremem bananowym.

– Dobrze, niech mi pani odkraja spory kawałek.

Ktoś przy automacie mówi:

– Wygrałem wszystkiego dwie sztuki.

– Wygrał dwie sztuki. Słyszałeś, Bill, ostatnio jakieś nowe kawały?

– No, słyszałem jeden.

– Uważaj, licz się z obecnością damy.

– Nie, ten nie jest wcale nieprzyzwoity. Mały chłopak spóźnia się do szkoły. Nauczyciel pyta: „Dlaczego się spóźniłeś?”. Malec na to: „Musiałem zaprowadzić jałówkę do buhaja”. Nauczyciel: „A nie mógł tego zrobić twój ojciec?”. „Pewno, że mógł, ale nie jest w tym taki dobry jak byk”.

Mae wybucha piskliwym, ostrym śmiechem. Al, który kraje właśnie cebulę na desce, podnosi oczy, uśmiecha się i znów spuszcza wzrok. Nie ma to jak kierowcy ciężarówek! Każdy z nich zostawi po ćwierć dolara. Piętnaście centów za kawę i ciastka, a dziesiątkę dla Mae. I wcale nie próbują się do niej dobierać.

Siedzą jeden obok drugiego na wysokich taboretach, z filiżanek z kawą sterczą łyżeczki. Prawią grzeczności. Al szoruje patelnię, przysłuchuje się, ale nie robi żadnych uwag. Milknie głos Binga Crosby’ego. Tarcza opada, a płyta zsuwa się na swoje miejsce w stosie innych płyt. Czerwone

światelko gaśnie. Nikłowa moneta, która zmusiła mechanizm do pracy i wyczarowała śpiew Binga Crosby'ego i muzykę orkiestry, wyslizguje się pomiędzy zacisków kontaktu i wpada do pudełka, w którym gromadzi się dochód. Ta nikłowa moneta, w przeciwieństwie do większości pieniędzy, istotnie wykonała pracę, ponosząc fizyczną odpowiedzialność za reakcję automatu.

Z aparatu do kawy wydobywa się para. Sprężarka lodówki posapuje z lekka przez chwilę, a potem cichnie. Wachlarz elektrycznego wentylatora w rogu obraca się wolno to w lewo, to w prawo, muskając lokal ciepłym powiewem. Szosą 66 mkną samochody.

– Przed chwilą zatrzymał się tu wóz z Massachusetts – mówi Mae.

Duży Bill ujmuje filiżankę w ten sposób, że łyżeczka sterczy mu pomiędzy wskazującym i środkowym palcem. Wciąga razem z kawą haust powietrza, żeby ochłodzić płyn.

– Ale co się dzieje na szosie 66! Samochody ze wszystkich stron kraju. I wszystko pcha się na zachód. Nigdy nie widziałem tylu na raz. Zdarzają się i ładne wozy.

– Widzieliśmy dziś rano wypadek – odzywa się pomocnik szofera. – Wielki cadillac, specjalny model, wóz jak złoto, niski, kremowy. Wyrznął w ciężarówkę. Chłodnicę wgniotło aż do kierownicy. Musiał jechać chyba z dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Kierownica przebiła kierowcę na wylot – rzucał się jak żaba na haczyku. Perła, nie samochód. Istne cudo. A teraz można go dostać za garść orzeszków ziemnych. Gość sam prowadził.

Al podnosi oczy znad rondli.

– A ciężarówka wyszła cało?

– Gdzie tam! Właściwie to nie była żadna ciężarówka, tylko jeden z tych przepiłowanych gratów, zapchanych piecykami, patelniami, materacami, z kupą dzieciaków i kurcząt. Z tych, co to wiecie, jadą na zachód. Tamten gość robił chyba z dziewięćdziesiąt mil na godzinę; skręcił raptownie, żeby nas wyminąć, a właśnie nadjeżdżał jakiś samochód, więc szarpnął za kierownicę, no i wpakował się na tego gruchota. Pijany był albo ślepy. Do licha! Bety, kury, dzieciaki – wszystko fruwało w powietrzu. Zabił jedno dziecko. Nigdy w życiu nie widziałem takiego bigosu. Zatrzymaliśmy wóz. Starszy gość, który prowadził ciężarówkę, stał tylko i patrzył na zwłoki dzieciaka. Nie można było słowa z niego wydobyć. Zaniemówił i ogłuchł. Do pioruna! Szosa jest pełna takich rodzin jadących na zachód.

Nigdy w życiu nie widziałem podobnego tłoku. I coraz tego więcej. Zachodzę w głowę, skąd oni, do diabła, wszyscy jadą.

– A ja się zastanawiam, dokąd oni wszyscy jadą – wtrąciła Mae. – Zajeżdżają tu czasem po benzynę, ale prawie nigdy nie kupują nic więcej. Ludzie powiadają, że oni kradną. U nas nic takiego nie leży pod ręką. Nigdy jakoś nam nic nie ukradli.

Duży Bill, żując ciastko, wygląda na drogę przez okno osłonięte siatką.

– Lepiej schowajcie, co się da. Zdaje mi się, że właśnie tacy nadjeżdżają.

Z szosy zjeżdżał wolno samochód osobowy Nash 1926. Zapchany był po sam dach workami, garnkami i patelniami.

Na szczycie ładunku siedzieli dwaj chłopcy. Na dachu przymocowany był materac i składany namiot. Paliki od namiotu przywiązano wzdłuż błotników. Samochód zatrzymał się przed pompą benzynową. Wysiadł z niego powoli ciemnowłosy mężczyzna o chudej twarzy. Obaj chłopcy zsunęli się z tłumoków i zeskoczyli na ziemię.

Mae wyszła zza kontuaru i stanęła w drzwiach. Przybysz ubrany był w szare wełniane spodnie i niebieską koszulę pociemniałą od potu na plecach i pod pachami. Chłopcy mieli na sobie tylko zniszczone i połatane kombinezony. Ich jasne, krótko przystryżone włosy jeżyły się na głowach. Twarze pokrywały smugi kurzu. Poszli prosto w kierunku kałuży brudnej wody pod węzem i zanurzyli stopy w błocie.

– Czy moglibyśmy, proszę pani, dostać trochę wody? – zapytał przybyły.

Przez twarz Mae przemknął cień niezadowolenia.

– Owszem, weźcie sobie. – I przez ramię dodała cicho: – Nie spuszczę oka z węża.

Śledziła uważnie, jak podróżny odkręca korek chłodnicy i doprowadza do niej wodę. Z samochodu wychyliła się jasna głowa kobiety.

– Zobacz, może tutaj dostaniemy.

Mężczyzna wyjął wąż z chłodnicy i zakręcił korek. Mali chłopcy porwali wąż z jego rąk, odczepili od niego kran i pili chciwie. Przybysz zdjął ciemny, poplamiony kapelusz i stał pod drzwiami, dziwnie pokorny.

– Czy nie mogłaby pani sprzedać nam bochenka chleba?

– To nie jest sklep spożywczy – odpowiedziała Mae. – Mamy chleb tylko na kanapki.

– Wiem, proszę pani. – W pokornym tonie przebijała natarczywość. – Ale potrzebujemy chleba i mówią, że nie dostaniemy go tu nigdzie przez

dłuższy czas.

– Jeśli wam sprzedamy, nam samym nie wystarczy. – Opór Mae zaczął słabnąć.

– Jesteśmy głodni – powiedział mężczyzna.

– Czemu nie kupicie kanapek? Mamy dobre hamburgery.

– Kupilibyśmy, proszę pani, ale nie stać nas na to. Możemy wydać dziesięć centów na całą rodzinę. – I dodał z zakłopotaniem: – Mamy już bardzo mało pieniędzy.

– Ależ nie dostaniecie chleba za dziesięć centów. Tu są bochenki tylko po piętnaście.

Al mruknął zza pleców kelnerki:

– Na miłość boską, Mae, dajcie im chleba!

– No i zabraknie nam, zanim przyjedzie ciężarówka z piekarni.

– No to niech zabraknie, do diabła! – rozstrzygnął Al.

I zajął się znowu z ponurą miną sałatką kartoflaną, którą właśnie przyrządzał.

Mae wzruszyła pulchnymi ramionami i spojrzała na kierowców, jak gdyby brała ich na świadków, na jakie natyka się trudności.

Przytrzymała drzwi i podróżny wszedł do środka, wnosząc ze sobą zapach potu. Za nim wcisnęli się chłopcy i ruszyli natychmiast ku gablotce ze słodyczami, utkwivszy w nich wzrok, który nie wyrażał prośby, nadziei ani nawet pożądlivosti, lecz po prostu zdumienie, że takie rzeczy mogą w ogóle istnieć. Podobni byli do siebie i prawie nie różnili się wzrostem. Jeden z nich drapał się w zakurzoną kostkę palcami drugiej nogi. Brat jego szeptem podzielił się z nim jakimś spostrzeżeniem i obaj wyprostowali się, aż na cienkim niebieskim materiale kombinezonów uwydatniły się ich pięści, zaciśnięte w kieszeniach.

Mae otworzyła szufladę i wyjęła długi bochenek, opakowany w woskowany papier.

– To jest bochenek za piętnaście centów.

Przybysz włożył kapelusz i odpowiedział z niezmienną pokorą:

– A czy nie chciałaby pani... czy nie mogłaby pani jakoś odkroić za dziesięć centów?

Al warknął:

– Do cholery, Mae! Daj im cały bochenek!

Mężczyzna odwrócił się w stronę Ala.

– Nie, my chcemy kupić tylko za dziesięć centów. Musimy się bardzo liczyć z każdym centem, proszę pana, żeby dojechać do Kalifornii.

– Możecie wziąć cały chleb za dziesięć – powiedziała Mae zrezygnowana.

– Ale to będzie z pani krzywdą.

– Bierzcie! Al powiedział, żebyście wzięli.

Popchnęła bochenek w papierowym opakowaniu po kontuarze. Przybysz wyjął z tylnej kieszeni sporą skórzaną sakiewkę, rozwiązał ją i otworzył. Portmonetkę wypełniały srebrne monety i zatłuszczone banknoty.

– Mógłby kto myśleć, że jestem kutwa – usprawiedliwiał się – ale mamy przed sobą tysiące mil i nie wiadomo, czy zdołamy je przejechać.

Pogrzebał palcami w sakiewce, namacał monetę dziesięciocentową i wyjął ją. Gdy położył ją na kontuarze, okazało się, że zabłąkał mu się w palce również jeden cent. Właśnie zamierzał wrzucić go z powrotem do woreczka, gdy wzrok jego padł na chłopców zastygłych nieruchomo przed gablotką ze słodyczami. Powoli podszedł do nich i wskazał palcem długie miętowe cukierki w kolorowe paski.

– Czy to cukierki po cencie, proszę pani?

Mae zbliżyła się i spojrzała w gablotkę.

– Które?

– Te w paski.

Chłopcy podnieśli oczy na Mae i wstrzymali oddech. Usta ich rozchyliły się, a półnagie ciała zeszytywniały.

– Ach, te. No, nie... dwie sztuki za centa.

– To niech mi pani da dwa.

Ostrożnie położył miedzianą monetę na kontuarze. Chłopcy odetchnęli z ulgą. Mae podała im długie cukierki.

– Bierzcie, chłopaki! – zachęcał ojciec.

Sięgnęli nieśmiało. Każdy wziął po cukierku i spuścił rękę wzdłuż boku, nie patrząc na miętową pałeczkę. Spojrzeli tylko na siebie i z zakłopotaniem uśmiechnęli się sztywno kącikami ust.

– Dziękuję pani!

Wziął chleb i wyszedł, a mali chłopcy kroczyli sztywno za nim, przyciskając mocno do ud cukierki w czerwone paski. Wskoczyli jak wiewiórki na przednie siedzenie, stamtąd wspięli się na szczyt ładunku i zaryli tam niby zwierzątka w norze. Ojciec wsiadł, uruchomił samochód

i staroświecki nash wyjechał z warkotem silnika na szosę w chmurze błękitnego dymu, kierując się w dalszą drogę na zachód.

Z restauracji spoglądali za nim kierowcy, Mae i Al. Duży Bill odwrócił się i powiedział:

– To wcale nie były cukierki po dwa za centa.

– A tobie co do tego? – rozgniewała się Mae.

– Przecież to pięciocentowe cukierki – upierał się Bill.

– No, trzeba jechać – odezwał się pomocnik. – Tracimy tu czas.

Sięgnęli do kieszeni. Bill położył na kontuarze monetę, pomocnik rzucił na nią okiem, sięgnął jeszcze raz i dołożył drugą. Zakręcili się na pięcie i poszli ku drzwiom.

– Do zobaczenia! – rzucił Bill.

– Halo! Czekaście chwilę, macie resztę! – zawołała Mae.

– A idź do diabła! – warknął Bill i osłonięte siatką drzwi zatrzasnęły się.

Mae przyglądała się, jak wsiadali do wielkiej ciężarówki, jak samochód z wolna ruszył, słyszała zgrzyt zmieniających się biegów aż do normalnej podróźnej szybkości.

– Al! – powiedziała cicho.

Podniósł oczy znad hamburgerów, które zawijał w woskowany papier.

– Co?

– Patrz! – wskazała palcem monety koło filiżanek. Dwie półdolarówki.

Al podszedł bliżej, spojrzał i wrócił do przerwanej roboty.

– Kierowcy ciężarówek! – powiedziała Mae z respektem. – I to po tych zasańcach!

Muchy obijały się o siatkę w drzwiach i odlatywały z brzękiem. Sprężarka zabulgotała przez chwilę i ucichła. Szosa 66 tętniła ruchem: z przejmującym świstem pędziły ciężarówki, piękne samochody o opływowych liniach, stare gruchoty. Mae pozbierała talerzyki i wysypała do wiadra okruchy ciastek. Wzięła wilgotną ścierkę i kolistymi ruchami wytarła kontuar. Wzrok jej błądził po gościńcu, którym życie pędziło jak wiatr.

Al wytarł ręce w fartuch i spojrzał na arkusz papieru przypięty na ścianie nad kuchenką. Widniały na nim trzy kolumny cyfr. Podsumował najdłuższą. Podszedł wzdłuż lady do kasy automatycznej, nakręcił: „Nic nie sprzedano”, i wyjął garść niklowych monet.

– Co robisz? – spytała Mae.

– Numer trzeci ma pełną kasę – oznajmił Al.

Zbliżył się do trzeciego automatu i wysypał do niego z ręki nikłowe monety. Za piątym obrotem kół ukazały się trzy walce i do miseczki wypadła zawartość kasy. Al zebrał sporą garść monet i wrócił do kontuaru. Wrzucił je do szuflady i zatrzaskał kasę. Potem znów zajął swoje miejsce i przekreślił podliczoną kolumnę.

– Trzeci automat ma największe powodzenie – stwierdził.

– Może by je przestawić?

Podniósł pokrywę rondla i obrócił mięso duszące się na wolnym ogniu.

– Ciekawa jestem, co oni będą robili w Kalifornii? – zastanawiała się Mae.

– Kto?

– A ci ludzie, co byli tu przed chwilą.

– Bóg raczy wiedzieć – odpowiedział Al.

– Myślisz, że dostaną pracę?

– A skąd ja, u diabła, mogę wiedzieć!

Mae spojrzała na szosę w kierunku wschodnim.

– Nadjeżdża transportowa ciężarówka z przyczepą. Czy też się tu zatrzyma? Mam nadzieję, że tak.

Gdy olbrzymi samochód zjechał ciężko z szosy i stanął, Mae chwyciła ścierkę i wytarła cały kontuar. Musnęła też kilka razy lśniący aparat do kawy i zapaliła pod nim gaz. Al przyniósł kilka małych rzepek i zaczął je obierać. Gdy drzwi otworzyły się, twarz Mae promieniała wesołością. Do lokalu weszło dwóch kierowców w mundurach.

– Serwus, siostro!

– Nie chcę być waszą siostrą. – Roześmieli się, a Mae zawtórowała im. – Co podać, chłopaki?

– Filiżankę kawy. Jakie ciastka macie?

– Z kremem ananasowym, bananowym, czekoladowym i z jabłkiem.

– Proszę z jabłkiem. Nie, chwileczkę... a to duże, to z czym?

Mae podniosła ciasto i powąchała.

– Z kremem ananasowym.

– Dobra, niech mi pani da kawałek.

Szosa 66 z przenikliwym świstem mknęły samochody.

Rozdział 16

Joadowie i Wilsonowie jechali wolno razem w kierunku zachodnim. El Reno i Bridgeport, Clinton, Elk City, Sayre i wreszcie Texola. Tu była granica; Oklahoma pozostała za nimi. Tego dnia samochody wlokły się bez końca naprzód i naprzód przez część Teksasu zwaną Panhandle, przez Shamrock, Alanreed, Groom i Yarnell. Pod wieczór minęli Amarillo. Ten zbyt długi etap zmusił ich o zmroku do zatrzymania się na nocleg. Byli zmęczeni, zgrzani i zakurzeni. Babka pod wpływem upału dostała konwulsji i gdy zatrzymali się, była bardzo słaba.

Tego wieczoru Al wyłamał palik z płotu i zrobił z niego poprzeczkę do podtrzymania budy, którą przymocował z dwu końców do ciężarówki. Na kolację nie jedli nic więcej prócz zimnych, twardych placków, które zostały ze śniadania. Padli na materace i zasnęli w ubraniach. Wilsonowie nie rozpięli nawet namiotu.

Droga Joadów i Wilsonów wiodła przez Panhandle, szary, falisty kraj, pobrużdżony i pocięty śladami dawnych powodzi. Jechali przez Teksas, uchodząc z Oklahoma. W kurzu pełzły wolno żółwie, słońce raziło swymi promieniami ziemię, która wieczorem, gdy niebo stygło z żaru, dyszała upałem.

Przez dwa dni obie rodziny jechały, nie zatrzymując się prawie, lecz na trzeci dzień pojęły, że kraj jest dla nich zbyt wielki, i przyjęły nowy tryb życia: szosa stała się ich domem, ruch – sposobem wysławiania. Powoli wszyscy przyzwyczaili się do tego odmiennego bytowania. Najpierw Ruthie i Winfield, potem Al, Connie i Rose of Sharon, a wreszcie starsi. Przed nimi roztaczał się falisty kraj jak wzburzone morze o nieruchomym dnie. Wildorado i Vega, Bosie i Glenrio. Tu już kończył się Teksas. Nowy Meksyk i góry. Wznosiły się na tle nieba w odległej dali. Koła samochodów obracały się ze zgrzytem, grzały się silniki, spod korków chłodnic

wydobywała się para. Posuwali się z wolna ku rzece Pecos, przekroczyli ją pod Santa Rosa i ujechali jeszcze dwadzieścia mil.

Al Joad prowadził samochód turystyczny, obok niego siedziała matka i Rose of Sharon. Przed nimi wlokła się ciężarówka. Rozgrzane powietrze falowało nad ziemią, a góry drżały w upale.

Al prowadził wóz niedbale, zgarbiony na siedzeniu, z ręką spoczywającą swobodnie na kierownicy. Szary kapelusz, zmięty i zdefasonowany w niewiarygodny sposób, zsunięty był na bakier. Od czasu do czasu Al odwracał głowę i spluwał przez okno.

Obok niego matka, z rękami złożonymi na kolanach, zapadła w stan bierności, walcząc ze znużeniem. Siedziała bezwładnie, poddając ciało i głowę ruchom samochodu. Mrużyła oczy, by dojrzeć góry przed sobą. Rose of Sharon broniła się przed wstrząsami, wpierając mocno stopy w podłogę i oparłszy prawy łokieć o drzwiczki. Jej pełna twarz była napięta, tak samo jak mięśnie szyi, toteż głowa młodej kobiety podskakiwała gwałtownie. Starła się usztywnić całe swe ciało, by uchronić płód przed wstrząsami. Zwróciła głowę ku matce.

– Mamo – odezwała się.

Oczy matki ożyły i uwaga jej skierowała się na córkę. Obrzuciła wzrokiem napiętą, znużoną, obrzękłą twarz i uśmiechnęła się.

– Mamo, jak już dojedziemy na miejsce, to wszyscy będziecie pracować przy zrywaniu owoców i będziemy mieszkali na wsi?

Uśmiech matki stał się z lekka drwiący.

– Jeszcześmy tam nie dojechali i nie wiemy, jak tam będzie. Zobaczymy na miejscu.

– Ja i Connie nie chcemy już mieszkać na wsi – oświadczyła Rose of Sharon. – Jużeśmy sobie umyślili, co będziemy robić.

Po twarzy matki przemknął cień z troskania.

– Nie zostaniecie z nami... z rodziną? – zapytała.

– Ach, obgadaliśmy to wszystko z Conniem – ciągnęła dalej podniecona młoda kobieta. – Mamo, my chcemy mieszkać w mieście! Connie dostanie pracę w sklepie albo w fabryce. I chce się uczyć w domu, może na radiotechnikę, żeby zdobyć jakiś fach, to może później założyć własny sklep. I będziemy chodzili często do kina. I Connie mówi, że podczas

porodu będę miała doktora; i że jeśli będzie sobie można na to pozwolić, to pójdę wtedy do szpitala. I kupimy sobie mały samochodzik. A jak już skończy tę wieczorową naukę, no... to wszystko będzie dobrze. Connie wydarł z „Romansów Zachodu” ogłoszenie o tym kursie i powiedział, że napisze, żeby mu przysłali skrypty, bo to nic nie kosztuje. Tak pisali w tym ogłoszeniu. Sama widziałam. I jeszcze obiecują, że po skończeniu kursu dadzą pracę przy radio... Przyjemna, czysta robota, no i jakaś przyszłość. Zamieszkamy w mieście i będziemy chodzić często do kina. I wiesz... będę miała elektryczne żelazko, a dziecko dostanie nowiutką wyprawkę. Connie powiada, że będzie śliczna... wszystko białe. Widziała mama nieraz w katalogu te rzeczy, które szyją dla niemowląt. Naturalnie na samym początku, dopóki Connie nie skończy nauki w domu, będzie nam trochę ciężko, ale... zanim dziecko się urodzi, już Connie może skończy ten kurs... i dorobimy się małego domku, choćby malutkiego, ale własnego. Nie chcemy niczego nadzwyczajnego, ale chcielibyśmy, aby dziecko miało ładnie... – Twarz jej płonęła z podniecenia. – I tak sobie myślałam... że wszyscy moglibyśmy zamieszkać w mieście i że kiedy Connie będzie miał już własny sklep, to... to Al mógłby u niego pracować.

Matka nie spuszczała oczu z zarumienionej twarzy. Chłoneła obraz rosnącego gmachu marzeń.

– Nie chcemy, żebyście się z nami rozłączali – odezwała się. – To niedobrze, jak się rodzina rozbija.

Al zachnął się:

– Ja mam pracować u Conniego? A czemu to on nie miałby pracować u mnie? Cóż on sobie myśli, pieskie nasienie, że tylko on potrafi się uczyć wieczorami?

Matka jakby nagle zdała sobie sprawę, że słucha nierealnego fantazjowania. Odwróciła znów głowę, by patrzeć przed siebie; ciało jej opadło bezwładnie na siedzenie, lecz w oczach pozostał odblask uśmiechu.

– Ciekawa jestem, jak też babcia się dziś czuje – powiedziała.

Al, nachylony nad kierownicą, wyteżył słuch. W silniku odzywał się jakiś grzechot. Chłopiec zwiększył szybkość i grzechot wzmógł się. Zwolnił, nasłuchując, znów na chwilę zwiększył szybkość i słuchał. Grzechot wzmógł się i przeszedł w metaliczny stuk. Al dał sygnał i zjechał na brzeg szosy. Ciężarówka przed nimi również zwolniła i zaczęła się cofać.

Gościńcem przemknęły trzy samochody pędzące na zachód, każdy zatrafił, mijając Ala, a kierowca ostatniego wychylił się i wrzasnął:

– Gdzie robicie postój, do jasnej cholery?!

Tom cofnął ciężarówkę, aż zrównała się z samochodem turystycznym, wysiadł i podszedł do Ala. Z wyżyn spiętrzonych tłumoków wyrzały głowy. Al opóźnił zapłon i wsłuchiwał się w pracę silnika na jałowym biegu.

– Co się stało, Al? – zapytał Tom.

Al zwiększył obroty.

– Posłuchaj!

Stukanie było teraz jeszcze wyraźniejsze. Tom słuchał.

– Przyśpiesz zapłon na wolnych obrotach – doradził. Podniósł maskę i zajrzał do środka. – Teraz dodaj gazu. – Nasłuchiwał przez chwilę i zamknął maskę. – No, zdaje mi się, że masz rację – osądził.

– Panewka korbowodu, prawda?

– Na to wygląda.

– A tyle wlałem oleju – narzekał Al.

– Cóż, kiedy nie doszedł. Wyszło jak diabli. Co robić, trzeba będzie wyjąć panewkę. Słuchaj, ja pojedę przodem i znajdę jakieś równe miejsce na postój. Ty jedź powoli. Nie wytrzęś miski olejowej.

– Jak tam, bardzo źle? – zaniepokoił się Wilson.

– Dosyć kiepsko – odpowiedział Tom, wrócił do swojej ciężarówki i powoli ruszył.

– Nie rozumiem, co się stało. Oleju nalałem, ile wlało – usprawiedliwiał się Al, który wiedział, że na niego spada odpowiedzialność, i czuł, że zawiódł pokładane w nim nadzieje.

– To nie twoja wina – pocieszała go matka. – Przecież dopilnowałeś wszystkiego jak należy. – Po chwili zapytała trochę nieśmiało: – A czy to coś bardzo złego?

– Tyle że trudno się tam dostać, a poza tym trzeba będzie dać nowy korbowód albo przynajmniej zmienić panewkę. – Westchnął głęboko. –

Dobrze, że Tom jest z nami. Nigdy nie zakładałem panewki. W Bogu nadzieja, że Tom się na tym zna.

Przed nimi wznosiła się przy drodze wielka, czerwona tablica reklamowa rzucająca duży, prostokątny cień. Tom zjechał z szosy, przejechał przez płytki rów i zatrzymał ciężarówkę w cieniu. Wysiadł i czekał na Ala.

– Ostrożnie teraz! – zawołał. – Bo jeszcze w dodatku i resor złamiesz.

Al zaczerwienił się z gniewu. Zgasił silnik i krzyknął:

– Psiakrew! Przecież to nie ja spaliłem łożysko! Co miałeś na myśli z twoim „w dodatku”?

Tom uśmiechnął się.

– Nie rzucaj się, bo nie ma o co. Nie miałem na myśli nic złego. Przeprowadź tylko ostrożnie wóz przez rów.

Al zjechał powoli samochodem do rowu i wyjechał na drugą stronę, mrużąc:

– A nie próbuj nikomu wmawiać, że to ja spaliłem to łożysko.

Silnik teraz głośno klekotał. Al wjechał w cień i zgasił go. Tom podniósł maskę i podparł ją.

– Nie można go nawet tknąć, zanim nie ostygnie.

Cała rodzina wyroliła się z samochodów i zgromadziła koło maszyny.

– Czy to coś poważnego? – zapytał ojciec, przykucnąwszy na ziemi.

– Zakładałeś kiedy panewkę? – zwrócił się Tom do Ala.

– Nie, nigdy. Naturalnie, zdejmowałem nieraz miskę olejową.

– Musimy ją zdjąć i wyjąć korbówód. Trzeba będzie się postarać o nową część, dotrzeć ją, dopasować i osadzić. Robota na dobry dzień. A po nowe części można tylko wrócić do Santa Rosa, gdzieśmy ostatnio byli. Do Albuquerque jest stąd około siedemdziesiąt pięć mil... A niech to diabli! Przecież jutro niedziela! Jutro nic nie dostaniemy! – Rodzina stała w milczeniu. Ruthie podeszła i zajrzała pod otwartą maskę w nadziei, że zobaczy uszkodzoną część. A Tom rozważał półgłosem dalej: – Jutro jest niedziela. Części dostaniemy dopiero w poniedziałek, a naprawa potrwa prawdopodobnie do wtorku. Nie mamy narzędzi, nie pójdzie więc tak łatwo. Robota jak cholera.

Cień myszołowa prześliznął się po ziemi. Wszyscy spojrzeli w górę na szybującego ciemnego ptaka.

– Najwięcej boję się tego, że wydamy wszystkie pieniądze i nie będziemy mieli za co jechać dalej – martwił się ojciec.

– Wszyscy musimy jeść, a trzeba też kupować benzynę i olej. Jak wyczerpią się pieniądze, to nie wiem, co zrobimy.

– To moja wina – wtrącił Wilson. – Ten cholerny grat narobił mi dosyć kłopotu. Zrobiliście dla nas już dosyć dużo. Toteż dajcie sobie teraz spokój

i jedźcie dalej. Zostanę tutaj z Sairy i damy sobie jakoś radę. Nie możecie przecież pójść przez nas z torbami.

– Nie, tego nie zrobimy – odpowiedział powoli ojciec. – Jesteśmy prawie jedną rodziną. Dziadek umarł w waszym namiocie.

– Tylko kłopot wam sprawiamy, tylko kłopot – powiedziała Sairy znużonym głosem.

Tom skręcił wolno papierosa, obejrzał go i zapalił. Zdjął zniszczoną czapkę i otarł nią czoło.

– Mam myśl – oznajmił. – Może nikomu się nie spodoba, ale mój projekt jest taki: im prędzej dojedziemy do Kalifornii, tym prędzej będziemy mieli gotówkę. Chodzi o to, że ten wóz jedzie dwa razy szybciej niż nasza ciężarówka. Myślę więc, że powinniście przenieść trochę manatków z tego samochodu i wszyscy jechać ciężarówką naprzód, a ja tu zostanę z pastorem. We dwóch naprawimy maszynę, a potem będziemy jechali dniem i nocą, żeby was dopędzić, a jeśli nie spotkamy się z wami w drodze, to znajdziemy was w każdym razie przy pracy. A gdyby się wam coś popsuło, no to po prostu rozłóżcie się obozem przy szosie i czekajcie na nas. Nie macie nic do stracenia, a jeśli się wam powie, dostaniecie robotę i wszystko pójdzie łatwiej. Casy pomoże mi przy tym wozie i przyjedziemy za wami śpiewając.

Zgromadzona rodzina rozważała propozycję. Stryj John przykucnął obok ojca.

– A nie będziesz potrzebował mojej pomocy z tym korbowodem? – zapytał Al.

– Sam powiedziałeś, że nie znasz się na tym.

– To prawda. Mam do zaofiarowania tylko własną siłę. Ale może pastor nie ma ochoty zostawać?

– Wszystko mi jedno, kto zostanie – powiedział Tom.

Ojciec drapał wskazującym palcem wysuszoną ziemię.

– Wydaje mi się, że Tom ma rację – powiedział wolno. – Nic dobrego tutaj nie wysiedzimy. A tak, zanim zmrok zapadnie, możemy ujechać pięćdziesiąt do stu mil.

– Ale jak wy nas znajdziecie? – martwiła się matka.

– Będziemy jechali tą samą drogą – tłumaczył Tom. – Cały czas szosą 66. Aż do miejscowości Bakersfield. Widziałem ją na mapie. Jedźcie prosto tam.

– Tak, ale jeśli dojedziemy do Kalifornii i skręcimy z tej szosy...?

– Niech się mama nie kłopotczy – uspokajał ją Tom. – Znajdziemy was. Kalifornia to jeszcze nie cały świat.

– Na mapie wygląda strasznie duża – zauważyła matka. Ojciec zwrócił się o radę do stryja Johna:

– John, może masz coś przeciwko temu?

– Nie – odpowiedział.

– Panie Wilson, to wasz samochód. Macie coś przeciwko temu, aby mój chłopiec naprawił go i dogonił nas?

– Nie, nic a nic – odpowiedział Wilson. – Ale tyle już zrobiliście dla nas dobrego, że może ja teraz mógłbym pomóc waszemu chłopakowi.

– Możecie nam pomóc zostawiając trochę pieniędzy na wypadek, gdybyśmy was nie dogonili – powiedział Tom. – A przypuśćmy, że wszyscy tu zostajemy. Nie ma tu wody, a tego wozu z miejsca nie ruszymy. A jak dojedziecie na miejsce i dostaniecie robotę, to zarobicie coś, a może nawet zdobędziecie jakiś domek. Co wy na to, Casy? Chcecie zostać ze mną i pomóc mi?

– Zrobię tak, jak dla was będzie najlepiej – oświadczył Casy. – Zabraliście mnie i wieźliście ze sobą. Zrobię, co będę mógł.

– No, będziecie musieli leżeć na plecach pod wozem z głową upačkaną smarem – ostrzegł Tom.

– Całkiem mi to odpowiada – odparł Casy.

– Jeżeli tak, to ruszamy – rozstrzygnął ojciec. – Zrobimy ze sto mil, zanim się znów zatrzymamy.

Matka stanęła przed nim.

– Ja nie pojedę – oznajmiła.

– Jak to nie pojedziesz? Musisz jechać. Przecież musisz zająć się rodziną.

Ojciec był zaskoczony tym buntem. Matka podeszła do samochodu turystycznego i sięgnęła pod tylne siedzenie. Wyjęła stamtąd korbę i kołysała ją swobodnie w dłoni.

– Nie pojedę – powtórzyła.

– A ja ci mówię, że pojedziesz. Tak postanowiliśmy.

Matka zacisnęła wargi i powiedziała półgłosem:

– Możesz mnie bić, a nie ruszę się stąd. – Machnęła z lekka korbą. – I ja ci, stary, narobię wstydu. Będiesz mnie bił, a ja nie będę lamentowała ani prosiła o zmiłowanie, tylko wezmę się za ciebie. I nie bądź taki pewny, że

mi dasz radę. A tknij mnie tylko palcem, to, jak Boga kocham, ledwie się odwrócisz albo usiądziesz, zdiełę cię wiadrem w brzuch. Przysięgam, na Boga!

Ojciec spojrział po wszystkich bezradnie.

– Ale się baba wściekła! – wymamrotał. – Jeszcze jej nigdy takiej nie widziałem.

Ruthie zachichotała piskliwie. Korba w rękach matki kołysała się groźnie.

– Jazda! – mówiła matka. – Postanowiłeś. Chodź i weź się do bicia. Spróbuj tylko. Ale ja i tak nie pojadę. A jak mnie zmusicie, to już nie zaśniesz ani na chwilę. Będę czekała i ledwie tylko się zdrzemniesz, zdiełę cię polanem.

– Ale ją opętało! – mruknął ojciec. – A przecież już niemłoda.

Cała grupa śledziła uważnie rewoltę matki. Spoglądali na ojca i wyczekiwali, kiedy wpadnie w pasję. Obserwowali, czy jego luźno zwisające dłonie nie zaciskają się w pięści. Lecz ojca nie ogarniał gniew, a ręce jego wciąż zwisały bezwładnie. I naraz wszyscy zrozumieli, że matka zwyciężyła. A i ona też zdawała sobie z tego sprawę.

– Mamo, co mamę ugryzło? – spytał Tom. – O co mamie chodzi? Co się stało? Chce mama walić nas korbą?

Twarcz jej złagodniała, oczy jednak, wciąż były gniewne.

– Boście postanowili, nie zastanowiwszy się wcale – odpowiedziała. – Co nam zostało na świecie? Nic, tylko my sami. Tylko rodzina. Ledwie wyjechaliśmy, a dziadek oddał ducha Bogu. Teraz znowu chcesz rozbić resztę rodziny...

– Ależ, mamu, mieliśmy was dogonić. Ani nam się śniło ugrzęznąć tu na długo! – zawołał Tom.

Matka machnęła korbą.

– A jakbyśmy gdzieś obozowali i wy byście nas minęli. A jakbyśmy dojechali, to skądbyśmy wiedzieli, gdzie zostawić wiadomość, a wy – gdzie jej szukać? Czekają nas ciężka podróż. Babcia jest chora. Leży tam na ciężarówce i niewiele już jej życia pozostało. Jest do cna wyczerpana. Mamę przed sobą długą i ciężką drogę.

– Ale moglibyśmy zarobić trochę pieniędzy – odezwał się stryj John. – Odłożylibyśmy nieco grosza, zanim nadjechaliby Tom i Casy.

Oczy całej rodziny zwróciły się znowu ku matce. Ona objęła władzę i kierownictwo.

– Z tych pieniędzy nie byłoby wielkiej pociechy – odrzekła. – Wszystko, co nam zostało, to nasza nierozbita rodzina. Nawet stado krów trzyma się kupy, gdy wilki krążą w pobliżu. Nie boję się, dopóki wszyscy jesteśmy razem, wszyscy, co żyją, i nie pozwolę, żebyśmy się rozbili. Jest z nami pastor, są Wilsonowie. Nie mogę powiedzieć ani słowa, jeżeli zechcą odejść, ale będę waliła tym żelazem, jeżeli moja rodzina zacznie się rozłazić.

Ton jej był zimny i nieodwołalny.

– Mamo, nie możemy przecież obozować tu wszyscy – łagodził Tom. – Nie ma tu wody. Nie ma nawet dość cienia. A babcię trzeba by ułożyć gdzieś w cieniu.

– Dobrze – odparła matka. – Podjedziemy i staniemy w pierwszym miejscu, gdzie będzie woda i cień. A potem ciężarówka wróci, zawiezie cię do miasta po brakującą część i odwiezie z powrotem. Nie będziesz wlec się pieszo w taki upał. I nie pozwolę, żebyś tu został sam, bez rodziny, na łasce losu.

Tom zacisnął wargi na zębach, a potem otworzył je z głośnym klaśnięciem. Rozłożył bezradnie ręce i opuścił je.

– Tato! – zawołał. – Jakby tak tato chwycił mamę z jednej strony, ja – z drugiej, a reszta rodziniki zwała się kupą na nas i babcia skoczyłaby z ciężarówki na wierzch, to może dalibyśmy mamie radę. Tą korbą zatłukłaby najwyżej dwoje z nas, może troje. Ale jeżeli tato nie chce mieć rozbitej głowy, to niech już mama lepiej postawi na swoim. Słyszane to rzeczy, żeby jedna kobieta wbiła sobie coś w głowę i dała szkołę wszystkim! No, mam, wygrała mama. Tylko proszę położyć tę korbę, bo jeszcze kto oberwie.

Matka spojrzała ze zdumieniem na kawał żelaza. Ręka jej drżała. Upuściła swą broń na ziemię, a Tom podniósł ją z przesadną ostrożnością i włożył do samochodu.

– Ojciec może teraz znów spokojnie przysiąc na piętach. Al, zabierz wszystkich ciężarówką i niech rozbiją obóz, a potem wróc tu. My z pastorem zdejmemy miskę olejową, jeśli nam się to uda, a potem pojedziemy do Santa Rosa i spróbujemy dostać korbówód. Może jeszcze gdzie znajdziemy, bo to sobota wieczór. Uwijaj się, żebyśmy zdążyli pojechać. Czeka, wezmę z ciężarówki klucz i szczypce.

Sięgnął ręką pod samochód i pomacał zatłuszczony spód miski olejowej.

– Ojej, dawajcie jakieś naczynie, to stare wiadro! Olej wycieka, trzeba go ratować!

Al podał mu wiadro, a Tom podstawił je pod samochód i obluźnił szczypcami pokrywkę spustu oleju. Gdy dalej odkręcał ją palcami, po ramieniu ściekał mu czarny płyn, a potem ciemny strumień popłynął bezszelestnie do wiadra. Zanim napełniło się ono do połowy, Al załadował rodzinę na ciężarówkę. Tom z twarzą umazaną olejem wyjrzał spomiędzy kół.

– A wracaj prędko! – zawołał.

I podczas gdy ciężarówka przejechała ostrożnie przez płytki rów i potoczyła się dalej, Tom odkręcał śruby miski olejowej. Obracał równomiernie to jedną, to drugą, żeby nie uszkodzić uszczelki.

Pastor ukląkł przy kołach.

– Co ja mam robić?

– Na razie nic. Zaraz olej wycieknie i poodkręcam śruby, to pomożecie mi zdjąć miskę.

Tom wczołgał się głębiej pod samochód, rozluźnił kluczem śruby i poodkręcał je palcami, nie zdejmując ich jednak całkowicie, aby miska nie upadła.

– A ziemia wciąż tu jeszcze gorąca – powiedział i dodał: – Słuchajcie no, Casy, przez te parę ostatnich dni nie puściliście pary z gęby. Co wam się stało, u diabła? Kiedy was spotkałem wtedy na drodze, to wygłaszaliście mowę co pół godziny, albo i częściej. A przez te ostatnie parę dni nie wiem, czy powiedzieliście dziesięć słów. Cóż to, oklapliście całkiem, czy co?

Casy leżał wyciągnięty na brzuchu i zaglądał pod samochód. Oparł na grzbiecie dłoni brodę jeżącą się rzadkim zarostem. Kapelusz zsunął do tyłu, tak że zakrywał mu kark.

– Jako pastor wygadałem się tyle, że wystarczy na całe życie.

– Ale przecież i potem gadaliście od czasu do czasu.

– Ano, cały jestem roztrzęsiony. Nie czułem tego, kiedy prawilem kazania i obłapiałem dziewczyny na prawo i lewo. Teraz machnąłem ręką na kazania, no i muszę się ożenić. Bo, widzicie, ciągnie mnie do kobiety.

– Mnie też – wyznał Tom. – Wiecie, kiedy wyszedłem z McAlester, to paliłem się do bab jak cholera. I jak dorwałem się do dziewczyny – takiej sobie kurewki – tom ją nieźgorzej wymaglował. Nie będę wam opowiadał, co się działo. Nikomu bym tego nie opowiedział.

Casy roześmiał się.

– Wiem coś o tym. Umartwiałem się kiedyś na odludziu, a kiedy wróciłem stamtąd, przydarzyło mi się to samo.

– A niech to wszyscy diabli! – zawołał Tom. – I co wy na to, że nie wydałem wtedy ani grosza, a dziewczyna nie mogła narzekać. Myślała, że ma z wariatem do czynienia. Powinienem być jej zapłacić, ale dostałem tylko pięć dolarów. Powiedziała, że nie chce pieniędzy... Przysuńcie się no tutaj i przytrzymajcie miskę, a ja tymczasem obluzuję śruby. A teraz odkręcajcie śrubę, ja będę odkręcał z drugiego końca i opuścimy ją ostrożnie na ziemię. Ostrożnie z uszczelką! Widzicie, cała miska odchodzi. Te stare dodge'e mają tylko cztery cylindry. Kiedyś rozbierałem jeden. Główne łożysko jest wielkie jak dynia. Zaraz – puśćcie ją, a teraz trzymajcie mocno. Chwyćcie ręką i ciągnijcie uszczelkę, trzyma się jeszcze. Ostrożnie! Gotowe!

Pomiędzy nimi spoczęła na ziemi zasmarowana miska, w której studzienkach pozostał jeszcze olej. Tom sięgnął do najbliższej studzienki i wydobył kilka wykuszonych kawałków metalu łożyskowego.

– O! – zawołał.

Obracał kawałki metalu w palcach.

– Wał jest podniesiony. Znajdźcie no korbę i kręćcie nią wał, dopóki nie powiem, że dosyć.

Casy wstał, znalazł korbę i założył ją.

– Już?

– No, uwaga, obracajcie teraz powoli... jeszcze trochę... jeszcze... wystarczy!

Casy ukląkł i znowu zajrzał pod samochód. Tom stukał łożyskiem korbowodu o wał.

– Tu jest uszkodzenie.

– Jak myślicie, dlaczego to się stało? – zapytał Casy.

– Ech, diabli wiedzą! Ten samochodzik jeździ już trzynaście lat. Licznik wskazuje sześćdziesiąt tysięcy mil. To znaczy sto sześćdziesiąt, a Bóg wie, ile razy go cofali. Silnik rozgrzał się, ktoś nie dopilnował poziomu oleju, no i wytopiło.

Wyciągnął zawleczkę i założył klucze na śrubę łożyska. Pociągnął i klucz ześliznął się. Na grzbiecie jego dłoni ukazała się długa szrama. Tom

spojrzał, krew płynęła z rany równym strumykiem, mieszała się z olejem i kapłała do miski olejowej.

– Oj, źle! – zmartwił się Casy. – Może ja to zrobię, a wy tymczasem opatrzycie sobie rękę.

– E tam, do diabła! Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się naprawiać samochodu, żebym się nie skaleczył. Teraz już nie mam się co martwić. –

Założył ponownie klucz. – Żebym tak miał większy! – westchnął i tłukł kantem dłoni w klucz, dopóki śruby nie ustąpiły. Wyjął je, ułożył w misce olejowej razem ze śrubami wykręconymi poprzednio i z zawleczkami śrub miski. Obluzował śruby łożyska korbowodu, wyciągnął tłok z korbowodem i położył go w misce.

– No, nareszcie!

Wyczołgał się spod samochodu i wyciągnął za sobą miskę z częściami. Wytarł rękę w szmatę z worka i obejrzał skaleczenie.

– Krwawi jak cholera, ale zaraz to zatrzymamy. Mam na to sposób.

Oddał mocz na ziemię, podniósł z tego miejsca garść błota i obłożył nim skaleczone miejsce. Krew sączyła się jeszcze przez chwilę, ale potem krwawienie ustało.

– Nie ma lepszego sposobu na zatamowanie krwi – oświadczył.

– Trochę pajęczyny zrobiłoby to samo – powiedział Casy.

– Racja, ale pajęczyna nie zawsze jest pod ręką, a sikać można zawsze.

Usiadł na stopniu i przyjrzał się uszkodzonej panewce łożyska.

– Gdyby się nam tylko udało znaleźć jakiegoś dodge’a 25, dostać używany korbowód i trochę wkładek nastawnych, wtedy samochód byłby w porządku. Al musiał już ujechać diabelnie daleko.

Cień tablicy reklamowej wydłużył się do sześćdziesięciu stóp. Popołudnie upływało. Casy również usiadł na stopniu i patrzył ku zachodowi.

– Jeszcze trochę, a znajdziemy się w wysokich górach – powiedział i milczał przez chwilę. Po chwili odezwał się: – Tom!

– Co takiego?

– Tom, przyglądałem się po drodze samochodom, tym, które mijaliśmy i które nas mijaly. Obserwowałem dobrze.

– I co zaobserwowaliście?

– Tom, setki takich rodzin jak nasza ciągną na zachód. Obserwowałem uważnie. Nikt nie jedzie na wschód, wszyscy na zachód. Całe setki, zauważyliście?

– Tak, zauważyłem.

– Wygląda to tak, jakby ludzie uciekali przed wojną. Jak gdyby cały kraj się przeprowadzał.

– Bo też cały kraj się przeprowadza, a my z nim.

– No tak, ale przypuśćmy, że wszyscy ci ludzie... że ci wszyscy ludzie nie dostaną tam roboty?

– A, do diabła! – zawołał Tom. – Skądże ja mam to wiedzieć? Ja tylko stawiam jedną nogę przed drugą. To samo robiłem przez cztery lata w Mac: wchodziłem do celi i wychodziłem z celi, do stołówki i ze stołówki. Myślałem, psiarew, że jak wyjdę, to będzie inaczej! Tam nie można było o niczym myśleć, boby człowiek kręcka dostał, a teraz okazuje się, że i tu lepiej za dużo nie rozmyślać. – Odwrócił się do Casy'ego. – Nawaliła nam panewka łożyska w samochodzie. Nie wiedzieliśmy, że się psuje, i nie martwiliśmy się. A teraz jest do niczego i musimy je naprawić. I, jak Boga kocham, tak jest ze wszystkim. Nie mam ochoty martwić się na zapas. Nie stać mnie na to. Oto mały kawałek żelaza i metalu łożyskowego. Widzicie go? Widzicie dobrze? No więc, to jest jedyna rzecz na świecie, która mnie obchodzi. Ciekaw jestem, gdzie, u diabła, może być Al.

– Słuchajcie no, Tom! – odezwał się Casy. – O, jak cholernie trudno wygadać się człowiekowi!

Tom zdjął z ręki błotny okład i rzucił go na ziemię. Do brzegów ranki przylgnęło trochę błota. Spojrzał na pastora.

– Widzę, że was swędzi, żeby rąbnąć mównicę – powiedział. – Jazda, ulżyjcie sobie! Lubię słuchać każdej gadaniny. Nasz strażnik w kryminale raczył nas kazaniami od rana do wieczora. Nam to nie szkodziło, a on czuł się diabelnie ważny. No, co tam chcecie wygarnąć?

Casy skubał swoje długie, sękaty palce.

– Różne rzeczy się dzieją i rozmaicie ludzie postępują. Powiadacie, że po prostu stawiają jedną nogę przed drugą i nie myślą, dokąd idą, ale wszyscy przecież podążają w jednym kierunku, wszyscy kierują się w jedną stronę. I gdybyście się dobrze wsłuchali, usłyszelibyście jakiś szmer, skradanie się... i jakiś niepokój w powietrzu. Dzieje się coś, z czego ludzie nie zdają sobie sprawy, jeszcze nie. Coś musi wyniknąć z tej wędrówki na zachód i ucieczki z opuszczonych gospodarstw. Musi się stać coś, co zmieni wszystko w kraju.

Tom odpowiedział:

- Tak czy owak, ja stawiam dalej jedną nogę przed drugą.
- No, dobrze, ale jeśli napotkacie płot, musicie przeleźć przez niego.
- Jak trzeba przełazić przez płoty, to przełazę – odpowiedział Tom.

Casy westchnął.

– Pewno, że to najlepszy sposób. Zgoda. Ale płoty bywają rozmaite. Tacy ludzie jak ja próbują przełazić przez takie płoty, które nawet jeszcze nie zostały postawione. I na to nie ma rady.

– Czy to nie Al nadjeżdża? – spytał Tom.

– Zdaje się, że tak.

Tom wstał. Zawinął korbowód i obydwie części łożyska w kawałek worka.

– Chcę być pewny, że dobiorę takie same.

Ciężarówka stanęła na skraju szosy i Al wychylił się z okna.

– Wieki cię nie było! Gdzieżeście zajechali?

Al westchnął.

– Udało ci się wyjąć korbowód?

– Tak. – Tom podniósł do góry zawiniątko. – Panewkę diabli wzięli.

– No ale to nie moja wina.

– Nie. A gdzie zawiozłeś naszych?

– Mieliśmy kłopot – opowiadał Al. – Babka podniosła lament, a na to Rosasharn też uderzyła w bek. Schowała głowę pod materac i ryczy. Ale babka rozwarła gębę na dobre i wyła jak pies do księżycy. Całkiem jak małe dziecko. Wygląda na to, że straciła rozum. Nie odzywa się do nikogo, nie poznaje ludzi. Ciągłe gada tak, jakby rozmawiała z dziadkiem.

– Dobrze, ale gdzieś ich zostawił? – nastawał Tom.

– Ano dojechaliśmy do obozu. Jest tam cień i woda. Płaci się pół dolara za dzień pobytu. Wszyscy jednak byli tak wściekle zmęczeni, wyczerpani i przygnębieni, że zostali. Matka powiada, że nie ma innej rady, bo babka już ledwie zipie. Postawiliśmy namiot Wilsonów i rozpięliśmy naszą brezentową płachtę. Myślę, że babcia zwariowała.

Tom spojrzał w stronę zniżającego się słońca.

– Casy, ktoś musi zostać przy samochodzie, bo inaczej go rozdrapią. Czy moglibyście to zrobić?

– Pewnie, że zostanę.

Al wyjął spod siedzenia papierową torbę.

– Tu jest chleb i mięso, które przysłała matka. Przywiozłem też dzbanek wody.

– Nie zapomina o nikim – powiedział Casy.

Tom usiadł obok Ala.

– Słuchajcie, Casy, postaramy się wrócić jak najprędzej. Ale trudno powiedzieć kiedy.

– Będę tu czekał.

– Dobrze. Nie gadajcie za dużo sami do siebie. Jazda, Al!

Ciężarówka ruszyła. Było już późne popołudnie.

– To porządny chłop – powiedział Tom do Ala. – Ale cały czas się nad czymś zastanawia.

– Ano, do licha, nie darmo był pastorem. Ojciec się wścieka z powodu tych pięćdziesięciu centów za samo obozowanie pod drzewem. Nie może tego strawić. Siedzi i klnie. Powiada, że niedługo będą sprzedawali powietrze w małych balonach. Ale matka mówi, że trzeba być w pobliżu cienia i wody ze względu na babkę.

Ciężarówka toczyła się z łoskotem po gościńcu, i teraz, gdy nie była już obciążona ładunkiem, każda jej część klekotała i pobrzękiwała. Trzeszczały boki skrzyni ładunkowej i przepiłowane nadwozie. Al zwiększył szybkość do trzydziestu ośmiu mil na godzinę, silnik łomotał ciężko, błękitny dym spalającego się oleju unosił się spomiędzy desek podłogi.

– Nie dawaj tyle gazu – ostrzegał Tom – bo spalisz maszynę aż po piasty kół. A co się stało babce?

– A bo ja wiem? Sam widziałeś, że przez ostatnie dwa dni była nieswoja i do nikogo się nie odzywała. Teraz dla odmiany dużo gada i krzyczy, ale tylko do dziadka. Wymyśla mu. Aż strach słuchać. Jakbyś go widział siedzącego przy niej, śmiejącego się i macającego się palcami. Myślałby kto, że ona go widzi. Robi mu istne piekło. Słuchaj, ojciec dał mi dwadzieścia dolarów dla ciebie. Nie wiedział, ile pieniędzy będziesz potrzebował. A czyś widział kiedy, żeby mama tak mu się postawiła jak dziś?

– Nigdy, odkąd pamiętam. Alem sobie wybrał czas na wyjście z kryminału! Myślałem, że po zwolnieniu będę się wylegiwał do góry brzuchem, wstawał późno i wcinał ile wlezie. Myślałem, że będę chodził na tańce i na dziewczyny, a tymczasem nici z tego wszystkiego.

– Zapomniałem, że mama kazała powtórzyć ci kupę rzeczy. Mówi, żebyś nie pił, nie wdawał się w awantury i nie zaczepiał nikogo. Boi się, żeby cię nie odesłali z powrotem do więzienia.

– Dość ma trosk i bez kłopotania się o mnie – odpowiedział Tom.

– Ale po kuflu piwa możemy chyba wypić, co? Straszna mam ochotę na piwo!

– Nie wiem. Ojciec gotów nas ze skóry obedrzeć, jak się dowie.

– Słuchaj no, Tom. Mam przy sobie sześć dolarów. Moglibyśmy się napić piwa i zabawić się trochę. Nikt nie wie o tych pieniądzach. Moglibyśmy się fajno zabawić!

– Trzymaj tę forszę – poradził Tom. – Jak już dojedziemy do Kalifornii, wtedy się zabawimy. Może jak już będziemy mieli pracę... – Obrócił się na siedzeniu. – Nie spodziewałem się, że ty już chodzisz na dziewczynki. Myślałem, że tylko dużo gadasz.

– No, do diabła, tu nie znam nikogo. Jeżeli będę się tak rozjeżdżał, to się chyba ożenię. Użyję sobie na całego w Kalifornii.

– Miejmy nadzieję – dodał Tom.

– Widzę, że teraz niczego już nie jesteś pewny.

– Nie, niczego.

– A jak zabiłeś tamtego, to... czy śnił ci się kiedy? Gryzło cię to?

– Nie.

– Jak to, nigdy o tym nie myślałeś?

– Pewno, że myślałem. Żałuję, że chłop nie żyje.

– A wyrzutów sumienia nie miałeś?

– Nie. Odsiedziałem swoje i nic nikomu nie jestem dłużny.

– A czy tam... było bardzo źle?

Tom odpowiedział z irytacją:

– Słuchaj, Al! Odsiedziałem swoje i mam dość. Nie chcę wałkować tego bez końca. O tam, przed nami, jest rzeka i widać miasto. Musimy znaleźć korbówód, a resztę niech diabli porwą!

– Matka ma słabość do ciebie – powiedział Al. – Kiedy cię zabrali, chodziła jak struta. Dusila to w sobie. Płacz dławił ją w gardle. Ale i tak wszyscy wiedzieliśmy, o czym myśli.

Tom nacisnął czapkę głęboko na oczy.

– Słuchaj, Al, mówmy lepiej o czymś innym.

– Opowiadałem ci tylko o matce.

– Wiem, wiem. Ale wolę o tym nie gadać. Wolę... po prostu stawiać jedną nogę przed drugą.

Al zapadł w pełne urazy milczenie.

– Chciałem ci to tylko powiedzieć – dodał po chwili. Tom spojrzał na niego. Al patrzył prosto przed siebie.

Odciążona ciężarówka podskakiwała z hałasem i toczyła się naprzód. Spod długich warg Toma ukazały się zęby, roześmiał się cicho.

– Wiem, o co ci chodzi, Al. Możliwe, że mam trochę bzika. Kiedyś może opowiem ci o wszystkim. Widzisz, dla ciebie to tylko coś, co chciałbyś wiedzieć. Coś interesującego. Ale ja wbilem sobie w głowę, że najlepiej byłoby o tym na jakiś czas zapomnieć. Możliwe, że później się to zmieni. Ale teraz, kiedy pomyślę o tym, flaki się we mnie przewracają i rzygać mi się chce. Słuchaj, Al, powiem ci jedno: więzienie to po prostu sposób doprowadzania człowieka do szaleństwa. Rozumiesz? Wszyscy tam wariują, a człowiek patrzy na nich, słucha ich i w końcu sam nie wie, czy nie jest wariatem. Gdy zaczynają wyć w nocy, to zdaje mu się, że to on sam wyje, bo też czasem tak bywa.

– Och, nie chcę o tym więcej mówić, Tom!

– Trzydzieści dni można jeszcze wytrzymać – ciągnął Tom. – Da się znieść i sto osiemdziesiąt. Ale ponad rok – to nie wiem. Jest w tym coś, co jest niepodobne do niczego na świecie. Coś łajdackiego. Cała metoda więzienia ludzi to łajdactwo... Ech, niech to szlag trafi! Nie chcę o tym gadać. Popatrz lepiej, jak słońce błyszczy na szybach.

Ciężarówka wjechała w strefę stacji benzynowych. Po prawej stronie drogi znajdował się skład wraków samochodowych – akrowy plac ogrodzony wysokim płotem z kolczastego drutu. Od frontu stała buda z falistej blachy. Przy drzwiach piętrzyły się stare opony opatrzone w etykiety z cenami. Za budą wznosiła się mała szopa zbudowana ze złomu, okorków drzewnych i kawałków blachy. Rolę okien odgrywały wprawione w ściany szyby samochodowe. Na placu zarośniętym trawą leżały samochody-wraki, o przodach skrzyconych i wbitych do środka, okaleczone wozy przewrócone na bok, pozbawione kół. Silniki rdzewiały na ziemi i pod ścianami budy. Wielki stos złomu – błotniki i boki ciężarówek, koła i osie – a ponad wszystkim duch rozkładu, pleśni i rdzy. Poskręcane żelastwo, na wpół wypatroszone silniki, masa szczątków.

Al skierował ciężarówkę przed budę, gdzie ziemia nasiąkła olejem i benzyną. Tom wysiadł i zajrzał w ciemne drzwi.

– Nie widzę nikogo – oznajmił i zawołał: – Jest tam kto?! Mam nadzieję, że mają dodge’a 25!

Za budą trzasnęły jakieś drzwi. Z mrocznej szopy wyłoniło się widmo człowieka. Mężczyzna wychudły, brudny, o skórze umazanej smarami, opiętej szczelnie na mięśniach jak powrozy. Brakowało mu jednego oka; w pustym oczodole drgały mięśnie przy każdym ruchu zdrowej gałki ocznej. Dżinsy i koszula pokryte były grubą, świecąca warstwą zastarzałego smaru, ręce popękane, porysowane i pocięte. Gruba, wydatna dolna warga zwisała posępnie.

– Wy tu rządzą? – zapytał Tom.

Przez jedyne oko przemknął błysk.

– Nie, pracuję tutaj – odpowiedział ponuro. – A czego chcecie?

– Macie starego dodge’a 25? Potrzebuję korbowodu.

– Nie wiem. Gdyby tu był szef, mógłby wam powiedzieć, ale go nie ma. Poszedł do domu.

– Czy możemy rozejrzeć się i poszukać?

Mężczyzna wysiąkał nos w dłoń i otarł ją o spodnie.

– A wy co – z tej okolicy?

– Jesteśmy ze wschodu i jedziemy na zachód.

– No to się rozejrzyjcie. Co mi tam, możecie nawet spalić cały ten przeklęty kram.

– Wygląda na to, że nie bardzo kochacie swego szefa.

Przyczłapał bliżej, jedyne oko połyskiwało srogo.

– Nienawidzę go – powiedział z cicha. – Nienawidzę tego skurwysyna! Teraz drań poszedł do domu... do siebie. – Mówił, zacinając się, jakby słowa więzły mu w gardle. – On ma... on ma swój sposób dręczenia ludzi. To... to kawał skurwysyna. Ma córkę... dziewiętnaście lat... ładna. I pyta mnie: „A może chciałbyś się z nią ożenić?”. Mnie... mnie o to pyta. A wieczorem powiada: „Są dziś tańce... nie poszedłbyś czasem?”. Do... do mnie tak gada. – Do oczu napłynęły mu łzy i spłynęły z kącika czerwonego oczodołu. – Któregoś dnia, jak mi Bóg miły... któregoś dnia wezmę klucz do kieszeni. Kiedy gada takie rzeczy, patrzy zawsze na moje oko. A ja... a ja rozwalę mu łeb kluczem... rozwalę na drobne kawałki. – Z wściekłości aż go zatykało. – Rozwalę mu łeb na drobne kawałeczki.

Słońce znikło za górami.

Al przyjrzał się wrakom samochodowym.

– Tam, popatrz, Tom! To wygląda na dodge’a 25 albo 26.

– Nie pogniewacie się, że obejrzymy? – zwrócił się Tom do jednookiego.

– Gdzież tam, do diabła! Weźcie sobie z tych przeklętych rupieci, co tylko chcecie.

Przeciskając się wśród wraków, skierowali się ku rdzewiejącemu dodge’owi, który spoczywał na spłaszczonych oponach.

– To jest na pewno model 25! – wykrzyknął Al. – Słuchajcie no, czy moglibyśmy wyjąć miskę olejową?

Tom przyklęknął i zajrzał pod samochód.

– Miska już odjęta i jeden korbowód zabrany. Wygląda na to, że ktoś go wyjął. – Wcisnął się pod wóz. – Weź korbę i zakręć, Al! – Przypasował korbowód do wału korbowego. – Oblepione zaschniętym smarem jak cholera!

Al z wolna obracał korbę.

– Powoli! – krzyknął Tom.

Podniósł z ziemi patyk i zeszkrobał zakrzepły smar ze łoża korbowodu i śrub.

– A co, łożysko bardzo luźne? – zapytał Al.

– Ano, trochę obłuzowane, ale można jeszcze wytrzymać.

– A czy bardzo zużyte?

– Jest dużo wkładek nastawczych. Nie wszystkie zabrane. Tak, będzie z tego pociecha! Kręć ostrożnie. A teraz spuszczaaj na dół... Uwaga! Skocz no do ciężarówki i przynieś narzędzia.

– Przyniosę wam skrzynkę z narzędziami – zaofiarował się jednooki.

Począł wchodzić wśród pordzewiałych samochodów i po chwili wrócił z blaszanym pudłem. Tom wygrzebał z jego wnętrza klucz i podał go Alowi.

– Poodkręcaj wszystko. Nie pogub wkładek i śrub i uważaj na zawlecзки. Śpiesz się! Robi się coraz ciemniej.

Al wczołgał się pod samochód.

– Powinniśmy mieć klucze nasadkowe! – zawołał. – Nie mogę nic zrobić zwykłym kluczem.

– Krzycz, jak będziesz potrzebował pomocy – powiedział Tom.

Jednooki stał obok bezradnie.

– Jeśli chcecie, to wam pomogę – zaproponował. – Czy wiecie, co ten skurwysyn zrobił? Przychodzi któregoś dnia w białych spodniach i powiada: „Chodź, bracie, przejedziemy się moim jachtem”. Słowo daję, dam mu kiedy w pysk! – Oddychał ciężko. – Od czasu jak straciłem oko, nie miałem do czynienia z kobietą. A on mi gada takie rzeczy! – Grube łyzy wyżłobiły bruzdy w warstwie brudu koło jego nosa.

Tom zniecierpliwił się.

– A dlaczego nie dacie stąd dęba? Nikt was tu przecie nie trzyma!

– Tak, łatwo to powiedzieć! Nie takie to proste znaleźć robotę, a w każdym razie nie dla kogoś, co ma tylko jedno oko.

Tom odwrócił się do niego.

– Słuchaj no, bracie! Wystawiłeś to oko na pokaz czy co?! I brudas z ciebie taki, że śmierdzisz z daleka. Umyślnie odstawiasz brudasa. Lubisz to. Lubisz skomleć i użalać się nad sobą. To racja, że jak wystawisz to oko, żadna kobieta na ciebie nic polecą. A przykryjże je czym i wyszoruj pysk! Odechce ci się wtedy walić ludzi kluczem po głowie.

– A ja wam mówię, że z jednym okiem ciężkie ma człowiek życie. Widzi wszystko nie tak jak inni. Nie potrafi dojrzeć, jak jest do czego daleko. Wszystko widzi płaskie, i tyle.

– E, w głowie wam się pomieszało. Znałem kiedyś kurwę, co miała tylko jedną nogę. Myślicie, że szła w krzaki za dwadzieścia cenciaków? Gdzie tam, dawaj jej pół dolara ekstra. „Miałeś kiedy – powiada – dziewczynę o jednej nodze? Nigdy w życiu! Chcesz, byku – powiada – coś specjalnego, to płacć pół dolara ekstra!”. I, jak Boga kocham, jeden po drugim płacił i jeszcze myślał, że lichy wie jakie szczęście go spotkało. Bo mówiła, że przynosi szczęście. Znałem też tam, gdzie byłem, jednego garbusa. Żył z tego, że ludzie płacili mu za potarcie garbu ręką, bo to niby też przynosi szczęście. A przecież wam, do diabła, brak tylko jednego oka!

– Jak człowiek widzi, że się ludzie od niego odsuwają, to jakby go kto nożem zgnał – wyjąkał jednooki.

– No to przykryjcie to cholerne oko. Wystawiacie je jak krowa dupę. Lubicie rozczulać się nad sobą. Nic wam nie jest. Kupcie sobie białe portki. Założę się, że się upijacie i płaczecie w łóżku. Może ci pomóc, Al?

– Nie – odpowiedział Al – udało mi się odkręcić pokrywę. A teraz próbuję wydostać tłok.

– A nie skalecz się – ostrzegał Tom.

– To myślicie... że... jakaś dziewczyna zechciałaby mnie? – zapytał cicho jednooki

– Dlaczego nie – odparł Tom. – Mówcie, że odkąd straciliście oko, co innego wam podrosło.

– A dokąd wy jedziecie?

– Do Kalifornii. Całą rodziną. Będziemy się tam starać o pracę.

– A myślicie, że taki jak ja mógłby też dostać tam robotę? Z czarną opaską na oku?

– Czemu nie? Nie jesteście kaleką.

– A czy... nie mógłbym zabrać się z wami?

– Jak Boga kocham, nie da rady. Jesteśmy tak strasznie stłoczeni, że nie możemy się ruszać. Wydostańcie się stąd jakoś inaczej. Naprawcie jeden z tych gratów i jedźcie na własną rękę.

– Kto wie, może i tak zrobię, słowo daję! – zapalił się jednooki.

Rozległ się brzęk metalu.

– Nareszcie! – zawołał Al.

– Dobrze! Dawaj tu wszystko, to sobie obejrzymy.

Al podał mu dok, korbowód i dolną część łożyska. Tom wytarł powierzchnię panewki i przyjrzał jej się z boku.

– Zdaje się, że jest w porządku. Psiakrew, gdyby było światło, moglibyśmy założyć jeszcze dziś wieczorem.

– Słuchaj, Tom – mówił Al – myślałem nad tym, że nie mamy pierścieni uszczelniających. To będzie cholerna robota założyć od dołu te pierścienie.

– Wiesz, jeden gość powiedział mi kiedyś, że można je okręcić mosiężnym drutem. Trzymają wtedy całkiem dobrze.

– Tak, ale jak później wydostaniesz drut?

– Nie trzeba go wcale wydostawać. Stopi się i wcale nie zawadza.

– Miedziany drut byłby jeszcze lepszy.

– Nie, jest za słaby – osądził Tom i zwrócił się do jednookiego: – Macie jakiś cienki drut mosiężny?

– Bo ja wiem. Gdzieś tam musi być jakaś szpula. A czy nie wiecie, gdzie można dostać taką opaskę na oko, jaką noszą ludzie o jednym oku?

– Nie wiem – odpowiedział Tom. – Zobaczymy, czy znajdziecie ten drut.

Szperali długo po skrzynkach w budzie, aż wreszcie znaleźli zwój. Tom osadził korbowód w imadle i starannie owinął drutem pierścienie tłoka, wciskając je w rowki. Tam gdzie drut był skręcony, spłaszczył go młotkiem,

a potem, obracając tłok, przyklepał wszędzie naokoło drut i wygładził powierzchnię tłoka. Przeciągnął palcem wzdłuż, aby się upewnić, że pierścienie i drut są na równi ze ściankami tłoka. W szopie robiło się coraz ciemniej. Jednooki przyniósł latarkę i skierował snop światła na robotę.

– Gotowe! – powiedział Tom. – Słuchajcie, ile chcecie za tę latarkę?

– Ano, nie jest znowu taka dobra. Za baterię zapłaciłem piętnaście centów. Mogę ją wam odstąpić za... niech będzie trzydzieści pięć centów.

– Dobra! A co jesteście winni za korbówód i tłok?

Jednooki potarł palcem czoło, żłobiąc smugę w warstwie brudu.

– A bo ja wiem? Jakby tu był szef, zajrzałby zaraz do cennika, sprawdził, ile kosztują nowe części, a potem przyglądałby się wam przy pracy i kalkulował, czy wam bardzo na tym zależy i ile forsy macie przy sobie. I jakby w cenniku wyczytał cenę osiem dolarów, zaceniłby pewno pięć. A jakbyście się mocno targowali, opuściłby na trzy. Mówicie, że sam sobie jestem winien, ale, psiarew, to jest skurwysyn! Zawsze kalkuluje, czy bardzo ci czegoś potrzeba. Widziałem raz, jak za koło zębate wziął więcej, niż przedtem wybulił za cały wóz.

– Dobrze, dobrze. Ale ile w końcu mam zapłacić?

– Myślę, że dolara.

– Zgoda. Dam jeszcze dwadzieścia pięć centów za ten klucz nasadowy. Robota idzie wtedy dwa razy łatwiej. – Wręczając pieniądze, Tom dodał: – Dziękuję za pomoc. I zasłońcie sobie to przekłute oko.

Tom i Al wsiedli do ciężarówki. Zapadła już noc. Al uruchomił silnik i zapalił światła.

– Do widzenia! – zawołał Tom. – Może spotkamy się w Kalifornii.

Wyjechali na szosę i ruszyli w drogę powrotną. Jednooki długo patrzył za nimi, a potem przez budę z blachy przeszedł do swojej szopy. Wewnątrz panował mrok. Po omacku dotarł do materaca na podłodze, rzucił się na posłanie i zaczął płakać. Warkot samochodów przemykających szosą wzmagał w nim jeszcze bardziej uczucie osamotnienia.

– Gdybyś mi powiedział, że znajdziemy wszystko, i to jeszcze dziś, myślałbym, że masz bzika – odezwał się Tom.

– No, teraz naprawimy wóz – cieszył się Al. – Ale musisz sam osadzić łożysko, bo ja bałbym się, że albo osadzę za ciasno i spali się, albo za luźno i zacznę bić.

– Już ja to zrobię – zapewnił Tom. – A jak znowu nawali, no to trudno. Nie mamy nic do stracenia.

Al wpatrywał się w ciemność. Światła samochodu nie rozpraszały mroku. W ich blasku zamigotały zielone oczy polującego kota.

– Aleś objechał tego gościa – mówił Al. – Zalałeś mu sadła za skórę!

– A niech go wszyscy diabli! Po prostu prosił o to, żeby mu przygadać. Rozczuła się nad sobą z powodu tego oka i zwała na nie całą odpowiedzialność za swoje niepowodzenia. Leń i brudas, psiakrew! Może jednak uwierzy, że mu ludzie dobrze radzą, i weźmie się w kupę.

– Tom, to nie moja wina, że łóżysko nawaliło.

Tom milczał przez chwilę. Potem wybuchnął:

– Muszę ci chyba dać dobrze w łeb, Al! Gryziesz się i trzęsiesz, żeby kto czasem do ciebie nie miał pretensji. Wiem, o co ci chodzi. Jesteś ambitny zasraniec i chciałbyś odstawiać diablo morowego gościa. Ale pluń na to i nie broń się, gdy cię nikt nie zaczepia. Wtedy wszystko będzie dobrze.

Al nie odpowiedział. Patrzył prosto przed siebie. Ciężarówka z łoskotem toczyła się po szosie. Z przydrożnego rowu wyskoczył kot. Al skręcił, żeby go przejechać, lecz zwierzę wymknęło się spod kół i dało susa w trawę.

– Mało brakowało, a byłbym z nim skończył – rzucił Al. – Słuchaj, Tom, czy słyszałeś, jak Connie opowiadał, że będzie się uczył wieczorami? Pomyślałem sobie, że może i ja mógłbym się zabrać do takiej wieczorowej nauki. Wiesz, radiotechnika albo telewizja, albo silniki dieslowskie. Można by w ten sposób mieć jakieś szanse.

– Możliwe – zgodził się Tom. – Ale przedtem się dowiedz, ile forsy wyciągną od ciebie za naukę. I zastanów się dobrze, czy ci starczy cierpliwości. Byli tacy w McAlester, co zapisali się na kursy korespondencyjne, ale ani jeden nie skończył. Sprzykrzyło im się i dali spokój.

– Rany boskie, zapomnieliśmy postarać się o coś do żarcia!

– Nie ma strachu. Mama coś tam przysłała. Pastor wszystkiego chyba nie zjadł. Zostało trochę i dla nas. Ciekaw jestem, jak długo jeszcze potrwa podróż do tej Kalifornii.

– Chryste, żebym to ja wiedział! Tyle, że pchamy się wciąż naprzód.

Zamilkli. Otoczyła ich ciemność nocy, tylko gwiazdy świeciły ostrym, jasnym blaskiem.

Gdy ciężarówka nadjechała, Casy, siedzący na tylnym siedzeniu dodge'a, wysiadł i podszedł do skraju szosy.

– Nie spodziewałem się was tak prędko – powiedział.

Tom rozłożył przywiezione części na kawałku worka.

– Mieliśmy szczęście – rzekł. – Zdobyliśmy nawet latarkę i możemy zabrać się do roboty.

– Zapomnieliście wziąć jedzenie – zauważył Casy.

– Zjem, jak skończę robotę. Al, zjedź trochę bardziej z drogi i chodź, poświęć mi.

Podszedł prosto do zepsutego samochodu i wczołgał się na plecach pod maszynę. Al ułożył się obok niego na brzuchu i manewrował snopem światła latarki.

– Nie świeć mi w oczy! Podnieś wyżej!

Starszy z braci zakładał tłok do cylindra, obracając go i wkręcając. Mosiężny drut ocierał się trochę o ścianki. Tom przepchnął pierścienie szybkim ruchem.

– Całe szczęście, że ma trochę luzu, bo zaciąłby się podczas sprężania. Myślę, że będzie dobrze pracował.

– Mam nadzieję, że drut nie porysuje ścianek cylindra.

– No, dlatego przyklepałem go młotkiem. Chyba się nie odwinie. Przypuszczam, że później się stopi i na ściankach cylindra zrobi się miedziana powłoka.

– A nie boisz się, że może porysować ścianki?

Tom roześmiał się.

– Wytrzymają to. I tak silnik już pije olej jak gąbka. Tyle, że będzie go pił trochę więcej. – Przesunął korbówód w dół, na czop wału korbowego, i próbował dopasować dolną pokrywę łba korbowodu. – Trzeba tu będzie dać kilka wkładek. Casy! – zawołał.

– Co?

– Zakładam teraz łożysko. Chwyćcie za korbę i jak powiem, obracajcie ją powoli. – Przykręcił śruby łożyska. – Już! Powoli!

W miarę jak obracał się wolno wał korbowy, Tom dopasowywał łożysko.

– Za dużo wkładek – stwierdził. – Przestańcie obracać, Casy.

Wyjął śruby, pozdejmował z obu ich stron cienkie wkładki i założył śruby z powrotem.

– Pokręćcie jeszcze raz, Casy!

I znowu przystąpił do osadzania korbowodu.

– Ciągłe trochę za luźno siedzi. Zastanawiam się, czy nie będzie za ciasno, gdybym wyjął więcej wkładek. Spróbuję.

Jeszcze raz poodkręcał śruby i wyjął po dalszej parze cienkich blaszek.

– Jeszcze raz, Casy.

– Chyba tak będzie dobrze – uznał Al.

– Czy nie za ciężko idzie, Casy?! – zawołał Tom.

– Nie, chyba nie.

– No, myślę, że już wszystko w porządku. Mam przynajmniej nadzieję. Nie mogę dotrzeć panewek bez narzędzi. Ten nasadowy klucz ułatwia robotę jak diabli!

– Właściciel tamtego składu wścieknie się chyba, jak zacznie szukać klucza i zauważy, że zginął – zaśmiał się Al.

– A niech się wścieka. Nie ukradliśmy go przecież. – Wbił zawlecзки i pozaginał ich końce. – Zdaje się, że wszystko dobrze. Casy, poświećcie, a my z Alem założymy miskę olejową.

Casy ukląkł i wziął do ręki latarkę. Kierował światło na ręce pracujących. Bracia ostrożnie założyli uszczelkę, ustawiając ją tak, aby otwory się pokrywały. Potem wyteżyli siły, dźwigając miskę olejową. Najpierw założyli skrajne śruby, potem resztę. Gdy już wszystkie były założone, Tom poprzykręcał je równomiernie i stopniowo, aż miska ustawiła się równo na uszczelce. Wreszcie pozakręcał mocno wszystkie śruby.

– No, chyba gotowe – oznajmił.

Zakręcił korek spustu oleju, przyjrzał się uważnie misce, wziął z rąk Casy'ego latarkę i w jej świetle obejrzał ziemię pod samochodem.

– Nareszcie! Wlejmy z powrotem olej.

Wypełzli spod wozu i włali wiadro oleju do skrzyni korbowej. Tom skontrolował, czy uszczelka nie przepuszcza oleju.

– Dobra, Al. Wypróbuj teraz samochód – powiedział.

Al wszedł do samochodu i nacisnął nogą rozrusznik. Silnik działał. Błękitny dymek uniósł się z rury wydechowej.

– Mniej gazu! – krzyknął Tom. – Będzie spalał olej, dopóki nie roztopi się ten drut. Teraz się topi. – I przysłuchiwał się uważnie pracy silnika. –

A teraz przyspiesz zapłon i daj mu pracować na wolnych obrotach. –

Nasłuchiwał znowu. – Byczo, Al! Zgaś silnik! Zdaje się, żeśmy wybrnęli. No więc, gdzie jest to mięso?

– Niezły z ciebie mechanik! – wyraził uznanie Al.

– A i owszem. Pracowałem przez rok w warsztatach samochodowych. Trzeba jechać ostrożnie ze dwieście mil. Dać czas maszynie na rozkręcenie się.

Wytarli zatuszczone ręce o kępy chwastów, a potem o spodnie i rzucili się chciwie na gotowaną wieprzowinę. Popijali wodą z butelki.

– Głodny jestem jak pies – powiedział Al. – I co teraz? Pojedziemy do obozu?

– Nie wiem – odparł Tom. – Gotowi tam zedrzeć z nas dodatkowe pół dolara. Jedźmy i pogadajmy z naszymi. Powiemy im, że wszystko naprawione. Jeśli tam zażądają od nas te pół dolara, to pojedziemy dalej. Nasi czekają na wiadomość. Słowo daję, cieszę się, że dziś po południu matka zatrzymała nas. Rozejrzyj się dokoła ze światłem. Zobacz, czyśmy czego nie zostawili. Nie zapomnij klucza. Może się nam jeszcze przydać.

Al zatoczył krąg latarką.

– Nic nie widzę.

– To dobrze. Ja poprowadzę ten wóz, a ty, Al, siadaj do ciężarówki.

Starszy brat zapuścił silnik. Pastor wszedł do samochodu. Tom jechał powoli, nie rozwijając szybkości. Al podążał za nim w ciężarówce. Wóz turystyczny przejechał przez płytki rów wolno, na pierwszym biegu. Tom zauważył:

– Te dodge'e na pierwszym biegu mogłyby holować dom. Ten też jedzie jak za pogrzebem. Bardzo dobrze się składa, bo chciałbym dotrzeć łożysko.

Na szosie dodge posuwał się powoli. Dwunastowoltowe reflektory rzucały na asfalt krótkie snopy żółtawego światła. Casy zwrócił się do Toma:

– To nadzwyczajne, jak wy potraficie naprawić samochód! Ledwo go obejrzelście i już zrobione. Ja bym sobie z tym nie poradził, i to nawet teraz, chociaż widziałem, jakeście to robili.

– Trzeba się do tego wciągnąć od dziecka – odpowiedział Tom. – Nie chodzi o to, żeby wiedzieć. Tu trzeba czegoś więcej. W dzisiejszych czasach małe brzdące potrafią bez kłopotu rozebrać samochód.

W smugę światła samochodu zaplatał się dziki królik. Pędził dużymi susami przed siebie, nie wysilając się zbytnio, a wielkie uszy trzepotały za każdym susem. Od czasu do czasu próbował umknąć z drogi, lecz cofał się przed ścianą ciemności. W oddali ukazały się jaskrawe reflektory

nadjeżdżającego samochodu. Królik zawahał się, zachwiał, a potem zawrócił i pognął w kierunku mniej oślepiających świateł dodge'a.

Wóz drgnął lekko, gdy zwierzątko wpadło pod koła. Nadjeżdżający samochód przemknął ze świstem.

– Zmiażdżyliśmy go z pewnością – powiedział Casy. Tom odpowiedział:

– Niektórzy lubią przejeżdżać króliki. Ale mnie zawsze ciarki przechodzą. Wydaje mi się, że wóz pracuje w porządku. Pierścienie musiały się już dotrzeć. I nie kopci już tak.

– Nie ma co, udała się wam robota – pochwalił go Casy.

Nad terenem obozu górował niewielki drewniany domek. Na ganku syczała benzynowa latarnia, rzucając szeroki krąg białego światła. W pobliżu domku rozpięto sześć namiotów, opodal stały samochody. Skończyło się już gotowanie wieczornego posiłku, ale dogasające ogniska wciąż jeszcze żarzyły się na ziemi, tam gdzie przybysze rozłożyli się obozem. Koło ganku zgromadziła się przy latarni grupa mężczyzn. Twarze ich w rażąco białym świetle wydawały się szczególnie umięśnione i zawzięte; światło rzucało cienie kapeluszy na czoła i oczy i uwydatniało brody. Niektórzy z mężczyzn usadowili się na schodach, inni stali pod werandą wsparci łokciami o jej podłogę. Na ganku siedział na krześle właściciel domu, człowiek wysoki, chudy i ponury. Przechylił się w tył razem z krzesłem i oparł o ścianę, bębniąc palcami po kolanie. W głębi mieszkania paliła się lampa naftowa, lecz nikłe jej światło przyćmiewał syczący płomień benzynowej latarni. Grupa mężczyzn otaczała półkolem właściciela.

Tom skierował dodge'a na skraj szosy i zaparkował go. Al wjechał ciężarówką w bramę.

– Nie warto wjeżdżać do środka – powiedział starszy z braci. Wysiadł i ruszył przez bramę w kierunku światła latarni.

Właściciel opuścił na podłogę przednie nogi krzesła i pochylił się.

– Chcecie tu obozować?

– Nie – odparł Tom. – Ale tu jest nasza rodzina. Halo, tato!

Ojciec, który wybrał sobie miejsce na najniższym schodku, zawołał:

– Myślałem, że utkniecie tam co najmniej na tydzień. Wóz naprawiony?

– Mieliśmy cholerne szczęście – opowiadał Tom. – Znaleźliśmy brakujące części jeszcze przed zmrokiem. Możemy ruszać jutro skoro świt.

– To ci dopiero dobra nowina! – ucieszył się ojciec. – Matka się zamartwia, a babka zgłupiała do reszty.

– Właśnie. Al mi opowiadał. I nic jej nie lepiej?

– Ano, teraz śpi.

Właściciel odezwał się:

– Jeśli chcecie tu zajechać i rozłożyć się obozem, będzie to was kosztowało pół dolara. Dostaniecie miejsce pod obozowisko, wodę i drzewo. I nikt was nie będzie niepokoił.

– Co, u diabła! – wybuchnął Tom. – Możemy się przespać w rowie przydrożnym i nie będzie nas to kosztowało ani grosza.

Gospodarz zabębnił palcami po kolanie.

– Zagłąda tu w nocy zastępca szeryfa. Możecie mieć nieprzyjemności. W tym stanie nie wolno nocować pod gołym niebem. Prawo ściga włóczęgów.

– A jak zapłacę panu pół dolara, to już nie będę włóczęgą, co?

– Wtedy nie.

Oczy Toma zabłyśły gniewem.

– A czy ten zastępca szeryfa nie jest czasem pańskim szwagrem?

Właściciel domku pochylił się jeszcze bardziej do przodu.

– Nie, nie jest moim szwagrem. I jeszcze do tego nie doszło, aby tutejsi ludzie mieli wysłuchiwać urągania od was, dziadów przeklętych.

– Ale forszę od nas lubicie brać. I dlaczego to mamy być dziadami? O nic pana nie prosimy. Wszyscy jesteśmy dziady, co? Przecież nie żądamy od pana pieniędzy za możliwość ułożenia się na spoczynek.

Mężczyźni na ganku trwali nieruchomo, sztywni i milczący. Twarze ich pozbawione były wszelkiego wyrazu. Tylko spojrzenia oczu ocienionych kapeluszami pobiegły ukradkiem ku twarzy gospodarza.

– Daj spokój, Tom – mruknął ojciec.

– Pewnie, że nie będę się spierał.

Mężczyźni siedzący na stopniach lub wsparci o wysoki ganek milczeli. Oczy ich połyskiwały w jaskrawym świetle latarni. Ostry blask nadawał twarzom piętno surowości. Żaden z nich się nie poruszał. Tylko oczy śledziły rozmawiających, twarze natomiast pozbawione były wyrazu i nieruchome. Jakiś owad, zwabiony światłem, wpadł do latarni, opalił sobie skrzydła i znikł w ciemności.

W jednym z namiotów kwiliło żałośnie dziecko. Uciszał je łagodny głos kobiecy, który zaczął cicho śpiewać:

*Jezus z tobą nocą, dniem,
Śpij, dzieciно, śpij.
Jezus czuwa nad twym snem,
Śpij, dzieciно, śpij.*

Latarnia na ganku syczała. Gospodarz drapał się w pierś wyzierającą spod rozpiętej koszuli i porośniętą gęstwą siwych włosów. Był czujny i pełen niepokoju. Przyglądał się kręgowi mężczyzn i usiłował wyczytać coś z ich rysów. Oni jednak trwali w bezruchu.

Tom nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Podniósł z wolna ciemne oczy na właściciela domku.

– Nie szukam zwady – powiedział w końcu. – Ciężko jednak człowiekowi, gdy mu ktoś od dziadów wymyśla. I nie boję się pogróżek – dodał cicho. – Dałbym gołymi rękami radę i panu, i pańskiemu szeryfowi, i to zaraz. Ale po co nam to?

Mężczyźni poruszyli się i zmienili pozycję. Ich błyszczące oczy skierowały się powoli ku ustom gospodarza, czekając kiedy się poruszą. Właściciel odzyskał pewność siebie. Czuł, że zwyciężył, ale nie na tyle, by móc podjąć atak.

– Nie macie pół dolara? – zapytał.

– Owszem, mam, ale sam potrzebuję pieniędzy. Nie stać mnie na płacenie za nocleg.

– Cóż, wszyscy musimy żyć.

– To prawda – odparł Tom – ale byłoby lepiej, żeby można żyć inaczej niż kosztem ludzkiej krzywdy.

Wśród mężczyzn znowu nastąpiło poruszenie. A ojciec zwrócił się do gospodarza:

– Wyruszamy w drogę skoro świt. Zapłaciliśmy panu, a ten chłopak należy do naszej rodziny. Czy nie może z nami zostać? Zapłaciliśmy przecież.

– Dobrze, ale zapłacicie pół dolara za samochód.

– Ale on nie ma samochodu. Zostawił go na szosie.

– Przyjechał samochodem – upierał się właściciel. – Każdy mógłby tak zostawić wóz na szosie i nocować u mnie, nie płacąc ani grosza.

– W takim razie pojedziemy dalej szosą – rozstrzygnął Tom. – Spotkamy się rano. Będziemy was wypatrywać. Al może zostać, a stryj John mógłby pojechać ze mną... – Spojrzał na właściciela i spytał: – Teraz pan zadowolony?

Gospodarz powziął szybką decyzję i postanowił ustąpić.

– Jeżeli tylu zostanie, za ilu zapłacono, to zgoda.

Tom wydobył z kieszeni woreczek z reszką wilgotnego pyłu tytoniowego na dnie, podobny teraz do szarej obwisłej szmaty. Skręcił cienkiego papierosa i wyrzucił woreczek.

– Zaraz odjedziemy – zapowiedział.

Ojciec przemówił do zgromadzonej grupy:

– Ciężko jest rzucać swoją ziemię i iść w świat takim jak my, co to mieli kawałek gruntu. Nie byliśmy włóczęgami, bo zanim wygnały nas ciągniki, mieliśmy gospodarstwo.

Młody, szczupły mężczyzna, o brwiach wypłowiałych od słońca, obrócił powoli głowę.

– Rolnicy? – zapytał.

– Pewnie, że rolnicy. Na własnym gospodarstwie.

Młody mężczyzna znowu utkwiał wzrok w ciemności.

– Tak jak my – stwierdził.

– Szczęście, że już niedługo będziemy się tak mordować – mówił ojciec.

– Dostaniemy się na zachód, weźmiemy się tam do roboty, to może człowiek jakoś dorobi się kawałka ziemi.

Tuż pod samym gankiem stał jakiś człowiek w łachmanach. Czarna marynarka wisiała na nim w strzępach. Samodziałowe spodnie świeciły dziurami na kolanach. Twarz miał czarną od kurzu, w którym strużki potu wyłobily jaśniejsze smugi. Zwrócił głowę w kierunku ojca.

– Macie chyba ze sobą spory worek pieniędzy.

– Nie, pieniędzy nie mamy – odpowiedział ojciec. – Ale jest nas dość do roboty i wszyscy potrafimy uczciwie pracować. Zarobki tam podobno dobre i wszystkie pieniądze będziemy składać razem. Powoli się dorobimy.

Obdartus nie spuszczał oczu z ojca przez cały czas, gdy ten mówił, a potem parsknął śmiechem. Zanosił się głośnym chichotem przypominającym rzenie konia. Krąg twarzy obrócił się ku niemu. Chichot

przeszedł w kaszel. Gdy wreszcie mężczyzna opanował paroksyzm, zaczerwienione oczy szklily mu się łzami.

– Jedziecie na zachód, o Jezu! – I znowu zaczął się śmiać. – Jedziecie tam... na dobre zarobki... – Przerwał i spytał chytrze: – Może jedziecie zrywać pomarańcze? Albo brzoskwinie, co?

Ton ojca był pełen godności:

– Weźmiemy taką robotę, jaka się trafi. Pracy tam jest dosyć.

Obdarty mężczyzna śmiał się dalej, teraz już cicho. Tom zapytał z irytacją:

– Co w tym śmiesznego?

Obdartus zacisnął usta i wbił posępny wzrok w deski ganku.

– Założę się, że jedziecie do Kalifornii.

– Powiedziałem to wam, nie było co zgadywać – zauważył ojciec.

Obszarpaniec powiedział z wolna:

– A ja... ja stamtąd wracam. Byłem tam.

Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu. Mężczyźni jakby skamienieli. Syczenie latarni przycichło, stało się nie głośniejsze od westchnienia. Właściciel opuścił obie podniesione nogi krzesła na ganek, wstał i napompował latarnię, aż syk wybuchnął z nową siłą. Potem znowu usiadł na krześle, lecz nie przechylał się już z nim do tyłu. Obdarty mężczyzna spojrzał w otaczające go twarze i powiedział:

– Wracam, żeby zdechnąć z głodu. Wolę od razu zdechnąć.

– O czym wy, u diabła, gadacie? – zawołał ojciec. – Mam przy sobie ulotkę, w której stoi czarno na białym o dobrych zarobkach, a niedawno czytałem w gazecie, że w Kalifornii szukają ludzi do zrywania owoców.

Człowiek w łachmanach odpowiedział:

– Czy macie do czego wrócić?

– Nie. Opuściliśmy nasze strony na dobre. Rozwalono nam dom ciągnikiem.

– To nie macie po co wracać?

– Pewnie, że nie.

– No to nie będę wam napędzał stracha.

– I tak nie dam się zastraszyć. Mam ulotkę, w której piszą, że potrzebują ludzi do pracy. Po kiego licha rozdawaliby ulotki, gdyby nie potrzebowali ludzi. Przecież wydrukowanie ulotek też kosztuje. Jakby nie potrzebowali ludzi, toby nie drukowali.

– Powiadam, że nie chcę was zniechęcać.

– Durnia ze mnie robicie, czy co?! – rozgniewał się ojciec. – Nie wykręcajcie się sianem. W mojej ulotce stoi, że potrzebują ludzi. Wy podśmiewacie się i mówicie, że nie. To kto tu łże?

Obdartus spojrzał w gniewne oczy ojca. Widać było, że jest mu przykro.

– Ulotka mówi prawdę – oznajmił. – Potrzebują tam ludzi.

– To czemu, do cholery, robicie tyle szumu i śmiejecie się z ludzi?

– Bo wy nie wiecie, jakich ludzi tam potrzebują.

– O czym wy gadacie?

Obdarty mężczyzna zdobył się na decyzję:

– Powiedzcie, ilu ludzi potrzebują w tej waszej ulotce?

– Ośmuset, i to tylko w jednej małej miejscowości.

– Czy to z tych żółtych ulotek?

– Ano, tak.

– Czy w ulotce podają nazwisko gościa, czy piszą o takim a takim przedsiębiorcy?

Ojciec sięgnął do kieszeni i wyciągnął zmiętą ulotkę.

– Racja. Nie piszą. A skąd wy o tym wiecie?

– Uważajcie, co mówię – wyjaśnił obdartus. – To wszystko nie trzyma się kupy. Facet potrzebuje ośmuset ludzi. Co robi? Drukuje pięć tysięcy ulotek, a czyta je ze dwadzieścia tysięcy osób. I jakieś dwa, trzy tysiące rusza z powodu tych ulotek do Kalifornii. Gna ich tam bieda, od której chcą uciec.

– Et, gadacie od rzeczy! – zawołał ojciec.

– Tak się wam zdaje, dopóki nie zobaczycie gościa, który wypuścił ulotki. Ale zobaczycie na własne oczy jego albo jego pomocnika. Będziecie obozowali w rowie – wy i może z pięćdziesiąt innych rodzin. Wtedy przyjdzie do waszego namiotu taki bubek, żeby sprawdzić, czy macie jeszcze co jeść. Kiedy już zaczniecie przymierać głodem, zapyta was: „Chcecie roboty?”. A wy odpowiecie na to: „Naturalnie, proszę pana. Będziemy bardzo wdzięczni, jeżeli da się coś zarobić”. On na to oświadczy: „Ja was mogę zatrudnić”. Spyta: „Kiedy możemy zacząć?”. On wam wskaże, gdzie macie się zgłosić i kiedy, i pójdzie pogadać z innymi. Potrzebuje może ze dwustu ludzi, ale rozgłosi to wśród pięciuset, ci doniosą innym i kiedy stawicie się na miejsce, będzie tam już z tysiąc chłopów. Wtedy drań powie: „Płacę dwadzieścia centów za godzinę”. Połowa plunie

i odejdzie. Zawsze jednak zostanie z pięciuset tak cholernie wygłodzonych, że będą gotowi pracować za suchy kawałek chleba. No a ten przedsiębiorca czy pośrednik podpisał umowę na zbiór brzoskwiń albo bawełny. Rozumiecie teraz? Im więcej ludzi zbierze i im bardziej głód im doskwiera, tym mniej będzie im musiał płacić. I zawsze wolą ludzi z rodziną i kupą małych dzieci, bo przecież... Ech, do diabła! Powiedziałem, że nie będę was straszył. – Krąg twarzy rzucał na mówiącego zimne spojrzenia. Oczy sprawdzały słuszność jego słów. Człowiek w łachmanach stracił pewnośc siebie. – Powiedziałem, że nie będę was straszył, a przecież właśnie to robię. Jechać i tak musicie. Nie macie dokąd wracać.

Na werandzie zapadła cisza. Słyszeć było tylko syczenie latarni. Dokoła światła unosiła się aureola ciem krążących nieustannie.

Obszarpaniec ciągnął dalej nerwowo:

– Chciałbym wam jeszcze doradzić, co powinniście zrobić, kiedy ten hycel powie wam, że ma dla was robotę. Posłuchajcie! Zapytajcie go wtedy, ile chce płacić. I niech drań napisze na kartce, jaka jest stawka za godzinę. Niech podpisze. Bo inaczej, jak Boga kocham, wystrychnie was na dudków.

Właściciel domku pochylił się wraz z krzesłem, żeby lepiej przyjrzeć się obdartemu, brudnemu mężczyźnie. Drapał się w pierś porośłą siwymi kłakami. Zagadnął oziębło:

– A wy czasem nie jesteście jednym z tych wichrzycieli, co to agituja wśród robotników?

– Przysięgam na Boga, że nie jestem agitatore! – krzyknął obdartus.

– Bo tu się roi od takich podżegaczy – mówił właściciel. – Włóczą się po okolicy, buntują ludzi, mącą im w głowie. Pełno ich tu. Przyjdzie czas, że powywieszamy wszystkich. Wypędzimy ich stąd. Człowiek chce pracować – to dobrze. Nie chce, to niech idzie do diabła! Ale nie pozwolimy na robienie zamętu.

Mężczyzna w łachmanach wyprostował się i powiedział:

– Staralem się powiedzieć wam prawdę, ludzie. Trzeba mi było aż roku, żeby to pojąć. Trzeba było śmierci dwojga moich dzieci, trzeba było, żeby mi umarła żona, abym w końcu zrozumiał, o co chodzi. Ale jakże wam to wytłumaczyć? Powinienem, a nie umiem. Mnie też nikt nie potrafił przekonać. Bo jak powiedzieć o tych dzieciach, co leżały w namiocie z wzdętymi brzuszynami, sama skóra i kości. Trzęsły się i skomlały jak szczenięta, kiedy ja ganiałem jak szalony za robotą... nie za pieniędzmi, nie

za płacą! – wykrzyknął. – Człowiek gonił za kubkiem mąki, za łyżką smalcu! A potem przyszedł koroner. Powiedział, że dzieci umarły na serce. I tak napisał. Drżały, a brzuszki miały wzdęte jak pęcherze.

Krąg słuchaczy trwał w bezruchu, z otwartymi ustami. Mężczyźni patrzyli i słuchali z zapartym tchem.

Obdartus spojrzął po zebranych, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w ciemność. Pochłonał go mrok, ale długo jeszcze słyszeć było na szosie jego ociężałe kroki. Nadjechał samochód. Reflektory oświetliły postać w łachmanach, wlokącą się ze zwieszoną głową i z rękami w kieszeniach czarnej marynarki.

Mężczyźni czuli się nieswojo. Jeden z nich powiedział:

– No, zrobiło się późno. Trzeba iść spać.

– To jakiś niedołęga. Włóczy się teraz takich po drogach do licha i trochę – zauważył gospodarz i umilkł. Znów przechylił się z krzesłem i oparł je o ścianę, przebiegając palcami po szyi.

– Wpadnę na chwilę do mamy – powiedział Tom – a potem pojedziemy kawałek szosą.

I Joadowie oddalili się.

– A jeżeli chłop gadał prawdę? – zastanawiał się ojciec. Pastor odpowiedział:

– Z pewnością mówił prawdę. Prawdę o sobie. Wcale nie zmyślał.

– A co będzie z nami? – spytał Tom. – Czy nas czeka to samo?

– Nie wiem – odpowiedział Casy.

– Nie wiem – zawtórował mu ojciec.

Szli w kierunku namiotu – nieprzemakalnej płachty rozpiętej na sznurach. Mroczne wnętrze zalegała cisza. Gdy się zbliżyli, szarawy kształt poruszył się u wejścia i urósł do wysokości postaci ludzkiej. Na spotkanie wyszła im matka.

– Wszyscy śpią – oznajmiła. – Babka też w końcu się zdrzemnęła. – Spostrzegła Toma. – Skąd tyś się tu wziął? – zapytała z niepokojem. – Czy stało się coś złego?

– Naprawiliśmy wóz – uspokoił ją Tom. – Możemy jechać razem.

– Chwała Bogu! – westchnęła. – Bo ja po prostu miejsca sobie znaleźć nie mogę. Chcę już być gdzieś, gdzie jest dostatek i dużo zieleni. Jak najprędzej.

Ojciec odchrząknął i zaczął:

– Właśnie tu jeden opowiadał...

Tom chwycił go za ramię i potrząsnął.

– Dziwne rzeczy mówił – wtrącił – że niby tłumy ludzi wałęsają w tamtą stronę.

Matka wpatrywała się w nich poprzez mrok. W namiocie Ruthie zakaszłała przez sen.

– Umyłam dzieciaki – opowiadała matka. – Po raz pierwszy miałam dość wody, żeby je porządnie wyszorować. Wystawiłam też wiadra dla was, żebyście się mogli umyć... W drodze niczego nie można utrzymać w czystości.

– Czy wszyscy śpią w namiocie? – zapytał ojciec.

– Wszyscy prócz Conniego i Rosasharn. Poszli się położyć pod gołym niebem, twierdząc, że za gorąco pod płachtą.

Ojciec zauważył z rozdrażnieniem:

– Rosasharn robi się strachliwa i delikatna jak francuski piesek.

– To jej pierwsze dziecko – ujęła się matka. – Connie też bardzo się tym przejmuje. Ty byłeś taki sam.

– My już teraz pójdziemy – powiedział Tom. – Podjedziemy wozem kawałek dalej. Wypatrujcie nas, żebyśmy was nie przeoczyli. Będziemy po prawej stronie.

– Al zostanie?

– Tak, zabierze się z nami stryj John. Dobranoc, mamó!

Przeszli przez uśpiony obóz. Przed jednym z namiotów płonął mały, naprędce rozniecony ogień. Jakaś kobieta doglądała garneczka, w którym gotowało się wczesne śniadanie. W powietrzu unosił się mocny, smakowity zapach fasoli.

– Zjadłbym talerz fasoli – przymówił się grzecznie Tom, gdy mijali ognisko.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Chętnie poczęstowałabym, ale jeszcze niegotowa. – powiedziała. – Wpadnijcie o świcie.

– Dziękuję pani – odpowiedział Tom.

Razem z Casym i stryjem Johnem minęli werandę. Gospodarz wciąż jeszcze siedział na krześle, a benzynowa latarnia syczała i rzucała jaskrawe światło. Gdy trzej mężczyźni przechodzili, odwrócił głowę.

– Nie macie już benzyny w latarni – rzucił Tom.

– No tak, czas zamykać.

– Chyba już więcej półdolarówek nie toczy się o tej porze drogą – zakpił Tom.

Nogi krzesła stuknęły w podłogę.

– Odczepcie się ode mnie. Zapamiętałem sobie waszą gębę. Wy też jesteście jednym z tych agitatorów.

– Święta prawda – odparł Tom. – Jestem bolszewik.

– Za dużo takich jak wy włóczy się tu po szosie.

Tom śmiał się, gdy wychodzili przez bramę i wsiadali do dodge'a. Podniósł z ziemi grudę ziemi i cisnął ją w kierunku światła. Usłyszeli, jak ugodziła w dom, i zobaczyli, że jego właściciel porwał się na nogi i utkwiał wzrok w ciemności. Tom uruchomił wóz i wyjechał na szosę. Wsluchiwał się uważnie w pracę silnika, w obawie że usłyszy jakieś trzaski. W nikłym świetle reflektorów niewyraźnie lśniła przed nimi szosa.

Rozdział 17

Samochody przesiedleńców wyłaniały się z wolna z bocznych dróg i wjeżdżały na długą, przecinającą kraj szosę, kierując się w swej tułaczkiej wędrówce na zachód. Za dnia sunęły niby wielkie żuki, zaskoczone zaś zmierzchem zbijały się również jak żuki w rojące się gromady, szukając schronienia i wody. Ludzie czuli się samotni i zagubieni, uchodząc z ziemi smutku, niedoli i klęski, a zdążając ku nowej, tajemniczej i jeszcze nieznanej – garnęli się więc do siebie, rozmawiali, jednocyli we wspólnej doli i dzielili strawą i nadzieją na lepsze życie w nowym kraju. Tak się utarło, że gdy jedna rodzina rozbijała obóz w pobliżu źródła, druga przyłączała się do niej w poszukiwaniu wody i towarzystwa, trzecia zaś dlatego, że dwie pierwsze spenetrowały miejsce i uznały je za dobre. A kiedy słońce zaszło, było już tam ze dwadzieścia rodzin i dwadzieścia samochodów.

Wieczorem zaś – o dziwo! – owe dwadzieścia rodzin stawały się jedną rodziną, a dzieci – wspólnymi dziećmi wszystkich. Utrata domu przeżywana razem wydawała się mniej bolesna, a marzenie o złotym raju na zachodzie było wielkim wspólnym snem. Zdarzało się, że jedno chore dziecko napełniało rozpaczą serca dwudziestu rodzin, że odbywający się w namiocie poród gromadził wokół niego sto osób, które tkwiły tam całą noc, trwając w ciszy, niepokoju i lęku, a raniem, gdy przyszło na świat dziecko, sto serc biło radośnie. Rodzina, która jeszcze wczoraj czuła się przerażona i samotna, dziś szperała w swych tobołkach, szukając podarunku dla noworodka. Wieczorem, gdy obsiadano ogniska, dwadzieścia rodzin stawało się jakby jedną. Łączono się w grupy obozujące razem przez jeden wieczór, jedną noc. Ktoś odwijał z koca gitarę, stroił ją – i oto wśród nocy rozbrzmiewały znane wszystkim pieśni. Mężczyźni śpiewali, a kobiety wtórowały im, nucąc melodię.

Co wieczór powstawał jakby odrębny świat, świat nowych przyjaciół i zaprzysiężonych wrogów, świat samochwałów i tchórzów, świat ludzi spokojnych, życzliwych i uczynnych. Co wieczór zawiązywały się związki zespalające ów świat i co rano rozpadał się on niczym wędrowny cyrk.

Początkowo rodziny zachowywały się nieśmiało, budując i obalając te nowe społeczności, stopniowo jednak nabrały wprawy w technice ich budowy. Wyłonili się przywódcy, ustaliły się prawa i pojawiły kodeksy. W miarę posuwania się na zachód społeczności te organizowały się coraz lepiej, ich twórcy bowiem nabierali coraz większego doświadczenia.

Rodziny pojęły stopniowo, jakie prawa winny być przestrzegane, a więc: prawo do prywatnego życia we własnym namiocie, prawo ukrywania na dnie serca bolesnej przeszłości, prawo wypowiadania się i wysłuchiwanie zwierzeń, prawo odrzucenia lub przyjęcia pomocy, prawo ofiarowania lub odmówienia wsparcia, prawo syna do starania się o względy dziewczyny i prawo córki do przyjmowania zalotów, prawo głodnego do upominania się o jedzenie, prawo chorych i kobiet brzemiennych do pierwszeństwa we wszystkim.

Rodziny zdały sobie również sprawę, choć nikt im tego nie wyjaśniał, że należy bezwzględnie tępić tak potworne rzeczy, jak wdzieranie się w cudze życie osobiste, zakłócanie spokoju w uśpionym obozie, uwiedzenia i gwałty, cudzołóstwo, kradzież i zabójstwo. To wszystko było bezlitośnie potępiane, gdyż w przeciwnym razie małe społeczeństwa nie ostałyby się nawet przez jedną noc.

W miarę posuwania się na zachód ustalone normy stawały się coraz bardziej obowiązującymi prawami, choć nikt tego rodzinom nie ogłaszał. Gwałci prawo ten, kto zanieczyszcza teren w pobliżu obozu, kto w jakikolwiek sposób zanieczyszcza wodę do picia, kto spożywa dobrą, obfitą strawę w obecności głodnego, a nie zaprosi go do wzięcia udziału w posiłku.

Wprowadzeniu praw towarzyszyło wprowadzenie kar. Stosowano tylko dwie kary – szybką i okrutną chłostę albo ostracyzm. Ostracyzm był karą dotkliwszą. Jeśli ktoś bowiem złamał jedno z praw, jego zła sława i hańba towarzyszyły mu wszędzie i nie było już dla niego miejsca w żadnej z nowych społeczności, gdziekolwiek się one tworzyły.

Powstały i utrwaliły się też normy postępowania. Zgodnie z nimi należało odpowiedzieć pozdrowieniem na pozdrowienie; każdy mężczyzna mógł żyć

z przychylną mu kobietą, jeśli pozostawał przy niej, pomagał jej wychowywać dzieci i otaczał je ojcowską opieką. Nie wolno było jednak brać sobie co noc innej dziewczyny, naraziłoby to bowiem na szwank bezpieczeństwo nowo powstałych społeczeństw.

W miarę jak rodziny posuwały się na zachód, doskonaliła się technika budowania tych społecznych organizacji, i ludzie, będąc ich członkami, czuli się pewni. Formy owych organizacji były tego rodzaju, że rodzina szanująca ustalone prawa wiedziała, iż jest pod ich osłoną bezpieczna.

W tych nowych społeczeństwach wyłaniały się rządy z przywódcami i starszyzną na czele. Człowiek mądry stwierdzał, że jego rozum przyda się w każdym obozie; głupiec nikomu nie był potrzebny. Podczas wspólnych noclegów powstało i rozwinęło się też coś w rodzaju organizacji wzajemnego ubezpieczenia. Zasobny w żywność dożywiał głodnego, ubezpieczając się w ten sposób sam przed głodem. Gdy umierało dziecko, przed namiotem wyrastała kupka srebrnych monet, dziecko bowiem trzeba pochować godnie, bo nic przecież nie miało z życia. Starzec może spoczywać we wspólnym grobie, ale nigdy dziecko.

Dla zbudowania nowej społeczności niezbędne były naturalne warunki: woda, brzeg rzeki, strumień, źródło lub przynajmniej kran, do którego nikt nie broni dostępu. Teren na tyle równy, aby dało się rozbić namioty, jakieś krzaki lub lasek w pobliżu, by można rozniecić ogień. Jeśli niedaleko znajdował się śmietnik, tym lepiej, bo można było zaopatrzyć się w różne potrzebne przedmioty: fajerkę do piecyka, pogietą kratę dla osłonięcia ogniska lub blaszane puszki, w których gotowało się i z których się jadło.

Tak oto wieczorami powstawały małe społeczności. Tworzyli je ludzie zjeżdżający się z szos i dróg, budując je z namiotów, serc własnych i mózgów.

Co rano zwijano namioty, składano płóciennę płachtę, przymocowywano wzdłuż stopni ciężarówek drążki i paliki, składano na samochody pościel i naczynia. W miarę jak rodziny posuwały się na zachód, ustalała się technika budowania sobie domu wieczorem i burzenia go o świcie. Złożony namiot wracał zawsze na to samo miejsce w samochodzie, a naczynia liczone automatycznie przed zapakowaniem ich w skrzynkę.

W miarę też jak ciężarówki posuwały się na zachód, każdy członek rodziny wrastał coraz mocniej w wyznaczone mu miejsce, wypełniając powierzone sobie zadanie. Każdy, stary czy młody, miał swój kącik

w samochodzie. Gdy w duszne, upalne wieczory zatrzymywano się na miejscu postoju, każdy znał swe obowiązki i spełniał je, nie czekając rozkazu: dzieci zbierały drzewo na opał i nosiły wodę; mężczyźni rozbijali namioty i zdejmowali z ciężarówek pościel, kobiety gotowały kolację i czuwały nad tym, aby wszyscy byli syci. Wszystko to wykonywano bez czyjegokolwiek nakazu. Rodziny, dla których granicą był dotąd w nocy dom, a w dzień farma, zmieniły teraz te granice. Długie, upalne dni spędzały w milczeniu na ciężarówkach wlokących się powoli na zachód, wieczorem zaś łączyły się z pierwszą napotkaną grupą współwędrowców.

Tak oto dokonali odmiany w swym życiu, odmiany, do której w całym wszechświecie zdolny jest tylko człowiek. Z rolników stali się wędrowcami.

Myśli, plany, długie milczące rozważania, skupiające się dotychczas dokoła pól, koncentrowały się teraz na szosie, na odległości, jaką należało jeszcze przebyć, by dotrzeć na zachód. Człowiek, związany dotąd ściśle z akrami, czuł się obecnie zamknięty na wąskim pasku asfaltu, ciągnącym się bez końca. Nie przejmował się już i nie kłopotał deszczem, wiatrem, kurzem czy tym, jak zwiększyć urodzaje. Oczy obserwowały czujnie koła samochodu, uszy nasłuchiwały, czy z silnika nie rozlegną się podejrzane stuki, umysł borykał się z problemami oleju, benzyny, opon, których bieżniki ścierały się coraz bardziej na szosie. Uszkodzona przekładnia była tragedią. Przedmiotem tęsknoty stała się woda wieczorem i gotująca się nad ogniskiem kolacja. Ważne było tylko zdrowie, konieczne, by dążyć naprzód, i siły, by jechać dalej, i zapał, by wytrwać. Cała wola wędrowców skierowana była teraz na drogę rozciągającą się przed nimi, a ich obawy skupiające się dawniej wokół suszy i powodzi, snuły się teraz wokół wszelkich możliwych przeszkód, mogących zahamować powolną wędrówkę na zachód.

Ustaliły się miejsca obozowisk, dzielił je od siebie krótki dzień podróży.

Niektóre rodziny ogarniał popłoch. Jechały dniem i nocą, spały na krótkich postojach w samochodzie i parły na zachód, umykając drodze i uchodząc przed falą ludzką. Tak gorąco pragnęły spokoju i rozpoczęcia osiadłego życia, że zwróciwszy twarze na zachód, gnały naprzód, forsując rozklekotane silniki.

Większość jednak rodzin przystosowała się szybko do zmian i nowego życia. I gdy słońce zapadało za widnokrąg... Czas rozejrzeć się

za miejscem na nocleg. O, tam widać parę namiotów!

Samochód zjeżdżał z drogi i zatrzymywał się, a ponieważ tamci byli tu pierwsi, musiała nastąpić wymiana uprzejmości. Mężczyzna, głowa rodziny, wychylał się z samochodu.

Można zatrzymać się tu na nocleg?

Czemu nie, będzie nam bardzo przyjemnie. A z jakiego stanu jedziecie?

Z Arkansas.

Są tu ludzie z Arkansas w czwartym namiocie.

Naprawdę?

I zaraz potem ważne pytanie: Jak tu jest z wodą?

Wody nie brak, ale nie bardzo smaczna. Dziękuję bardzo. Nie ma za co.

Grzeczności stanowiły niezbędny punkt programu. Samochód toczył się ciężko w kierunku ostatniego namiotu i ustawiał za nim. Zmęczeni podróżni wysiadali i rozprostowywali zeszytniałe członki. Wyrastał nowy namiot, dzieci ruszały po wodę, a starsi chłopcy zbierali chrust i patyki. Rozniecano ogień i nastawiano kolację, by gotowała się lub smażyła. Nadchodzili ci, którzy przybyli wcześniej, zawierano znajomości, padały nazwy stanów, odnajdywali się przyjaciele, a niekiedy krewni.

Oklahoma, ho, ho! A które hrabstwo?

Cherokee.

Nie może być! Mam tam krewniaków. Nie znacie przypadkiem Allenów?

Pełno ich w Cherokee. A może znaliście Willisów? Jakże, to starzy sąsiedzi.

I oto powstawała nowa społeczność. Zapadał zmierzch, lecz zanim jeszcze ściemniło się na dobre, nowa rodzina wrastała w obóz. Zamieniła już po kilka słów ze wszystkimi. Przybysze byli już swoimi ludźmi, godnymi zaufania.

Allenów znam od urodzenia. Simon Allen, stary Simon, miał kłopoty z pierwszą żoną. Matka jej była Indianką. Ładna była jak... jak kara żrebica.

Racja, przypominam sobie teraz. A młody Simon ożenił się z córką Rudolfa, prawda? Właśnie, właśnie! Przenieśli się do Enid i nieźle im się wiodło, wcale nieźle.

Jedyny z Allenów, któremu się dobrze wiodło. Mieli warsztat samochodowy.

Po przyniesieniu wody i nałamaniu patyków na ogień dzieci ruszały w nieśmiałą i ostrożną wędrówkę wśród namiotów. Zawierając znajomości, celebrowały wyszukany rytuał. Chłopiec przystawał w pobliżu nieznanego rówieśnika, podnosił z ziemi kamyk, oglądał go ze wszystkich stron, pluł na niego, wycierał aż do połysku i znowu mu się przyglądał. Wreszcie drugi chłopak pytał:

Co ty tam masz?

Niedbała odpowiedź:

Nic. Zwyczajny kamień.

No to dlaczego patrzysz w niego jak sroka w gnat? Wydawało mi się, że zobaczyłem w nim złoto. Skądbyś je poznał? Przecież złoto w kamieniu jest czarne i nie świeci się.

Jasne. Każdy wie o tym.

Założę się, że ten kamyk po prostu się świeci, a ty dałeś się nabrać.

Wcale nie, bo mój ojciec znalazł dużo złota i nauczył mnie, jak je rozpoznawać.

Chciałbyś znaleźć wielki kawał złota?

Wiadomo! Kupiłbym sobie największy, psiamać, cukierek, jakiegoś ty nigdy jeszcze nie widział.

Moi starzy nie pozwalają mi kłąć, ale ja sobie z tego nic nie robię.

Moi tak samo. Chodźmy nad strumień.

Zawierały też ze sobą znajomości młode dziewczęta, przechwalając się nieśmiało jedna przed drugą powodzeniem i widokami na przyszłość. Przy ogniskach krzątały się kobiety, śpiesząc się, by przygotować jedzenie dla pustych żołądków: wieprzowinę, jeśli było dość pieniędzy, wieprzowinę z kartoflami i cebulą. Do tego suszone nad ogniem suchary lub placki kukurydziane polane obficie sosem. Wieprzowina gotowana lub kotlety wieprzowe i dzbanek herbaty – mocnej i gorzkiej. Gdy zaś z pieniędzmi było krucho – prażucha z tłuszczem, krucha, przyrumieniona prażucha, polana topioną słoniną.

Rodziny bardzo zamożne lub bardzo rozrzutne jadły fasolę z puszek, kompoty z brzoskwiń, biały chleb i słodkie ciasto. Jadły jednak na osobności, w namiotach, bo nie wypadało spożywać przy innych tak wyszukanych przysmaków. Ale i tak dzieci jedzące prażuchę wciągały w nozdrza woń podgrzewanej fasoli i czuły się pokrzywdzone.

Po kolacji, po zmyciu i wytarciu naczyń, gdy zapadł mrok, mężczyźni kucali, by pogawędzić.

Rozmawiali o ziemi, którą opuścili:

Bóg raczy wiedzieć, jak się to wszystko skończy. Źle się dzieje w kraju.

Ech, wrócą dobre czasy, ale nas już wtedy nie będzie.

A może – zastanawiali się – może zgrzeszyliśmy, sami o tym nie wiedząc.

Mówił mi jeden taki z urzędu: „Ta ziemia zasypuje was”. Tak gadał ten urzędnik. Mówił też: „Gdybyście orali pola w poprzek, to by się tak nie sypało”. Nie miałem okazji wypróbować tego sposobu. A nowi gospodarze nie orzą wcale w poprzek. Tną skiby na cztery mile długości bez zatrzymywania się. I nic nie omijają po drodze, choćby napotkali samego Pana Jezusa.

Mówili cicho o swoich obejściach:

Pod wiatrakiem miałem małą lodownię. Stawiałem tam mleko, żeby zebrała się na nim śmietanka, i przechowywałem kawony. Szło się do lodowni i w samo południe, w najgorszy upał, było tam chłodno. Ukrajało się kawałek kawona, wzięło się go do ust, to taki był zimny, że aż w język szczypało. A woda kapiała sobie ze zbiornika.

Rozpamiętywano tragedie rodzinne:

Miałem brata, nazywał się Charley. Włosy miał jasne jak kukurydza. Dorosły był już chłop. I pięknie grał na harmonii, jak nikt. Któregoś dnia bronował pole i przystanął na chwilę, żeby poprawić coś przy uprzęży. Nagle zasyczał grzechotnik, konie się spłoszyły i poniosły, brona przeszła po Charleyu, a jej zęby rozorały mu brzuch i zdarły skórę z całej twarzy. Niech to diabli!

Zastanawiano się nad przyszłością:

Ciekaw jestem, jak to będzie w tej Kalifornii?

Ano na obrazku wygląda ładnie. Widziałem taki, na którym wszystko pokazane jest letnią porą, zielono, pięknie. Orzechy, jagody, a z tyłu, tak blisko, jak od grzywy do zadu muła, wysoka góra cała w śniegu. Przyjemnie na to popatrzeć.

Byle człowiek dostał robotę, to już będzie dobrze. Zimą zimno nie dokuczy. Dzieciaki nie będą marzły w drodze do szkoły. Dopilnuję, żeby nie opuszczały więcej nauki. Sam potrafię czytać nie najgorzej, ale nie znajduję w tym takiej przyjemności jak ten, co się dobrze wyuczył.

Czasem ktoś wychodził przed namiot z gitarą. Siadał na skrzynce i zaczynał grać. Cały obóz, zwabiony muzyką, skupiał się wokół grajka. Brzdąkać na gitarze potrafi wielu, ale gdy trafi się mistrz – to prawdziwa uczta. Niskie tony rozbrzmiewały rytmicznie, a melodia biegła jakby drobnym kroczkiem po strunach. Muzykant grał, ludzie podchodzili z wolna coraz bliżej, aż otaczał go ciasny, zwarty krąg. Zaczął śpiewać piosenkę: *Bawełna dziesięć centów, a mięso czterdzieści*. Otaczający go krąg wtórował półgłosem. Potem zaśpiewał: *Czemu obcinasz włosy, dziewczyno?* – i wszyscy śpiewali z nim razem. W końcu zaintonował: *Opuszczam stary Teksas*, dziwną, smutną pieśń śpiewaną jeszcze przed najazdem Hiszpanów, tylko że słowa jej były wówczas indiańskie.

Teraz audytorium stanowiło już jedną całość, jeden zwarty zespół; oczy słuchaczy zapatrzone były we własne dusze, myśli szybowały ku dawnym czasom, a smutek stawał się niejako ukojeniem jak sen. Grajek zaśpiewał jeszcze piosenkę o McAlester, potem zaś, by dogodzić i starszym, pieśń *Jezus woła mnie do siebie*. Dzieciom, ukołysanym muzyką, kleiły się oczy, szły więc do namiotów spać i śniło im się, że śpiewają.

W końcu gitarzysta podnosił się z miejsca, ziewał i mówił: Dobranoc wszystkim!

Dobranoc! – odpowiadali półgłosem.

Każdy żałował, że nie umie grać na gitarze, bo przecież to tak miło. Wreszcie układali się na spoczynek i w obozie zapadała cisza. Nad śpiącymi przelatywały cicho sowy, gdzieś daleko szczekały kojoty, do obozu podkradały się szukające resztek jedzenia skunksy, bezczelne, niebojące się niczego skunksy.

Mijała noc i o pierwszym brzasku kobiety wychodziły z namiotów, by rozniecić ogień i nastawić wodę na kawę. A gdy już dniało, wychodzili też mężczyźni i zaczynali rozmawiać półgłosem.

Po drugiej stronie rzeki Colorado zaczyna się podobno pustynia. Trzeba będzie uważać. Byle tam nie utknąć. Nie zapomnijcie na wszelki wypadek zabrać ze sobą sporo wody.

Najlepiej chyba przejechać ją w nocy.

I ja tak myślę. Inaczej ducha można wyzionąć.

Zjadano szybko śniadanie. Spłukiwano i wycierano naczynia, zwijano namioty. Z pośpiechem gotowano się do drogi. I gdy ukazywało się słońce,

obozowisko stało puste. Tylko trochę śmieci walało się po ziemi. Miejsce było gotowe na przyjęcie nowych wędrowców na następną noc.

Na zachód niby żuki sunęły samochody. Przed nimi ciągnęła się bez końca asfaltowa szosa.

Rozdział 18

Rodzina Joadów posuwała się wolno na zachód, wśród gór Nowego Meksyku, mijając iglice i stożki. Dotarli do górskiego kraju Arizony i spojrzawszy z przełęczy w dół, ujrzeli pustynię. Zatrzymał ich tu strażnik graniczny.

- Dokąd to?
- Do Kalifornii – odpowiedział Tom.
- A jak długo zamierzacie pozostać w Arizonie?
- Tyle, ile trzeba, żeby przez nią przejechać.
- Macie ze sobą jakieś nasiona?
- Nie, nie mamy.
- Powinienem przejrzeć wasze rzeczy.
- Mówię panu, że nie mamy żadnych nasion.

Strażnik przylepił na szybie samochodu małą etykietkę.

- Dobra! Jazda, ale radzę się nie zatrzymywać.
- Nie ma obawy. I nam zależy na pośpiechu.

Wspięli się wolno na zbocza porośnięte karłowatymi drzewami o powykręcanych gałęziach. Holbrook, Joseph City, Winslow. Potem zaczęły się wysokie drzewa. Samochody buchały parą i z trudem pięły się w górę po stromych pochyłościach. Wreszcie wjechali na Flagstaff, najwyższy szczyt w tym kraju, a stamtąd znów w dół, na rozległe płaskowyże, wśród których szosa ginie w oddali. Coraz trudniej było o wodę, którą trzeba było kupować po pięć, dziesięć, piętnaście centów za galon. Słońce wyssało resztki wody z suchego, skalistego kraju. Przed wędrowcami piętrzyły się ostre, poszarpane szczyty – zachodni wał Arizony. Uciekali przed słońcem i posuchą. Jechali całą noc i następnej nocy wjechali znowu w góry. Słabe światło reflektorów migotało na białych skalistych ścianach wąwozu. Minęli szczyt w ciemnościach; nad ranem zaczęli z wolna zjeżdżać w dół wśród skalnych urwisk zbocza

Oatman. O świcie ujrzeni przed sobą w dolinie rzekę Colorado. Dojechali do Topock i zatrzymali się przed mostem, gdzie strażnik zmył z szyby nalepkę. Przebyli most i zagłębili się w kamienistą, pełną poszarpanych skał pustynię. Tu zatrzymali się; wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni, a ranny upał wzmógł się znacznie.

– Dojechaliśmy... jesteśmy... jesteśmy w Kalifornii! – zawołał ojciec.

Otępiałym wzrokiem patrzyli na poszarpane, skrzące się w słońcu skały i na straszliwy wał graniczny Arizony za rzeką.

– Dotarliśmy do pustyni – powiedział Tom. – Musimy teraz znaleźć wodę i odpocząć.

Szosa biegła równolegle do rzeki. Dopiero późnym rankiem przegrzane maszyny znalazły się w Needles, gdzie wśród trzciny płynie wartko rzeka.

Rodziny Joadów i Wilsonów dojechały do jej brzegu i z samochodów spoglądały na wartki, czysty nurt i na zielone trzciny kołyszące się lekko pod naporem prądu. Nad samą wodą, wśród porastającej bagnisty grunt trawy, widniało małe obozowisko – jedenaście namiotów. Tom wychylił się z okna ciężarówki:

– Można się tu zatrzymać na chwilę?

Tęga kobieta, piorąca bieliznę w wiadrze, podniosła głowę.

– Nie jesteśmy właścicielami tego gruntu. Macie ochotę, to możecie stanąć. Przyjdzie tu zresztą policjant i przyjrzy się wam jak należy.

I zabrała się znów do prania bielizny w pełnym słońcu.

Oba samochody zajęły wolne miejsce na błotnistej łące. Zdjęto z nich namioty. Rozbito namiot Wilsonów i rozpięto płachtę Joadów.

Winfield i Ruthie ruszyli wolno wśród wierzb ku trzcinom. Podniecona i przejęta Ruthie powiedziała:

– Kalifornia! To jest Kalifornia i my jesteśmy w Kalifornii!

Winfield ułamał łodygę trzciny, odarł ją ze skóry, włożył do ust biały miąższ i zaczął go żuć. Weszli do rzeki i stanęli w niej spokojnie, woda sięgała im do łudek.

– Teraz pojedziemy jeszcze przez pustynię – oznajmiła Ruthie.

– A jak wygląda pustynia?

– Nie wiem. Widziałam kiedyś obrazek, na którym była pustynia. Leżało tam pełno kości.

– Ludzkich kości?

– Były chyba i ludzkie, ale myślę, że więcej krowich.

– A czy my też zobaczymy kości?

– Może. Nie wiem. Będziemy musieli przejechać przez pustynię w nocy. Tom tak powiedział. Mówił, że nie możemy jechać w dzień, bobyśmy się upiekli.

– Tu jest chłodno i przyjemnie – stwierdził Winfield, zagłębiając palce stóp w piasek na dnie rzeki.

Dobiegło ich wołanie matki:

– Ruthie! Winfield! Wracajcie!

Dzieci zawróciły i szły wolno ku obozowi wśród trzciny i wikliny.

W innych namiotach panowała cisza. Gdy nadjechały samochody Joadów i Wilsonów, kilka głów wychyliło się na chwilę spod płótna i cofnęło natychmiast. Teraz, kiedy przybyli rozbili swoje namioty, mężczyźni zeszli się razem.

– Przede wszystkim wykąpię się w rzece – oznajmił Tom – a dopiero potem pójdę spać. A jak tam się czuje babcia?

– Nie wiem – odpowiedział ojciec. – Nie chcieliśmy jej budzić.

Zwrócił szybko głowę w stronę namiotu, bo spod płachty doleciał płaczliwy bełkot. Matka weszła szybko do namiotu.

– Obudziła się – powiedział Noah. – Przez całą noc wydawało się, że już lada chwila skończy na tej ciężarówce. Całkiem straciła rozum.

– Do diabła! – zaklął Tom. – Babka jest zupełnie wyczerpana. Jeżeli w najbliższym czasie nie da się jej porządnie wypocząć, to długo nie pociągnie. Jest wyczerpana. Pójdzie kto ze mną? Idę się umyć, a potem kładę się spać w cieniu na cały dzień.

Odszedł, a w jego ślady podążyli inni mężczyźni. Rozebrali się wśród wikliny, weszli do wody i usiedli. Siedzieli tak długo, zarywszy się piętami w piasek, tylko głowy wystawały im nad wodą.

– Ach, jak mi tego było brak – westchnął Al.

Wziął garść piasku z dna rzeki i szorował się nim cały. Leżąc w wodzie, patrzyli ponad wodą na ostre szczyty zwane Needles i na białe skaliste góry Arizony.

– Przejechaliśmy jakoś przez te góry – powiedział ze zdziwieniem ojciec.

Stryj John, zanurzając głowę w wodzie, odparł:

– Ano, niby dojechaliśmy i jesteśmy w Kalifornii, ale jakoś nie wygląda to na rajske cuda.

– Jeszcze nas czeka pustynia – odezwał się Tom. – A słyszałem, że to nie przelewki.

– Czy chcesz pchać się przez nią jeszcze dziś w nocy? – zapytał Noah.

– A co tato o tym myśli? – zwrócił się Tom do ojca.

– Żebym to ja wiedział. Przydałoby się nam trochę odpoczynku, szczególnie babce. Ale z drugiej strony chciałbym jak najprędzej przebyć pustynię i wziąć się nareszcie do jakiejś roboty. Zostało nam już tylko czterdzieści dolarów. Kamień mi spadnie z serca, kiedy wszyscy będziemy już jakoś pracowali i trochę grosza skapnie.

Siedzieli wciąż w wodzie, czując napór rzecznego prądu. Pastor rozłożył ramiona w ten sposób, że unosiły się na powierzchni wody. Ciała mężczyzn były białe aż po szyję i napiętki, tylko twarz, ręce i pierś w miejscu, gdzie rozwierała się koszula, zbrązowiały od słońca. Wszyscy szorowali się piaskiem.

– Chciałbym po prostu zostać tutaj – zwierzył się leniwie Noah. – Leżeć tu tak całe życie. Nigdy nie być głodnym, nigdy się nie martwić. Wylegiwać się tak w wodzie jak prośna maciora w kałuży.

– Nigdy nie widziałem takich groźnych gór – zauważył Tom, patrząc na poszarpane, ostre szczyty za rzeką. – To zbójecki kraj. Wygląda jak szkielet ziemi. Ciekaw jestem, czy dobrniemy kiedy do okolicy, gdzie ludzie żyją bez ciężkiej wspinaczki po skałach. Widziałem na obrazkach kraj zielony i równinny z białymi domkami, o których opowiada mama. Mama marzy o takim białym domku. A ja zaczynam myśleć, że takiego kraju w ogóle na świecie nie ma. Tylko na obrazku.

– Zaczekaj, aż będziemy w Kalifornii. Zobaczysz piękny kraj – powiedział ojciec.

– Ależ, tato! Przecież to jest właśnie Kalifornia!

Zza wierzbowych krzaków wynurzyli się dwaj mężczyźni w dzinsach i niebieskich przepoconych koszulach. Popatrzyli na kąpiących się i zawołali:

– Jak tam?! Można popływać?

– Nie wiem – odpowiedział Tom. – Nie próbowaliśmy. W każdym razie bardzo dobrze się tu siedzi.

– Można wejść do wody i usiąść obok was?

– To nie nasza rzeka. Ale możemy jej wam trochę użyczyć.

Przybysze zrzucili spodnie i koszule i weszli do wody. Nogi mieli zakurzone po kolana, stopy blade i wilgotne od potu. Usadowili się leniwie w wodzie i zaczęli myć sobie niedbale boki. Obaj byli mocno opaleni – ojciec i syn. Chrzákali i postękiwali z rozkoszy w wodzie.

– Jedziecie na zachód? – zapytał grzecznie ojciec.

– Nie. Wracamy stamtąd. Jedziemy do domu. Nie mogliśmy tam wyżyć.

– A skąd jesteście? – odezwał się Tom.

– Z Panhandle, niedaleko od Pampy.

– A czy tam dacie sobie radę? – pytał stary Joad.

– Też nie. Ale jak umierać z głodu, to już lepiej wśród swoich niż wśród bandy łobuzów, którzy by was w łyżce wody utopili.

– A wiecie, nie od was pierwszych to słyszę. Za co was tam tak nienawidzili? – dopytywał się ojciec.

– Żebym to ja wiedział – odparł obcy.

Nabrał wody w dłonie i tarł twarz, parszając i prychnając. Z włosów spływała mu mętna od kurzu woda, zostawiając smugi na szyi.

– Rad bym coś więcej usłyszeć o tym zachodzie – powiedział ojciec.

– Ja też – dodał szybko Tom. – Czemu to was tam nienawidzili?

Starszy mężczyzna spojrzał bystro na Toma.

– A czy wy może jedziecie na zachód?

– Właśnie jesteśmy w drodze.

– I nigdy nie byliście w Kalifornii?

– Nie, nigdy.

– No to po co mam opowiadać? Przekonacie się sami.

– No tak – zgodził się Tom – ale człowiek wolałby wiedzieć, co go czeka.

– Jeżeli rzeczywiście chcecie wiedzieć, to ja napatrzyłem się dosyć i przemyślałem niejedno. Kraj jest piękny, ani słowa. Ale rozkradziono go od dawna. Jak przejedziecie pustynię, to zaraz za Bakersfield zaczyna się ładna ziemia. Piękniejszej okolicy nie widzieliście w życiu, same sady i winnice, aż się oczy do wszystkiego śmieją. Będziecie jechali przez piękną, nawodnioną równinę, ale rola leży tam odłogiem. Nie dostaniecie ani piędzi z tej ziemi. Wszystko należy do Towarzystwa Rolników i Hodowców. Jeśli oni nie chcą, żeby grunt był uprawiany, nie wolno go tknąć. Zasiajecie tam gdzie sobie trochę kukurydzy, to pójdziecie do ciupy.

– Dobra ziemia, powiadacie? I nie uprawiają jej?

– Tak jak mówię. Ziemia dobra, a nie dadzą jej tknąć. Człowieka diabli biorą, jak to wszystko widzi. Ale to jeszcze nie wszystko. Tamtejsi ludzie zaczną się wam przyglądać. Spojrzą raz, drugi, jakby chcieli powiedzieć: „Nie podobasz mi się, psi synu”. A potem zjawi się zastępca szeryfa i ten dopiero zatruje wam życie. Rozłóżcie się obozem koło szosy, to was przegna precz. Będziecie im czytać z twarzy, jak was nienawidzą. I coś wam powiem. Czują nienawiść dlatego, że strach ich oblatuje. Wiedzą, że głodny człowiek zdobędzie jedzenie, choćby je miał wziąć siłą. Wiedzą, że ziemia leżąca odłogiem to grzech i że ktoś po nią rękę wyciągnie. Co tu dużo gadać, do jasnej cholery! Jeszcze was dotąd nie przezywali „Oklaki”, co?

– Oklaki? A co to znowu takiego? – zapytał Tom.

– Ano, przezwisko Oklaki dawano tym, co pochodzili z Oklahomy. Teraz oznacza ono, że jesteście parszywe skurwysyny. Żeście ostatnie szumowiny. Samo słowo nic nie znaczy, chodzi tylko o sposób, w jaki je wymawiają. Ale co ja wam tu będę opowiadał! Sami musicie się przekonać. Słyszałem, że jest tam trzysta tysięcy naszych i żyją jak świny, bo wszystko w Kalifornii należy do prywatnych właścicieli. Skrawka ziemi nie zostało. A ci właściciele trzymają się ziemi rękami i nogami. Gotowi zabić każdego, kto by im ją chciał wydrzeć. A im więcej się boją, tym bardziej są wściekli. Musicie to sami zobaczyć. Musicie usłyszeć to na własne uszy. Najpiękniejszy, daję słowo, kraj na świecie, ale ludzie tam, szkoda gadać, bardzo dla nas niegościnni. I tak się trzęsą, tak się niepokoją, że nawet między sobą jeden drugiemu do oczu skacze.

Tom spojrzał w wodę i zarył głębiej pięty w piasek.

– A powiedzmy, że człowiek dostanie pracę i odłoży trochę grosza, czy też mu nie wolno kupić kawałka gruntu?

Starszy mężczyzna roześmiał się i popatrzył na syna, a milczący chłopiec uśmiechnął się niemal z triumfem. Starszy mówił dalej:

– Nie dostaniecie stałej roboty. Wystarczy wam ledwie z dnia na dzień na obiad. A ludzie, którzy wam dadzą zajęcie, będą patrzyli na was wilkiem. Wynajmiecie się przy zbiorze bawełny, to będziecie pewni, że wagi są fałszywe. Niektóre będą fałszywe, niektóre nie. Ale wy będziecie myśleli, że wszystkie są fałszywe, bo jak to sprawdzić. I tak nic na to nie poradzicie.

– To tam... tam wcale nie jest tak pięknie? – zapytał z wolna ojciec.

– Ależ pięknie, że aż oczy rwie, tylko nic się z tego nie ma. Rośnie tam gaj pomarańczowy pełen złocistych owoców, a przy nim stoi chłop z karabinem, który ma prawo cię zastrzelić, gdybyś tknął choć jedną pomarańczę. Mieszka tam niedaleko od wybrzeża jeden gość, taki, co to wydaje gazety. Ma milion akrów ziemi...

Casy podniósł szybko głowę.

– Milion akrów? A na co mu, u licha, tyle ziemi?

– Nie wiem. Należy do niego, i tyle. Hoduje tam trochę bydła. Wszędzie trzyma strażników, żeby bronili ludziom wstępu na grunty. Rozbija się samochodem pancernym, którego nie przebije kula. Widziałem jego fotografię. Tłusty, flakowaty, oczy złe jak u szczura i usta jak dziura w tyłku. Boi się śmierci. Ma milion akrów, a drży, że zdechnie.

– Ale co, do cholery, może on robić z milionem akrów? Po co mu tyle ziemi? – zapytał Casy.

Mężczyzna wyciągnął zbielałe, pomarszczone od wody ręce, rozłożył je, zacisnął dolną wargę i przechylił głowę na bok.

– Czy ja wiem? – odpowiedział. – Myślę, że to wariat. Musi mieć źle w głowie. Widziałem jego fotografię. Wygląda na pomyłonego. Zwariowany drań.

– Mówicie, że boi się śmierci? – pytał dalej Casy.

– Tak powiadają.

– Obawia się, że go Bóg skarze.

– Nie wiem. Boi się, i tyle.

– Po cóż ma się tym przejmować? – odezwał się ojciec. – Brak mu chyba tylko ptasiego mleka.

– Dziadek się nie bał – wtrącił Tom. – Wtedy właśnie miał najwięcej uciechy, kiedy był o włos od śmierci. Jak na przykład wtedy, kiedy on i jeszcze jeden gość wpadli nocą na bandę Nawahów. Użyli sobie na całego, a przecież nikt nie dałby dwóch groszy za to, że wyjdą cało.

– Zdaje się, że to tak właśnie zazwyczaj bywa – zauważył Casy. – Człowiek, który cieszy się życiem, nic sobie z niczego nie robi. Ale gość zły, samotny, stary, zawiedziony, o, taki to się boi śmierci.

– Ale czemu ma być zawiedziony, kiedy ma milion akrów ziemi? – zapytał ojciec.

Pastor uśmiechnął się; wyglądał na zaskoczonego. Ruchem dłoni odrzucił pluskwę wodną płynącą z prądem.

– Jeżeli potrzebuje aż miliona akrów, żeby czuć się bogaty, to chyba dlatego, że czuje się wewnętrznie strasznie ubogi. A jeżeli jest ubogi duchowo, to nawet milion akrów nie da mu poczucia bogactwa. I może właśnie dlatego jest zawiedziony, że cokolwiek by zrobił, nie jest w stanie poczuć się bogatszy. Jak na przykład Wilsonowa, kiedy odstąpiła swój namiot umierającemu dziadkowi. Nie mam zamiaru wygłaszać kazania, ale jeszcze nie widziałem człowieka, który zgarniając wszystko dla siebie, jak suseł na prerii, nie byłby zawiedziony. – Casy uśmiechnął się i dodał: – To brzmi trochę jak kazanie, co?

Słońce prażyło teraz mocno. Ojciec zawołał:

– Lepiej zanurzymy się pod wodę, bo nas tu szlag trafi! – Przechylił się w tył i podstawił kark pod płynącą wolno wodę. – Ale jeśli ktoś gotów jest ciężko pracować, to chyba da sobie radę, co? – spytał.

Obcy mężczyzna usiadł prosto i spojrzał mu prosto w oczy.

– Słuchajcie, wszystkiego i ja nie wiem. Przypuśćmy, że wam się uda, że dostaniecie stałą robotę, a wtedy wyjdę na łgarza. Ale możecie wcale nie dostać pracy, a wtedy powiecie, że powinienem był was ostrzec. To tylko pewne, że większość naszych ma się w Kalifornii bardzo źle. – Znów położył się w wodzie i powtórzył: – Człowiek nie może wiedzieć wszystkiego.

Ojciec odwrócił głowę i popatrzył na stryja Johna.

– Nigdy nie gadałeś za wiele – sarknął – ale niech mnie diabli porwą, jeśliś choć dwa razy otworzył gębę od czasu, kiedy wyjechaliśmy z domu. Powiedz, co o tym wszystkim myślisz.

Stryj John zachmurzył się.

– Nic nie myślę. Jedziemy tam, prawda? Żadne gadanie nas nie zawróci. Dobrniemy tam, to dobrniemy. Dostaniemy robotę, to będziemy pracowali, a nie, to będziemy siedzieli na dupie. A to całe gadanie tutaj psu na budę się nie zda.

Tom, który leżał na wznak i nabrał do ust wody, wypłuł ją i parsknął śmiechem.

– Stryj John niedużo gada, ale jak gada, to do rzeczy. I, słowo daję, ma rację. Jedziemy w nocy dalej, tato, co?

– Możemy jechać. Prędzej znajdziemy się po drugiej stronie.

– Skoro tak, to idę w krzaki i prześpię się.

Tom wstał i brnąc w wodzie, poszedł ku piaszczystemu brzegowi. Wciągnął odzież na mokre ciało, wzdrygając się przy zetknięciu z rozgrzaną tkaniną. Inni poszli za jego przykładem.

Późniejsi przybysze, ojciec i syn, pozostali w wodzie i patrzyli na oddalających się Joadów. Chłopiec odezwał się:

– Chciałbym ich zobaczyć za jakieś sześć miesięcy!

Mężczyzna otarł kąciki oczu wskazującym palcem i powiedział:

– Lepiej było nic nie gadać. Ale człowiek zawsze chce być mądry i pouczać drugih.

– Ale co tam, tato! Sami tego chcieli.

– To prawda. Ale chłop mówił, że pojedą tak czy owak. Nic się nie zmieni przez to, com im powiedział. Tyle tylko, że wcześniej poczują się nieszczęśliwi.

Tom zapuścił się pomiędzy wierzby, wczołgał się w ich cień i położył. Za nim ruszył Noah.

– Będę tu spał – oświadczył Tom.

– Tom!

– Co takiego?

– Tom, ja nie pojedę dalej.

Tom usiadł.

– A tobie co do głowy strzeliło?

– Tom, ja zostanę przy tej wodzie. Powędruję sobie w dół rzeki.

– W głowie ci się chyba pomieszało.

– Zrobię sobie wędkę. Będę łapał ryby. Człowiek nie może umrzeć z głodu nad taką piękną rzeką.

– A co z rodziną? Co powie mama?

– Trudno. Nie mogę odejść od tej wody. – Szeroko rozstawione oczy Noaha były półprzymknięte. – Sam wiesz, Tom, jak to jest ze mną. Wszyscy są dla mnie dobrzy, ale naprawdę to nikogo tak bardzo nie obchodzi.

– Głupi jesteś, i tyle.

– Nie, wcale nie jestem głupi. Wiem, jaki jestem. Wiem, że się nade mną litują. Ale... nie, nie jadę dalej. Powiedz to mamie, Tom.

– Słuchaj, Noah... – zaczął Tom.

– Nie, szkoda gadania. Ot, siedziałem przed chwilą w tej wodzie i już od niej nie odejdę. Pójdę teraz, Tom, w dół rzeki. Dam sobie radę, łowiąc ryby lub jakoś inaczej. Ale nie mogę odejść od tej wody. Nie mogę. – Wyczołgał się spod kępy wikliny. – Powiedz mamie, Tom. – I odszedł.

Tom ruszył za nim w kierunku rzeki.

– Słuchaj, ty wariacie zatracony...

– Nie, to na nic. Smutno mi, ale trudno – muszę odejść. – Odwrócił się i poszedł wzdłuż brzegu w dół rzeki. Tom chciał go gonić, ale nagle zatrzymał się. Widział, jak Noah znikł w krzakach, a potem znów się ukazał, idąc dalej brzegiem. Patrzył, jak postać brata malała coraz bardziej, aż wreszcie znikła w wiklinie. Tom zdjął czapkę i podrapał się w głowę. A potem wrócił do swej cienistej kryjówki i ułożył się do snu.

Pod rozpiętą płachtą leżała na materacu babka, matka siedziała przy niej. Zionące żarem powietrze było duszne, muchy brzęczały w cieniu namiotu. Babka leżała nago pod długim kawałkiem różowej firanki. Obracała niespokojnie starczą głowę z boku na bok, mamrotała coś i dyszała ciężko. Matka usadowiła się na ziemi obok materaca, odpędzając kawałkiem tektury muchy i poruszając gorące powietrze nad sztywną twarzą staruszki. Po drugiej stronie materaca siedziała Rose of Sharon i wpatrywała się w matkę.

Babka zawołała rozkazująco:

– Will! Will! Chodź tu zaraz, Will! – Otworzyła oczy i rozejrzała się z wściekłością wokoło. – Mówiłam, żeby przyszedł prosto tutaj. Jak go dopadnę, włosy mu powydzieram.

Przymknęła oczy i znowu kręciła głowę to w prawo, to w lewo, mruczając coś ochryple. Matka nie przestawała jej wachlować.

Rose of Sharon spojrzała bezradnie na staruszkę.

– Ona jest okropnie chora – powiedziała cichutko.

Matka podniosła wzrok na twarz córki. Oczy Joadowej pełne były cierpliwości, ale na jej czole pojawiły się bruzdy wysiłku. Poruszała niestrudzenie kawałkiem tektury, odstraszając nim muchy.

– Kiedy człowiek jest młody, Rosasharn, to wydaje mu się, że wszystko, co go spotyka, jest wyjątkowe, i że przedtem nie przydarzyło się nikomu. Wiem, pamiętam, ja też byłam kiedyś młoda. – Usta jej z miłością

wymawiały imię córki. – Będiesz miała dziecko, Rosasharn, i to też jest tylko twoja sprawa. Będiesz miała bóle i będzie ci się wydawało, że tylko ciebie jedną tak boli. Twój namiot, Rosasharn, też wydaje ci się jedyny na świecie.

Przez chwilę smagała teksturą powietrze, by odpędzić brzęczącą zieloną muchę, która obleciała dwukrotnie namiot i poszybowała w górę ku oślepiającemu słońcu. A matka mówiła dalej:

– Ale potem przychodzi czas, kiedy człowiek się zmienia i rozumie, że umrzeć musi każdy, bo śmierć nie ominie nikogo, że jak kobieta zajdzie w ciążę, to nie pierwsza ani ostatnia, i że śmierć i narodziny to jakby początek i koniec tego samego. I wtedy człowiek nie uważa, że przytrafia mu się coś szczególnego. Lżej ci będzie znieść wszystko, bo nie ty pierwsza cierpisz i nie ty ostatnia. Chciałabym ci to wytłumaczyć, ale nie bardzo potrafię.

W głosie matki było tyle słodczy i miłości, że łzy napłynęły do oczu Rose of Sharon i przyćmiły jej wzrok.

– Weź to i powachluj babcię – poprosiła matka, wręczając córce kawałek tekstury. – To ci dobrze robi. Szkoda, że nie umiem ci wszystkiego wytłumaczyć, tak żebyś zrozumiała.

Babka, marszcząc brwi nad zamkniętymi oczami, zabeczała:

– Will! Brudas jesteś! Nigdy nie myjesz się porządnie!

Jej drobne, pomarszczone, szponiaste palce posunęły się do twarzy i drapały policzek. Czerwona mrówka wybiegła spod przykrycia i pełzła po fałdach obwisłej skóry na szyi staruszki. Matka wyciągnęła szybko rękę, schwyciła owada, zgmiotła go pomiędzy palcami i wytarła je o suknię.

Rose of Sharon poruszyła tekturowym wachlarzem. Spojrzała na matkę.

– Czy ona...?

Słowa uwięzły jej w gardle.

– Wytrzymaj nogi, Will, ty brudna świnio! – krzyczała babka.

Matka odparła:

– Nie wiem, może gdyby się udało przewieźć ją w chłodniejsze okolice... ale nie wiem. Nie martw się, Rosasharn. Na wszystko jest swój czas, a co się ma stać, to się stanie.

Do namiotu zajrzała tęga kobieta w podartej czarnej sukni. Oczy jej były kaprawe, nieokreślonego koloru, a policzki obwisłe i całe w drobnych fałdach. Usta miała miękkie i flakowate: górna warga wisiała nad zębami

niby jakaś zasłona, dolna zaś, wywinięta własnym ciężarem, opadała ciężko i odsłaniała dziąsła.

– Dzień dobry, paniusiu! – przywitała się. – Niech będzie pochwalony!

Matka obejrzała się.

– Dzień dobry!

Kobieta wsunęła się do namiotu i pochyliła głowę nad babką.

– Słyszałam, że jest tu duszyczka gotowa pójść do Boga. Chwała Panu na wysokościach!

Twarz matki stężała, oczy jej nabrały ostrego blasku.

– Zmęczyła się, i tyle. Wyczerpały ją droga i upał. To tylko przemęczenie. Odpocznie trochę i wydobrzeje.

Kobieta nachyliła się nad twarzą babki i zdawać się mogło nieomal, że węszy. Potem odwróciła się do matki, kiwając głową tak szybko, że wargi jej drżały, a policzki chwiały się.

– Kochana duszyczka połączy się niedługo z Jezusem.

– Nieprawda! – krzyknęła matka.

Kobieta skinęła głową, tym razem powoli, kładąc pulchną dłoń na czole babki. Matka sięgała już, aby odepchnąć tę rękę, powściągnęła się jednak.

– Tak, siostrze, nie mylę się – powiedziała kobieta. – Jest nas tu, w sąsiednim namiocie, sześć osób w stanie łaski. Sprowadzę wszystkich i odprawimy nabożeństwo, odmówimy modlitwy. Jesteśmy jehowici. Sześcioro razem ze mną. Zaraz ich przyprowadzę.

Matka zeszywniała.

– Nie, nie! Babka jest zmęczona. Nie wytrzymałaby nabożeństwa.

Kobieta oburzyła się.

– Nie wytrzymałaby nabożeństwa? Nie zniosłaby słodkiego oddechu Jezusa? Co też pani wygaduje, siostrze?

– Nie, nie teraz. Jest zbyt zmęczona – powtarzała matka. Kobieta spojrzała na nią z wyrzutem.

– Czy wasza rodzina nie wierzy w Boga?

– Zawsze żyliśmy w łasce bożej – odpowiedziała matka – ale babka jest bardzo zmęczona, całą noc spędziliśmy w drodze. Nie będziemy was trudzić.

– Dla nas to żadna fatyga, a gdyby nawet, to nie pożałujemy trudu dla duszyczki dążącej do Baranka Bożego.

Matka wstała.

– Dziękujemy bardzo – powiedziała chłodno – ale w tym namiocie nie odbędzie się żadne nabożeństwo.

Kobieta przyglądała jej się długą chwilę.

– No tak, ale my nie pozwolimy, żeby siostra w Chrystusie odeszła bez słowa modlitwy. Odprawimy nabożeństwo w naszym namiocie. I przebaczymy paniusi jej twarde serce.

Matka usiadła z powrotem i zwróciła oczy na babkę. Twardy, zacięty wyraz nie opuszczał jej twarzy.

– Jest zmęczona – powiedziała – po prostu zmęczona.

Staruszka poruszała głową z boku na bok i mruczała cicho. Kobieta, wyprostowana sztywno, wyszła z namiotu. Matka nie odrywała oczu od starczej twarzy.

Rose of Sharon poruszała ciągle tekturowym wachlarzem rozpalone powietrze.

– Mamo!

– Co takiego?

– Dlaczego mama nie pozwoliła na to nabożeństwo?

– Nie wiem – wyznała matka. – Jehowici to dobrzy ludzie. Nie wiem. Coś mnie napadło. Nie wyobrażam sobie, że bym mogła to wytrzymać. Rozpędziłabym ich wszystkich na cztery wiatry.

Gdzieś nieopodal rozległy się pierwsze dźwięki monotonnych śpiewnych modłów. Słów nie sposób było zrozumieć, dochodziła wyraźnie jedynie melodia. Pojedynczy głos wznosił się, opadał i znowu wznosił się na coraz wyższej nucie. Wśród ciszy odezwał się w odpowiedzi drugi głos, w pieśni zadźwięczał teraz triumf, a pierwszy głos zabrzmiał gardłowym, niskim tonem. Rósł, potężniał i nagle ścichł. Gardłowy ton pojawił się w głosie odpowiadającym. Słowa pieśni stawały się coraz krótsze, ostre jak słowa komendy, w odpowiedziach zaś pojawiła się nuta żalostnej skargi. Rytm modłów był coraz szybszy. Głosy mężczyzn i kobiet utrzymywały się dotąd na jednym tonie, ale teraz w środku odpowiedzi jakiś kobiecy głos wybuchnął rozzwierającym lamentem, gwałtowny i rozjuszony jak wycie dzikiej bestii; natychmiast zawtórował mu głęboki jak psie ujadanie inny głos kobiecy, całą zaś gamę dźwięków wypełnił wilczym skowytom głos męski.

Wreszcie pieśń ucichła. Z namiotu jehowitów dochodziło jedynie żałobne wycie i głuchoe dudnienie. Matką wstrząsnął dreszcz. Rose of Sharon

oddychała ciężko, chwytając z trudem powietrze. Chóralne wycie trwało tak długo, że wydawało się, iż wyjąłym ludziom popękają płuca.

– To mi działa na nerwy, czuję się wprost nie ta sama – powiedziała matka.

Naraz wysoki głos kobiecy załamał się histerycznie i zmienił w bełkotliwy wrzask hieny, a dudnienie przybrało na sile. Załamał się i chór naderwanych wyciem głosów, przechodząc w szlochający, mrukliwy skowyt, słyhać było tylko razy zadawane ciału i dudnienie stóp uderzających o ziemię. Łkający skowyt stawał się coraz cichszy, przypominał teraz skomlenie szczeniąt przy misce z jadłem.

Rose of Sharon ze zdenerwowania popłakiwała cicho. Babka skopała firankę, odkryte jej nogi przypominały szare, sękaty patyki. Staruszka skomlała do wtóru dochodzącemu z oddali skowytowi. Matka przykryła ją. Babka westchnęła, oddech jej stał się stopniowo równy i swobodny, zamknięte powieki przestały trzepotać. Zapadła w głęboki sen, z rozchylonych ust dobywało się chrapanie. Skowyt jehowitów cichł coraz bardziej, aż wreszcie ustał zupełnie.

Rose of Sharon spojrzała na matkę oczami ośleplonymi od łez.

– To jej dobrze zrobiło – powiedziała. – Pomogło babci. Zasnęła.

Matka siedziała ze spuszczoną głową. Była zawstydzona.

– Może i skrzywdziłam tych dobrych ludzi. Babcia śpi.

– Dlaczego nie spyta mama naszego pastora, czy to grzech? – zapytała Rose of Sharon.

– Zapytam go, ale to dziwny człowiek. Może nawet przez niego nie pozwoliłam tym ludziom tu przyjść. Nasz pastor uważa, że cokolwiek człowiek robi, ma prawo to robić. – Przyjrzała się swym rękom i dodała: – Rosasharn, musimy się przespać. Jeżeli mamy jechać dziś w nocy, to trzeba trochę pospać. – I wyciągnęła się na ziemi obok materaca.

– A kto będzie wachlował babkę? – zapytała Rose of Sharon.

– Teraz śpi. Połóż się i zaśnij.

– Ciekawam, gdzie podziewa się Connie? – utyskiwała młoda kobieta. – Nie widziałam go tu już tak dawno.

– Cicho, prześpij się lepiej.

– Mamo. Connie chce się uczyć wieczorami, żeby do czegoś dojść.

– Tak, tak. Mówiłaś mi już o tym. Kładź się i śpij.

Rose of Sharon położyła się na brzegu materaca babki.

– Connie ma nowy plan. Wciąż coś wymyśla. Kiedy już się wyuczy tej elektryki, założy sklep i... niech mama zgadnie, co będziemy mieli?

– Cóż takiego?

– Lód – ile tylko dusza zapagnie. Postawimy lodówkę, żeby było zawsze pełno lodu. Nic się nie psuje, jak się ma lód.

– Connie ciągle coś nowego wymyśla – roześmiała się matka. – Śpij już teraz.

Rose of Sharon zamknęła oczy. Matka położyła się na wznak i skrzyżowała ręce pod głową. Przysłuchiwała się oddechowi babki i Rose of Sharon. Podniosła rękę, by spędzić muchę z czoła. Zalany oślepiającym słońcem obóz pogrążony był w ciszy, a odgłosy dochodzące z rozgrzanej trawy – cykanie świerszczy i brzęczenie much – rozbrzmiewały ledwo dosłyszalnym szmerem. Matka westchnęła głęboko, ziewnęła i zamknęła oczy. W półśnie usłyszała zbliżające się kroki, lecz obudził ją dopiero męski głos:

– Kto tu jest?

Usiadła szybko. Do namiotu, schyliwszy się, zajrzał mężczyzna o ogorzałej twarzy. Ubrany był w buty z cholewami, spodnie koloru khaki i takąż koszulę z epoletami. Ze skórzanego pasa zwisał mu pistolet w pochwie. Na lewej piersi połyskiwała duża srebrna gwiazda. Wojskową czapkę zsuniętą miał na tył głowy. Uderzał rytmicznie dłonią w płachtę namiotu, napięta tkanina drgała jak bęben.

– Kto tu jest? – zapytał ponownie.

– A czego pan sobie życzy?

– Jak to, czego sobie życzę? Chcę wiedzieć, kto tu jest.

– No więc, jest tu nas trzy kobiety: ja, babka i moja córka.

– A gdzie mężczyźni?

– Poszli się umyć. Jechaliśmy przez całą noc.

– Skąd jesteście?

– Spod Sallisaw, stan Oklahoma.

– No, nie możecie tu zostać.

– Toteż chcemy wyruszyć jeszcze dziś wieczór i przejechać pustynię.

– To i lepiej, bo jeśli was tu jutro zastanę o tej porze, to wszystkich zaaresztuję. Nie chcemy, żeby się tu osiedlali tacy jak wy.

Twarz matki pociemniała z gniewu. Dźwignęła się powoli na nogi, schyliła nad skrzynią z naczyniami kuchennymi i wydobyła z niej żelazną

rynkę.

– Proszę pana – oświadczyła – ma pan blaszaną gwiazdę i broń. Ale tam, skąd my jesteśmy, tacy jak pan nie podnoszą głosu.

Szła ku niemu z rynką w dłoni. Przybyły poruszył pistoletem w pochwie.

– Dalej, jazda! – rzuciła mu wyzwanie matka. – Niech pan straszy kobiety. Dzięki Bogu, że nie ma tu naszych mężczyzn. Rozdarliby pana w strzępy. W moich stronach, trzymałby pan język za zębami.

Mężczyzna cofnął się o dwa kroki.

– Tak, ale teraz nie jest pani w swoich stronach. To Kalifornia, a my nie potrzebujemy tu przeklętych Oklaków.

Matka znieruchomiała, wyglądała na zaintrygowaną.

– Oklaków? – powtórzyła cicho. – Oklaków?

– Tak, Oklaków. I jeżeli jutro was tu zastanę, to was zamknę. – Odwrócił się i odszedł do następnego namiotu. Znowu zabębnił ręką w rozpięte płótno i spytał: – Kto tu jest?

Matka z wolna wróciła pod płachtę. Odłożyła rynkę do skrzyni i powoli usiadła. Rose of Sharon przyglądała jej się ukradkiem. Widząc, że matka stara się opanować gwałtowny skurcz twarzy, zamknęła oczy i udała, że śpi.

Popołudniowe słońce zsunęło się już nisko nad horyzont, lecz upał zdawał się nie słabnąć. Tom, śpiący pod wierzbą, obudził się mokry od potu, w ustach mu zaschło, a głowę miał ciężką. Podniósł się chwiejnie i ruszył ku rzece. Ściągnął ubranie i wszedł do wody. Ledwie się zanurzył, przeszło mu pragnienie. Położył się na wznak w płytkiej wodzie, zarył łokciami w piasku i kołysał na fali, przypatrując się palcom swych stóp wystającym ponad powierzchnię.

Z trzciny wyczołgał się jak zwierzątko blady, chudy chłopiec. Zrzucił ubranie, zanurzył się w wodzie i płynął jak szczur wodny, wystawiwszy nad powierzchnię tylko nos i oczy. Nagle dostrzegł głowę Toma i zauważył, że ten go obserwuje. Natychmiast przerwał zabawę i usiadł.

– Halo! – odezwał się Tom.

– Halo!

– Co, bawiłeś się w wodnego szczura?

– Tak.

Odsuwał się nieznacznie i stopniowo ku brzegowi. Poruszał się niby obojętnie, potem nagle wyskoczył z wody, zgarnął oburącz ubranie i uciekł w zarośla.

Tom zaśmiał się cicho. Wtem usłyszał swoje imię wykrzykiwane piskliwie:

– Tom, hop, hop, Tom!

Usiadł w wodzie i gwizdnął przeraźliwie przez zęby, kończąc gwizd trylem. Poruszyły się gałązki wikliny i przed Tomem, utkwivszy w nim wzrok, stanęła Ruthie.

– Mama cię woła – oznajmiła. – Kazała, żebyś zaraz przyszedł.

– Dobrze, już idę.

Wstał i ruszył do brzegu. Dziewczynka przyglądała się z ciekawością i zdumieniem jego nagiemu ciału. Spostrzegłszy, gdzie kierują się jej spojrzenia, Tom zawołał:

– Uciekaj teraz! Już cię nie ma!

Ruthie pobiegła. Młody Joad słyszał, jak biegnąc, nawołuje podnieconym głosem Winfielda. Włożył rozgrzane ubranie na ochłodzone, mokre ciało i ruszył, nie śpiesząc się, przez krzaki w stronę namiotu.

Matka roznieciła ogień z suchych wierzbowych gałązek i nastawiła wodę w rondlu. Gdy ujrzała syna, na twarzy jej odmalowało się uczucie ulgi.

– Co się stało, mamó? – zapytał.

– Wystraszyłam się – odpowiedziała. – Był tu policjant. Powiedział, że nie możemy tu zostać. Bałam się, że wpadniesz na niego. Bałam się, że jak zagada do ciebie, to dasz mu w łeb.

– A za cóż miałbym dawać mu w łeb? – zdziwił się Tom.

Matka uśmiechnęła się.

– Ano... tak grzecznie się odzywał, że o mały włos sama mu w pysk nie dałam.

Tom, śmiejąc się, chwycił za ramię matkę i potrząsnął nią mocno, ale nie brutalnie. Ze śmiechu aż usiadł na ziemi.

– Boże drogi, mamó, co się z mamy zrobiło! Była mama dotąd łagodna jak owieczka. Co mamę napadło?

– Sama nie wiem, Tom. – Twarz jej spoważniała.

– Przedtem porwała się mama na nas wszystkich z korbą, teraz znowu chce mama walić po łbie policjanta. – Zaśmiał się cicho, wyciągnął rękę i poklepał ją tkliwie po bosej stopie. – To ci dopiero stara wiedźma!

– Tom!

– Co takiego?

Wahała się przez dłuższą chwilę.

– Tom... ten policjant nazwał nas „Oklakami”. Powiedział: „Nie potrzebujemy tu przeklętych Oklaków!”.

Tom patrzył na matkę badawczo, ręka jego spoczywała czule na jej nagiej stopie.

– Jeden gość mówił nam o tym przezwisku. Wytłumaczył też, skąd się ono wzięło. – Zastanawiał się przez chwilę. – Mamo, czy mama uważa, że ze mnie zły człowiek? Że powinienem siedzieć w kryminale, jak siedziałem?

– Nie – odparła. – Zasądzi cię... Ale nie. A czemu pytasz?

– Nie wiem. Ale temu policjantowi to dałbym w łeb.

Matka uśmiechnęła się ubawiona.

– Gdybyś był tu wtedy, tobym cię nawet może o to poprosiła, bo sama o mało nie zdzieliłam go rynką.

– Mamo, a on mówił, że niby dlaczego nie wolno nam się tu zatrzymywać?

– Powiedział tylko, że nie chcą tu widzieć na stałe żadnych przeklętych Oklaków. Groził jeszcze, że jak nas tu jutro zastanie, to nas wpakuje do ciupy.

– Ale my nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, żeby nami poniewierała policja.

– Powiedziałam mu to, ale on na to, że nie jesteśmy już u siebie. Przyjechaliśmy do Kalifornii, a im wolno robić, co zechcą.

– Mamo, muszę coś mamie powiedzieć... – powiedział niepewnie Tom. – Noah poszedł sobie w dół rzeki. Nie chce jechać dalej z nami.

Dopiero po pewnym czasie matka zrozumiała.

– Dlaczego? – zapytała cicho.

– Nie wiem. Powiada, że musi zostać. Musi, i koniec. Prosił, żebym mamę o tym zawiadomił.

– A jak się tu przeżywi?

– Nie wiem. Powiedział, że będzie łowił ryby.

Matka milczała dłużej chwilę.

– Rodzina się rozpada – westchnęła. – Sama nie wiem, co począć. Myśli zebrać nie potrafię. Po prostu nie mogę już myśleć. Za dużo tego dobrego.

– Da sobie radę, mam – powiedział bez przekonania Tom. – To dziwny typ.

Matka zwróciła zgaszone oczy ku rzece.

– Chyba już więcej nie potrafię myśleć.

Tom spojrzał na rząd namiotów i zobaczył Ruthie i Winfielda, którzy stali przed jednym z nich, pogrążeni w grzecznej rozmowie z kimś, kto znajdował się w środku. Ruthie kręciła w palcach rąbek spódniczki, a Winfield, palcem nogi drażył dziurę w piasku. Tom zawołał:

– Halo, Ruthie!

Podniosła wzrok i na widok starszego brata podbiegła drobnym kroczeniem ku niemu, a za nią Winfield. Gdy dziewczynka stanęła przed nim, Tom rozkazał:

– Skocz no, Ruthie, i zawołaj naszych. Śpią tam pod wierzbami. Przyprowadź ich. A ty, Winfield, powiedz Wilsonom, że wyruszymy, jak tylko da się najprędzej.

Dzieci zawróciły i ruszyły biegiem.

– Mamo, a jak się ma teraz babka? – spytał Tom.

– Ano spała trochę. Może jej lepiej. Jeszcze śpi.

– To dobrze. Ile zostało nam wieprzowiny?

– Niedużo, ze ćwierć beczułki.

– No tak, drugą beczułkę musimy napełnić wodą. Trzeba wziąć ze sobą wodę.

Z krzaków, gdzie spali mężczyźni, dobiegały przenikliwe nawoływania Ruthie.

Matka dołożyła wierzbowych gałązek do ognia, który zaczął trzaskać dokoła osmolonego garnka.

– Proszę Boga, żeby dał nam już odpocząć – wyznała. – Żeby Pan Jezus pozwolił nam wytchnąć w jakiejś ładnej miejscowości.

Słońce zniżało się ku poszarpanym, spalonym słońcem szczytom na zachodzie. Z garnka nad ogniem dobywało się gwałtowne bulgotanie. Matka weszła do namiotu i wróciła z fartuchem pełnym kartofli. Wrzuciła je do wrzącej wody.

– Proszę Boga, żeby pozwolił nam się trochę oprać. Nigdy jeszcze nie byliśmy tacy brudni. Nie myjemy nawet kartofli przed ugotowaniem. Sama nie wiem czemu. Chyba straciliśmy do wszystkiego serce.

Z zarośli wyszli gromadnie mężczyźni. Oczy mieli zaspane, twarze czerwone i nabrzmięte od dziennego snu.

– Co się stało? – zapytał ojciec.

– Jedziemy – wyjaśnił Tom. – Policjant kazał nam się wynosić. Wszystko jedno, bo i tak przez tę pustynię przejechać musimy. Jak dobrze pójdzie, to może uda się za jednym zamachem. Mamy przed sobą jeszcze blisko trzysta mil.

– Myślałem, że odpoczniemy tu trochę – zauważył ojciec.

– Nic z tego. Musimy się zabierać, tato. Noah nie jedzie z nami. Poszedł sobie w dół rzeki.

– Nie jedzie! A cóż mu, u diabła, do łba strzeliło? – Nagle ojciec zreflektował się. – Moja wina – powiedział zgnębionym głosem. – Ten chłopak to moja wina.

– Ale gdzie tam!

– Nie chcę o tym więcej gadać... nie mogę... ale to moja wina.

– W każdym razie musimy jechać! – zawołał Tom.

Wilson, który właśnie nadszedł, usłyszał ostatnie słowa.

– My nie możemy jechać – oświadczył. – Sairy już nie ma sił. Musi odpocząć, bo inaczej żywa przez pustynię nie przejedzie.

Zapadła cisza. Potem Tom powiedział:

– Był tu policjant i mówił, że jeśli nas tu jutro zastanie, to wszystkich zamknie.

Wilson potrząsnął głową. Oczy zamglila mu troska, twarz pod opalenizną pobiadła.

– No to trudno. Sairy nic może jechać. Zamkną nas do więzienia, trudno. Sairy musi odpocząć i wzmocnić się.

– A może zaczekamy i pojedziemy razem? – zaproponował ojciec.

– Nie – odparł Wilson. – Byliście dla nas dobrzy, ludzie z was zacni, ale zostać tu z nami nie możecie. Musicie jechać dalej, starać się o robotę i pracować. Nie pozwolimy wam zostać.

– Ale przecież wy nic nie macie – sprzeciwił się ojciec.

Wilson uśmiechnął się.

– Kiedy zabraliście nas ze sobą, też nic nie mieliśmy. Ale o to już się nie kłopotcie. I nie drażnijcie mnie. Musicie jechać, bo rozgniewam się na dobre.

Matka skinieniem głowy wywołała ojca do namiotu i coś mu zaczęła szeptać.

– Sairy prosi, żebyście do niej zajrzeli – zwrócił się Wilson do Casy’ego.

– W tej chwili – odpowiedział pastor.

Skierował się do małego, szarego namiotu Wilsonów, odchylił płócienną zasłonę i wszedł do środka. W namiocie panował zaduch i półmrok. Na ziemi leżał materac, a wokoło piętrzyły się porozrzucane rzeczy – tak, jak je zwalono z samochodu. Sairy leżała na materacu, oczy miała szeroko otwarte i błyszczące. Casy stał i patrzył na nią, schyliwszy wielką głowę. Po obu stronach szyi rysowały mu się napięte, żyłaste mięśnie. Zdjął kapelusz i trzymał go w ręku.

– Czy mój mąż mówił, że nie możemy jechać dalej? – spytała Sairy.

– Właśnie przed chwilą nam to powiedział.

– Chciałam jechać – ciągnęła niskim, miłym głosem. – Wiedziałam, że nie przeżyję tej drogi, ale zależało mi na tym, żeby przynajmniej on dojechał. Cóż, kiedy nie chce teraz jechać. Nie wie, jak jest naprawdę ze mną. Myśli, że jakoś wydobrzeję. Nie wie, że jest źle.

– Powiada, że nie pojedzie.

– Wiem. Jest uparty. Poprosiłam was tutaj, żebyście pomodlili się za mnie.

– Nie jestem już pastorem – odpowiedział cicho. – Moje modlitwy nie na wiele się zdadzą.

Zwilżyła językiem wargi.

– Byłam przy śmierci starego Joad’a. Odmówiliście wtedy modlitwę.

– To nie była modlitwa.

– Owszem, była – upierała się.

– Ale to nie była modlitwa, jaką powinien odmówić pastor.

– To była dobra modlitwa. Chciałabym, żebyście odmówili taką samą w mojej intencji.

– Nie wiem, co mówić.

Zamknęła na chwilę oczy i znów uniosła powieki.

– W takim razie pomódlcie się w myśli. Bez słów. To wystarczy.

– Nie wierzę już w Boga – bronił się.

– Owszem, wierzycie. To nic, że nie wiecie, jak On wygląda.

Casy spuścił głowę. Przyglądała mu się z niepokojem. Gdy podniósł wzrok, na twarzy jej odmalowała się ulga.

– Teraz się dobrze czuję – oznajmiła. – Tego właśnie było mi trzeba. Kogoś na tyle bliskiego, żeby się mógł za mnie pomodlić.

Potrząsnął głową, jak gdyby usiłował wyrwać się ze snu.

– Nie mogę tego zrozumieć – wyznał.

– Tak, ale wiecie, prawda? – odpowiedziała.

– Wiem – potwierdził – wiem, ale nie ogarniam tego rozumem. Może jednak odpoczniecie przez kilka dni i potem pojedziecie dalej?

Powoli pokręciła przecząco głową.

– Nic ze mnie nie zostało prócz skóry i bólu. Wiem, co mi jest, ale mu tego nie powiem. Zanadto by go to zasmuciło, a i tak nic by tu nie poradził. Może w nocy, kiedy będzie spał... A kiedy się obudzi, łatwiej to zniesie.

– Czy nie byłoby dobrze, żebyśmy nie pojechali i został z wami?

– Nie – odparła. – Nie. Gdy byłam małą dziewczynką, dużo śpiewałam. Ludzie mówili, że śpiewam tak pięknie jak Jenny Lind. Schodzili się słuchać mego śpiewu. I gdy tak stali, a ja śpiewałam, nie macie pojęcia, jak bardzo czułam się im bliska. Byłam im za to wdzięczna. Niewielu ludziom się to zdarza, żeby czuli się tak pełni życzliwości dla drugih i tak im bliscy – oni stali wokoło, a ja im śpiewałam. Myślałam, że będę występowała w teatrze, lecz nigdy do tego nie doszło. Ale wcale tego nie żałuję. W ten sposób nic nas nie rozdzieliło. I dlatego właśnie pragnęłam, żebyście wy właśnie pomodlili się za mnie. Chciałam jeszcze raz przeżyć to uczucie bliskości. Śpiew i modlitwa to przecież jedno, to zupełnie to samo. Szkoda, że nie słyszeliście, jak śpiewam.

Spojrzał z góry w jej oczy.

– Do widzenia – powiedział.

Potrząsnęła z wolna głową i zacisnęła wargi. Pastor wyszedł z mrocznego namiotu w oślepiającą słoneczną jasność.

Mężczyźni ładowali ciężarówkę. Stryj John stał na samochodzie, inni podawali mu rzeczy. Układał je starannie, dbając o utrzymanie równej powierzchni ładunku. Matka przełożyła ćwierć beczułki solonej wieprzowiny do garnka, a Tom i Al zabrali obydwie baryłki nad rzekę i wymyli je. Potem umocowali beczułki na stopniach i napełnili wodą, którą przynieśli w wiadrach. Następnie obwiązali je z wierzchu płóciennymi szmatami, aby woda się nie rozlewała. Na załadowanie czekała już tylko płachta namiotowa i materac babki.

– Z takim ładunkiem – odezwał się Tom – to stare pudło będzie się grzało jak choroba. Musimy mieć spory zapas wody.

Matka podała gotowane ziemniaki. Wyniosła z namiotu pół worka surowych i położyła obok garnka z wieprzowiną. Rodzina pożywiała się na stojąco, przestępując z nogi na nogę i przerzucając gorące ziemniaki z jednej ręki do drugiej, żeby je ochłodzić.

Matka poszła do namiotu Wilsonów, zabawiła tam dziesięć minut i wyszła cicho.

– Czas jechać – powiedziała.

Mężczyźni wsunęli się pod namiot. Babka wciąż spała z szeroko otwartymi ustami. Podnieśli ją ostrożnie wraz z materacem i ułożyli na wierzchu ciężarówki. Staruszka podciągnęła chude nogi i zmarszczyła brwi przez sen, ale się nie obudziła.

Stryj John i ojciec rozpięli płachtę na skrzyżowanych drążkach. Nad ciężarówką powstał w ten sposób mały, szczelny namiot. Zwisające boki płachty przywiązali do bocznych słupków skrzyni ładunkowej. Teraz byli gotowi. Ojciec wyciągnął sakiewkę i wygrzebał z niej dwa zmięte banknoty. Podeszedł do Wilsona i wręczył mu je.

– Chcielibyśmy, żebyście to wzięli. I tamto także – dodał, wskazując wieprzowinę i ziemniaki.

Wilson zwiesił głowę i potrząsnął nią gwałtownie.

– Tego nie zrobię. Sami nie macie za dużo.

– Mamy dosyć, żeby dojechać na miejsce – odparł ojciec. – Nie wszystko zostawiliśmy. A tam znajdziemy przecież zaraz robotę.

– Nie wezmę nic od was – upierał się Wilson. – I nie namawiajcie mnie, bo wpadnę w złość.

Matka wyjęła pieniądze z rąk ojca. Złożyła je starannie, położyła na ziemi i postawiła na nich garnek z wieprzowiną.

– Tu pozostaną – rozstrzygnęła. – Nie weźmiecie wy, to zabierze kto inny.

Nie podnosząc głowy, Wilson odwrócił się i odszedł do swego namiotu. Wszedł do środka, płócienna zasłona opadła za nim. Oczekali jeszcze kilka chwil, a potem Tom powiedział:

– Czas jechać. Założę się, że dochodzi już czwarta.

Rodzina wdrapała się na ciężarówkę. Na samym szczycie, koło materaca babki, ulokowała się matka. Tom, Al i ojciec usiedli w kabinie kierowcy. Winfield na kolanach ojca. Connie i Rose of Sharon umościli sobie

gniazdko za budą kabiny. Pastor, stryj John i Ruthie usadowili się wśród bagaży. Ojciec zawołał:

– Do widzenia, pani Wilson, do widzenia, panie Wilson!

Z namiotu nie doszła żadna odpowiedź.

Tom uruchomił silnik i samochód potoczył się ciężko naprzód. Gdy posuwali się wyboistą drogą pod górę, w kierunku Needles i szosy, matka obejrzała się. Przed namiotem stał Wilson z kapeluszem w rękę i patrzył za nimi. Słońce świeciło mu prosto w twarz. Joadowa skinęła mu ręką, lecz Wilson nie odwzajemnił gestu.

Tom prowadził ciężarówkę na drugim biegu, żeby oszczędzić resory na wybojach. W Needles zajechał przed stacją benzynową, sprawdził, czy w zużytych oponach jest dość powietrza, i skontrolował zapasowe opony przyczepione z tyłu. Napełnił zbiornik benzyną i kupił na zapas dwie pięciogalonowe bańki, a oprócz tego zaopatrzył się w dwugalonową bańkę oleju. Nalał wody do chłodnicy, wypożyczył mapę i przestudiował ją dokładnie.

Obsługujący stację benzynową chłopak w białym mundurze wydawał się niespokojny, dopóki nie otrzymał należności.

– Ale wy macie odwagę, ludzie! – dziwił się.

Tom spojrzał znad mapy.

– A bo co?

– No, żeby wybierać się przez pustynię takim gruchotem.

– A jechałeś kiedy tamtędy?

– Pewno. I to nie raz. Ale nie takim gratem.

– Jak się zdarzy kraksa, to może ktoś nas poratuje.

– Może. Ale ludzie boją się przystawać po nocy. Ja też miałbym pietra. Na to trzeba nie byle odwagi.

Tom uśmiechnął się.

– Nie trzeba odwagi, kiedy i tak nie ma wyboru. No, dziękuję. Jakoś się powlecziemy.

Wsiadł do ciężarówki i ruszył z miejsca. Chłopak w białym ubraniu wszedł do baraku z blachy, gdzie jego pomocnik mozolił się nad rachunkami.

– Cholera! Co za twarde typy!

– Te Oklaki? Oni wszyscy tacy.

– Za żadne skarby nie pojechalbym takim gratem.

– Cóż, ty i ja mamy trochę oleju w głowie. Ale te przeklęte Oklaki nie mają za grosz rozumu ani uczucia. To nie ludzie. Człowiek nie wyżyłby tak, jak oni żyją. Nie zniósłby takiego brudu i nędzy. Niewiele, cholera, różnią się od goryli.

– W każdym razie szczęśliwy jestem, że nie będę jechał przez pustynię tym sześciocyndrowym hudsonem. Klekoce jak młocarnia.

Drugi chłopiec zagłębił się znowu w rachunkach. Kropla potu spłynęła mu z palca i spadła na różowe formularze.

– Wiesz co, oni nie bardzo się przejmują. Tacy są tępi, że nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa. I, u diabła, nie znają lepszych warunków. Nie ma się co o nich martwić.

– Toteż się nie martwię. Pomyślałem tylko, że nie chciałbym być w ich skórze.

– To dlatego, żeś ty zakosztował czegoś lepszego, a oni nie. – I starł rękawem pot z różowego rachunku.

Ciężarówka wyjechała na szosę, wspinając się pod górę długim stokiem wśród zwietrzałych, popękanych skał. Silnik rozgrzał się bardzo szybko i woda w chłodnicy zaczęła się gotować. Tom zwolnił, prowadząc ostrożnie samochód. Droga przed nimi snuła się i wiała rozległym zboczem przez wymarły kraj, szarobiały, wypalony, bez żadnych śladów życia. Tom zatrzymał wóz tylko raz na parę minut, żeby silnik trochę ostygł, a potem ruszył dalej. Przejechali przełęcz, gdy słońce stało jeszcze wysoko, i spojrzeli na rozciągającą się u ich stóp pustynię – w dali widniały czarne jak żużel góry, a żółte światło słoneczne odbijało się od szarego pustkowia. Małe, nędzne krzaki szaławii i cierni rzucały ostre cienie na piasek i szczątki skał. Olśniewające słońce świeciło jadącym prosto w twarz. Tom przysłaniał ręką oczy, żeby móc dojrzeć cokolwiek. Przejechali szczyt i zjechali w dół z wysprzęglonym silnikiem, aby go trochę ochłodzić. Długim łukiem spuścili się na równinny teren pustyni. Obracający się wentylator studził wodę w chłodnicy. Tom, Al i Winfield na kolanach ojca wpatrywali się nieruchomym wzrokiem w rozżarzone zachodzące słońce, opalone ich twarze ociekały potem. Czarne pagórki przerywały jednostajność pejzażu, któremu czerwone blaski zachodzącego słońca dawały grozy.

– Co za piekielny kraj! – zawołał Al. – Chcielibyście wędrować tędy na piechotę?

– Byli tacy, co tego dokonali – odpowiedział Tom. – I znalazło się takich wielu. A skoro im się udało, to i nam mogłoby się udać.

– Sporo musiało tu zginąć – zauważył Al.

– Cóż, i u nas nie obeszło się bez strat.

Al milczał przez chwilę. Z obu stron ciężarówki przesuwała się czerwieniejąca w świetle zachodu pustynia.

– Tak sobie myślę – odezwał się znowu – czy też zobaczymy jeszcze kiedyś Wilsonów?

Tom rzucił wzrokiem na manometr olejowy.

– Mam przeczucie, że nikt już nie zobaczy Wilsonowej. Tak po prostu coś czuję.

– Tato, ja muszę wysiąść! – poprosił Winfield.

Tom spojrzał na braciszka.

– Może by wszyscy wysiedli, zanim wyruszymy na całonocną jazdę.

Zwolnił i zatrzymał ciężarówkę. Winfield wygramolił się z samochodu i oddał moczkę przy drodze. Tom wychylił się z kabiny.

– Wysiada kto jeszcze?

– My jakoś wytrzymamy! – zawołał stryj John.

– Winfield – powiedział ojciec – wdrap no się tam na górę. Nogi mi zdrętwiały od trzymania cię na kolanach.

Chłopiec zapiął spodenki, wdrapał się posłusznie przez tylną ścianę skrzyni na ciężarówkę i przeczołgał na czworakach przez materac babki do Ruthie.

Samochód ruszył. Zapadał zmrok. Rąbek tarczy słonecznej dotknął poszarpanej linii widnokręgu, rzucając na pustynię czerwony odblask.

– Nie chcieli cię już tam, co? – kpiła Ruthie.

– Sam nie chciałem. Tam nie było tak wygodnie jak tutaj. Nie mogłem się położyć.

– Tylko nie zwracaj mi głowy, nie nudź i nie gadaj! Chcę spać, a kiedy się obudzę, będziemy już na miejscu. Tom tak powiedział. To chyba będzie zabawne, zobaczyć tak raptem śliczny kraj.

Słońce zaszło, pozostawiając na niebie duży świetlny krąg. Pod płachtą zrobiło się niebawem ciemno jak w długiej pieczarze, której dwa końce tylko oświeślały płaskie trójkąty światła.

Connie i Rose of Sharon siedzieli oparci o kabinę kierowcy. Gorący powiew przenikający pod rozpięte płótno smagał im z tyłu głowy, płachta nad nimi łopotała. Przyciśnięci do drgającego płótna rozmawiali półgłosem, tak że nikt nie mógł ich słyszeć. Gdy Connie się odzywał, odwracał się i pochylał do ucha żony, ona przemawiała do niego w ten sam sposób. Rose of Sharon westchnęła.

– Ta jazda nigdy się już chyba nie skończy. Taka jestem zmęczona.

Connie przysunął głowę do jej ucha.

– Może rano. Chciałabyś, żebyśmy teraz byli sami? – Wyciągnął rękę w ciemności i pogłaskał Rose of Sharon po biodrze.

– Przestań! Doprowadzisz mnie do wariacji. Uspokój się! – Odwróciła głowę, żeby usłyszeć jego odpowiedź.

– Może jak wszyscy zasną – szepnął Connie.

– Może. Ale musimy zaczekać, aż zasną. Tylko że ty doprowadzisz mnie do wariacji, a oni mogą wcale nie usnąć.

– Ja już nie mogę wytrzymać – wyznał.

– Wiem. Ja tak samo. Pogadamy o tym, jak dojedziemy na miejsce. A teraz odsuń się, bo zwariuję.

Connie odsunął się trochę.

– Zaraz po przyjeździe zabieram się do wieczorowej nauki – oznajmił. – Trzeba będzie poszukać katalogów, w których piszą o tym, i wyciąć zaraz prospekt.

Westchnęła głęboko.

– A długo to potrwa, jak myślisz? – zapytała.

– Co jak długo potrwa?

– Jak długo potrwa, zanim dorobisz się pieniędzy i kupimy sobie lodówkę?

– To trudno powiedzieć – odparł z powagą. – Doprawdy, trudno to wykalkulować dokładnie. Do Bożego Narodzenia nauczę się chyba sporo.

– A jak tylko się wyuczysz, to chyba zaraz nakupimy rozmaitych rzeczy i postaramy się o lodówkę.

Connie parsknął stłumionym śmiechem.

– Teraz jest upał! Co będziesz robiła z lodówką koło Bożego Narodzenia? Zachichotała.

– Masz rację. Ale i tak chciałabym mieć lodówkę. Przestań, bo naprawdę zwariuję.

Zmierzch przeszedł w zupełną ciemność, na aksamitnym niebie ukazały się pustynne gwiazdy o ostrym, kłującym blasku. Upał był teraz nieco odmienny. Gdy słońce stało wysoko, żar bił z góry jak rozpalone cepy, teraz zaś buchał od dołu, z samej ziemi – ciężki, duszący. Zapalone reflektory oświetlały tylko mały kawałek szosy przed ciężarówką i wąski pas pustyni po obu stronach drogi. Tu i ówdzie błyskały w dali jakieś oczy, żadne jednak zwierzę nie wynurzało się z ciemności. Pod płachtą namiotową było teraz ciemno jak w studni. Stryj John i pastor, skuleni, wsparci na łokciach, wpatrywali się w trójkąt świetlny w końcu ciemnego tunelu. Widok na zewnątrz przesłaniały im dwie niewyraźne postacie – matki i babki. Od czasu do czasu dostrzegali jakiś ruch matki i jej ciemne ramię rysujące się na tle nieba.

Stryj John zwrócił się do pastora:

– Casy, kto jak kto, ale wy powinniście wiedzieć, co począć.

– Niby z czym?

– Sam nie wiem.

– No to skądże ja mam wiedzieć?

– Ano byliście przecie pastorem.

– Słuchajcie, John, każdy mnie zanudza dlatego, że byłem pastorem.

Pastor jest też tylko człowiekiem.

– To racja, ale pastor to człowiek zupełnie odmienny, inaczej nie zostałby pastorem. Chciałem was o coś zapytać... Jak myślicie, czy człowiek może przynieść nieszczęście innym?

– Nie wiem – odpowiedział Casy. – Nie wiem.

– Wiecie, byłem żonaty... z ładną, dobrą dziewczyną. Którejś nocy chwyciły ją bóle brzucha. Powiedziała do mnie: „Sprowadziłbyś, John, doktora”. A ja jej na to: „Po diabła ci doktor, obżarłaś się, i tyle”. – Położył rękę na kolanie Casy’ego, wpatrując się w niego poprzez ciemność. – A ona jak nie spojrzy na mnie! Potem jęczała całą noc, a nazajutrz po południu umarła.

Pastor wymamrotał coś niewyraźnie.

– Rozumiecie teraz chyba – mówił dalej John – że to ja ją zabiłem. Od tego czasu staram się to jakoś odrobić, zwłaszcza dogadzając dzieciakom. Chciałem też sam żyć, jak Pan Bóg przykazał, ale nie potrafię. Upijam się i wtedy jakbym się z łańcucha urwał.

– Każdemu to się przytrafia – powiedział Casy. – Mnie także.

– No tak, ale wy nie macie na sumieniu takiego grzechu jak ja.

Casy zaprzeczył łagodnie:

– Na pewno mam grzechy. Każdy ma jakieś grzechy na sumieniu. Zresztą, co do grzechu nigdy nie jest się całkowicie pewnym. Ci ludzie, którzy są pewni wszystkiego i nie poczuwają się do żadnego grzechu, to skurwysyny, i gdybym był Panem Bogiem, to kopniakiem w tyłek wyrzuciłbym ich z nieba. Nie ścierpiałbym takich.

– Czuję – wyznał stryj John – że przynoszę nieszczęście własnej rodzinie. Wydaje mi się, że powinienem pójść, dokąd oczy poniosą, i pozostawić ich w spokoju. Ciężko człowiekowi żyć z takimi myślami.

Casy odparł szybko:

– Wiem tylko jedno: człowiek powinien robić, co uważa za swój obowiązek. Nie mogę wam nic innego doradzić. Nie potrafię. Nie wierzę, żeby ktoś mógł sprowadzić nieszczęście. Jednej tylko rzeczy jestem pewien: żaden człowiek nie ma prawa wtrącać się do cudzego życia. Każdy musi układać je sobie sam. Pomagać komuś, owszem, ale nie mówić mu, jak powinien postępować.

– Naprawdę nie umiecie doradzić? – spytał stryj John z zawodem w głosie.

– Nie umiem.

– I myślicie, że popełniłem grzech, pozwalając tak umrzeć żonie?

– To zależy – powiedział Casy. – Kto inny uważałby, że to była tylko pomyłka, ale jeśli myślicie, że to był grzech, to pewnie macie rację. Człowiek najlepiej czuje sam, co mu na sumieniu ciąży.

– Muszę to wszystko jeszcze rozważyć – zakończył stryj John. Położył się na wznak i podciągnął w górę kolana.

Ciężarówka toczyła się naprzód po rozgrzanej ziemi, godziny mijały. Ruthie i Winfield zasnęli. Connie wyciągnął spomiędzy bagaży koc i okrył nim siebie i Rose of Sharon. Przywarli do siebie wśród upału, wstrzymując oddech. Po pewnym czasie Connie odrzucił koc i gorący podmuch, wdzierający się pod płachtę, owiał rzeźwym tchnieniem ich wilgotne ciała.

W tylnej części samochodu na materacu koło babki leżała matka. Nie mogła dojrzeć staruszki, lecz czuła, jak zmaga się jej ciało i walczy serce, słyszała rzęzący oddech. Powtarzała nieustannie:

– Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. – I dodawała ochryple: – Musimy się przedostać przez pustynię. Musimy.

Stryj John zawołał:

– Jak tam? W porządku?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim matka odpowiedziała:

– W porządku. Zdaje się, że się zdrzemnęłam.

Po pewnym czasie babka znieruchomiała. Matka leżała sztywno obok niej.

Godziny nocne płynęły jedna po drugiej, ciemności otaczały ciężarówkę. Niekiedy jadących wyprzedzały samochody kierujące się na zachód, czasem znów wielkie ciężarówki nadjeżdżały z zachodu i parły z warkotem na wschód. Gwiazdy spływały powolną kaskadą w dół ku zachodniemu krańcowi horyzontu. Dochodziła już północ, gdy dotarli do miasteczka Daggett, gdzie mieścił się punkt kontrolny. W tym miejscu droga była rzęsiście oświetlona, a również jasno oświetlony napis głosił: „Zjechać na prawą stronę i stanąć!”. Po biurze wałęsali się znudzeni urzędnicy, gdy jednak Tom nadjechał, wyszli i stanęli pod długą krytą wiatą.

Jeden z nich zanotował numer i podniósł maskę samochodu.

– O co chodzi? – zapytał Tom.

– Inspekcja rolnicza. Musimy skontrolować wasze rzeczy. Macie jakieś nasiona albo jarzyny?

– Nie – odparł Tom.

– Trzeba będzie przejrzeć wasze bagaże. Musicie wszystko wyładować.

Matka spuściła się ociężale z ciężarówki. Twarz miała obrzmiałą, wzrok twardy.

– Proszę pana, mamy ze sobą chorą staruszkę. Musimy ją zawieźć do lekarza. Nie możemy czekać. – Zdawała się walczyć z wybuchem hysterii. – Nie możecie nas tu zatrzymywać.

– Taak? Musimy jednak zrewidować wasz bagaż.

– Przysięgam, że nie mamy z sobą nic zakazanego! – zawołała. – Przysięgam! A babka jest ciężko chora.

– I pani też wygląda nie najlepiej – zauważył urzędnik

Matka podciągnęła się z ogromnym wysiłkiem na tylną ścianę ciężarówki.

– Patrzcie! – zawołała.

Urzędnik skierował światło latarki na starczą, pomarszczoną twarz.

– Słowo daję, prawda! – przyznał. – Przysięgacie więc, że nie macie ze sobą żadnych nasion ani jarzyn, ani zboża, ani pomarańczy, ani owoców?

– Nie, nie. Przysięgam!

– No to jedźcie! Znajdziecie doktora w Barstow. To zaledwie osiem mil stąd. Jazda!

Tom wsiadł i ruszył z miejsca. Urzędnik zwrócił się do swego kolegi:

– Nie mogłem ich zatrzymywać.

– A może to wszystko nabieranie – odparł tamten.

– O, z pewnością nie! Gdybyś widział twarz tej starej kobiety. Nie nabierali nas.

Tom jechał do Barstow ze zwiększoną szybkością. W miasteczku zatrzymał ciężarówkę, wysiadł i obszedł ją dokoła. Matka wychyliła się ku niemu.

– Wszystko w porządku – oznajmiła. – Nie chciałam, żebyśmy tam przystawali, bo bałam się, że nie dojedziemy.

– Aha! Ale jak się czuje babcia?

– Dobrze... zupełnie dobrze. Jedźmy dalej, Tom. Musimy jak najprędzej przejechać tę pustynię.

Tom potrząsnął głową i wrócił do kabiny.

– Al! – zawołał. – Nabiorę benzyny i ty siądziesz trochę za kierownicą.

Podjechał przed nocną stację benzynową, napełnił zbiornik, chłodnicę i skrzynię korbową. Al wśliznął się za kierownicę, a Tom usiadł z brzegu. Ojciec znalazł się pomiędzy nimi. Ruszyli w ciemność, niewielkie wzgórza otaczające Barstow pozostały za nimi.

– Nie wiem, co wstąpiło w matkę – powiedział Tom. – Ciska się jak pies, któremu pchła wlała w ucho. Rewizja nie trwałaby długo. Mówiła, że babka chora, a teraz powiada, że staruszka ma się dobrze. Nie mogę tego wszystkiego zrozumieć. Coś z nią niedobrze. W głowie jej się chyba pomieszało z tej jazdy.

– Matka jest dziś prawie taka jak wtedy, kiedy była jeszcze dziewczyną – odparł ojciec. – Ponosiło ją i wściekała się o byle co. I niczym jej nie można było napędzić stracha. Myślałem, że po tylu dzieciach i tylu latach ciężkiej pracy jest trochę mniej gwałtowna, ale gdzie tam! Powiadam wam, że jak wtedy złapała tę korbę, nie chciałbym być w skórze tego, który by jej chciał ją odebrać.

– Zachodzę w głowę, co jej się stało – mówił dalej Tom. – Może jest tylko zmęczona jazdą.

– A ja nie będę płakał ani lamentował – odezwał się Al – jak wreszcie dojedziemy. Mam ten cholerny wóz na sumieniu.

– Powiadam ci, że z wyborem tej ciężarówki udało ci się diablo szczęśliwie – odparł Tom. – Nie mieliśmy z nią prawie żadnego kłopotu.

Przez całą noc parli naprzód w gorącej, dusznej ciemności. W blasku reflektorów pojawiały się co jakiś czas dzikie króliki i umykały co tchu w długich podskokach. Gdy wędrowcy ujrzeni przed sobą światła Mojave, wstawał już za nimi świt. O pierwszym brzasku ukazały się na wschodzie wysokie góry. Nabrawszy w Mojave wody i oleju, wjechali z wolna w góry, gdy dokoła rozjaśniło się na dobre.

– No, pustynia już za nami! Tato, Al, wyjechaliśmy z pustyni! – zawołał Tom.

– Jestem tak cholernie zmęczony, że wszystko mi jedno.

– Może ja poprowadzę trochę samochód?

– Nie, jeszcze chwilę.

Przejechali przez Tehachapi w złotych blaskach poranka. Za nimi podnosiło się coraz wyżej słońce, aż nagle ujrzeni u swych stóp rozległą dolinę. Al zatrzymał samochód na środku drogi i zawołał:

– Rany boskie! Patrzcie!

Ujrzeni przed sobą winnice, sady, ogromną płaszczyznę pięknej, zielonej doliny, długie rzędy drzew owocowych i farmerskie domki.

– Boże wszechmocny! – powiedział ojciec.

W oddali miasta i miasteczka ukryte wśród sadów i poranne słońce złoćące dolinę. Za nimi rozległ się sygnał samochodu. Al zjechał na skraj szosy i stanął.

– Chciałbym trochę popatrzeć.

Łany zbóż w blasku poranka, rzędy wierzb i eukaliptusów.

– W głowie mi nie powstało, że jest coś takiego na świecie! – westchnął ojciec.

Drzewka brzoskwiniowe, gaje orzechów i ciemnozielone plamy drzew pomarańczowych, a wśród nich – czerwone dachy i stodoły, pełne stodoły.

Al wysiadł, żeby rozprostować nogi, i krzyknął:

– Mamo! Niech mama popatrzy, dojechaliśmy!

Ruthie i Winfield zsunęli się z ciężarówki i stanęli milczący i oszołomieni widokiem ogromnej doliny. Lekka mgiełka przesłaniała widok, a im dalej, tym rzeźba terenu była łagodniejsza. Wiatrak błyszczał w słońcu, jego obracające się skrzydła przywodziły na myśl heliograf. Ruthie i Winfield patrzyli na dolinę. Dziewczynka wyszeptała:

– To Kalifornia!

Winfield poruszał bezgłośnie wargami.

– Tam są owoce – powiedział głośno.

Potem wysiedli Casy i stryj John, Connie i Rose of Sharon. Stali w milczeniu. Rose of Sharon podniosła dłoń, aby odgarnąć włosy z czoła, lecz gdy ujrzała dolinę, ręka jej z wolna opadła.

– Gdzie jest mama? – niecierpliwił się Tom. – Chcę, żeby to zobaczyła. Niech mama tu zejdzie!

Matka spuszczała się powoli i sztywno po tylnej klapie ciężarówki.

Tom spojrział na nią.

– Co, u licha! Czy mama jest chora?

Twarz jej stężała i przybrała barwę kitu, oczy, okolone ze znużenia czerwonymi obwódkami, zapadły. Dotknęła stopami ziemi, zachwiała się i schwyciła samochodu.

– Mówisz, żeśmy już przejechali pustynię? – Głos jej przypominał krakanie.

Tom wskazał palcem rozległą dolinę.

– Niech mama patrzy!

Odwróciła głowę, usta jej rozchyliły się. Palce powędrowały ku szyi i ujęły drobną fałdkę skóry, szczypiąc ją bezwiednie.

– Dzięki Bogu! – powiedziała. – Cała rodzina już na miejscu.

Kolana ugięły się pod nią, usiadła na stopniu samochodu.

– Czy mama źle się czuje?

– Nie, jestem tylko zmęczona.

– Nie spała pewno mama?

– Oka nie zmrużyłam.

– Czy babci gorzej?

Matka spojrzała na swoje ręce, które spoczywały na kolanach niby para znużonych kochanków.

– Chciałabym jeszcze poczekać i nic wam nie mówić. Chciałabym, żeby wszystko było dobrze.

– To z babcią jest źle – domyślił się ojciec.

Podniosła oczy i wpatrywała się w dolinę.

– Babcia nie żyje.

Wszyscy spojrzeli na nią, a ojciec zapytał:

– Kiedy się to stało?

– W nocy, zanim nas zatrzymali.
– To dlatego nie pozwoliłaś im zaglądać do wozu?
– Bałam się, że nie przejedziemy pustyni. Powiedziałam babci, że nie możemy jej pomóc. Że rodzina musi jechać. Mówiłam jej to, kiedy już konała. Nie można było zatrzymywać się na pustyni. Myślałam o młodych i... o dziecku Rosasharn. Tłumaczyłam jej to wszystko. – Ukryła twarz w dłoniach i pozostała tak przez chwilę. – Pochowamy ją w ładnym miejscu, wśród zieleni – powiedziała miękko. – Wśród drzew, w pięknej okolicy. Niech już leży w Kalifornii.

Przerażona na widok takiej siły ducha, rodzina wpatrywała się w matkę nieomal ze zgrozą.

– Rany boskie! Leżała mama koło niej przez całą noc! – odezwał się Tom.
– Rodzina przecież musiała dojechać – odpowiedziała żałośnie.
Tom przysunął się, chcąc położyć rękę na jej ramieniu.
– Nie dotykaj mnie – broniła się. – Trzymam się jakoś, ale nie dotykaj mnie, bo już dłużej nie mogę.
– Trzeba ruszać – osądził ojciec. – Musimy zjechać w dolinę.
Matka podniosła na niego oczy.
– Czy... czy mogłabym usiąść z przodu? Nie chcę wracać na górę... Jestem taka strasznie zmęczona.

Wdrapali się z powrotem na ciężarówkę, omijając długą, sztywną postać, nakrytą i opatuloną kołdrą, którą owinięta była nawet głowa zmarłej. Każdy zajął swoje miejsce, usiłując nie patrzeć w tamtą stronę i nie widzieć pagórka na kołdrze nad nosem nieboszczki i stromego wzniesienia nad wystającą brodą. Starali się odwracać oczy od tego widoku, było to jednak ponad ich siły. Ruthie i Winfield zaszyli się w najdalszy kąt i nie spuszczali oczu z owiniętych w kołdrę zwłok.

– To i babcia już nie żyje – szepnęła Ruthie. Winfield skinął poważnie głową i dodał:

– Wcale nie oddycha. Umarła zupełnie.
Rose of Sharon powiedziała cicho do Conniego:
– Umierała właśnie, kiedy my...
– Nie mogliśmy przecież wiedzieć o tym – uspokoił ją.

Al wdrapał się na szczyt ładunku, żeby zrobić matce miejsce w kabinie. Nadrabiał trochę miną, by ukryć wzruszenie. Usiadł ciężko koło stryja Johna i Casy'ego, mówiąc:

– Ano, była już stara. Przyszedł na nią czas. Wszyscy kiedyś umrzemy.

Casy i stryj zwrócili ku niemu oczy pozbawione wszelkiego wyrazu i spojrzeli na niego tak, jakby był jakimś dziwnym gadającym krzakiem.

– No, czy nieprawda? – zapytał.

Wzrok ich pobiegł gdzie indziej. Al poczuł się dotknięty i sposepniał.

Casy mówił ze zdumieniem:

– Przez całą noc leżała przy niej, i to zupełnie sama. – I dodał: – John, to jest kobieta o tak wielkim sercu, że aż się jej boję. Czuję się przy niej taki mały i nędzny.

– A czy to czasem nie był grzech? – zastanawiał się stryj John. – Nie ma w tym nic grzesznego?

Casy obrócił się ku niemu ze zdziwieniem.

– Grzech? Nie, nie ma w tym nic grzesznego.

– A ja nigdy w życiu nie zrobiłem nic, w czym nie byłoby choć trochę grzechu – zwierzył się John, spoglądając na długie, owinięte kołdrą ciało.

Tom, matka i ojciec zajęli miejsca w kabinie. Tom uruchomił silnik własnym rozpędem samochodu. Ciężki wóz zjechał zboczem wzgórza w dół, trzęsąc się i trzeszcząc. Za jadącymi było słońce, przed nimi – złocistozielona dolina. Matka powoli obracała głowę to w prawo, to w lewo.

– Ślicznie tu! – zachwyciła się. – Szkoda, że staruszkowie nie mogą tego zobaczyć!

– Szkoda! – dorzucił ojciec.

Tom poklepał ręką koło kierownicy.

– Za starzy byli – rzekł. – Nie dostrzegliby tego wszystkiego. Dziadek wciąż widziałby tylko Indian i prerie, z czasów kiedy był młodym chłopcem. A babcia wspominałaby i miała przed oczami swój pierwszy dom, w którym mieszkała za młodu. Za starzy już byli. Naprawdę widzą to wszystko najlepiej Ruthie i Winfield.

– Patrzcie, nasz Tommy gada jak stary. Prawie jak jaki pastor – zauważył ojciec.

Matka uśmiechnęła się smutnie.

– Tak. Tommy jest już dorosły. Tak zmądrzał, że czasem nie potrafię się połapać w jego słowach.

Zjeżdżali teraz z góry wijącą się w dół spiralną serpentyną. Dolina raz po raz znikała im z oczu, by po chwili ukazać się znowu. Wędrowców upajało

gorące tchnienie, nasycone zapachem rozgrzanej szalwii i ziół oraz smolistą wonią żywicy. Z obu stron drogi grały świerszcze. Po szosie sunął grzechotnik. Tom trącił go kołem, zostawiając za sobą zmiażdżony, drgający kształt.

– Myślę, że musimy najpierw zgłosić śmierć babki u koronera, i to zaraz. Trzeba ją godnie pochować – odezwał się Tom. – Tato, ile nam zostało pieniędzy?

– Jakies czterdzieści dolarów.

Tom roześmiał się.

– Do diabła! Zaczynamy tu życie z pustą kieszenią. Przyjeżdżamy bez grosza przy duszy. – Śmiał się przez chwilę, lecz potem twarz jego nagle spoważniała. Naciągnął daszek czapki na same oczy. I ciężarówka zjechała stokiem górskim w rozległą dolinę.

Rozdział 19

Kalifornia należała niegdyś do Meksyku, a jej ziemie – do Meksykanów. Ale oto kraj zalała horda obdartych, chciwych ziemi Amerykanów. Głód ziemi był w nich tak silny, że zagarnęli cały kraj: rozkradli ziemie Suttera i Guerrery, znieśli poprzednie nadania i podzielili je, kłócąc się o nie i wodząc za łby – niepohamowani, nienasyceni, pilnujący zagrabionych gruntów z bronią w ręku. Pobudowali domy i stodoły, zaorali i obsiali pola. W ten sposób weszli w ich posiadanie, a posiadanie to przecież własność.

Meksykanie, słabi i zepsuci zbyt łatwym życiem, nie mogli oprzeć się napastnikom, bo żadne pragnienie nie było w nich tak silne jak przemożna żądza posiadania ziemi, ożywiająca nowych przybyszów.

Z czasem owi dzicy osadnicy stali się właścicielami gruntów. Dzieci ich dorosły i doczekały się własnych dzieci w nowym kraju. Przestał ich nękać głód – dziki, szarpiący wnętrzności głód ziemi, wody, roli pod przychylnym dla niej niebem, głód zielonej, kielkującej trawy i nabrzmiewających sokami korzeni. Wszystko to mieli, mieli w takiej obfitości, że już prawie nie dostrzegali tych rzeczy. Nie znali już uczucia targającej trzewia żądy posiadania kawałka żyznej gleby, lśniącego lemiesza, który by ją orał, ziarna do jej obsiania i wiatraka obracającego skrzydłami w powietrzu. Nie zrywali się już po ciemku, by słuchać pierwszego świergotu budzących się ptaków i podmuchów rannego wiatru wokół domu, nie wyczekiwali pierwszego brzasku, by wyruszać na tak bliskie sercu pola. Wszystko to minęło na zawsze, zbiory obliczano teraz w dolarach, wartość ziemi stanowił włożony w nią kapitał plus procenty, płody rolne zaś sprzedawano i kupowano, zanim jeszcze ziarno spoczęło w ziemi. Nieurodzaj, susza, powódź to nie były już klęski stanowiące o życiu lub śmierci, lecz zwykłe pieniężne straty. Dawną miłość do ziemi osłabiły pieniądze, dawna zaciętość skoncentrowała się na zyskach, aż w końcu nie byli to już farmerzy, ale drobni sklepikarze produktów rolnych, mali fabrykanci

sprzedający to, czego jeszcze nie zdążyli wyprodukować. A jeszcze później ci spośród farmerów, którzy nie potrafili stać się sprytnymi sklepikarzami, stracili swą ziemię na rzecz tych, co okazali się sprytniejsi. Najzdolniejszy nawet człowiek, najbardziej rozmiłowany w gospodarstwie i ziemi, nie mógł się na niej utrzymać, jeśli nie był zarazem dobrym kupcem. Stopniowo farmy przeszły w posiadanie ludzi interesu, powiększyły się znacznie, ale było ich coraz mniej.

Rolnictwo stało się przemysłem, a właściciele posiadłości ziemskich zaczęli na wzór dawnych Rzymian, nie zdając sobie z tego sprawy, sprowadzać niewolników, choć ich tak nie nazywali: Chińczyków, Japończyków, Meksykańów, Filipińczyków. Mówili, że ludzie ci żywią się jedynie ryżem i fasolą. Że nie mają prawie żadnych potrzeb. Że nie wiedzieliby, co zrobić z pieniędzmi, gdyby więcej zarabiali.

Spójrzcie, proszę, jak oni żyją! Popatrzcie, co jedzą! Gdyby zaczęli grymasić, to się ich po prostu wywiezie.

A przez cały ten czas majątki powiększały się stale, liczba zaś właścicieli malała. Pozostała już tylko znikoma garstka farmerów. Sprowadzonych niewolników bito, terroryzowano, głodzono, aż w końcu niektórzy spośród nich wrócili do swych krajów, tych zaś, którzy się buntowali, zabito lub wypędzono. A majątki wciąż się rozrastały, liczba zaś właścicieli wciąż malała.

Uprawiano też teraz inne płody. Miejsce zbóż zajęły drzewa owocowe, w dolinach wyrosły warzywa, które wysyłano w świat: sałata, kalafiory, karczochy, ziemniaki, warzywa wymagające uciążliwej pracy w pozycji schylonej. Gdy człowiek ma w dłoni sierp, kosę, pług, widły – pracuje, stojąc. Musi jednak pełzać jak robak wśród zagonów sałaty, musi zginać grzbiet i wlec długi worek między rzędami bawełnianych krzaczków, musi, niby skruszony grzesznik, czołgać się wzdłuż grzędy kalafiorów.

Doszło do tego, że właściciele farm przestali zupełnie na nich pracować. Gospodarowali na papierze, zapominając o ziemi, zapominając, jaki ma zapach i jaka jest w dotyku. Pamiętali jedynie, że jest ich własnością, pamiętali, co na niej zyskali lub stracili. Niektóre farmy stały się tak wielkie, że jeden człowiek nie mógł już nimi rządzić; trzeba było całej armii buchalterów, którzy śledzili stale rentowność gospodarstwa, jego zyski i straty, trzeba było chemików do badania i użyźniania gleby, nadzorców do pilnowania, by zgięci wpół robotnicy poruszali się wzdłuż

grządek z największą szybkością, na jaką ich było stać. Odtąd właściciel ziemski stał się istotnie kupcem prowadzącym wielką hurtownię. Opłacał swych pracowników, a potem sprzedawał im żywność, wyciągając z nich z powrotem swoje pieniądze. Z czasem przestał im w ogóle płacić, oszczędzając sobie kosztów prowadzenia rachunkowości. W takich gospodarstwach wydawano żywność na kredyt. Robotnik pracował i brał produkty żywnościowe, nie płacąc za nie, lecz gdy skończył pracę, okazywało się nieraz, że miał wobec właściciela długi. Właściciele zaś, nie tylko że nie pracowali już na swych majątkach, ale wielu z nich nie widziało ich nigdy na oczy.

A potem napłynęła fala wysiedleńców z Kansas, Oklahomy, Teksasu, Nowego Meksyku, Newady, Arkansas – rodziny i rody całe, które wypędził opadający na pola kurz i ciągniki. Wyładowane ciężarówki, karawany bezdomnych i głodnych – dwadzieścia tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy, sto tysięcy, dwieście tysięcy. Płynęli przez góry wygłodzeni i niespokojni jak mrówki, uganiali się za zarobkiem i pracą, pragnący nosić, pchać, ciągnąć, zbierać, ciąć cokolwiek – gotowi dla chleba dźwigać każde brzemie. Dzieci są głodne! Nie mamy gdzie mieszkać! Rozbiegani jak mrówki, spragnieni pracy, pożywienia, a nade wszystko – ziemi.

Nie jesteśmy przecież obcy. Jesteśmy Amerykanami od siedmiu pokoleń, potomkami Irlandczyków, Szkotów, Anglików, Niemców. Jeden z naszych przodków walczył podczas Rewolucji, a wielu w czasie Wojny Domowej – po jednej lub drugiej stronie. Jesteśmy Amerykanami!

Byli głodni i doprowadzeni do rozpacz. Tam, gdzie spodziewali się znaleźć dom, spotkali się jedynie z nienawiścią. Oklacy! Obszarnicy nienawidzili ich dlatego, że sami byli słabi i zgnusniali, Oklacy zaś – twardzi i mocni, że byli syci, a Oklacy – głodni. A może dziadkowie opowiadali im, jak łatwo jest zagarnąć ziemię słabemu, gdy człowieka ogarnia rozpacz, gdy jest głodny i ma broń w ręku. Obszarnicy nienawidzili więc nowych przybyszów. A w miastach nienawidzili ich sklepikarze, bo przesiedleńcy nie mieli pieniędzy na zakup towarów. Sklepikarz gardzi ludźmi bez pieniędzy, a uwielbia tych, co je mają. Drobnicy bankierzy nienawidzili Oklaków, bo nie mogli nic na nich zarobić. Oklacy nie mieli nic. Robotnicy wreszcie nienawidzili ich dlatego, że człowiek głodny musi pracować, a gdy musi, gdy do pracy zmusza go głód, pracodawca automatycznie obniża płace i wtedy nikt już nie zarobi więcej.

A wyrzuceni ze swej ziemi wygnańcy napływali wciąż do Kalifornii – dwieście pięćdziesiąt tysięcy, trzysta tysięcy. Tam, w kraju, ciągniki wjeżdżały na pola, wypierając kolejnych dzierżawców. I znów nowe fale płynęły drogami, nowe fale wywłaszczonych, bezdomnych, gotowych na wszystko, zawziętych, niebezpiecznych.

Gdy więc Kalifornijczycy pragnęli gromadzić jak największe bogactwa, dążyli do powodzenia życiowego, wygody, zbytku i zabezpieczenia bankowego, nowi barbarzyńcy chcieli tylko dwóch rzeczy: ziemi i pożywienia, co według nich równało się jednemu. Pragnienia Kalifornijczyków były mgliste i nieokreślone, natomiast przedmiot pożądań Oklaków – widzialny i upragniony – leżał tuż przy drodze: żyzne pola, na których można dokopać się wody, piękne, zielone pastwiska, ziemia, która aż się prosi, by ją na próbę rozetrzeć w palcach, trawa, której woń wdycha się z rozkoszą, żdźbła owsa, które żuje się tak długo, aż poczuje się w gardle cierpkawą słodycz. Patrzyli na leżącą odłogiem ziemię i widzieli, widzieli w wyobraźni, jak ich zgięte grzbiety i wysiłek natężonych ramion wydobywają na jej powierzchnię głowy kapusty, rzepę, marchew, złocistą kukurydzę.

Bezdomny, głodny tułacz, przemierzający drogi w ciężarówce z żoną i wychudzonymi dziećmi, patrzył na ugory, które mogłyby dawać nie zyski, lecz chleb, i rozumiał coraz lepiej, że pozostawione odłogiem pole to grzech, a nieuprawiana ziemia to zbrodnia popełniona na głodnych dzieciach. Człowiek taki jechał drogami i na widok każdego pola doznawał pokusy, nie mógł oprzeć się żądzy zagarnięcia tej ziemi, by zapewnić zdrowie dzieciom i trochę wygod żonie. Pokusę tę miał stale przed oczyma. Podniecał go widok pól, podniecał widok wody płynącej obficie rowami nawadniającymi, przeprowadzonymi przez spółki rolne.

A na południu kraju widział złociste pomarańcze wiszące na drzewach, małe, złociste pomarańcze wśród ciemnozielonych liści, obok nich zaś strażników z fuzjami nabitymi śrutem, pilnujących, by jadący drogą podróżny nie mógł zerwać owoców, które wyrzucano na śmietnik, gdy cena na nie była zbyt niska.

Wędrowiec wjeżdżał swoim starym samochodem do miasta. Rozbijał się po całej okolicy w poszukiwaniu pracy. Gdzie moglibyśmy przenocować?

Ano tam, nad rzeką, w Hooverville. Siedzi tam już cała kupa Oklaków.

Jechał więc do Hooverville. A potem nie pytał już nigdy o nocleg, bo takie Hooverville znajdowało się na krańcach każdego miasta.

To osiedle nędzy położone było tuż nad wodą. Tworzyły je nie domy, lecz namioty, kryte zielskiem budy, szalasy z tektury, tworzące razem bezkształtną masę różnorodnych odpadków. Człowiek wjeżdżał tu z rodziną i stawał się obywatelem Hooverville – osiedla te zawsze nazywały się Hooverville. Przybysz wznosił swój namiot jak najbliżej wody, a gdy nie miał namiotu, siedł na śmietnik po wyrzucone tam kawałki tektury

I budował z nich dom. Przy pierwszym deszczu dom taki nasiąkał wodą i rozlaził się w oczach. Osiedliwszy się w Hooverville, nowy mieszkaniec rozjeżdżał po okolicy w poszukiwaniu pracy, wydając na benzynę resztę pieniędzy, jakie mu pozostały. Wieczorami mężczyźni zbierali się, by porozmawiać. Siedząc w kucki, rozprawiali o nowo poznanym kraju.

Na zachód stąd ciągnie się trzydzieści tysięcy akrów ziemi. Leżą odłogiem. Żeby tak mieć, cholera, z pięć akrów, czego by człowiek z tego nie zrobił! Nic by mu nie brakowało, chyba tylko, psiakrew, ptasiego mleka!

A zauważyliście, że na farmach tutejszych nie sadzą warzyw i nie hodują ani kur, ani świń. Uprawiają zawsze tylko jedną rzecz: na przykład bawełnę albo tylko brzoskwinie lub sałatę. Muszą kupować to, co mogliby mieć z własnego gospodarstwa.

Do licha! Czego by się człowiek nie dorobił, mając parę świniaków!

Ano, nie macie ich i nie będziecie mieli.

Ale co tu począć? Jak dzieci wychować?

Po obozach rozniosła się powtarzana szeptem wiadomość, że w Shafter potrzeba robotników. Więc łąduje się w nocy samochody, na szosach robi się tłok, ludzi ogarnia szal zdobycia pracy, istna gorączka złota. Wymykają się chyłkiem w nocy, opętani myślą możliwości zarobku. W Shafter zaś cisną się i tłoczą, jest ich dziesięć razy za dużo. Gorączka pracy.

A tuż przy drodze leżała pokusa: pola, które mogły ich wszystkich wyżywić.

Ale to cudza własność. To nie nasze.

Prawda, ale może dałoby się urwać z tego kawałek i dla nas. Choćby maleńki skrawek. O, tam, tę malutką działkę! I tak zarosła cała zielskiem. Z tej działki miałbym, do diabła, dość ziemniaków, by wyżywić całą rodzinę!

Ale to nie nasze. Niech sobie zarasta zielskiem.

Od czasu do czasu ktoś na próbę ryzykował: zakradłszy się na pole, oczyszczał kawałek gruntu, usiłując jak złodziej wydrzeć ziemi odrobinę jej skarbów. Potajemne ogródki ukryte wśród chwastów. Paczuszka nasion marchwi i kilka sztuk rzepy. Zasadzone łupiny kartofli. Wykradali się w nocy, by kopać skradzioną ziemię.

Zostawcie zielsko dokoła, a nikt nie spostrzeże, co robimy. Zostawcie trochę chwastów w środku, te najwyższe.

Wieczorami po kryjomu praca w ogródku, woda noszona w zardzewiałej puszcze.

A potem, któregoś dnia – zastępca szeryfa.

No, jak wam się zdaje, co wy tu właściwie robicie?

Nie robię chyba nic złego.

Nie od dziś mam was na oku. To nie wasza ziemia. Popelniacie przestępstwo.

Ziemia niezaorana i nie krzywdzę przecież nikogo.

Przekłete Oklaki! Jeszcze trochę, a powiecie, że to wasza ziemia. Przywiążecie się do niej jak diabli! I będziecie odstawiać gospodarza. Wynocha stąd!

Zielone listeczki marchwi i rzepy zostają zdeptane i stratowane. Na ich miejscu wyrastają znowu chwasty. Ale policjant wiedział, co mówi. Kiedy człowiek zbierze plon, działka jest już jego własnością. Gdy ziemia jest skopana, a marchew zjedzona, człowiek gotów jest bić się o ten kawałek gruntu, który go żywił. Dlatego właśnie musi się wynosić. Ubrda sobie jeszcze, że to jego własność. Gotów byłby bić się o ten mały skrawek wśród chwastów.

Żebyście widzieli minę chłopca, kiedy podeptałem tę jego rzepę! Jeszcze trochę, a taki zabije człowieka, ledwie na niego spojrzy. Trzeba ich trzymać krótko, bo inaczej zagarną cały kraj. Dorwą się do ziemi i już jej nie oddadzą.

Przybłądy!

No tak, mówią tym samym co i my językiem, ale nie są do nas podobni. Popatrzcie tylko, jak oni żyją! Pomyślcie, kto z nas chciałby tak żyć! Nikt chyba, do jasnej cholery!

Wieczorami wysiadki w kucki i rozmowy. Rozlega się jakiś rozdrażniony głos:

Czemu nie zbierze się nas dwudziestu i nie weźmie razem kawałka ziemi? Mamy przecież strzelby. Weźmiemy i niech nas kto spróbuje ruszyć z miejsca. Czemu tego nie robimy?

Wystrzelają nas jak szczury.

No tak, ale nie wiadomo, co lepiej: umrzeć czy siedzieć tutaj. Pod ziemią czy w budzie ze starych worków. Co lepsze dla naszych dzieci: skonać zaraz czy za dwa lata na tę... jak oni to nazywają... awitaminozę? Czy wiecie, co my przez cały już tydzień jemy? Siekaną pokrzywę i prażuchę! A wiecie, skąd mamy mąkę na prażuchę? To zmiotki z podłogi ciężarówki.

Wieczne rozmowy po obozach – i ludzie szeryfa, chłopcy o tłustych zadach, z pistoletami zwisającymi z tłustych bioder, snujący się z minami władców.

Trzeba im napędzić rozumu do głowy i wziąć ich za pysk, oni są zdolni do wszystkiego. Słowo daję, tak samo niebezpieczni jak Murzyni na Południu. I jak się kiedy zbiorą razem, nie będzie już na nich rady.

Z prasy: „W Lawrenceville eksmitowany z zajętej nieprawnie ziemi dziki osadnik stawiał czynny opór, wobec czego zastępca szeryfa musiał użyć przemocy. Jedenastoletni syn osadnika wystrzałem z fuzji położył go trupem na miejscu”.

Jadowite gady! Nie warto z nimi ryzykować, strzelajcie od razu, zanim podniosą głos. Jeżeli taki szczeniak zabija policjanta, to co potrafią dorośli? Grunt to wziąć się do nich ostro. Napędzić im strachu.

A jeżeli nie dadzą się zastraszyć? Jeżeli powstaną, chwycą za broń i odpowiedzą strzałami na strzały? Ci ludzie od dziecka zżyli się z bronią. Fuzja to jak gdyby przedłużenie ich ramienia. Co zrobimy, jeśli się nie ulękną? Co będzie, jeśli pewnego dnia cała ich armia pomaszeruje na nasz kraj, jak niegdyś Lombardowie ruszyli na Italię, Germanowie na Galię, Turcy na Bizancjum? Były to także spragnione ziemi, słabo uzbrojone hordy, a przecież legiony nie dały im rady. Nie powstrzymały ich ani masowe rzezie, ani terror. Czy można nastraszyć człowieka, któremu głód skręca jego własne wnętrzności i puste żołądki jego dzieci? Niepodobna go nastraszyć, bo poznał już strach, z którym żaden inny nie może się równać.

A w Hooverville toczą się takie rozmowy:

Dziadek odebrał ziemię Indianom.

Nie, to nie jest w porządku. Gadać można dużo, ale to, co wy mówicie, to po prostu rabunek. A ja nie jestem złodziejem.

Nie? A kto przedwczoraj ukradł butelkę mleka spod cudzego progu? A nie ukradłeś miedzianego drutu, nie wymieniałeś go na kawałek mięsa?

Tak, ale to było dla głodnych dzieciaków.

Dla dzieciaków czy nie dla dzieciaków, zawsze to złodziejstwo.

A czy wiecie, jak Fairfield dorobił się farmy? Opowiem wam. Cała ziemia należała wtedy do rządu i można było dostać nadania na małe parcele. Stary Fairfield pojechał do San Francisco, obszedł knajpy i zebrał trzystu żebraków. Każdy z nich postarał się o parcelę. Fairfield postawił im wódkę i zakąski, a kiedy już wszyscy dostali nadania, wycygał je od nich. Opowiadał potem, że akr ziemi kosztował go kwartę kiepskiej wódki. Powiedzcie teraz: czy to było złodziejstwo, czy nie?

No tak, uczciwe to nie było, ale on i tak za to nie siedział.

Nie, do kryminału się nie dostał. A inny znowu przytaszczył na wóz łódkę, usiadł w niej i napisał do władz, że wszystko zalała mu woda, a on siedzi w łódce. Ten też do kryminału nie poszedł. A byli tacy, co przekupywali członków Kongresu i senatorów, i też nic im za to nie było.

W całej Kalifornii, po wszystkich Hooverville'ach nie ustaje gadanie. Więc zaczynają się obławy – naloty zbrojnych oddziałów policji na obozy dzikich osadników.

Wynosić się stąd! Nakaz Ministerstwa Zdrowia. Ten obóz zagraża zdrowiu publicznemu.

A gdzież my mamy się podziać?

To nie nasza sprawa. Mamy rozkaz usunięcia was stąd. Za pół godziny podpalamy obóz.

Tam dalej w namiotach są chorzy na tyfus. Chcecie, żeby się choroba rozszerzyła?

Mamy rozkaz usunąć was stąd. Jazda! Za pół godziny podpalamy obóz.

Po upływie pół godziny z tekturowych i krytych zielskiem szałasów unosi się ku niebu dym, po szosach toczą się ciężarówki, a ludzie siedzący w nich wypatrują nowego Hooverville.

A w Kansas, w Arkansas, w Oklahomie, w Teksasie i w Nowym Meksyku wyjeżdżają na pola, wypierając dzierżawców, coraz to nowe ciągniki. Trzysta tysięcy w Kalifornii, a nadciągają ciągle nowi. Drogi przepełnione

oszałymi, rojącymi się jak mrówki ludźmi, którzy chcieliby ciągnąć, pchać, dźwigać – pracować. By unieść ciężar nieprzekraczający sił jednego człowieka, wyciąga się pięć par ramion, na posiłek jednego czeka pięć otwartych ust.

A wielcy posiadacze muszą utracić swe ziemie w nieuniknionym przewrocie, bogaci obszarnicy, którzy powinni rozumieć historię, którzy mają oczy, aby ją odczytać i poznać tę wielką prawdę, że gdy własność gromadzi się w zbyt nielicznych rękach, musi być im odebrana. I tę drugą prawdę, że gdy większość ludzi cierpi głód i zimno, to bierze sobie to, co jej potrzeba, przemocą. I jeszcze tę ostatnią, krzyczącą prawdę, która rozlega się echem w dziejach świata: represje mają jedynie ten skutek, że wzmagają opór i jednoczą prześladowanych. Wielcy posiadacze puścili mimo uszu te trzy ostrzeżenia historii. Ziemia gromadziła się w rękach coraz mniejszej garstki ludzi, liczba wysiedlonych rosła, a wszelkie wysiłki obszarników skierowane były ku wzmocnieniu represji. W celu ochrony wielkiej własności wydawano pieniądze na broń, na bomby łzawiące, rozsyłani zaś po kraju szpiegdy słuchali każdego pomruku rewolty, by zgnieść bunt w zarodku. Zlekceważono problem ewolucji ekonomicznej, odrzucono projekty zmian. Brano pod uwagę jedynie środki do stłumienia rewolty, gdy tymczasem przyczyny jej trwały nadal.

Ciągniki, które stają się przyczyną bezrobocia, miejskie koleje okólne przewożące towary, maszyny przetwórcze – wszystko to rosło w liczbę. Coraz więcej rodzin wędrowało drogami, szukając okruchów z wielkich własności ziemskich, pożądając namiętnie ziemi leżącej odłogiem przy szosie. Wielcy obszarnicy łączyli się dla ochrony swych posiadłości w związki i zbierali się, by omawiać wspólnie metody zastraszania, zabijania, stosowania bomb łzawiących. Stale wisiała nad nimi najstraszniejsza groźba: owe trzysta tysięcy! Bo gdy one ruszą kiedykolwiek pod czymś przewodem – to koniec! Trzysta tysięcy głodnych, pogrążonych w nędzy ludzi! Jeśli zdadzą sobie sprawę z własnej siły, zagarną cały kraj i nie powstrzymają ich żadne bomby łzawiące ani karabiny. Lecz obszarnicy na skutek swego bogactwa stali się jakimiś nadludźmi, a zarazem mniej niż ludźmi; szli ku własnej zagładzie, nie cofając się przed żadnymi środkami, które na dalszą metę musiały doprowadzić do ich zguby. Każda akcja, każdy gwałt, każda oblawa w Hooverville, każdy policjant kroczący z miną pana i władcy przez obóz

nędzy odsuwały nieco dzień zagłady, utwierdzając zarazem jej nieuchronność.

Siedzący w kucki mężczyźni – ludzie o wyostrzonych rysach, wychudzeni z głodu, stwardniali w ustawicznej z nim walce, ludzie o posępnym spojrzeniu i zaciśniętych szczękach. A wokoło nich – kraj żyzny, bogaty.

Słyszeliście o tym dziecku w czwartym namiocie?

Nie, dopiero co przyjechałem.

Ano, chłopczyzna płakał i rzucał się we śnie. Rodzice myśleli, że ma robaki. Zrobili mu lewatywę i dzieciak umarł. To taka choroba, od której podobno dzieciom język czernieje. Powiadają, że to z braku dobrego wyżywienia.

Biedny dzieciak!

Tak, ale rodzina nie ma go za co pochować. Będzie musiał leżeć na cmentarzu dla ubogich. O, do pioruna!

I oto ręce wędrują do kieszeni, by wydobyć z nich drobne monety. Przed namiotem wyrasta kupka srebra. Znajduje ją tam rodzina chłopczyka.

Ludzie nasi są poczciwi, ludzie nasi mają dobre serca. Prośmy Boga, aby stali się kiedyś bogaci. Módlmy się, aby nadszedł dzień, w którym dzieci nie będą głodne.

Ale związki obszarników wiedziały dobrze, że pewnego dnia ustaną wszelkie modlitwy.

A wtedy – koniec.

Rozdział 20

Siedzący na wierzchu załadowanej ciężarówki Connie, Rose of Sharon, pastor i dzieci zdrętwieli i ścierpli. Tkwili w pełnym słońcu przed biurem koronera w Bakersfield, czekając na ojca, matkę i stryja Johna, którzy załatwiali sprawę w urzędzie. Po pewnym czasie przyniesiono kosz i zdjęto z wozu podłużny tłumok. Siedzieli w słońcu, a tymczasem prowadzono dochodzenie, ustalono przyczynę śmierci, podpisywano akt zgonu.

Al i Tom przechadzali się po ulicy, oglądając wystawy sklepów i przypatrując się nieznajomym mijanym na chodniku.

Wreszcie ojciec, matka i stryj John wyszli z urzędu, przygnębieni i milczący. Stryj John wdrapał się na wierzch załadowanego samochodu. Ojciec i matka zajęli miejsca w kabinie. Nadeszli Tom i Al, Tom usiadł za kierownicą. W milczeniu czekał na jakąś wskazówkę. Ojciec utkwiał wzrok przed siebie, nasunawszy ciemny kapelusz głęboko na oczy. Matka tarła palcami kąciki ust. Wzrok jej błodził gdzieś daleko, pełen śmiertelnego znużenia.

Ojciec westchnął głęboko.

– Nie było innej rady.

– Ja wiem – potwierdziła matka. – Ale babcia tak chciała mieć ładny pogrzeb. Zawsze to mówiła.

Tom spojrzał z ukosa na rodziców.

– Cmentarz dla ubogich, tak? – zapytał.

– Tak. – Ojciec skinął szybko głową, jak gdyby pragnął wrócić do rzeczywistości. – Nie mieliśmy dość pieniędzy. Nie bierz sobie tego do serca. Nie mogliśmy inaczej w żaden sposób, choćby nie wiem co. Po prostu nie stać nas na to wszystko: balsamowanie, trumna, pastor, miejsce na cmentarzu. Kosztowałyby to dziesięć razy więcej, niż mamy przy sobie. Zrobiliśmy wszystko, co było można.

– Ja wiem – przyznała matka. – Tylko nie mogę zapomnieć, jak babci zależało na pięknym pogrzebie. Muszę jednak przestać o tym myśleć. – Westchnęła ciężko i znowu potarła kącik warg. – Zaczyna jakiś człowiek ten urząd. Strasznie ważny, ale pocziwy.

– Tak – potwierdził ojciec. – Choć gadał z nami bez ogródek, to prawda.

Matka odgarnęła ręką włosy z czoła. Szczęki jej zacisnęły się.

– Musimy jechać – oświadczyła. – Musimy sobie znaleźć jakieś miejsce na stałe. Musimy dostać robotę i osiedlić się. Nie można pozwolić, żeby dzieciaki były głodne. Babcia nigdy by się na to nie zgodziła. Po każdym pogrzebie lubiła dobrze zjeść.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Tom.

Ojciec zdjął kapelusz i podrapał się w głowę.

– Do obozu – zdecydował. – Nie możemy wydawać tych paru groszy, które nam zostały, póki nie dostaniemy pracy. Jedź za miasto.

Tom uruchomił ciężarówkę. Jechali ulicami w kierunku przedmieścia. Tuż za miastem, w pobliżu mostu, ujrzeli skupisko namiotów i szałasów. Tom zauważył:

– Na dobrą sprawę możemy się tu zatrzymać. Dowiemy się, co słychać i czy jest tu gdzie jaka robota.

Zjechał stromym, urwistym zboczem i zatrzymał wóz na skraju obozu. Było to przypadkowe zbiorowisko rozrzuconych bez ładu i składu małych, szarych namiotów, bud i samochodów. Pierwsza z brzegu siedziba ludzka przedstawiała widok nieprawdopodobny. Południową jej ścianę zrobiono z trzech arkuszy zardzewiałej blachy falistej, ścianę wschodnią stanowił zbutwiał dywan rozpięty między dwoma deskami, północną – kawał papy z dachu i strzęp podartego żaglowego płótna, zachodnią – sześć kawałków starych worków. Prostokątną tę klatkę przykrywały nieciosane gałęzie wierzbowe i trawa, której nie ułożono równo jak dach, lecz narzucono byle jak małymi kępkami. U wejścia, od strony ściany z worków, piętrzyły się różne gospodarskie rupiecie. Pięciogalonowa bańka od nafty zastępowała piec. Położono ją bokiem, wpuściwszy w jeden jej koniec zardzewiały kawałek rury. Przewrócony kocień do bielizny opierał się o ścianę. Dookoła leżała cała kolekcja skrzynek i pak, na których siadało się i na których się jadło. Obok szałasów stał zaparkowany ford sedan model T z dwukołową przyczepą. Wokół panował nastrój niechlujstwa i rozpacz.

Obok wznosił się namiocik spłowiały od słońca i deszczów, lecz rozbity porządnie i starannie. Od frontu, tuż przy płóciennnej ścianie, ustawiono kilka pak. Spod zasłony zamykającej wejście sterczała rura od pieca. Teren przed namiotem zamieciono i skropiono wodą. Na jednej ze skrzyń stało wiadro namoczonej bielizny. Ogólny charakter tego namiotu cechowały ład i zaradność. Opodał stał samochód ford roadster model A z małą przyczepką własnej roboty, służącą do przewożenia pościeli.

Dalej rozpościerał się ogromny namiot, cały w strzępach, podarty i poszczepiany kawałkami drutu. Odsłonięte wejście ukazywało cztery rozłożone na ziemi szerokie materace. Wzdłuż namiotu rozciągnięty był sznur do bielizny, na którym suszyły się różowe bawełniane sukienki i kilka par kombinezonów.

Obóz składał się w sumie z czterdziestu namiotów i szałasów, koło każdego z nich stał taki czy inny samochód. Na skraju obozowiska kilkoro dzieci przypatrywało się świeżo przybyłej ciężarówce. Powoli dzieci zbliżały się do niej: mali chłopcy w kombinezonach, bosy, z włosami szarymi od kurzu.

Tom zatrzymał wóz i spojrzał na ojca.

– Nie bardzo tu jakoś pięknie – rzekł. – Woli tato, żebyśmy pojechali gdzie indziej?

– Nie możemy nigdzie indziej jechać, dopóki nie wiemy co i jak. Musimy się zapytać, jak tu jest z robotą.

Tom otworzył drzwi i wysiadł. Cała rodzina spuściła się z piramidy pakunków i rozglądała z zaciekawieniem po obozie. Zgodnie z utartym w drodze zwyczajem, Ruthie i Winfield zdjęli wiadro i ruszyli ku wiklinie, gdzie spodziewali się znaleźć wodę. Mur dzieci rozstąpił się, żeby ich przepuścić, a potem znów zamknął się za nimi.

Rozchyliły się zasłony najbliższego szałas i wyjrzała z niego kobieta. Siwe jej włosy splecione były w warkocz. Miała na sobie długą, brudną suknię w kwiaty. Na zwiędłej twarzy nieznajomej malowała się tępota. Pod oczami bez żadnego wyrazu zwiisały ciemne, grube worki, zwiotczałe wargi opadały miękko.

– Czy można się tu gdzie zatrzymać? – zagadnął ojciec.

Głowa cofnęła się w głąb budy. Przez chwilę panowała cisza, potem zasłony rozsunęły się i ukazał się brodaty mężczyzna bez marynarki. Kobieta wyglądała za nim, nie wychodząc jednak przed szałas.

– Jak się macie, ludzie! – powitał brodacz przybyłych.

Jego niespokojne ciemne oczy zlustrowały kolejno wszystkich członków rodziny i zatrzymały się w końcu na obładowanej ciężarówce.

– Pytałem właśnie pańskiej żony, czy moglibyśmy się tu gdzieś rozłożyć z naszymi manatkami – odparł ojciec.

Brodaty mężczyzna popatrzył na niego uważnie, jak gdyby Joad powiedział coś niezmiernie mądrego i wymagającego głębszego namysłu.

– Zatrzymać się tu gdzieś, tu, w tym obozie? – dopytywał się.

– No tak. Czy ten teren należy do kogoś i trzeba prosić o pozwolenie na obozowanie?

Brodacz przymknął jedno oko i przyjrzał się ojcu badawczo.

– Chcecie tu obozować? – zapytał znowu.

Ojciec zirytował się. Siwa kobieta wyrzała z szałas.

– Mówię przecież wyraźnie! – zawołał Joad.

– Ano, jeśli chcecie tu obozować, to na co czekacie? Ja wam nie bronię.

Tom parsknął śmiechem.

– Powiedział, co wiedział.

Ojciec opanował się.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, czy te grunty należą do kogoś. I czy trzeba płacić za zatrzymanie się tutaj.

Brodaty mężczyzna wysunął dolną szczękę.

– Do kogo należą? – powtórzył pytanie.

Ojciec odwrócił się.

– A, do diabła z takim gadaniem!

Głowa kobiety znikła znowu w szałasie. Brodacz postąpił naprzód z groźną miną.

– Do kogo należy ta ziemia?! – zawołał. – A któż może nas stąd wyrzucić? Gadajcie mi zaraz!

Tom stanął pomiędzy nim a ojcem.

– Lepiej wyśpijcie się porządnie – powiedział do brodacza.

Mężczyzna otworzył usta i oparł brudny palec o dolne dziąsło. Przez chwilę przyglądał się Tomowi z miną zamyślonego mędrca, potem obrócił się na pięcie i dał nura do szałas za siwą kobietą. Tom zwrócił się do ojca.

– O co temu wariatowi chodziło?

Ojciec wzruszył ramionami. Rozglądał się po obozie. Przed jednym z namiotów stał stary buick z podniesioną maską. Młody mężczyzna stojący

obok docierał zawory i skręcając się w takt ruchu narzędzia, zerkał na ciężarówkę Joadów. Dostrzegł, że zaśmiał się sam do siebie. Gdy brodacze odszedł, młody człowiek przerwał pracę i podszedł niedbałym krokiem.

– Dzień dobry! – powiedział, a jego niebieskie oczy błyszczały rozbawieniem. – Widziałem, że zawarliście znajomość z naszym burmistrzem.

– Czy on jest kopnięty, do diabła? – zapytał Tom.

Młody człowiek roześmiał się.

– To taki sam wariat jak wy albo ja. Może odrobinę więcej postrzelony ode mnie. Ale nie jestem pewny.

– Pytałem go tylko, czy możemy się tu zatrzymać – powiedział ojciec.

Młodzieniec wytarł zatłuszczone ręce o spodnie.

– Pewnie, czemu nie? Wyście dopiero co przyjechali w te strony?

– Tak – odpowiedział Tom. – Dziś rano.

– I nigdy jeszcze nie byliście w Hooverville?

– Hooverville? A gdzie to jest?

– Właśnie tutaj.

– O! – zdziwił się Tom. – Nie, dopiero cośmy tu przyjechali.

Winfield i Ruthie wrócili, niosąc wiadro z wodą. Matka zdecydowała:

– Zatrzymajmy się tu. Ja już się ledwie na nogach trzymam. Może wszyscy odpoczniemy trochę.

Ojciec i stryj John wdrapali się na samochód, żeby zdjąć płachtę na namiot i pościel.

Tom podszedł do nowego znajomego i ruszył z nim razem ku maszynie, którą młody człowiek reperował. Na odkrytym silniku leżała docieraczka zaworów, na zbiorniczku do zasilania benzyny zaczepiona była mała żółta puszka z pastą do docierania.

– Co, u diabła, napadło tego starego z brodą? – dociekał Tom.

Młody człowiek wziął docieraczkę i przystąpił znowu do pracy. Kołysał się w tył i w przód, docierając grzybek zaworu do gniazda.

– Burmistrz? A Bóg go raczy wiedzieć. Myślę, że może zrobiono z niego wariata.

– Co takiego?

– Myślę, że policjanci tak mu zalali sadła za skórę, że chłopu pomieszało się w głowie.

– A dlaczego oni tak się czepiają ludzi? – dziwił się Tom.

Młody człowiek przerwał robotę i spojrzał Tomowi w oczy.

– A bo ja wiem? Jesteście tu dopiero pierwszy dzień. Sami zobaczcie. Bo różnie gadają: ten to, tamten owo. Posiedźcie trochę na jednym miejscu, a przekonacie się, jak prędko zastępca szeryfa was przepędzi.

Podniósł zawór i posmarował gniazdo pastą.

– Ale dlaczego, u jasnej cholery?

– Powiadam wam, że nie wiem. Niektórzy mówią, że tu nie chcą żebyśmy głosowali podczas wyborów. Przerzucają nas z miejsca na miejsce, żebyśmy nie mieli prawa głosu. Inni znów powiadają, że to dlatego, żebyśmy nie mogli żądać zapomogi dla bezrobotnych. A jeszcze inni tłumaczą, że jak pobędziemy dłużej na jednym miejscu, to się zorganizujemy w związek. Diabli ich wiedzą! Wiem tylko tyle, że pędzą nas ciągle z miejsca na miejsce. Zaczekajcie trochę, a sami zobaczcie.

– Nie jesteśmy przecież włóczęgami – nastawał Tom. – Szukamy roboty. Podejmiemy się każdej, jaka się nadarzy.

Młody człowiek przerwał na chwilę pracę i spojrzał na Toma ze zdumieniem.

– Szukacie roboty? A jak wam się zdaje, czego oni szukają? Brylantów? Myślicie może, że ja zdarłem tu buty po to, żeby bąki zbijać? – I wrócił do swej pracy.

Tom popatrzył dokoła na brudne namioty, na nędzne rupiecie, na stare samochody, na powygniatane materace wietrzące się w słońcu, na puszki poczerńiałe od sadzy nad osmolonymi przez płomienie dołkami, gdzie ludzie gotowali strawę. Zapytał cicho:

– Czy tu w ogóle nie można dostać pracy?

– Nie wiem. Może i można. Ale to nie jest pora zbiorów. Winobranie odbywa się później, tak samo jak zbiór bawełny. Toteż jak tylko dotrę te zawory, ruszam dalej z żoną i dziećmi. Słyszeliśmy, że w północnej części kraju potrzebują robotników. Pojedziemy tam, w okolice Salinas.

Tom zobaczył, że stryj John, ojciec i pastor rozpinają płachtę na drążkach namiotowych, a matka klęczy pod namiotem i otrzepuje na ziemi materace. Krąg milczących, bosych dzieci o umorusanych twarzach obserwował, jak zagospodarowuje się nowa rodzina.

– W naszych stronach pętali się jacyś goście z ulotkami, takimi żółtymi – odpowiedział Tom. – Pisano w nich, że potrzeba mnóstwo ludzi przy

zbiorach.

Młody człowiek roześmiał się.

– Jest nas chyba ze trzy tysiące i założę się, że każda rodzina czytała te przeklęte ulotki.

– Tak, ale jeżeli nie potrzebują robotników, to po co zawracaliby sobie głowę ulotkami?

– Człowieku, puknijcie się w głowę, to może się w niej rozjaśni.

– Tak, ale chciałbym wiedzieć od was.

– No to słuchajcie! Macie, przypuśćmy, jakąś robotę i szukacie robotnika. Dajmy na to, że zgłosi się tylko jeden chętny. Musicie wtedy zapłacić mu tyle, ile zażąda. Ale co będzie, jeżeli przyjdzie takich stu. – Odłożył narzędzie. Wzrok jego stwardniał, a głos zadźwięczał ostro. – Przypuśćmy, że stu ludzi zgłasza się do tej pracy. Że ludzie ci mają dzieci i że te dzieci są głodne. Że za parszywe dziesięć centów można kupić dzieciakom puszkę mącznej zupy. Że za pięćdziesiąt centów można im coś sprawić. I zgłasza się stu ludzi. Wystarczy dać im pięćdziesiąt centów, a skoczą sobie o te grosze do gardła. Wiecie, ile mi płacili na ostatniej robocie? Piętnaście centów za godzinę. Półtora dolara za dziesięć godzin. I to jeszcze bez prawa zamieszkania na miejscu. Żeby się tam dostać, musiałem kupować benzynę. – Dyszał z gniewu, wzrok płonął mu nienawiścią. – I dlatego właśnie wypuścili te ulotki. Kiedy się płaci piętnaście centów za godzinę pracy w polu, zaoszczędza się tyle, że można wydrukować do cholery ulotek.

– Coś tu nie gra – osądził Tom.

Młody człowiek zaśmiał się złośliwie.

– Posiedźcie tu trochę, a jak wam spadnie gwiazdka z nieba, to może i ja się jej przyjrzę.

– Ale przecież tu jest robota, do diabła! – upierał się Joad. – Tyle tu wszystkiego – sady, winnice, warzywa – sam widziałem. Muszą tu chyba najmować ludzi. Oglądałem te cuda na własne oczy.

W namiocie koło samochodu zakwiliło dziecko. Młody człowiek wszedł do wnętrza, przez płótno dochodził jego stłumiony głos. Tom podniósł docieraczkę, umieścił jej trzonek w rowku zaworu i zabrał się do docierania. Ręka jego poruszała się rytmicznie. Płacz dziecka ustał. Młody człowiek wyszedł z namiotu i obserwował pracę Toma.

– Znacie się na robocie – pochwalił go. – Dobrze. Przyda się to wam.

– Ale co do tego, o czym mówiłem – podjął znowu Joad. – Widziałem, ile tu wszystkiego rośnie.

Młody człowiek przykucnął na piętach.

– Wytlumaczę to wam jeszcze raz – odpowiedział spokojnie. – Jest tu taki jeden cholernie wielki sad brzoskwiniowy. Pracowałem w nim. Przez cały okrągły rok zatrudnia się tam dziewięciu ludzi. – Zrobił pauzę, aby wywołać większe wrażenie. – Kiedy brzoskwinie dojrzewają, na dwa tygodnie potrzeba trzy tysiące chłopów. I to na gwałt, bo inaczej owoce pogniją. Co wtedy robią właściciele? Rozsyłają ulotki po całym kraju. Potrzebują trzech tysięcy, a do pracy zgłasza się sześć tysięcy. I dostają robotników za taką płacę, jaką im się spodoba wyznaczyć. A jeśli nie chcecie się zgodzić na ich zapłatę, możecie iść do diabła, bo tysiąc kandydatów was zastąpi. Więc zrywacie brzoskwinie, póki nie skończy się zbiór. Cała okolica pełna jest sadów brzoskwiniowych. I wszędzie jednocześnie dojrzewają owoce. Gdy skończycie robotę, nigdzie już nie wisi na gałęzi ani jedna brzoskwinia. I, psiarew, już w tych stronach nie ma co robić. A właściciele ogrodów nie chcą was więcej widzieć na oczy. Trzy tysiące ludzi. Już po pracy. Moglibyście zacząć kraść, upijać się, robić awantury. A poza tym wasze stare namioty szpecą krajobraz. Ziemia jest piękna, a wy ją zasmradzacie. Nie chcą was tu. Więc dają wam kopniaka i przerzucają z miejsca na miejsce. Tak to wygląda.

Tom spojrział w stronę namiotu Joadów i zobaczył, że matka, ociążała ze znużenia, roznieca powoli mały ogień ze śmieci i umieszcza nad płomieniem garnki. Krąg dzieci zacieśnił się, spokojne, szeroko otwarte oczy śledziły każdy ruch matki. Z jednego z namiotów wysunął się niby łasica zgrzybiały, przygarbiony starzec i podkraść się ku ognisku, wężąc w powietrzu. Założył w tył ręce i przyłączył się do dzieci wodzących wzrokiem za Joadową. Ruthie i Winfield nie odstępowali na krok matki, mierząc obcych wojowniczym wzrokiem.

Tom powiedział z gniewem:

– To te brzoskwinie muszą być zrywane natychmiast, co? Zaraz, jak dojrzeją?

– Ma się rozumieć.

– No, a gdyby się ludzie porozumieli i powiedzieli: „Niech gniją”. Jak Boga kocham, od razu płace poszłyby w górę.

Młody człowiek podniósł głowę znad zaworów i popatrzył na Toma szyderczo.

– Aleście wymyślili! No, no! I to tak sami z siebie?

– Jestem zmęczony – wyznał Tom. – Przez całą noc prowadziłem wóz. Nie mam ochoty się kłócić. A taki jestem zmordowany, że łatwo mógłbym wpaść w złość. Nie nabijajcie się ze mnie, bardzo o to proszę.

Młody człowiek uśmiechnął się.

– Wcale nie chciałem się nabijać. Nie było was tutaj, ale niejeden już wpadł na ten pomysł. Ale właścicielom sadów brzoskwiniowych też to przyszło do głowy. Widzicie, jeśli ludzie zbiorą się razem, to zawsze musi być przywódca – to już jak amen w pacierzu – taki, co gada. Ale niech tylko pierwszy raz otworzy gębę, to oni cap go za kołnierz i pakują do kryminału. A jeśli tylko pokaże się jakiś inny, to ani się obejrzy, jak i jego wsadzą za kratki.

Tom zauważył:

– Ano tak, ale w ciupie przynajmniej chłop ma co jeść.

– Ale jego dzieci są głodne. Przyjemnie byłoby wam siedzieć w pace, gdybyście wiedzieli, że wasze dzieci przymierają głodem.

– To racja – powiedział powoli Tom. – To racja.

– I jeszcze jedno. Słyszeliście kiedy o czarnej liście?

– A co to takiego?

– Ano spróbujcie tylko otworzyć buzię i gadać, że powinniśmy się trzymać kupy, to zobaczycie, sfotografują was i roześlą zdjęcie na wszystkie strony. Wtedy już nigdzie nie dostaniecie roboty. A jeśli macie dzieci...

Tom zdjął czapkę i miętosił ją w palcach.

– To znaczy, że musimy tu brać, co dają, albo zdychać z głodu, tak? A jeśli będziemy podnosić głos, to też wyciągniemy kopyta.

Młody człowiek zatoczył ręką krąg obejmujący namioty w strzępach i pordzewiałe samochody.

Tom znowu rzucił okiem na matkę, która siedziała teraz i obierała kartofle. Nieznajome dzieci przysunęły się jeszcze bliżej.

– No, ja uszu po sobie nie położę – powiedział. – Do stu diabłów, ani ja, ani moi nie jesteśmy stadem baranów. Zrobię tu komuś piekło jak cholera.

– Może policjantowi?

– Każdemu, kto mi w drogę wlezie.

– Macie chyba źle w głowie. Z miejsca wezmą was za kołnierz. Nikt nie zna tu waszego nazwiska, nie macie tu żadnej własności. Któregoś dnia znajdą was w rowie z krwią zakrzepłą na ustach i nosie. A w gazecie ukaże się drobnym drukiem krótka wiadomość. Wiecie jaka? „Znaleziono zwłoki włóczęgi”. I to wszystko. Dużo zobaczycie takich notatek: „Znaleziono zwłoki włóczęgi”.

Tom odpowiedział:

– No to koło tego włóczęgi będzie leżał jeszcze drugi trup.

– Macie źle w głowie. I nic z tego dobrego nie wyjdzie.

– No dobrze, ale co robicie, żeby jakoś na to zaradzić?

Spojrzał w ubrudzoną smarem twarz. Oczy młodego człowieka zasnuły się mgłą.

– Nic. Z jakich stron pochodzicie?

– My? Spod Sallisaw, stan Oklahoma.

– Dopiero co przyjechaliście?

– Dziś rano.

– I długo chcecie tu zostać?

– Bo ja wiem. Zostaniemy tam, gdzie dostaniemy robotę. A dlaczego pytacie?

– Ot, tak sobie.

I znowu mgiełka zmąciła mu wzrok.

– Trzeba się przespać – powiedział Tom. – Jutro pojedziemy szukać roboty.

– Możecie spróbować.

Tom zawrócił i ruszył w stronę namiotu Joadów. Młody człowiek sięgnął po puszkę z pastą do docierania zaworów i zanurzył w niej palec.

– Halo! – zawołał.

Tom obejrzał się.

– A co?

– Chcę wam powiedzieć – kiwał ostrzegawczo palcem, do którego przywarła grudka pasty. – Chcę wam tylko powiedzieć, żebyście nie szukali guza. Pamiętajcie, jak wyglądał ten głupkowaty chłop, z którym dziś gadaliście?

– Gość z tamtego namiotu?

– No ten, co wyglądał na pomyłonego, bez piątej klepki.

– A co mu jest?

– Ano, kiedy przyjdzie policja, a przyłazi tu ciągle, bierzcie z niego przykład. Udawajcie durnia, który nie wie, czego od niego chcą, i nic nie rozumie. Takich oni lubią. Ale nie porywajcie się na policjanta, bo to samobójstwo. Lepiej odstawiać wariata.

– To mam dać tym przeklętym glinom jeździć sobie po głowie i nawet nie pisnąć?

– Właśnie. Słuchajcie, przyjdę po was wieczorem. Może i głupstwo zrobię. Wciąż kręca się tu szpicle. To ryzyko, a ja mam dziecko. Ale przyjdę. Jeśli natkniecie się na policjanta, to udawajcie głupiego Oklaka. Rozumiecie?

– No, dobrze, jeśli się do czegoś zabierzemy – powiedział Tom.

– O to się nie martwcie. Weźmiemy się do czegoś, tylko nie będziemy nadstawiali karku. Dziecko prędko może zemrzeć z głodu. Dwa, trzy dni i już po dziecku.

Wrócił do przerwanej roboty i posmarował pastą gniazdo zaworu. Ręka jego trzymająca docieraczkę poruszała się rytmicznie i szybko, twarz przybrała wyraz obojętności i apatii.

Tom wolnym krokiem poszedł w kierunku swego namiotu.

– Wariata mam odstawiać – mruknął do siebie.

Ojciec i stryj John wrócili do obozu obładowani naręczami wierzbowych gałęzi. Rzucili je koło ogniska i przykucnęli na ziemi.

– Nie było tu już wiele do zbierania – powiedział ojciec.

– Musieliśmy pójść kawał drogi po parę gałązek. – Wskazał patykiem na krąg gapiących się dzieci. – Boże miłosierny, a wyście się skąd wzięli?

Dzieci z zakłopotaniem wpatrywały się we własne stopy.

– Pewno zwęszyły, że tu się coś gotuje – wyjaśniła matka. – Winfield, nie kręć mi się pod nogami. – Usunęła go z drogi. – Muszę udusić trochę mięsa. Ojciec, skocz no do sklepu i kup kawałek boczku. Przyrządę wam dziś coś smacznego.

Ojciec wstał i oddalił się leniwym krokiem. Al podniósł maskę ciężarówki i zajrzał do zasmarowanego silnika. Podniósł oczy, gdy zbliżył się Tom.

– Coś taki zadowolony? – zaczął go Tom.

– Ano, wesół jestem jak żaba podczas wiosennego deszczu. Przyjrzyj się silnikowi. Fajny, co?

Tom zerknął na motor.

– Wygląda, że wszystko w porządku.

– W porządku? Jak Boga kocham, to złoto nie silnik! Kropli oleju nie przepuszcza. – Wykręcił świecę i włożył palec w otwór. – Jest trochę osadu, ale sucho.

– Doskonale wybrałeś wóz. To chciałeś ode mnie usłyszeć? – spytał Tom.

– No, przez całą drogę miałem pietra, że coś nawali i że to będzie moja wina.

– Gdzie tam, spisałeś się dobrze. Trzeba jednak, żeby samochód był gotów, bo jutro ruszamy szukać roboty.

– Pójdzie jak złoto. Niech cię o to głowa nie boli – zapewniał Al.

Wyjął scyzoryk i zaczął oskrobywać elektrody świecy. Tom obszedł namiot i ujrzał Casy'ego siedzącego na ziemi i wpatrującego się ze skupieniem we własną bosą stopę. Usiadł ciężko obok niego.

– Myślicie, że wytrzymają?

– Co czy wytrzyma? – zapytał Casy.

– A te wasze palce u nóg.

– No, właśnie siedzę i myślę nad tym.

– Zawsze rozsiadacie się wygodnie do swoich rozmyślań – zauważył Tom.

Casy podniósł wielki palec stopy do góry, drugi opuścił w dół i uśmiechnął się łagodnie.

– Człowiekowi trudno zebrać myśli i bez takich łamańców.

– Już od paru dni nie słyszałem, żebyście puścili parę z gęby – mówił Tom. – Wciąż rozmyślacie i rozmyślacie.

– Tak, ciągle się zastanawiam.

Tom zdjął czapkę, brudną już teraz i zniszczoną, z daszkiem wygiętym w kształt ptasiego dzioba. Odwrócił przepocony skórzany pasek i wyjął spod niego złożoną w kilkoro gazetę.

– Tak się pocę, że rozmiękł zupełnie.

Rzucił okiem na poruszające się palce nóg Casy'ego.

– A może dacie na chwilę spokój medytacjom i posłuchacie, co wam powiem.

Casy zwrócił ku niemu głowę na szyi jak łądoga.

– Bez ustanku słucham. Dlatego właśnie rozmyślam. Przysłuchuję się, co ludzie mówią, i wiem od razu, co czują. Tak już jest od dawna. Słyszę ich i wyczuwam, co się w nich dzieje. Biją skrzydłami jak ptak, co wpadł

na poddasze. Połamiał sobie skrzydła o zakurzone szyby, usiłując wydostać się na wolność.

Tom popatrzył na niego rozszerzonymi oczami, odwrócił się i spojrzał na namiot, odległy o jakieś trzydzieści stóp. Na linkach namiotowych suszyło się pranie: dżinsy, koszule i suknia. Powiedział cicho:

– O tym właśnie chciałem z wami pogadać. Ale widzę, że sami doszliście do tego.

– To prawda. Jest tu nas cała armia, ale bezrobotna i bezbronna. – Pochylił głowę, przesunął z wolna otwartą dłoń po czole i zanurzył palce we włosach. – Obserwowałem to przez całą drogę. Na każdym postoj. Ludzie łaknęli kawałka mięsa, a gdy go zdobywali, to i tak nie byli najedzeni. A gdy głód był już nie do zniesienia, prosili, żebym się za nich modlił. I czasem robiłem to. – Objął rękami podniesione kolana i podciągnął wyżej nogi. – Myślałem dawniej, że to pomoże. Że gdy zdobędę się na modlitwę, to wszystkie troski przylgną do niej niby muchy do lepu i pacierz uniesie ze sobą wszelkie strapienia. Ale teraz wiem, że to na nic.

– Jeszcze się nie zdarzyło, żeby kto wymodlił sobie pieczeń wieprzową. Żeby mieć wieprzowinę, trzeba się postarać o świniaka – powiedział Tom.

– Racja – zgodził się Casy. – I jeszcze nigdy Bóg Wszechmocny nie podwyższył płac. Ludzie, którzy tu przyjechali, chcą żyć przyzwoicie i wychowywać swoje dzieci jak należy. A na starość chcieliby móc usiąść na progu i patrzeć na zachodzące słońce. A jeśli są młodzi, pragną tańczyć, śpiewać i kochać się. Jeść do syta, podpić sobie czasem i pracować. Co tu gadać! Chcą, u diabła, zużytkować swoje mięśnie, zmęczyć się i zmordować. Rany boskie! Co też ja wygaduję?

– Nie wiem – odezwał się Tom. – Ale słucha się tego nie najgorzej. Jak myślicie, kiedy będziecie mogli zabrać się do roboty i dać spokój tym rozmyślaniom? Musimy zdobyć pracę. Pieniądze się kończą. Ojciec dał pięć dolarów za postawienie kawałka malowanej deski na grobie babci. Mało co nam zostało.

Zza namiotu wysunął się, węsząc, chudy brązowy kundel. Był niespokojny i gotów w każdej chwili do ucieczki. Zbliżał się, nie zdając sobie sprawy z obecności dwóch mężczyzn. Gdy podniósł łeb i spostrzegł ich, odskoczył w bok i umknął, położywszy po sobie uszy i podkuliwszy

tchórzliwie kościsty ogon. Casy obserwował, jak pies uciekł za namiot, by skryć się przed nimi. Westchnął.

– Nikt nie ma ze mnie za grosz pociechy. Ani ja sam, ani inni. Myślałem już, żeby sobie pójść precz w pojedynkę. Objadam was i zajmuję miejsce. A nic wam w zamian nie daję. Może jednak zdobędę jakąś stałą robotę i oddam choć część tego, co od was dostałem.

Tom otworzył usta, wysunął dolną szczękę i stukał się po zębach żdźbłem uschniętej trawy. Błądził wzrokiem po obozie, po szarych namiotach i po budach z blachy, tektury i chwastów.

– Żeby tak miał paczkę tytoniu! – marzył. – Nie paliłem już od Bóg wie kiedy. W McAlester dawali nam tytoń. Prawie że chciałbym znowu się tam znaleźć. – Postukał żdźbłem trawy o zęby. Nagle zwrócił się do pastora: – Siedzieliście kiedy w kryminale?

– Nie, nigdy – odpowiedział Casy.

– Nie odchodźcie jeszcze – prosił Tom. – Nie teraz jeszcze.

– Im prędzej zacznę szukać roboty, tym prędzej coś znajdę.

Tom przyjrzał mu się spod półprzymkniętych powiek i włożył z powrotem czapkę na głowę.

– Wiecie co, Casy – powiedział. – To nie jest wcale kraina mlekiem i miodem płynąca, jak opowiadają pastorzy. To podły kraj. Ludzie tutejsi boją się nas i nasyłają policję, żeby nas wypłoszyć.

– Tak – potwierdził Casy. – Wiem o tym. A dlaczego pytacie, czy byłem w więzieniu?

Tom odparł wolno:

– Gdy się siedzi w kryminale, to człowiek zaczyna... niektóre rzeczy... czuć przez skórę. Nie pozwalają tam na rozmowy – jeszcze we dwóch można zamienić parę słów, ale gadać całą kupą nie wolno. Toteż nabiera się specjalnego węchu. Jeśli się coś szykuje, jeżeli na przykład jakiegoś gościa poniesie i wyrznie strażnika trzonkiem od miotły, to zanim jeszcze do tego dojdzie, już wiadomo, co się święci. A jeśli zanosi się na ucieczkę czy bunt, nikt nie potrzebuje was o tym zawiadamiać. To się czuje, wiecie?

– Naprawdę?

– Trzymajcie się tu gdzieś w pobliżu – mówił Tom. – A w każdym razie zostańcie do jutra. Coś się tu stanie. Rozmawiałem po drodze z młodym chłopakiem. Przebiegły był i cwany jak kojot, ale trochę za mądry. Taki kojot, którego obchodzą niby tylko własne sprawy, co udaje niewiniątko,

nabija się ze wszystkiego, nie robi nikomu krzywdy – no, a niedaleko ma kurę na grzędzie!

Casy popatrzył na niego badawczo. Chciał o coś zapytać, lecz rozmyślił się i zacisnął wargi. Poruszył wolno palcami nóg, rozplótł ręce, którymi obejmował kolana, i wyciągnął stopę tak, żeby móc ją widzieć.

– Dobrze – powiedział. – Teraz jeszcze nie odejdę.

– Kiedy gromada ludzi – mówił dalej Tom – porządnych, spokojnych ludzi niczego złego się nie spodziewa, to coś wisi w powietrzu.

– Zostanę – powiedział Casy.

– A jutro wyjedziemy ciężarówką i rozejrzemy się za robotą.

– Dobrze – zgodził się pastor. Podnosił, to znów opuszczał palce u nóg i przyglądał im się z uwagą.

Tom usadowił się wygodnie, wsparłszy głowę na łokciu i zamknął oczy. Z namiotu dochodził szept Rose of Sharon i Conniego, który jej odpowiadał. Płachta rzucała głęboki cień, kliny światła w końcach namiotu jaśniały ostrym blaskiem. Rose of Sharon leżała na materacu, a Connie przykucnął obok niej.

– Powinnam pomóc mamie – mówiła młoda kobieta. – Próbowałam, ale jak tylko zaczynam się kręcić, to mnie mdli.

Connie spoglądał posępnie.

– Gdybym wiedział, że to tak będzie, nigdy bym nie wyjeżdżał. Uczyłbym się w domu nocami o ciągnikach i dostałbym robotę po trzy dolary dniówki. Za trzy dolary można już żyć, a nawet co wieczór pójść do kina.

Rose of Sharon spojrzała na niego z niepokojem.

– Miałeś przecież uczyć się po nocach o radiach?

Nie odpowiadał przez długą chwilę.

– Prawda? – powtórzyła pytanie.

– No tak. Jak tylko stanę na nogi i zarobię trochę pieniędzy.

Uniosła się na łokciu.

– Chyba się nie rozmyśliłeś?

– Nie... nie... pewno, że nie. Ale... nie wiedziałem, że są kraje jak ten, w którym musimy żyć.

Wzrok młodej kobiety stwardniał.

– Musisz, Connie – powiedziała spokojnie.

– No, tak, tak... wiem przecież. Jak tylko stanę na nogi. I zarobię trochę grosza. Może lepiej było zostać w domu i uczyć się o ciągnikach. Trzy dolary dziennie, a prócz tego można zarobić na boku.

Oczy Rose of Sharon zdawały się coś zgłębiać. Gdy Connie spojrzał na żonę, wyczytał z jej wzroku, że rozważa i ocenia jego możliwości.

– Ale będę się uczył – zapewnił. – Jak tylko stanę na własnych nogach.

– Musimy mieć własny dom, zanim dziecko się urodzi! – zawołała gwałtownie Rose of Sharon. – Nie będziemy go chowali w namiocie!

– Pewno, że nie – zgodził się. – Niech tylko stanę na nogi.

Wyszedł z namiotu i popatrzył na matkę schyloną nad ogniem. Rose of Sharon położyła się na wznak i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w szczyt namiotu. Po chwili włożyła do ust wielki palec, aby stłumić szloch, i zaczęła cicho płakać.

Matka klęczała przy ogniu i łamała gałązki, podsycając płomień pod garnkiem, w którym dusiło się mięso. Ogień to wybuchał, to przygasał. Dzieci – zgromadziło się ich już piętnaścioro – stały w milczeniu i patrzyły. Gdy doszła je woń duszonego mięsa, zaczęły lekko pociągać noskami. Ich rdzawe od kurzu włosy połyskiwały w słońcu. Wyglądały zakłopotane tym, że się tu zakradły, lecz mimo to nie odchodziły. Matka odezwała się spokojnie do małej dziewczynki, która znalazła się w środku pełnego pożądliwości kręgu. Była starsza od innych dzieci. Stała na jednej nodze i bosą stopą gładziła się po łydce. Założywszy do tyłu rączki, śledziła matkę małymi, spokojnymi szarymi oczami.

– Mogłabym, jeżeli trzeba, nałamać trochę patyków, proszę pani.

Matka uniosła wzrok znad roboty.

– Chcesz, żeby cię zaprosić do jedzenia, co?

– Tak, proszę pani – potwierdziła, niezbita z tropu.

Matka wsunęła suche gałązki pod garnek i płomień wystrzelił z trzaskiem.

– Nie jadłaś śniadania?

– Nie, proszę pani. Nie ma tu nigdzie pracy. Tato chce sprzedać coś z rzeczy i kupić benzynę, żebyśmy mogli jechać dalej.

Matka podniosła oczy.

– To żadne z nich nie jadło śniadania?

Krąg dzieci poruszył się niespokojnie i oderwał oczy od garnka z gotującą się strawą. Mały chłopiec odezwał się chełpliwie:

– Ja jadłem... i mój brat też... i te dwa chłopaki, bo sam widziałem. Najedliśmy się porządnie. Dziś w nocy wyjeżdżamy na południe.

Matka uśmiechnęła się.

– W takim razie nie jesteś głodny. Bo dla wszystkich mi nie wystarczy.

Chłopiec wydał usta.

– Najedliśmy się po uszy.

Odwrócił się, pobiegł i znikł w jednym z namiotów. Matka patrzyła za nim tak długo, że najstarsza dziewczynka przypomniała jej:

– Ogień przygasa, proszę pani. Jeżeli można, to dołożę.

Ruthie i Winfield stanęli wewnątrz półkola, zachowując się, jak przystało, oziębło i z godnością. Spoglądali wyniośle, z miną posiadaczy. Ruthie utkwiała w nieznamym dziewczynce zimny, gniewny wzrok. Przykucnęła i zaczęła łamać chrust dla matki. Joadowa podniosła pokrywkę garnka i zamieszała mięso patykami.

– Cieszę się bardzo, że niektórzy z was już jedli. Przynajmniej ten chłopiec nie jest głodny.

Dziewczynka zaśmiała się drwiąco.

– O, ten mały! On tylko tak się chwali. Udaje Bóg wie co. Jak nie dostanie nic na kolację, to wie pani, co opowiada? Wczoraj wieczorem wyszedł i mówił, że jedli kurczęta. A ja, proszę pani, zajrzałam do nich, kiedy akurat jedli, i widziałam, że mieli to samo co wszyscy – prażuchę!

– A to dopiero!

Matka popatrzyła w stronę namiotu, do którego wszedł chłopczyk. Potem znów skierowała spojrzenie na dziewczynkę.

– Od jak dawna jesteście w Kalifornii? – zapytała.

– O, ze sześć miesięcy. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w obozie rządowym, a potem pojechaliśmy na północ. Kiedy wróciliśmy, to tam już nie było miejsca. Ale w tamtym obozie to się dobrze żyje, proszę pani, słowo daję!

– A gdzie to jest? – zapytała matka. Wzięła parę patyków z rąk Ruthie i podsyciła ogień.

Ruthie patrzyła z nienawiścią na dziewczynkę.

– W okolicy Weedpatch. Są tam ustępy i wanny i można w nich prać bieliznę. Zawsze jest pod ręką woda, dobra woda do picia. Wieczorami ludzie zbierają się na muzykę, a w sobotę urządza się tańce. Ach, jak tam przyjemnie, proszę pani, jest osobne miejsce dla dzieci do zabawy,

a w ustępach wisi papier. Pociąga się za łańcuszek i woda spływa prosto do muszli. I nie przychodzą tam policjanci, którym wolno zaglądać do namiotów, kiedy im się podoba. A ten pan, który zarządza obozem, to taki grzeczny; odwiedza wszystkich i z każdym rozmawia. I nie zadziera nosa przed nikim. Chciałabym, proszę pani, żebyśmy mogli znowu tam mieszkać!

– Nigdy nie słyszałam o takim obozie – dziwiła się matka. – Ale wanna do prania to bardzo by mi się przydała.

Dziewczynka ciągnęła z podnieceniem:

– Naprawdę, proszę pani, w rurach płynie tam gorąca woda i można wejść pod prysznic, taki ciepły. Nigdzie nie jest tak ładnie.

– I mówisz, że tam jest teraz pełno? – rozpytywała matka.

– Tak, proszę pani. Jakiś tam ostatnim razem zajechali, to było pełno.

– Pobyt tam musi drogo kosztować.

– No tak, trzeba płacić, proszę pani, ale jak kto nie ma pieniędzy, to może to odrobić, parę godzin tygodniowo sprzątać, wyrzucać śmiecie. Takie rozmaite rzeczy. A wieczorami gra muzyka i ludzie rozmawiają ze sobą, i w rurach płynie gorąca woda. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak tam miło.

– Chciałabym bardzo, żeby się nam udało tam dostać – westchnęła matka.

Ruthie nie mogła już dłużej wytrzymać i wyrwała się nagle:

– A nasza babcia umarła na samym wierzchu ciężarówki!

Dziewczynka spojrzała na nią pytająco.

– A właśnie, że tak! – dodała Ruthie. – I jeden urzędnik ją zabrał.

Zacisnęła mocno wargi i przełamała małą wiązkę chrustu. Śmiałość jej ataku wprawiła Winfielda w osłupienie.

– Na samym wierzchu ciężarówki – powtórzył. – Urzędnik wsadził ją do wielkiego kosza.

– Cicho bądźcie oboje, bo pójdziecie sobie stąd! – krzyknęła matka i podłożyła patyków do ognia.

Al podszedł do jednego z sąsiednich namiotów, żeby popatrzeć na docieranie zaworów.

– Wygląda, jakbyście już dobijali do końca.

– Jeszcze dwa.

– Są tu jakieś dziewczęta w tym obozie?

– Jestem żonaty i nie mam czasu na uganianie się za spódniczkami.

– Ja tam na dziewczynki zawsze czas znajdę – odparł Al. – Nie mam go nawet na nic innego.

– Jak się trochę przegłodzicie, to wam odejdzie ochota.

Al roześmiał się.

– Może być. Ale na razie ciągnie mnie jeszcze do dziewcząt.

– Czy ten gość, z którym rozmawiałem przed chwilą, przyjechał razem z wami?

– Tak. To mój brat, Tom. Radzę z nim nie zadzierać. Zabił jednego gościa.

– Naprawdę? A za co?

– Pobili się. Tamten porwał się na Toma z nożem, a Tom rozwalił mu łeb łopatą.

– Naprawdę? A co sąd na to?

– Wypuścili go, bo to się stało w bójce.

– Wcale nie wygląda na awanturnika.

– Bo też żaden z niego awanturnik. Ale Tom nie da sobie jeździć po głowie. – W głosie Ala dźwięczała duma. – On jest spokojny. Tylko trzeba z nim uważać.

– Rozmawiałem z nim. To chyba niezły chłop.

– Pewno, że niezły. Do rany przyłóż, ale jak go poniesie, to lepiej uważać. Młody człowiek docierał ostatni zawór.

– Może pomóc wam założyć te zawory i głowicę?

– Czemu nie, jeśli nie macie nic lepszego do roboty.

– Właściwie powinienem się trochę przespać – powiedział Al. – Ale, do diabła, palce mnie swędzą, jak widzę rozmontowany samochód. Muszę się za niego wziąć.

– Będzie wam bardzo wdzięczny za pomoc. Nazywam się Floyd Knowles.

– A ja Al Joad.

– Bardzo mi miło.

– Mnie też. Chcecie założyć tę samą uszczelkę?

– Muszę – odparł Floyd.

Al wyjął scyzoryk i zaczął skrobać kadłub silnika.

– Do licha! Najbardziej na świecie chyba lubię grzebać w silniku.

– No, a dziewczęta?

– Ech, i dziewczęta też lubię. Chciałbym móc rozebrać rollsa i złożyć go z powrotem. Zajrzałem kiedyś pod maskę szesnastocylindrowego cadillaca

i, jak Boga kocham, nigdy w życiu nie widziałem nic ładniejszego! To było w Sallisaw. Cadillac stał przed restauracją, więc podniosłem maskę i zajrzałem. Z knajpy wychodzi gość i z pyskiem na mnie: „Czego pan, do diabła, tam szuka?”. A ja na to: „Oglądałem tylko. Fajna maszyna”. A gość stoi, i nic. Myślę, że sam chyba ani razu nie zajrzał do silnika. Sterczy, i tyle. Bogaty jakiś facet w słomkowym kapeluszu, w koszuli w paski i w okularach. Żaden z nas nie puścił pary z gęby, tylko gapimy się na siebie. Aż ten raptem powiada: „Chciałbyś poprowadzić go trochę?”.

– O, do diabła! – zawołał Floyd.

– Właśnie. „Chciałbyś go poprowadzić?”, tak gada. A tu, psiakrew, ja mam na sobie dżinsy lepkie od brudu. „Powalam wóz”, mówię. A on: „No, dalej! Przejedź się dokoła tego bloku”. No więc, wiecie, siadam za kierownicą i objeżdżam blok osiem razy.

– Przyjemnie było? – zapytał Floyd.

– Cholera! Dałbym nie wiem co, żeby móc rozebrać tę maszynę.

Floyd zwolnił ruch poruszającego się ramienia. Wyjął z gniazda ostatni zawór i obejrzał go.

– Lepiej przyzwyczajajcie się do gruchota – zauważył – bo nie zanoszą się na to, żebyście mieli jeździć szesnastocylindrowym cadillakiem.

Położył docieraczkę na stopniu i sięgnął po przecinak, aby zeskrobać osad z kadłuba. Obok przeszły dwie tęgie bose kobiety, z gołymi głowami, niosące wiadro wody białej jak mleko. Chwiały się pod jego ciężarem i nie odrywały oczu od ziemi. Słońce chyliło się ku zachodowi.

– Wy to się do niczego już nie palicie – zauważył Al.

Floyd zaczął energiczniej skrobać przecinakiem.

– Jestem tu od sześciu miesięcy – odparł. – Błąkałem się po całym stanie, starałem się, jak mogłem, pracować i uwijałem się na wszystkie strony, żeby zdobyć mięso i ziemniaki dla siebie, żony i dzieci. Nauganiałem się jak dziki królik i nic z tego. Żeby nie wiem jak wyłaził ze skóry, to i tak będziemy przymierali głodem. Już mi to wszystko obrzydło. Nawet ze snu wstaję zmęczony. I sam już nie wiem, co robić.

– To tu nigdzie nie można dostać stałej pracy? – zaniepokoił się Al.

– Nie, stałej roboty nie ma. – Zeskrobywał przecinakiem osad z kadłuba i wycierał matowy metal zatłuszczoną szmatą.

Do obozu wjechał zardzewiały samochód turystyczny. Siedziało w nim czterech mężczyzn o opalonych, surowych twarzach. Samochód sunął

wolno między namiotami. Floyd zawołał do jadących:

– Powiodło się wam?

Wóz zatrzymał się. Kierowca odpowiedział:

– Zrobiliśmy cholerny kawał drogi, ale w tym parszywym kraju nie ma o co rąk zaczepić. Musimy ruszać dalej.

– Dokąd? – krzyknął Al.

– Bóg raczy wiedzieć. Tę okolicę zjeździliśmy już wzdłuż i wszerz. – Włączył sprzęgło i samochód potoczył się z wolna przez obóz.

Al spoglądał za odjeżdżającymi.

– A czy nie lepiej byłoby szukać roboty w pojedynkę? Gdyby się trafiła praca dla jednego, to człowiek mógłby ją wziąć.

Floyd odłożył przecinak i uśmiechnął się kwaśno.

– Jeszcze brak wam doświadczenia – powiedział. – Taki objazd zżera benzynę, a benzyna kosztuje piętnaście centów galon. Toteż tych czterech nie może rozbijać się czterema samochodami. Składają się po dziesięć i do spółki kupują benzynę. Jeszcze niejednego musicie się nauczyć.

– Al!

Al opuścił wzrok. Przed nim stał Winfield z ważną miną.

– Al, mama już nakłada mięso na talerze. Mówi, że masz zaraz przyjść.

Al wytarł ręce w spodnie.

– Jeszcze nie mieliśmy dzisiaj nic w ustach – poinformował Floyda. – Jak zjem, to wrócę pomóc wam w robocie.

– Nie trzeba, chyba że macie ochotę.

– Pewnie, że mam. Zaraz przyjdę.

I ruszył za Winfieldem w stronę namiotu Joadów. Było tam teraz całe zbiegowisko. Obce dzieci przysunęły się tak blisko garnka, że matka, krzając się, potrącała je łokciami. Tom i stryj John stanęli koło niej. Joadowa westchnęła bezradnie:

– Nie wiem, co robić. Muszę dać jeść rodzinie. A co będzie z tymi dziećmiakami?

Dzieci stały nieruchomo i patrzyły na nią. Twarze ich były sztywne i bez wyrazu, oczy biegały niespokojnie od garnka do blaszanego talerza w jej ręku. Spojrzenia przesuwaly się za łyżką do talerza i z powrotem i towarzyszyły parującej potrawie, gdy matka podała ją stryjowi Johnowi. Stryj zanurzył łyżkę w talerzu, a oczy dzieci powędrowały wraz z nią ku jego ustom. Ledwie znalazł się w nich kawałek ziemniaka, a już

wyczekujące spojrzenia skupiły się na twarzy stryja, jak gdyby sprawdzając, czy mu smakuje, czy to dobre i czy on to lubi.

W pewnej chwili stryj John, żując powoli, jakby po raz pierwszy dostrzegł otaczające go dzieci.

– Zabierz to – powiedział do Toma. – Nie jestem głodny.

– Przecież stryj nic dziś nie jadł – zauważył Tom.

– Tak, ale brzuch mnie boli. Nie chce mi się jeść.

Tom doradził cicho:

– Niech stryj weźmie talerz do namiotu i zje tam w spokoju.

– Nie mam apetytu – upierał się John. – I w namiocie też będę je widział.

Tom zwrócił się do dzieci:

– Idźcie stąd! Już was nie ma!

Rząd oczu oderwał się od jedzenia i spoczął ze zdumieniem na jego twarzy.

– Jazda! Nic tu po was! Nie starczy dla was.

Matka nakładała mięso na blaszane talerze, wydzielając bardzo małe porcje i ustawiając je na ziemi.

– Nie mogę ich odpędzić. Sama nie wiem, co robić. Zabierajcie wasze talerze i idźcie do namiotu. Dam im to, co zostanie. O, weźcie talerz dla Rosasharn. – Uśmiechnęła się do dzieci. – Słuchajcie, dzieciaki! Niech każde przyniesie sobie płaski patyczek, to wam dam, co zostanie. Tylko nie chcę tu żadnych bójek.

Rozbiegły się w milczeniu, z błyskawiczną szybkością. Jedne pobiegły szukać patyków, inne popędziły do namiotów po łyżki.

Zanim matka skończyła nakładać na talerze, malcy wrócili, milczący jak wilki.

Matka pokiwała głową.

– I co tu robić? Nie mogę przecież okradać własnej rodziny. Muszę nakarmić swoich. Ruthie, Winfield, Al! – zawołała gwałtownie. –

Zabierajcie swoje talerze. Prędko! I idźcie do namiotu. – Spojrzała przepraszająco na wyczekujące dzieci. – Nie wystarczy dla wszystkich – tłumaczyła pokornie. – Postawię tu garnek i niech każde z was spróbuje trochę, choć i tak się nie najecie. – Głos jej się załamał. – Nic na to nie poradzę. Nie mogę wam tego odmówić. – Zdjęła garnek i postawiła go na ziemi. – Zaczekajcie trochę. Za gorące! – ostrzegła i weszła szybko do namiotu, aby nie patrzeć na to, co się będzie działo.

Rodzina Joadów porozsiadała się na ziemi, każdy z talerzem w ręku. Słyszeli, jak dzieci grzebią w garnku patykami, łyżkami i kawałkami zardzewiałej blachy. Kłębowisko małych postaci zasłoniło całkowicie naczynie. Dzieci nie rozmawiały między sobą, nie biły się ani nie kłóciły. Przenikała je milcząca, twarda zawziętość. Matka odwróciła się plecami, by ich nie widzieć.

– Nie możemy tego więcej robić – zdecydowała. – Musimy jadać na osobności.

Słysząc było odgłosy wyskrobywania garnka, po czym kłębowisko rozpadło się i dzieci odeszły, zostawiając na ziemi opróżnione do czysta naczynie. Matka spojrzała na puste talerze.

– Nikt z was nie najadł się do syta.

Ojciec wstał i bez słowa opuścił namiot. Pastor uśmiechnął się sam do siebie i położył na wznak, podkładając splecione ręce pod głowę. Al podniósł się.

– Muszę tu jednemu gościowi pomóc przy naprawie samochodu.

Matka pozbierała talerze i wyniosła je z namiotu, do zmywania.

– Ruthie, Winfield! – zawołała. – Przynieście mi zaraz wiadro wody.

Podawała wiadro dzieciom, które podreptały ku rzece.

Nadeszła krzepka, tęga kobieta. Suknia jej była pokryta smugami kurzu i poplamiona smarem samochodowym. Głowę trzymała dumnie podniesioną do góry. Stała w pewnej odległości, patrząc wyzywająco na matkę. W końcu zbliżyła się i powiedziała chłodno:

– Dobry wieczór!

– Dobry wieczór! – odpowiedziała matka. Wstała z klęczek i podsunęła przybyłej skrzynkę. – Może pani usiądzie?

Kobieta przysunęła się jeszcze o parę kroków.

– Nie, nie usiądę.

Matka spojrzała na nią pytająco.

– Czy pani czegoś potrzebuje?

Kobieta wsparła się pod boki.

– Tylko tego, żeby pani pilnowała własnych dzieci, a moje zostawiła w spokoju.

Matka rozwarła szeroko oczy.

– A cóż ja takiego zrobiłam?... – zaczęła.

Kobieta nachmurzyła się.

– Jak mój mały wrócił do namiotu, to szedł od niego zapach mięsa. To pani go poczęstowała. Sam mi powiedział. Niech się pani nie popisuje i nie przechwala, że macie mięso. Niech pani da temu spokój. Mam bez tego dosyć zgryzot. Dzieciak przychodzi i pyta: „Dlaczego u nas nie ma mięsa?”.

Głos jej drżał z wściekłości. Matka podeszła bliżej.

– Niech pani siada – zapraszała. – Niech pani usiądzie, to pogadamy.

– Nie, nie myślę siadać. Nie wiem, co swoim włożyć do gęby, a pani tu z mięsem wyjeżdża.

– Niech pani siada – nalegała Joadowa. – To pewno było ostatnie mięso, jakie jedliśmy, zanim znajdziemy pracę. Niech pani sobie wyobrazi, że gotuje pani mięso, a dokoła stoi gromadka dzieci wytrzeszczających oczy. Co by pani zrobiła? Mieliliśmy za mało dla siebie, ale człowiekowi musi serce zmięknąć, kiedy dzieciaki patrzą w ten sposób.

Ręce kobiety osunęły się z bioder. Przez chwilę wpatrywała się w matkę ze zdumieniem, potem odwróciła się i szybko odeszła. Wsunęła się do namiotu i zaciągnęła za sobą zasłony. Matka odprowadziła ją spojrzeniem, a gdy znikła, uklękła przy stosie blaszanych talerzy. Nadbiegł Al.

– Tom! – zawołał. – Mamo, czy Tom jest w namiocie?

Tom wysunął głowę z namiotu.

– Choć ze mną – powiedział Al, podniecony.

Oddalili się razem.

– O co chodzi? – zapytał Tom.

– Dowiesz się zaraz. Poczekaj.

Zaprowadził Toma do rozebranego samochodu.

– To jest Floyd Knowles – przedstawił.

– Wiem. Rozmawialiśmy już dziś. No, jak tam?

– Doprowadzam wóz do porządku – odparł Floyd.

Tom przesunął palcem po kadłubie silnika.

– Gadaj, Al, co ci chodzi po głowie?

– Floyd mówił mi właśnie... Powiedźcie mu, Floyd.

– Może i nie powinienem tego rozgadywać, ale niech tam, powiem. Przechodził tu jeden gość i powiedział mi, że na północy można dostać robotę.

– Na północy?

– Tak. W miejscowości Santa Clara Valley, opętany kawał drogi na północ.

– Tak? A co to za robota?

– Zbieranie śliwek, gruszek i praca w przetwórni owoców. Mówił, że to się lada chwila rozpocznie.

– Daleko to stąd? – zapytał Tom.

– A Bóg raczy wiedzieć. Ze dwieście mil.

– Kawał drogi, psiakrew! – zaklął Tom. – A skąd pewność, że jak tam przyjedziemy, to dostaniemy pracę?

– Pewności nie ma – przyznał Floyd. – Ale tu też nic nie ma, a ten gość dostał list od brata i szedł tam właśnie. Zaklinał, żeby nie mówić nikomu, bo za dużo znajdzie się amatorów. Toteż musimy wyjechać w nocy. Trzeba się pośpieszyć i złapać jakąś stałą robotę.

Tom przyjrzał mu się badawczo.

– A czemu to mamy wykradać się chyłkiem?

– No, bo jak rzuca się wszyscy, to nikt nie złapie zajęcia.

– Ale to gdzieś na końcu świata – zauważył Tom.

Floyd poczuł się dotknięty.

– Ja wam tylko mówię, że jest okazja. Nikt wam nie każe z niej korzystać. Wasz brat pomógł mi i dlatego wam to powiedziałem.

– A tu na pewno nigdzie nie można znaleźć pracy?

– Słuchajcie, przez trzy tygodnie latałem po okolicy jak kot z pęcherzem i nie znalazłem najgłupszej roboty, bo nie ma tu o co rąk zaczepić. Jeśli macie ochotę rozglądać się po okolicy i marnować benzynę, to proszę bardzo. Wcale was nie namawiam, żebyście jechali. Im mniej pojedzie, tym większa moja szansa.

– Nie szukam dziury w całym – tłumaczył Tom. – Tylko, że to gdzieś za górami, za lasami. A my wciąż nie tracimy nadziei, że i tu znajdziemy zarobek i wynajmiemy jakiś domek na mieszkanie.

Floyd perswadował cierpliwie:

– Wiem, że dopiero co przyjechaliście tutaj. Niejednego musicie się nauczyć. Jeśli posłuchacie moich rad, to zaoszczędzicie sobie niespodzianek. A jeśli nie, nauczycie się na własnej skórze. Powiadam wam, że nie osiedlicie się tu, bo nie ma pracy, która by to umożliwiła. Żołądek wam na to nie pozwoli. To chyba jasne.

– Wolałbym jednak rozejrzeć się trochę – powiedział niepewnie Tom.

Do obozu wjechał samochód i zatrzymał się przy sąsiednim namiocie. Wsiadł z niego mężczyzna w drelichowych spodniach i niebieskiej koszuli. Floyd zawołał do przybyłego:

– Jak tam, udało się?

– Nie ma w tym przeklętym kraju roboty na owinięcie palca i nie będzie aż do czasu zbioru bawełny – odpowiedział mężczyzna i wszedł do postrzępionego namiotu.

– Słyszeliście? – zapytał Floyd.

– Owszem słyszałem, ale dwieście mil, rany boskie!

– No, przecież i tak tymczasem nigdzie jeszcze nie osiedliście na stałe. Zastanówcie się nad tym.

– Chyba trzeba jechać – wtrącił Al.

– A kiedy zanosz się na robotę w tych stronach? – spytał Tom.

– Za jaki miesiąc rozpocznie się zbiór bawełny. Jeżeli macie dużo pieniędzy, możecie zaczekać.

Tom dodał:

– Matka nie będzie chciała się ruszyć. Jest zupełnie wykończona.

Floyd wzruszył ramionami.

– Nie myślę pchać was siłą na północ. Jak uważacie. Powtórzyłem wam to, co sam słyszałem. – Podniósł ze stopnia ociekającą olejem uszczelkę, dopasował ją starannie do kadłuba i docisnął. – A teraz – zwrócił się do Ala – może mi pomożecie założyć głowicę.

Tom przyglądał się, jak osadzili ostrożnie na śrubach ciężką głowicę, opuszczając ją równomiernie.

– Muszę obgadać to ze swoimi – oświadczył.

– Nie chciałbym, żeby ktokolwiek poza waszą rodziną wiedział o tym – powiedział Floyd. – Zachowajcie to przy sobie. I wam bym też nic nie powiedział, gdyby mi wasz brat nie pomógł.

– Bardzo dziękuję za tę wiadomość. Musimy się zastanowić. Może i pojedziemy.

Al odezwał się:

– Jak Boga kocham, ja się chyba wybiorę. Niech sobie reszta jedzie czy nie jedzie. I zaczepię się tam jakoś.

– Rzucisz rodzinę? – zdziwił się Tom.

– Wiadomo. Wrócę z kieszeniami pełnymi dolarów. Czemu nie?

– Mama byłaby niezadowolona – zauważył Tom. – A i ojcu by się to nie podobało.

Floyd założył nakrętki i poprzykręcał je, ile się dało, palcami.

Zakładał po kolei klucz na poszczególne nakrętki śrub głowicy i przykręcał je równomiernie, dociągając o jeden obrót i powtarzając to kolejno z każdą.

Tom przykucnął obok samochodu, spoglądając z ukosa na szereg namiotów. Pomiedzy nimi ciągnął się kawałek zdeptanego ścierniska.

– No, mamie wcale by się nie podobało, żebyś się od nas odłączał – powiedział do Ala.

– Tak, ale zdaje mi się, że jednemu łatwiej o robotę.

– Możliwe, ale mama będzie temu bardzo przeciwna.

Do obozu wjechały dwa samochody pełne przygnębionych i smutnych ludzi. Floyd podniósł wzrok, ale już nie pytał przybyłych, jak im się powiodło. Na zakurzonych twarzach malował się smutek i bunt. Zachodzące słońce zalewało żółtym światłem całe Hooverville i wierzby za obozem. Z namiotów zaczęły się wysuwać dzieci i wałęsać po obozowisku. Wychodziły też kobiety, by rozniecić małe ogniska. Mężczyźni zbierali się w grupy, kucali i wszczynali rozmowy.

Zamknięty chevrolet najnowszego typu skręcił z szosy i skierował się do obozu. Wjechał w sam środek miasta namiotów.

– A to kto? To nikt z tutejszych – zastanawiał się Tom.

– Nie wiem. Może policja – odparł Floyd.

Drzwi samochodu otworzyły się, wysiadł z niego mężczyzna i stanął obok wozu. Jego towarzysz pozostał na swoim miejscu. Teraz wszyscy przykucnięci mężczyźni patrzyli na przybyszów, rozmowy umilkły. A kobiety rozniecające ogień zerknęły ukradkiem na lśniący samochód. Dzieci zbliżały się wyszukanie okrężną drogą, zataczając jak największe koła.

Floyd odłożył klucz. Tom wstał. Al wytarł ręce o spodnie. Wszyscy trzej podeszli do chevroleta. Mężczyzna, który wysiadł z samochodu, ubrany był w spodnie koloru khaki i flanelową koszulę. Na głowie miał pilśniowy kapelusz z szerokim rondem. Z kieszeni koszuli wystawał mu plik papierów podtrzymywany baterią wiecznych piór i żółtych ołówków, a z kieszeni spodni wychylał się notes w metalowej obwódce. Przybysz ruszył ku jednej z grup przykucniętych mężczyzn, którzy spoglądali na niego nieufnie,

w milczeniu. Obserwowali go, nie ruszając się z miejsca. Pod tęczówkami oczu błyskały białka, nie podnosili bowiem schylonych głów, by spojrzeć na przybysza. Tom, Al i Floyd zbliżyli się bez pośpiechu.

– Czy chcecie dostać pracę, ludzie? – zapytał przybyły.

Spoglądali na niego nadal podejrzliwie, bez słowa. Nadchodzili mężczyźni z całego obozu. Wreszcie jeden z siedzących w kucki odpowiedział:

– Pewno, że chcemy. Gdzie jest ta praca?

– W hrabstwie Tulare. Zaczyna się sezon zbiórki owoców. Będzie tam potrzeba dużo robotników.

– Czy to pan najmuje ludzi? – spytał Floyd.

– Tak, ja dzierżawię tamtejsze ogrody.

Mężczyźni zbili się teraz w ciasną gromadę. Jeden z nich, w kombinezonie, zdjął czarny kapelusz i zaczesał palcami do tyłu długie, ciemne włosy.

– Ale ile pan płaci? – spytał.

– Dokładnie nie mogę jeszcze powiedzieć. Około trzydziestu centów, przypuszczam.

– A dlaczego nie może pan powiedzieć? Przecież zawarł pan kontrakt, co?

– To prawda, ale wszystko zależy od ceny owoców. Może wypaść trochę więcej lub trochę mniej.

Floyd wystąpił naprzód i powiedział spokojnie:

– Ja pojadę, proszę pana. Jest pan dzierżawcą, to ma pan pewnie jakieś zezwolenie. Niech pan je pokaże, a potem da nam papier, że jesteśmy zaangażowani, poda gdzie, kiedy i za jaką płacę i podpisze ten papier, to zgłosimy się wszyscy.

Dzierżawca odwrócił się do niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Uczycie mnie, jak mam prowadzić własny interes?

– Jeżeli mamy dla pana pracować, to jest także nasz interes.

– Nie będziecie mi dyktowali, co mam robić. Powiedziałem, że potrzebuję ludzi.

Floyd odparł z gniewem:

– Ale nie powiedział pan ilu, ani ile pan zapłaci.

– Sam jeszcze nie wiem, do stu diabłów!

– Jeśli pan nie wie, to nie ma pan prawa najmować ludzi.

– Mam prawo prowadzić własne sprawy tak, jak mi się podoba. Jeżeli chcecie siedzieć tu z założonymi rękami, to siedźcie. Ja werbuję robotników do hrabstwa Tulare. Potrzebuję dużo ludzi.

Floyd zwrócił się do zgromadzonych mężczyzn. Stali teraz wszyscy w milczeniu, obserwując spokojnie rozmawiających.

– Dwa razy wpadłem w ten sposób. Ten gość potrzebuje może tysiąc ludzi, ale zwerbuje pięć tysięcy i będzie im płacił po piętnaście centów za godzinę. A wy, biedne dziady, będziecie musieli się zgodzić, kiedy was bieda przycisnie. Jeżeli chce wynająć robotników, niech wypisze czarno na białym, ile będzie płacił. I niech pokaże zezwolenie. Nie wolno werbować ludzi bez zezwolenia.

Dzierżawca odwrócił się do chevroleta i zawołał:

– Joe!

Towarzysz jego wyjrzał, po czym otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Ubrany był w spodnie do konnej jazdy i wysokie, sznurowane buty. Miał na sobie pas z ładownicą, z której zwisała ciężka kabura rewolweru. Na jego brązowej koszuli widniała przypięta gwiazda – oznaka władzy zastępcy szeryfa. Zbliżył się ciężkim krokiem. Po twarzy jego błąkał się nikły uśmiech.

– O co chodzi?

Futerał z pistoletem kołysał się na jego biodrze.

– Widziałeś już kiedy tego faceta, Joe?

– Którego? – zapytał zastępca szeryfa.

– Tego tutaj. – Dzierżawca wskazał Floyda.

– A cóż on zbroił? – spytał policjant, uśmiechając się do Floyda.

– To czerwony, agituje i podburza ludzi.

– Hm.

Zastępca szeryfa obrócił się powoli, by przyjrzeć się z profilu Floydowi, któremu z wolna krew napłynęła do twarzy.

– Widzicie! – krzyknął Floyd. – Gdyby ten gość był w porządku, to czy przywoziłby ze sobą policjanta?

– Spotkałeś go już kiedy? – nalegał dzierżawca.

– Hm, wydaje mi się, że tak. W zeszłym tygodniu, podczas napadu na ten magazyn starych samochodów. Coś mi się zdaje, że to on właśnie kręcił się w pobliżu. No tak! Przysięgłbym, że to ten sam. – Nagle uśmiech znikł mu

z twarzy. – Wsiadajcie do samochodu! – rozkazał i odpiął futerał rewolweru.

– Nie macie żadnych przeciwko niemu dowodów – odezwał się Tom.

Policjant obrócił się ku niemu.

– Jeżeli macie ochotę przejechać się ze mną, to otwórzcie jeszcze raz buzię. Bo tam się wtedy pętało dwóch takich jak wy.

– W zeszłym tygodniu nie było mnie jeszcze w tym stanie – odparł Tom.

– To może szukają was gdzie indziej. Stulcie pysk!

Dzierżawca zwrócił się ponownie do zgromadzonych:

– Nie słuchajcie tych przeklętych bolszewików. To awanturnicy i jeszcze was wciągną w biedę. A ja was wszystkich zatrudnię w hrabstwie Tulare.

Ludzie milczeli. Zastępca szeryfa zwrócił się do nich:

– Dobrze zrobicie, jeśli się stąd wyniesiecie – powiedział. – Na twarz wrócił mu uśmiešek. – Departament Zdrowia uważa, że trzeba ten obóz zlikwidować. A jeśli się rozniesie, że są wśród was czerwoni, niejednemu może się zrobić gorąco. To będzie dobre wyjście, jeżeli wszyscy wyruszą do Tulare. Radzę wam po przyjaźni. W tych stronach nie ma roboty. Zwali się tu banda drabów, którzy dadzą wam łupnia oskardami, jeśli nie usuniecie się w porę.

Dzierżawca powtórzył:

– Mówiłem wam, że potrzebuję ludzi. Nie chcecie pracować, to już wasza rzecz.

Zastępca szeryfa uśmiechnął się.

– Jeżeli nie chcą wziąć się do pracy, to nie ma dla nich miejsca w tym hrabstwie. Spławimy ich stąd szybko.

Floyd stał sztywno koło zastępcy szeryfa, założywszy kciuki za pas. Tom zerknął na niego ukradkiem, a potem wbił wzrok w ziemię.

– To wszystko – zakończył dzierżawca. – Potrzebujemy ludzi w hrabstwie Tulare. Roboty będzie dla wszystkich dosyć.

Tom podniósł powoli oczy na ręce Floyda i dostrzegł, że na przegubach wystąpiły mu żyły. Wtedy dłonie jego powędrowały ku biodrom i również założył kciuki za pas.

– No tak, więcej nie mam nic do powiedzenia. I żebym tu jutro rano nie zastał nikogo.

Dzierżawca wsiadł do chevroleta. Zastępca szeryfa zwrócił się do Floyda:

– A ty, bratku, wsiadaj do samochodu!

Wyciągnął wielką rękę i chwycił Floyda za lewe ramię. Ale ten jednym ruchem obrócił się i wyszarpnął. Pięść jego spadła na szeroką twarz, niemal jednocześnie zaś rzucił się w tył, uciekając w stronę namiotów. Zastępca szeryfa zachwiał się i gdy Tom podstawił mu jeszcze nogę, runął ciężko na ziemię, sięgając równocześnie po rewolwer. Floyd to ukazywał się, to znikał między namiotami. Zastępca szeryfa strzelił z ziemi. Rozległ się przeraźliwy krzyk kobiety stojącej przed jednym z namiotów. Patrzyła na swoją rękę, którą przebiła kula. Palce, blade i bezkrwiste, zwisały z dłoni na strzępach ciała. W dali, za namiotami, ukazał się Floyd pędzący co tchu ku zaroślom. Policjant, siedząc na ziemi, podniósł jeszcze raz rewolwer. Nagle z grupy mężczyzn wystąpił wielebny Casy. Kopnął zastępcę szeryfa w kark i cofnął się, gdy tęgi mężczyzna stracił przytomność.

Silnik chevroleta ryknął i samochód ruszył zygzakiem, wzbijając obłoki kurzu. Wjechał na asfalt i pomknął szosą. Kobieta przed namiotem ciągle jeszcze przyglądała się swej przestrzelonej ręce. Z rany zaczęły się sączyć drobne kropelki krwi. Z gardła ranionej wydobył się histeryczny, skowyczący śmiech, który z każdym oddechem wzrastał się i rozbrzmiewał coraz wyższą nutą.

Zastępca szeryfa leżał na boku. Jego otwarte usta dotykały piasku.

Tom podniósł rewolwer, wyjął magazynek, wyrzucił go w krzaki, po czym usunął nabój z lufy.

– Taki człowiek nie ma prawa nosić broni – oświadczył, rzucając broń na ziemię.

Dokoła kobiety ze zranioną ręką zgromadził się tłum; jej histeryczny atak wzrastał się coraz bardziej, a śmiech przeszedł w przeraźliwe wycie.

Casy zbliżył się do Toma.

– Musicie wiać. Schowajcie się w wiklinie i czekajcie. On nie widział, że to ja go kopnąłem, ale zauważył, że to wy podstawiliście mu nogę.

– Ani mi się śni uciekać – odparł Tom.

Casy nachylił mu się do ucha i szepnął:

– Zdejmą wam odciski palców. Nie dotrzymaliście warunków, więc odeślą was z powrotem do więzienia.

Tom nabrał tchu.

– Cholera! Na śmierć zapomniałem.

– Wyrywajcie od razu, zanim ten drań przyjdzie do siebie.

– Wziąłbym jego rewolwer... – wahał się Tom.

– Nie. Zostawcie go. Jeśli wszystko będzie dobrze, to gwizdnę głośno cztery razy na znak, że możecie wracać.

Tom odszedł niedbałym krokiem, zaledwie jednak oddalił się od grupy mężczyzn, przyśpieszył i znikł wśród wierzb rosnących wzdłuż brzegu rzeki.

Al podszedł do leżącego na ziemi policjanta.

– Rany boskie! – powiedział z uznaniem. – Aleście go urządzili!

Gromada mężczyzn nie odrywała oczu od zemdlonego. Nagle gdzieś z daleka dobiegło rozdzierające wycie syreny, wzbiło się gamą w górę i ucichło, by niebawem odezwać się znowu, tym razem bliżej. Ludzi od razu ogarnął niepokój. Przez chwilę przestępowali z nogi na nogę, po czym zaczęli się rozchodzić, śpiesząc do swych namiotów. Pozostali tylko Al i Casy. Pastor zwrócił się do chłopca:

– Ruszaj stąd! Dalej, już cię nie ma! Idź do namiotu. Nie wiesz o niczym.

– No a co będzie z wami?

Casy uśmiechnął się.

– Ktoś musi wziąć winę na siebie. Ja nie mam dzieci. Jak mnie wsadzą, to najwyżej posiedzę sobie trochę.

– Ale to jeszcze nie powód...

– Zabieraj się stąd! – przerwał ostro Casy. – Nie masz tu nic do gadania.

Al zjeżył się.

– Nie słucham niczych rozkazów.

– Wmieszasz w to całą rodzinę – perswadował łagodnie Casy – a wtedy na wszystkich spadnie nieszczęście. Nie chodzi mi o ciebie. Ale matka i ojciec wpadną w kłopoty. A Toma mogą odesłać z powrotem do McAlester.

Al zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Chociaż myślę, że z was skończony wariat.

– Ano pewnie! Czemu nie mam być wariat.

Syrena ryczała raz po raz i odzywała się coraz bliżej. Casy ukląkł przy zastępcy szeryfa i odwrócił go. Mężczyzna jęczał i mrugał powiekami, usiłując otworzyć oczy. Pastor otarł mu kurz z warg. Rodziny ukryły się teraz po namiotach i pozasuwały zasłony. Powietrze w zachodzącym słońcu przybrało odcień czerwony, a szare namioty brązowy.

Na szosie zazgrzytały opony i do obozu wjechał pełnym gazem otwarty samochód. Wyskoczyło z niego czterech mężczyzn z karabinami. Casy wstał z klęczek i podszedł do nich.

– Co się tu dzieje, do pioruna?

– Zwaliłem z nóg jednego z waszych.

Jeden z uzbrojonych zbliżył się do zastępcy szeryfa. Odzyskał on przytomność i próbował z trudem usiąść.

– Gadać, co się tu stało?

– No – wyjaśnił Casy – gość się rzucał, to dałem mu po łbie, a on zaczął strzelać i postrzelił kobietę z tamtego namiotu, więc zdzieliłem go jeszcze raz.

– Tak, ale co zrobiliście przedtem.

– Powiedziałem mu parę słów prawdy – odpowiedział Casy.

– Wsiadajcie do tego wozu!

– Dobra! – zgodził się Casy. Wdrapał się na tylne siedzenie i usiadł.

Dwaj mężczyźni pomogli poszkodowanemu zastępcy szeryfa stanąć na nogi. Pomacał się ostrożnie po karku.

– Tam jest kobieta, która pewnie umrze z upływu krwi przez to, że gość kiepsko strzela – powiedział Casy.

– Zajmiemy się tym później. Mike, czy to ten cię uderzył?

Ogłuszony policjant przyjrzał się mętным wzrokiem Casy'emu.

– Chyba nie ten.

– Nie, to na pewno ja – zapewnił Casy. – A wy przyczepiacie się do Bogu ducha winnych ludzi.

Mike potrząsnął powoli głową.

– Nie wyglądacie na tamtego. Słowo daję, chyba zacznę rzygać.

– Pojadę bez żadnych awantur – zapowiedział pastor. – Lepiej zajrzyjcie, czy ta kobieta nie bardzo ciężko ranna.

– A gdzie ona jest?

– W tamtym namiocie.

Dowódca patrolu ruszył ku namiotowi z karabinem w rękę. Krzyknął coś przez płachtę, a potem wszedł do środka. Po chwili wrócił, mówiąc z odcieniem dumy:

– Do licha! Taka kula kaliber 45 potrafi narobić bigosu! Założyli jej ucisk, żeby zatamować krew. Przyślemy lekarza.

Dwaj policjanci usiedli z dwu stron Casy'ego.

Dowódca patrolu nacisnął klakson. Cały obóz zamarł. Nikt nie wyrzwał z namiotu, zasłony u wejść były szczelnie zaciągnięte. Zawarczał silnik, samochód zatoczył łuk i wyjechał z obozu. Casy siedział z dumnie podniesioną głową pomiędzy swymi strażnikami. Na karku wystąpiły mu muskuły. Po wargach błąkał się słaby uśmiech, twarz miała zwycięski wyraz.

Gdy patrol odjechał, ludzie powychodzili z namiotów. Słońce już zaszło i obóz tonął w łagodnym błękitnym zmierzchu. Na wschodzie góry złociły się jeszcze w słońcu. Kobiety powróciły do wygasłych ognisk. Mężczyźni zebrali się, przykucnęli wkoło i zaczęli gawędzić półgłosem

Al wysunął się z namiotu Joadów i ruszył ku łozom, żeby zagwizdać na Toma. Opuściła namiot także matka i roznieciła mały ogieniek z gałązek.

– Ojciec – odezwała się – nie będziemy dużo jedli. Obiad był tak późno.

Ojciec i stryj John trzymali się w pobliżu namiotu i przypatrywali, jak matka obiera ziemniaki, kraje surowe w plasterki i rzuca na patelnię ze skwierczącym tłuszczem. Ojciec zapytał:

– Co, u diabła, podkusiło pastora, że to zrobił?

Ruthie i Winfield przysunęli się ukradkiem, aby posłuchać, o czym mówią starsi.

Stryj John rył głęboko ziemię zardzewiałym gwoździem.

– Znał się na grzechach. Wypytywałem go na ten temat, a on mi tłumaczył. Ale nie wiem, czy miał rację. Mówił, że człowiek grzeszy wtedy, kiedy myśli, że popełnia grzech. – Oczy stryja Johna były znużone i smutne. – Zawsze był ze mnie człowiek skryty – zwierzał się dalej. – Mam na sumieniu rzeczy, o których nikt nie wie.

Matka odwróciła się od ogniska.

– Nie mów nic, John – powiedziała. – Powiedz wszystko Bogu. Nie zrzucaj na innych ludzi ciężaru własnych grzechów. To nie jest uczciwe.

– Kiedy sumienie mnie gryzie – skarżył się John.

– Wszystko jedno, nie gadaj o tym. Idź nad rzekę, wsadź głowę pod wodę i wypowiadaj się rzece.

Ojciec pokiwał wolno głową, potakując słowom żony.

– Matka ma słuszość – powiedział. – Wygadanie się przynosi człowiekowi ulgę, ale rozsiewa jego grzech na innych.

Stryj John podniósł wzrok na góry ozłoczone słońcem, które odbiły się w jego oczach.

– Chciałbym pozbyć się tego brzemienia – mówił. – Ale nie sposób. Kamieniem leży mi na sercu.

Za jego plecami wysunęła się chwiejnie z namiotu Rose of Sharon.

– Gdzie jest Connie? – zapytała z irytacją. – Nie ma go już od dłuższego czasu. Gdzie on mógł się zawieruszyć?

– Nie widziałam go – odpowiedziała matka. – Jeśli go zobaczę, powiem, żeby zaraz przyszedł do ciebie.

– Czuję się niedobrze – uskarżała się Rose of Sharon. – Connie nie powinien mnie zostawiać samej.

Matka spojrzała na obrzmiałą twarz córki.

– Płakałaś?

Do oczu Rose of Sharon napłynęły znowu łzy. Matka zgromiła ją stanowczo:

– Musisz się wziąć w garść. Jest nas tu więcej, nie tylko ty sama. Musisz się trzymać. A teraz chodź i pomóż mi obierać ziemniaki. Rozczulasz się nad sobą, i tyle.

Młoda kobieta cofnęła się, jakby chciała wejść do namiotu. Usiłowała uniknąć surowego wzroku matki, lecz nie zdołała mu się oprzeć i podeszła powoli do ogniska.

– Nie powinien był odchodzić – powtórzyła, ale łzy jej już obeschły.

– Trzeba, żebyś pracowała. Siedzisz kamieniem w namiocie i tylko płaczesz, żeś taka nieszczęśliwa. Nie miałam dotąd czasu, ale teraz muszę się do ciebie zabrać. Weź ten nóż i obieraj ziemniaki.

Rose of Sharon uklękła i spełniła polecenie matki. Powiedziała ze złością:

– Niech no tylko przyjdzie. Już ja mu pokażę!

Matka uśmiechnęła się lekko.

– Gotów cię jeszcze sprać. Zasłużyłaś na to tym wiecznym jęczeniem i cackaniem się z sobą. Jeżeli chłopak napędzi ci kijem trochę rozumu do głowy, pierwsza go za to pobłogosławię.

Oczy Rose of Sharon zapłonęły oburzeniem, nie odezwała się jednak.

Stryj John wepchnął głęboko w ziemię grubym kciukiem zardzewiały gwóźdź.

– Muszę wam powiedzieć – oświadczył.

– No to gadaj wreszcie, do stu diabłów! – zawołał ojciec. – Kogoś zabił?

Stryj John pogrzebał palcem w przeznaczony na zegarek kieszonce dzinsów i wydobył złożony brudny banknot. Rozwinął go i pokazał.

– Pięć dolarów – powiedział.
– Ukradłeś je? – zapytał ojciec.
– Nie, mam je od dawna. Chowałem przy sobie.
– To twoje pieniądze, co?
– Tak, ale nie miałem prawa chować ich dla siebie.
– Nie widzę w tym grzechu – wtrąciła matka. – Przecież to twoje pieniądze.

Stryj John wywodził wolno:

– Chodzi nie tylko o to, że chowałem pieniądze dla siebie. Chodzi o to, że chowałem je na wódkę. Wiedziałem, że przyjdzie chwila, kiedy będę musiał się upić, bo już dłużej nie wytrzymam.. Zdawało mi się ciągle, że jeszcze nie nadeszła. A dziś... pastor poświęcił się, żeby uratować Toma...

Ojciec pokiwał głową i przechylił ją na bok, aby lepiej słyszeć. Ruthie przysunęła się bliżej, czołgając się jak szczenię na czworakach. Za nią sunął Winfield. Rose of Sharon końcem noża wydłubywała tkwiące głęboko w ziemniaku oczko. Wieczorny zmierzch przybrał ciemniejszy błękitny odcień. Matka powiedziała ostrym, rzeczowym tonem:

– Nie rozumiem, co ma jedno do drugiego i dlaczego się upijać.
– Nie potrafię tego wytłumaczyć – odpowiedział John smutnie. – Strasznie mi ciężko. Pastorowi przyszło to tak łatwo. Po prostu wystąpił i powiedział: „Ja to zrobiłem”. I oni go zabrali. A ja muszę zalać robaka.

Ojciec ciągle kiwał głową.

– Nie rozumiem, dlaczego musisz mówić o tym – zauważył. – Jakby tak na mnie padło, to poszedłbym, upiłbym się, i tyle.

– To była okazja, żeby zrobić coś, co zmazałoby mój wielki grzech – ciągnął ze smutkiem stryj John. – A ja nie skorzystałem z niej i... już jej nie ma. Słuchaj! – zwrócił się do ojca. – Masz pieniądze? Daj mi dwa dolary.

Ojciec sięgnął niechętnie do kieszeni i wyjął skórzaną sakiewkę.

– Żeby się urządzić nie potrzeba ci aż siedmiu dolarów. Nie będziesz przecież zalewał się szampanem.

Stryj John podał mu swój banknot.

– Weź te pięć dolarów i daj mi dwa. Mogę się uczciwie zalać i za dwa dolary. Nie chcę mieć jeszcze grzechu marnotrawstwa na sumieniu. Wydam tyle, na ile mnie stać. Zawsze tak robiłem.

Ojciec wziął brudny banknot i wręczył stryjowi Johnowi dwa srebrne dolary.

– Masz – powiedział. – Jak człowiek musi, to musi. I nikt nie ma prawa mu zabronić.

Stryj John wziął monety.

– A nie będziesz na mnie zły? Rozumiesz, że nie mogę inaczej?

– Do licha, tak! Sam wiesz najlepiej, co robić.

– Nie dałbym sobie rady w nocy. – Zwrócił się do matki: – A ty nie weźmiesz mi tego za złe?

Nie podniosła na niego oczu.

– Nie – odparła łagodnie. – Nie. Idź już.

Wstał i odszedł samotnie w mrok wieczoru. Dotarł do asfaltowej szosy, przeciął jezdnię i skierował się do sklepu kolonialnego. Przed drzwiami zaopatrzonymi w siatkę zdjął kapelusz, rzucił go na ziemię i w odruchu samoponiżenia wdeptał obcasem w kurz. Czarny kapelusz, stratowany i brudny, pozostał pod progiem. Stary John wszedł do sklepu i ruszył ku półkom, na których stały za drucianą siatką butelki z wódką.

Ojciec, matka i dzieci odprowadzili go wzrokiem. Tylko Rose of Sharon nie podniosła znad ziemniaków obrażonych oczu.

– Biedny John! – powiedziała matka. – Ciekawa jestem, czy nie byłoby lepiej, gdyby... ale chyba nie. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby człowieka tak wzięło.

Ruthie przewróciła się w kurzu na bok. Przysunęła głowę do głowy Winfielda, przyciągnęła jego ucho do ust i wyszeptała:

– Ja też się upiję.

Winfield parsknął i zacisnął mocno wargi. Oboje zaczęli się oddalać na czworakach, wstrzymując oddech, z twarzami purpurowymi od hamowanego chichotu. Przeczolągali się za namiot, zerwali się i pobiegli, wydając piskliwe okrzyki. Popędzili ku zarośłom, gdzie już w ukryciu wybuchnęli hałaśliwym śmiechem. Ruthie przewracała oczami, poruszając się niepewnie, chwiejąc i potykając z wywieszonym językiem.

– Jestem zalana! – wołała.

– Patrz! – krzyczał Winfield. – Popatrz na mnie, ja jestem stryj John. – Wymachiwał rękami, sapał, kręcił się w kółko, aż dostał zawrotu głowy.

– Nie! – przekrzykiwała go Ruthie. – To trzeba tak! To trzeba tak! To ja jestem stary John! I strasznie się upiłam!

Al i Tom szli spokojnie przez łozy i wpadli niespodzianie na dzieci zataczające się jak szalone. Mrok już zgęstniał. Tom przystanął i patrzył.

– Czy to czasem nie Ruthie i Winfield? Co oni, do licha, wyprawiają? Podeszli bliżej.

– Czyście zwariowali? – zapytał Tom.

Dzieci stanęły jak wryte.

– My tylko... bawiliśmy się – tłumaczyła Ruthie.

– To głupia zabawa – powiedział Al.

– Nie głupsza od wielu innych rzeczy – odparła zuchwale Ruthie.

Al i Tom poszli dalej.

– Ruthie doczeka się kopniaka w tyłek. Od dawna na to się zbiera. Wielki czas nauczyć ją rozumu – mówił Al.

Ruthie robiła miny za jego plecami, rozciągając sobie wargi palcami, pokazując mu język i znieważając go, jak tylko umiała, lecz Al nawet się nie obejrzał. Popatrzyła na Winfielda, chcąc znowu zacząć zabawę, ale już ją popsuto. Czuli to oboje.

– Chodźmy nad wodę, to sobie ponurkujemy – zaproponował Winfield.

Szli przez zarośla pełni urazy do Ala. Tymczasem bracia kroczyli wolno w ciemności.

– Casy nie powinien był tego robić – mówił Tom. – Że też ja nie domyśliłem się od razu! Dawno już gadał, że nie mamy z niego pożytku. Dziwny chłop. Ciągłe tylko medytuje.

– To dlatego, że był pastorem. Tacy wciąż mają czymś nabitą głowę.

– Jak myślisz, gdzie się podział Connie?

– Wybrał się pewnie gdzieś na kieliszek.

– W takim razie powędrował Bóg wie jak daleko.

Przesuwali się pomiędzy namiotami, ocierając się o płócienne ściany. Zatrzymało ich ciche wołanie, które dobiegło z namiotu Floyda. Podeszli do wejścia i przykucnęli. Floyd uniósł nieco osłaniającą je płachtę.

– Jedziecie?

– Nie wiem jeszcze – odpowiedział Tom. – A myślicie, że lepiej stąd wiać?

Floyd roześmiał się głośno.

– Słyszeliście chyba, co ten drań zapowiadał. Podpalą obóz i wykurzą was, jeżeli nie wyniesiecie się sami. Jeżeli myślicie, że ten gość daruje wam, to macie źle w głowie. Draby zwałą się tu jeszcze dziś w nocy.

– W takim razie lepiej chyba brać nogi za pas – stwierdził Tom. – A wy dokąd ruszacie?

– Jak to dokąd? Na północ, jak mówiłem.

– Słuchajcie – wtrącił Al – opowiadał mi jeden gość, że tu w pobliżu znajduje się jakiś obóz rządowy. Gdzie to jest?

– Oj, tam na pewno nie ma miejsca.

– No, dobrze, ale gdzie to jest?

– Jedźcie na południe szosą 99 ze dwadzieścia, dwadzieścia dwie mile, a potem skręćcie na wschód do Weedpatch. Stamtąd już blisko. Ale myślę, że tam przepełnienie.

– Mówią, że fajnie się tam mieszka – powiedział Al.

– Podobno nie najgorzej. Obchodzą się z człowiekiem po ludzku, nie traktują jak psa. I nie ma tam policjantów. Ale na pewno nie będzie miejsca.

– Nie mogę zrozumieć – odezwał się Tom – dlaczego ten policjant tak się ciskał. Wyglądało na to, jakby chciał wywołać awanturę. Jakby umyślnie drażnił ludzi.

Floyd wyjaśnił:

– Nie wiem, jak sprawa wygląda tutaj, ale na północy znałem jednego takiego, porządny był chłop. Tłumaczył mi, że ludzie szeryfa muszą pakować, kogo się da, za kratki. Szeryf dostaje za każdego więźnia po siedemdziesiąt pięć centów dziennie, a żywi go za ćwierć tej sumy. Nie ma aresztowanych, to nie ma zysków. Ten mój znajomy opowiadał, że kiedy raz przez tydzień nikogo nie przyprowadził, to szeryf mu powiedział: „Ściągaj ludzi do ciupy, a nie, to bywaj zdrow!”. Nasz dzisiejszy facet ani chybi wybrał się po to, żeby kogoś w ten czy inny sposób zahaczyć.

– Musimy się zbierać – oświadczył Tom. – Do widzenia, Floyd.

– Do widzenia! Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś zobaczymy.

– Do widzenia! – dorzucił Al.

Poszli przez szarzejący w ciemności obóz ku namiotowi Joadów.

Patelnia z ziemniakami syczała i pryskała tłuszczem nad ogniskiem. Matka obracała łyżką grube plasterki. Obok siedział ojciec, objąwszy rękami kolana. Rose of Sharon usiadła w namiocie.

– To Tom! – zawołała matka. – Chwała Bogu!

– Musimy się stąd wynosić – oznajmił Tom.

– Co się znowu stało?

– Floyd twierdzi, że dziś w nocy spalą obóz.

– Po kiego diabła? – wybuchnął ojciec. – Nie zrobiliśmy nikomu krzywdy.

– Tyle tylko, że porachowaliśmy policjantowi kości – zauważył Tom.

– Ale przecież to nie my.

– Z tego, co mówił ten drugi, widać, że chcą nas stąd wygrzyść.

– Czy nie widziałeś gdzie Conniego? – zapytała Rose of Sharon.

– Owszem – odpowiedział Al. – Cholernie daleko stąd, nad rzeką. Szedł na południe.

– Czy... czy myślisz, że porzucił nas?

– A bo ja wiem?

Matka zwróciła się do młodej kobiety:

– Rosasharn, pleciesz głupstwa i zachowujesz się jak wariatka. Co ci Connie powiedział?

– Żałował, że nie został w domu i nie uczył się na kierowcę ciągnika – odparła ponuro Rose of Sharon.

Zapadła głęboka cisza. Rose of Sharon patrzyła w ogień, oczy jej świeciły się w blasku płomieni. Ziemniaki na patelni skwierczały głośno. Młoda kobieta pociągnęła kilka razy nosem i wytarła go wierzchem dłoni.

– Connie to nic dobrego – odezwał się ojciec. – Wiedziałem już dawno, że chłop ma kielbie we łbie.

Rose of Sharon wstała i weszła do namiotu. Padła na materac, kryjąc twarz w skrzyżowanych ramionach.

– Nie warto chyba go gonić – powiedział Al.

– Nie – stwierdził ojciec. – Nie potrzebujemy takiego nicponia.

Matka zajrzała do namiotu, gdzie na swym materacu leżała Rose of Sharon.

– Cicho! Nie wygadujcie takich rzeczy.

– Co tam, Connie jest ladaco – nie dał się uciszyć ojciec. – Wciąż tylko się przechwalał, czego to dokona. A figę zrobił. Nie chciałem nic gadać, dopóki tu był. Ale teraz, kiedy dał drapaka...

– Cicho! – prosiła półgłosem matka.

– Czemu mam być, na miłość boską, cicho? Uciekł czy nie?

Matka obracała łyżką smażące się ziemniaki, wrzący tłuszcz rozpryskiwał się dokoła. Dołożyła gałęzi do ognia. Płomienie wystrzeliły w górę i oświectliły namiot.

– Rosasharn będzie miała dziecko – mówiła matka – i pół tego dziecka to Connie. Nie trzeba, żeby wzrastało wśród ludzi, którzy źle mówią o jego ojcu.

– Lepsze to niż łgarstwo – zaprotestował ojciec.

– Nie, nieprawda – zaprzeczyła matka. – Niech wam się zdaje, że Connie nie żyje. Gdyby umarł, nie powiedzielibyście o nim złego słowa.

– Ech, po co to mielenie ozorami – wtrącił się do rozmowy Tom. – Nie jesteśmy wcale pewni, że Connie odszedł na dobre. A poza tym nie ma czasu na gadanie. Trzeba coś zjeść i ruszać w drogę.

– W drogę? Przecież dopiero cośmy tu przyjechali. – Matka spojrzała ku niemu w ciemność rozjaśnioną blaskiem ognia.

– Dziś w nocy mają spalić obóz, mamó – tłumaczył cierpliwie Tom. – A mama wie chyba, że ani ja, ani ojciec, ani stryj John nie będziemy stali z założonymi rękami i patrzyli na to, jak zaczną podpalać nasze rzeczy. Dojdzie do bójki, a ja po prostu nie mogę teraz dać się zabrać i przymknąć. Już dziś mało brakowało, a byłbym wpadł, gdyby pastor się w to nie wmieszał.

Matka wciąż obracała ziemniaki w gorącym tłuszczu. Natychmiast powzięła decyzję.

– Chodźcie! – zawołała. – Zjedzmy to zaraz. Musimy jechać.

Rozstawiła blaszane talerze.

– Co będzie z Johnem? – zaniepokoił się ojciec.

– A gdzie stryj? – zapytał Tom.

Ojciec i matka milczeli przez chwilę. Wreszcie ojciec powiedział:

– Poszedł się upić.

– Rany boskie! Ale też wybrał sobie porę! Dokąd go poniosło?

– Nie wiem – odparł ojciec.

– Słuchajcie! Pośpieszcie się z jedzeniem i załadujcie wszystko na ciężarówkę – powiedział Tom, wstając. – Ja tymczasem poszukam stryja Johna. Na pewno poszedł do sklepu po drugiej stronie szosy.

Oddalił się szybko. Przed namiotami i szałasami płonęły małe ogniska, nad którymi gotowano jedzenie. Płomienie rzucały blask na twarze obdartych mężczyzn i kobiet, na przycupnięte na ziemi dzieci. Przez płótno niektórych namiotów przeświecało światło lamp naftowych, rzucając na ściany olbrzymie cienie ludzi.

Tom kroczył piaszczystą drogą, a potem przeszedł na drugą stronę asfaltowej szosy do sklepu kolonialnego. Zatrzymał się przed osłoniętymi siatką drzwiami i zajrzał do wnętrza. Właściciel, mały siwy człowieczek o rozwichrzonych wąsach i załzawionych oczach, pochylony nad kontuarem czytał gazetę. Ubrany był w długi biały fartuch, chude ręce aż po pachy miał nagie. Dokoła niego i za nim piętrzyły się sterty, piramidy, ściany puszek z konserwami. Gdy Tom wszedł, sklepikarz podniósł głowę i zmrużył oczy, jak gdyby mierzył z fuzji.

– Dzień dobry – przywitał gościa. – Zgubił pan coś?

– Zgubiłem stryja. A może on się zgubił lub coś podobnego.

Siwy człowieczek wyglądał na zaintrygowanego, a zarazem zmartwionego. Dotknął pieszczotliwie końca swego nosa i pokręcił nim, by zapobiec swędzeniu.

– Wy, ludzie, ciągle kogoś gubicie – zauważył. – Dziesięć razy na dzień albo i częściej wpada ktoś do sklepu i powiada: „Jeśli zobaczy pan gościa, który się tak i tak nazywa, a tak i tak wygląda, niech mu pan powie, że wyjechaliliśmy na północ”. Ciągle się powtarza ta sama historia.

Tom roześmiał się.

– No więc, jeżeli zobaczy pan młodego usmarkanego draba, który nazywa się Connie i przypomina trochę kojota, niech mu pan powie, żeby sobie szedł do diabła. My jedziemy na południe. Ale nie chodzi mi o tego gałgana. Czy nie wpadł tu czasem na wódkę szpakowaty gość pod sześćdziesiątkę, w czarnych spodniach?

Oczy sklepikarza rozblęły.

– Ma się rozumieć, że tu był. Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego. Stał przed sklepem, rzucił kapelusz na ziemię i podeptał go. O, mam ten kapelusik! – Wyciągnął spod kontuaru zakurzony, pognieciony kapelusz. Tom wyjął mu go z rąk.

– Tak, to jego kapelusz.

– Ano, proszę was, chłop zamówił dwie półlitrowki wódki, ale słowa więcej nie powiedział. Wybił korek i leje w gardło prosto z butelki... Ja nie mam koncesji na wyszynk, więc powiadam: „Wolnego, tu się nie pije! Musi pan wynieść się na dwór”. No i, proszę was, gość wyszedł tylko za próg, przechylił butelkę i założył się, że dał jej radę w czterech łykach. Odrzucił flaszkę i oparł się o drzwi. Oczy mu zmętniały. Wykrztusił tylko: „Dziękuję”, i poszedł sobie. Jak żyję, nie widziałem, żeby ktoś tak pił.

– Poszedł? A w którą stronę poszedł? Muszę go znaleźć.

– Tak się składa, że mogę was poinformować. Nigdy w życiu nie widziałem takiego moczymordy, więc wyjrzałem za nim. Powlókł się w kierunku północnym. Akurat nadjechał jakiś samochód i oświetlił go. Schodził właśnie z szosy. Kolana zaczynały się już pod nim uginać, ale otworzył drugą butelkę. Na pewno nie zalażł daleko, bo już ledwo nogami powłóczył.

– Dziękuję, muszę go odszukać.

– Chcecie zabrać ten kapelusz?

– Tak, tak. Będzie mu potrzebny. Dziękuję bardzo.

– Co mu się stało? – dopytywał się siwy człowieczek. – Widziałem, że picie nie sprawia mu przyjemności.

– O, chłop miewa swoje humory. No, to dobranoc! A jak zobaczy pan tego gagatka Conniego, niech mu pan powie, że pojechaliśmy na południe.

– Tylu ludzi mam wyglądać i tyle rzeczy im powtórzyć, że ani rusz wszystkiego nie spamiętam.

– Niech pan się zanadto nie wysila – doradził Tom i wyszedł przez osłonięte siatką drzwi, zabierając zakurzony czarny kapelusz stryja Johna. Przeciął szosę i ruszył jej skrajem. Poniżej rozciągało się Hooverville. Błyskały małe ogniska, a przez płótna namiotów przeświecały światła latarni. Gdzieś z obozu doleciały dźwięki gitary – powolne akordy bez związku, brane jakby dla wprawy. Tom przystanął i słuchał chwilę, po czym ruszył dalej brzegiem szosy. Co kilka kroków zatrzymywał się i nasłuchiwał. Dopiero uszedłszy blisko ćwierć mili, usłyszał to, co usiłował pochwycić uchem. Z rowu dochodził gruby głos wyśpiewujący fałszywie i monotennie. Tom przechylił głowę, by słyszeć lepiej. Ochrypły głos śpiewał:

*Serce-m oddał Jezusowi,
niech mnie wiedzie w dom.
Dusze-m oddał Jezusowi,
Jezus to mój dom.*

Śpiew przeszedł w pomruk, a potem ucichł. Tom zsunął się śpiesznie z szosy w kierunku, z którego dochodziło zawrozczenie. Po chwili

znieruchomiał i znowu wyteżył słuch. Tym razem głos odezwał się tuż. Znowu wyciągał powoli i fałszywie:

*Gdy Maggie umierała, noc już była na niebie.
Gdy Maggie umierała, wezwała mnie do siebie.
Masz oto moje spodnie, całe z czerwonej flaneli
I wypchane w kolanach...*

Tom posunął się ostrożnie naprzód. Dojrzał czarną sylwetkę siedzącej postaci, podkraść się blisko i usiadł obok. Stryj John przechylił butelkę, wlewając wódkę z bulgotem do ust.

– Halo, chwileczkę! A moja kolejka?

Stryj John odwrócił głowę.

– Kto to?

– Co, już stryj o mnie zapomniał? Golnął stryj już cztery razy, a ja tylko raz.

– Nie, Tom, nie dam się nabrać. Jestem sam. Nie było cię tu wcale.

– Ale teraz jestem. Może więc stryj da mi pociągnąć łyk?

Stryj podniósł znowu butelkę, wódka zabulgotała. Po chwili potrząsnął flaszką – była pusta.

– Nie ma więcej – westchnął. – Oj, żeby tak człowiek mógł zdechnąć! Tak strasznie chciałbym wyciągnąć kopyta. Zdechnąć, choćby na krótko. To jakby się zasnęło. Zdechnąć na krótko. Zmęczony jestem, zmęczony jak pies. Zasnąć i nie obudzić się więcej.

Zaczął znowu nucić:

A na głowie będę miał koronę... złotą koronę...

– Niech stryj posłucha – powiedział Tom. – Musimy wyjechać. Niech stryj idzie ze mną. Położy się stryj spać na rzeczach w ciężarówce.

John potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Idź sam. Ja zostaję. Chcę odpocząć tutaj. Nie warto wracać. Nic dobrego nikomu z tego nie przyjdzie. Po co mam między porządnymi ludźmi wlec moje grzechy niby brudne gacie. Nie, nie pójdę.

– Niechże stryj idzie! Nie możemy jechać bez stryja.

– Nie, ruszaj sam. Nic wam ze mnie nie przyjdzie. Nikomu się nie przydam. Rozwłóczyłbym tylko swoje grzechy i zarażał nimi wszystkich.

– Nie ma stryj na sumieniu więcej niż każdy z nas.

Stryj John przysunął głowę do Toma i zmrużył chytrze jedno oko. W świetle gwiazd twarz jego majaczyła niewyraźnie.

– Nikt nie zna moich grzechów prócz Pana Jezusa. On je zna.

Tom ukląkł i położył rękę na czole stryja. Było gorące i suche. John odepchnął niezgrabnie jego rękę.

– Chodźmy! – prosił Tom. – Chodźmy teraz, stryju!

– Nie idę. Taki jestem zmęczony. Odpocznę sobie tutaj. Właśnie tu.

Tom przysunął się jeszcze bliżej. Podsunął pięść pod brodę stryja. Dwukrotnie zatoczył mały próbny łuk, a potem, zamachnąwszy się ramieniem, zadał stryjowi subtelny, mistrzowski cios w podbródek. Szczęki Johna zwarły się z trzaskiem. Upadł na wznak, usiłował jednak podnieść się znowu do pozycji siedzącej. Tom klęknął nad nim, a gdy tamten podparł się na łokciu, uderzył raz jeszcze. Stryj John rozciągnął się bez ruchu na ziemi.

Tom wstał, nachylił się, dźwignął bierne, zwisające bezwładnie ciało i zarzucił je sobie na ramię. Zachwiał się pod miękkim ciężarem. Zwisające ręce stryja biły go po plecach, gdy dysząc, wspinał się powoli po skarpie na szosę. Przejeżdżający samochód oświetlił jego postać zgiętą pod ciężarem bezwładnego ciała. Zwolnił nieco, a potem oddalił się z warkotem.

Tom dyszał ciężko, gdy zszedłszy z szosy, dotarł do Hooverville i do ciężarówki Joadów. Stryj odzyskiwał przytomność i próbował stawiać słaby opór. Tom posadził go ostrożnie na ziemi.

Podczas jego nieobecności obozowisko rozpadło się. Al ładował toboły na ciężarówkę. Przygotowana płachta czekała na zawieszenie jej nad ładunkiem.

– Widzę, że stryj nie tracił czasu – zauważył Al.

– Musiałem go trochę trzepnąć, żeby go tu przytaszczyć – tłumaczył się Tom. – Biedaczysko!

– A nie zrobiłeś mu krzywdy? – spytała matka.

– Chyba nie. Wraca do siebie.

Stryj John wymiotował, wstrząsany słabymi skurczami.

– Zostawiłam dla ciebie talerz ziemniaków, Tom – powiedziała matka.

Tom roześmiał się

– Nie bardzo mam w tej chwili ochotę na jedzenie.

– Dobra, Al! Przymocuj teraz płachtę! – zawołał ojciec.

Samochód był załadowany i gotów do drogi. Stryj John zapadł w sen. Tom i Al unieśli go i złożyli na stosie bagaży. Tymczasem Winfield wydawał za ciężarówkę odgłosy imitujące wymioty, a Ruthie zatykała ręką usta, aby stłumić chichot.

– Gotowe! – powiedział ojciec.

– A gdzie Rosasharn? – spytał Tom.

– O, tam – wskazała matka. – Rosasharn, chodź, bo już ruszamy.

Młoda kobieta siedziała nieruchomo, z brodą spuszczoną na piersi. Tom podszedł do niej.

– Chodź!

– Ja nie jadę – odparła, nie podnosząc głowy.

– Musisz jechać.

– Czekam na Conniego. Nie pojedę, póki nie wróci.

Trzy samochody wyjechały z obozu drogą prowadzącą do szosy – stare wozy wyładowane rzeczami i pełne ludzi. Wytoczyły się ze szczękiem na szosę i oddaliły. Nikłe ich światła błyskały wzdłuż drogi.

– Connie nas znajdzie – perswadował Tom. – Zostawiłem w sklepie wiadomość, dokąd jedziemy. Odszuka nas.

Nadeszła matka i stanęła obok syna.

– Chodź, Rosasharn. Chodź, kochanie – namawiała łagodnie.

– Ja chcę tu czekać.

– Nie możemy czekać.

Matka schyliła się. Ujęła Rose of Sharon za ramię i pomogła jej wstać.

– Odszuka nas – powtórzył Tom. – Nie martw się. Już on nas znajdzie.

Szli, podtrzymując ją z dwóch stron.

– Może Connie wybrał się po książki do nauki? – mówiła Rose of Sharon.

– Może chce nam zrobić niespodziankę?

– Właśnie, bardzo możliwe – powiedziała matka.

Doprowadzili Rose of Sharon do ciężarówki i pomogli jej wdrapać się na szczyt ładunku. Wczołgała się pod płachtę i znikła w ciemnej czeluści.

Do samochodu Joadów zbliżył się nieśmiało brodaty mężczyzna z szalasu krytego zielskiem. Stanął i czekał z rękami założonymi do tyłu.

– Nie zostawiacie jakichś rzeczy, które mogłyby się jeszcze przydać? – zapytał wreszcie.

– Gdzie tam! – odpowiedział ojciec. – Nie mamy co zostawiać.

– A wy nie wyjeżdżacie? – spytał Tom.

Brodacz patrzył na niego przez dłuższą chwilę, nie odpowiadając.

– Nie – odparł w końcu.

– Ale przecież wykurzą was stąd.

Niespokojny wzrok pobiegł ku ziemi.

– Ja wiem. Robili to już nieraz.

– No więc, dlaczego, u diabła, nie wiejecie?

Błędne oczy podniosły się na chwilę i znów wbiły w ziemię. Zamigotał w nich czerwony błysk dogasającego ogniska.

– Sam nie wiem. Trudno się człowiekowi pozbierać.

– Jak wam wszystko spala, to i tak nic nie zostanie.

– Wiem. A czy nie zostawiacie czegoś, co mogłoby się jednak przydać?

– Nic a nic, zgarnęliśmy wszystko do czysta – powtórzył ojciec.

Brodaty mężczyzna odszedł niepewnym krokiem.

– Co tego chłopca opętało? – zastanawiał się ojciec.

– To policjanci tak go ogłupili – powiedział Tom. – Opowiadał mi tu jeden, że brak mu piątej kleпки. Gość za dużo oberwał po łbie.

Druga mała karawana wyruszyła z obozu, podjechała pod górę na szosę i znikła.

– Jedziemy, tato. Trzeba jechać. Niech tato posłucha: tato, ja i Al pojedziemy w kabinie. Matka może usiąść na górze. Zresztą nie. Mamo, mama usiądzie pośrodku. Al... – Tom sięgnął pod siedzenie i wydobył duży klucz francuski. – Al, siadaj z tyłu. Weź to do ręki na wszelki wypadek. Gdyby kto chciał się wgramolić na wóz, daj mu w łeb.

Al wziął klucz, wspiął się po tylnej ścianie skrzyni na samochód i z kluczem w ręce usadowił się, krzyżując nogi. Tom wyciągnął jeszcze żelazną korbę i położył ją na podłodze obok pedału hamulca.

– W porządku – powiedział. – Proszę do środka, mamo.

– Ale ja nie mam nic w ręku – odezwał się ojciec.

– Może tato w razie czego sięgnie po tę korbę – odparł Tom. – W Bogu nadzieja, że okaże się to niepotrzebne.

Nacisnął nogą rozrusznik. Koło zamachowe obróciło się ze zgrzytem, silnik zapalił i zgasł, zapalił raz jeszcze i ruszył na dobre. Tom włączył światła i wyjechał z obozu na pełnym biegu. Mgliste smugi świetlne obmacwały nieśmiało drogę. Ciężarówka wtoczyła się na szosę i skręciła na południe.

– Bywają w życiu chwile, kiedy człowiek może się wściec – mruknął Tom.

– Tom! – wtrąciła matka. – Mówiłeś mi... obiecywałeś, że będziesz się trzymał w garści. Musisz dotrzymać słowa.

– Wiem, mamó. Ale ci ludzie szeryfa... Czy widziała mama kiedy takiego, który by nie miał grubego tyłka? Wiercą dupą i wymachują pistoletami. Mamó! Gdyby chociaż postępowali zgodnie z prawem – cóż, trudno – jakoś można by to znieść. Ale to bezprawie! Chcą zabić w nas ducha. Chcą, żebyśmy się płaszczyli i czołgali jak zbite psy. Chcą nas złamać. Na miłość boską, mamó, przychodzi taki moment, że człowiek czuje się człowiekiem tylko wtedy, kiedy zdzieli policjanta po łbie. Oni chcą nas pozbawić wszelkiej godności.

– Przysięgłeś jednak, Tom – powtórzyła matka. – Inaczej skończysz tak samo jak Floyd. Znałam jego matkę. Zmarnowali chłopaka.

– Staram się, mamó. Bóg świadkiem, że się staram. Ale nie chce chyba mama, żebym pełzał na brzuchu jak obity psiak, co?

– Proszę cię! Musisz uważać. Rodzina się rozpada. Musisz się pilnować.

– Będę się starał, mamó. Ale niech tylko przyczepi się do mnie jeden z tych drabów z wielką dupą, trudno będzie wytrzymać. Jakby mieli do tego prawo, słówka bym nie pisał. Ale podpalenie obozu to łamanie prawa.

Ciężarówka, podskakując, sunęła naprzód. Przed jadącymi ukazał się w poprzek drogi rząd czerwonych światełek.

– Objazd czy co? – zdziwił się Tom.

Zwolnił i zatrzymał wóz. Natychmiast gromada ludzi otoczyła ciężarówkę. Uzbrojeni byli w trzonki oskardów i dubeltówki. Niektórzy mieli na głowie hełmy szturmowe, inni czapki Legionu Amerykańskiego¹. Jeden z nich wsadził głowę w okno kabiny. Buchnęła od niego ostra woń wódki.

– Jak się wam zdaje, dokąd jedziecie?! – Przysunął czerwoną twarz do twarzy Toma.

Młody Joad zeszywniał. Ręka jego powędrowała ku podłodze i namacała żelazną korbę. Matka chwyciła go za ramię i ścisnęła z całej siły.

– Ano... – zaczął Tom, lecz zaraz głos jego przybrał służalczy, skomlący ton. – Jesteśmy nietutejsi. Słyszeliśmy, że można dostać pracę w miejscowości Tulare.

– No, to jedziecie, cholera, w złym kierunku. W naszym mieście nie chcemy żadnych przeklętych Oklaków.

Plecy i ramiona Toma stężały, wstrząsnął nim dreszcz. Matka uwiesiła się na jego ramieniu. Przód samochodu otoczyła grupa zbrojnych mężczyzn. Niektórzy z nich dla nabrania wojskowego wyglądu włożyli kurtki khaki i pasy oficerskie.

– A którędy mamy jechać, proszę pana? – zapytał Tom płaczącym głosem.

– Zawróćcie i jedźcie na północ. I nie pokazujcie się tu, zanim nie nadejdzie pora zbioru bawełny.

Tom drżał cały.

– Dobrze, proszę pana.

Włączył wsteczny bieg, cofnął samochód i zawrócił. Ciężarówka skierowała się znów w tę stronę, skąd przybyli. Matka puściła ramię syna i poklepała je pieszczotliwie. Tom usiłował zapanować nad zduszonym, gwałtownym łkaniem.

– Nie przejmuj się! – uspokoiła go matka. – Nie przejmuj się!

Tom, wychyliwszy się za okno, wysmarkał się przez palce i otarł rękawem oczy.

– Skurwysyny!...

– Dobrześ postąpił – powiedziała matka serdecznie. – Nie można było lepiej.

Tom skierował samochód w boczną polną drogę, ujechał około stu jardów, a potem wyłączył silnik i zgasił światła. Wysiadł z wozu z korbą w rękę.

– Dokąd idziesz? – spytała matka.

– Muszę się rozejrzeć. Nie pojedziemy na północ.

Rząd czerwonych latarek posuwał się szosą. Tom dostrzegł, że minęły boczną drogę i sunęły dalej. Po chwili rozległy się krzyki i wrzaski, a potem w stronie Hooverville ukazał się jaskrawy blask. Łuna rosła i rozszerzała się, z oddali dobiegały jakieś trzaski. Tom wsiadł z powrotem do ciężarówki. Zawrócił i ze zgaszonym światłem przejechał polną drogę. Na szosie skręcił znów na południe i zapalił reflektory. Matka zapytała nieśmiało:

– Dokąd jedziemy, Tom?

– Na południe, nie możemy pozwolić, aby ci dranie zawracali nas z drogi. Niedoczekanie ich! Spróbuję wyminąć miasto, nie wjeżdżając wcale do tej dziury.

– Tak, ale powiedz, dokąd nas wiesz – odezwał się po raz pierwszy ojciec. – To chciałbym wiedzieć.

– Poszukamy tego rządowego obozu – odpowiedział Tom. – Mówił mi jeden gość, że nie wpuszczają tam policji. Mamo... muszę unikać tych drani. Boję się, że zakatrupię którego.

– Spokojnie, Tom! – hamowała matka. – Spokojnie! Umiałeś raz wziąć się w garść, to możesz chyba zawsze.

– Tak, ale w końcu stracę dla siebie szacunek.

– Uspokój się – tłumaczyła matka. – Musisz być cierpliwy. Zobaczysz, jeszcze my ich wszystkich przeżyjemy. Widzisz, Tom, nasi ludzie mają w sobie siłę do życia. Tamci nie dadzą nam rady. Cóż, my to lud, a lud będzie zawsze.

– Ciągłe bierzemy w skórę.

– Niby to nie wiem – roześmiała się cicho. – Może przez to właśnie jesteśmy tacy twardzi. Bogatym wiedzie się dobrze, ale i tak muszą umrzeć, a ich dzieci to nic dobrego, toteż prędko wymierają. A my, Tom, jakoś się trzymamy. Nie frasuj się, synu. Nadchodzą inne czasy.

– Skąd mama wie?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Wjechali do miasta i Tom, by ominąć śródmieście, skierował samochód w boczną ulicę. Popatrzył na twarz matki oświetloną blaskiem ulicznych latarni. Była ona spokojna, oczy miały ów niezwykły wyraz, jaki mają oczy posągów. Było w nich coś z wieczności. Tom wyciągnął prawą rękę i dotknął matczynego ramienia. Nie mógł się powstrzymać od tego odruchu. Cofnąwszy rękę, powiedział:

– Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby mama mówiła tak dużo.

– Bo nie było potrzeby.

Ciężarówka przesunęła się bocznymi uliczkami i wymknęła z miasta. Potem zawróciła. Drogowskaz na rozstaju wskazywał cyfrę „99”. Szosą tą wędrowcy ruszyli na południe.

– Ano, w każdym razie nie udało im się wypchnąć nas na północ – triumfował Tom. – Jedziemy dalej, dokąd nam się podoba, choć trochę krętymi drogami.

Blade światła macały szeroką, czarną drogę przed samochodem.

[1](#) Legion Amerykański – związek weteranów pierwszej wojny światowej.

Rozdział 21

Tak oto wędrujący w poszukiwaniu pracy ludzie stali się koczownikami. Rodziny, które dotąd trzymały się małego skrawka ziemi, które żyły i umierały na czterdziestu akrach, które żywiły się z plonów tych czterdziestu akrów lub przymierały na nich głodem, miały teraz przed sobą cały zachód, po którym mogły się błąkać do woli. Toteż ludzie ci uganiali się w poszukiwaniu pracy, szerokimi traktami płynęły całe ich rzeki, liczne zaś gromady koczowały w przydrożnych rowach. Za nimi nadciągały coraz nowe rzesze. Po szosach płynęły fale ludzi. Ci prości chłopci, zajmujący się uprawą roli, żyli dotąd w środkowej i południowo-zachodniej części kraju, z dala od wpływów przemysłu, nie znając w rolnictwie maszyn i nie wiedząc, jak niebezpieczną potęgę stanowią one w rękach pojedynczego człowieka. Farmerzy ci nie znali też paradoksów przemysłu. Wrażliwość ich na niedorzeczności życia opartego na przemysłowych zasadach była wciąż jeszcze niestępiona.

I nagle maszyny wyparły tych ludzi z ziemi, zaroilo się od nich na szosach. Ruszyli przed siebie, a szerokie autostrady, obozowanie w przydrożnych rowach, głód i lęk przed głodem dokonały w nich przemiany. Spowodował ją też widok głodnych dzieci i niekończący się marsz naprzód. Stali się koczownikami. Zmienili się i zjednoczyli także pod wpływem wrogości, z jaką się spotykali, która sprawiła, że małe miasteczka łączyły się i zbroiły jak na odparcie najeźdźców, że tworzyły się bojówki zbrojne w trzony oskardów, że urzędnicy i sklepikarze sięgali po fuzje, by bronić swego świata przed własnymi braćmi.

Panika ogarnęła zachód na widok coraz liczniejszych rzesz przesiedleńców na drogach i szosach. Posiadaczy zdjął lęk o ich własność. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie zaznali głodu, ujrzeli go po raz pierwszy w oczach innych. Ludzie, którzy niczego silnie nie pożąдали, widzieli w oczach wędrowców błyski pożądlivosti. Mieszkańcy miast i spokojnych

okolic podmiejskich poczęli gromadzić się w celu samoobrony, wmawiając sobie, że oni są dobrzy, a najeźdźcy źli, jak to czyni każdy człowiek, gdy przystępuje do walki. Mówili: „Te przekłete Oklaki są brudne i ciemne. To zwyrodnialcy i zboczeńcy seksualni. Złodzieje. Kradną, co im w rękę wpadnie. Nie uznają prawa własności”.

To ostatnie było prawdą, jakże bowiem człowiek wyzuty z własności może rozumieć niepokoje posiadacza? Toteż ludzie gotujący się do obrony mówili: „Te brudasy roznoszą choroby, są wstrętne. Nie chcemy ich w naszych szkołach. To obcy. Czy zgodzilibyście się, aby jeden z takich zalecał się do waszej siostry?”.

Ludzie miejscowi podniecali w sobie okrucieństwo. Niebawem zaczęli tworzyć bojówki, zbrojąc je w pałki, bomby łzawiące i broń palną. „Ten kraj należy do nas. Nie możemy pozwolić, by panoszyły się w nim przekłete Oklaki”. A przecież łudzili się tylko, że kraj ten należy do nich. Biuraliści, których ćwiczone po nocach we władaniu bronią, nie mieli żadnej własności, a drobni sklepikarze tonęli po uszy w długach. Ale posada, a nawet długi, to więcej niż nic. Pracownik biurowy mówił sobie: „Zarabiam piętnaście dolarów tygodniowo. Co będzie, jeśli jakiś przekłety Oklak zgodzi się pracować za dwanaście?”. A sklepikarz myślał: „Jakże mogę współzawodniczyć z człowiekiem, który nie ma długów?”.

Tłumy emigrantów zalewały szosy, głód i bieda wyzierały z ich oczu. Nie mieli żadnych argumentów, żadnego planu – nie mieli nic poza swą liczebnością i nędzą. Gdy trafiała się praca dla jednego, biło się o nią czterech – zwalczając się coraz niższymi płacami.

Jeżeli tamten chce pracować za trzydzieści centów, to ja wezmę tylko dwadzieścia pięć.

Jeżeli on chce dwadzieścia pięć, to będę pracował za dwadzieścia.

Nie, weźcie mnie, jestem głodny! Będę pracował za piętnaście. Za sam wikt. Żebyście zobaczyli moje dzieci! Mają nogi całe w czyrakach, nie mogą już biegać. Jak dorwą się do owoców, które wiatr strącił z drzewa, to je wzdyma. Dajcie mi robotę, będę pracował za mały kawałek mięsa!

Ale to dobrze, bo płace spadały, a ceny trzymały się ciągle. Obszarnicy zacierali ręce i wysyłali coraz to nowe ulotki, by ściągnąć jeszcze więcej ludzi. Płace spadały coraz bardziej, ceny były wciąż te same. Niedługo wrócimy do czasów niewolnictwa.

Z kolei wielkie spółki i obszarnicy wynaleźli nową metodę. Obszarnik kupował przetwórnię owoców. Gdy dojrzewały brzoskwinie i gruszki, obniżał ich cenę poniżej kosztów produkcji, a jako właściciel wytwórni płacił sam sobie najniższe ceny za owoce, utrzymując wysokie ceny przetworów i ciągnąc z tego zyski. Drobnii farmerzy, których nie stać było na własne przetwórnienie, tracili swe farmy na rzecz obszarników, banków i spółek – właścicieli przetwórni owoców. Z biegiem czasu coraz mniej było farm. Drobnii farmerzy przenosili się do miast, pozostając w nich aż do wyczerpania się kredytu i pomocy krewnych i przyjaciół. W końcu i oni ruszali szosą przed siebie. Drogi zatłoczone były ludźmi żądnymi pracy, gotowymi mordować, by ją zdobyć.

A wielkie spółki i banki nieświadomie pracowały dalej na własną zagładę. Pola obrodziły hojnie, a drogami wędrowali przymierający głodem biedacy. Spichrze były pełne, a dzieci nędzarzy chorowały na krzywicę i ciała ich z niedożywienia obsypane były krostami. Wielkie spółki nie zdawały sobie sprawy, jak wąska jest granica między głodem a gniewem. Pieniądze, którymi można było podnieść płace, szły na bomby łzawiące, na broń, na agentów i szpiegów, na sporządzanie czarnych list, na ćwiczenie bojówek.

Szosami ciągnęły jak mrówki tłumy wędrowców w poszukiwaniu pracy i chleba. Fermentowały w nich pierwsze zaczątki gniewu.

Rozdział 22

Była już późna godzina, gdy Tom Joad wjechał w polną drogę, rozglądając się za obozem Weedpatch. Gdzieś tam błyskały nieliczne światła. Jedyne jasne odbłyśnięcie na niebie wskazywało kierunek Bakersfield. Ciężarówka kołysała się z wolna, płosząc z drogi polujące nocą koty. Na skrzyżowaniu ukazała się grupa drewnianych, malowanych na biało budynków.

Matka spała, ojciec zamilkł już dość dawno i zatonął w myślach.

– Nie wiem, gdzie to jest – odezwał się Tom. – Lepiej może poczekać, aż się rozwidni, i zapytać kogoś.

Posłuszny sygnałowi świetlnemu na skrzyżowaniu, zatrzymał wóz. Obok stanął inny samochód. Tom wychylił się z kabiny.

– Hej! Nie wie pan, gdzie tu jest ten wielki obóz?

– Prosto przed wami.

Tom ruszył w poprzek szosy na drogę po drugiej jej stronie. Ujechawszy paręset metrów, zahamował ciężarówkę. Wzdłuż drogi ciągnęło się wysokie ogrodzenie z kolczastego drutu, z szeroką wjazdową bramą pośrodku. Tuż za bramą stał niewielki domek; w jednym z okien błyskało światło. Tom skręcił w bramę. Samochód podskoczył wysoko i opadł, uderzając z łoskotem o ziemię.

– Psiakrew! – zaklął Tom. – Nie zauważyłem tego garbu.

Siedzący na ganku strażnik wstał i podszedł do samochodu. Oparł się o wóz, mówiąc:

– Co nagle, to po diable! Na drugi raz będziecie jechać ostrożniej.

– Co to było, u licha? – zapytał Tom.

Strażnik roześmiał się.

– Tu przy bramie bawi się mnóstwo dzieci, i to ich sprawa. Mówi się ludziom, żeby jechali uważnie – wszystko groch o ścianę. Ale jak kto wyrznie wozem o ten garb, to już popamięta.

– O, tak! Mam nadzieję, że nic nie zламаłem. Słuchajcie, znajdzie się tu miejsce dla nas?

– Zmieści się jeszcze jedna rodzina. Ile was jest?

Tom liczył na palcach:

– Ja, ojciec, matka, Al, Rosasharn, stryj John, Ruthie i Winfield. Ci ostatni to dzieciaki.

– No, jakoś was chyba upchamy. Macie jaki sprzęt obozowy?

– Mamy dużą namiotową płachtę i pościel.

Strażnik stanął na stopniu.

– Jedźcie tą drogą prosto aż do końca i skręćcie w prawo. Będziecie należeli do jednostki sanitarnej numer cztery.

– A co to takiego?

– Toalety, natryski i wanny.

– Macie wanny i bieżącą wodę? – spytała matka.

– A pewnie.

– O, to chwała Bogu! – ucieszyła się.

Ciężarówka potoczyła się wzdłuż długiego, ciemnego szeregu namiotów. Barak sanitarny był słabo oświetlony.

– Wjedźcie tutaj! – wskazał strażnik. – To dobre miejsce. Właśnie wyjechali ci, co tu obozowali.

Tom zatrzymał samochód.

– Tu?

– Tak. Teraz niech inni wyładują rzeczy, a wy tymczasem zapiszecie się. I zaraz pójdziecie spać. Komitet obozowy zajrzy do was jutro i wprowadzi was we wszystko.

Tom spuścił oczy.

– Policjanci? – zapytał.

Strażnik zaśmiał się.

– Żadni policjanci. Mamy własną policję. Mieszkańcy obozu wybierają ją sami. Chodźcie ze mną!

Al zeskoczył z ciężarówki i wynurzył się spoza niej.

– Czy zostajemy tutaj?

– Tak – odparł Tom. – Wy z ojcem pościągajcie toboły, a ja pójdę do biura.

– Zachowujcie się możliwie cicho – ostrzegł strażnik. – Cały obóz śpi.

Tom kroczył za nim w ciemności, a potem wszedł po schodkach do biura. Był to mały pokoik, którego umeblowanie składało się ze starego biurka i krzesła. Strażnik zasiadł przy biurku i sięgnął po formularz.

– Imię i nazwisko?

– Tom Joad.

– Tamten to był wasz ojciec?

– Tak.

– Jak mu na imię?

– Także Tom.

Padły dalsze pytania. Skąd przybyli, od jak dawna przebywają w stanie, czym się zajmowali. Strażnik podniósł głowę.

– Nie jestem wścibski, ale musimy to wszystko zapisać.

– Rozumiem – zgodził się Tom.

– Macie jakieś pieniądze?

– Trochę.

– Więc nie jesteście jeszcze bez środków do życia?

– Coś niecoś tam jeszcze zostało. A bo co?

– Widzicie, pobyt w obozie kosztuje dolara tygodniowo. Możecie to jednak odrobić, wynosząc śmiecie, sprzątając obóz i w ogóle wykonując różne prace.

– To już my wolimy za odrodek – zdecydował Tom.

– Jutro zobaczycie się z członkami komitetu. Powiedzą wam, co i jak, i zapoznają was z regulaminem obozowym.

– Niech mi pan wytłumaczy, co to właściwie za komitet.

Strażnik zasiadł wygodniej w krześle.

– Pracuje aż miło. Mamy tu pięć jednostek sanitarnych. Każda wybiera delegata do głównego komitetu. I ten właśnie komitet rządzi obozem. Co postanowi, to święte.

– A co, jeżeli delegaci zaczną pokazywać rogi? – zapytał Tom.

– Można się ich pozbyć tak samo szybko, jak się ich wybrało. Ale nasz komitet dobrze się spisuje. Powiem wam, czego dokonał. Znacie pewnie tych pastorów z sekty tak zwanych Świętych Skoczków, co to chodzą ciągle po ludziach, nauczają i kwestują? Chcieli przyjść tu z kazaniami do obozu. Wielu starszym ludziom podobał się ten pomysł. Całą sprawę przekazano komitetowi. Członkowie zebrali się na posiedzenie i powzięli taką uchwałę: „Pastorzy mogą wygłaszać nauki w obozie, ale nie wolno im urządzać

zbiórek pieniężnych”. Zmartwiło to naszych staruszków, bo od tego czasu żaden pastor nie pokazał się już w obozie.

Tom roześmiał się i zapytał:

– To znaczy, że obóz prowadzą po prostu ci, co tu mieszkają?

– Tak. I wszystko idzie dobrze.

– Mówiliście coś o policji...

– Komitet utrzymuje porządek i układa regulamin. Poza tym są tu kobiety. Odwiedzą waszą matkę. Opiekują się dziećmi i pilnują porządku w jednostkach sanitarnych. Jeśli wasza matka nie pracuje, będzie doglądała dzieci tych kobiet, które chodzą do pracy. A jeżeli zacznie sama zarobkować, to zastępują ją inne. Kobiety szyją, uczą się higieny od pielęgniarki, która odwiedza obóz. Tak to mniej więcej wygląda.

– To mówicie, że nie ma tu policjantów.

– Nie. Żaden nie może tu przyjść, chyba że ma nakaz aresztowania kogoś.

– No, dobrze, ale dajmy na to, że ktoś się awanturuje albo po pijanemu rozpocznie bójkę. Co wtedy?

Strażnik przebił ołówkiem bibułę.

– Za pierwszym razem komitet udziela mu ostrzeżenia. Za drugim razem ostrzega już surowiej. A gdy wykroczenie powtarza się po raz trzeci, gościa wyrzuca się z obozu.

– Nie, to zupełnie nie do wiary! A dziś w nocy ludzie szeryfa i tacy goście w beretach spalili obóz nad rzeką.

– Tu nie mają wstępu – powiedział strażnik. – Czasem nasi chłopcy pełnią nocną wartę wzdłuż ogrodzenia, szczególnie wtedy, kiedy urządza się zabawę.

– Zabawę? Niemożliwe!

– W całej okolicy nie ma ładniejszych potańcówek, i to co sobota.

– Dlaczego więc, u diabła, nie ma więcej takich miejsc jak ten obóz?

Strażnik zasępił się.

– Musicie dojść do tego własnym rozumem. A teraz idźcie się przespać.

– Dobranoc – powiedział Tom. – Matce będzie się tu podobało. Od dawna nie zaznała nic prócz poniewierki.

– Dobranoc. Prześpijcie się trochę, bo tu się wcześnie wstaje.

Tom wracał uliczką pomiędzy dwoma rzędami namiotów. Oczy jego oswoiły się z nikłym światłem gwiazd. Dojrzał, że namioty stoją w równych szeregach i że nigdzie nie widać śmieci. Uliczka była

wymieciona i skropiona wodą. Z namiotów dochodziło chrapanie śpiących. Cały obóz rozbrzmiewał chrapaniem. Tom szedł wolno. Doszedł do baraku sanitarnego nr 4 i przyjrzał mu się z ciekawością. Był to niski budynek z surowego drewna. Otwarty z obu stron, kryty dachem barak ukazywał szeregi kabin z umywalniami. Tom spostrzegł ciężarówkę Joadów, która stała w pobliżu, skierował się ku niej spokojnym krokiem. Pod rozpiętą płachtą zalegała cisza. Gdy Tom zbliżył się, z cienia rzucanego przez samochód wynurzyła się jakaś postać i wyszła mu naprzeciw. Matka zapytała cicho:

– To ty, Tom?

– Tak, to ja.

– Cicho! Wszyscy śpią. Strasznie byli zmordowani.

– Mama też powinna spać.

– Chciałam się jeszcze zobaczyć z tobą. Wszystko w porządku?

– Dobrze nam tu będzie – mówił Tom. – Nic więcej mamie nie powiem. Dowie się mama wszystkiego jutro rano i na pewno będzie zadowolona.

– Mają tu podobno gorącą wodę – szepnęła.

– Tak. Ale niech mama idzie spać. Nie pamiętam już, kiedy mama przespała się jak należy.

– A czego to nie chcesz mi powiedzieć? – dopytywała błagalnie.

– Ani słówka ze mnie mama nie wyciągnie. Niech mama idzie spać.

– Jakże mam spać, kiedy będę musiała myśleć o tym, czego nie chcesz mi powiedzieć? – spytała tonem małej dziewczynki.

– Nie, zaśnie mama. A rano włoży mama inną suknię, a potem dowie się wszystkiego.

– Nie potrafię spać, kiedy coś takiego wisi mi nad głową.

– Będzie mama musiała – roześmiał się pogodnie. – Nie ma na to rady.

– Dobranoc! – szepnęła i schyliwszy się, wślizgnęła pod ciemną płachtę.

Tom wdrapał się od tyłu na ciężarówkę. Położył się na drewnianej podłodze, podkładając splecione ręce pod głowę i przyciskając ramiona do uszu. Zrobiło się chłodniej. Usiadł, zapiał marynarkę na piersiach i ułożył się znowu. Gwiazdy nad jego głową świeciły ostrym, jasnym blaskiem.

Ciemno było jeszcze, gdy się ocknął. Wyrwał go ze snu jakiś stłumiony szcęk. Tom nadstawił ucha i usłyszał znowu zgrzyt żelaza o żelazo. Gdy poruszył zesztywniałymi członkami, przeszył go dreszczem poranny chłód. Obóz spał jeszcze. Tom podniósł się i wyjrzał z ciężarówki. Góry na wschodzie były granatowoczarne, a gdy tak patrzył, blady świt wstał zza szczytów, barwiąc ich kontury spłowiałą czerwienią; im dalej na zachód, tym bardziej błękitniał, szarzał, ciemniał, aż wreszcie gdzieś tuż nad widnokregiem stapał się z mrokiem nocy. Niżej, w dolinie, ziemia przybrała w świetle poranka siwolawendowy odcień.

Szcęk żelaza rozległ się znowu. Tom spojrział ku rzędowi namiotów ledwo odcinających się od nieco ciemniejszego tła ziemi. Obok jednego z nich dojrzał żółty blask ognia przenikający przez szpary starego żelaznego piecyka. Z kawałka rury wydobywał się szary dym.

Tom zeskoczył z samochodu. Ruszył wolno w stronę piecyka. Ujrzał krzątającą się przy nim młodą kobietę z niemowlęciem na ręku. Karmiła je, ukrywając główkę dziecka pod bluzką, jednocześnie zaś poprawiała ogień, przesuwając zardzewiałe fajerki i otwierała drzwiczki piecyka, by lepiej ciągnęło. Przez cały czas niemowlę ssało, a matka przekładała je z ręki na rękę. Dziecko nie przeszkadzało jej w pracy ani nie mąciło wdzięku jej żywych ruchów. Pomarańczowe języki płomieni wymykały się przez szczeliny piecyka i rzucały drgające błyski na namiot.

Tom podszedł bliżej. Poczuł woń smażonego boczku i przypiekanych grzanek. Jasność na wschodzie rozszerzała się szybko. Tom stanął przy piecyku i wyciągnął ręce, żeby je ogrzać. Młoda kobieta spojrzała na niego i skinęła głową, potrząsając warkoczami.

– Dzień dobry! – rzuciła i przewróciła boczek na patelni.

Płótno namiotu rozchyliło się i wyszedł z niego młody mężczyzna, a za nim starszy. Ubrani byli w nowe niebieskie samodziałowe spodnie i także marynarki, sztywne od krochmalu, z błyszczącymi mosiężnymi guzikami. Obydwaj mieli ostre rysy i byli bardzo do siebie podobni. Twarze ich okalała szczeciniasta broda – u młodszego czarna, u starszego siwa. Głowy i policzki były mokre, włosy ociekały wodą, która spływała też kroplami po twardym zaroście. Ich wilgotne twarze błyszczały. Stanęli razem spokojnie i patrzyli, jak niebo na wschodzie rozjaśnia się stopniowo. Ziewnęli jednocześnie i utkwili wzrok w rozświetlone kontury gór. Potem odwrócili się i zobaczyli Toma.

– Dzień dobry! – przywitał go starszy. Twarz jego nie wyrażała ani przyjaźni, ani wrogości.

– Dzień dobry! – odpowiedział Tom.

– Dzień dobry! – zawtórował młody człowiek.

Woda na ich policzkach obsychała z wolna. Zbliżyli się do piecyka i grzali ręce.

Młoda kobieta nie przerywała swej krzątania. Na chwilę położyła dziecko i związała sobie z tyłu warkocze sznurkiem. Zwiślały jej na plecach i podskakiwały przy każdym ruchu. Ustawiła na dużej drewnianej skrzyni blaszane kubki i talerze, położyła noże i widelce. Potem wyłowiła z obfitego duszczu kawałki boczku i wyłożyła je na blaszany półmisek. Boczek, stygnąc, zwijał się i skwierczał. Otworzyła zardzewiałe drzwiczki piecyka i wyciągnęła kwadratową blachę dużych, grubych grzanek.

Gdy w powietrzu rozszedł się ich zapach, obaj mężczyźni wciągnęli głęboko powietrze.

– Rany boskie! – zawołał cicho młodszy.

Starszy zwrócił się do Toma:

– Jedliście już śniadanie?

– Ano, prawdę mówiąc, nie. Ale mam tu rodzinę. Jeszcze się nie pobudzili. Odsypiają swoje.

– W takim razie siadajcie z nami. Bogu dziękować, wystarczy dla wszystkich.

– Dziękuję bardzo. Pachnie tak pięknie, że nie mogę odmówić.

– Ja myślę! – potwierdził młodszy. – Wąchaliście kiedyś w życiu coś podobnego?

Podeszli do drewnianej paki i obsiedli ją dokoła.

– Pracujecie tu gdzie w okolicy? – zapytał młodszy.

– Mam zamiar – wyjaśnił Tom. – Przyjechaliśmy dopiero dziś w nocy. Nie zdążyłem jeszcze rozejrzeć się za robotą.

– My chodzimy do pracy od dwunastu dni – oznajmił młodszy.

Kobieta dodała, nie przerywając krzątania przy piecyku:

– Kupili już nawet nowy przyodziewek.

Obaj opuścili wzrok na swoje sztywne niebieskie ubrania i uśmiechnęli się z zakłopotaniem. Gospodyni przyniosła półmisek z boczkiem, grube brązowe grzanki, salaterkę topionego tłuszczu i dzbanek kawy, a potem

także przykucnęła przy skrzyni. Niemowlę ciągle ssało z główką pod bluzką matki.

Nakładali na talerze, polali grzanki tłuszczem z boczku i osłodziли kawę. Starszy mężczyzna napychał sobie usta, przeżuwał długo i łykał żarłocznie.

– Och, jakie to smaczne! – westchnął i włożył nową porcję do ust.

Młodszy wyjaśnił:

– Żywimy się uczciwie już od dwunastu dni. Ani razu nie brakło nam jedzenia – żadnemu z nas. Pracujemy, bierzemy forszę, no i mamy co jeść.

Niemal z pasją wrócił do jedzenia, nakładając nową porcję na talerz. Wszyscy czworo pili gorącą jak ukrop kawę, raz po raz wytrząsając na ziemię fusy z opróżnionych kubków i napełniając je na nowo.

Tymczasem niebo przybrało odcień czerwony. Ojciec i syn przestali jeść. Brzask oświecił zwrócone ku wschodowi twarze mężczyzn. W oczach ich odbijał się obraz góry i wstającego nad nią świtu. W pewnej chwili wytrząsnęli z kubków fusy na ziemię i podnieśli się równocześnie.

– Trzeba już iść – powiedział ojciec.

Młodszy zwrócił się do Toma:

– Wiecie co? Pracujemy przy zakładaniu rur. Chodźcie z nami, może uda się nam wkręcić was do roboty.

– To naprawdę ładnie z waszej strony! I dziękuję za śniadanie.

– Niech będzie na zdrowie! – powiedział starszy mężczyzna. – Spróbujemy, może uda się wykombinować dla was pracę, jeżeli chcecie.

– Jeszcze jak chcę! Zaczekajcie chwilkę, powiem tylko swoim.

Pobiegł do namiotu Joadów, schylił się i zajrzał do środka. W mroku pod płachtą dojrzał ciemne sylwetki śpiących. Wśród pościeli coś się poruszyło. Spomiędzy koców, niby wąż, wysunęła się Ruthie. Włosy opadły jej na oczy, sukienkę miała pogniecioną. Przyczołgała się ostrożnie do Toma i wstała. W jej szarych oczach, jasnych i spokojnych po przespanej nocy, nie było zwykłego swawolnego błysku. Tom cofnął głowę i skinął na siostrę, aby wyszła za nim. Gdy się odwrócił, podniosła na niego wzrok.

– Boże drogi, ależ ty rośniesz!

Odwróciła oczy, nagle zmieszana.

– Słuchaj, mała – powiedział Tom. – Nie budź nikogo, ale jak już wstaną, powiedz, że może uda mi się złapać robotę i że po to właśnie idę. Mamie powiedz, że jadłem śniadanie u sąsiadów. Rozumiesz?

Ruthie kiwnęła głową i odwróciła się. Oczy jej miały zupełnie dziecinny wyraz.

– Pamiętaj, nie budź ich! – dorzucił Tom.

Ruszył śpiesznie z powrotem do nowych znajomych. Ruthie zbliżyła się ostrożnie do baraku sanitarnego i zerknęła do środka.

Dwaj mężczyźni czekali na Toma. Młoda kobieta wyciągnęła z namiotu materac, położyła na nim dziecko i zabrała się do zmywania naczyń.

– Musiałem zawiadomić rodzinę, dokąd idę – tłumaczył się Tom. – Śpią jeszcze.

Wszyscy trzej podążyli uliczką pomiędzy dwoma rzędami namiotów.

Obóz powoli zaczynał się budzić. Kobiety rozniecały ogień, krajały mięso, rozczyniały ciasto na chleb. Mężczyźni kręcili się koło namiotów i przy samochodach. Niebo było teraz różowe. Przed domkiem, w którym mieściło się biuro, chudy starzec grabił starannie ziemię. Manewrował grabiami w taki sposób, aby wąskie ślady ich zębów były proste i głębokie.

– Wcześniej zerwaliście się, ojcie – zauważył młodszy z towarzyszy Toma, gdy mijali domek.

– Tak, tak. Muszę odrobić swoje komorne.

– Komorne, widzieliście go! – zadrwił młody człowiek. – Zalał się stary ostatniej soboty. Przez całą noc wyśpiewywał w swoim namiocie. Za karę komitet przydzielił mu robotę.

Szli teraz skrajem asfaltowej drogi, wzdłuż której rósł rząd orzechów włoskich. Nad górami ukazał się rąbek słońca.

– A to dobre! – odezwał się Tom. – Najadłem się u was, a nie przedstawiłem się nawet. Wy też nie wspominaliście, jak się nazywacie. Jestem Tom Joad.

Starszy mężczyzna popatrzył na niego i uśmiechnął się lekko.

– Wy tu chyba w Kalifornii od niedawna?

– Ano nie! Dopiero parę dni.

– Od razu poznałem. Odzwyczaiacie się niedługo od podawania swego nazwiska. Zjechało tu ludzi do jasnej cholery, ale wszystko swoje chłopaki. A co do nas, nazywam się Timothy Wallace, a to mój syn. Wilkie.

– Cieszę się, że was poznałem. Dawno już tu jesteście?

– Od dziesięciu miesięcy – odpowiedział Wilkie. – Przywędrowaliśmy zeszłego roku akurat po powodzi. Ale też użyliśmy wtedy za wszystkie czasy! O mały włos, psiakrew, nie zdechliśmy z głodu!

Podeszwy ich butów stukały po asfalcie. Minęła ich ciężarówka pełna zamyślonych i smutnych ludzi. Wszyscy trzymali się mocno poręczy skrzyni ładunkowej i mieli nachmurzone twarze.

– Jadą do gazowni – wyjaśnił Timothy. – Niezła tam robota.

– Mógłbym i ja wziąć naszą ciężarówkę – powiedział Tom.

– Nie – odparł Timothy.

Schylił się i podniósł z ziemi zielony orzech. Pomacał go palcem, a potem cisnął nim w kosa siedzącego na drucianym ogrodzeniu. Ptak wzbił się w górę, a gdy orzech przeleciał pod nim, znów usadowił się na drucie, gładząc dziobem lśniące czarne piórka.

– A wy nie macie samochodu? – zapytał Tom.

Obaj Wallace'owie milczeli. Gdy spojrzął na nich, zauważył, że są jak gdyby zawstydzeni.

– Do pracy jest nie więcej niż mila drogi – odpowiedział Wilkie.

Timothy dorzucił gniewnie:

– Nie, nie mamy samochodu. Sprzedaliśmy nasz. Mieliśmy nóż na gardle. Nie było co do gęby włożyć, nie zostało nam nic. Nie udało nam się znaleźć żadnej pracy. Co tydzień zaglądali do nas tacy, co to skupują samochody. Przyłazą do człowieka, no a jak go głód przycisnie, to czemu nie, kupią od niego samochód. A jak już na dobre przymiera głodem, to dają za niego grosze. No, a u nas głód był jak diabli. Dali nam za ciężarówkę dziesięć dolarów.

Timothy splunął na drogę. Wilkie dorzucił cicho:

– W zeszłym tygodniu byłem w Bakersfield. Widziałem nasz samochód wystawiony na sprzedaż wśród innych używanych wozów. Stał tam sobie i miał tabliczkę z ceną: Siedemdziesiąt pięć dolarów.

– Nie było innej rady – tłumaczył Timothy. – Albo dać sobie ukraść wóz, albo zabrać się samemu do kradzieży. Jeszcze dotychczas jakoś się bez tego obeszło, ale niewiele już, psiakrew, brakowało!

– A wiecie co? – wtrącił Tom. – Zanim opuściliśmy nasze strony, słyszeliśmy, że tu pełno roboty. Sam czytałem ulotki namawiające ludzi do wyjazdu.

– Tak – potwierdził Timothy – i my widzieliśmy te ulotki. A pracy tu tyle co kot napłakał. I płace ciągle spadają. Już mi cholernie dokuczyło to ciągłe głowienie się nad tym, jak zdobyć żarcie.

– Teraz macie przecież robotę – zauważył Tom.

– Tak, ale nie na długo. Pracujemy u porządnego chłopca. To właściciel małego gospodarstwa. Haruje razem z nami. Tylko, że psiakrew, to robota na krótko.

– Czemu więc, u licha, bierzecie mnie ze sobą? Ja wam przecież wezmę część roboty. Dlaczego sami podrzynacie sobie gardło?

Timothy potrząsnął głową.

– Sam nie wiem. Chyba z głupoty. Liczyliśmy, że kupimy sobie kapelusze. Myślę, że nic z tego nie będzie. O, już jesteśmy prawie na miejscu, to tu zaraz, na prawo. I robota przyjemna. Trzydzieści centów za godzinę. A gospodarz dobry, życzliwy chłop – miło pracować dla takiego.

Skręcili z szosy na żwirowaną drogę i przeszli przez niewielki ogród warzywny. Za ogrodem wznosił się w cieniu kilku drzew biały domek farmerski, a dalej stodoła, za którą ciągnęła się winnica i plantacja bawełny. W chwili gdy mijali domek, rozwarły się z trzaskiem osłonięte siatką drzwi i kuchennymi schodkami zszedł krępy, opalony mężczyzna w papierowym hełmie przeciwsłonecznym na głowie. Idąc przez podwórze, zawijał rękawy koszuli i marszczył ponuro krzaczaste, wypłowiałe od słońca brwi. Policzki miał opalone na kolor krwistoczerwony.

– Dzień dobry, panie Thomas! – przywitał go Timothy.

– Dzień dobry! – burknął gniewnie gospodarz.

– To jest Tom Joad – przedstawił Timothy. – Myśleliśmy, że może i dla niego znajdzie się u pana robota.

Thomas popatrzył spode łba na Toma. A potem roześmiał się krótko, lecz brwi miał wciąż zmarszczone.

– A jakże! Zatrudnię go! Wezmę każdego! Czemu nie żądacie, żebym wziął do roboty stu ludzi?

– Myśleliśmy... – próbował usprawiedliwić się Timothy. Thomas przerwał mu:

– Ja też myślałem. – Obrócił się twarzą do przybyłych. – Mam wam coś do powiedzenia. Płaciłem wam trzydzieści centów za godzinę, tak?

– No tak, panie Thomas... ale...

– Tyle też warta była wasza praca. – Zaciśnął mocno muskularne, twarde ręce.

– Staraliśmy się pracować jak należy.

– Niech to piorun trzaśnie! Od dzisiejszego ranka otrzymujecie po dwadzieścia pięć centów za godzinę. Możecie zgodzić się lub nie – to już wasza rzecz.

Pod wpływem gniewu twarz Thomasa zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Pracowaliśmy uczciwie, sam pan to przyznał – protestował Timothy.

– Wiem. Ale czuję się tak, jakbym już nie wynajmował dla siebie własnych robotników. – Przełknął ślinę. – Słuchajcie, mam wszystkiego sześćdziesiąt pięć akrów. Czy słyszeliście kiedy o Związku Farmerów?

– Pewnie, że słyszeliśmy.

– No więc, należę do tego związku. Wczoraj wieczorem mieliśmy zebranie. A wiecie, kto trzęsie Związkiem Farmerów? Powiem wam: Bank Zachodni. Do banku należy większa część gruntów w tej dolinie, a reszta jest w nim zadłużona. Wczoraj wieczorem przedstawiciel banku powiada mi: „Podobno płaci pan robotnikom trzydzieści centów za godzinę. Radzę obciąć do dwudziestu pięciu”. Ja mu na to: „Mam dobrych pracowników. Warci są takiej zapłaty”. A on swoje: „Nie w tym rzecz. Teraz ustalono stawkę dwadzieścia pięć. Jeśli będzie pan płacił trzydzieści, to wywoła pan zamęt. Ale przy sposobności, powiada, czy zamierza pan wystąpić w tym roku, jak zwykle, o pożyczkę pod zastaw zbiorów?”. – Thomas urwał. Usta miał otwarte, dyszał ciężko. – Rozumiecie? Stawka jest dwadzieścia pięć centów, i basta.

– Pracowaliśmy uczciwie – powtórzył Timothy bezradnie.

– Jeszcze nie rozumiecie? Jaśnie pan Bank Zachodni zatrudnia dwa tysiące ludzi, a ja trzech. I w dodatku ma mnie w kieszeni. Jeżeli potraficie wykombinować jakiś sposób, żeby wybrnąć z tej matni, to, jak Boga kocham, zgadzam się z góry! Mnie oni mają w ręku.

Timothy potrząsnął głową.

– Cóż ja na to mogę poradzić?

– Zaczekajcie tu.

Thomas poszedł szybkim krokiem do domu. Drzwi się za nim zatrzasnęły. Po chwili wrócił z gazetą w ręku.

– Widzieliście to? O, przeczytam wam „Obywatele oburzeni na czerwonych agitatorów spalili obóz wysiedleńców. Wczoraj wieczorem grupa obywateli, doprowadzona do ostateczności agitacją szerzącą się w miejscowym obozie wysiedleńców, spaliła doszczętnie namioty i wezwała agitatorów do opuszczenia hrabstwa”.

– Jak to, ja... – rozpoczął Tom. Zamknął jednak usta i zamilkł.

Thomas złożył starannie gazetę i włożył ją do kieszeni. Odzyskał już panowanie nad sobą.

– Tych podpalaczy nasłał związek – powiedział spokojnie.

– Wiem, że w tej chwili wsypałem ich. I jeśli się kiedykolwiek dowiedzą, że to zrobiłem, w przyszłym roku nie będę już miał farmy.

– Sam nie wiem, co o tym myśleć – odezwał się Timothy. – Skoro tam byli agitatorzy, to nie dziwię się, że ludzie tutejsi są na nich źli.

– Od dawna już przyglądam się temu wszystkiemu. Ile razy ma nastąpić obniżka płac, tyle razy wywleka się czerwonych agitatorów – wyjaśniał Thomas. – Zawsze! Niech to cholera, ale złapali mnie w potrzask. A teraz, co postanowiliście? Zgadzacie się na dwadzieścia pięć centów?

Timothy utkwiał wzrok w ziemię.

– Będę pracował – oświadczył.

– Ja też – zawtórował Wilkie.

– Coś mi się zdaje, że wdepnąłem – odezwał się Tom. – Ale będę pracował. Muszę pracować.

Thomas wyciągnął z tylnej kieszeni kraciatą chustkę i otarł sobie usta, a potem brodę.

– Nie mam pojęcia, jak długo to jeszcze potrwa. We łbie mi się nie mieści, jak wy, ludzie, potraficie z tych zarobków wyżywić wasze rodziny?

– Dopóki się tylko pracuje, to nie ma zmartwienia. Gorzej, gdy nie ma pracy – odpowiedział Wilkie.

Thomas rzucił okiem na zegarek.

– No to chodźmy i wykopmy kawałek rowu. Jak Boga kocham, muszę wam jeszcze coś powiedzieć. Wy mieszkacie w obozie rządowym, prawda?

Timothy zeszytniał.

– Tak, proszę pana.

– I co sobota macie wieczorem tańce?

– Pewnie, że mamy – uśmiechnął się Wilkie.

– No to w najbliższą sobotę miejcie się na baczności.

Timothy wyprostował się nagle i zbliżył do Thomasa.

– Co pan ma na myśli? Należę do komitetu obozowego. Powinienem wiedzieć.

Thomas spojrzał na niego niespokojnie.

– Nie wygadajcie się tylko, że to ja wam powiedziałem.

– O co chodzi? – spytał Timothy.

– Chodzi o to, że Związkowi Farmerów nie podobają się te obozy rządowe, bo policja ani rusz nie może się tam dostać. Słyszałem, że rządzą się tam sami i że żadnego z was nie można aresztować bez nakazu na piśmie. Ale jakby doszło do większej bijatyki albo i do strzelaniny, wtedy mogłaby tam wpaść cała banda policjantów i rozpędzić obóz.

Timothy zmienił się nie do poznania. Stał wyprostowany, oczy jego nabrały zimnego blasku.

– Co pan ma na myśli?

– Nie mówcie nikomu, kto wam o tym powiedział – prosił Thomas z zakłopotaniem. – W sobotę wieczorem ma wybuchnąć w obozie bójka. A w pobliżu zaczął się policja, żeby natychmiast wkroczyć.

– Ale dlaczego, na miłość boską? – zapytał Tom. – Przecież wysiedleńcy nie mają nikomu wody.

– Wy tłumaczę wam, dlaczego – odparł Thomas. – Mieszkańcy takiego obozu zaczynają się przyzwyczajać do ludzkiego traktowania. Kiedy wrócą do tych tam Hooverville'ów, trudno ich będzie wziąć za pysk. – Znowu otarł twarz chustką. – Idźcie teraz do roboty! No, chyba nie pogrzebałem swojej farmy własnym ozorem! Cóż, kiedy przypadliście mi do serca.

Timothy postąpił krok naprzód i wyciągnął chudą, stwardniałą dłoń. Thomas uścisnął ją.

– Nikt się nie dowie, kto nam to powiedział. Dziękujemy panu. Nie dojdzie do żadnej bójki.

– Idźcie już do roboty! – zarządził Thomas. – I po dwadzieścia pięć centów za godzinę.

– Zgoda, jako że to od pana – odparł Wilkie.

Thomas odszedł ku domowi.

– Za chwilę przyjdę – zapowiedział – ale weźcie się już do pracy.

Zatrzasnęły się za nim osłonięte siatką drzwi.

Trzej mężczyźni minęli małą, bieloną stodołkę i ruszyli skrajem pola. Doszli do długiego, wąskiego rowu, nad którym leżały kawałki betonowej rury.

– Tu właśnie pracujemy – objaśnił Wilkie.

Jego ojciec otworzył stodołę, wyniósł dwa kilofy i trzy łopaty. Zwrócił się do Toma:

– Macie swoją ukochaną.

Tom zważył kilof w dłoni.

– Cholera! Przyjemnie wziąć coś takiego do ręki.

– Zaczekajcie do jedenastej – zauważył Wilkie. – Nie wiem, czy i wtedy będzie wam tak przyjemnie.

Podeszli do końca wykopanego rowu. Tom zdjął marynarkę i rzucił ją na wzgórek ziemi. Zsunął czapkę na tył głowy i spuścił się do rowu. Potem splunął w dłonie. Kilof wzniósł się w powietrze i opadł z błyskiem stali. Tom stęknął z cicha. Kilof wznosił się i opadał, a ilekroć ostrze jego zagłębiało się i wzruszało ziemię, słychać było stęknienie Toma.

– Niech no tato popatrzy – dziwił się Wilkie. – Mamy tu kopacza pierwszej klasy. Chyba wziął ślub z tym kilofkiem.

Tom odpowiedział:

– Narobił się już człowiek przy kopaniu (uf!). Tak, tak, to mi nie pierwszyczna (uf!). Lata strawiłem na kopaniu (uf!). Lubię nawet taką robotę (uf!).

Grunt przed nim osypywał się. Słońce przeświecało teraz przez drzewa owocowe i złociło zielone liście winorośli. Po wykopaniu kawałka długości sześciu stóp Tom wydrapał się na brzeg rowu i otarł czoło. Zluzował go Wilkie. Łopata podnosiła się i opadała, ziemia wylatywała w powietrze, powiększając nasyp nad rowem, który wydłużał się coraz bardziej.

– Słyszałem o tym Komitecie – odezwał się Tom. – To wy jesteście jednym z jego członków?

– Tak – odpowiedział Timothy. – To duża odpowiedzialność. Tyle ludzi. Robimy, co się da. Ale i mieszkańcy obozu przykładają się, jak mogą. Żeby tylko ci wielcy farmerzy przestali nam zalewać sadła za skórę! W tym cała rzecz!

Tom znów zeskoczył do rowu. Wilkie ustąpił na bok.

– A co myślicie o tej bijatyce (uf!) podczas tańców, o której gadał Thomas (uf!)? O co im chodzi?

Za Wilkiem szedł Timothy, wyrównywał łopatą dno rowu i wygładzał je tak, żeby można było układać w nim rury.

– Wygląda na to, że chcą nas wykurzyć – mówił Timothy. – Pewno strach ich oblatuje, żebyśmy się czasem nie zorganizowali. I kto wie, czy nie mają racji. Ten nasz obóz to już jest organizacja. Ludzie w nim sami się rządzą. Mamy najlepszą orkiestrę smyczkową w tych stronach. Uzyskaliśmy w sklepie mały kredyt dla najbiedniejszych. Pięć dolarów to suma, za którą

można kupić sporo żywności, a która obozu nie zrujnuje. Nie ma o co skarżyć nas do sądu. Tego właśnie obawiają się pewnie wielcy farmerzy. Nie widzą sposobu zamknięcia nas do ciupy, i to im napędza pietra! Myślą może, że skoro potrafimy rządzić się sami, to nie wiadomo, do czego jeszcze okażemy się zdolni.

Tom wyskoczył z rowu i otarł pot, który zalewał mu oczy.

– Słyszeliście, co pisała ta gazeta o agitatorach na północ od Bakersfield.

– Oczywiście! Mówią o tym przecież ciągle – odpowiedział Wilkie.

– Otóż ja tam byłem. Nie było żadnych agitatorów. Takich, co to ich przezywają „czerwonymi”. I co to, u licha, za jedni ci czerwoni?

Timothy wygładził łopatą małe wzniesienie na dnie rowu. Jego siwa, szczeciniasta broda połyskiwała w słońcu.

– Więcej jest takich, co chcieliby się dowiedzieć, co to za jedni ci czerwoni – zaśmiał się. – Jeden z naszych chłopaków doszedł do sedna sprawy. – Przyklepał lekko łopatą wzgórek wykopanej ziemi: – Jest taki gość, nazywa się Hines, ma jakieś trzydzieści tysięcy akrów – sady brzoskwiniowe i winnice – i założył sobie przetwórnę owoców. Od rana do wieczora pyskuje na „tych przeklętych czerwonych”. „Ci przekłenci czerwoni, powiada, prowadzą kraj do ruiny. Musimy wypędzić precz tę czerwoną hołotę”. Ano, zjawił się tam akurat ten młody chłopak, co dopiero przybył na zachód, i któregoś dnia usłyszał gadanie Hinesa. Podrapał się w głowę i pyta: „Panie Hines, ja tu jestem od niedawna. Niech no mi pan powie, kto to są ci przekłenci czerwoni?”. A Hines na to: „Czerwony to taki skurwysyn, co chce trzydzieści centów za godzinę, kiedy my płacimy dwadzieścia pięć”. Chłopak znów się namyśla, drapie po głowie i mówi: „Panie Hines, ja nie jestem skurwysyn, ale jeśli o to tylko chodzi, to i ja chciałbym dostawać trzydzieści centów za godzinę. I każdy by chciał. Do licha panie Hines, w takim razie wszyscy jesteśmy czerwoni”.

Timothy wbijał łopatę w dno rowu, twarda ziemia błyszczała w miejscu, gdzie przecięło ją ostrze.

– No to i ja chyba jestem czerwony – roześmiał się Tom. Kilof jego zatoczył łuk i spadł, rozbijając ziemię.

Joadowi pot spływał z czoła, perlił się po obu stronach nosa i lśnił na karku.

– Psiakrew! – krzyknął. – Kilof to morowe narzędzie! (uf.) Tylko mu się nie wolno sprzeciwiać! (uf!) Człowiek i kilof (uf!) muszą pracować razem!

(uf!)

Trzej mężczyźni kopali w szeregu i rów wydłużał się cal po calu. Im bliżej południa, tym mocniej przypiekało słońce.

Po odejściu Toma Ruthie przez chwilę stała, wpatrując się w otwarte drzwi baraku sanitarnego. Nie była zbyt odważna bez Winfielda, przed którym lubiła się przechwalać. Postawiła bosą stopę na betonowej podłodze, lecz zaraz cofnęła ją. Z pobliskiego namiotu wyszła kobieta i zaczęła rozpalać ogień w żelaznym piecyku. Ruthie zrobiła parę kroków w jej kierunku, coś ją jednak powstrzymało. Przekradła się do namiotu Joadów i zajrzała do środka. Z jednej strony leżał na ziemi stryj John. Z otwartych jego ust wydobywało się gardłowe, bulgocące chrapanie. Ojciec i matka leżeli razem z dala od światła, nakryci po same uszy pikowaną watowaną kołdrą. Najdalej od stryja Johna, osłoniwszy ramieniem oczy, spał Al. Tuż u wejścia do namiotu leżeli Rose of Sharon i Winfield, między nimi zaś było wolne miejsce opuszczone przez Ruthie. Dziewczynka przykucnęła i zajrzała do namiotu. Oczy jej zatrzymały się na rozwichrzonej głowie Winfielda, który pod spojrzeniem siostry otworzył oczy, wpatrując się w nią z jakąś uroczystą powagą. Ruthie położyła palec na ustach, przyzywając drugą ręką brata do siebie. Winfield zerknął na Rose of Sharon, która spała obok niego; twarz jej była zaczerwieniona, usta lekko rozchylone. Odsunawszy ostrożnie koc, Winfield wymknął się spod niego, wyczołgał z namiotu i dopadł Ruthie.

– Dawno już wstałaś? – zapytał szeptem.

Z przesadną ostrożnością odciągnęła go na bok i gdy już byli dostatecznie daleko, odpowiedziała:

– Ja w ogóle nie kładłam się spać. Całą noc byłam na nogach.

– Nieprawda – oburzył się Winfield. – Jesteś paskudna kłamczucha.

– Dobrze! Jeżeli jestem kłamczucha, to ci nie powiem nic o tym, co się tu działo. Nie powiem ci, jak jednego zadźgali nożem ani jak się tu zakradł niedźwiedź i porwał małe dziecko.

– Nie było tu żadnego niedźwiedzia – powiedział Winfield niepewnie. Przeczesał włosy palcami i obciągnął w dół spodnie uwierające go w kroku.

– Więc dobrze, nie było żadnego niedźwiedzia – odcięła się Ruthie drwiąco. – I nie ma tu wcale białych rzeczy, zrobionych z tego samego, co

talerze, które były na obrazku.

Winfield przyjrzał się jej z powagą; wskazując palcem barak sanitarny, zapytał:

– Tam?

– Jestem paskudna kłamczucha – odparła Ruthie. – Po co mam ci mówić.

– Chodźmy zobaczyć! – prosił Winfield.

– Ja już tam byłam. I już siedziałam na nich. Do jednego nawet nasiusiałam.

– Akurat! Nieprawda! – powątpiewał Winfield.

Poszli do baraku sanitarnego. Tym razem Ruthie nie bała się wcale. Śmiało wprowadziła Winfielda do wnętrza. Pod jedną ze ścian wielkiej sali ciągnął się szereg ustępów, a każdy z nich znajdował się w osobnej przegrodce zaopatrzonej z przodu w drzwi. Porcelana jaśniała olśniewającą bielą. Wzdłuż drugiej ściany ciągnęły się umywalnie, a przy trzeciej umieszczone były cztery kabiny z natryskami.

– O! – pokazywała Ruthie. – To są ustępy. Widziałam takie na obrazku.

Dzieci zbliżały się do jednego z ustępów. Ruthie w przystępie brawury podniosła spódniczkę i zasiadła na sedesie.

– Mówiłam ci, że już tu byłam – triumfowała.

Jakby na potwierdzenie prawdziwości tych słów z muszli dobiegł plusk.

Winfield był zmieszany. Niechcący pociągnął za błyszczącą rączkę i nagle rozległ się szum wody. Ruthie dała susa w powietrze i wyskoczyła z ustępu. Oboje stanęli pośrodku sali, wpatrując się w ustęp, z którego wciąż dochodził szum.

– Tyś to zrobił – gromiła Ruthie brata. – Zepsułeś tam coś. Widziałam na własne oczy.

– Wcale nie. Jak Boga kocham, że nie!

– Widziałam na własne oczy. Za głupi jesteś, żeby dotykać takich ładnych rzeczy.

Winfield spuścił głowę. Podniósł wzrok na Ruthie; oczy jego szklily się łzami. Broda mu się trzęsła. Ruthie natychmiast poczuła skruchę.

– Nie martw się! – pocieszała go. – Nie naskarzę na ciebie. Powiemy, że to już było popsute. Powiemy, żeśmy tu w ogóle nie zaglądali.

I wyprowadziła go z budynku.

Słońce wynurzyło się już zza gór, oświetlając dachy z falistej blachy na pięciu barakach sanitarnych, szare namioty i wymiecione uliczki między

namiotami. Obóz zaczynał się budzić. W piecykach obozowych, skleconych z baniek po nafcie lub z kawałków blachy, rozpalano ogień. W powietrzu unosił się zapach dymu. Odsłonięto wejścia do namiotów, po uliczkach snuli się ludzie. Przed namiotem Joadów stała matka i rozglądała się wokoło. Spostrzegła dzieci i wyszła im naprzeciw.

– Niepokoiłam się już o was. Nie wiedziałam, gdzie się podziewacie.

– Myśmy tylko sobie wszystko oglądali – odpowiedziała Ruthie.

– No, a gdzie Tom? Nie widzieliście go czasem?

Ruthie zrobiła ważną minę.

– Tak, proszę mamy. Tom mnie obudził i powiedział, co mam mamie powtórzyć. – Urwała, aby podkreślić doniosłość swej misji.

– I cóż to takiego? – dopytywała się matka.

– Kazał mi powiedzieć, że...

Znów urwała i zerknęła na Winfielda, sprawdzając, czy docenia ważność jej osoby.

Matka podniosła rękę, odwracając ją grzbietem dłoni w kierunku Ruthie.

– Więc co takiego?

– Dostał robotę – wyrzuciła Ruthie z pośpiechem. – Poszedł do pracy.

Spoglądała z zaleknieniem na wzniesioną rękę matki. Dłoń opadła, potem wyciągnęła się ku dziewczynce. Joadowa objęła ramionami Ruthie w krótkim, konwulsyjnym uścisku.

Dziewczynka patrzyła z zakłopotaniem w ziemię. Zmieniła temat rozmowy.

– Tam są ustępy – oznajmiła. – Takie białe.

– Byliście w środku? – zainteresowała się matka.

– Byliśmy. I ja, i Winfield – przyznała się Ruthie i dodała zdradziecko: – Winfield popsuł ustęp.

Winfield zaczerwienił się, rzucając siostrze spojrzenie pełne pogardy.

– A ona nasiusiła do środka – zemścił się złośliwie.

Matka zaniepokoiła się.

– Cóżście tam nabroili? Pokażcie mi zaraz. – Wciągnęła dzieci do baraku. – No, coście tu zrobili?

Ruthie pokazała palcem.

– Tu tak syczało i szumiało. Teraz ucichło.

– Pokażcie mi, coście zrobili – nalegała matka.

Winfield zbliżył się niechętnie.

– Wcale mocno nie szarpnąłem – tłumaczył się. – Wziąłem tylko do ręki, o tak, i... – Rozległ się znowu szum wody. Chłopczyk odskoczył. Matka przechyliła głowę w tył i parsknęła śmiechem. Dzieci patrzyły na nią obrażone.

– To właśnie tak się spuszcza wodę – wyjaśniła. – Już się z tym spotkałam. Jak skończysz, to trzeba pociągnąć.

Dzieci były zawstydzone i przytłoczone własną ignorancją. Opuściły barak i ruszyły uliczką, by przyjrzeć się jakiejś licznej rodzinie jedzącej śniadanie. Matka odprowadziła je wzrokiem, potem rozejrzała się po sali. Podeszła do kabiny z natryskami i zajrzała do środka. Zbliżyła się do umywalni i przesunęła palcem po białej porcelanie. Odkręciła ostrożnie kran i pottrzymała palec pod strumieniem wody, cofając gwałtownie rękę, gdy woda stała się gorąca. Przez chwilę przyglądała się muszli, po czym zatkała otwór i napełniła umywalkę z obu kranów, biorąc po trochu gorącej i zimnej wody. Umyła w ciepłej wodzie ręce i twarz. Przeczesała wilgotnymi palcami włosy, gdy na betonowej podłodze za jej plecami rozległy się kroki. Odwróciwszy się, ujrzała starszego mężczyznę, który stał i patrzył na nią, z prawdziwym zgorszeniem.

– A pani skąd tu się wzięła? – zapytał ostro.

Matka przełknęła ślinę, czując, że woda kapie jej z brody i wsiąka w suknię.

– Nie wiedziałam, że tu nie wolno wchodzić – usprawiedliwiała się. – Myślałam, że wszyscy mogą korzystać...

Nieznajomy zmarszczył brwi.

– Tylko mężczyźni – oznajmił surowo. Podeszedł do drzwi i wskazał napis „Dla mężczyzn”.

– Widzi pani? Tu jest napisane. Nie widziała pani tego?

– Nie – przyznała się zawstydzona – wcale tego nie zauważyłam. A nie ma tu takiego miejsca, gdzie ja bym się mogła umyć?

Mężczyzna złagodniał.

– Czy pani dopiero co przyjechała? – spytał uprzejmiejszym już tonem.

– Przyjechaliśmy o północy.

– To nie rozmawiała pani jeszcze z komitetem?

– Z jakim komitetem?

– Jak to, z komitetem kobiecym.

– Nie, proszę pana.

Oświadczył z dumą:

– Komitet odwiedzi panią lada chwila i załatwi wszystko. Nowo przybyłych bierzemy od razu pod opiekę. A teraz, jeśli pani chce się dostać do toalety damskiej, to proszę zejść z drugiej strony budynku. Tamta strona jest dla kobiet.

Matka zapytała niespokojnie:

– Chce pan powiedzieć, że komitet kobiecy przyjdzie do mnie do namiotu?

Skinął głową.

– I to myślę, że niebawem.

– Dziękuję panu.

Wyszła śpiesznie i niemal biegnąc, podążyła do namiotu.

– Ojciec! – zawołała. – John, wstawać! I ty, Al! Wstawajcie i idźcie się myć!

Spojrzały na nią wystraszone, zaspane oczy.

– Wstawać wszyscy! – krzyczała matka. – Wstawajcie i umyjcie sobie twarz! I uczeszcie się!

Stryj John był blady i wyglądał na chorego. Na jego podbródku widniał czerwony siniak.

– Co się stało? – spytał ojciec.

– Komitet! – wykrzykiwała matka. – Za chwilę ma tu przyjść... komitet kobiecy. Wstawajcie i idźcie się umyć. My tu śpimy i chrapimy, a Tom tymczasem dostał robotę i już poszedł. Wstawać zaraz!

Wysuwali się ospale z namiotu. Stryj John chwiały się na nogach i twarz miał zbolaną.

– Idźcie do tego budynku i umyjcie się – rozkazywała matka. – Potem zjemy śniadanie, bo musimy być gotowi na przyjęcie komitetu.

Skierowała się do małego stosu połupanych drewek, który znajdował się na terenie obozu. Roznieciła ogień i rozstawiła nad nim żelazne podstawki pod garnki.

– Prażucha z maki kukurydzianej – mówiła do siebie. – Prażucha i sos. To będzie najprędsze. Musi być gotowe raz-dwa. – Krzątając się, rozmawiała sama ze sobą, a Ruthie i Winfield stali obok i przypatrywali się z zaciekawieniem.

Nad całym obozem unosił się dym z rozpalonych ognisk, ze wszystkich stron dochodził gwar rozmów.

Z namiotu wygramoliła się Rose of Sharon – rozczochrana, z zaspanymi oczyma. Matka odwróciła głowę znad garnka z mąką, którą odmierzała garściami. Obrzuciwszy wzrokiem wymiętą, brudną suknię córki i jej zmierzwione, nieuczesane włosy, przynagliła ją ostro:

– Musisz się ogarnąć! Idź tam i umyj się. Masz czystą sukienkę, sama ci uprałam. Uczesz się. Przemyj sobie oczy. – Była wyraźnie podniecona.

– Źle się czuję – oznajmiła ponuro Rose of Sharon. – Chciałabym, żeby Connie już wrócił. Nie chce mi się nic robić bez niego.

Matka odwróciła się ku córce. Żółta mąka kukurydziana przywarła jej do dłoni i do przegubów rąk.

– Rosasharn – powiedziała surowo – weź się wreszcie w garść. Dość już tych grymasów. Przyjdzie tu komitet kobiecy i nie chcę, żeby rodzina pokazywała nachmurzone gęby.

– Ale ja naprawdę źle się czuję.

Matka zrobiła krok w jej stronę, wyciągając umączone ręce.

– Ruszaj mi zaraz! Czasem trzeba ukryć w sobie to, co człowieka boli.

– Zbiera mi się na wymioty – jęczała Rose of Sharon.

– No to idź i wyrzyc się. Nic dziwnego, że masz mdłości. Każda kobieta w ciąży wymiotuje. Załatw się z tym, a potem zrób koło siebie porządek, umyj nogi i włóż trzewiki. – Wracając do przerwanej roboty, dodała: – I zapleć sobie włosy.

Na patelni nad ogniem skwierczał tłuszcz, który pryskał i syczał, gdy matka kładła nań łyżką ciasto. W osobnym rondelku zaprawiła stopiony tłuszcz mąką, dodała soli i zamieszała sos. Wreszcie w dużej bańce zagotowała kawę, której zapach rozszedł się w powietrzu.

Z baraku sanitarnego nadszedł wolnym krokiem ojciec. Matka zmierzyła go krytycznym spojrzeniem.

– Powiadasz, że Tom dostał robotę? – dopytywał się.

– Tak, dostał. Wyszedł, gdyśmy jeszcze spali. Zajrzyj teraz do tej skrzyni i wydostań sobie czystą koszulę i kombinezon. Sama już nie wiem, za co się najpierw chwytać, więc ty, ojciec, dopilnuj, żeby Ruthie i Winfield mieli czyste uszy. Wody gorącej nie brak. Zajmiesz się tym? Wyszoruj im porządnie uszy i szyję. Niech dzieciakom buzie się zaczerwienia, niech się świecą z czystości.

– Jeszcze cię nigdy nie widziałem w takiej gorączce – dziwił się ojciec.

– Wielki czas, żeby rodzina ogarnęła się jakoś. Co innego było w podróży. Ale teraz możemy sobie na to pozwolić. Zrzucić w namiocie ten brudny kombinezon, to go upiorę.

Ojciec wszedł do namiotu i po chwili wyszedł w niebieskim spranym kombinezonie i czystej koszuli. Poprowadził przygnębione i przerażone dzieci do baraku sanitarnego.

– A wyszoruj im porządnie uszy! – zawołała za nim matka.

Stryj John podszedł do drzwi męskiej połowy baraku sanitarnego, zerknął za siebie, a potem wkroczył do środka i zasiadł na długo w ustępie, podparłszy rękami obolałą głowę.

Matka zdjęła z ognia patelnię z przyrumienioną prażuchą i zaczęła właśnie kłaść łyżką ciasto na drugą patelnię, gdy na ziemię przed nią padł cień. Obejrzała się przez ramię. Za nią stał niski, ubrany cały na biało człowieczek o szczupłej, opalonej, pokrytej siecią zmarszczek twarzy i wesołym spojrzeniu. Chuda jego postać przypominała tyczkę. Jego czyste, białe ubranie było poprzecierane koło szwów. Uśmiechnął się do matki i przywitał ją:

– Dzień dobry!

Matka popatrzyła na jego białe ubranie i rysy jej twarzy pod wpływem nieufności stwardniały.

– Dzień dobry! – odpowiedziała.

– Czy pani Joad?

– Tak.

– Nazywam się Tom Rawley. Jestem kierownikiem tego obozu. Wpadłem tu na chwilę, żeby sprawdzić, czy u państwa wszystko w porządku. Nie brak wam czego?

Matka przyglądała mu się podejrzliwie.

– Nie, niczego nam nie trzeba.

– Spałem już, kiedy przyjechaliście w nocy. Szczęście, że znalazło się wolne miejsce – mówił. Ton jego głosu był serdeczny.

– Dobrze tu jest. Najlepsze to te umywalnie! – powiedziała matka z prostotą.

– Zobacz pani, jak to będzie, kiedy kobiety zabiorą się do prania. Niedługo już zaczną. Nie ma pani pojęcia, jaki wtedy zgiełk. Jak na jakim wiecu. Czy wie pani, co wczoraj wyprawiały? Urządziły chór. Śpiewały hymn i tarły białiznę do taktu. Warto było posłuchać, mówię pani.

Z twarzy matki zniknęła stopniowo podejrzliwość.

– Musiało być przyjemnie. To pan tu jest szefem?

– Nie. Tutejsi ludzie pozbawili mnie zajęcia, bo sami wszystko robią. Utrzymują obóz w czystości, przestrzegają porządku. Nigdy w życiu nie widziałem takich ludzi. W sali zebrań zorganizowali pracownię krawiecką. Poza tym zajęli się wyrobem zabawek. Pierwszy raz widzę coś podobnego.

Matka opuściła wzrok na swoją brudną suknię.

– Nie zdążyliśmy się jeszcze ogarnąć – usprawiedliwiała się. – W podróży po prostu nie sposób utrzymać czystości.

– A bo ja to nie wiem! – zauważył i pociągnął nosem. – Niech no pani mi powie, czy to wasza kawa tak ładnie pachnie?

Matka uśmiechnęła się.

– Miły zapach, prawda? Kawa zawsze tak pachnie z daleka. – I dodała z dumą: – Prosimy nie pogardzić i zjeść z nami śniadanie.

Zbliżył się do ognia i przykucnął. Resztki rezerwy matki znikły.

– Zaszczyt to dla nas gościć pana. Nie mamy przysmaków, ale czym chata bogata, tym rada.

Mały człowieczek spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Jestem już po śniadaniu. Ale nie odmówię filiżanki kawy. Pachnie tak ładnie.

– Ależ bardzo proszę.

– Tylko niech się pani specjalnie nie fatyguje.

Nalała z bańki kawy do blaszanego kubka.

– Nie mamy jeszcze cukru. Może dziś uda się kupić trochę. Jeżeli pan lubi z cukrem, to nie będzie panu smakowała.

– Zawsze piję bez cukru. Cukier psuje tylko smak dobrej kawy.

– A ja lubię wsypać trochę cukru – wyznała matka. Nagle utkwiała w nim badawczy wzrok, pragnąc odgadnąć, w jaki sposób zdołał stać się jej od razu tak bliski. Szukała wytłumaczenia w jego twarzy, lecz wyczytała z niej tylko życzliwość. Potem skierowała spojrzenie na wystrzępione szwy jego białej marynarki i uspokoiła się zupełnie. Gość sączył powoli kawę.

– Przypuszczam – przypomniał sobie – że odwiedzą panią dziś rano przedstawicielki komitetu kobiecego.

– Wolałabym, żeby nie przychodziły, zanim się trochę nie oporządzimy – westchnęła matka.

– E, to przecież dla nich nie nowina. Same przez to przeszły. W tym obozie członkowie komitetu mają dla ludzi wyrozumienie. – Dopił kawę i wstał. – No, czas na mnie. Jeśli wam tylko czego będzie trzeba, to bez żadnych ceremoni przychodźcie prosto do biura. Jestem tam przez cały dzień. Pyszna kawa! Dziękuję bardzo.

Postawił kubek na skrzyni obok innych, pokiwał ręką na pożegnanie i oddalił się dróżką biegnącą między namiotami.

Matka słyszała, jak idąc, rozmawiał z ludźmi. Pochyliła głowę, tłumiąc w sobie chęć płaczu.

Nadszedł ojciec i przyprowadził z powrotem dzieci. Oczy ich pełne były łez po bolesnym szorowaniu uszu. Miny mieli nietęgą, ale lśnili czystością. Z opalonego nosa Winfielda zeszła po myciu skóra.

– No – odetchnął ojciec. – Zeskrobałem z nich brud i ze dwie warstwy skóry. Mało brakowało, a spuściłbym im lanie, bo nie potrafią ustać spokojnie na miejscu.

Matka popatrzyła z uznaniem.

– Aż miło spojrzeć – pochwaliła. – Siadajcie do prażuchy z sosem. Musimy jeszcze wszystko poukładać i uporządkować namiot.

Ojciec podał talerze dzieciom i wziął porcję dla siebie.

– Ciekaw jestem, gdzie też Tom dostał robotę.

– Nie wiem.

– Skoro jemu się powiodło, czemu my mielibyśmy być gorsi.

Do namiotu wpadł podniecony Al.

– Co za obóz! – zawołał. Nałożył sobie na talerz prażuchy i nalał do kubka kawy. – Wiecie, co tu jeden gość robi? Buduje domek na przyczepie samochodowej. O, tam, za tymi namiotami. Wszystko tam jest: łóżka, piecyk. Tylko się wprowadzać! To mi życie, jak Boga kocham! Gdzie się zatrzymasz, tam mieszkasz.

– Już ja bym wołała mieć prawdziwy domek – zauważyła matka. – Gdy tylko będzie można, chciałabym mieć własny.

– Al! – odezwał się ojciec. – Zaraz po śniadaniu ty, ja i stryj John ruszamy ciężarówką szukać pracy.

– Dobra – zgodził się Al. – Chciałbym, jeśli się uda, dostać zajęcie w jakimś warsztacie samochodowym. Lubię taką robotę. Zaraz bym sobie wyrychtował jakiegoś małego fordą z tych starych gruchotów.

Pomalowałbym go na żółto i rozjeżdżał po okolicy. Spotkałem po drodze fajną dziewczynę. Puściłem do niej oko. Ładna, szelma!

– Zanim zaczniesz uganiać się za dziewczynami, postaraj się najpierw o pracę – zgromił go surowo ojciec.

Z toalety wynurzył się stryj John i szedł powoli w kierunku namiotu. Na jego widok matka zmarszczyła brwi.

– Nie umyleś się... – zaczęła, lecz gdy spostrzegła jego osłabienie i chorobliwy wygląd, powiedziała: – Idź do namiotu i połóż się. Jesteś chory.

Potrząsnął głową.

– Nie – odparł. – Zgrzeszyłem i muszę odcierpieć karę. – Przykucnął, zupełnie załamany, i nalał sobie kubek kawy.

Matka wygarnęła resztki prażuchy z garnka. Jak gdyby mimochodem rzuciła:

– Był tu kierownik obozu. Poczęstowałam go kubkiem kawy.

Ojciec podniósł z wolna oczy.

– Tak? A czego chciał o tak wczesnej porze?

– Tak tylko wpadł – odpowiedziała matka swobodnie. – Posiedział trochę i napił się kawy. Mówił, że lubi dobrą kawę, i bardzo mu się spodobał zapach naszej.

– Ale czego właściwie chciał? – dopytywał się ojciec.

– Nic nie chciał. Przyszedł, żeby się dowiedzieć, jak nam się powodzi.

– Nie wierzę – powątpiewał ojciec. – Pewnie wybrał się tu, żeby powęszyć i pospieszować.

– Nic podobnego! – krzyknęła z gniewem matka. – Już ja poznałabym się na takim, co to chce coś wywęszyć.

Ojciec wytrząsnął na ziemię fusy z kubka.

– Musisz się od tego odzwyczaić – skarciła go. – Tu w obozie dbają o czystość.

– Uważaj, bo tu się robi tak cholernie czysto, że człowiek nie będzie mógł wytrzymać – odburknął ojciec. – Pośpiesz się, Al. Musimy rozejrzeć się za robotą.

Al otarł usta wierzchem dłoni.

– Jestem gotów.

Ojciec zwrócił się do stryja Johna:

– Jedziesz z nami?

- Tak, jadę.
- Kiepsko jakoś wyglądasz.
- Bo czuję się kiepsko, ale jadę.

Al usiadł za kierownicą i zauważył:

- Trzeba będzie kupić benzyny.

Uruchomił silnik. Ojciec i stryj John usadowili się obok niego i ciężarówka potoczyła się powoli uliczką.

Matka odprowadziła wzrokiem odjeżdżających. Potem wzięła wiadro i skierowała się do przegródek z umywalniami do prania w otwartej części baraku sanitarnego. Nalała do wiadra gorącej wody i przyniosła je do namiotu. Zmywała w nim naczynia, gdy wróciła Rose of Sharon.

– Zostawiłam ci jedzenie na talerzu – odezwała się Joadowa. Przyjrzała się uważnie córce. Włosy Rose of Sharon były mokre i przyczesane, zaróżowiona twarz lśniła czystością. Przebrała się w niebieską sukienkę w białe kwiatki. Na nogach miała ślubne pantofle na wysokich obcasach. Zarumieniła się pod spojrzeniem matki.

– Kąpałaś się? – spytała Joadowa. Rose of Sharon odparła zachrypniętym głosem:

– Właśnie kiedy tam byłam, przyszła jedna pani i wzięła prysznic. Wie mama, jak to się robi? Wchodzi się do takiej małej kabiny, odkręca się kurki i woda spada jak deszcz, gorąca albo zimna, jak kto chce. No i ja też wzięłam prysznic.

– I ja tam pójdę! – zawołała matka. – Skończę tylko zmywanie. Pokażesz mi, jak się to robi.

– Co dzień będę to robiła. A ta pani przyjrzała mi się i od razu zauważyła, że będę miała dziecko, i... wie mama, co powiedziała? Powiedziała, że co tydzień przychodzi tu pielęgniarka i że ja muszę iść do niej, to ona mi wytłumaczy, jak i co, żeby dziecko chowało się zdrowo. Mówiła, że wszystkie kobiety tutaj chodzą do niej. I ja się do niej wybiorę. – Wyrzucała z siebie słowa jednym tchem. – I wie mama co?... W zeszłym tygodniu urodziło się tu dziecko i cały obóz urządził zabawę... i każdy podarował coś na wyprawkę, i ktoś nawet dał wózek – taki pleciony. Nie był nowy, ale pomalowali go na różowo i wyglądał jak prosto ze sklepu. I wymyślili imię dla dziecka, i upiekli placek. O Jezu! – Umilkła zadyszana.

– Chwała Bogu, że dostaliśmy się między swoich – powiedziała matka. – Muszę pójść się wykąpać.

– O, to tak przyjemnie!

Matka wycierała blaszane talerze i układała je jeden na drugim. Jednocześnie mówiła:

– My, Joadowie, nie potrzebujemy się na nikogo oglądać. Dziad naszego dziada bił się podczas Rewolucji. Pracowaliśmy na roli, dopóki nie wpadliśmy w długi. A potem przyszli tamci ludzie. Skrzywdzili nas. Za każdym razem, kiedy nas nachodzili, czułam się tak, jakby mnie bili batem, mnie i nas wszystkich. A w Needles... ta policja! Coś się wtedy we mnie zламаło. Czułam się poniżona. I było mi wstyd. A teraz już nie potrzebuję się wstydzić. Ci ludzie tutaj to nasi ludzie, to sami swoi. Albo i ten kierownik obozu: „Pani Joad to”, „Pani Joad tamto” i „Jak się pani u nas czuje?”. – Zamilkła i westchnęła. – Tak, teraz znowu wiem, że jestem człowiekiem. – Postawiła ostatni talerz na stosie już umytych i weszła do namiotu. Szperała w kufrze, szukając trzewików i czystej sukienki. Natrafiła na małą paczuszkę z kolczykami owiniętą w papier. Mijając Rose of Sharon, powiedziała: – Jeśli przyjdą te panie, powiedz im, że zaraz wracam.

Znikła za rogiem sanitarnego baraku.

Rose of Sharon usiadła ciężko na skrzyni i przyglądała się swym ślubnym pantofelkom – czarnym lakierkom z czarnymi ozdobnymi kokardkami. Wytarła palcem ich czubki, palec zaś o spód sukienki. Pochyliwszy się naprzód, przygniotła nieco sterczący brzuch. Wyprostowała się i z lekkim uśmiechem przesunęła uważnie palcem wzdłuż ciała.

Uliczką szła w kierunku pralni tęga kobieta, niosąc skrzynkę po jabłkach pełną brudnej bielizny. Twarz jej była spalona od słońca, oczy czarne i ruchliwe. Miała na sobie szeroki fartuch z worka, pod nim bawełnianą kolorową suknię, na nogach brązowe męskie trzewiki. Na widok gładzącej swe ciało, uśmiechniętej Rose of Sharon zawołała, śmiejąc się z uciechą:

– No, no! Jak myślisz, będzie chłopczyk czy dziewczynka?

Rose of Sharon zarumieniła się i spuściła oczy, po czym zerknęła na kobietę, której błyszczące czarne oczka przyglądały jej się ciekawie.

– Nie wiem – bąknęła.

Kobieta postawiła skrzynkę na ziemi.

– Spuchłaś trochę, co? – spytała, gdacząc jak uszczęśliwiona kwoka. – A co byś chciała?

– Sama nie wiem... Chyba chłopca. Tak, chłopca.

– Przyjechaliście tu niedawno, prawda?

– Wczoraj, późno w nocy.

– A zostaniecie tu długo?

– Nie wiem. Jak dostaniemy robotę, to pewnie zostaniemy.

Po twarzy kobiety przemknął cień, czarne oczka błysnęły gniewnie.

– Ba, jeżeli dostaniecie robotę! Wszyscy to powtarzamy.

– Mój brat dostał już dziś rano pracę.

– Naprawdę? Może macie szczęście. Czasem los się do człowieka uśmiechnie, ale na takim szczęściu nie warto polegać. – Podeszła bliżej do Rose of Sharon i mówiła gwałtownie: – Szczęście jest tylko jedno. Nie może być innego. Bądź zawsze uczciwa. Nie wolno ci grzeszyć. Jeśli zgrzeszysz, biada twemu dziecku. – Przykucnęła przed młodą kobietą. – Tu w obozie dzieją się gorszące rzeczy – oznajmiła ponuro. – Co sobota urządzają zabawy taneczne. A tańczą nie tylko przyzwoite tańce, ale takie z obłapianiem się i przytulaniem, sama widziałam.

Rose of Sharon powiedziała ostrożnie:

– Lubię tańczyć. Ale tamtych tańców to nawet nie znam.

Opalona kobieta trzęsła głową złowieszczo.

– Tak, ale inni je tańczą. Chyba Pan Bóg im tego nie daruje. Nie myśl, że daruje.

– Nie, proszę pani – bąknęła niepewnie Rose of Sharon.

Nieznajoma położyła brązową, pomarszczoną rękę na kolanach młodej kobiety. Rose of Sharon wzdrygnęła się pod tym dotknięciem.

– Muszę cię ostrzec. Niewiele już zostało ludzi żyjących w prawdziwej bojaźni bożej. Co sobota, ledwie tylko zagra orkiestra, zamiast hymnów zaczynają się płasy – tak, moja droga, kręcenie się w kółko. Widziałam na własne oczy. Nigdy nie podchodzę blisko, a i rodzinie zakazałam się tam zbliżać. Bo te tańce, to, powiadam, grzech i obraza boska. – Zrobiła pauzę dla wywołania większego wrażenia, po czym dodała ochrypłym szeptem: – To jeszcze nie wszystko. Zrobili tu teatr. – Cofnęła się i przechyliła na bok głowę, żeby się przekonać, jak Rose of Sharon przyjmie tę rewelację.

– Aktorzy? – zapytała Rose of Sharon z nabożeństwem.

– Nie! – wybuchnęła kobieta. – Nie aktorzy, nie te wyklęte już grzeszniki. Nasi ludzie. Z naszego obozu. I wciągają do tego małe dzieci, które niczego nie rozumieją. Ci ludzie udają coś, czym wcale nie są. Nigdy do nich nawet

nie podeszłam. Ale słyszałam, co sami wygadywali o tym, co robią. Diabeł hula po tym obozie.

Rose of Sharon słuchała, szeroko otworzywszy oczy i rozchyliwszy usta.

– Kiedy chodziłam do szkoły, to na Boże Narodzenie odgrywaliśmy raz szopkę.

– No cóż, ja tego nie chwale ani nie ganię. Niektórzy nawet bogobojni ludzie nie widzą w urządzaniu jasełek niczego złego. Ja nie jestem wcale tego pewna. Ale to, co tutaj wyprawiają, to nie żadna szopka na Boże Narodzenie. To grzech, mamienie ludzi i sztuczki szatańskie. Chodzą po scenie i gadają, i wygłupiają się, małpując Bóg wie kogo. I te tańce z ocieraniem się o siebie i przytulaniem.

Rose of Sharon westchnęła.

– Żeby choć tych grzeszników było mało – ciągnęła kobieta – ale gdzie tam! Doszło do tego, że można prawie policzyć na palcach owieczki z bożej trzódki. I nie myśl, że tym grzesznym ludziom tak wszystko ujdzie na sucho. Nie, moja droga. Bóg zapisuje grzech po grzechu, a potem robi kreskę i dodaje je razem. Bóg czuwa, ale i ja także. Najwyższy wykurzył już stąd dwie grzesznice.

– Naprawdę? – wyjąkała Rose of Sharon.

Głos opalonej kobiety stawał się coraz bardziej wzburzony.

– Przekonałam się na własne oczy. Była tu jedna młoda kobieta przy nadziei, jak ty. Przedstawiała w teatrze i obłąpiała się w tańcu. I... – głos jej przybrał grobowy, złowróżbny ton – ...zaczęła chudnąć, została z niej skóra i kości i... urodziła martwe dziecko...

– O mój Boże! – Rose of Sharon pobladła.

– Urodziło się nieżywe i całe we krwi. Naturalnie, nikt już nie odezwał się do tej kobiety. Musiała wynosić się w inne strony. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. I znalazła się jeszcze druga, która prowadziła się podobnie. Też zaczęła schnąć jak szczapa. I wiesz, co się stało? Którejś nocy przepadła. Po dwóch dniach wróciła i rozповідаła, że jeździła w odwiedziny. Ale o dziecku ani słowa. Wiesz, co ja myślę? Jestem pewna, że ten nasz kierownik obozu zawiózł ją gdzieś, żeby się pozbyła dziecka. Kierownik nie wierzy w grzech. Sam mi to powiedział. Mówił, że grzech jest być głodnym. Że grzech marznąć. Że nie trzeba, sam mi to tłumaczył, dopatrywać się we wszystkim palca bożego. Chciał mi wmówić, że te dzierlatki dlatego chudły, bo nie miały co jeść. No, ale mu przygadałam! –

Zerwała się na równe nogi i cofnęła o krok. Oczy jej płonęły. Mierzyła sztywnym palcem wskazującym prosto w twarz Rose of Sharon. –

Powiadam mu: „Fora ze dwora!”. I mówię: „Wiedziałam od dawna, że po obozie harcuje diabeł, teraz się okazało, w czyją zaszył się skórę. Precz, szatanie!”, mówię. I, jak Boga kocham, cofnął się przede mną. Trząśł się cały i płaszczył. Zaczął skomleć: „Błagam panią, błagam, niech pani nie unieszczęśliwia ludzi”. A ja mu na to: „Nie unieszczęśliwiać ludzi? A zbawienie ich dusz? A te nieżywe dzieci? A te biedne grzesznice zgubione przez teatr?”. Popatrzył na mnie, skrzywił się, jakby wziął cytrynę do gęby, i poszedł sobie. Wiedział dobrze, że trafił na prawdziwą służebnicę Pana. Jeszcze dodałam: „Pomagam Jezusowi baczyć na wszystko, co się tu dzieje. A panu ani innym grzesznikom nie uda się tak łatwo”. – Podniosła skrzynkę z brudną bielizną. – Pilnuj się. Ostrzegam cię. Przez wzgląd na dziecko, które nosisz w łonie, unikaj grzechu.

Odeszła majestatycznie, z oczu jej biła siła.

Rose of Sharon odprowadziła ją wzrokiem, a potem ukryła twarz w dłoniach i zanosła się cichym szlochem. Tuż koło niej odezwał się łagodny głos. Zawstydzona podniosła głowę. Przed nią stał kierownik w białym ubraniu.

– Niech się pani nie martwi – pocieszał ją. – Nie warto się martwić.

Oczy jej zamglone były łzami.

– Ale ja też grzeszyłam! – zawołała. – Tańczyłam także tańce z przytulaniem się. Nie przyznałam się jej. Tańczyliśmy te tańce w Sallisaw. We dwójkę z Conniem.

– Nie warto się martwić – powtórzył raz jeszcze.

– Ona mówi, że za karę poronię.

– Wiem, że wygaduje takie rzeczy. Mam ją na oku. To dobra kobieta, ale psuje tylko krew ludziom.

Rose of Sharon pociągnęła płaczliwie nosem.

– Ona знаła dwie młode kobiety, które poroniły tu, w obozie.

Kierownik przykucnął przed Rose of Sharon.

– Proszę pani! Niech mnie pani posłucha! I ja je znałem. Były wygłodzone i wycieńczone. I za ciężko pracowały. Poza tym wytrzęsły się w ciężarówce. Były chore. To się nie stało z ich winy.

– Ale ona powiedziała...

– Niech się pani nie przejmuj. Ona wszędzie wsadza swoje trzy grosze.

– Ale ona mówi, że pan jest diabłem.

– Wiem, że tak mówi. To dlatego, że nie pozwalam jej, żeby zatruwała innym życie. – Poklepał Rose of Sharon po ramieniu. – Głowa do góry! Tej kobiecie brak piątej kleпки.

I oddalił się szybkim krokiem. Rose of Sharon odprowadziła go wzrokiem. Jego chude ramiona podrygiwały. Oczy miała jeszcze utkwione w szczupłej postaci, gdy wróciła matka, czysta i zaróżowiona, z mokrymi włosami uczesanymi gładko i zebranyymi w węzeł. Miała na sobie suknię w kolorowy rzucik, a na nogach stare, zniszczone trzewiki. W uszach jej migotały małe kolczyki.

– Wykąpałam się – oznajmiła. – Stałam sobie, a ciepła woda lała się z góry i spływała po mnie. Była tam jedna kobieta i powiedziała, że możemy co dzień brać prysznic, jeśli mamy ochotę. A tych pań z komitetu nie było jeszcze?

Rose of Sharon mruknęła przecząco.

– A ty siedzisz sobie z założonymi rękami i nawet nie zabrałaś się do sprzątnięcia. – Mówiąc to, matka śpiesznie zbierała blaszane naczynia. – Musimy prędko zrobić porządek. Dalej, rusz się. Weź ten worek i zamieć trochę ziemię dokoła namiotu. – Pozbierała wszystko, pochowała naczynia do skrzyni i zniosła ją do namiotu. – Poskładaj ładnie pościel. Powiadają ci, nigdy w życiu tak sobie nie użyłam jak pod tym prysznicem.

Rose of Sharon apatycznie wykonywała polecenia matki.

– Jak mama myśli, czy Connie dziś wróci?

– Może wróci, może nie wróci. Nie wiadomo.

– A czy mama jest pewna, że wie, gdzie nas szukać?

– Na pewno wie.

– Mamo... a nie myśli mama... że mogli go zabić wtedy, kiedy podpalili obóz?...

– Na pewno nie jego – uspokajała ją matka. – Kto jak kto, ale Connie wszędzie da sobie radę. Szybki jest jak zając, a chytry jak lis.

– Chciałabym, żeby już wrócił.

– Wróci, wróci, jak przyjdzie na to czas.

– Mamo...

– Lepiej weź się do roboty.

– ...czy mama myśli, że jak będę tańczyła i grała w teatrze, to poronię?

Matka przerwała pracę i wsparła się pod boki.

– Co ty wygadujesz? Przecież nie grasz w żadnym teatrze.

– Tak, ale były tu takie, co to robiły, i jedna młoda kobieta urodziła... dziecko... nieżywe... i całe we krwi, jakby to była kara boska.

Matka wpatrywała się w nią nieruchomym wzrokiem.

– Kto ci to powiedział?

– Jedna pani, która tędy przechodziła. A ten niski pan w białym ubraniu też tu był i powiedział, że to nie dlatego.

Matka zmarszczyła brwi.

– Rosasharn – zgromiła córkę – przestań cackać się z sobą. Ciągłe tylko wynajdujesz sobie jakieś powody do płaczu. Nie rozumiem, co się z tobą dzieje. W naszej rodzinie nikt nie rozczulał się nad sobą. Przyjmowali wszystko, co ich spotykało, z suchymi oczami. Założę się, że to Connie wbił ci te głupstwa do głowy. – I dodała surowo: – Powiedz sobie, że nie jesteś sama na świecie, że prócz ciebie jest jeszcze dużo innych ludzi. Opamiętaj się trochę! Znałam już takich, co póty wmawiali w siebie grzechy, aż wydawało im się, że są ostatnim śmieciem.

– Ależ, mammo...

– Dosyć! Cicho bądź i zabierz się do roboty. Nie jesteś znowu taka ważna ani taka zła, żeby Pan Bóg miał się o ciebie specjalnie kłopotać. Jeśli nie przestaniesz tak się cackać z sobą, to oberwiesz ode mnie. – Zmiotła popiół do dołka, w którym palił się ogień, i wytarła kamienie na skraju wgłębienia. Spostrzegła, że drogą zbliżają się w stronę namiotu przedstawicielki komitetu. – Do roboty! – powtórzyła. – O, idą już te panie. Zrób tu trochę porządku, żebym nie musiała się wstydić.

Nie spojrzała już więcej w stronę nadchodzących kobiet, czuła jednak, że się zbliżają.

Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie komitet. W skład jego wchodziły trzy kobiety, umyte i ubrane w najlepsze swoje suknie: szczupła, o ulizanych włosach, w okularach w stalowej oprawie na nosie; nieduża, tęga z siwymi loczkami i małymi ustami; wreszcie okazała matrona o grubych nogach, potężnym zadzie i wydatnym biuście, przypominająca wielkiego, ciężkiego konia pociągowego, muskularna i pewna siebie. Wszystkie trzy kroczyły z godnością.

Matka umyślnie stanęła plecami do nadchodzących. Członkinie komitetu zatrzymały się, zrobiły w lewo zwrot i ustawiły się rzędem. Olbrzymia matrona powiedziała stentorowym głosem:

– Dzień dobry! Pani Joad, prawda?

Matka odwróciła się gwałtownie, udając zaskoczenie.

– Co? Tak, to ja. A skąd pani zna moje nazwisko?

– Należymy do komitetu – mówiła matrona. – Komitet kobiecy jednostki sanitarnej numer cztery. Nazwisko pani podano nam w biurze.

Matka zmieszała się.

– Nie zdążyliśmy jeszcze uporządkować wszystkiego jak należy. Ale będzie to dla mnie zaszczyt, jeśli panie wejdą i spoczną chwilę, a ja tymczasem zaparzę trochę kawy.

Pulchna członkini komitetu odezwała się:

– Niech nas pani przedstawi, Jessie. Podaj pani Joad nasze nazwiska. Jessie jest przewodniczącą – wyjaśniła.

Jessie przybrała ton urzędowy.

– To Annie Littlefield i Ella Summers, a ja nazywam się Jessie Bullitt.

– Bardzo mi przyjemnie poznać panie. Proszę siadać. Nie ma co prawda jeszcze na czym – spostrzegła się. – Ale przyrządzę trochę kawy.

– O, nie – odpowiedziała Annie urzędowym tonem. Niech się pani nie trudzi. Przyszliśmy tylko, żeby panią odwiedzić i zobaczyć, jak się pani czuje. Chciałybyśmy, żeby się pani tu czuła jak u siebie w domu. Jessie Bullitt skarciła ją surowo:

– Annie, proszę z łaski swojej nie zapominać, że to ja jestem przewodniczącą.

– Ach, pamiętam doskonale. Ale w przyszłym tygodniu ja nią będę.

– No to niech pani zaczeka do przyszłego tygodnia. Zmieniamy się co tydzień na stanowisku przewodniczącej – wyjaśniła matce.

– Czy naprawdę nie mają panie ochoty na filiżankę kawy? – zapytała bezradnie Joadowa.

– Nie, dziękujemy bardzo – odmówiła Jessie w imieniu wszystkich. – Mamy zamiar pokazać pani przede wszystkim barak sanitarny, a potem, jeśli się pani zgodzi, zapiszemy panią do Klubu Kobiet i wyznaczymy pani jakąś funkcję. Naturalnie, należenie do klubu nie jest obowiązkowe.

– Czy... czy to dużo kosztuje?

– Nie, nic się nie płaci, tylko się pracuje. A kiedy już panią wszyscy poznają, to będzie pani mogła być wybrana do komitetu.

Annie wtrąciła:

– Jessie należy też do komitetu ogólnego. Jest w nim ważną osobą.

Jessie uśmiechnęła się z dumą.

– Wybrali mnie jednogłośnie. A teraz musimy chyba zapoznać panią Joad z życiem obozu.

– To moja córka Rosasharn – przedstawiła matka.

– Bardzo nam miło. Może i pani wybierze się z nami.

Głos zabrała gruba Jessie. Zachowanie jej było pełne godności i dobroci, a przemówienie przygotowane z góry.

– Niech tylko czasem pani nie pomyśli, że chcemy wtykać nos w pani sprawy. W tym obozie jednak są urządzenia, z których korzystamy wszyscy. Toteż sami wprowadziliśmy regulamin. Idziemy teraz do baraku sanitarnego. Wszyscy mają tam wstęp i wszyscy muszą dbać o utrzymanie porządku.

Weszły od strony odkrytej, w której znajdowały się muszle do prania – było ich dwadzieścia. Przy ośmiu stały pochylone kobiety i prały bieliznę. Na czystej betonowej posadzce piętrzyły się stosy wyjętych sztuk.

– Tu może sobie pani prać, kiedy pani tylko zechce – wyjaśniła Jessie – pod jednym tylko warunkiem, że zostawi pani wszystko w porządku.

Piorące kobiety podniosły z zaciekawieniem głowy. Jessie powiedziała głośno:

– To jest pani Joad z córką Rosasharn. Będą mieszkały w obozie.

Obecne chórem przywitały matkę. Joadowa skłoniła się i odpowiedziała:

– Bardzo mi miło panie poznać.

Jessie poprowadziła grupę zwiedzających do sali z ustępami i natryskami.

– Już tu byłam – wyznała matka – i nawet wzięłam kąpiel.

– Po to właśnie są te prysznice – podkreśliła Jessie – i tu jest ten sam przepis. Trzeba zawsze po sobie posprzątać. Prócz tego co tydzień zmienia się komisja, która raz na dzień robi tu porządek. Może i pani dostanie się do tej komisji. Mydło trzeba mieć własne.

– Musimy dopiero kupić – powiedziała matka – zużyliśmy wszystko.

– A z tego korzystała pani kiedy? – zapytała Jessie, wskazując palcem ustępy. Jej głos przybrał niemal ton czci.

– Tak, proszę pani. Dziś rano.

– To dobrze – westchnęła Jessie.

– A właśnie w zeszłym tygodniu... – zaczęła Ella Summers.

– Pani Summers, to chyba już ja opowiem – przerwała karcąco Jessie.

– Ależ dobrze, dobrze – ustąpiła Ella. Jessie dodała:

– W zeszłym tygodniu, kiedy pani była przewodniczącą, tylko pani mówiła. Bardzo proszę, niech pani w tym tygodniu trochę się miarkuje.

– No to niech pani opowie, co tamta kobieta zrobiła – zgodziła się Ella.

– Ano, nie przystoi komitetowi plotkować – podjęła Jessie – ale nie powtórzę przecież jej nazwiska. W zeszłym tygodniu przyjechała jedna kobieta i przyszła tutaj, zanim odwiedził ją komitet. Wpakowała spodnie swego męża do muszli klozetowej i skarży się. „To za niskie i za małe. Plecy bolą od schylania się. Dlaczego nie umieścili tej miski wyżej?”.

Na twarzach członkiń komitetu ukazał się pobłażliwy uśmiech. Ella dorzuciła:

– Powiada: „Nie da się napełnić miski wodą za jednym pociągnięciem” – i zamilkła pod surowym spojrzeniem Jessie.

Przewodnicząca ciągnęła:

– Mamy kłopoty z papierem toaletowym. Regulamin zabrania wnosić stąd papier. – Cmoknęła głośno językiem. – Cały obóz składa się na zakupienie go. – Przez chwilę milczała, a potem wyjawiała: – Barak numer cztery zużywa więcej papieru niż inne. Ktoś kradnie papier. Wyszło to na jaw na ogólnym zebraniu kobiet. „Panie z jednostki numer cztery zużywają za dużo papieru” – takich słów musiałyśmy wysłuchać na posiedzeniu!

Matka słuchała z zapartym tchem.

– Kradną papier? Ale po co?

– Co prawda – opowiadała Jessie – miewałyśmy już przedtem kłopoty z papierem. Ostatnim razem okazało się, że to dziewczynki wycinały sobie z niego lalki. No i złapałyśmy je na gorącym uczynku. Ale teraz nie możemy dojść, kto to robi. Ledwie założy się rolkę, już po papierze. Jedna z pań mówi, że powinniśmy przyczepić dzwoneczek, który dzwoniłby za każdym obrotem rolki. Wtedy byłoby wiadomo, ile kto bierze papieru. –

Potrząsnęła głową. – Ręce mi po prostu opadają. Głowiłam się przez cały tydzień. W jednostce numer cztery ktoś kradnie papier toaletowy.

Od drzwi dobiegł płaczliwy głos.

– Pani Bullitt!

Przedstawicielki komitetu odwróciły głowę.

– Pani Bullitt, słyszałam wszystko. – Na progu stała zaczerwieniona, spocona kobiecina. – Nie miałam śmiałości mówić o tym na zebraniu. Nie mogłam się na to zdobyć. Bałam się, że mnie wyśmieją albo i co gorszego.

Jessie postąpiła krok w jej kierunku.

– O czym pani mówi?

– Bo... bo to może my. Ale my nie kradniemy, proszę pani.

Jessie podeszła do roztrzęsionej winowajczynie, której twarz pokryta była kropelkami potu.

– To nie nasza wina – zapewniała kobiecina.

– Niechże pani opowie wszystko po ludzku – irytowała się Jessie. – Przez ten papier toaletowy cała jednostka najadła się wstydu.

– To dopiero od tygodnia, proszę pani. I nie było na to rady. Pani wie, że mam pięć córeczek.

A cóż one robiły z tym papierem? – zapytała Jessie złowróżbnym tonem.

– Po prostu używały go jak należy. Uczciwie mówię, że go używały.

– Ależ nie miały prawa zużywać aż tyle! Cztery, pięć arkusików wystarczy. Cóż one sobie myślą?

– Biegunka, wszystkie pięć dostały biegunki – wyjąkała kobieta. – Krucho u nas z pieniędzmi, no i dziewczynki najadły się niedojrzałych winogron. Wszystkie latają teraz co dziesięć minut. – I dodała w obronie dzieci: – Ale papieru nie kradną.

Jessie westchnęła.

– Powinna była pani to powiedzieć – osądziła. – Nie wolno ukrywać takich rzeczy. Pani nic nie mówiła, a cała czwarta jednostka najadła się wstydu. A przecież biegunka każdemu może się przytrafić.

– Ani rusz nie mogę powstrzymać ich od jedzenia niedojrzałych winogron. I coraz z nimi gorzej – zawodził pokorny głos.

– Fundusz zapomogowy! – wybuchnęła Ella Summers. – Powinna dostać zapomogę!

– Ello Summers – zgromiła ją Jessie – przypominam po raz ostatni, że nie jest pani przewodniczącą. – Zwróciła się do czerwonej ze wstydu kobieciny: – Nie ma pani pieniędzy, pani Joyce?

Kobieta spuściła oczy.

– Nie, ale może lada dzień dostaniemy pracę.

– Głowa do góry! – oświadczyła Jessie. – To jeszcze nie zbrodnia. Niech pani zaraz skoczy do sklepu w Weedpatch i weźmie sobie trochę żywności. Obóz ma tam kredyt w wysokości dwudziestu dolarów. Może pani wziąć za pięć dolarów. Dług zwróci pani komitetowi, kiedy już dostaniecie pracę.

Pani Joyce, wiedziała pani przecież o tym – dodała surowo. – Jak mogła pani dopuścić do tego, żeby dziewczynki były głodne?

– Nigdy nie korzystaliśmy z dobroczynności – tłumaczyła się pani Joyce.

– To wcale nie dobroczynność, i pani wie o tym doskonale! – rozgniewała się Jessie. – Mówiło się to sto razy. W tym obozie nie ma dobroczynności. Nie chcemy tego. A teraz niech pani biegnie do sklepu, weźmie, co potrzeba, i przyniesie mi rachunek.

– A jeżeli wcale nie będziemy mogli zapłacić? – zapytała pani Joyce nieśmiało. – Tak dawno już jesteśmy bezrobotni.

– Zapłacicie wtedy, kiedy będziecie mogli. A jeżeli nie będzie was na to stać, to już nie nasza sprawa i niech panią też o to głowa nie boli. Był taki jeden, co wyjechał stąd z długiem, a po dwóch miesiącach odesłał wszystko co do grosza. W tym obozie nie ma pani prawa pozwolić na to, żeby córeczki chodziły głodne.

Pani Joyce była wręcz sterroryzowana.

– Dobrze, proszę pani – wybąkała.

– Niech pani weźmie dla dzieci sera – rozkazała Jessie. – Ser dobrze robi na biegunkę.

– Dobrze, proszę pani.

Pani Joyce wymknęła się z budynku. Rozgniewana Jessie zwróciła się do członkiń komitetu:

– Nie miała prawa zadzierać nosa. Jest przecież wśród swoich.

Annie Littlefield tłumaczyła:

– Jest tu od niedawna. Może nie wiedziała... Może już kiedyś korzystała z dobroczynności. Nie, niech pani nie próbuje mi przerywać, Jessie. Mam prawo powiedzieć, co myślę. – Zwróciła się w stronę Joadowej. – Kiedy człowiek choć raz sparzył się na dobroczynności, zostaje w nim na zawsze ślad. W naszym obozie tego nie ma, ale kiedy dostanie się coś z łaski, nie zapomina się o tym nigdy. Założę się, że Jessie nigdy się to nie przytrafiło.

– Nie, nigdy – potwierdziła Jessie.

– A mnie tak – wyznała Annie. – Zeszłej zimy przymieraliśmy głodem wszyscy: ja, mąż i dzieciaki. Lało wtedy jak z cebra. I ktoś poradził nam, żeby pójść do Armii Zbawienia. – Oczy jej nabrały dzikiego wyrazu. –

Byliśmy głodni, a przez nich musieliśmy padać plackiem i błagać o każdy obiad. Przez nich... O, nienawidzę ich! Odebrali nam naszą godność! Kto wie, może i pani Joyce korzystała z dobroczynności! Może nie wiedziała,

że tu nie daje się nic z łaski. Pani Joad, my tu nie pozwalamy nikomu uważać się za lepszego od innych. Nikt nie ma tu prawa nikomu nic dawać. Chce dać, to daje obozowi, i dopiero obóz może to innym przekazać. Nie chcemy tu żadnej jałmużny. – Głos jej był ostry i ochrypły. – Nienawidzę ich. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby mój mąż się załamał, ale oni... ta Armia Zbawienia dokonała tego.

Jessie skinęła potakująco głową.

– Słyszałam o tym – powiedziała półgłosem. – Słyszałam, ale teraz musimy oprowadzić panią Joad po obozie.

– Bardzo tu ładnie – odezwała się matka.

– Chodźmy do szwalni – zaproponowała Annie. – Mamy dwie maszyny do szycia. Robimy kołdry i szyjemy suknie. Może i pani nabierze ochoty, żeby tam pracować.

Gdy komitet zjawił się z wizytą u matki, Ruthie i Winfield ulotnili się niepostrzeżenie.

– A gdybyśmy tak poszli za nimi i podsłuchali, o czym gadają – podsunął Winfield.

Ruthie chwyciła go za ramię.

– Nie. To przez te cholery musieliśmy się umyć. Ani mi się śni iść za nimi.

– Naskarżyłaś na mnie, że zepsułem ustęp. Pójdę teraz i powiem, jak przezwałaś te panie – zagroził Winfield.

Przez twarz dziewczynki przemknął cień obawy.

– Nie rób tego. Nie wydałam cię, bo i tak wiedziałam, że naprawdę nic nie popsuleś.

– Nieprawda, nie wiedziałaś! – oburzył się Winfield.

– Chodźmy obejrzeć obóz – rzuciła Ruthie.

Z minami nieśmiałych gapiów szli uliczką między namiotami, zerkając kolejno na każdego. Za grupą namiotów znajdował się równy plac, na którym urządzono boisko do gry w krokieta. Kilkoro dzieci grało z wielką uwagą. Czuwała nad nimi starsza kobieta siedząca na ławce przed namiotem.

Ruthie i Winfield puścili się klusem.

– Dajcie nam zagrać! – zawołała Ruthie. – Przyjmijcie nas do gry!

Dzieci spojrzwały na przybyszów. Dziewczynka z warkoczykami oświadczyła:

- Możecie zagrać w następnej partii.
- Ja chcę grać zaraz! – wrzasnęła Ruthie.
- Nie, zaraz nie możesz. Zaczekaj, aż skończymy.
- Ruthie z groźną miną wkroczyła na boisko.
- Będę grała zaraz, i już!

Dziewczynka z warkoczykami ścisnęła mocno młotek. Ruthie przyskoczyła do niej, uderzyła ją, popchnęła i wyrwała jej młotek z ręki.

- Mówiłam, że będę grała! – zawołała triumfalnie.

Starsza kobieta wstała i weszła na placyk. Ruthie, popatrując na nią gniewnie spode łba, zacisnęła dłonie na młotku.

Kobieta doradziła:

- Niech sobie gra... Zróbcie tak jak w zeszłym tygodniu z Ralfem.

Dzieci położyły młotki na ziemi i w milczeniu opuściły boisko. Zatrzymały się w pewnej odległości i patrzyły obojętnie na Ruthie. Dziewczynka śledziła, jak odchodzą, a potem uderzyła kulę i pobiegła za nią.

- Chodź, Winfield! Weź młotek! – zawołała.

Obejrzała się i osłupiała. Winfield przyłączył się do reszty dzieci i także spoglądał na nią obojętnym wzrokiem. Wyzywająco uderzyła raz jeszcze kulę, wzbijając tuman kurzu. Udawała, że się dobrze bawi. A dzieci stały i patrzyły. Ruthie położyła dwie kule obok siebie i potoczyła obydwie, odwracając się plecami do oczu, które ją obserwowały. Zaraz jednak odwróciła się ku nim i nagle ruszyła naprzód z młotkiem w rękę.

- Chodźcie grać! – zażądała.

Dzieci cofnęły się przed nią w milczeniu. Przez chwilę wpatrywała się w nie nieruchomo. Potem rzuciła młotek na ziemię i z płaczem pobiegła do namiotu Joadów. Dzieci wróciły na boisko.

– Możesz zagrać z nami następną partię – powiedziała do Winfielda dziewczynka z warkoczykami.

Obserwująca dzieci starsza kobieta napominała:

– Jeżeli wróci i będzie grzeczna, przyjmijcie ją do gry. Ty sama byłaś kiedyś nieznośna, Amy.

Gra potoczyła się dalej. Tymczasem Ruthie w namiocie łkała żałośnie.

Ciężarówka sunęła pięknymi drogami, mijając sady, gdzie zaczynały już różowiec brzoskwinie, winnice pełne bladozielonych gron, rzędy orzechów włoskich, których gałęzie łączyły się nieomal nad szosą. Przed każdą bramą wyjazdową Al zwalniał, ale nad każdą widniał napis: „Pracownicy niepotrzebni. Wjazd wzbroniony”.

– Tato! – odezwał się Al. – Tu biorą ludzi do roboty dopiero wtedy, kiedy dojrzeją owoce. Dziwny kraj! Ogłaszają, że nie ma roboty, zanim ktoś o nią zapyta. – Jechał wolno dalej.

– A może by gdzieś zajechać i wypytać, czy nie wiedzą, gdzie tu jest jaka robota – zauważył ojciec. – Warto spróbować.

Skrajem drogi szedł mężczyzna w niebieskim kombinezonie i w niebieskiej koszuli. Al zatrzymał ciężarówkę tuż przy nim.

– Halo! – zawołał. – Nie wie pan, gdzie tu można dostać jakąś robotę?

Mężczyzna przystanął i rozchylił usta w uśmiechu. Brak mu było przednich zębów.

– Nie – odpowiedział. – A wy nie słyszeliście o żadnym zajęciu? Obijam się już od tygodnia i nigdzie nie da się rąk zaczepić.

– Mieszkacie w obozie rządowym? – zapytał Al.

– Aha.

– No to siadajcie. Wgramolcie się od tyłu i będziemy razem szukać pracy.

Mężczyzna wdrapał się po bocznej ścianie i zeskoczył na spód skrzyni ciężarówki. Ojciec powiedział:

– Jakoś się nie spodziewam, żebyśmy znaleźli robotę. Wydaje mi się jednak, że popytać trzeba. Ale nie wiemy nawet gdzie i kogo.

– Trzeba było pogadać z ludźmi w obozie – powiedział Al. – Jak stryj się czuje?

– Jestem cały obolały – jęknął stryj John. – Wszystko mnie boli. Ale zasłużyłem na to. Powinienem był odejść, dokąd oczy poniosą, żeby rodzina nie cierpiała za moje grzechy.

Ojciec położył mu rękę na kolanie.

– Słuchaj, John, wybij sobie z głowy, że musisz odejść. Ciągłe kogoś tracimy: dziadek i babka nie żyją. Noah i Connie uciekli, a pastor w więzieniu.

– Mam przeczucie, że jeszcze zobaczymy pastora – zwierzył się stryj John.

Al przebierał palcami po dźwigni zmiany biegów.

– Stryj zbyt źle się czuje, żeby mieć jakieś przeczucia – powiedział. – Do diabła z przeczuciami! Wracajmy do obozu! Pogadamy z ludźmi i dowiemy się, gdzie szukać roboty. Bo teraz, to tak jakbyśmy polowali na skunksy pod wodą. – Zatrzymał samochód, wychylił się przez okno i zawołał: – Słuchajcie! Wracamy do obozu i spróbujemy zasięgnąć języka, gdzie jest jaka praca. Nie ma sensu tak na darmo marnować benzynę.

Przygodny znajomy wyjrzał ze skrzyni ciężarówki.

– Zgoda! – odkrzyknął. – Nóg już nie czuję. I nic dziś w gębie nie miałem.

Al zawrócił samochód na środku drogi i skierował go ku obozowi.

– Matka się zmartwi, oj, zmartwi – mruknął ojciec. – Zwłaszcza, że Tom znalazł tak łatwo robotę.

– A może i nie dostał żadnej – powiedział Al. – Może też dopiero szuka. Co do mnie, to chciałbym dostać się do warsztatu samochodowego. Nauczyłbym się, co trzeba, piorunem, bo lubię chodzić koło maszyny.

Ojciec odchrząknął.

Wracali do obozu w milczeniu.

Gdy członkinie komitetu odeszły, matka usiadła na skrzynce przed namiotem Joadów i spojrzała na Rose of Sharon.

– Doprawdy – powiedziała – od lat nic mnie tak nie podniosło na duchu. No, czy nie miłe były te panie?

– Ja mam pracować w żłobku obozowym – oznajmiła Rose of Sharon. – Tak mi te panie powiedziały. Nauczę się pielęgnować niemowlęta, i już to będę umiała.

Matka kiwała z podziwem głową.

– Jakby to było dobrze, gdyby nasi mężczyźni dostali wszyscy pracę! – westchnęła. – Gdyby pracowali i kapnęło trochę grosza! – Oczy jej błędziły w przestrzeni. – Chodziliby do roboty, a my byśmy pracowały tu, w obozie, z tymi wszystkimi zacnymi ludźmi. Kiedy już trochę staniemy na nogi, to przede wszystkim postaram się o mały piecyk, i to porządny. Piecyki nie są drogie. A potem musimy sobie kupić większy namiot i może jakieś używane siatki pod materace. Pod starym namiotem już by się tylko jadło. W sobotnie wieczory będziemy chodzili na tańce. Podobno wolno zapraszać gości. Chciałabym, żebyśmy tu mieli w okolicy jakichś

przyjaciół, których można by zapraszać. Może mężczyźni poznają kogoś i zaproszą.

Rose of Sharon popatrzyła w uliczkę między namiotami.

– Idzie ta pani, która przepowiedziała, że poronię... – zaczęła.

– Skończ już z tym! – zgromiła ją matka.

Rose of Sharon dodała cicho:

– To ona. Zdaje się, że idzie tutaj. No tak! Idzie do nas. Niech jej mama nie pozwoli...

Matka odwróciła się i spojrzała na nadchodzącą.

– Dzień dobry! – odezwała się przybyła. – Nazywam się Sandry, Lisbeth Sandry. Poznałam dziś rano pani córkę.

– Dzień dobry pani! – pozdrowiła ją matka.

– Czy jest pani szczęśliwa w Panu?

– Tak, jestem szczęśliwa.

– Czy trwa pani w stanie łaski?

– Staram się żyć w zgodzie z Bogiem – odpowiedziała matka. Twarz jej była zamknięta i wyrażała rezerwę.

– Ach, to bardzo się cieszę – oświadczyła Lisbeth. – Tu w obozie roi się od grzeszników. Wpadłyście w gniazdo nieprawości. Wokoło nic, tylko wszeteczeństwo. Grzeszni tu ludzie, a występki tak się pleni, że prawdziwa owieczka Chrystusowa z trudem to znosi. Otaczają nas sami grzesznicy.

Matka zaczerwieniła się lekko i zacisnęła lekko wargi.

– A mnie się wydaje, że tu są dobrzy ludzie – odparła krótko.

Pani Sandry wytrzeszczyła oczy.

– Dobrzy! – krzyknęła. – Może wtedy, kiedy obłapiają się w grzesznym tańcu? Mówię pani, że pani dusza nie zasłuży w tym obozie na zbawienie. Wczoraj wieczorem poszłam na nabożeństwo do Weedpatch i wie pani, co powiedział pastor z ambony? „W tym obozie panoszy się zepsucie – powiada. – Ubogi dąży do bogactwa – powiada. – Tańczą i obłapiają się zamiast lamentować i kajać się za swoje grzechy. Ci, których nie widzę dziś w kościele, nie ujrzą królestwa bożego”, powiada. Słuchając go, lżej się robiło na duszy. Bo my jesteśmy wolni od grzechu. Nie chodzimy na te tańce.

Matka poczerwieniała. Podniosła się z wolna i stanęła twarzą w twarz z panią Sandry.

– Precz! – rozkazała. – Niech się pani zaraz wynosi, Żebym nie musiała zgrzeszyć i nie powiedziała, dokąd ma pani iść. Niech pani sobie sama jęczy i lamentuje.

Pani Sandry otworzyła szeroko usta. Cofnęła się o krok Po chwili wybuchnęła z wściekłością:

– Myślałam, że mam do czynienia z chrześcijankami!

– Bo też jesteśmy chrześcijankami.

– Nieprawda! Jesteście potępione grzesznice. Wszyscyście w pętach grzechu! Już ja powiem coś o was po nabożeństwie. Widzę, jak pani czarna dusza smaży się w piekle. Widzę, jak skwarzy się duszyczka niewinnego dziecka, które spoczywa w łonie tej młodej kobiety.

Z ust Rose of Sharon wyrwał się cichy jęk. Matka schyliła się i podniosła kij z ziemi.

– Wynosić się! – powtórzyła zimno. – Żebym tu pani więcej nie oglądała. Znam takie jak pani. To przyjemność dla pani dręczyć innych, co? – I natarła na panią Sandry.

Ta cofała się przez chwilę i nagle, odrzuciwszy głowę w tył, zawyla. Oczy jej stanęły w słup, ręce zwisły bezwładnie, z kącika ust sączył się strumyk gęstej, ciągliwej śliny. Wyła raz po raz, jak wyją zwierzęta – gardłowo i przeciągle. Z namiotów wybiegli mężczyźni i kobiety i stanęli nieopodal, wystraszeni i milczący. Wreszcie kobieta osunęła się z wolna na kolana, wycie jej przeszło w bełkotliwy, jęczący szloch. Padła bokiem na ziemię, ręce i nogi jej drgały konwulsyjnie, spod powiek widać było białka oczu.

Jakiś mężczyzna zauważył półgłosem:

– Duch! Duch w nią wstąpił!

Matka stała, patrząc na miotaną drgawkami postać. Ni z tego, ni z owego, jak gdyby przypadkowo, nadszedł kierownik obozu.

– Czy coś się tu stało? – zapytał.

Tłum rozstąpił się przed nim. Kierownik rzucił okiem na kobietę.

– Przykra historia. Może ktoś przeniesie ją do namiotu?

Ludzie w milczeniu przestępowali z nogi na nogę. Wreszcie dwóch mężczyzn schyliło się i dźwignęło nieprzytomną. Jeden wziął ją pod pachy, drugi za nogi. Ponieśli ją, za nimi powoli ruszył tłum. Rose of Sharon weszła pod płachtę i położyła się, nakrywając twarz kocem.

Kierownik obozu spojrzał na matkę, zerkając na kij w jej dłoni. Ze znużonym uśmiechem zapytał:

– Przyłożyła jej pani, co?

Matka nie spuszczała oczu z oddalających się ludzi. Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie... ale mało brakowało. Baba już dwa razy dziś rozdrażniła moją córkę; rady sobie z nią dać nie mogę.

– Tak, ale niech się pani hamuje. To chora kobieta. Pomieszało jej się w głowie. – I dodał przyciszonym głosem: – Chciałbym, żeby się wyniosła z całą swoją rodziną. Więcej z nią kłopotu niż ze wszystkimi innymi razem.

Matka opanowała się.

– Jak się tu jeszcze raz pokaże, dam jej chyba po łbie. Nie pozwolę, żeby dokuczała mojej córce.

– Proszę się o to nie martwić. Nie zobaczy już jej pani. Ona czepia się tylko nowo przybyłych. Nie wróci już tutaj, bo uważa panią za grzesznicę.

– Bo też jestem grzeszna – oświadczyła matka.

– A pewnie. Wszyscy grzeszą, ale nie tak, jak jej się wydaje. Jest pomyłona.

Joadowa spojrzała na niego z wdzięcznością i zawołała:

– Słyszysz, Rosasharn! To chora kobieta! Wariatka! – Lecz młoda kobieta nie podniosła głowy. – Muszę pana uprzedzić, że jeśli ona tu jeszcze raz przyjdzie, to nie odpowiadam za siebie. Dam jej po łbie.

Uśmiechnął się z przymusem.

– Rozumiem, co pani czuje. Ale niech pani stara się tego nie robić. O to tylko proszę, niech się pani hamuje.

Oddalił się powoli w stronę namiotu, do którego zaniecono panią Sandry.

Matka weszła do namiotu i usiadła koło Rose of Sharon.

– Podnieś głowę!

Młoda kobieta leżała wciąż nieruchomo. Matka zdjęła jej ostrożnie koc z twarzy.

– Przecież ta baba to wariatka. Nie trzeba się przejmować jej głupim gadaniem.

Rose of Sharon szepnęła z przerażeniem:

– Kiedy mówiła o piekle, czułam, że coś się we mnie pali.

– Et, pleciesz.

– Taka jestem zmęczona – szeptała Rose of Sharon. – Taka jestem tym wszystkim zmęczona. Chce mi się spać, tylko spać.

– No, to śpij. Tu jest dobrze. Możesz się wyspać.

– A co, jeżeli ona tu wróci?

– Nie, nie wróci – zapewniła matka. – Usiądę przed namiotem i nie wpuszczę jej. Odpocznij sobie, bo przecież niedługo masz pracować w żłobku.

Podniosła się z wysiłkiem i wyszła przed namiot. Usiadła na skrzyni, oparła łokcie o kolana, wspierając brodę na założonych dłoniach. Widziała ruch w obozie, słyszała głosy dzieci, odgłos uderzeń młotka w żelazną obręcz, lecz oczy jej były wciąż wpatrzone w dal.

Tak zastał ją ojciec. Przykucnął obok. Powoli skierowała wzrok w jego stronę.

– Dostaliście robotę? – zapytała.

– Nie – odparł zawstydzony. – Szukaliśmy na próżno.

– A gdzie są Al i John? Gdzie ciężarówka?

– Al coś tam naprawia. Musiał pożyczyć narzędzia. Dali mu, ale tylko na miejscu.

– Podoba mi się tutaj – westchnęła z żalem. – Dobrze byłoby побыć tu przez jakiś czas.

– Byle tylko trafiła się nam jakaś praca.

– No tak! Byle tylko była praca. – Wyczuł jej smutek i przyjrzał się uważnie jej twarzy. – Czemuś taka zafrasowana? Jeżeli ci się tu podoba, to po co się zamartwiać?

Popatrzyła na niego i przymknęła powoli oczy.

– Dziwisz się, co? Cały czas, kiedyśmy jechali i gdy przeganiano nas z jednego miejsca na drugie, nie trapiły mnie żadne myśli. A teraz, kiedy ludzie tutejsi są dla nas tacy pocziwi, tacy strasznie pocziwi, czy wiesz, co się ze mną dzieje? Wracają wszystkie smutki i zgryzoty, i noc, kiedy umarł dziadek i kiedy go pochowaliśmy. W drodze człowiek jechał wciąż naprzód, trząsł się na ciężarówce – wtedy nie było jeszcze tak źle. Ale odkąd jesteśmy tutaj, jest ze mną coraz gorzej. Bo to i babka, i Noah, co to sobie poszedł jakby nigdy nic. Ruszył w dół rzeki i tyleśmy go widzieli. Szło tak wszystko jedno po drugim, a teraz wraca w myśli. Babka skoła jak dziadówka i pochowaliśmy ją jak dziadówkę. Teraz dopiero to boli, strasznie boli. I ten Noah, co to sobie poszedł zwyczajnie w dół rzeki. Nie wiedział, co tam znajdzie. Nie wiedział. I my nie wiemy. Nie dowiemy się nawet, czy żyje, czy też zginął marnie. A teraz znowu Connie uciekł od nas cichaczem. Nie dopuszczałam do siebie tych myśli, ale teraz wszystkie

pchają się do głowy. A przecież powinnam być rada, bo zajęchaliśmy w takie miłe miejsce. – Ojciec nie odrywał oczu od ust matki. Powieki miała przymknięte. – Widzę jak dziś te góry za rzeką, która zwabiła Noaha, zaostrome niby zęby. Widzę ściernisko na ziemi, w której leży dziadek. Widzę nasz pień przed domem cały posiekany, czarny od krwi kurcząt, z przylepionym tu i ówdzie pierzem.

Głos ojca zabrzmiał tą samą nutą.

– A ja widziałem dziś dzikie kaczki – opowiadał. – Ciągnęły wysoko na południe. Wydawały się takie malutkie! Widziałem też kosy siedzące na drutach i gołębie, które poprzysiały na płotach.

Matka otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Widziałem małą trąbę powietrzną – mówił dalej – kręciła się po polu jak żywy człowiek. I te kaczki lecące na południe.

Matka uśmiechnęła się.

– Czy pamiętasz? – spytała. – Czy pamiętasz, jak to się rozmawiało w domu? „Będzie wczesna zima”, mówiliśmy, gdy odlatywały dzikie kaczki. Co roku powtarzaliśmy to samo, a zima i tak przychodziła wtedy, kiedy miała przyjść. A my przepowiadaliśmy rok w rok: „Będzie wczesna zima”. Zastanawiam się, dlaczego człowiek mówi wciąż w kółko to samo.

– Widziałem kosy na drutach – ciągnął dalej ojciec – jeden obok drugiego. I gołębie. Żaden ptak nie potrafi siedzieć tak nieruchomo jak gołąb na drucie – i to czasem po dwa naraz. A ta mała trąba powietrzna, wysokości człowieka, tańcząca po polu. Zawsze lubiłem na to patrzeć.

– Wołałabym nie myśleć już o domu. Bo to już nie nasz dom. Chciałabym o nim zapomnieć. I o Noahu.

– Nie był przy zdrowym rozumie... ale to moja wina.

– Prosiłam cię już, żebyś nigdy tego nie mówił. Kto wie, może inaczej wcale by nie żył.

– Ale ja powinienem był lepiej znać się na rzeczy.

– Daj spokój! Noah zachowywał się dziwnie. A może nad rzeką będzie mu dobrze. Może tak jest właśnie lepiej. Nie trzeba się zamartwiać. Tu dobrze trafiliśmy i może uda wam się prędko znaleźć pracę.

Ojciec wskazał na niebo.

– Patrz, znowu kaczki. Całe stado. Ano, „w tym roku będziemy mieli wczesną zimę”, matko.

Joadowa roześmiała się.

– Niejedno człowiek robi i sam nie wie dlaczego.

– O, jest i John! – zawołał ojciec. – Chodź tu i siadaj z nami.

Stryj John zbliżył się do nich i przykucnął naprzeciw matki.

– Nie powiodło się nam dziś – westchnął. – Tyle, żeśmy się przejechali. Słuchaj, Al chce z tobą mówić. Powiada, że musi mieć nową oponę. Twierdzi, że stara zdarta i że została tylko jedna warstwa tkaniny.

Ojciec wstał.

– Mam nadzieję, że to się da opędzić tanim kosztem. Gonimy już resztkami. A gdzie jest Al?

– Tam. Idź prosto do pierwszej przecznicy i skręć na prawo. Al mówi, że jeśli nie kupimy nowej opony, to stara trzaśnie i dętkę diabli wezmą.

Ojciec oddalił się, odprowadzając wzrokiem sunący po niebie klucz dzikich kaczek.

Stryj John podniósł z ziemi kamyk, upuścił go z ręki i znów podjął. Nie patrzył na matkę.

– Nie ma tu nigdzie roboty – powiedział.

– No, nie objechaliście jeszcze całej okolicy – pocieszała go.

– Nie, ale wszędzie powywieszali tablice z napisami, że nie potrzebują robotników.

– Tak, ale przecież Tom musiał dostać robotę. Nie wrócił od rana.

– A może też uciekł od nas, jak Connie i Noah – wyraził przypuszczenie stryj John.

Matka spojrzała na niego ostro, lecz zaraz wzrok jej złagodniał.

– Są rzeczy, które się wie na pewno. Człowiek jest ich pewny, i tyle. Tom dostał robotę i wróci wieczorem, jak amen w pacierzu. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Porządny chłopak z Toma, może nie? Chłopak jak złoto!

Do obozu zaczęły zjeżdżać samochody osobowe i ciężarówki. Mężczyźni mijali namiot Joadów, kierując się gromadnie ku barakowi sanitarnemu. Każdy z nich trzymał w ręku świeży kombinezon i czystą koszulę. Matka wyprostowała się.

– John, poszukaj ojca i idźcie razem do sklepu. Potrzebuję fasoli, cukru, kawałek mięsa na pieczeń i marchwi. Aha, i powiedz ojcu, żeby kupił coś dobrego. Cokolwiek, ale koniecznie coś dobrego. Dziś wieczorem musimy zjeść coś naprawdę dobrego.

Rozdział 23

Wędrowcy, uganiający się za pracą, walczący zaciekle o utrzymanie się przy życiu, wszędzie i zawsze wypatrywali zarazem rozrywki, szukali jej i wynajdowali ją sami, spragnieni zabawy. Niekiedy źródłem uciechy była gawęda i lada żart podnosił ludzi na duchu. W przydrożnych obozach, nad brzegiem rzeki, w cieniu sykomor przygodny gawędziarz stawał się ważną osobą; ludzie gromadzili się przy nędznym ognisku, by posłuchać jego opowieści, wtrącając swoje uwagi, co nadawało jej jakiś epicki ton.

Jako rekrut wojowałem z Indianami Geronima...

Ludzie słuchali, a w ich spokojnych oczach odbijały się blaski przygasającego ognia.

Chytrzy i zwinni jak węże byli ci Indianie, a kiedy chcieli, umieli się tak cicho ruszać, że wcale nie było ich słyszać. Umieli stąpać bezgłośnie po suchych liściach. Niech no który z was tak spróbuje...

Ludzie słuchali, odtwarzając sobie w pamięci szelest zeschniętych liści pod stopami.

Nadeszła jesień i niebo pokryło się chmurami. Zły to czas. Czy słyszeliście kiedy, żeby wojsko zrobiło coś jak należy? Nawet gdy ma wszystko, co potrzeba do zwycięstwa, to zawsze pokpi sprawę. Żeby dać radę stu zuchom, trzeba było wysłać trzy pułki – i to zawsze.

Ludzie słuchali, a ich twarze nieruchomiały pod wpływem natężonej uwagi.

Stał raz jeden śmiałek na samym szczycie, pod słońce. Wiedział, szelma, że widzimy go jak na dłoni. Rozłożył ręce i stoi jak słup. Zupełnie nagi. Kto go tam wie, może był pomyłony. Stał, rozłożywszy ręce, jak jakiś żywy krzyż. O czterysta metrów od nas. A nasi... no, nastawiają celowniki, pośliniwszy palce, sprawdzają, skąd wiatr wieje, a potem leżą i żaden nie strzela. Indianin pewno czuł coś przez skórę. Pewno czuł, że nie możemy strzelać. Leżeliśmy na ziemi z bronią w ręku i nikt się do niego nie

zmierzył. Patrzyliśmy, jak stał z przepaską na głowie i przypiętym do niej piórem. Widziałem go nagiego w słońcu. Leżeliśmy tak długo, bardzo długo, patrząc na niego, a on ani drgnął. Wtem nasz kapitan jak się nie wścieknie, jak nie wrzaśnie: „Strzelać, cholerne sukinsyny, strzelać!”. Nikt nie drgnął nawet. „Liczę do pięciu – powiada kapitan – a potem źle będzie z wami!”. Nie było rady, podnieśliśmy wolno karabiny i każdy czekał, że jego sąsiad pierwszy wystrzeli. Nigdy w życiu nie było mi tak markotno. Mierzyłem w brzuch, bo inaczej Indianina z nóg zwalić nie można. No i... chłop runął w dół i potoczył się jak kamień. Po chwili staliśmy już nad nim. Wcale nie był duży, tylko z daleka na szczycie wydawał się taki ogromny. A teraz był mały i posiekany na kawałki. Widzieliście kiedy bażanta, jaki jest piękny i godny, każde piórko jak malowane, nawet oczy jakby mu ktoś umyślnie wokoło przyozdobił. Aż tu naraz trach! Podnosi go człowiek skrwawionego, skręconego i czuje, że zniszczył coś, co było lepsze od niego samego. A potem je bażanta, ale w ten sposób nie odrobi tego, co się stało, nie naprawi tego, co sam w sobie zepsuł.

Ludzie przytakiwali głowami, a gdy z ogniska wystrzelił jaśniejszy płomień, widać było ich zamyślane oczy, wpatrzone jakby w głąb siebie.

Stał w słońcu, rozłożywszy ramiona. I wydawał się wielki jak sam Bóg.

Czasem znowu człowiek ważył w dłoni dwudziestocentówkę, namyślając się, czy wydać ją na rozrywkę, czy na jedzenie. W końcu szedł do kina, do Marysville lub do Tulare, do Ceres albo do Mountain View. A gdy wracał do obozu przy szosie, głowę miał nabitą tym, co widział. I opowiadał:

Pokazali takiego bogatego gościa, co udawał biedaka, i bogatą dziewczynę, co też odstawiała ubogą, i oboje spotkali się przy kiosku z hamburgerami.

Niby po co?

A bo ja wiem po co. Spotkali się, i tyle.

Dobrze, ale po licha udawali biedaków?

Bo niby sprzykrzyły im się bogactwa.

To ci dopiero lipa!

Chcecie słuchać czy nie chcecie?

Gadaj, gadaj dalej! Pewnie, że chcę posłuchać, ale jakbym ja miał dużo forsy, kupiłbym kupę kotletów wieprzowych, usiadłbym i zjadł jeden po drugim. Ale nic, opowiadaj dalej.

No więc on myślał, że ona jest biedna, a ona, że on nie śmierdzi groszem. Aż tu naraz i jego, i ją aresztują i prowadzą do kryminału. Siedzą w tej ciupie i nie starają się stamtąd wydostać, bo on się dowiedział, że ona jest bogata, a ona, że on udaje tylko biedaka. I był tam taki strażnik, co się znęcał nad nimi, bo myślał, że są biedni. Trzeba ci było widzieć, jak wyglądał, kiedy się dowiedział prawdy. O mało go szlag nie trafił! Tak się wszystko skończyło.

A za co ich wsadzili?

Dali się złapać na zebraniu jakichś tam radykałów, ale sami wcale nie byli radykałami. Wpadli całkiem przypadkowo. A wszystko dlatego, że on nie chciał żenić się z bogatą, a ona nie chciała gościa z pieniędzmi.

To dlatego, cholera, obełgiwali się od samego początku.

Ano, wyglądało na to, że robili coś dobrego.

A ja byłem kiedyś na filmie, w którym widziałem siebie innego i swoje życie, a może i coś trochę więcej niż tylko swoje życie.

No, ja tam mam własnych zmartwień dosyć, wolę od nich uciec i popatrzeć na cudze.

Pewnie, ale niech to będzie coś, w co można uwierzyć. Nic, opowiadaj dalej.

Bo widzicie, tamtych dwoje pobrało się w końcu i wtedy dowiedzieli się o sobie wszystkiego, a ludzie, co im dokuczali, mieli za swoje. Był tam jeden, co zadzierał przed nimi nosa, ale kiedy przyszedł do niego ten w cylindrze, to tamten o mało trupem nie padł. Jeszcze trochę, a szlag by go trafił. Była jeszcze kronika i pokazywali niemieckich żołnierzy, jak maszerują i wyrzucają nogi w górę. Można się było uśmieć.

I zawsze, jeśli tylko człowiek miał parę groszy, mógł się upić. Zacierały się wtedy wszystkie ostre kanty, robiło się cieplej. Nie czuło się osamotnienia, bo można było wyobrażać sobie, że się jest z przyjaciółmi, można było dopaść wreszcie i zniszczyć swoich wrogów. Siedziało się w rowie, a ziemia wydawała się przytulna i miękka. Niepowodzenia bladeły, przyszłość nie była już groźna. Głód czaił się wciąż w pobliżu, ale mimo to świat dokoła był piękny i wolny od trosk, a człowiek osiągał wszystko, do czego dążył. Gwiazdy w jakiś zadziwiający sposób błyszczały tuż nad nim, niebo było przychylne i łagodne. Śmierć stawiała się przyjaciółką,

siostrą snu. W pamięci wracały dawne czasy: dziewczyna o zgrabnych nogach, którą tam w domu widziało się raz tańczącą, koń... Jakież to odległe dzieje! Koń i siodło z wytłaczanej skóry. Kiedyż to było? Trzeba rozejrzeć się za dziewczyną, z którą można by pogadać. Przyjemnie jest z dziewczyną. Można się z nią i przespać. Ale tu ciepło! Gwiazdy są tuż-tuż, a smutek i rozkosz wydają się tak bliskie, że właściwie tworzą jedno.

Człowiek chciałby być zawsze pijany. Kto mówi, że to coś złego? Kto śmie powiedzieć, że to grzech? Pastorzy, ale ci upijają się też na swój sposób. Kościste, bezpłodne kobiety, zbyt nieszczęśliwe, by znać się na tym. Reformatorzy – ci znowu za mało sięgnęli w głąb życia, aby mogli coś o tym wiedzieć. Nie, gwiazdy są mi tak bliskie, że przyłączam się do bratniego związku światów. I wszystko jest święte – wszystko, nawet ja.

Organki to instrument łatwy do noszenia przy sobie. Wyjmuje się je z tylnej kieszeni spodni i uderza nimi o dłoń, by wytrząsnąć kurz, śmiecie i resztki tytoniu. Teraz można już zagrać. Można wydobyć z organków, co się zechce: cienkie, przenikliwe pojedyncze tony albo skomplikowane akordy, albo melodię z rytmiczną przygrywką. Można, stuliwszy dłonie, przytłumić dźwięki, by organki zawodziły i płakały jak dudy, lub dobyć z nich pełny, głęboki ton organów czy też ostry, przenikliwy głos góralskiej fujarki. Można grać, ile się chce, a potem schować instrument do kieszeni. Organki są zawsze pod ręką. Grając, człowiek uczy się bez niczyjej pomocy nowych sztuczek, nowych sposobów modulowania dłonią dźwięków, miarkowania tonu wargami. Dochodzi do tego po omacku – czasem, gdy w południe gra samotnie w cieniu drzewa, czasem po wieczornym posiłku, siedząc przed namiotem, gdy kobiety zmywają naczynia. Stopa wybija lekko takt o ziemię. Brwi wznoszą się i opadają rytmicznie. Jeśli zaś zgubi się organki lub popsuje, to i cóż – niewielka to strata. Nowe kosztują tylko ćwierć dolara.

Gitara jest już bardziej cennym instrumentem. Tu ani rusz bez nauki. Palce lewej ręki muszą mieć stwardniałe opuszki. Wielki palec prawej musi zrogowacieć. Rozciąga się palec lewej ręki, rozciąga niby łapy pajaka, aby stwardniałe koniuszki trafiwały na właściwe struny.

Ta gitara to jeszcze po ojcu. Byłem małym szczeniakiem, kiedy mi pierwszy raz pokazał, jak się bierze akord C-dur. A kiedy już grałem tak

dobrze jak on, wtedy rzadko brał gitarę do ręki. Lubił siadywać u drzwi, słuchać, jak gram, i wybijać takt nogą. Czasem próbowałem dobrać własną przygrywkę i wtedy siedział nachmurzony, póki mi się nie udało, a potem rozsiadał się wygodnie i kiwał głową. „Graj! – mówił. – Graj, a ładnie!”. To dobra gitara. Popatrz, jaki ma wytarty gryf. To milion granych na nim piosenek zużyło go i starło. Któregoś dnia pudło pęknie jak skorupa jajka. I nie ma na to rady – nie można tej gitary załatać ani dłubać przy niej, bo straci ton. Grywam na niej wieczorami, a obok w namiocie ktoś ma organki. Razem wychodzi to bardzo ładnie.

Skrzypce to rarytas i niełatwo nauczyć się grać na nich. Nie ma na nich progów, trudno o nauczyciela. Posłuchajcie, jak gra stary skrzypek, i spróbujcie zagrać tak samo. Za nic wam nie powie, jak podwajać tony. To jego sekret. Ale ja go podpatrzyłem. O, tak to robił!

Ton skrzypiec jest przenikliwy i ostry jak wiatr – szybki, nerwowy, cienki.

Te są niewiele warte. Dałem za nie dwa dolary. Opowiadał mi jeden gość, że są i takie skrzypce, co mają czterysta lat, i że z wiekiem dopiero nabierają wartości, jak whisky. Mówił, że takie skrzypce kosztują pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Bo ja wiem, czy to prawda. Wygląda to na jakąś blagę. A te moje stare skrzypce piszczą, że aż przykro słuchać. Chcecie zatańczyć? Natrę porządnie smyczek kalafonią. Ależ pisnęły! Słuchać je na milę.

Wieczorem trzej grajkowie grają razem – organki, skrzypce i gitara. Grają taniec szkocki, przytupując do taktu; niskie tony gitary tętnią jak serce, wtórują im ostre dźwięki organków i piskliwe zawrozczenie skrzypiec. Ludzie, chcąc nie chcąc, skupiają się wokół grajków. Nie potrafią oprzeć się muzyce. Teraz grają „taniec kogutów”, nogi same wybijają takt, i młody, szczupły elegant, zwiesiwszy luźno ramiona, robi trzy szybkie kroczki. Tworzy się zwarty taneczny krąg, zaczynają się pląsy, ziemia dudni głucho pod stopami. No, dalej, z przytupem! Włosy spadają na czoło, zdyszane piersi chwytają oddech.

Popatrzcie na tego chłopca z Teksasu: zgiał długie nogi i za każdym krokiem przytupuje cztery razy. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś tak wywijał. Patrzcie, jak kołysze tę indiańską, rumianą dziewczuszkę, która tańczy na palcach. Patrzcie, jak ona dyszy, jak tchu złapać nie może. Myślicie, że się zmęczyła? Że chciałaby wytchnąć? Gdzie tam! Chłopakowi

czupryna spadła na oczy, usta ma otwarte, ledwie dyszy, ale i tak, szelma, po każdym kroku przytupuje cztery razy i tańczy do upadłego.

Piskliwie zawodzą skrzypce, brzęczy gitara. Poczerwieniał na twarzy grajek od organków. Chłopak z Teksasu i indiańska dziewczyna dyszą jak zgonione psy, ale tupią aż dudni. Starzy stoją, klaszcząc w dłonie. Uśmiechają się i przytupują do taktu.

To było dawno w naszej wsi, tuż koło szkoły. Wielki księżyc wędrował na zachód. Szłam z nim razem kawałek drogi. Nie rozmawialiśmy, bo coś dusiło w gardle. Nie odzywaliśmy się do siebie wcale. Ledwie uszliśmy trochę, trafiliśmy na kopkę siana. Poszliśmy w tę stronę i położyliśmy się razem. Czy widzieliście, że ten chłopak z Teksasu zabrał dziewczynę i wyszedł z nią w pole? Myślą pewno, że nikt nie zauważył. Boże drogi, sama bym z nim poszła! Księżyc wzejdzie za chwilę. Patrzcie, ojciec tej dziewczyny już się ruszył, żeby ich zatrzymać, ale dał spokój. Zrozumiał, że to na nic. Nie można przecież zatrzymać wiosny, bo i tak musi nadejść po zimie, i nikt nie poradzi na to, że w drzewie krążą soki. A niezadługo wzejdzie księżyc.

Grajcie jeszcze... Zagrajcie starą piosenkę: *Kiedy chodziłam ulicami Laredo*.

Przypało ognisko. Po co rozpalać je na nowo? Stary pocziwy księżyc nie da na siebie długo czekać.

Nad rowem z wodą pastor wyłaził ze skóry, przyprawiając ludzi o łzy. Smagając ich ostrym głosem, miotał się tam i z powrotem jak tygrys, oni zaś leżeli plackiem na ziemi i zawodzili żałością. Nie odrywając od nich baczego spojrzenia i czekając na odpowiednią chwilę, robił z nimi, co chciał, gdy zaś już wszyscy wili się na ziemi, chwycił ze straszliwą siłą kolejno każdego w ramiona i z okrzykiem: „Przyjmij ich, Chryste!”, wrzucał do wody. A kiedy tkwili w niej po pas, spoglądając z lękiem na swego mistrza, pastor klękał na brzegu i modlił się za nich. Modlił się o to, by wszyscy ludzie mogli leżeć plackiem na ziemi i jęczeć płaczliwie. Modlitwie jego przyglądali się ociekający wodą mężczyźni i kobiety w mokrej, przylepionej do ciała odzieży. W trzewikach chlupotała im woda, gdy po powrocie do obozu, do swych namiotów, mówili cicho w nabożnym lęku: Jesteśmy zbawieni, jesteśmy czyści i biali jak śnieg. Nigdy już nie zgrzeszymy. A wystraszone, przemoczone dzieci szeptały między sobą: Jesteśmy zbawieni. Nie będziemy już grzeszyli.

Ja zaś pragnąlbym znać wszystkie grzechy, by móc je popełnić.

Wędrujący drogami ludzie szukali nieśmiało zabawy i rozrywki.

Rozdział 24

W sobotę rano pralnie były zatłoczone. Kobiety prały suknie z różowego perkalu i kwiecistych kretonów. Rozwieszały je w słońcu i rozciągały, żeby materiał ułożył się gładko. Gdy minęło południe, w obozie zapanował niezwykle ruch. Ludzi ogarnęło podniecenie. Udzieliło się ono i dzieciom hałasującym bardziej niż zwykle. Późnym popołudniem zaczynała się ich kąpiel. W miarę jak je kolejno łapano, poskramiano i szorowano, cichł stopniowo gwar na placu zabaw. Przed piątą dzieci były już umyte i zagrożono im karami, gdyby się ubrudziły. Snuły się więc w czystych ubrankach, sztywne, skrępowane i nieszczęśliwe.

Na wielkiej estradzie, gdzie miały się odbyć tańce, krzątał się komitet. Zarekwirowano każdy kawałek przewodu elektrycznego. W poszukiwaniu drutu spenetrowany został śmietnik, a wszystkie skrzynki z narzędziami zostały огоłocone z taśmy izolacyjnej. Nad estradą rozciągnięto następnie sztukowany, powiązany przewód, używając szyjek od butelek jako izolatorów. Tego wieczoruстрада miała być po raz pierwszy oświetlona. Około szóstej ściągnęli mężczyźni z pracy lub z poszukiwań pracy i nowa fala popłynęła w kierunku natrysków. O siódmej wszyscy już wstawali od kolacji. Mężczyźni mieli na sobie swoje najlepsze ubrania: świeżo uprane kombinezony, czyste niebieskie koszule, a niektórzy nawet odświeżone czarne garnitury. Dziewczęta przystroiły się w kolorowe sukienki, czyste i wyprasowane. W warkocze powplatały wstążki. Zatroskane matki przyglądały się swym rodzinom, zmywając naczynia. Na estradzie ćwiczyła orkiestra otoczona podwójnym murem dzieci. Ludzie byli niespokojni i podnieceni.

W namiocie przewodniczącego, Ezry Hustona, zebrał się pięcioosobowy komitet główny. Huston, wysoki, szczupły mężczyzna o twarzy spalonej wiatrem i małych, żywych oczach, przemawiał do uczestników zebrania, z których każdy reprezentował inną jednostkę sanitarną.

– Mamy cholerne szczęście, że nas uprzedzono o planie rozbicia zabawy. Przysadzisty, krępy przedstawiciel jednostki trzeciej wybuchnął:

– Myślę, że trzeba porachować im kości i dać im dobrą szkołę.

– Nie – sprzeciwił się Huston – bo o to im właśnie chodzi. Nie, nie. Jeżeli uda im się wywołać bójkę, zwali się nam na łeb policja. Powiedzą, że nie umiemy utrzymać porządku. To stary kawał – już go praktykowali w innych obozach. – Zwrócił się do melancholijnego, smagłego młodzieńca, delegata jednostki drugiej. – Zorganizowaliście tych chłopaków, którzy mają stróżować przy ogrodzeniu, żeby nikt obcy nie przekradł się do obozu?

Smętny młodzieniec skinął twierdząco głową.

– Tak. Dwunastu chłopów. Zapowiedziałem, żeby nikomu nie robili krzywdy. Za bramę, i tyle.

– Skoczcie do obozu i sprowadźcie tu Williego Eatona! To on jest przewodniczącym komitetu rozrywkowego, prawda?

– A on.

– Powiedzcie mu, że mamy z nim do pogadania.

Młodzieniec wyszedł z namiotu i po chwili wrócił w towarzystwie muskularnego chłopca. Willie Eaton, rodem z Teksasu, miał długą dolną szczękę, włosy koloru piasku, długie, luźno zwisające ręce i zgięte w kolanach nogi, a oczy mieszkańców Panhandle – szare i wyblakłe od słońca. Stał w namiocie, uśmiechając się i niespokojnie pocierając palcami przeguby rąk.

– Słyszeliście już, na co się dziś zanosi?

– A jakże! – rozpromienił się Willie.

– Zrobiliście coś na wszelki wypadek?

– A jakże!

– Gadajcie, co i jak!

Eaton uśmiechnął się pogodnie.

– Ano, komitet rozrywkowy składa się z pięciu ludzi. Dobrałem jeszcze dwudziestu – chłop w chłopca jak dęby. Będą tańczyć, ale oczy i uszy będą mieli otwarte na wszystko. Jak tylko coś zauważą, jakieś głośniejsze pyskowanie czy kłótnie, zaraz się tam zbiorą. Robota będzie czysta. Nikt nic nie zauważy. Wyjdą grzecznie razem z takim gościem i jazda z nim za bramę.

– Powiedzcie im, żeby nikomu nie robili krzywdy.

Willie roześmiał się wesoło.

– Powiedziałem już.
– No to wbijcie im do głowy, żeby się nie pomylili.
– Wiedzą wszystko na pamięć. Pięciu chłopaków będzie sprawdzało przy bramie, kto idzie na zabawę. Chcę mieć tamtych na oku, zanim zaczną jakąś awanturę.

Huston wstał. Jego stalowe oczy przybrały surowy wyraz.

– Słuchajcie no, Willie. Nie chcemy robić krzywdy tym bubkom. Za bramą przyczają się ludzie szeryfa. Niech kto komuś trochę krwi upuści, a policja zaraz go przyskrzyni.

– Obmyśliliśmy to dokładnie – tłumaczył Willie. – Będziemy facetów wyprowadzać tylną bramą w pole. A nasi chłopcy dopilnują, żeby nie zbłądzili.

– No, wygląda na to, że wszystko będzie jak należy – powiedział zatroskany Huston. – Ale starajcie się, Willie, nie dopuścić do awantury. Jesteście za to odpowiedzialni. Nie skaleczcie aby żadnego z tych drani. Żeby mi się nikt nie ważył sięgać po nóż, kij czy coś podobnego.

– Nie – zapewnił Willie – nie skaleczymy nikogo.

Huston wciąż jeszcze nie dowierzał.

– Chciałbym być pewien, że można wam zaufać, Willie. Jeżeli już koniecznie chcecie pracować, to walcie tak, żeby nie krwawili.

– Rozkaz! – odpowiedział Willie.

– Jesteście pewni swoich chłopaków?

– Tak jest.

– Dobrze. A jakby coś było nie w porządku, będę na estradzie w prawym rogu.

Willie zasalutował żartobliwie i wyszedł.

– Sam nie wiem, co o tym sądzić – powiedział Huston. – Miejmy nadzieję, że chłopcy Williego nie zakatrupią nikogo. I czegoż ta przekłeta policja tak nastaje na nasz obóz? Dlaczego nie zostawia nas w spokoju?

Melancholijny przedstawiciel jednostki drugiej odezwał się:

– Mieszkalem kiedyś w Sunland, w obozie tamtejszego Związku Rolników i Hodowców. Słowo daję, na każdych dziesięciu ludzi był tam jeden policjant! Ale na dwustu wypadał tylko jeden kran z wodą.

Przysadzisty delegat zawołał:

– Co mi będziecie opowiadali, Jeremy! Sam tam byłem. Robotnicy mieszkali w szałasach – trzydzieści pięć rzędów po piętnaście szałasów.

I na cały obóz musiało wystarczyć dziesięć latryn. Jechało z nich, cholera, na milę! Jeden z policjantów puścił przede mną farbę: „Najgorsze to te przeklęte rządowe obozy – powiada. – Daj raz hołocie ciepłą wodę w kranach, a zawsze będzie się o nią dopominać. Daj im klozety z wodą do spuszczenia, a już się bez nich nie obejdą. Dajcie coś takiego przybłedom z Oklahomy, a już niczym się nie zadowolą – powiada. – W tych obozach rządowych agituja i odbywaja wywrotowe zebrania. Wszystko po to tylko, żeby brać zapomogi dla bezrobotnych”.

– I nikt nie dał mu w pysk? – spytał Huston.

– Nie, ale znalazł się tam taki nieduży gość, który zapytał: „A co to za zapomoga?”. „A to te pieniądze, które my, podatnicy, wpłacamy na was, przeklętych Oklaków”. Na to ten mały: „My też płacimy przecież podatek, kupując na przykład benzynę, tytoń. – I dodał: – A farmerom rząd płaci cztery centy od funta bawełny. Czy to nie zapomoga? – I jeszcze mówi: – A koleje i towarzystwa żeglugi otrzymują od rządu subsydia, czy to też nie zapomoga?”. „Ale za to robią, co do nich należy” – mówi ten policjant. A na to tamten gość: „Gdyby nas nie było, kto by wam, u diabła, zbierał plony z pola?”.

Przysadzisty człowieczek rozejrzał się po słuchaczach.

– A co na to policjant? – zapytał Huston.

– Wściekł się i jak nie wrzaśnie: „To wy przekłeci czerwoni, ciągle siejecie zamęt! Chodź ze mną, bratku!”. Zabrali go i wlepili chłopu dwa miesiące kryminału za włóczęgostwo.

– Jak mogli go skazać za włóczęgostwo, kiedy miał pracę? – oburzył się Timothy Wallace.

Krępy delegat parsknął śmiechem.

– To wy jeszcze tego nie wiecie? Włóczęgą jest każdy, kto się nie podoba policji. I dlatego właśnie tak nie znoszą naszego obozu, że policja nie ma tu wstępu. Tu są Stany Zjednoczone, nie Kalifornia.

Huston westchnął.

– Chciałbym, żebyśmy mogli zostać tu dłużej. Ale rychło już przyjdzie ruszać w drogę. Podoba mi się tu. Ludziska żyli się z sobą. Czemuż, do licha, nie zostawia nas w spokoju, zamiast pchać w nieszczęście i pakować do więzienia? Będziemy musieli, u diabła, bić się z nimi, jeśli nie przestaną nas prześladować. – Opanował się i rzucił pod własnym

adresem upomnienie: – Musimy przede wszystkim zachować spokój. A już komitet w żadnym wypadku nie może sobie pozwolić na brak opanowania.

Tęgi przedstawiciel jednostki trzeciej oświadczył:

– Niektórzy wyobrażają sobie, że komitet ma święte życie. Niech spróbują sami! W moim baraku wywiązała się dziś bójka: kobiety skoczyły sobie do oczu. Zaczęło się od wymysłów, a skończyło na obrzucaniu się śmieciami. Komitet kobiecy nie mógł sobie dać rady i zwrócił się do mnie, żebym tę babską awanturę przekazał tutaj. Powiedziałem, że babskie spory to ich rzecz. Komitet główny nie ma czasu zajmować się tego rodzaju awanturami.

– Dobrzeście to załatwili – pochwalił go Huston.

Zapadł zmierzch. Im gęstsze stawały się ciemności, tym głośniejszemu zdawała się ćwiczyć orkiestra. Zabłyły światła i dwóch mężczyzn przystąpiło do kontrolowania połączanego przewodu nad estradą. Dzieci stłoczyły się ciasno wokoło grajków. Gitarzysta śpiewał piosenkę *Daleko od rodzinnych stron*, akompaniując sobie z cicha. W drugiej zwrotce przyłączyły się do niego skrzypki i trio organkowe. Ludzie napływali z namiotów ku estradzie – mężczyźni w czystych niebieskich ubraniach roboczych, kobiety w kolorowych kretonach. Podchodzili i zastygali w milczącym oczekiwaniu. Na ich rozjaśnione, przejęte twarze padał blask elektrycznych lampek.

Dokoła obozu ciągnęło się wysokie ogrodzenie z drutu. Wzdłuż płotu, co pięćdziesiąt stóp, czuwali w trawie wartownicy.

Teraz zaczęli zjeżdżać się samochodami goście: drobni farmerzy z rodzinami i przesiedleńcy z okolicznych obozów. Każdy nowo przybyły wymieniał przy bramie nazwisko mieszkańca obozu rządowego, który go zaprosił na zabawę.

Orkiestra podjęła melodię tańca szkockiego, grając teraz głośno, już nie na próbę. Członkowie sekty Miłośników Jezusa zasiedli przed swymi namiotami, obserwując surowymi, pełnymi wzdargi oczyma rozpoczynającą się zabawę. Nie zamieniając ze sobą ani słowa, czekali na grzeszne widowisko, a wyraz ich twarzy z góry wszystko potępił.

W namiocie Joadów Ruthie i Winfield połknęli śpiesznie skąpą kolację, by jak najprędzej pójść słuchać muzyki. Matka zawróciła ich, wzięła kolejno każde pod brodę, zadzierając im głowy do góry, zajrzała do nosa i do uszu, po czym odesłała oboje do umywalni, by jeszcze raz wyszorowali

sobie ręce. Ale Ruthie i Winfield wymknęli się cichaczem, przekradłszy się za budynkiem, i pognali ku estradzie, by tam przyłączyć się do dzieci stłoczonych dokoła orkiestry.

Al zjadł kolację i spędził pół godziny na goleniu się brzytwą Toma. Postanowił włożyć obcisły wełniany garnitur i koszulę w paski. Wykąpał się i wyszorował, a proste włosy zaczesał do tyłu. Gdy na chwilę znalazł się w umywalni sam, uśmiechnął się obiecująco do własnego odbicia w lustrze, po czym stanął bokiem, usiłując dojrzeć własny profil. Wsunął na rękawy koszuli czerwone gumki i włożył marynarkę. Kawałkiem papieru toaletowego wyczyścił żółte trzewiki. Dopiero gdy do umywalni wpadł jakiś spóźniony amator kąpieli, Al śpiesznie opuścił budynek i niedbałym krokiem podążył ku estradzie, zerkając po drodze na dziewczęta. W pobliżu estrady zauważył przystojną blondynkę siedzącą przed namiotem. Skręcił w jej stronę i rozpiął marynarkę, by pokazać koszulę w paski.

– Wybiera się pani na tańce? – zapytał. Dziewczyna spojrzała w bok, nie odpowiadając na pytanie. – Czy z panienką nie można porozmawiać? A może byśmy tak zatańczyli razem? – I dodał nonszalancko: – Umiem tańczyć nawet walca.

Dziewczyna podniosła nieśmiało oczy, mówiąc:

– Wielka mi rzecz, każdy potrafi tańczyć walca.

– Ale nie tak jak ja – zapewniał Al.

Muzyka zagrała głośniejsze, Al wybijał takt nogą.

– Chodźmy! – namawiał dziewczynę.

Z namiotu wysunęła głowę otyła kobieta i zmierzyła Ala wrogim spojrzeniem.

– Niech się pan stąd zabiera! – rzuciła gniewnie. – Dziewczyna jest zaręczona. Przyjdzie po nią jej chłopiec.

Al zrobił oko do dziewczyny i odszedł lekkim krokiem w takt muzyki, kołysząc się i wymachując rytmicznie rękami. Dziewczyna patrzyła za nim z zainteresowaniem.

W namiocie Joadów ojciec odstawił talerz i wstał, mówiąc:

– Chodź, John! – I wyjaśnił matce: – Idziemy do sąsiadów pogadać o robocie.

Skierowali się ku domkowi kierownika obozu.

Tom wytarł kawałkiem chleba sos z talerza i zjadł chleb. Potem podał talerz matce, która zanurzyła go w wiadrze z gorącą wodą i oddała Rose of

Sharon do wytarcia.

– A ty, Tom, nie idziesz na zabawę? – zapytała.

– Pewnie, że idę. Należę do komitetu. Mamy zabawić paru gości.

– To już cię wzięli do komitetu? Może dlatego, że od razu znalazłeś robotę.

Rose of Sharon odwróciła się, aby odstawić talerz. Tom wskazał na nią palcem.

– Patrzcie, ta Rosasharn to coraz grubsza! – zawołał.

Rose of Sharon zarumieniła się i wzięła następny talerz z rąk matki.

– Nic dziwnego – zauważyła Joadowa.

– I co dzień ładniejsza – dodał Tom.

Rose of Sharon spłoszyła jeszcze bardziej i spuściła głowę.

– Przestań – poprosiła cicho.

– Pewnie, że wyładniała – stwierdziła matka. – Kobieta zawsze ładniej, kiedy spodziewa się dziecka.

Tom roześmiał się.

– Jeśli brzuch nie przestanie jej rosnać, to trzeba będzie niedługo kupić taczki, żeby miała go na czym wozić.

– Dajże mi spokój! – powtórzyła Rose of Sharon i schroniła się do namiotu.

Matka roześmiała się cicho.

– Nie powinienes jej dokuczać.

– Kiedy ona to lubi.

– Może i lubi, ale trochę jej przykro. Zapłakuje się przecież za Conniem.

– Ano, zdaje się, że musimy położyć na nim krzyżyk. Chłop uczy się pewno teraz na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Nie rób jej przykrości. Niełatwe ją czeka życie.

Nadszedł Willie Eaton i spytał z uśmiechem:

– Czy to wy jesteście Tom Joad?

– Ja.

– Jestem przewodniczącym komitetu rozrywkowego. Będziecie nam potrzebni. Ktoś mówił mi o was.

– Chętnie wam pomogę. To moja matka.

– Uszanowanie pani – przywitał się Willie.

– Miło mi poznać pana – odparła Joadowa.

– Najpierw – mówił Willie – będziecie mieli dyżur przy bramie, a później na estradzie. Musicie się przyglądać wchodzącym gościom i mieć ich cały czas na oku. Będzie was dwóch. Potem chciałbym, żebyście tańczyli i wciąż mieli oczy otwarte.

– Dobra. Już ja wszystkiego dopilnuję.

– A nie zanosi się na jaką awanturę? – zaniepokoiła się matka.

– Nie, proszę pani – uspokoił ją Willie. – Nie będzie żadnej awantury.

– Nie ma mowy o żadnej awanturze – potwierdził Tom. – Już idę. Zobaczymy się na zabawie, mamó.

Obaj mężczyźni oddalili się śpiesznie w kierunku głównej bramy. Matka ustawiła wymyte talerze na skrzyni.

– Rosasharn! – zawołała. Nie doczekawszy się odpowiedzi, powtórzyła: – Chodź tu zaraz!

Młoda kobieta wysunęła się z namiotu i zabrała ponownie do wycierania naczyń.

– Tom tylko żartował.

– Ja wiem i wcale się na niego nie gniewam. Nie lubię tylko, jak mi się kto przygląda.

– Na to nie ma rady. Nie zamkniesz ludziom oczu. Jak zobaczą ciążarną kobietę, cieszą się, jakby ich kto na sto koni wsadził. Nie idziesz na tańce?

– Chciałabym... ale sama nie wiem. Żeby tak Connie tu był! – Głos jej się załamał. – Mamó, czemu on nie wraca? Nie mogę już wytrzymać.

Matka przyjrzała się jej badawczo.

– Wiem, Rosasharn. Ale... nie rób wstydu rodzinie.

– Przecież nie chcę tego wcale.

– No to nie rób nam wstydu. I bez tego mamy wszyscy kłopotów po uszy.

Wargi Rose of Sharon drżały.

– Ja... nie pójdę na zabawę. Nie mogłabym... mamó... niech mama mi pomoże!

Usiadła, kryjąc głowę w ramionach. Matka wytarła ręce w ścierkę od naczyń i przykucnęła przed córką. Położyła obie dłonie na jej włosach.

– Jesteś dobre dziecko – mówiła. – Zawsze byłeś dobrym dzieckiem. Nie dam ci zrobić krzywdy. Nie martw się, kochanie. – I dodała z ożywieniem: – Wiesz, co zrobimy? Pójdziemy na zabawę, siądziemy sobie i będziemy się przyglądać. Jeżeli cię ktoś zaprosi do tańca, powiem, żeś słaba, że się źle czujesz. A ty sobie posłuchasz muzyki i rozerwiesz się trochę.

Rose of Sharon podniosła głowę.

– I nie pozwoli mi mama tańczyć?

– Nie, nie pozwolę.

– I nie pozwoli mama, żeby mnie kto dotknął?

– Nie, nie pozwolę.

Młoda kobieta westchnęła i jęknęła z rozpaczą.

– Sama nie wiem, co zrobić, mamo! Nie wiem, i tyle.

Matka poklepała ją po kolanie.

– Słuchaj, Rosasharn! Posłuchaj, coś ci powiem. Jeszcze trochę, a wszystko będzie dobrze. Już niedługo. Zobaczysz. A teraz chodź. Umyjemy się, włożymy ładne sukienki i posiedzimy na zabawie. – I poprowadziła Rose of Sharon w kierunku baraku sanitarnego.

Ojciec i stryj John przykucnęli w grupie mężczyzn koło ganku przed biurem.

– O mały włos nie dostaliśmy dziś roboty – mówił ojciec. – Spóźniliśmy się zaledwie o parę minut. Wzięli dwóch przed nami. I wiecie, dziwna rzecz. Wyszedł taki zarządca i powiada: „Właśnie zaangażowaliśmy dwóch ludzi po dwadzieścia pięć centów za godzinę. Moglibyśmy przyjąć was więcej, ale po dwadzieścia centów za godzinę. I to dużo robotników. Wracajcie do obozu i powiedzcie, że zatrudnimy więcej ludzi po dwadzieścia centów za godzinę”.

Grupa mężczyzn poruszyła się niespokojnie. Barczysty chłop o twarzy ukrytej całkowicie w cieniu czarnego kapelusza trzepnął się dłonią w kolano.

– Znam to, psiakrew! – krzyknął. – I dostanę robotników! Naciągną głodnych. Dwadzieścia centów za godzinę to płaca, za którą nie utrzymasz rodziny, ale nie ma rady. Trzymają nas, dranie, w garści. Istna licytacja – kto weźmie mniej. Doprowadzą jeszcze do tego, że każą nam dopłacać do roboty.

– A my wzięlibyśmy tę robotę – mówił ojciec – bo nie mamy żadnej. Wzięlibyśmy, ale było tam paru gości, co tak na nas patrzyli, że strach nas obleciał.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu podjął na nowo:

– Gdy się o tym myśli, to można zwariować. Pracowałem u jednego gościa, co nie mógł skończyć żniw. Kosztowało go to więcej, niż dostanie za zbiory. Chłop sam nie wiedział, co robić.

– Wydaje mi się... – odezwał się ojciec i urwał. Krąg słuchaczy czekał w milczeniu na to, co powie. – Ano, myślałem sobie, że gdyby się tak miało kawałek gruntu. Żona uprawiałaby trochę warzyw, hodowałaby parę świń, kury. My, mężczyźni, moglibyśmy chodzić do pracy i wracać co dzień do domu. Dzieciaki biegałyby do szkoły. Nigdy nie widziałem takich szkół jak tutaj.

– Naszym dzieciom nie jest dobrze w tych szkołach – zauważył mężczyzna w czarnym kapeluszu.

– Dlaczego? Budynki ładne, jak się patrzy.

– No tak, ale obdarty brzdąc bez butów dostaje się między dzieci w skarpetkach i w ładnych spodenkach. Wrzeszczą za nim: „Oklak!”. Mój synek chodził do takiej szkoły. Codziennie staczał bójkę. I to on był w nich górą. Zuch smarkacz! Co dzień musiał się bić. Wracał do domu w podartym ubraniu i z zakrwawionym nosem. Matka łoła mu za to skórę. Musiałem jej zabronić. To już byłoby za dużo, żeby od wszystkich, biedak, obrywał. Niektórym z tych cholernych elegancików pokazał, gdzie raki zimują. Diabli wiedzą, co robić!

– Dobrze, ale co, psiakrew, ja mam począć?! – wybuchnął ojciec. – Nie mamy już grosza przy duszy. Jeden z moich synów znalazł zajęcie, ale z tego nie wyżyjemy. Pójdę i zgodzę się na dwadzieścia centów. Nie ma innej rady.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu podniósł głowę. Światło padło na jego szczeciniastą brodę i na żyłastą szyję, obrośniętą jak futrem kępkami włosów.

– Tak – powiedział z goryczą. – Weźmiecie robotę. A ja pracuję za dwadzieścia pięć centów. Weźmiecie moją robotę za dwadzieścia centów. A ja, jak mnie głód przycisnie, wezmę ją za piętnaście. Jazda! Łapcie się za tę robotę.

– No, a co, do pioruna, mam robić?! – zawołał ojciec. – Nie mogę przecież zdychać z głodu dlatego, że wy musicie mieć dwadzieścia pięć centów za godzinę.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu spuścił znów głowę i broda jego pograżyła się w cieniu.

– Nie wiem – odparł. – Nie mam pojęcia. I tak człowiekowi ciężko harować po dwanaście godzin na dobę i nigdy nie najeść się do syta, a tu jeszcze ciągle myśl i kombinuj. Dziecko też głodne. Już mi się nie chce medytować, do diabła! Od tego wszystkiego kręcka można dostać.

Mężczyźni przestępowali niespokojnie z nogi na nogę.

Tom stał przy bramie i obserwował przybywających na tańce gości. Twarze wchodzących oświeślał blask reflektora.

– Mieście oczy szeroko otwarte! – przykazywał Willie Eaton. – Przyślę wam Jule Vitełę do pomocy. To półkrwi Indianin. Porządny chłop. Uważajcie i starajcie się wyłowić tych drani.

– Dobra! – odpowiedział Tom.

Przyglądał się wchodzącym w bramę rodzinom farmerskim – dziewczętom z włosami zaplecionymi w warkocze, wyelegantowanym do tańca chłopakom. Nadszedł Jule i stanął obok niego.

– Mam tu być z wami – oświadczył.

Tom rzucił okiem na krogulczy nos, wydatne kości policzkowe pod ciemną skórą i nieco cofniętą brodę.

– Podobno jesteście półkrwi Indianinem, ale wyglądacie na całego.

– Nie – zaprzeczył Jule – mam tylko pół krwi indiańskiej w sobie. Ale wolałbym być Indianinem pełnej krwi. Miałbym wtedy własny kawałek ziemi w rezerwacie. Niektórym powodzi się tam wcale nie najgorzej.

– Przypatrujmy się ludziom – przypomniał Tom.

Przez bramę napływały rodziny farmerskie i koczownicy z przydrożnych obozowisk. Dzieci wyrywały się rodzicom, którzy usiłowali je przytrzymać.

– Dziwna rzecz z tymi zabawami – zauważył Jule. – Nasi ludzie są goli jak święci tureccy, ale już to samo, że mogą tu zaprosić przyjaciół na tańce, podnosi ich na duchu i wbija w dumę. I ludzie okoliczni szanują nas właśnie z powodu tych zabaw. Pracowałem u jednego farmera, z tych biedniejszych. Przyszedł kiedyś do nas na tańce. Sam go zaprosiłem i przyjął zaproszenie. Mówił potem, że na całe hrabstwo tylko u nas można się przyzwolicie zabawić i przyprowadzić żonę z córkami. Uwaga! Przyjrzyjcie no się dobrze!

W bramę wchodzili właśnie trzech młodzi ludzie – robotnicy w dżinsach. Trzymali się razem. Wartownik zadał im jakieś pytanie. Rzucili odpowiedź

i weszli do obozu.

– Nie spuszczajcie ich z oka – doradził Jule i poszedł do wartownika.

– Kto zaprosił tych trzech? – zapytał.

– Facet nazwiskiem Jackson, jednostka czwarta.

Jule wrócił do Toma.

– Założę się, że to właśnie ci, o których nam chodzi.

– Skąd wiecie?

– Nic nie wiem. Po prostu czuję przez skórę. Wygląda na to, że mieli trochę pietra. Idźcie za nimi i powiedzcie Williemu, żeby miał ich na oku i sprawdził u Jacksona z jednostki czwartej, czy ich zapraszał. Niech zbada, czy goście są w porządku. Ja tu zostanę.

Tom ruszył za trzema młodymi mężczyznami. Przybysze zbliżyli się do estrady i stanęli spokojnie w pierwszym rzędzie wśród zgromadzonego tłumu. Tom dostrzegł Williego koło orkiestry i skinął na niego.

– Co się stało?

– Widzicie tych trzech – o, tam?

– Widzę.

– Powiedzieli, że zaprosił ich jakiś Jackson z jednostki czwartej.

Willie wyciągnął szyję jak żuraw, dojrzał Hustona i zawołał na niego.

– Chodzi o tych trzech – wyjaśnił. – Trzeba poszukać Jacksona z jednostki czwartej i dowiedzieć się, czy ich zapraszał.

Huston zawrócił na pięcie i odszedł. Po chwili zjawił się w towarzystwie chudego, kościstego mężczyzny pochodzącego z Kansas.

– To właśnie Jackson – powiedział Huston. – Słuchajcie, Jackson, widzicie tych trzech młodych ludzi?

– Ano, widzę.

– Czy to wy ich zaprosiliście?

– Ani mi się śniło.

– A widzieliście ich kiedy przedtem?

Jackson przyjrzał się uważnie.

– A jakże! Pracowałem z nimi u Gregoria.

– No to znali wasze nazwisko?

– Pewnie. Pracowaliśmy razem.

– W porządku – powiedział Huston. – Nie zbliżajcie się do nich. Jeżeli zachowają się jak należy, to ich nie wyrzucimy. Dziękuję wam, Jackson.

– Dobra robota – pochwalił Toma. – Myślę, że to właśnie ci dranie.

– To Jule ich wypatrzył.

– Nic dziwnego, do diabła! – zaśmiał się Willie. – Odezwała się w nim indiańska krew. Muszę ich pokazać naszym chłopakom.

Przez tłum przecisnął się pędem szesnastoletni wyrostek i stanął zdyszany przed Hustonem.

– Panie Huston – meldował – byłem tam, gdzie pan kazał. Pod eukaliptusem zatrzymał się samochód z sześcioma ludźmi, a na szosie północnej stoi wóz z czterema. Poprosiłem ich o zapalki. Mają karabiny. Widziałem na własne oczy.

Twarz Hustona przybrała twardy i okrutny wyraz.

– Willie – dopytywał się – czy aby na pewno macie wszystko w pogotowiu?

Willie uśmiechnął się wesoło.

– Niech pan będzie spokojny, panie Huston. Awantury nie będzie.

– Tylko nikomu nie zróbcie krzywdy. Pamiętajcie! Jeśli się da, trzeba wszystko załatwić grzecznie i po cichu. Chciałbym ich zobaczyć. Będę u siebie w namiocie.

– Zrobimy, co się da – zapewnił Willie.

Dotychczas jeszcze zabawa nie rozpoczęła się na dobre. Teraz dopiero Willie wszedł na pomost i zawołał:

– Proszę ustawić się do tańca!

Muzyka przestała grać. Chłopcy i dziewczęta, mężczyźni i kobiety nadbiegli ze wszystkich stron i po chwili na szerokiej podłodze utworzyło się osiem grup tanecznych oczekujących na hasło. Dziewczęta wysuwały przed siebie ręce i poruszały palcami. Chłopcy przytupywali niecierpliwie.

Wokoło estrady rozsiedli się starsi. Uśmiechali się z lekką, powstrzymując dzieci, by nie przeszkadzały tańczącym. Miłośnicy Jezusa przypatrywali się z daleka grzesznemu widowisku. Twarze ich były zacięte, pełne potępienia.

Matka i Rose of Sharon usadowiły się na ławce i przyglądały zabawie. Gdy podchodził jakiś chłopiec i prosił młodą kobietę do tańca, matka odpowiadała:

– Nie, córka źle się czuje.

Rose of Sharon czerwieniła się. Oczy jej błyszczały. Tymczasem wodzirej wystąpił na środek parkietu i podniósł ręce.

– Gotowe? No to zaczynamy.

Orkiestra ucięła „taniec kogutów”. Rozbrzmiała żywa, głośna muzyka: skrzypce zawodziły przenikliwie, organki wydawały nosowe, ostre tony, gitary wybijały takt na basowych strunach. Pod komendą wodzireja figury zmieniały się co chwila, grupy taneczne były stale w ruchu.

– Do przodu! Do tyłu! Kółeczko! A teraz parami! – Porwany zapalem wodzirej przytupywał, przemierzał estradę wielkimi krokami, pokazując tańczącym zapowiadane figury. – Lekko, lekko!

Muzyka rosła i przycichała, rytmiczny łomot trzewików o deski podłogi brzmiał jak werbel.

– Panie w prawo! Panowie w lewo! I plecami do siebie!

Głos wodzireja rozbrzmiewał wysoką, wibrującą, monotonną nutą. Starannie uczesane włosy dziewcząt były teraz w nieładzie. Na czoła chłopców wystąpił pot. Zawołani tancerze popisywali się wymyślnymi sztuczkami. A starsi, którzy obsiedli estradę, przytupywali i klaskali lekko do taktu. Uśmiechali się łagodnie, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i kiwali głowami.

Matka pochyliła się do ucha Rose of Sharon.

– Może mi nie uwierzysz, ale za naszych młodych lat twój ojciec był najlepszym tancerzem w okolicy. – Uśmiechnęła się. – Przypominają mi się dawne, dobre czasy – dodała.

Uśmiechnięte twarze tych, co przypatrywali się tańcom, świadczyły, że i oni wspominają dawne, dobre czasy.

– Lat temu ze dwadzieścia w okolicy Muskogee był ślepy skrzypek...

– Widziałam kiedyś gościa, który w jednym podskoku potrafił cztery razy stuknąć obcasami.

– A wiecie, co czasem robią Szwedzi w Dakocie? Posypują podłogę pieprzem. Pieprz dostaje się tancerkom pod spódnice, a wtedy w dziewczęta wstępuje ogień. Hasają jak rozbrykane młode klacze. Szwedzi robią tak czasem.

Miłośnicy Jezusa pilnowali swych dzieci, które nie mogły usiedzieć na miejscu.

– Patrzcie na tych grzeszników! – mówili. – Wszyscy pojadą na ożogu do piekła. To hańba, że pobożni ludzie muszą patrzeć na takie zgorszenie.

Dzieci milczały i kręciły się niespokojnie.

– Jeszcze raz dokoła, a potem krótki odpoczynek! – zawołał wodzirej. – Z życiem, proszę państwa, bo zaraz przerwa!

Spocone, zarumienione dziewczęta tańczyły z rozchylonymi ustami, twarze ich pełne były powagi i nabożeństwa. Chłopcy odrzucali w tył bujne czupryny, wybijali hołubce i trzaskali obcasami. Krąg taneczny sunął to w przód, to w tył, krzyżował się, zawracał, wirował, a muzyka wciąż zawodziła przenikliwie.

I nagle wszystko ucichło. Tancerze znieruchomieli, dysząc ciężko ze zmęczenia. Dzieci wyrwały się starszym, wpadły na estradę, zaczęły gonić się jak szalone, biegać, przemykać się, wydzierać sobie czapki i ciągnąć się za włosy. Tancerze usiedli i wachlowali się rękami. Grajkowie wstali, przeciągnęli się i usiedli z powrotem. Gitarzyści brzękali cicho w struny.

I znów rozległ się głos Williego:

– Wybieramy nowe partnerki! Panowie proszą panie!

Młodzi ludzie porwali się na nogi. Nowi tancerze dali nurka w tłum, by wyłowić sobie partnerki. Tom stał w pobliżu trzech podejrzanych gości. Zauważył, że przepychają się przez tłum na estradzie ku jednej z tworzących się grup tanecznych. Dał ręką znak Williemu. Wodzirej szepnął coś skrzypkowi. Grajek pociągnął gwałtownie smyczkiem po strunach. Przez estradę ruszyło powoli dwudziestu młodych ludzi. Tymczasem trójka nieznajomych podeszła do tanecznego koła. Jeden z nich powiedział:

– Ja zatańczę z tą dziewczyną.

Jasnowłosego chłopiec podniósł zdumione oczy:

– Przecież to moja partnerka.

– Nie stawiaj się, szczeniaku!

Gdzieś daleko w ciemności rozległ się przeraźliwy gwizdek. Ale trzech intruzi zostali już otoczeni. Każdy z nich poczuł, że trzymają go krzepkie ręce. Po chwili zwarty mur mężczyzn opuścił wolno estradę.

Willie wrzasnął:

– Zaczynamy!

Znów popłynęły przenikliwe tony muzyki, wodzirej zapowiadał figury, stopy tancerzy dudniły po podłodze.

Do bramy obozowej podjechał samochód turystyczny. Kierowca zawołał:

– Otwierać! Podobno tu u was bijatyka!

Wartownik nie ruszył się z miejsca.

– Nie ma żadnej bijatyki. Słyszycie muzykę? Coście za jedni?

- Policja.
- Macie nakaz na piśmie?
- Nie potrzebujemy nakazu, skoro w obozie zaczęła się draka.
- Nikomu się tu nie śniło o żadnej drace – powtórzył wartownik.

Pasażerowie samochodu słuchali przez chwilę muzyki i nawoływań wodzireja, po czym wóz odjechał powoli, zatrzymał się na rozstaju i czekał.

Trzej młodzi ludzie, wleczeni przez otaczającą ich eskortę, nie mogli się ruszyć ani wydać głosu. Ręce ich były skrępowane, a na ustach spoczywała przyciskająca je dłoń. Gdy znaleźli się w ciemnościach, eskorta rozstała się.

– Dobrze udało się nam robota – odezwał się Tom. Trzymał swą ofiarę z tyłu za wykręcone ramiona.

Od estrady nadbiegł ku nim Willie.

– Dzielnieście się spisali, chłopaki – pochwalił. – Wystarczy was tu teraz sześciu. Huston chce zobaczyć tych gagatków.

W tej samej chwili przewodniczący komitetu wynurzył się z ciemności.

– To ci?

– Ci sami – zapewnił Jule. – Próbowali szukać zaczepki. Ale nie zdążyli nawet palcem kiwnąć.

– Przyjrzyjmy się im.

Postawiono więźniów twarzą do Hustona. Głowy mieli spuszczone. Huston kierował kolejno snop światła latarki na ponure twarze.

– Dlaczego chcieliście to zrobić?

Nie było odpowiedzi.

– Kto, u diabła, was do tego namówił?

– Przecieżeśmy nic nie zmalowali, do cholery! Chcieliśmy tylko potaćzyć.

– Łżesz, bracie – wtrącił się Jule. – Chcieliście zbić Bogu ducha winnego chłopaka.

– Panie Huston – dodał Tom – w tej samej chwili, kiedy ci goście próbowali wszcząć awanturę, ktoś dał sygnał gwizdkiem.

– Tak, wiem. I zaraz pod bramą zjawiała się policja. – Odwrócił się do więźniów. – Nie zrobimy wam krzywdy. Powiedzcie tylko, kto was namówił, żebyście rozbili naszą zabawę? – Cekał chwilę na odpowiedź. –

Jesteście z naszych ludzi – zauważył ze smutkiem. – Należycie do nas. Jak mogliście tu przyjść? Bo przecież my wiemy, kto was nasłał.

– E, co tam, cholera! Człowiek musi przecież żyć!
– Ale kto was przysłał? I kto wam za to zapłacił?
– Nic nam nie zapłacili.
– I nie zapłacą. Nie udała się awantura, nie będzie zapłaty. Mam rację czy nie?

Jeden z zatrzymanych ludzi warknął:

– Róbcie z nami, co się wam podoba. I tak wam nic nie powiemy.

Huston zwiesił na chwilę głowę. Potem powiedział cicho:

– Dobrze. Nie mówcie nic. Ale słuchajcie! Nie dźgajcie nożem własnych braci. Próbuje tu sobie jakoś radzić, bawimy się i sami pilnujemy porządku. Nie psujcie nam wszystkiego. Zastanówcie się trochę. Robicie krzywdę nie tylko nam, ale i sobie... Jazda, chłopcy! Przesadzić ich przez ogrodzenie. I niech im włos z głowy nie spadnie. Sami nie wiedzą, co robią.

Eskorta wraz z więźniami ruszyła powoli ku tyłom obozu. Huston odprowadził wzrokiem oddalających się.

– Wlepmy im przynajmniej po jednym porządnym kopniaku na drogę – zaproponował Jule.

– Nie, nawet nie próbujcie! – zawołał Willie. – Dałem słowo, że ich nie tkniemy.

– Choć jednego małego kopniaczka! – błagał Jule. – Tylko tyle, żeby pomóc im wydostać się za płot.

– Nie, nie – sprzeciwił się stanowczo Willie i zwrócił się do jeńców: – Słuchajcie! Tym razem puszczamy was cało. Ale zapamiętajcie sobie raz na zawsze: jeżeli coś podobnego kiedykolwiek się jeszcze powtórzy, pokażemy wam, gdzie raki zimują, i porachujemy wszystkie kości. Wszystko jedno, kto się zjawi. Powiedzcie to waszym. Huston powiada, żeście z naszych ludzi – możliwe. Ale mnie się rzygać chce na sam wasz widok.

Zbliżyli się do ogrodzenia. Dwaj wartownicy podnieśli się i podeszli ku nim.

– Mamy tu gości, którzy chcą wcześniej iść do domu – wyjaśnił Willie.

Trzej młodzi ludzie przeleźli przez płot i zniknęli w ciemnościach.

Eskorta wróciła śpiesznie na estradę. Orkiestra wyciągała właśnie i zawodziła melodię piosenki o starym Danie Tuckerze.

Opodał, przed domkiem, w którym mieściło się biuro, ciągle jeszcze gawędzili przykucnięci na ziemi mężczyźni. Przenikliwe tony muzyki docierały aż do nich.

– Idą zmiany – mówił ojciec. – Nie wiem jakie. Może my już ich nie dożyjemy. Ale coś się zmienia. Coś wisi w powietrzu. Człowiek sam nie wie co, taki jest niespokojny.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu podniósł znowu głowę, światło padło na jego szczeciniastą brodę. Zebrał z ziemi kilka kamyczków i podrzucał je wielkim palcem.

– Nie wiem. Ale macie rację, coś się święci. Jeden gość opowiadał mi, co się wydarzyło w Akron, w stanie Ohio. Są tam te spółki gumowe. Naściągały ludzi z górskich okolic, bo liczyły, że to tani robotnik. A górale, nie w ciemną bici, zapisali się do związku zawodowego. No i wtedy dopiero zaczęło się piekło! Wszyscy sklepikarze, weterani z Legionu i inne dranie zapisali się na ćwiczenia z bronią i wszyscy huzia na „czerwonych”. Chcieli wyrzucić związek z Akron. Pastorzy pyskowali na kazaniach, gazety ujaśniały. Spółki gumowe rozdawały swym ludziom trzonki od oskardów i bomby łzawiące. Myślałby kto, że ci górale to diabły wcielone! – Zamilkł i poszukał sobie nowych kamyczków do zabawy. Potem ciągnął: – No więc, działo się to w marcu tego roku. Pewnej niedzieli pięć tysięcy górali wybrało się za miasto na zawody strzeleckie. Pięć tysięcy górali, chłop w chłopa, przemaszerowało przez miasto z karabinami. Odbyli zawody, a potem wracając, przedefilowali znowu ulicami. I to wszystko. Wiecie, odtąd jakby kto makiem posiał. Komitety obywatelskie pozwracały trzonki od oskardów, sklepikarze przycupnęli po sklepikach. Od tego czasu nikt nie oberwał pałką po łbie, nikogo nie wytarzano w smole i pierzu, nikogo nie zakatrupiono.

Zapadło długie milczenie, które przerwał znowu mężczyzna w czarnym kapeluszu.

– Tutejsi dranie też pozwalają sobie na coraz więcej. Spalili tamten obóz i pobili ludzi. Więc pomyślałem sobie: wszyscy ci ludzie mają karabiny. A gdyby tak założyć bractwo kurkowe i co niedzielę urządzać zawody strzeleckie?

Mężczyźni spojrzeli na niego, po czym wbili wzrok w ziemię, przestępując niespokojnie z nogi na nogę.

Rozdział 25

Piękna jest wiosna w Kalifornii. Doliny, w których kwitnące sady są jak wonne, różowe i białe fale płytkiego morza. Pierwsze zielone pędy, wyrastające ze starych, sękatych winorośli i spływające kaskadą po pniach. Zielone pagórki o łagodnych zboczach, krągłe i miękkie jak piersi kobiece. Na płaskich terenach, przeznaczonych pod uprawę warzyw, długie na milę rzędy bladozielonej sałaty, małych, zawiązujących się dopiero kalafiorów i dziwacznych karczochów o szarozielonej barwie.

Potem na gałęziach pokazują się pierwsze listki, a w sadach opadają z drzew płatki kwiatów, pokrywając ziemię białoróżowym dywanem. Zawiązki owoców nabrzmiewają, rosną, nabierają koloru: wiśnie i jabłka, brzoskwinie, gruszki, figi – wszystko to powstaje z kwiatów. Cała Kalifornia pulsuje dojrzewaniem: owoce na drzewach stają się coraz cięższe, gałęzie uginają się, trzeba je więc podtrzymać i podeprzeć palikami.

Całe to bogactwo to wynik rozumu i wiedzy znających się na rzeczy ludzi, dokonujących doświadczeń z nasionami i nieprzerwanie doskonalących technikę osiągania coraz wyższych zbiorów z drzew, które muszą bronić się przed milionem wrogów: kretami, owadami, rdzą, grzybkami. Niestrudzeni ci ludzie troszczą się o uszlachetnianie nasion i uodpornianie korzeni. Inni znów, chemicy, spryskują drzewa, by bronić je przed zniszczeniem, okadzają siarką winorośle, zwalczają pleśń, próchnienie i inne schorzenia. Ci doktorzy w dziedzinie lecznictwa zapobiegawczego, owa straż graniczna wypatruje muchy żerujące na owocach i chrabąszcze japońskie, ci ludzie wiedzy poddają chore drzewa kwarantannie, a w razie potrzeby wykopują je z korzeniami i palą. Inni, najbardziej biegli i zręczni, szczepią młode drzewka i winorośle; ich praca to praca chirurgów, precyzyjna, dokładna. Aby nacinać korę, umieszczać pod nią młode szczepionki, przewiązywać rany, chronić je przed kontaktem

z powietrzem, trzeba mieć doprawdy ręce chirurga i serce chirurga. Mądrzy to ludzie!

Wśród długich rzędów drzew pracują kultywatory, wyrrywają pierwszą wiosenną trawę, spulchniają ziemię, by zachować jej wilgotność, i niszczą chwasty, by nie wysysały wody spod korzeni drzew.

Tymczasem owoce na drzewach są coraz większe, a na winoroślach ukazują się długie kiście kwiatów. Nadchodzi lato, jest coraz cieplej, coraz ciemniejsza staje się zieleń liści. Śliwki nabierają wydłużonego kształtu maleńkich, zielonych jaj ptasich, podparte palikami gałęzie, niby znużone ramiona, uginają się pod nadmiernym ciężarem. Nabierają też kształtu małe, twarde gruszki, a na brzoskwiniach ukazuje się pierwszy puszek. Kwiat winorośli roni swe płatki, drobne, twarde paciorki przeobrażają się w kulki, coraz większe i cięższe. Robotnicy pracujący w polu i właściciele małych sadów pilnują i liczą. Jest to rok urodzaju. Ludzi rozpiera duma, bo urodzajny rok to przecież owoc ich wiedzy. Z jej pomocą przeobrazili świat. Dzięki nim niska, licha pszenica wydała grube kłosa. Małe, kwaśne jabłuszka zmieniły się w wielkie, słodkie jabłka; dzikie, rosnące wśród drzew winorośle, których drobne owoce były jedynie żerem dla ptaków, dały tysiączne odmiany winogron – czerwonych, czarnych, zielonych, blad różowych, purpurowych, żółtych, a każda odmiana ma swój własny, odrębny aromat. Ludzie pracujący w farmach doświadczalnych wyhodowali nowe owoce: brzoskwinie, czterdzieści gatunków śliwek, orzechy o cienkiej jak papier łupince. Ludzie ci pracują bez wytchnienia – selekcionują, szczepią, przeobrażają – i ustawicznie zmuszają się do nowych wysiłków, by pobudzić ziemię do coraz większej wydajności.

Pierwsze dojrzewają czereśnie. Półtora centa funt. Niechże to wszyscy diabli! Przy tej cenie nie warto ich nawet zrywać! Czereśnie czarne i czerwone, soczyste, słodkie; każdą z nich do połowy objadają ptaki, a w wydziobanych przez nie otworach brzęczą żółte osy. Na ziemię spadają pestki i schną tam wraz z poczerniałymi resztkami mięszu.

Coraz dojrzalsze i słodsze są fioletowe śliwki. Do diabła! Nie stać nas na okadzanie ich siarką, zrywanie i suszenie! Nie stać nas na opłacenie robotników, choćby nie wiem jak mało żądali. Fioletowe śliwki zaścielają więc ziemię. Najpierw marszczy się nieco ich skórka, potem roje much przylatują na ucztę i dolina wypełnia się słodkawym zapachem rozkładu. Miąższ śliwek czernieje i cały plon gnije na ziemi.

Z kolei żółkną i miękną gruszki. Pięć dolarów tona. Pięć dolarów za czterdzieści pięćdziesięciofuntowych skrzynek. Podcinałeś gałęzie, spryskiwałeś drzewa, dbałeś o swój sad, zrywaj więc teraz owoce, układaj w skrzynki, ładuj na ciężarówki, dostarczaj przetwórciom – i to czterdzieści skrzynek za pięć dolarów. Nie wyjdziemy na swoje. Żółte owoce spadają ciężko i rozpryskują się na ziemi. Osy wgryzają się w słodki miąższ, wokoło unosi się zapach fermentacji i zgnilizny.

Wreszcie winogrona. Ale czy można pozwolić sobie na wyrób dobrego wina? Ludzi nie stać na nie. Zrywaj więc z winorośli ich owoce – zrywaj dobre, zrywaj nadpsute i nadjedzone przez osy. I wytłaczaj je razem z łodygami, razem z błotem i zgnilizną.

Ale przecież w kadziach tworzy się pleśń i kwas mrówkowy.

Dodaj więc siarki i taniny.

Woń dokonującej się fermentacji nie jest upajającym aromatem wina, to zapach rozkładu i chemikaliów.

E, co tam! Zawsze to alkohol. I można się nim upić.

Drobni farmerzy wiedzieli, że długi zalewają ich jak morze podczas przypływu. Spryskiwali drzewa, a nie mogli sprzedać owoców, przycinali gałęzie, szczepili, a nie stać ich było na zebranie plonu. Ludzie uczeni pracowali i głowili się, tu zaś owoce gniją na ziemi, a rozkładająca się w kadziach miazga zatrzuwa powietrze. Skosztujcie tego wina – za grosz smaku winogron, nic, tylko siarka, garbnik i alkohol.

Za rok ten mały sad stanie się własnością wielkiego towarzystwa akcyjnego, bo inaczej farmera wykończyłyby do reszty długi.

Winnica przejdzie na własność banku. Ostać się mogą tylko wielcy obszarnicy, do nich bowiem należą również przetwórcie owoców. A cztery gruszki, obrane ze skórki, przepołowione i po ugotowaniu zakonserwowane w puszcze, zawsze swoje piętnaście centów kosztują. Poza tym owoce w puszcze nie psują się. Mogą przetrwać lata.

Gniją owoce w całej Kalifornii, słodkawa woń staje się plagą kraju. Ludzie, którzy umieją szczepić drzewa, ulepszać gatunki nasion i zwiększać ich płodność, nie znajdują sposobu na to, by głodni mogli spożywać owoce swej pracy. Ludzie, którzy dali światu nowe owoce, nie potrafią stworzyć systemu, w którym wszyscy mogliby je jeść. Cień klęski wisi jak wielkie nieszczęście nad stanem.

Aby utrzymać ceny, trzeba zniszczyć płody drzew i winorośli – i to właśnie jest ze wszystkiego najsmutniejsze i największą napawą goryczą. Wozy pomarańczy wyrzuca się na śmietnik. Ze wszystkich stron zbiegają się ludzie, by pozbiierać owoce, ale wara im od nich! Kto zapłaci dwadzieścia centów za tuzin pomarańczy, jeśli może przyjechać i nazbierać je za darmo? Więc uzbrojeni w gumowe węże robotnicy zlewają stosy pomarańczy naftą, rozwścieczeni popełnianą zbrodnią, wściekli na ludzi, którzy zbiegli się po owoce. Milion głodnych, spragnionych owoców – i złociste ich stosy polane naftą. A kraj wypełnia zapach zgnilizny.

Palcie kawą pod kotłami okrętów. Palcie kukurydzą, a będzie wam ciepło – kukurydza pali się, aż miło. Wrzucajcie ziemniaki do rzeki i postawcie strażę na brzegu, by głodni biedacy nie mogli ich wyłowić. Bijcie świnie i zakopujcie je – niech rozkład przeniknie w głąb ziemi.

Oto zbrodnia, na którą nie ma słów potępienia. Oto cierpienie, którego nie potrafią wyrazić żadne łzy. Oto klęska, która obala wszelkie nasze osiągnięcia. Żyzna ziemia, równe, proste rzędy drzew, mocne, zdrowe pnie i dojrzałe owoce. I dzieci umierające z niedożywienia, dzieci, które muszą umierać, gdy bowiem nie ma na pomarańczach zysku – nie ma i pomarańczy. Koroner pisze w aktach zgonu: „Zmarł z niedożywienia”, żywność bowiem musi gnić – i robi się, co można, bygniła.

Nad rzekę ciągną ludzie z sieciami, by wyłowić z wody ziemniaki, ale strażnik zawraca ich w pół drogi. Zjeżdżają roztrzęsionymi wozami po wyrzucone na śmietnik pomarańcze, lecz oblano je już naftą. Stoją więc bez ruchu, patrząc na unoszone falami rzeki ziemniaki, słuchając kwiku świń zarzynanych w rowie i posypywanych niegaszonym wapnem, patrzą, jak w ich oczach gniją i topnieją stosy pomarańczy, zmieniając się w cuchnące, lepkie błoto. Klęska wзира z oczu tych ludzi. Z oczu tych zgłodniałych wзира rosnący gniew. W sercu ich wzbierają i dojrzewają grona gniewu – zapowiedź przyszłego winobrania.

Rozdział 26

Pewnego wieczoru, gdy długie, pocięte smugami światła chmury o krwawych brzegach zawisły nad zachodzącym słońcem, w obozie Weedpatch rodzina Joadów zasiedziała się nieco dłużej po kolacji. Matka wciąż jakoś nie zabierała się do zmywania.

– Musimy coś zrobić – powiedziała, wskazując palcem Winfielda. – Popatrzcie na niego! – Gdy zaś wszyscy utkwili wzrok w chłopca, dodała: – Rzuca się i kręci przez sen. Popatrzcie, jaki mizerny! – Wszyscy z uczuciem wstydu wbili wzrok w ziemię. – To prażucha! – wyjaśniła matka. – Jesteśmy tu od miesiąca. A Tom miał robotę wszystkiego przez pięć dni. Reszta was dzień w dzień łązi i rozgląda się za pracą, a pracy jak nie ma, tak nie ma. Każdy boi się mówić o tym. Pieniądze się skończyły, a wy chowacie głowy w piasek. Co wieczór przychodzicie sobie po prostu na kolację, a potem wałęsacie się. Nie potraficie uczciwie pogadać o wszystkim. A jednak trzeba. Rosasharn jest na ostatnich nogach, i patrzcie, jaka blada. Trzeba coś zdecydować. Niech nikt nie śmie mi się podnieść, dopóki czegoś nie wymyślimy. Tuszczu zostało tylko na jeden dzień, mąki na dwa dni i dziesięć kartofli! Nie ruszajcie się z miejsca i wymyślcie coś.

Nikt nie podniósł głowy. Ojciec czyścił zgrubiałe paznokcie scyzorykiem, stryj John obłupywał drzazgę ze skrzyni, na której siedział. Tom skubał dolną wargę, raz po raz odsłaniając zęby. W końcu przestał i powiedział półgłosem:

– Naszukaliśmy się roboty, mamó! Odkąd nie ma na benzynę, łązimy pieszo. Kołataliśmy do każdej bramy, obeszliliśmy wszystkie domy, choć wiadomo było, że nic z tego nie wyjdzie. Ciężko człowiekowi szukać czegoś, kiedy wie, że tego nie znajdzie.

– Nie macie prawa się poddawać! – zawołała matka gwałtownie. – Rodzina schodzi na psy, musicie wziąć się w garść.

Ojciec oglądał przycięty paznokieć.

– Musimy stąd wyjechać – powiedział. – Nie chcieliśmy wyjeżdżać. Dobrze nam tu i ludzie tu zacni. Boimy się tylko, że trzeba będzie znowu mieszkać w którymś z tych Hooverville'ów.

– Ano, jak trzeba, to trzeba. Przede wszystkim musimy jeść.

– Mam na ciężarówce pełny zbiornik – wtrącił Al. – Nikomu nie pozwoliłem tknąć tej rezerwy.

Tom uśmiechnął się.

– Ten Al, choć taki lekkoduch, głowę ma na karku.

– A teraz znajdźcie jakąś radę – mówiła matka. – Nie myślę siedzieć dłużej z założonymi rękami i patrzeć, jak rodzina przymiera głodem. Tłuszczu starczy tylko na jutro. To wszystko, co mamy. Jak nam Rosasharn zlegnie, trzeba będzie ją dobrze żywić. Radźcie więc!

– Tu jest ciepła woda i umywalnie... – zaczął ojciec.

– Co z tego, umywalniami się nie najemy.

– Zjawił się tu dziś jakiś gość – odezwał się Tom – i werbował ludzi do Marysville. Do zrywania owoców.

– No więc, czemu nie mielibyśmy jechać do Marysville? – zapytała matka.

– Sam nie wiem – zastanawiał się Tom. – Coś mi się tam wydaje nie w porządku. Bardzo jakoś pilił. Nie chciał gadać, jaka będzie płaca. Że niby jeszcze dokładnie nie wie.

Matka rozstrzygnęła:

– Jedziemy do Marysville. Mniejsza o to, ile płacą. Jedziemy i już.

– To za daleko – sprzeciwił się Tom. – Nie mamy pieniędzy na benzynę. Nie zajechalibyśmy tam. Mama każe nam się namyślić, a przecież ja przez cały czas nic, tylko medytuję i medytuję.

– Ktoś mi mówił, że wkrótce będzie robota przy bawelnie – rzucił stryj John. – Na północy, koło miejscowości Tulare. Mówił, że to niedaleko.

– Tak czy owak, musimy się stąd wynosić, i to zaraz. Nie mam zamiaru dłużej tu siedzieć, choćby tu było nie wiem jak przyjemnie. – Matka wzięła wiadro i poszła do baraku sanitarnego po gorącą wodę.

– Z mamą coraz trudniej się dogadać – zauważył Tom – Wścieka się o byle co i gotuje cała.

– Ano, wygarnęła nam wszystko – stwierdził ojciec z ulgą. – Co noc leżę i łamię sobie głowę, jak z tego wybrnąć. Teraz przynajmniej możemy to

obgadać.

Matka wróciła z wiadrem parującej wody.

– No i co, wymyśliliście coś?

– Właśnie głowimy się nad tym, jak będzie najlepiej – odpowiedział Tom.

– Myślę, że chyba pojedziemy na północ, do tych plantacji bawełny. Tutejszą okolicę przemierzaliśmy wzdłuż i wszerz. Wiemy już, że nie ma tu o co rąk zaczepić. Przypuśćmy, że ładujemy się na ciężarówkę i ruszamy na północ. Jak się zacznie zbiór bawełny, będziemy akurat na miejscu. Chciałoby się popracować przy bawełnie. Masz pełny zbiornik, Al?

– Prawie pełny, brakuje najwyżej dwóch cali.

– Do Tulare powinno wystarczyć.

Matka zmywała talerz nad wiadrem.

– No i jak? – dopytywała się.

– Postawiła mama na swoim. Chyba ruszamy, co, tato?

– Myślę, że nie ma innej rady – odparł ojciec.

Matka spojrzała na niego.

– Kiedy?

– Nie ma co zwlekać. Możemy ruszyć jutro rano.

– Nie możemy, tylko musimy. Mówiłam ci już, ile nam zostało żywności.

– Niech się mamie nie zdaje, że nie mam ochoty się stąd ruszyć. Od dwóch tygodni ani razu nie najadłem się porządnie. Zapychałem jakoś żołądek, ale to żarcie nie dawało mi żadnej siły.

Matka zanurzyła talerz w gorącej wodzie.

– Jedziemy rano – zdecydowała.

Ojciec sapnął i zauważył drwiąco:

– Czasy się jakoś zmieniły. Dawniej chłop mówił, co i jak. A teraz, zdaje się, nastały babskie rządy. Jak tak pójdzie dalej, to trzeba się będzie rozejrzeć za tęgim kijem.

Matka postawiła na skrzyni blaszany talerz ociekający wodą. Uśmiechnęła się lekko.

– Ano, jak chcesz, to bierz się do kija, stary! – powiedziała. – Ale sięgać po kij i samemu nie oberwać można wtedy, kiedy jest co jeść i ma się dach nad głową. A ty nie masz roboty i nie szukasz na to rady. Jakbyś pracował na nas, to nie ma co, mógłbyś wywijać kijem, a kobiety popłakiwałyby tylko i siedziały jak myszy pod miotłą. Ale spróbuj no wziąć się za kij teraz. Będiesz miał ze mną do czynienia, bo i ja znajdę kija na ciebie.

Ojciec uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Nie powinnaś wygadywać takich rzeczy przy dzieciach – skarcił żonę.

– Najpierw daj dzieciom po porcji boczku, a potem pouczaj, co jest dla nich dobre, a co złe!

Ojciec wstał urażony i odszedł, stryj John podążył za nim. Ręce matki poruszały się w wodzie, lecz wzrok jej pobiegł za odchodzącymi. Powiedziała z dumą do Toma:

– Dobrze się trzyma! Nie dał się! Gotów wyłoić mi skórę!

Tom roześmiał się.

– To mama naumyślnie nadepnęła mu na odcisk?

– A pewnie! – przyznała. – Widzisz, człowiek gryzie się i gryzie, aż mu wątroba puchnie, a potem kładzie się i umiera ze zgryzoty. Ale jeśli zdołasz doprowadzić go do wściekłości, to wtedy wyjdzie jakoś z tego. Ojciec pary z gęby nie puścił, ale mało teraz nie pęknie ze złości. Pokaże mi, co potrafi! Nie da sobie w kaszę dmuchać!

Al wstał, mówiąc:

– Idę przejść się trochę po obozie.

– Lepiej przygotowałbyś wóz do drogi – przypomniał mu Tom.

– Jest gotowy.

– Jeżeli się okaże, że czegoś mu brak, to postaram się, żebyś miał z matką do czynienia.

– Kiedy jest w porządku.

Al oddalił się dziarskim krokiem uliczką wśród namiotów. Tom westchnął.

– Zaczynam mieć tego wszystkiego dość. A może by tak mama i mnie doprowadziła do złości?

– Ty masz więcej rozsądku, Tom. Nie potrzebuję doprowadzać cię do pasji. Mam w tobie podporę. Nikt z rodziny nie jest mi tak bliski jak ty, nikt. Ty nie zawiedziesz, Tom.

Zaciążyło mu to brzemie odpowiedzialności.

– Niech mama nie robi ze mnie świętego. I ja miałbym czasem ochotę polatać za dziewczynami jak Al, powściekać się jak ojciec i pociągnąć z butelki jak stryj John.

Matka potrząsnęła głową.

– Ty tak nie potrafisz, Tom. Wiem dobrze. Wiedziałaś to już, kiedy byłeś jeszcze mały. Ty nie taki. Bywają ludzie, którzy myślą tylko o sobie

i o nikim więcej. Na przykład Al – ten uganiałby się tylko za spódniczkami. Ty nigdy nie byłeś taki, Tom.

– Byłem, mamó, na pewno byłem. I teraz też jestem taki.

– Nie, nieprawda. Cokolwiek robisz, zawsze masz na myśli najpierw innych, a potem dopiero siebie. Zrozumiałam to, kiedy cię zabrali do więzienia. Taki już jesteś.

– Nie, mamó, niech mama da spokój. To wszystko nieprawda. Wymyśliła to sobie mama, i tyle.

Matka położyła noże i widelce na stosie talerzy.

– Może i masz rację. Może wymyśliłam to sobie. Rosasharn, powycieraj te naczynia i odstaw na miejsce.

Rose of Sharon wstała z trudem, oddychając ciężko. Dźwigała przed sobą wydatny brzuch. Podeszła ospale do skrzyni i wzięła umyty talerz.

– Tak ją rozpiera, że aż jej oczy na wierzch wyłażą – rzucił Tom.

– Daj spokój żartom – skarciła go matka. – Rosasharn trzyma się jak należy. Idź lepiej i pożegnaj się z sąsiadami.

– Dobrze – powiedział. – Pójdę się wywiedzieć, jak daleka droga nas czeka.

Matka zwróciła się do Rose of Sharon:

– Nie przejmuj się jego gadaniem, on nie chce ci dokuczyć. Gdzie są Ruthie i Winfield?

– Widziałam, jak wymknęli się za ojcem.

– A niech sobie dzieciaki pobiegają.

Rose of Sharon krzątała się leniwie przy pracy. Matka przyglądała jej się ukradkiem.

– Dobrze się czujesz? Policzki trochę ci zapadły.

– Nie piję mleka, a mówią, że powinnam pić.

– Wiem. No cóż, nie mieliśmy mleka.

– Gdyby Connie nie odszedł, mielibyśmy teraz mały domek, a on uczyłby się nowego fachu. Miałabym tyle mleka, ile bym chciała. I urodziłabym śliczne dziecko. A tak niemowlę będzie słabe. Powinnam pić mleko – narzekała Rose of Sharon ponurym głosem. Sięgnęła do kieszeni fartucha i włożyła coś do ust.

– Widzę, że coś jesz. Co to jest? – zainteresowała się matka.

– Nic.

– Przyznaj się, co gryziesz?

– Kawałek gaszonego wapna. Znalazłam dużą grudę.

– Jak to, przecież to tak, jakbyś jadła piasek.

– Kiedy mam na to ochotę.

Matka rozsunęła kolana i obciągnęła spódnicę.

– Rozumiem – powiedziała po chwili. – Sama raz jadłam węgiel, kiedy byłam w ciąży. Zjadłam spory kawałek. Babka nakrzyczała na mnie, że źle zrobiłam. Ale nie mów tak o dziecku. Nie masz prawa nawet myśleć coś podobnego.

– Nie mam męża! Nie mam mleka!

– Gdybyś była zdrowa, nauczyłabym cię moresu. Oberwałabyś po gębie.

– Wstała i wsunęła się do namiotu. Po chwili wyszła, stanęła przed Rose of Sharon i wyciągnęła rękę. – Patrz! – Na jej dłoni leżały małe złote kolczyki.

– To dla ciebie.

Oczy Rose of Sharon zabłyśły na chwilę, lecz zaraz odwróciła głowę.

– Nie mam przekłutych uszu.

– No to ci przekłuję.

Matka znowu zniknęła w namiocie. Wróciła z tekturowym pudełkiem w ręku. Z pośpiechem nawlekła igłę i na podwójnej nitce zawiązała szereg supełków. Potem przygotowała w ten sposób drugą igłę z nitką. Wyszukała w pudełku kawałek korka.

– To będzie bolało! Będzie bolało! – jęczała Rose of Sharon

Joadowa podeszła do córki, podłożyła korek pod płatek jej ucha i przebiła go.

– Kłuje! Będzie bolało! – wzdrygnęła się Rose of Sharon.

– Nie więcej niż w tej chwili.

– Właśnie, że będzie bolało.

– No dobrze, to obejrzymy może najpierw drugie ucho. – Podłożyła korek i przekłuła drugie ucho.

– Będzie bolało!

– Cicho! Już po wszystkim.

Rose of Sharon spojrzała na matkę ze zdumieniem. Joadowa odcięła igły od nitek i przeciągnęła przez płatki uszu po jednym supełku.

– W porządku. Co dzień przeciągniemy po supełku i za parę tygodni będziesz mogła nosić kolczyki. Masz, teraz są twoje. Możesz je zatrzymać.

Rose of Sharon dotknęła ostrożnie swych uszu i przyjrzała się drobnym plamkom krwi na palcach.

- Wcale nie bolało. Czułam tylko lekkie ukłucie.
- Dawno już powinnam była przekłuć ci uszy. – Matka spojrzała córce w oczy i uśmiechnęła się triumfalnie. – A teraz uwiń się szybko ze zmywaniem. Urodzi ci się dziecko jak malowanie. Mało brakowało, a miałabyś je bez przekłutych uszu. Ale teraz już ci to nie grozi.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Pewno, że tak. Na pewno.

Al kroczył beztrąsko obozową uliczką w kierunku estrady, na której odbywały się tańce. Przed małym, czystym namiocikiem gwizdnął cicho i powędrował dalej. Dotarł na skraj placu i usiadł w trawie.

Chmury na zachodzie nie miały już czerwonych obrzeży i ciemniały coraz bardziej. Al drapał się po nogach i spoglądał na wieczorne niebo.

Po chwili nadeszła ładna jasnowłosa dziewczyna o ostrych rysach. Usiadła w milczeniu obok Ala. Chłopiec objął ją w pól. Palce jego ręki błędziły niespokojnie.

- Przestań! – burknęła. – Łaskoczesz!
- Jutro wyjeżdżamy – oznajmił Al.
- Spojrzała na niego zaskoczona.
- Jutro? Dokąd?
- Na północ – rzucił lekko.
- No dobrze, ale mieliśmy się przecież pobrać, prawda?
- Pewnie, że się kiedyś pobierzemy.
- Mówiłeś, że weźmiemy ślub zaraz! – krzyknęła z gniewem.
- Zaraz to nie.
- Obiecywałeś!
- Palce Ala stały się jeszcze bardziej zaborcze.
- Idź sobie! – zawołała. – Mówiłeś, że się pobierzemy.
- Ależ pobierzemy się, pobierzemy.
- Ale teraz odjeżdżasz.
- Co się z tobą dzieje? – zapytał Al. – Może jesteś w ciąży?
- Nie! Coś ty?!

Al roześmiał się.

- Na darmo traciłem czas, co?

Dziewczyna zadarła brodę i skoczyła na równe nogi.

- Odczep się ode mnie, Al! Nie chcę cię więcej oglądać na oczy!
- Hola, wolnego! O co chodzi?
- Co ty sobie myślisz? Że już drugiego takiego nie ma na świecie?
- Poczekaj chwileczkę.
- Wyobrażasz sobie, że mi na tobie zależy? Dbam o ciebie tyle, co o zeszłoroczny śnieg! Znajdę lepszych od ciebie.
- Chwileczkę!
- Nie, nie, wynoś się, gdzie pieprz rośnie!

Al zerwał się, chwycił dziewczynę za nogę w kostce i przewrócił na ziemię. Gdy padła, pochwycił ją w ramiona, przytrzymał i zatkał rozgniewanej usta dłonią. Usiłowała ugryźć go w rękę, lecz wyprężył dłoń nad jej ustami i przycisnął dziewczynę do ziemi. W chwilę potem leżała nieruchomo, a niebawem oboje chichotali w suchej trawie.

– Nie bój się, ani się obejrzyj, jak wrócimy – mówił Al. – Będę miał pełne kieszenie forsy. Pojedziemy do Hollywood oglądać filmy.

Dziewczyna leżała na wznak. Al pochylił się nad nią. W oczach jej dojrzał odbicie jasnej gwiazdy wieczornej i czarnej chmury.

- Pojedziemy pociągiem – mówił.
- A jak prędko to będzie? – pytała.
- E, najwyżej za miesiąc – zapewniał.

Zapadł już wieczór, gdy ojciec i stryj John przykucnęli wśród innych ojców rodzin przed obozowym biurem. Usilowali przeniknąć wzrokiem ciemności i odgadnąć przyszłość. Kierownik obozu w białym ubraniu, postrzępionym, lecz czystym, wsparł się łokciami o poręcz ganku. Rysy jego twarzy były napięte i znużone.

Huston podniósł na niego wzrok i powiedział:

- Niech pan pójdzie się przespać, panie kierowniku.
- Owszem, przydałoby mi się trochę snu. Wczoraj w nocy w jednostce trzeciej urodziło się dziecko. Zaczynam być dobrą położną.
- Ano, człowiek powinien znać się i na tym – rzekł Huston. – Zwłaszcza mężczyzna żonaty.
- Jutro rano wyjeżdżamy – odezwał się ojciec.
- Tak? A gdzie?

– Myślę, że najpierw ruszymy kawałek na północ. Spróbujemy trafić na początek zbioru bawełny. Nie dostaliśmy tutaj pracy, a żywność nam się już wyczerpała.

– A czy jesteście pewni, że tam znajdzie się robota? – dopytywał się Huston.

– Nie, ale wiadomo na pewno, że tu pracy nie ma na lekarstwo.

– Będzie, ale trochę później – mówił Huston. – Postaramy się przetrwać do tego czasu.

– Strasznie się nam nie chce stąd wyjeżdżać. Ludzie tu byli dla nas tacy dobrzy. Poza tym te umywalnie i wszystko... Ale jeść trzeba. Mamy zbiornik benzyny, to nam starczy na kawałek drogi. Kąpaliśmy się tu co dzień. Nigdy w życiu nie byłem taki czysty. Dawniej kąpałem się raz na tydzień i nigdy nie wydawało mi się, żebym śmierdzał. A teraz, jeśli choć jeden dzień nie wezmę prysznicu, to cuchnę. Ciekaw jestem, czy to tak z tego codziennego kąpania.

– Może przedtem nie zdawał pan sobie z tego sprawy? – podsunął kierownik.

– Możliwe. Chciałbym, żebyśmy mogli tu zostać.

Kierownik obozu chwycił się oburącz za skronie.

– Coś mi się zdaje, że tej nocy przyjdzie na świat nowe dziecko – powiedział.

– W naszej rodzinie też się na to zanosí – zwierzył się ojciec. – Chciałbym, żeby dziecko urodziło się tutaj. Bardzo bym chciał.

Tom, Willie i Metys Jule, machając nogami, siedzieli na skraju estrady.

– Mam woreczek tytoniu – powiedział Jule. – Chcecie zapalić?

– No myślę – odparł Tom. – Od wieków już nie paliłem. – Skręcił ostrożnie brązowego papierosa, by nie uronić ani odrobiny tytoniu.

– Przykro nam, że odjeżdżacie – mówił Willie. – Porządni z was ludzie.

Tom zapalił papierosa.

– Długo nad tym medytowałem. Do diabła! Żebyśmy już tak mogli osiąść gdzieś na stałe!

Jule odebrał swój woreczek z tytoniem.

– Dobrze nie jest – stwierdził. – Mam małą córeczkę. Gdyśmy tu zjechali, myślałem, że dziecko będzie chodziło do szkoły. Cóż, kiedy człowiek

nigdzie długo nie zagrzeje miejsca. Ciągłe tylko wlecze się i wlecze coraz dalej!

– Mam nadzieję, że nie trafimy znowu do jakiegoś Hooverville’u – westchnął Tom. – Tam to mnie porządny strach oblatywał.

– A co, policja następowała wam na pięty?

– Bałem się, że wyprawię kogoś na tamten świat. Krótco tam byłem, ale przez cały czas aż się we mnie gotowało. Raz wpadł do obozu zastępca szeryfa i aresztował mi przyjaciela za to tylko, że odezwał się niepytany. Cholera mnie brała.

– Braliście kiedy udział w strajku? – zapytał Willie.

– Nie.

– Zastanawiałem się nieraz, dlaczego to policja nie wdziera się tu i nie robi piekła jak wszędzie. Myślicie może, że boi się tego naszego małego kierownika? Akurat!

– No to co ich wstrzymuje? – spytał Jule.

– Powiem wam. To, że trzymamy się razem. Policjant nie może przyczepić się do pojedynczego gościa w obozie, bo zaraz ma do czynienia ze wszystkimi. A nie śmie zadzierać z całym obozem. Niech tylko który z nas krzyknie, a zaraz zbiegnie się ze dwustu chłopów. To samo mówił na drodze taki, co organizuje związki zawodowe. Powiada, że podobnie można by się jednoczyć wszędzie. Po prostu trzymać się kupą. Policja nie zaczepi dwustu ludzi. Rzuca się tylko na człowieka samotnego.

– Racja – potwierdził Jule. – Ale przypuśćmy, że zakładamy związek. Gdzie jest związek, tam muszą być przywódcy. Wyłapią ich, i co wtedy?

– No tak – przyznał Willie. – Musimy to kiedyś przemyśleć. Od roku przebywam w tych stronach i obserwuję, jak płace spadają coraz niżej. Robotnik nie wyżywi już rodziny z tego, co zarobi. Coraz gorzej to wszystko wygląda. Nie ma sensu dłużej tu siedzieć i przymierać głodem. Nie wiadomo, co robić. Kiedy gość ma parę koni, nie podnosi gwałtu, jeśli musi dawać im jeść, choć nie pracują. Ale kiedy zatrudnia ludzi, to się o nich wcale nie troszczy. Konie mają, psiakrew, większą wartość niż ludzie! W głowie mi się to nie mieści!

– Życie robi się takie, że wolę o tym nie myśleć – mówił Jule. – A tymczasem muszę. Mam małą córeczkę. Wiecie, jakie to ładne dziecko. W ubiegłym tygodniu dostała tu w obozie nagrodę na konkursie piękności.

Tak, ale co ją czeka? Robi się cienka jak wrzeciono. Nie mogę na to patrzeć. Takie śliczne dziecko! Zrobię chyba jakieś głupstwo!

– Jakie? – zapytał Willie. – Co chcecie zrobić? Ukradniecie coś, to powędrujecie do ciupy. Zakatrupicie kogoś, to was powieszą.

– Sam nie wiem – odparł Jule. – Zwariować można, kiedy się o tym myśli. Zwariować, i tyle.

– Będzie mi brakowało tych tańców sobotnich – odezwał się Tom. – Mało widziałem w życiu miłszych zabaw. Ano, trzeba iść spać. Do widzenia. Jeszcze się może zobaczymy.

Zamienił uścisk dłoni z Jule'em i Williem.

– Na pewno się jeszcze spotkamy – potwierdził Jule.

– No, to do zobaczenia!

Tom odszedł w ciemność.

W mroku namiotu Joadów Ruthie i Winfield leżeli na materacu obok matki. Ruthie szepnęła:

– Mamo!

– Co? Jeszcze nie śpisz?

– Mamo, a czy tam, dokąd pojedziemy, będzie krokiet?

– Nie wiem. Lepiej śpij. Chcemy wyruszyć wcześniej.

– Tak, ale wolałabym zostać tutaj, bo tu jest krokiet.

– Cicho! – upominała ją matka.

– Mamo, Winfield uderzył dziś jednego chłopaka.

– To źle.

– Ja wiem. Mówiłam mu, ale on wyrznął tamtego chłopaka w sam nos. Ale się krew lała!

– Nie opowiadaj takich rzeczy. To nieładnie.

Winfield obrócił się na drugi bok i wyjaśnił obrażonym tonem:

– Ten chłopak przezywał nas „Oklaki”. Gadał, że sam nie jest Oklak, bo oni przyjechali z Oregonu. A my to przeklęte Oklaki! No to dałem mu w zęby.

– Cicho! Nie powinienesz być tego robić. Przewisko to nie obraza.

– Tak, ale ja nie pozwolę, żeby nas przezywali! – zawołał Winfield gwałtownie.

– Cicho! Spij!

Ruthie powtórzyła raz jeszcze:

– Żeby mama widziała, jak tamtemu krew ciekła, zalała mu całe ubranie.

Matka wysunęła rękę spod koca i palcem trzepnęła Ruthie po policzku. Dziewczynka zeszytywniała na chwilę, po czym rozplakała się, pociągając nosem.

Ojciec i stryj John siedzieli w sąsiadujących ze sobą ustępach.

– Trzeba sobie użyć na pożegnanie – mówił ojciec. – Przyjemnie tu, naprawdę! Pamiętasz, jak dzieciaki najadły się strachu, kiedy po raz pierwszy spuściły wodę?

– I ja się tu czułem nieswojo – wyznał stryj John. Podciągnął starannie spodnie na kolana. – Żle ze mną – powiedział. – Prześladowe mnie grzech.

– Nie możesz grzeszyć – uznał ojciec – bo nie masz pieniędzy. Musisz siedzieć jak mysz pod miotłą. Żeby zgrzeszyć, trzeba mieć co najmniej dwa dolary, a tyle nie zbierałbyś w całej rodzinie.

– Tak, ale ja grzeszę myślą.

– A to ci wolno. Za to się nie płaci.

– Zawszeć to grzech.

– Ale dużo tańszy.

– Nie żartuj z grzechu.

– Ani mi się śni żartować. Brnij dalej! Zwykle człowiek staje się grzeszny, kiedy żyje jak w piekle.

– Wiem. Zawsze byłem taki. Nigdy nie mówiłem nikomu nawet połowy tego, co miałem na sumieniu.

– Ano, zachowaj to dla siebie.

– Przez te piękne wychodki mam też grzeszne myśli.

– No to idź w krzaki. Chodź, wciągaj portki i pójdziemy się przespać. –

Ojciec zapiał szelki i klamrę od paska. Pociągnął za łańcuszek i w zamyśleniu spoglądał na kłębiącą się w muszli wodę.

Ciemno było jeszcze, gdy matka pobudziła wszystkich. Małe lampki nocne świeciły w otwartych drzwiach baraków sanitarnych. Z namiotów po obu stronach uliczki obozowej rozbrzmiewało różnorakie chrapanie.

– Wstawać, zwijać się! – mówiła matka. – Czas w drogę. Zaraz zacznie świtać.

Podniosła szkiełko lampy naftowej, które zgrzytnęło, i zapaliła knot.

– Wstawać wszyscy!

W namiocie wszczął się ruch. Odrzucono koce i kołdry, zaspane oczy mrugały w świetle. Matka narzuciła suknię na nocną bieliznę.

– Kawy nie ma – zapowiedziała. – Jest trochę sucharów. Możemy je zjeść w drodze. Teraz wstawajcie, to załadujemy ciężarówkę. Prędkiej! Tylko nie hałasujcie. Nie trzeba budzić sąsiadów.

Dopiero po kilku minutach wszyscy rozbudzili się zupełnie.

– Nigdzie mi nie odbiegajcie! – przykazała dzieciom Joadowa.

Rodzina ubrała się. Mężczyźni zwijali namiot i ładowali rzeczy na samochód.

– Układajcie toboły porządnie i równo – napominała matka.

Spiętrzyli materace na wierzchu ładunku i przywiązali płachtę na zwykłym miejscu nad pałąkiem.

– Już, mam – oznajmił Tom. – Wóz gotowy.

Matka trzymała w ręku talerz zimnych grzanek.

– Dobrze. Macie, każdy po jednej. To wszystko, co nam zostało.

Ruthie i Winfield schwycili grzanki i wdrapali się na stos tobołów. Okryli się kocem i zasnęli, ściskając w dłoniach zimne suchary. Tom usiadł przy kierownicy i nacisnął nogą rozrusznik. Rozległ się krótki warkot i umilkł.

– A bodaj cię, Al! – krzyknął Tom. – Nie dopilnowałeś i akumulator się wyładował.

Al wybuchnął:

– Jakże, do jasnej cholery, miał się nie wyładować, kiedy nie było benzyny, żeby go naładować.

Tom roześmiał się nagle.

– No, sam nie wiem dlaczego, ale to twoja wina. Musisz teraz pokręcić korbą.

– Mówię ci, że to nie moja wina.

Tom wysiadł i wydobył spod siedzenia korbę.

– A więc moja – powiedział.

– Dawaj tę korbę. – Al ujął narzędzie. – Opóźnij tylko zapłon, bo mi jeszcze rękę urwie.

– Dobra. Kręć!

Al obracał miarowo korbę. Silnik chwycił, zachłysnął się, a gdy Tom uregulował dopływ paliwa, zawarczał na dobre.

Matka usadowiła się obok Toma.

– Pobudziliśmy wszystkich w obozie – zauważyła.

– Zasną z powrotem.

Al wsiadł z drugiej strony do kabiny.

– Ojciec i stryj John wleźli na górę. Chcą się jeszcze przespać.

Tom skierował ciężarówkę ku głównej bramie. Z budki wyszedł wartownik i oświetlił samochód.

– Zaczekajcie chwileczkę.

– O co chodzi?

– Wyjeżdżacie na dobre?

– Tak.

– No to muszę skreślić wasze nazwiska.

– Dobrze.

– A dokąd jedziecie?

– Zamierzamy szukać szczęścia na północy.

– No to powodzenia!

– Nawzajem. Do zobaczenia!

Ciężarówka przetoczyła się powoli przez wielki garb i wyjechała na gościniec. Posuwali się tą samą drogą, którą przybyli do obozu – przez Weedpatch, a potem na zachód aż do szosy 99 i wielkim brukowanym traktem na północ ku Bakersfield. Gdy wjechali na przedmieścia tego miasta, zaczynało się już rozwidniać.

– Gdzie spojrzeć, restauracje – odezwał się Tom. – I wszędzie można dostać kawy. Patrzcie na ten nocny lokal. Założę się, że mają tam z dziesięć galonów kawy, gorącej jak ukrop.

– Ach, przymknij się! – krzyknął Al.

Tom uśmiechnął się.

– No, no, zauważyłem, żeś sobie piorunem przygadał dziewczynkę.

– To co z tego?

– Al wstał dziś lewą nogą, mamó. Kiepski z niego kompan w drodze.

– Niedługo zacznę żyć na własną rękę – rzucił z rozdrażnieniem Al. – Znacznie łatwiej człowiekowi radzić sobie bez rodziny na karku.

– Dorobiłbyś się własnej rodziny za dziewięć miesięcy. Widziałem, jak się uwijałeś po obozie.

– Głupi jesteś – odciął się Al. – Dostanę robotę w warsztacie samochodowym i będę się stołował po restauracjach.

– Za dziewięć miesięcy żona i bęben.
– Akurat!
– Spryciarz z ciebie, Al, ale właśnie dlatego oberwiesz kiedy po łbie.
– Może mi powiesz od kogo?
– Znajdą się tacy.
– Myślisz, że jeżeli ty...
– Dość tego! – przerwała im matka.
– To moja wina, mamó – przyznał Tom. – Trafiłem go w czułe miejsce. Nie chciałem ci dokuczyć, Al. Nie wiedziałem, że ci ta dziewczyna tak przypadła do serca.
– Gwiżdżę na dziewczyny!
– No to dobrze i dajmy temu spokój. Nie będę się z tobą spierał. Samochód wjechał na skraj miasta.
– Patrzcie, co tu budek z hot dogami, co krok! – zawołał Tom.
– Tom! – powiedziała matka. – Mam odłożonego dolara. Jak tak bardzo chce się wam kawy, to sobie kupcie.
– Nie, mamó. Żartowałem tylko.
– Jak tak bardzo was nęci, to czemu nie?
– Nie, nie chcę.
– No to nie zwracaj głowy kawą! – zgromił go Al.
Tom nie odzywał się przez jakiś czas.
– Ciągłe tak mi niewyraźnie, jakby się coś miało stać – wyznał po chwili.
– To droga, którą jechaliśmy tamtej nocy.
– Mam nadzieję, że nie przydarzy się nam teraz nic takiego jak wtedy – westchnęła matka. – To była paskudna noc.
– O, tak!
Po prawej stronie jadących wschodziło słońce. Obok ciężarówki sunął jej wielki cień, drżący na palikach przydrożnych płotów. Minęli odbudowane Hooverville.
– Spójrzcie! – wykrzyknął Tom. – Tam znowu mieszkają ludzie! Wygląda tak jak przedtem.
Al otrząsnął się powoli z ponurego nastroju.
– Opowiadał mi jeden, że są tacy, którym podpalano budy po piętnaście albo i dwadzieścia razy. Mówił, że za każdym razem po prostu chowają się w wiklinie, a potem wyłazą i budują sobie nowe szałaszy kryte zielskiem.

Całkiem jak szczury. Tak się podobno do tego przyzwyczaili, że już się nawet nie złością. Przyjmują to jak złą pogodę.

– O, tamtej nocy czułem się jak w najbardziej psią pogodę – powiedział Tom.

Wjechali na szeroką szosę. W pierwszych promieniach słońca wstrząsnął nimi dreszcz.

– Ranki robią się już chłodne – zauważył Tom. – Idzie zima. Mam nadzieję, że dorobimy się trochę forsy przed jej nadejściem. Nie byłoby wesoło mieszkać w zimie w namiocie.

Matka westchnęła, ale zaraz podniosła głowę.

– Tom, zimą musimy mieć jakiś dach nad głową. Nie ma gadania. Ruthie trzyma się nieźle, ale Winfield jest coraz słabszy. Musimy mieć dom, zanim przyjdą sloty. Słyszałam, że w tych stronach jesienią leje jak z cebra.

– Będziemy mieli dom, mamó. Niech się mama nie martwi. Będzie mama miała mieszkanie.

– Byle tylko był dach i podłoga. Żeby dzieciaki nie musiały spać na gołej ziemi.

– Postaramy się, mamó.

– Nie chcę wam teraz zawracać tym głowy.

– Zrobimy, co się tylko da.

– Chwilami po prostu włosy stają mi dęba na głowie. Tracę zupełnie odwagę.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby mama straciła odwagę.

– W nocy oblatuje mnie czasem strach.

Z przodu ciężarówki rozległ się ostry syk. Tom chwycił mocniej kierownicę i nacisnął hamulec. Samochód podskoczył i znieruchomiał. Tom westchnął.

– Tego tylko brakowało!

Oparł się o poduszki siedzenia. Al wyskoczył i pobiegł ku prawej przedniej oponie.

– Wielki, długi gwóźdź!

– Czy mamy łatki?

– Nie. Wszystkie zużyte. To znaczy, łatka jeszcze się znajdzie, ale klej się skończył.

Tom odwrócił się i uśmiechnął smutno do matki.

– Nie trzeba było wspominać o tym dolarze. Poradzilibyśmy sobie jakoś inaczej.

Al pokazał duży gwóźdź sterczący ze spłaszczonej opony.

– Gdyby w całym hrabstwie leżał na drodze jeden jedyny gwóźdź, to i tak na pewno wpakowalibyśmy się na niego.

– Czy to coś poważnego? – zaniepokoiła się matka.

– Nie, nic takiego, ale naprawić trzeba.

Rodzina zsunęła się ze szczytu obładowanej ciężarówki.

– Opona nawaliła? – zapytał ojciec i zamilkł na widok spłaszczonego koła.

Tom poprosił matkę, żeby wysiadła, po czym wydobył spod siedzenia pudełko z łątkami. Rozwinął gumową łątkę, wyjął tubkę i nacisnął ją lekko, próbując, czy zostało w niej jeszcze trochę kleju.

– Prawie całkiem zaschło – powiedział. – Ale może wystarczy. Dobra jest, Al. Zablokuj tylne koła. Przód podniesiemy lewarem.

Tom i Al współpracowali zgodnie. Podparli koła kamieniami, umieścili lewar pod przednią osią i odciążyli spłaszczoną oponę. Zdjęli ją i odszukali dziurę w dętce. Zanurzywszy szmatę w baku z benzyną, obmyli brzegi otworu. Potem Al rozciągnął dętkę na kolanie, a Tom rozdarł tubkę na pół i scyzorykiem ostrożnie rozsmarował cienką warstwę kleju na gumie.

– Niech trochę podeschnie. Tymczasem wytnę łątkę. – Wyrównał brzegi niebieskiej łątki i pościął jej kanty. Al naprężył dętkę, a Tom starannie dopasował łątkę do dziury. – W porządku! Teraz rozłóż ją na stopniu, a ja przyklepię jeszcze młotkiem. – Przyklepał ostrożnie łątkę, a potem rozciągnął dętkę i przyjrzał się brzegom nalepionego kawałka gumy. –

Dobra! Będzie trzymała. Włóż ją teraz w oponę i napompujemy ją. Zdaje się, mam, że dolar uratowany.

– Dobrze byłoby mieć zapasową – odezwał się Al. – Musimy się postarać o dodatkową oponę z napompowaną dętką. Wtedy mielibyśmy spokój nawet w nocy.

– Gdybyśmy mieli pieniądze na zapasową oponę, to kupilibyśmy sobie raczej kawy i boczku – odparł Tom.

Szosa rozbrzmiewała warkotem nielicznych jeszcze o tej rannej godzinie samochodów. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Od południowego zachodu wiał łagodny wietrzyk. Góry po obu stronach wielkiej doliny rysowały się niewyraźnie w perłowej mgle.

Tom pompował koło, gdy od północy nadjechał samochód osobowy i zatrzymał się po drugiej stronie szosy. Wysiadł z niego opalony mężczyzna w jasnoszarym garniturze i podszedł do ciężarówki. Był bez kapelusza. Uśmiechnął się, ukazując zęby, których biel kontrastowała z jego opalenizną. Na środkowym palcu lewej ręki miał masywną złotą obrączkę. Kamizelkę przecinał cienki łańcuszek, z którego zwisał złoty breloczek w kształcie futbolowej piłki.

– Dzień dobry! – powiedział uprzejmie.

Tom przerwał pompowanie i podniósł oczy na przybysza.

– Dzień dobry!

Nieznajomy przeczesał palcami krótkie, najeżone, szpakowate włosy.

– Szukacie może pracy?

– Ma się rozumieć, proszę pana. Radzi byśmy wytrzasnąć ją choćby spod ziemi.

– Czy umiecie zrywać brzoskwinie?

– Nigdyśmy tego nie robili – odpowiedział ojciec.

– Umiemy wszystko robić – wtrącił śpiesznie Tom. – Możemy zrywać wszystko, co trzeba.

Nieznajomy bawił się złotą piłeczką.

– Znajdzie się dla was pełno roboty o jakieś czterdzieści mil stąd na północ.

– Weźmiemy ją z radością – oświadczył Tom. – Niech nam tylko pan wytłumaczy, jak tam dojechać, a ruszymy z kopyta.

– No więc, kierujcie się na północ aż do Pixley – jakieś trzydzieści pięć, sześć mil stąd. Potem skróćcie na wschód. Ujedźcie ze sześć mil i zapytajcie o majątek Hoopera. Roboty tam pełno.

– Jasne, że pojedziemy.

– Nie wiecie czasem, gdzie tu jeszcze jacy ludzie szukają zajęcia?

– A pewnie. W obozie pod Weedpatch siedzą całe gromady takich, co szukają roboty.

– Spróbuję tam zajrzeć. Możemy zatrudnić sporo robotników. Pamiętajcie, skróćcie w Pixley na wschód i dalej prosto aż do farmy Hoopera.

– Dobrze – powiedział Tom. – I dziękujemy panu. Strasznie nam potrzebna robota.

– No to dobrze. Wyruszcie możliwie najprędzej.

Przeszedł z powrotem na drugą stronę szosy, wszedł do swego otwartego samochodu i odjechał w kierunku południowym.

Tom rzucił się całym ciałem na pompkę i zawołał:

– Wszyscy będą pompować, po dwadzieścia razy każdy. Raz... dwa... trzy... cztery...

Po dwudziestu ruchach odebrał mu pompkę Al. Potem pompowali kolejno ojciec i stryj John. Opona wypełniała się i stawała coraz grubsza i gładsza. Powtórzono trzykrotnie kolejkę, pompka przechodziła z rąk do rąk.

– Założymy teraz i zobaczymy – powiedział Tom.

Al zwolnił lewar i opuścił wóz na ziemię.

– Ma dosyć, może nawet trochę za dużo.

Wrzucił narzędzia do ciężarówki.

– Jazda! – zawołał Tom. – Musimy wreszcie zdobyć jakąś robotę!

Matka znowu usiadła pośrodku. Tym razem Al ujął kierownicę.

– Ostrożnie, Al. Nie wymagaj od niej za wiele, bo ci trzaśnie.

Jechali wśród pól zalanych porannym słońcem. Mgła podniosła się i odsłoniła brunatne szczyty gór o czarnopurpurowych rysach. Z płotów zrywały się dzikie gołębie, płoszone przejazdem samochodu. Al nieświadomie zwiększył szybkość ciężarówki.

– Wolno – ostrzegł Tom. – Jak będziesz jechał za szybko, to ci łatana dętka nawali od gorąca. Musimy dostać się na miejsce. Może nawet jeszcze dziś uda się zacząć pracę.

Matka mówiła podniecona:

– Jeżeli w rodzinie będzie zarabiał czterech mężczyzn, to może od razu dostanę jaki kredyt. Przede wszystkim kupię kawy, boście jej tacy spragnieni. Prócz tego trochę mąki, proszku do pieczenia i mięsa. Lepiej na początek nie jadać boczku. Zostawimy go sobie na później. Na przykład na sobotę. I mydło. Musimy zaopatrzyć się w mydło. Ciekawa jestem, gdzie się zatrzymamy. – Mówiła dalej z ożywieniem: – No i mleko. Postaram się o mleko, bo Rosasharn powinna pić mleko. Powiedziała jej to pielęgniarka w obozie.

Po rozgrzanej szosie wił się wąż. Al skręcił, przejechał go i skierował z powrotem ciężarówkę na prawy pas.

– To niejadowity wąż – powiedział Tom. – Nie powinienesz być tego robić.

– Nie znoszę gadów – odparł Al wesoło. – Jadowite czy niejadowite. Flaki mi się przewracają na sam ich widok.

Przedpołudniowy ruch na szosie wzrastał się coraz bardziej: agenci handlowi w lśniących, małych, zamkniętych samochodzikach z godłami firm wymalowanymi na drzwiach, czerwone i białe cysterny z benzyną, wlokące za sobą szczękające łańcuchy, duże ciężarówki o kwadratowych drzwiach, rozwożące towar z wielkich hurtowni. Po obu stronach szosy ciągnął się bogaty kraj: sady u szczytu swej płodności, z drzewami uginającymi się pod ciężarem owoców, winnice, w których długie zielone pnącza zaścielały ziemię między rzędami winorośli, grzędy melonów i łąny zbóż. Wśród zieleni widniały małe domki o ścianach obrośniętych pnącymi różami. A ciepłe słońce złożyło to wszystko swym blaskiem.

Matkę, Toma i Ala, siedzących w kabinie, rozsadzała wprost radość.

– Od dawna już nie czułam się tak dobrze – odezwała się matka. – Jeśli narwiemy dużo brzoskwiń, to może będziemy mogli wynająć sobie domek i nawet zapłacić czynsz za parę miesięcy z góry. Musimy mieć dom.

– Ja będę odkładał pieniądze – zapowiedział Al. – Zaoszczędzę sobie trochę, przeniosę się do miasta i postaram o pracę w warsztacie samochodowym. Wynajmę sobie pokój i będę się stołował po restauracjach. Co wieczór, cholera, pójdę do kina. Za parę groszy napatrzę się na filmy z kowbojami.

Zacisnął ręce na kierownicy. W chłodnicy bulgotało i wydobywała się z niej ze świstem para.

– Naprawdę ją? – zapytał Tom.

– Naprawdę. Tylko wiatr wieje od tyłu i dlatego woda się gotuje.

– Strasznie przyjemny dzień! – zachwycił się Tom. – Jak pracowałem w McAlester, myślałem ciągle o tym, co będę robił, kiedy mnie wypuszczą. Wyobrażałem sobie, że powędruję gdzieś prosto przed siebie na koniec świata, nigdzie się nie zatrzymując. Teraz wydaje mi się, że to wszystko działo się Bóg wie jak dawno temu. Jakby już lata upłynęły od czasu, kiedy siedziałem w więzieniu. Najwięcej dokuczył mi tam jeden strażnik. Miałem ochotę rozprawić się z nim. To chyba przez niego tak znienawidziłem policjantów. Wydaje mi się, że każdy z nich ma jego gębę. Ciągłe się czerwienił. Wyglądał jak wieprz. Mówili, że ma brata na zachodzie. Wysyłał do niego więźniów zwolnionych warunkowo, którzy musieli tam pracować darmo. Jak się który stawiał, to wracał do ciupy za niedotrzymanie słowa. Tak ludzie gadali.

– Przestań o tym myśleć! – błagała go matka. – Zobaczycie, jakie zrobię zapasy. Mąka, słonina. Jak najwięcej wszystkiego.

– Muszę czasem o tym myśleć – odparł Tom. – Próbuję zapomnieć, ale wciąż to do mnie wraca. Był tam jeden zwariowany chłop, o którym wam jeszcze nigdy nie opowiadałem. Istny błazen. Nieszkodliwy zresztą chłopak. Ciągłe przemyśliwał nad ucieczką z więzienia. Koledzy przezywali go Chuligan.

Tom roześmiał się cicho.

– Nie myśl już o tym! – prosiła matka.

– Opowiadaj dalej! – wtrącił Al. – Jak to było z tym gościem?

– To mnie już ani grzeje, ani ziębi, mamó. Ano, chłopak wciąż miał zamiar uciekać. Przygotować plan ucieczki, to owszem, potrafił. Ale nigdy nie umiał utrzymać języka za zębami i zaraz roznosiło się wszystko po całym więzieniu, wiedział o tym nawet sam naczelnik. Pozwalali mu uciec, a potem brali za rączkę i przyprowadzali z powrotem. Raz narysował sobie plan, w którym miejscu wydostanie się poza teren więzienia. Pokazywał rysunek na prawo i lewo. Nikt pary z gęby nie puścił. Gość wytrzasnął skądś linę i przełaził przez mur. Na dole czekało już sześciu dozorców z wielkim workiem, a kiedy Chuligan zsuwał się powoli po sznurze, po prostu podstawili worek i chłop wpadł w niego jak śliwka w kompot. Zatkali mu usta i przywlekli go z powrotem. Koledzy boki zrywali ze śmiechu. Ale Chuligan od tego czasu upadł na duchu. Zapłakiwał się po kątach, chodził z nieszczęśliwą miną i w końcu rozchorował się. Tak go to zabolalo. W końcu otworzył sobie szpilką żyły i wykrwawił się na śmierć. Tak go wzięło! A chłopak muchy by nie skrzywdził. Dużo jest w więzieniu takich nieszkodliwych wariatów.

– Nie mów o tym – zniecierpliwiła się matka. – Znałam kiedyś matkę Floyda. Chłopak wcale nie był z natury zły. Po prostu doprowadzili go do ostateczności.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, zbliżało się południe. Cień samochodu skurczył się i sunął między kołami.

– To pewnie Pixley tam przed nami – odezwał się Al. – Widziałem przed chwilą tablicę.

Wjechali do małego miasteczka, a potem skręcili na wschód, w węższą drogę wśród sadów, których gałęzie tworzyły nad nimi sklepienie.

– Mam nadzieję, że trafimy bez trudu – zauważył Tom.

– Tamten gość powiedział, żeby pytać o majątek Hoopera – przypomniała matka. – Mówił, że każdy nam wskaże. Spodziewam się, że gdzieś w pobliżu znajdzie się tam sklep spożywczy. Jeśli czterech mężczyzn z rodziny będzie pracowało, to może dadzą na kredyt. Mogłabym przyrządzić dobrą kolację. Może nawet duszone mięso.

– I kawę – dodał Tom. – I może nareszcie kupię sobie woreczek tytoniu. Od wieków już nie paliłem własnego tytoniu.

W pewnej odległości przed nimi tarasowały drogę samochody, a wzdłuż jej brzegu stał rząd białych motocykli.

– Jakiś wypadek – powiedział Tom.

Gdy podjechali bliżej, zza ostatniego z zaparkowanych samochodów wystąpił policjant w wysokich butach i pasie oficerskim. Podniósł rękę. Al zatrzymał ciężarówkę.

– Dokąd to? – zapytał policjant, opierając się niebale u drzwi samochodu.

– Mówił nam ktoś, że w tych stronach jest robota przy zbiorze brzoskwiń – wyjaśnił Al.

– Chcecie pracować, co?

– Jeszcze jak! – odparł Tom.

– Dobra. Zaczekajcie tu chwilę. – Odszedł na skraj drogi i zawołał: – Jeszcze jeden! Razem sześć wozów. Lepiej zabrać tę partię.

Tom wykrzyknął:

– Halo! Co to znaczy?

Policjant oddalił się ociężałym krokiem tam, skąd się wynurzył.

– Na przodzie zrobiło się małe zamieszanie. Ale nie martwcie się. Przejedziecie. Trzymajcie się tylko kolejki.

Rozległ się hałaśliwy warkot ruszających motocykli. Sznur samochodów potoczył się naprzód. Na końcu jechała ciężarówka Joadów. Dwa motocykle sunęły na przodzie, dwa zamykały orszak.

Tom odezwał się z niepokojem:

– Ciekaw jestem, co to wszystko ma znaczyć.

– Może droga popsuta – wyraził przypuszczenie Al.

– Ale po co prowadzi nas aż czterech policjantów? Nie podoba mi się to wszystko.

Jadące na przodzie motocykle zwiększyły szybkość. Sznur starych samochodów również przyspieszył. Al dodał gazu, by nadążyć za ostatnim

wozem.

– To wszystko nasi ludzie – zauważył Tom. – Jakaś nieczysta sprawa.

Nagle policjanci prowadzący karawanę skręcili z szosy na szeroki wjazd wysypany żwirem. Wysłużone gruchoty ruszyły ich śladem. Ryknęły silniki motocykli. Tom ujrzał mężczyzn stojących szeregiem w rowie przydrożnym, z otwartymi ustami, jakby coś wykrzykiwali, z twarzami wykrzywionymi z wściekłości, wygrażających pięściami. Jakaś tęga kobieta podbiegła ku samochodom, lecz przejście zamknął jej huczący motocykl. Wysoka brama z drucianej siatki rozwarła się na oścież. Wjechało w nią sześć starych samochodów i brama zamknęła się za nimi. Cztery motocykle zawróciły i ruszyły z powrotem tą samą drogą, którą przyjechały. Teraz, gdy już były daleko, dobiegły z oddali wrzaski mężczyzn w rowie. Żwirowego wjazdu strzegli dwaj wartownicy z fuzjami w rękach. Jeden z nich zawołał:

– No, dalej! Dalej! Na co, u diabła, czekacie?!

Sześć samochodów ruszyło naprzód. Zatoczyły łuk i raptem znalazły się w obozie robotników ogrodowych.

Pięćdziesiąt małych kwadratowych baraków o płaskich dachach, z drzwiami i jednym oknem, tworzyło czworobok. Na skraju obozu wznosił się zbiornik z wodą. Po drugiej stronie znajdował się mały sklepik spożywczy. Przy końcu każdego rzędu kwadratowych domków stało po dwóch uzbrojonych ludzi, z wielkimi srebrnymi gwiazdami przypiętymi do koszul.

Sześć samochodów zatrzymało się. Dwaj rachmistrze szli od jednego wozu do drugiego.

– Chcecie pracować?

– Pewnie, że chcemy, ale co to wszystko znaczy? – zapytał Tom.

– To nie wasza rzecz. Chcecie pracować?

– Ma się rozumieć.

– Nazwisko!

– Joad!

– Ilu was jest mężczyzn?

– Czterech.

– Kobiet?

– Dwie.

– Dzieci?

– Dwoje.

– Wszyscy mogą pracować?

– Chyba tak.

– Dobra. Odszukajcie barak sześćdziesiąty trzeci. Płaca pięć centów od skrzyni. Tylko nieuszkodzone owoce. W porządku! Jazda teraz i bierzcie się zaraz do roboty.

Samochody ruszyły. Na drzwiach każdego z czerwonych kwadratowych baraków wymalowany był numer.

– Sześćdziesiąt – odczytał Tom. – Tu jest sześćdziesiąt. To musi być gdzieś w tej stronie. Tak, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dwa... O, to tu.

Al zaparkował maszynę tuż przy drzwiach małego domku. Rodzina Joadów zsunęła się ze szczytu obładowanej ciężarówki i rozglądała się oszołomiona. Zbliżyli się dwaj policjanci. Zajrzeli z bliska w twarze wszystkim po kolei.

– Nazwisko?

– Joad – odparł Tom niecierpliwie. – Powiedźcie, co się tu dzieje?

Jeden z policjantów wydobył długą listę.

– Nie ma ich tutaj. Widziałeś ich kiedy? Sprawdź ich prawo jazdy. No, jakbym wiedział, nie mają. Myślę, że wszystko w porządku. A teraz słuchajcie ludzie. Nie chcemy tu mieć z wami kłopotów. Weźcie się do roboty, pilnujcie własnego nosa, a wszystko będzie dobrze.

Odwrócili się gwałtownie i odeszli. U wylotu piaszczystej alejki usiedli na dwóch skrzyniach, skąd mogli widzieć ją całą. Tom odprowadził ich wzrokiem.

– No, przyjęli nas tak, że możemy się czuć jak u siebie w domu.

Matka otworzyła drzwi baraku i weszła do środka. Podłoga była zachlupana tłuszczem. W jednej izbie stał na czterech ceglach zardzewiały żelazny piecyk. Wylot jego zardzewiałej również rury znajdował się ponad dachem. W izbie unosił się zapach potu i tłuszczu. Rose of Sharon stanęła za matką.

– To tu będziemy mieszkać?

Matka milczała przez chwilę.

– Ano, pewnie – odpowiedziała wreszcie. – Wcale nie będzie tak źle, jak się izbę porządnie wyszoruje. Trzeba tylko posprzątać.

– Wolę namiot – rzekła Rose of Sharon.

– Tu jest podłoga – zwróciła uwagę matka. – I w czasie deszczu dach nie będzie przeciekał. – Odwróciła się do drzwi i powiedziała: – Nie ma co, trzeba się wypakować.

Mężczyźni w milczeniu zdejmowali toboły z ciężarówki. Ogarnął ich lęk. Nad wielkim czworobokiem baraków wisiała cisza. Uliczką przeszła jakaś kobieta, lecz nie podniosła oczu na przybyszów. Kroczyła ze spuszczoną głową. Rąbek jej brudnej, barwnej perkalowej sukni zwisał w strzępach, które łopotały niby małe chorągiewki.

Także Ruthie i Winfield poczuli się jak zmrożeni. Nie pobiegli zwiedzać obozu. Trzymali się w pobliżu samochodu i rodziny. Z żałosnymi minami patrzyli to w jedną, to w drugą stronę piaszczystej alejki. Winfield znalazł kawałek drutu i wyginał go tak długo, aż drut się złamał. Z krótszego kawałka chłopiec zrobił małą korbkę i obracał ją niestrudzenie w palcach.

Tom i ojciec wnosili do domku materace, gdy ukazał się urzędnik biurowy w spodniach koloru khaki, niebieskiej koszuli i czarnym krawacie. Na nosie miał okulary w srebrnej oprawie. Przez grube szkła spoglądały zmęczone, zaczerwienione oczy. Spojrzenie nieruchomych źrenic przywodziło na myśl małe oczka byka. Pochylił się do przodu, by lepiej widzieć Toma.

– Muszę was zapisać – powiedział. – Ile osób stanie do pracy?

– Jest nas czterech mężczyzn. Czy to ciężka robota?

– Zrywanie brzoskwiń – wyjaśnił urzędnik. – Praca na akord. Płacimy pięć centów za skrzynkę.

– A czy nasze dzieciaki mogłyby pomagać?

– Czemu nie, jeżeli potrafią obchodzić się ostrożnie z owocami.

Na progu stanęła matka.

– Jak tylko uprzątnę mieszkanie, przyjdę pomóc przy robocie. Ale, proszę pana, my nie mamy co jeść. Czy dostaniemy zaliczkę?

– No nie, zaliczek nie dajemy. Ale możecie coś dostać na kredyt w sklepiku spożywczym.

– Chodźcie prędzej, śpieszmy się! – zawołał Tom. – Chciałbym jeszcze dziś wieczorem zjeść trochę chleba i mięsa. A dokąd to mamy iść, proszę pana?

– Właśnie się tam wybieram. Chodźcie ze mną!

Tom, ojciec, Al i stryj John ruszyli za biuralistą piaszczystą alejką i weszli do sadu pomiędzy drzewa brzoskwiniowe. Wąskie liście przybierały już

bladożółty odcień. Z gałęzi zwisały owoce niby małe złociste i czerwone kule. Wśród drzew piętrzyły się stosy pustych skrzynek. Wokoło snuli się ludzie, którzy zrywali owoce, napełniając nimi wiadra, a potem przekładali je do skrzynek i przenosili na punkt kontrolny. Na punktach tych całe ich stosy czekały na ciężarówki, a urzędnicy notowali przy nazwiskach robotników ilość załadowanych skrzynek.

– Macie tu czterech nowych – poinformował urzędnika przewodnik Joadów.

– Dobrze. Pracowaliście już kiedy przy zbiorze owoców?

– Nie, nigdy – odparł Tom.

– No to zrywajcie ostrożnie. Nie wolno pakować do skrzynek owoców uszkodzonych, zgniłych ani odpadków. Pogniecione brzoskwinie nie liczą się w rachunku. Tu są wiadra.

Tom podniósł trzygalonowe wiadro i obejrzał je.

– Dno ma dziurawe jak sito – zauważył.

– Wiadomo – potwierdził krótkowzroczny biuralista. – Tylko dlatego ludzie ich nie kradną. Dobrze, weźcie tamten odcinek. Jazda!

Czterej Joadowie zabrali wiadra i zagłębili się w sad.

– Ci nie tracą czasu – rzucił Tom.

– Psiakrew! – westchnął Al. – Wolałbym pracować w warsztacie samochodowym!

Ojciec kroczył ulegle przez ogród za innymi. Nagle odwrócił się do Ala.

– No, dość tego dobrego! Cały czas wzdychałeś, jęczałeś i stroiłeś grymasy. Teraz do roboty! Jeszcześ nie taki dorosły, żebym nie mógł wygarbować ci skóry.

Al zaczerwienił się z gniewu. Już miał wybuchnąć, gdy zbliżył się do niego Tom.

– Chodź – powiedział spokojnie. – Musimy zarobić na chleb i mięso.

Zrywali owoce i wrzucali je do wiader. Tom pracował zapamiętane. Napełnił jedno wiadro, potem drugie i opróżnił je do skrzyni. Za chwilę naładował po wręby trzecie wiadro i niebawem skrzynka była pełna.

– Zarobiłem piątkę! – zawołał.

Podniósł skrzynkę i zaniósł ją śpiesznie do punktu kontrolnego.

– Macie tu ładunek pięciocentowy – obwieścił urzędnikowi.

Kontroler zajrzał do skrzynki i obrócił kilka brzoskwiń.

– Wysypcie je tam – rozkazał. – To na nic. Mówiłem wam, że z owocami jak z jajkiem. Wyrzucaliście je z wiadra, co? No i każda, psiakrew, brzoskwinia potłuczona. Nie mogę wam tego zaliczyć. Układajcie ostrożnie, bo inaczej cała robota do chrzanu.

– Jak to, cholera...

– Hola, spokojnie! Uprzedzałem was przecież...

Tom spuścił oczy z posępną miną.

– Dobrze – odpowiedział. – Dobrze. – I wrócił śpiesznie do rodziny. – Możecie wyrzucić wszystko, coście zerwali. Wasze brzoskwinie wyglądają tak samo jak moje. Takich nie przyjmą.

– Co, u diabła... – zaczął Al.

– Trzeba zrywać ostrożniej. Nie wrzuca się brzoskwiń do wiadra. Musimy je układać.

Przystąpili znów do pracy, ale teraz obchodzili się z owocami delikatnie. Skrzynki napełniały się wolniej.

– Założę się, że można by coś wykombinować – powiedział Tom. – Gdyby Ruthie, Winfield i Rosasharn tylko układali owoce, byłoby dużo prędkiej i lepiej.

Odniósł na punkt kontrolny nową skrzynkę.

– A ta warta czy niewarta pięć centów?

Kontroler przejrzał brzoskwinie, sięgając w głąb kilku warstw.

– To już lepsza robota – osądził i wpisał skrzynkę na rachunek Joadów. – Byle tylko ostrożnie.

Tom pośpieszył z powrotem na swój odcinek.

– Zarobiłem piątkę! – wołał. – Zarobiłem piątkę! Tylko obrócić tak dwadzieścia razy, a będzie dolar!

Pracowali wytrwale przez całe popołudnie. Po pewnym czasie odnaleźli ich Ruthie i Winfield.

– Musicie się zabrać do roboty – powiedział ojciec. – Układajcie ostrożnie brzoskwinie w skrzynce. O, tak! Po jednej sztuce.

Dzieci przykucnęły i wybierały owoce z wiadra. Czekał już na nie cały rząd. Tom odnosił napełnione skrzynki do punktu kontrolnego.

– Siedem – liczył – osiem. Zarobiliśmy czterdzieści centów. Za to można już dostać porządny kawałek mięsa.

Popołudnie mijało. Ruthie próbowała się wymknąć.

– Jestem zmęczona – narzekała płaczliwie. – Muszę odpocząć.

– Ani mi się waż stąd odejść! – rozkazał ojciec.

Stryj John zrywał brzoskwinie powoli. Na dwa wiadra Toma udawało mu się napełnić zaledwie jedno. Mimo to nie przyśpieszał tempa.

Późnym popołudniem nadeszła ociężałym krokiem matka.

– Byłabym tu wcześniej, ale Rosasharn ni z tego, ni z owego zemdlą. Jedliście brzoskwinie – skarciła dzieci. – Teraz będą was brzuchy bolały, zobaczycie.

Krzepka postać matki poruszała się szybko. Porzuciła niebawem wiadro i zrywała owoce do fartucha. Do zachodu słońca rodzina napełniła dwadzieścia skrzynek.

Odniósłszy dwudziestą Tom powiedział:

– Zarobiliśmy dolara! Jak długo jeszcze pracujemy?

– Aż się zupełnie ściemni, dopóki tylko będziecie mogli cokolwiek dojrzeć.

– Dobrze, ale czy teraz dostaniemy coś na kredyt? Matka musi pójść i kupić.

– Naturalnie. Dam wam karteczkę na dolara. – Kontroler napisał coś na skrawku papieru i wręczył go młodemu Joadowi. Tom zaniósł kartkę matce.

– Proszę mamó. Na ten kwitek może mama dostać w sklepiku towaru za dolara.

Matka odstawiła wiadro i rozprostowała ramiona.

– Ale to włazi w krzyże za pierwszym razem, co?

– Pewnie. Ale wszyscy wprawimy się szybko. Niech się tylko mama uwinie i przyniesie coś na kolację.

– A na co miałbyś ochotę?

– Na mięso – wyznał Tom. – Na mięso, chleb i wielki dzbanek kawy z cukrem. Marzę o olbrzymiej porcji mięsa.

Ruthie uderzyła w lament:

– Mamó, my jesteście zmęczeni!

– No to chodźcie ze mną.

– Zmęczeni byli już, kiedy zaczynali pracować – oburzył się ojciec. – Rozpuścili się jak dziadowskie bicze. Jeśli się ich zawczasu nie nauczy rozumu, nie wyrośnie z nich nic dobrego.

– Jak tylko gdzieś osiadziemy na stałe, pośle się dzieciaki do szkoły – rzekła matka.

Oddaliła się ociężałym krokiem, Ruthie i Winfield ruszyli nieśmiało za nią.

– Czy będziemy tak co dzień pracować? – zapytał chłopiec.

Matka zatrzymała się, czekając na dzieci. Wzięła Winfielda za rękę.

– To nie jest ciężka robota – tłumaczyła. – To ci dobrze robi. Pomagasz nam przecież. Jak będziemy wszyscy pracowali, to już niedługo zamieszkamy w ładnym domku. Wszyscy musimy pomagać.

– Ale ja się tak zmęczyłem.

– Wiem. Ja też się zmęczyłam. Każdy się zmachał. Lepiej myśleć o czym innym. Wyobraź sobie, jak to będzie, kiedy zaczniesz chodzić do szkoły.

– Ja nie chcę chodzić do szkoły, mamó! Ruthie też nie chce. Widzieliśmy te dzieci, które chodzą do szkoły. Szczeniaki! Wymyślają nam od Oklaków. Ja ich znam. Nie pójdę do szkoły!

Matka spojrzała z litością na płową głowę chłopca.

– I bez ciebie mamy dosyć kłopotów. Jak tylko staniemy trochę na nogi, będziesz mógł pobrykać. Ale nie teraz. I tak mamy za swoje.

– A ja zjadłam sześć brzoskwiń – pochwaliła się Ruthie.

– No to na pewno dostaniesz biegunki. A tu nie ma nigdzie blisko ustępu.

Sklep spółki mieścił się w obszernej szopie z falistej blachy. Okna wystawowego nie było. Matka otworzyła osłonięte siatką drzwi i weszła do środka. Za ladą stał drobny, łysy jak kolano człeczyna. Czaszka jego lśniła sinawym odbłaskiem. Krzaczaste, kasztanowate brwi wznosiły się łukami nad oczami tak wysoko, że twarz jego miała wyraz jak gdyby zdumiony i nieco wystraszony. Nos, długi i cienki, był zakrzywiony jak dziób, nozdrza zarośnięte kępkami rudych włosów. Na rękawach niebieskiej koszuli nosił czarne ochraniacze z satyny. Gdy matka weszła do sklepu, stał wsparty łokciami o ladę.

– Dobry wieczór! – powiedziała.

Przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Brwi nad jego oczami uniosły się jeszcze wyżej.

– Moje uszanowanie!

– Mam tu karteczkę na dolara.

– Może pani dostać towaru za dolara – oznajmił i roześmiał się piskliwie.

– Tak, proszę pani. Za dolara. – Ruchem ręki wskazał towary w sklepie. – Co tylko pani zechce.

Wyglądził starannie satynowe ochraniacze.

– Myślę, że chyba kawałek mięsa.

– Mamy wszystkie gatunki mięsa. Na przykład mielone. Może by tak mielonego? Dwadzieścia centów funt.

– To strasznie drogo! Zdaje się, że kiedy ostatnio kupowałam mielone mięso, płaciłam po piętnaście.

– No tak! – zaśmiał się cicho. – Tak, to drogo, a z drugiej strony wcale niedrogo. Niech się pani wybierze do miasta po parę funtów mielonego mięsa, a będzie to panią kosztowało galon benzyny. Widzi pani, że w gruncie rzeczy wcale nie jest drogo, bo nie traci pani galona benzyny.

Matka odparła chłodno:

– Ale sprowadzenie tego mięsa nie kosztowało pana galona benzyny.

Roześmiał się ubawiony.

– Pani odwraca kota ogonem. My nie kupujemy, my sprzedajemy. Gdybyśmy kupowali, wtedy byłoby całkiem co innego.

Matka przyłożyła dwa palce do ust i zmarszczyła brwi w namyśle.

– Wygląda, że to same żyły i tłuszcz.

– Nie ręczę, czy się nie wytopi – zastrzegł się sklepikarz. – I wcale nie mówię, że sam jadłbym to mięso. Ale tyle jest rzeczy, których bym nie robił.

Joadowa patrzyła na niego przez chwilę z gniewem, ale opanowała się i spytała spokojnie:

– A nie ma pan jakiegoś tańszego mięsa?

– Kości na zupę – zaproponował. – Dziesięć centów funt.

– Ale to same kości.

– Ano, kości – przyznał. – Można na nich ugotować dobrą zupę. Ale to tylko kości.

– A ma pan może wołowinę na rosół?

– A jakże! Naturalnie! Dwadzieścia pięć centów funt!

– Chyba nie będę mogła sobie pozwolić na mięso – rzekła matka. – Ale moi domagają się mięsa. Powiedzieli, że mają ochotę na mięso.

– Każdy ma apetyt na mięso, każdy go potrzebuje. To mielone mięso jest pierwsza klasa. Z tłuszczu, co się wytopi, zrobi pani sos. Palce lizać. Nic nie odchodzi. Żadnych kości do wyrzucenia.

– A... a po czemu boczek?

– O, teraz pyta już pani o artykuły luksusowe. Świąteczne. Trzydzieści pięć centów funt. Taniej już mógłbym pani sprzedać indyka, gdybym

naturalnie miał indyki.

Matka westchnęła.

– Niech mi pan da dwa funty mielonego.

– W tej chwili, proszę pani.

Nabrał łypatką blad różowego mięsa i położył je na kawałku woskowanego papieru.

– Czym jeszcze mogę służyć?

– Poproszę o chleb.

– Proszę bardzo. Piękny duży bochenek – piętnaście centów.

– Przecież to bochenek dwunastocentowy!

– Racja. Tylko niech pani pojedzie do miasta, żeby go kupić za dwanaście centów. Galon benzyny! Czego pani jeszcze sobie życzy? Może ziemniaków?

– A tak. Niech pan da ziemniaków.

– Pięć funtów za ćwierć dolara.

Joadowa ruszyła groźnie ku sklepikarzowi.

– Dość tego! Przecież wiem, ile kosztują w mieście.

Człowieczek zacisnął wargi.

– No to niech pani kupi sobie w mieście.

Matka spojrzała na swoje palce.

– Co to znaczy? – zapytała cicho. – Czy pan jest właścicielem tego sklepu?

– Nie. Ja tu tylko pracuję.

– To dlaczego kpi pan sobie z ludzi? Czy panu z tym dobrze?

Przyglądała się swym świecącym, pomarszczonym rękoma. Sprzedawca milczał.

– A do kogo należy ten sklep?

– Do Hoopera i Spółki, proszę pani.

– I oni ustalają ceny?

– Tak, proszę pani.

Podniosła oczy, uśmiechając się słabo.

– I pewnie każdy, kto tu przychodzi, gada to samo co ja i wścieka się, nie?

Przez chwilę ociągał się z odpowiedzią.

– Tak, proszę pani.

– I dlatego kpi pan sobie z ludzi?

– O co pani chodzi?

– Zajmować się taką brudną robotą! Nie wstyd panu? Musi pan się wygłupiać, prawda?

Głos jej brzmiał łagodnie. Sklepikarz patrzył na nią jak urzeczony. Nie odpowiadał.

– Bo tak przecież jest – zakończyła matka. – Czterdzieści centów mięso, piętnaście chleb, dwadzieścia pięć ziemniaki. Razem osiemdziesiąt. A kawa?

– Najtańsza dwadzieścia centów, proszę pani.

– I już po dolarze. Pracowało nas siedmioro, a wystarczyło zaledwie na kolację. – Utkwiła wzrok w swej dłoni. – Niech pan zapakuje – powiedziała szybko.

– Tak jest, proszę pani. Dziękuję.

Włożył ziemniaki do papierowej torby i zawinął ją starannie od góry. Oczywiście biegły od czasu do czasu ukradkiem do Joadowej, a potem znów wracały do pakowanych zakupów. Spoglądała na niego, uśmiechając się z lekka.

– W jaki sposób dostał pan taką posadę? – zapytała.

– Człowiek musi żyć... – zaczął, po czym rzucił wyzywająco: – Człowiek ma prawo żyć.

– Jaki człowiek? – zapytała.

Położył na ladzie cztery paczki.

– Mięso, ziemniaki, chleb, kawa. Akurat jeden dolar.

Wręczyła mu karteczkę i śledziła, jak wpisuje nazwisko i kwotę do książki kasowej.

– No – oświadczył – teraz jesteśmy w porządku.

Matka zabrała swoje sprawunki.

– Proszę pana – przypomniała sobie – brak nam cukru do kawy, a mój syn, Tom, ma ochotę na słodką kawę. Widzi pan, oni tam wszyscy jeszcze pracują. Niech mi pan da trochę cukru, a karteczkę przyniosę później.

Mały człowieczek odwrócił głowę, starając się nie patrzeć Joadowej w oczy.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział cicho. – Taki jest przepis. Nie mogę. Miałbym nieprzyjemności. Mogliby mnie nawet przymknąć.

– Ale przecież moi są jeszcze w ogrodzie przy pracy i zarobią kilkadziesiąt centów. Niech mi pan da trochę za dziesięć centów. Tom tak chciał kawy z cukrem. Ciągłe o tym mówił.

– Nie mogę tego zrobić, proszę pani. Byłoby to wbrew regulaminowi. Nie ma kartki, nie ma towaru. Kierownik wciąż to powtarza. Nie, nie mogę. Złapią mnie na tym. Niejednego już przyłapali. Nie mogę.

– Za dziesięć centów!

– Ani za centa, proszę pani.

Patrzył na nią błagalnie. I nagle twarz jego straciła wyraz lęku. Wyjął z kieszeni dziesięć centów i wrzucił je do automatycznej kasy.

– W porządku! – zawołał z ulgą.

Wyciągnął spod łady małą torebkę, zaczerpnął szufelką trochę cukru, zważył torebkę i dosypał jeszcze trochę.

– No, teraz wszystko w porządku – powiedział. – Niech mi pani przyniesie kwitek, a ja odbiorę swoje dziesięć centów.

Matka przypatrywała mu się z uwagą. Wyciągnęła machinalnie rękę i położyła torebkę z cukrem na paczkach, które przytrzymywała zgiętym ramieniem.

– Dziękuję panu! – powiedziała spokojnie. Ruszyła do drzwi i zatrzymała się w progu. – Jednej rzeczy uczę się teraz. Uczę się co dzień. Kiedy człowiek ma jakiś kłopot, kiedy jest w potrzebie albo go coś boli, pomogą mu tylko ludzie ubodzy. Tylko biedak potrafi wspomóc człowieka.

Osłonięte siatką drzwi zatrzasnęły się za nią.

Łysy człeczyna wsparł się łokciami o ladę i patrzył za kobietą zdumionym wzrokiem. Na kontuar wskoczył gruby bury kot w żółte łaty, zbliżył się leniwie do sklepikarza i ocierał o jego ramiona. Sprzedawca wyciągnął rękę i przytulił go do policzka. Kot mruczał głośno, a koniuszek jego ogona poruszał się rytmicznie.

Tom, Al, ojciec i stryj wyszli z sadu, gdy zapadł już głęboki zmrok. Z trudem odrywali nogi od ziemi.

– Kto by to pomyślał, że od samego sięgania po owoce i zrywania mogą tak boleć plecy – dziwił się ojciec.

– Za parę dni to minie – pocieszał Tom. – Tato, jak zjemy, chcę wyjść i zobaczyć, co się tam dzieje za bramą. Nie daje mi to spokoju. Pójdzie tato ze mną?

– Nie – odparł ojciec. – Mam ochotę przez jakiś czas tylko pracować i nie zawracać sobie głowy niczym innym. Czuję się, psiakrew, jakbym nie wiem

jak długo bił głową o ścianę. Nie, trochę sobie posiedzę, a potem położę się spać.

– A ty, Al?

Al odwrócił oczy.

– Chyba się wpierw rozejrzę po obozie – wymówił się.

– No, wiem, że stryj John też nie pójdzie. Widzę, że będę musiał wybrać się sam. Ciekawość nie daje mi spokoju.

– Żebym ze skóry wyłaził z ciekawości, to i tak bym się nie śpieszył – odparł ojciec. – Tam się roi od policjantów.

– Może w nocy ich nie będzie – próbował go przekonać Tom.

– O, ja tam nie będę tego sprawdzał. I radzę ci, nie mów matce, dokąd idziesz, bo będzie się o ciebie znowu martwiła.

Tom zwrócił się do Ala.

– A ty nie jesteś ciekawy?

– Wpierw rozejrzę się tutaj, na miejscu.

– Za dziewczuchami, co?

– To moja rzecz – odparł Al kwaśno.

– A ja i tak pójdę – oświadczył Tom.

Wyszli z sadu na piaszczystą alejkę pomiędzy czerwonymi barakami. W niektórych drzwiach błyszczało mdłe, żółte światło latarni naftowych. W mrocznych wnętrzach poruszały się czarne sylwetki ludzkie. U wylotu alejki siedział wciąż wartownik z fuzją wspartą o kolano.

Gdy go mijali, Tom przystanął.

– Można się tu gdzie wykąpać, proszę pana?

Wartownik przyjrzał mu się bacznie w półmroku. Wreszcie zapytał:

– Widzicie ten zbiornik z wodą?

– A jakże.

– Jest tam gumowy wąż.

– A ciepła woda jest?

– Za kogo wy się uważacie, do jasnej cholery? Za milionera?

– Nie – zaprzeczył Tom. – Na pewno nie! Dobranoc panu.

Strażnik mruknął pogardliwie:

– Gorącej wody mu się zachciewa, psia jego mać! Niedługo zażąda łazienki z wanną.

Ponurym wzrokiem zmierzył czterech oddalających się Joadów. Zza baraku wyszedł drugi wartownik.

– Co się stało, Mack?

– To te przeklęte Oklaki. Pyta się jeden: „Czy jest tu ciepła woda?”.

Drugi strażnik wsparł kolbę strzelby o ziemię.

– To wszystko przez te rządowe obozy. Mogę się założyć, że ten gość był w takim obozie. Nie będziemy mieli spokoju, dopóki się nie zrobi porządku z tymi obozami. Ani się obejrzymy, a zaczną się dopominać o czyste prześcieradła.

– A jak tam wygląda za główną bramą? – zainteresował się Mack. – Słyszałeś może co nowego?

– Ano, przez cały dzień wydzierali się wniebogłosy. Ale policja ma drani w rękę i da im szkołę. Podobno buntuje ich jakiś wysoki, chudy skurwysyn. Mówił jeden gość, że mają go capnąć tej nocy. Rozniosą dziada w strzępy.

– Jak to wszystko pójdzie za gładko, to stracimy robotę – powiedział Mack.

– Nie stracimy, nie bój się! Te cholerne Oklaki! Nie można ich spuścić z oka! A jak się uciszą, to zawsze potrafimy dolać trochę oliwy do ognia.

– Będzie heca dopiero wtedy, jak obetną stawki.

– Jeszcze jaka! Nie, nie potrzebujemy się martwić o robotę, póki kutwa Hooper obdziera ludzi ze skóry.

W baraku Joadów huczał ogień. Mielone kotlety skwierczały w rozpryskującym się tłuszczu, w garnku bulgotały ziemniaki. W izbie było pełno dymu, żółte światło latarni rzucało na ściany czarne cienie. Matka krzątała się przy ogniu. Rose of Sharon siedziała na skrzyni, opierając ciężki brzuch na kolanach.

– Lepiej się teraz czujesz? – zapytała matka.

– Mdli mnie od zapachu jedzenia, ale jeść mi się chce.

Do domku wkroczyli gromadnie mężczyźni.

– Jak Boga kocham, mięso! – zawołał Tom. – I kawa! Od razu poczułem. Rety, jak mi się chce jeść. Opchałem się brzoskwiniami, ale to żadne żarcie. Gdzie możemy się umyć, mamó?

– Idźcie do zbiornika i umyjcie się. Wysłałam już tam Ruthie i Winfielda.

Mężczyźni znowu wyszli.

– Wstawaj, Rosasharn! – zawołała matka. – Usiądź albo na progu, albo na łóżku. Muszę porąbać tę skrzynkę.

Rose of Sharon wstała, podpierając się rękami. Podeszła ociężale do jednego z materaców i usiadła na nim. Do baraku wsunęli się jak trusie Ruthie i Winfield, skradając się w milczeniu pod ścianę, by ich nie zauważono.

Matka spojrzała na nich i powiedziała:

– Coś mi się zdaje, że podoba wam się, że nie jest tu bardzo jasno. – Zbliżyła się do Winfielda i dotknęła jego włosów. – No, mokry jesteś, ale założę się, że brudny.

– Nie mieliśmy mydła – skarżył się Winfield.

– To prawda. Nie mogłam kupić mydła. Dziś nie. Może jutro wystarczy pieniędzy na kawałek.

Wróciła do piecyka, rozstawiła talerze i zaczęła dzielić kolację: po dwa kotlety i po dużym kartoflu na osobę. Na każdym talerzu kładła po trzy kawałki chleba. Gdy zdjęła już z patelni wszystkie kotlety, połała każdą porcję odrobiną tłuszczu. Mężczyźni wrócili do izby – twarze ich ociekały wodą, mokre włosy lśniły.

– Dajcie jeść! – krzyknął Tom.

Każdy wziął swój talerz. Jedli w milczeniu, łapczywie, wycierając tłuszcz chlebem. Dzieci schroniły się w kąt izby, postawiły talerze na podłodze i klęczały nad jedzeniem jak małe zwierzątka.

Tom przełknął ostatni kęs chleba i zapytał:

– Jest jeszcze, mamó?

– Nie, nie ma więcej. Zarobiliście dolara i to wszystko kosztuje dolara.

– Aż tyle?

– Tu za wszystko płaci się drożej. Jak tylko się da, trzeba będzie robić zakupy w mieście.

– Wcale nie czuję się najedzony – wyznał Tom.

– No, jutro będziecie pracowali przez cały dzień i wieczorem najecie się do syta.

Al otarł usta rękawem.

– Pójdę chyba rozejrzeć się trochę po obozie.

– Czekał, idę z tobą. – Tom wyszedł za nim z baraku. W ciemności przysunął się do brata, mówiąc: – Naprawdę nie masz ochoty wybrać się ze mną?

– Nie. Mówiłem już, że wolę się przejść po obozie.

– Jak chcesz – zgodził się Tom.

Odwrócił się i ruszył uliczką w dół. Dym unoszący się z baraków słał się nisko nad ziemią. Latarnie rzucały na drogę jasne zarysy drzwi i okien. Na progach domków siedzieli zapatrzeni w mrok ludzie. Tom widział, jak odwracali głowy, śledząc go wzrokiem. Uliczka obozowa przeszła w polną drogę, prowadzącą przez rżysko. W świetle gwiazd majaczyły ciemne kopki. Na zachodzie wisiał nisko blady sierp księżyca, wyżej widać było odcinający się na tle nieba szeroki pas Mlecznej Drogi. Piaszczysta droga, snująca się ciemną wstęgą przez ściernisko, tłumiała kroki Toma. Włożył ręce w kieszenie i ociężałym krokiem zmierzał ku głównej bramie. Wzdłuż drogi ciągnął się rów irygacyjny. Młody Joad słyszał szmer wody płynącej wśród traw po jego dnie. Wdrapał się na skarpę rowu, spojrzał w głąb ciemnej wody i ujrzał w niej zniekształcone odbicie gwiazd. Przed nim ciągnęła się szosa. Widział ją wyraźnie w świetle reflektorów przejeżdżających samochodów. Ruszył dalej w tym kierunku. W blasku gwiazd mógł już dojrzeć wysoką bramę.

Przy drodze poruszyła się jakaś postać. Rozległ się głos:

– Hej! Kto tam?

Tom stanął jak wryty.

– Kto tam?

Mężczyzna wstał i podszedł bliżej. Tom dojrzał w jego dłoni karabin. Potem na twarz Joad'a padło światło latarki.

– Dokąd to się wybieracie?

– Chciałem się trochę przejść. Nie wolno?

– Lepiej wybierzcie sobie inną drogę.

– A czy w ogóle nie wolno wyjść poza obóz?

– Nie, dziś w nocy nie wolno. Wracacie dobrowolnie, czy mam zagwizdać o pomoc i wziąć was za łeb?

– Po kiego diabła! – zawołał Tom. – Wcale mi na tym nie zależy. Jak ma być awantura, to pluję na wszystko i wracam.

Strażnik wyraźnie zmiękł. Latarka zgasła.

– Widzicie, to dla waszego dobra. Moglibyście wpaść w łapy tych zwariowanych pikiet strajkowych.

– Jakich pikiet?

– A tych cholernych czerwonych.

– Tak? – zdziwił się Tom. – Nic o nich nie wiedziałem.

– Widzieliście ich przecie, kiedyście tu przyjechali.

– Widziałem co prawda kupę ludzi, ale tylu tam się kręciło policjantów, że trudno się było połapać. Myślałem, że to jakiś wypadek.

– Tak czy owak, radzę wracać!

– Dobrze, proszę pana.

Zawrócił i ruszył z powrotem do obozu. Uszedł spokojnie ze sto metrów drogą, po czym stanął, nasłuchując. Gdzieś koło rowu rozlegało się żalosne nawoływanie szopa, z daleka dochodziło gniewne wycie uwiązane na łańcuchu psa. Tom usiadł przy drodze, wciąż natężając słuch. Słyszał przytłumiony, cienki chichot lelka i ostrożne skradanie się jakiegoś zwierzątka czołgającego się przez rzysko. Rozejrzał się po widnokręgu – na prawo i na lewo niebo było zbyt ciemne, by na jego tle mogło się coś odcinać. Tom wstał i przeszedł z wolna na prawą stronę drogi, a potem wkroczył na ściernisko zgięty wpół, tak że prawie nie wystawał ponad kopki zboża. Poruszał się ostrożnie, przystając co jakiś czas i nasłuchując. Wreszcie dotarł do ogrodzenia: pięciu rzędów naciągniętego sztywno kolczastego drutu. Tu położył się na wznak, przesunął głowę pod najniższym rzędem, podniósł go oburącz do góry i odpychając się stopami od ziemi, prześliznął się na drugą stronę.

Zamierzał się właśnie podnieść, gdy skrajem drogi przeszła grupa mężczyzn. Tom zaczekał, aż się oddalą, a potem wstał i ruszył ich śladem. Rozejrzał się, czy przy szosie nie zobaczy namiotów. Minęło go kilka samochodów. Polami na przelaj płynął strumień, przecięty szosą, na której w tym miejscu był mały betonowy mostek. Tom spojrzał z mostku w dół. Na dnie głębokiego wąwozu dostrzegł namiot, w którym paliła się lampa. Przyglądał mu się przez chwilę, obserwując cienie sylwetek ludzkich na płótnie, po czym przelazł przez płot i przedarłszy się przez gąszcz krzaków i karłowatych wierzb, zsunął się do wąwozu. Nad małym strumykiem odkrył wydeptaną ścieżkę. Przed namiotem siedział na skrzyni mężczyzna.

– Dobry wieczór! – powiedział Tom.

– Coście za jeden?

– Ano... właśnie... szedłem sobie tędy.

– Znacie tu kogoś?

– Nie. Mówię, że tak tylko przechodziłem...

Z namiotu wysunęła się głowa i rozległ się głos:

– Co się tam stało?

– Casy! – wykrzyknął Tom. – Casy! Co wy tu, do diabła, robicie?

– A to dobre! Przecież to Tom Joad! Chodź tu, Tommy! Chodź do namiotu!

– Znacie go? – zapytał mężczyzna siedzący przed namiotem.

– Czy go znam? No chyba! Znam go od lat. Razem z nim przyjechałem na zachód. Wchodź prędzej, Tom! – Chwycił Joad za łokieć i wciągnął do namiotu.

Wewnątrz prócz Casy’ego było jeszcze trzech mężczyzn, którzy rozsiedli się na ziemi. Pośrodku namiotu paliła się lampa naftowa. Mężczyźni spojrzeli podejrzliwie na Toma. Jeden z nich, śniady i pochmurny, wyciągnął rękę i powiedział:

– Miło mi was poznać. Słyszałem, co mówił Casy. To ten właśnie gość, o którym nam opowiadaliście?

– Tak, to on. A to dobre! Gdzie wasza rodzina? Co wy tu robicie?

– Ano słyszeliśmy – mówił Tom – że w tych stronach można dostać robotę. Ledwie przyjechaliśmy, gromada policjantów zapędziła nas do tego majątku. Całe popołudnie zrywaliśmy brzoskwinie. Widziałem chmarę wrzeszczących ludzi. Nikt mi nie chciał wytłumaczyć, o co chodzi, więc wyszedłem sam zobaczyć. Ale skąd, u diabła, wyście się tu wzięli, Casy?

Pastor pochylił się nieco i żółte światło lampy padło na jego wysokie, blade czoło.

– Więzienie to dziwne, zabawne miejsce – zaczął. – Nieraz przecież odchodziłem już jak Jezus na pustynię, żeby wreszcie zrozumieć to i owo. Czasem zdawało mi się, że jeszcze trochę, a pojmem wszystko. Ale naprawdę zrozumiałem dopiero w więzieniu. – Patrzył na Toma bystrymi, wesołymi oczami. – Siedziałem w wielkiej jak stodoła, starej, odrapanej celi. Zawsze w niej było pełno: co którego wypuścili, na jego miejsce zaraz przychodził nowy. No i naturalnie rozmawiałem z każdym.

– No, na pewno! – zawołał Tom. – Gadać lubiliście zawsze. Jakby was nawet mieli wieszać, to i tak przedtem nagadalibyście się ile wlezie z katem. W życiu nie widziałem większego gaduły.

Mężczyźni w namiocie roześmieli się. Drobny, wysuszony człeczyna o pomarszczonej twarzy trzepnął się w kolano.

– Gada bez przerwy – potwierdził. – Ale ludzie lubią go słuchać.

– Był kiedyś pastorem – wyjaśnił Tom. – Mówił wam o tym?

– A jakże, mówił.

Casy uśmiechnął się.

– Tak, tak – ciągnął dalej – dopiero w więzieniu zaczęło mi trochę świtać w głowie. Niektórzy trafiali do ciupy za pijaństwo, ale większość za kradzież. A przeważnie kradli coś takiego, czego potrzebowali i czego nie mogli zdobyć inaczej. Rozumiecie? – zapytał.

– Nie – odpowiedział Tom.

– Trzeba wam wiedzieć, że to byli całkiem porządni ludzie; kradli, bo musieli, bo to czy owo było im koniecznie potrzebne. Wtedy właściwie zacząłem rozumieć. Pojąłem, że to z tej nędzy są wszystkie kłopoty i nieszczęścia. Ale jeszcze tego całkiem nie zgłębiłem. Widzicie, któregoś dnia dali nam fasolę kwaśną jak diabli. Jeden gość podniósł wrzask, ale choć darł się wniebogłosy, nic to nie pomogło. Przyszedł tylko kalifaktor, zajrzał i poszedł sobie. Wtedy zaczął wrzeszczeć jeszcze jeden. A potem darliśmy się już wszyscy. Wszyscy na jeden ton i powiadam wam, myślałem, że od tego krzyku cała buda rozpadnie się w kawałki. No i przylecieli biegiem i dali nam co innego do jedzenia. Rozumiecie teraz, o co chodzi?

– Nie – odpowiedział Tom.

Casy wsparł brodę na rękach.

– Może nie umiem wam dobrze wytłumaczyć – stwierdził. – Może musicie sami dojść do tego. Gdzie podzieliście czapkę?

– Wyszedłem bez czapki.

– A jak się ma siostra?

– Gruba dziewczucha jak krowa. Założę się, że urodzi bliźnięta. Jeszcze trochę, a będzie musiała wozić brzuch na kółkach. Teraz podtrzymuje go sobie rękami. Ale wy wciąż nie mówicie, co się tu dzieje.

– Strajkujemy. To, co się dzieje, to strajk – odezwał się pomarszczony człowieczek.

– Ano, pięć centów od skrzynki to niedużo, ale przeżyć można.

– Pięć centów? – wykrzyknął pomarszczony. – Pięć centów? Płacą wam pięć centów?

– A płacą. Dziś zarobiliśmy półtora dolara.

W namiocie zapadła głęboka cisza. Casy utkwiał wzrok w wejściu do namiotu, za którym rozpościerała się ciemna noc.

– Posłuchaj, Tom – powiedział w końcu. – Zgłosiliśmy się tu do pracy. Obiecywali nam, że będą płacić po pięć centów od skrzynki. Było nas

do licha i trochę. Kiedyśmy się znaleźli na miejscu, powiedzieli, że płacą dwa i pół centa. Z takiego zarobku jeden człowiek się nie wyżywi, a coś dopiero, jeżeli ma dzieci. Więc my na to, że się nie zgadzamy. Wtedy przepędzili nas, a policja z całego świata wsiadła nam na kark. Teraz dają wam po pięć, ale czy myślicie, że utrzymają tę stawkę, kiedy złamią nasz strajk?

– Nie wiem – odparł Tom. – Teraz płacą po pięć.

– Pomyśl, Tom – tłumaczył Casy. – Próbowaliśmy obozować razem i rozpędzili nas jak bydło. Na cztery wiatry. Tłukli ludzi na kwaśne jabłko. Gnali jak bydło. I was też napędzili do roboty jak owce. Długo już nie wytrzymamy. Niektórzy strajkujący od dwóch dni nic w ustach nie mieli. Wracacie tam dzisiaj?

– Mam zamiar – odpowiedział Tom.

– No to opowiedzcie ludziom, jak z tym jest naprawdę. Wy tłumaczcie im, że przez nich tu przymieramy głodem i że sami wbijają sobie nóż w plecy. Bo jak amen w pacierzu ledwie nas stąd wykurzą, obniżą i im na dwa i pół centa od skrzynki.

– Powiem, ale doprawdy nie wiem, jak to zrobić – mówił Tom. – Nigdy nie widziałem tylu strażników z bronią. Nie wiem nawet, czy dadzą mi gębę otworzyć. Nie wolno wyjść za bramę ani w dzień, ani w nocy. Ludzie chodzą po obozie ze zwieszonymi głowami i jeden drugiemu nawet dzień dobry nie powie.

– Starajcie się przemówić do nich, wytłumaczcie, że gdy tylko nas stąd wykurzą, dostaną po dwa i pół centa od skrzynki. A czy wiecie, co to znaczy? Żeby zarobić dolara trzeba zebrać i odnieść do wagi tonę brzoskwiń. – Spuścił głowę. – Nie, nie można się na to zgodzić. Przy takiej stawce nie starczy nawet na jedzenie. Z tego nie można żyć.

– Spróbuję wytłumaczyć to ludziom.

– A jak się miewa matka?

– Doskonale. Podobało jej się w tym obozie rządowym. Natryski, gorąca woda.

– Tak, słyszałem o tych obozach.

– Było tam bardzo przyjemnie, ale ani rusz nie mogliśmy znaleźć pracy. Musieliśmy wyjechać.

– Chciałbym się dostać do takiego obozu – wyznał Casy. – Chętnie bym go obejrzał. Podobno wcale nie zagląda tam policja.

– Ludzie mają tam swoją własną policję.

Casy podniósł wzrok z ożywieniem.

– I nie było żadnych awantur? Bójek, kradzieży, pijatyk?

– Nie – odparł Tom.

– No, a gdyby się ktoś źle zachowywał, to co? Co by z nim zrobili?

– Wyrzuciliby go z obozu.

– Ale często się to nie zdarzało?

– Co to, to nie! – zawołał Tom. – Mieszkaliśmy tam miesiąc i przez ten czas spotkało to tylko jednego gościa.

Oczy Casy’ego błyszczały z podniecenia. Zwrócił się do pozostałych mężczyzn.

– Widzicie? – zawołał. – Mówiłem, że z policji jest więcej szkody niż pożytku. Słuchaj, Tom! Może uda się namówić ludzi, aby rzucili robotę. Będą ją mieli i tak za parę dni. Brzoskwinie już dojrzały. Wy tłumaczcie im to.

– Nie zrobią tego – powiedział Tom. – Dostają swoje pięć centów i nic ich poza tym nie obchodzi.

– Ale niech tylko tamci złamią nasz strajk, nie dostaną pięciu centów.

– Nie wbije im się tego w głowę. Mają teraz pięć, i to jedno ich tylko obchodzi.

– No, w każdym razie pogadajcie z nimi.

– Ojciec na to nie pójdzie – powiedział Tom. – Znam go dobrze. Powie, że to nie jego rzecz.

– To prawda – przyznał Casy ze smutkiem. – Myślę, że macie rację. Zrozumie dopiero wtedy, kiedy sam po łbie oberwie.

– Przed przyjazdem tutaj nie mieliśmy już zupełnie co jeść – mówił Tom.

– A dziś wieczorem było na kolację mięso. Tyle, co kot napłakał, ale zawsze było. Myślicie, że ojciec wyrzeknie się mięsa, bo inni nie mają co jeść? A Rosasharn powinna pić mleko. Myślicie, że matka zgodzi się zamorzyć dziecko dlatego, że ta banda za bramą wydiera się wniebogłosy?

Casy powiedział z żalem:

– Chciałbym, żeby potrafili to zrozumieć. Chciałbym, żeby zrozumieli, że tylko wtedy mogą liczyć na mięso. O, niech to wszyscy diabli! Czasem jestem taki zmęczony, taki zmęczony, że mam wszystkiego dość. Znałem jednego gościa. Wpakowali go do więzienia wtedy, kiedy i ja tam siedziałem. Za to, że starał się założyć związek zawodowy. I założył, ale

szpicle rozbili mu całą organizację. I wiecie co? Wysadzili go ci sami ludzie, którym chciał pomóc. Wyparli się go zupełnie. Bali się z nim pokazać. Mówili: „Uciekaj, bo narażasz nas na niebezpieczeństwo”. No i chłopą zabolalo to bardzo. Ale mimo to mówił: „Człowiek przestaje się przejmować, kiedy rozumie co i jak. Choćby taka rewolucja francuska. Wszystkim, co ją rozpoczęli, poucinano głowy”. I powiada jeszcze: „To już tak być musi, to jak deszcz, który wiadomo, że spadnie. A człowiek nie zabiera się do takiej roboty dla własnej przyjemności. Robi, bo tak trzeba. Bo taki już jest. Taki na przykład Waszyngton, powiada, zrobił rewolucję, a potem te skurwysyny zwróciły się przeciwko niemu. To samo było z Lincolnem. Byli tacy, co darli się głośno, że trzeba go zabić. To już tak być musi, to jak deszcz, co na pewno spadnie”.

– Tak, to wszystko nie zabawka – wtrącił Tom.

– Nie, wcale nie zabawka. Tamten gość w więzieniu mówił: „Tak czy owak, człowiek robi, co może. O jednym tylko trzeba pamiętać: po każdym kroku naprzód można się cofnąć trochę, ale nigdy już człowiek nie cofa się na dobre. Można to wykazać jak na dłoni, mówił tamten gość, i przekonać się, że sprawa jest słuszna. Widać wtedy, że nic się nie zmarnowało, nawet jeśli wydaje się, że jest inaczej”.

– I znowu gadacie! – rzekł Tom. – Zawsze tylko gadacie! Weźcie mego brata, Ala. Poszedł poszukać sobie dziewczyny. Nic go poza tym nie obchodzi. Za parę dni przygrucha sobie jakąś dziewuszkę. O niczym innym nie myśli przez cały boży dzień i tylko tym się zajmuje w nocy. Akurat mu w głowie jakieś kroki w górę, w dół czy w bok!

– Ano pewnie! – zgodził się Casy. – Robi po prostu to, co musi. Każdy z nas jest taki sam.

Mężczyzna siedzący przed namiotem rozsunął szerzej zasłonę u wejścia.

– Niech to wszyscy diabli, coś mi się tu nie podoba!

Casy wyrztał za nim.

– O co chodzi?

– Sam nie wiem. Czuję coś przez skórę i na miejscu nie mogę usiedzieć.

– No, dobrze, ale o co chodzi?

– A bo ja wiem? Co chwila wydaje mi się, że coś słyszę, a jak nadstawię ucha – cisza.

– Nerwy was ponoszą – stwierdził pomarszczony człeczyna. Wstał i wyszedł z namiotu. Po chwili zajrzał do wnętrza. – Idzie wielka, czarna

chmura. Znosi się na burzę. To elektryka tak mu na nerwy działa. – I znowu dał nurka w ciemność.

Jego dwaj towarzysze podnieśli się i wyszli także z namiotu.

– Wszyscy są zdenerwowani – mówił półgłosem Casy. – Policjanci odgrażali się, że nam kości porachują i wypędzą nas z hrabstwa. Myślą, że to ja jestem przywódcą, bo gadam za dziesięciu.

Pomarszczona twarz zajrzała znowu do namiotu.

– Casy, zgaście lampę i chodźcie! Coś się święci.

Casy przykręcił knot. Płomień opadł, potem znów wystrzelił i zgasł. Pastor po omacku wydostał się z namiotu. Tom podążył za nim.

– Co się stało? – zapytał szeptem Casy.

– Nie wiem. Słuchajcie no!

W ciszę wtapiało się chóralne granie żab i wysokie, przenikliwe cykanie świerszczy. Lecz wśród tego dochodziły i inne odgłosy: stłumione kroki na drodze, osypywanie się grudek ziemi ze skarpy rowu, cichy szelest krzewów nad strumieniem.

– Trudno doprawdy powiedzieć, żeby coś było słychać. Wydaje się wam tylko. Jesteście zdenerwowani – uspokajał ich Casy. – Wszyscy robimy się nerwowi. Trudno doprawdy coś powiedzieć. Czy wy coś słyszycie, Tom?

– Słyszę – odpowiedział Joad. – Tak, słyszę. To chyba ze wszystkich stron podchodzą ludzie. Lepiej stąd wiać.

– Chodźmy tędy, pod mostem – szepnął pomarszczony człowieczek. – Szkoda mi tylko namiotu.

– Chodźmy – powtórzył Casy.

Szli cicho brzegiem strumyka. Czarny łuk mostu rozwarł się przed nimi niby grot. Casy schylił się i wszedł pod sklepienie. Za nim postępował Tom. Stopy ich ślizgały się w wodzie. Uszli tak około dziesięciu metrów, echo ich oddechów odbijało się od sklepienia. Wreszcie wynurzyli się z drugiej strony tunelu i wyprostowali grzbiety.

Nagle ktoś krzyknął ostro:

– Idą!

Światło dwóch latarek padło na zaskoczonych mężczyzn, oślepiając ich i zatrzymując w miejscu.

– Nie ruszać się!

Z ciemności dobiegły krzyki:

– To on! To ten łajdak! To ten sam!

Casy patrzył w światło oszołomiony.

– Słuchajcie, ludzie – powiedział, oddychając ciężko. – Nie wiecie chyba, co robicie. Pomagacie morzyć głodem dzieci.

– Stul pysk, psie czerwony!

Z mroku wynurzył się krępy, ciężki mężczyzna. W ręku trzymał nowy biały trzon od kilofa. A Casy powtarzał:

– Nie wiecie, co robicie.

Krępy mężczyzna zamierzył się trzonem. Casy schylił się, chcąc uniknąć ciosu. Lecz ciężka pała ugodziła go z boku w czaszkę; rozległ się głuchy trzask pękającej kości i Casy zwałił się w mrok nocy.

– Do diabła! Zabiłeś go chyba, George!

– Poświęć no! – zawołał George. – Ma skurwysyn za swoje!

Smuga światła, macając po ziemi, osunęła się w dół i zatrzymała się na zmiażdżonej głowie Casy’ego.

Tom spojrzał na pastora. Błysk latarki mignął po nogach zabójcy i po białym trzonie kilofa. Tom bez słowa skoczył na George’a i wyrwał mu go z rąk. Za pierwszym uderzeniem poczuł, że chybił i ugodził w ramię, za drugim druzgocący cios trafił w czaszkę, a zanim krępy chłop runął na ziemię, trzy nowe ciosy dosięgły jego głowy. Wokół Toma tańczyły światła latarek. Słyszał krzyki, tupot biegnących nóg, przedzieranie się przez zarośla. Stał nad powalonym jak wryty. W pewnej chwili spadł mu na głowę, jak piorun, mocny cios pałki. W chwilę potem biegł już co sił wzdłuż strumienia, schylony ku ziemi. Za sobą słyszał w wodzie plusk ścigających go stóp. Skręcił gwałtownie, wpadł w krzaki i zamarł w bezruchu. Kroki biegnących były coraz bliżej, światła latarek sunęły korytem strumienia. Tom przedarł się przez gęstwinę w górę, na sam brzeg parowu. Po chwili był już w jakimś sadzie. Wciąż słyszał nawoływania i odgłosy pogoni biegnącej wzdłuż strumienia. Schylił się nisko i pobiegł uprawnym polem; spod butów wymykały mu się i toczyły grudki ziemi. I ujrzał przed sobą, tuż nad rowem irygacyjnym krzaki, stanowiące granicę pola. Przedzierał się przez gęstwinę, lawirując bokiem wśród winorośli i jeżyn. Wreszcie zatrzymał się, dysząc ochryple. Obmacał palcami zdrętwiałą twarz. Nos miał zmiażdżony, z brody kapła krew. Legł plackiem bez ruchu, odzyskując z wolna przytomność. Po pewnym czasie przyczołgał się nad brzeg rowu. Obmył twarz zimną wodą, oddał kawał

niebieskiej koszuli, zanurzył w wodzie i przyłożył do poranionej twarzy. Woda kłuła go i piekła.

Niebo przecięła czarna chmura, sunąc ciemną plamą na tle gwiazd. Noc była znowu cicha i spokojna.

Tom wszedł do wody. Poczuł nagle, że dno zapada się pod nim. Dwa gwałtowne ruchy – i podciągnął się z wysiłkiem na drugi brzeg. Ubranie lepiło mu się do ciała. Za każdym ruchem ściekała z niego woda, w butach chlupotało. Usiadł, zzuł buty i wylał z nich wodę. Wyżawszy od dołu spodnie, zdjął marynarkę i wycisnął ją z wody.

Widział roztańczone smugi świetlne latarek przeszukujące rowy przy szosie. Włożył trzewiki i ruszył ostrożnie ścierniskiem na przełaj. W butach już mu nie chlupotało. Wiedziony instynktem, szedł w kierunku drugiego końca ścierniska i w końcu dotarł do drogi. Zachowując jak największą ostrożność, skradał się ku czworobokowi baraków.

W pewnej chwili strażnik przekonany, że słyszy jakiś szmer, zawołał:

– Kto idzie?

Tom przypadł do ziemi i zamarł. Światło latarki przesunęło się nad nim. Tom przyczołgał się cichaczem pod drzwi domku Joadów. Drzwi skrzypnęły w zawiasach. Odezwał się głos matki, spokojny, opanowany, czujny:

– Kto tam?

– To ja, Tom.

– Kładź się zaraz spać. Al jeszcze nie wrócił.

– Pewno znalazł sobie dziewczynę.

– Idź spać – powiedziała łagodnie. – Połóż się pod oknem.

Znalazł swoje miejsce i rozebrał się do naga. Leżał pod kocem wstrząsany dreszczami. Z poranionej twarzy ustąpiła drętwota, ból rozsadzał mu głowę.

Po godzinie przyszedł Al. Zbliżył się ostrożnie i nadepnął na mokre ubranie Toma.

– Cicho! – ostrzegł go Tom.

– Nie śpisz? – szepnął Al. – Gdzieś tak przemókł?

– Cicho! Opowiem ci rano.

Ojciec przewrócił się na wznak. Sapiąc i dysząc ciężko, chrapał na całą izbę.

– Zimno ci pewnie? – spytał Al szeptem.

– Cicho! Śpij!

Mały kwadracik okna wydawał się w mroku izby szary. Tom nie mógł zasnąć. Nerwy poranionej twarzy ożyły i pulsowały, kość policzkowa rwała, złamany nos puchł i przeszywał bólem, który zdawał się miotać i wstrząsać całym ciałem. Patrzył w maleńki kwadrat okienka, obserwując, jak gwiazdy zsuwają się w dół i znikają kolejno. Co pewien czas słyszał kroki wartowników.

W końcu gdzieś bardzo daleko zapiały koguty i powoli okienko zaczęło się rozjaśniać. Tom dotknął obrzmiałej twarzy końcami palców. Gdy się poruszył, Al jęknął i wymamrotał coś przez sen.

Wstał wreszcie szary świt. Ze stłoczonych baraków dochodziły odgłosy krzątania, trzask łamanych patyków, stłumiony brzęk naczyń. W szarym półmroku zerwała się nagle matka. Tom mógł już dojrzeć jej obrzmiałą ze snu twarz. Przez dłuższą chwilę patrzyła w okno. Potem odrzuciła kołdrę i sięgnęła po suknię. Siedząc na posłaniu, narzuciła ją przez głowę, podniosła ramiona w górę, tak że suknia zsunęła się do pasa, po czym wstała i obciągnęła ją do kostek. Wciąż boso podeszła ostrożnie do okna, wyjrzała i patrząc na wstający dzień, zwinnymi palcami rozplotła szybko włosy, przygładziła je i zaplotła na nowo. Potem zacisnęła mocno dłonie i stała przez chwilę bez ruchu. Twarz jej odcinała się wyraźnie na tle okna. Wreszcie odwróciła się i stąpając ostrożnie między materacami, znalazła lampę. Podniosła szybkę, która skrzypnęła, i zapaliła knot.

Ojciec obrócił się na bok i mrużąc oczy, spojrzał na matkę.

– Ojciec, masz ty jeszcze parę groszy? – zapytała.

– Co? Mam. Kwitek na sześćdziesiąt centów.

– No to wstawaj i skocz po trochę mąki i słoniny. Żywo!

– A może sklepik jeszcze zamknięty – powiedział, ziewając.

– Postaraj się, żeby go otworzyli. Muszę wam dać coś do jedzenia. Idziecie przecież do pracy.

Ojciec naciągnął spodnie i włożył wyszarzałą marynarkę. Wyszedł ociężałym krokiem, ziewając i przeciągając się.

Pobudziły się i dzieci i zerknęły jak myszki spod swego koca. Izbę zalewało teraz blade, bezbarwne światło, poprzedzające wschód słońca. Matka rozejrzała się po posłaniach. Stryj John już się obudził. Al wciąż jeszcze pogrążony był w głębokim śnie. Wzrok matki spoczął na Tomie. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem podeszła szybko. Twarz obrzękła

mu i zsiniała, na wargach i brodzie krew skrzepła w czarną skorupę. Brzegi rany na policzku nabrzmiały i spuchły.

– Tom! – wyszeptała. – Co się stało?

– Cicho! Niech mama nie mówi tak głośno. Wdałem się w bójkę.

– Tom!

– Nie było rady, mammo!

Uklękła przy nim.

– Napytałeś sobie biedy?

Długo ociagał się z odpowiedzią.

– Tak – przyznał. – Nie mogę wyjść do pracy. Muszę się ukrywać.

Dzieci przyczołgały się na czworakach, wytrzeszczając z ciekawością oczy.

– Co mu się stało, mammo?

– Cicho! – szepnęła. – Idźcie się myć!

– Kiedy nie mamy mydła.

– No to umyjcie się samą wodą.

– Ale co się stało Tomowi?

– Cicho! I ani słowa nikomu!

Ruthie i Winfield cofnęli się i przykucnęli pod najdalszą ścianą, wiedząc, że i tak nikt się nimi nie będzie zajmował.

– Bardzo źle z tobą? – wypytywała Toma matka.

– Nos mam złamany.

– Ale czy grozi ci coś bardzo złego?

– To paskudna historia.

Al otworzył oczy i spojrzał na Toma.

– Co, u diabła! W coś ty się wpakował?

– O co chodzi? – spytał stryj John.

Do izby wkroczył ciężko ojciec.

– Było już otwarte – oznajmił i położył na podłodze koło piecyka niewielką torebkę mąki i paczkę ze słoniną.

– Co się stało? – rzucił pytanie.

Tom wsparł się przez chwilę na łokciu i znowu opadł na posłanie.

– Do licha! Alem osłabł. Muszę wam przecież opowiedzieć, co się stało. Najlepiej, jak powiem wszystkim. Ale co z dzieciakami?

Matka spojrzała na Ruthie i Winfielda, skulonych pod ścianą.

– Idźcie się umyć!

– Nie – zaprotestował Tom. – Niech słuchają. Powinni wszystko wiedzieć. Inaczej gotowi coś wypaplać.

– Więc cóż ci się u diabła, przytrafiło? – dopytywał się ojciec.

– Zaraz wszystko powiem. Wczoraj wieczorem wybrałem się sprawdzić, co to były za wrzaski przed bramą. I wpadłem na Casy’ego.

– Na pastora?

– Tak, tato. Na pastora, który tym razem kierował strajkiem. No i przyszli po niego.

– Kto przyszedł po niego? – dopytywał się ojciec.

– Nie wiem. Tacy sami goście, jak ci, którzy nas wtedy w nocy zawrócili z drogi. Mieli w rękach trzony od kilofów. – Zamilkł na chwilę. – Zabili go. Rozwalili mu głowę. Stałem obok. Wściekłem się. Wyrwałem chłopu pałę.

– Gdy wymawiał te słowa, ujrzał znowu całą tę scenę: ciemną noc, błyski latarek. – I... zdzieliłem drania.

Matkę ścisnęło coś w gardle. Ojciec zeszywniał.

– Zabiłeś go? – zapytał cicho.

– Sam nie wiem. Straciłem głowę. Chciałem go zabić.

– Czy widzieli cię? – odezwała się matka.

– Bo ja wiem. Nie wiem. Chyba tak. Oświecili nas latarkami.

Przez chwilę matka patrzyła mu w oczy.

– Ojciec – poprosiła – porąb na opał ze dwie, trzy skrzynki. Trzeba zjeść śniadanie. Musicie iść do roboty. Ruthie, Winfield! Jeżeli ktoś zapyta, Tom jest chory, słyszycie? Jeżeli się wygadacie... Tom... pójdzie do więzienia. Słyszycie?

– Tak, mamó.

– Miej ich na oku, John. Nie daj im z nikim rozmawiać.

Roznieciła ogień, a tymczasem ojciec rąbał skrzynki, w których przedtem trzymali żywność. Matka zamiesiła ciasto i nastawiła dzbanek kawy. Cienkie trzaski zajęły się szybko płomieniem, po chwili w piecyku huczał ogień.

Połupawszy skrzynki, ojciec podszedł do Toma.

– Casy to był dobry człowiek. Po co się mieszał do tej awantury?

– Przyjechali tu pracować za pięć centów od skrzynki – odparł głucho Tom.

– To tyle, ile nam płacą.

– Tak. Ale my jesteśmy łamistrajki. Im chcieli dać po dwa i pół centa.

– Z tego nikt nie wyżyje.

– Wiem – potwierdził Tom znużonym głosem. – Dlatego też zastrajkowali. Zdaje mi się, że tej nocy rozpędzili wszystkich. Dziś może i nam zapłacą po dwa i pół centa.

– Jak to, skurwysyny...

– A tak! Widzi ojciec, Casy to był naprawdę dobry człowiek. Niech to diabli, nie mogę się opędzić od tego widoku. Widzę ciągle, jak leży tam z roztrzaskaną głową, zalany krwią. Jezu! Jezu!

Zasłonił oczy dłonią.

– Dobrze, ale co my teraz zrobimy? – zastanawiał się stryj John.

Al podniósł się.

– O, ja tam wiem, co zrobić. Zabiorę się stąd. Nie chcę mieć z tym wszystkim do czynienia.

– Nie, nie zrobisz tego, Al – powiedział Tom. – Jesteś potrzebny. To ja muszę odejść. Naprzyłem sobie biedy. Jeśli tylko będę mógł się utrzymać na nogach, muszę uciekać.

Matka krzątała się przy piecyku, odwracając głowę w kierunku mężczyzn, aby nie uronić ani słowa z ich rozmowy. Rzuciła tłuszcz na patelnię, a gdy zaczynał skwierczeć, kładła łyżką ciasto.

– Musisz zostać, Al – ciągnął dalej Tom. – Musisz zająć się ciężarówką.

– Nie podoba mi się ta cała historia.

– Nic na to nie poradzę, Al. Ale pomyśl o rodzinie. Musisz pomóc swoim. Ja ich tylko narażam.

– Nie rozumiem, dlaczego nie miałbym się postarać o pracę w warsztacie samochodowym – powiedział z gniewem Al.

– Może później.

Tom wyminął wzrokiem Ala i spojrzał na Rose of Sharon, która leżała jeszcze. Szeroko otwarte jej oczy wydawały się ogromne.

– Nie martw się! – zawołał do niej. – Nie martw się! Dostaniesz dziś mleka.

Przymknęła z wolna oczy, nie odpowiadając.

– Musimy wiedzieć, Tom – odezwał się ojciec – czy zabiłeś tego gościa?

– Nie wiem. Było ciemno. I ktoś wyrznął mnie w głowę. Nie wiem, czy go zabiłem. Chyba tak. Mam nadzieję, że dogodziłem draniowi.

– Tom! – krzyknęła matka. – Nie wygaduj takich rzeczy!

Z ulicy dobiegł warkot jadących wolno samochodów. Ojciec podszedł do okna i wyjrzał.

– Wjeżdża kupa nowych ludzi – poinformował.

– Pewno rozbili strajk na dobre – powiedział Tom. – Myślę, że od dziś dostaniecie po dwa i pół centa od skrzynki.

– Ale przy takiej płacy, choćby sobie człowiek ręce po łokcie urobił, to i tak nie będzie co do gęby włożyć.

– Wiadomo – przytaknął Tom. – Jedzcie odpadki. To was trochę podtrzyma.

Matka obracała ciasto na patelni i mieszała kawę.

– Słuchajcie – zapowiedziała. – Kupię dziś kaszy kukurydzianej. Będziemy jedli mamałygę. I jak tylko zarobimy na benzynę, wyjeżdżamy. To jakieś nieszczęśliwe miejsce. A ja nie pozwolę, by Tom odszedł sam. Co to, to nie.

– Tak nie można, mamó. Powiadam wam przecież, że mogę was wpędzić w nieszczęście.

Wysunięta broda matki świadczyła, że nie ustąpi.

– Tak trzeba, i koniec. Zjedzcie teraz, a potem idźcie do roboty. Przyjdę do was, jak tylko pozmywam. Musimy zarobić trochę grosza.

Jedli prażuchę tak gorącą, że syczała im w ustach. Wyrzucili fusy po kawie, napełnili kubki ponownie i wychylili po jeszcze jednej porcji.

Stryj John kiwał głową nad talerzem.

– Nie wygląda na to, żebyśmy się mieli wykręcić z tej biedy sianem. Założę się, że to kara za mój grzech.

– Zamknij gębę! – krzyknął ojciec. – Nie mamy teraz czasu zajmować się twoimi grzechami. Chodźcie już. Chodźmy do roboty! Dzieci, chodźcie też, to pomożecie. Matka ma rację. Musimy wyjechać stąd jak najprędzej.

Gdy już wszyscy wyszli, matka przyniosła Tomowi talerz i kubek.

– Trzeba, żebyś coś zjadł.

– Nie mogę, mamó. Tak mnie cholernie boli, że nie będę mógł gryźć.

– Spróbuj.

– Nie, nie mogę, mamó.

Usiadła przy nim na brzegu materaca.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć. Muszę wiedzieć, jak to było. Wiedzieć, czego się trzymać. Co robił Casy? I dlaczego go zabili?

– Stał spokojnie, a oni świecili latarkami.

– A co on mówił? Czy pamiętasz, co mówił?

– Jakżebym mógł nie pamiętać. Casy powiedział: „Nie macie prawa morzyć ludzi głodem”. Wtedy ten krępy gość zwymyślał go od czerwonych psów. A Casy na to: „Sami nie wiecie, co robicie”. Wtedy drań rozwalił mu głowę.

Matka spuściła oczy. Splotła ręce, powtarzając:

– Tak powiedział: „Nie wiecie, co robicie?”.

– Tak właśnie.

– Chciałabym, żeby to mogła usłyszeć babka – westchnęła.

– Mamo... ja też nie wiedziałem, co robię. To jakoś samo tak wyszło. W głowie mi nie powstało, że tak zrobię.

– Już dobrze. Chciałabym, żeby to się w ogóle nie stało. Wolałabym, żeby ciebie tam nie było. Ale zrobiłeś to, co musiałeś zrobić. Nie mogę cię winić.

– Podeszła do piecyka i zanurzyła kawałek płótna w gorącej wodzie nastawionej na zmywanie naczyń. – Masz. Przyłóż sobie do twarzy.

Położył ciepły okład na policzku i nosie i skrzywił się z bólu.

– Mamo, odejdę dziś w nocy.

Matka odparła z gniewem:

– Tom! Nie potrafię pojąć bardzo wielu rzeczy. Ale to wiem, że jeśli odejdiesz, nie będzie nam ani trochę lżej. Tyle tylko, że zejdziemy do reszty na psy. Był czas – mówiła dalej – kiedy siedzieliśmy na roli. I to nas wiązało. Starzy umierali, rodziły się dzieci, ale zawsze trzymaliśmy się razem, zawsze byliśmy rodziną, wszystko było wtedy proste i jasne. A teraz nic już nie jest proste i jasne. Sama nie wiem, czego się trzymać. I nikt nie pomoże, nikt nie poradzi. Al – ten tylko miele ozorem i chce żyć na własną rękę. Stryj John ledwie się za nami wlecze. Ojciec jest bez miejsca na świecie. Przestał być głową rodziny. Rozsypujemy się jak kupa plew. Nie ma już rodziny, Tom. A Rosasharn... – Rozejrzała się wokoło i wzrok jej napotkał rozwarte szeroko oczy córki. – Rosasharn urodzi dziecko, a rodziny nie będzie. Nie wiem już sama, co robić. Próbowałam ją utrzymać. Winfield – co z niego wyrośnie? Rozpuści się jak dziadowski bicz. A Ruthie? Wyrosną na dzikusów. Nie będą mieli na kim się oprzeć. Nie odchodź, Tom! Zostań i pomóż!

– Dobrze – powiedział zmęczonym głosem. – Zgoda. Choć wiem, że nie powinienem.

Matka podeszła do miednicy, pozmywała blaszane talerze i wytarła je.

– Nie spałeś w nocy?

– Nie.

– No to się prześpij. Widziałam, że przemoczyłeś ubranie. Powieszę je przy piecyku, żeby wyschło. – Skończyła sprzątać. – Idę teraz. Pomogę im zrywać. Rosasharn, jeżeli tu kto zajrzy, Tom jest chory, rozumiesz? Nie wpuszczaj nikogo. Słyszysz?

Rose of Sharon skinęła głową.

– W południe wszyscy wrócimy. Prześpij się, Tom. Może uda nam się wieczorem wyjechać. – Zbliżyła się szybko do niego. – Tom, ale ty nie uciekniesz?

– Nie, mamó.

– Na pewno nie uciekniesz?

– Nie, mamó. Nie ruszę się stąd.

– To dobrze. Pamiętaj, Rosasharn, co ci mówiłam. – Wysła, zatrzaskując mocno drzwi za sobą.

Tom leżał bez ruchu. Fala snu uniosła go na skraj świadomości, opadła i znowu ogarnęła.

– Tom!

– Aha! Co?

Ocknął się. Spojrzał na Rose of Sharon. Oczy jej płonęły gniewem.

– Czego chcesz?

– Zabiłeś człowieka!

– Tak. Tylko cicho! Chcesz ściągnąć tu kogoś?

– A co mnie to obchodzi? – krzyknęła. – Ta pani mi mówiła, do czego prowadzi grzech. Tłumaczyła mi. Jakże ja teraz mogę urodzić zdrowe dziecko? Connie mnie porzucił i nie odżywiam się jak trzeba. Nie dostaję mleka. – Głos jej podniósł się do histerycznego krzyku. – A teraz ty zabiłeś człowieka. I jak tu dziecko ma się urodzić zdrowe! Wiem, że to będzie potworek! Potworek! A przecież nie chodziłam na żadne tańce!

Tom wstał.

– Cicho! – uspokajał siostrę. – Gotowi się tu wszyscy zlecieć.

– Niech się zlatują. Urodzę potworka! A nie tańczyłam żadnych nieprzyzwoitych tańców.

Tom podszedł do Rose of Sharon.

– Uspokój się!

– Idź precz! Nie pierwszego już zabiłeś! – Twarz jej pod wpływem hysterii czerwieniała się coraz bardziej. Nie mówiła już, lecz bełkotała. – Nie chcę na ciebie patrzeć!

Nakryła głowę kocem.

Tom usłyszał zdławione, tłumione łkania. Przygryzł dolną wargę i patrzył w podłogę. Wreszcie wstał i podszedł do posłania ojca. Pod rogiem materaca leżał długi, ciężki karabin – Winchester 39. Tom podniósł go i odsunął zamek, by zajrzeć, czy w lufie jest nabój. Sprawdził działanie spustu i wrócił na swoje posłanie. Umieścił karabin tuż przy sobie na podłodze kolbą do góry, lufą w dół.

Rose of Sharon ucichła, pojękiwała już tylko. Tom położył się i przykrył. Oślonił kocem poraniony policzek, zostawiając sobie szparkę do oddychania.

– O Jezu, Jezu! – westchnął.

Obok baraku przejechało kilka samochodów. Słysząc było głosy:

– Ilu mężczyzn?

– Tylko trzech. Jaka płaca?

– Idźcie do baraku dwadzieścia pięć. Numer znajdziecie na drzwiach.

– Dobrze, proszę pana. A jaka płaca?

– Dwa i pół centa.

– Jak to, psiakrew! Toż to nawet na obiad nie wystarczy.

– Tyle płacimy. Z południa przyjeżdża dwustu ludzi, którzy wezmą dwa i pół z pocałowaniem ręki.

– Ale chyba, u diabła...

– Jazda! Albo się zgadzacie, albo do widzenia. Nie mam czasu na rozmowy.

– Ale...

– Słuchajcie, ludzie... To nie ja ustalam stawki. Ja was tylko rejestruję. Chcecie, dobrze. Nie, to zawracajcie i fora ze dwora.

– Barak dwadzieścia pięć, powiada pan?

– Tak, dwadzieścia pięć.

Tom drzemał na materacu. Obudził go szmer skradających się kroków. Ręka jego sięgnęła w kierunku karabinu, palce zacisnęły się na szyjce kolby. Zerwał koc z twarzy. Obok posłania stała Rose of Sharon.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Śpij – powiedziała – wyśpij się. Będę pilnowała drzwi. Nie wpuszczę nikogo.

Przyglądał się przez chwilę badawczo jej twarzy.

– Dobrze – zgodził się i naciągnął znowu koc na twarz.

Zapadał już zmrok, gdy do baraku wróciła matka. Przystanęła przed drzwiami i aby od razu uspokoić Toma, zapukała, mówiąc: „To ja”. Potem dopiero otworzyła drzwi i weszła, niosąc w ręku torbę. Tom zbudził się i siadł na posłaniu. Rana na twarzy przyschła i ściągnęła się; zdrowa skóra na policzku była napięta i sztywna, lewe oko niemal zupełnie zamknięte.

– Nie przychodził tu nikt, kiedy nas nie było? – zapytała matka.

– Nie – odpowiedział. – Nikt. Obniżyli wam stawki, co?

– Skąd wiesz?

– Słyszałem, jak gadali o tym na dworze.

Rose of Sharon spoglądała posępnie na matkę. Tom wskazał ją wielkim palcem.

– Podniosła tu piekło, mamó. Myśli, że wszystko, co się dzieje, to specjalnie jej na złość. Jeżeli mam ją tak denerwować, to lepiej się stąd zabiorę.

– Co ty wyprawiasz? – zwróciła się do niej matka.

Rose of Sharon odcięła się ze złością:

– Jak mogę urodzić zdrowe dziecko, patrząc na to wszystko?

– Cicho! Dość tego! Wiem, jak się czujesz, i wiem, że to nie twoja wina, ale nie gadaj tyle. – Zwróciła się do syna: – Nie zważaj na nią, Tom. Kobiecie strasznie ciężko w tym stanie. Sama pamiętam, jak to jest. Wydaje jej się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej, obraża się o byle co i wszystko jej zawadza. Nie zwracaj uwagi na Rosasharn. Ona temu nie winna. Tak tylko wszystko teraz odczuwa.

– Nie chcę, żeby jej się przytrafiło coś złego z mego powodu.

– Cicho! Przestań już gadać. – Położyła torbę na wystygłym piecyku. –

Nie zarobiliśmy prawie nic. Musimy stąd wyjechać. Tom, może byś przyniósł trochę drzewa! Prawda, ty nie możesz. O, została nam tylko ta skrzynka. Porąb ją. Prosiłam naszych, żeby uzbierali parę patyków po drodze. Zrobię wam mamałygę i posypię ją cukrem.

Tom wstał i obcasami rozbił ostatnią skrzynkę w drobne kawałki. Matka roznieciła ostrożnie ogień w jednym rogu piecyka, utrzymując płomień

pod jedną tylko fajerką. Nalała wody do garnka i postawiła go na ogniu. W bezpośrednim zetknięciu z płomieniem garnek zaczął syczeć.

– Jak dziś szło zrywanie brzoskwiń? – zapytał Tom.

Matka zanurzyła kubek w torbę z kaszą kukurydzianą.

– Nie chcę o tym mówić. Wspominałam sobie dziś, jak to się dawniej zawsze żartowało przy robocie. Martwi mnie to wszystko, Tom. Już się nas nie trzymają żarty. A jeśli się czasem pożartuje, to więcej w tym goryczy niż śmiechu. Dziś ktoś powiedział: „Kryzys się skończył. Widziałem dzikiego królika i nikt go nie gonił”. A inny na to: „To nie dlatego. Nikt nie może już sobie pozwolić na zabijanie królików. Ludzie łapią króliki, doją je i wypuszczają na wolność. Ten, którego widziałeś, pewno już wydojony”. Takie żarty. Nic w tym śmiesznego. Nie tak jak kiedyś, gdy stryj John nawrócił Indianina i przyprowadził go do domu, a Indianin wyjadł do czysta rondel fasoli, a potem znów popadł w grzech, bo upił się wódką stryja Johna. Tom, przyłóż sobie do twarzy szmatkę zmoczoną w zimnej wodzie.

Mrok gęstniał. Matka zapaliła latarnię i powiesiła ją na gwoździu. Podsyciła ogień i powoli sypała kaszę do gorącej wody.

– Rosasharn, mogłabyś pomieszać mamałygę?

Na dworze rozległ się tupot biegnących nóg. Drzwi rozwarły się na oścież i trzasnęły o ścianę. Do izby wpadła Ruthie.

– Mamo! – krzyczała. – Mamo! Winfield zemdlął!

– Gdzie? Mów prędko!

Ruthie dyszała ciężko.

– Zrobił się blady i upadł. Zjadł tyle brzoskwiń, że cały dzień latał w krzaki. Przewrócił się, i już! Taki blady!

– Zaprowadź mnie do niego! – zawołała matka. – Rosasharn, pilnuj mamałygi!

Wyszła z Ruthie. Biegła ciężko uliczką za dziewczynką. Z ciemności wyszło ku niej trzech mężczyzn. Ten, który szedł w środku, niósł na rękach Winfielda. Joadowa podbiegła ku nim, wołając:

– To mój syn! Dajcie mi go!

– Odniosę go pani.

– Nie, niech mi go pan odda.

Wzięła chłopca na ręce i zawróciła, opamiętawszy się jednak, powiedziała:

– Bardzo panom dziękuję.

– Nie ma za co, proszę pani. Chłopaczek jest bardzo słaby. Chyba ma robaki.

Matka śpieszyła do baraku. Winfield zwisał jej bezwładnie w ramionach. Wniosła go do izby, uklękła i położyła na materacu.

– Powiedz mi, co się stało? – dopytywała się.

Otworzył nieprzytomne oczy, potrząsnął głową i znów przymknął powieki.

– Mówiłam przecież mamie. Cały dzień latał. Co minuta. Opchał się brzoskwiniami – trzepała Ruthie.

Matka dotknęła ręką czoła chłopca.

– Gorączki nie ma. Jest tylko blady i osłabiony.

Tom zbliżył się z latarnią i pochylił nad chłopcem.

– Wiem, co mu dolega – powiedział. – Chłopak jest wygłodzony i opadł z sił. Trzeba kupić mleka i dać mu się napić. Niech mama doda mu mleka do mamałygi.

– Winfield! – pytała matka. – Powiedz, co ci jest.

– W głowie mi się kręci.

– Nigdy w życiu nie widziała mama takiego rozwolnienia – dowodziła Ruthie z powagą.

Do baraku weszli ojciec, stryj John i Al. Nieśli naręcza patyków i chrustu. Złożyli to wszystko pod piecykiem.

– A to co takiego? – zapytał ojciec.

– Winfield zasłabł. Potrzebuje mleka.

– O, do licha! Każdemu z nas czegoś trzeba!

– Ile dziś zarobiliśmy? – spytała matka.

– Dolara czterdzieści dwa centy.

– No to idź zaraz i przynieś puszkę mleka dla Winfielda.

– Dlaczego musiał się pochorować?

– Nie wiem dlaczego, ale jest chory. Pośpiesz się.

Ojciec, mruczając pod nosem, zniknął za drzwiami.

– Mieszasz tę mamałygę?

– Mieszam.

Na dowód swych słów Rose of Sharon zaczęła szybciej obracać łyżką w kaszy.

– Rety, mamó! To po harówce od rana do nocy dostaniemy tylko mamałygę? – narzekał Al.

– Al, wiesz przecież, że musimy stąd wyjechać. I że trzeba oszczędzać pieniądze na benzynę. Sam wiesz.

– Ale jak człowiek pracuje, to musi jeść, u licha, mięso.

– Uspokój się! – zgromiła go matka. – Musimy najpierw pomyśleć o ważniejszej sprawie i skończyć z tym. Wiesz przecież, o co chodzi.

– Czy o mnie? – zapytał Tom.

– Pogadamy po jedzeniu. Al, czy mamy dość benzyny, żeby ujechać stąd kawał drogi?

– Będzie ze ćwierć zbiornika – odparł Al.

– Chciałbym, żeby mi mama powiedziała, nad czym się naradzacie – prosił Tom.

– Później. Bądź cierpliwy. A ty, Rosasharn, nie zapomnij mieszać tej mamałygi. O, podgrzeję kawę. Możecie sobie pocukrzyć albo mamałygę, albo kawę. Do jednego i drugiego cukru nie wystarczy.

Wrócił ojciec, niosąc wysoką puszkę mleka.

– Jedenaście centów – oznajmił z niezadowoleniem.

– Postaw tutaj!

Matka wzięła puszkę i otworzyła ją. Skierowała do kubka strumień gęstego płynu i wręczyła naczynie Tomowi.

– Daj to Winfieldowi – poleciła.

Tom przyklęknął koło materaca.

– Masz, wypij to!

– Nie mogę. Zwymiotuję. Daj mi spokój!

Tom wstał.

– On teraz nie może, mamó. Trzeba trochę poczekać. Matka wzięła kubek i odstawiła go na parapet okna.

– Niech nikt z was nie waży się tego tknąć – ostrzegła. – To dla Winfielda.

– Ja nie piłam mleka – poskarżyła się Rose of Sharon ponurym tonem. – Powinnam dostać trochę.

– Wiem, ale ty trzymasz się jeszcze jakoś na nogach, a mały zemdłał. Czy mamałyga już dosyć gęsta?

– Tak. Już prawie nie daje się mieszać.

– To dobrze. Bierzemy się do jedzenia. Tu jest cukier. Mniej więcej po łyżce na osobę. Możecie posypać sobie mamałygę albo posłodzić kawę.

– Ja bym wolał mamałygę z solą i pieprzem – powiedział Tom.

– Posól sobie, jeśli masz ochotę – doradziła matka. – Pieprzu już nie ma.

Wszystkie skrzynki poszły na opał, rozsiedli się więc z talerzami na materacach. Kilkakrotnie dokładali sobie z garnka po nowej porcji, aż wreszcie ukazało się dno.

– Zostawcie trochę dla Winfielda – rozkazała matka.

Winfield usiadł, wypił mleko i nagle obudził się w nim wilczy apetyt. Postawił garnek między nogami i wyjadł resztki, wyskrobując zeskorpiałą kaszę, która przywarła do brzegów. Matka wlała pozostałe mleko do kubka i nieznacznie podała Rose of Sharon. Młoda kobieta wypila je ukradkiem w kącie izby. Joadowa ponalewała gorącej czarnej kawy do kubków i rozdała je rodzinie.

– A teraz powiedzcie, co i jak – dopytywał się Tom. – Chcę wreszcie wiedzieć.

Ojciec powiedział niechętnie:

– Wolałbym, żeby Ruthie i Winfield nie słuchali tej narady. Nie mogliby wyjść z baraku?

– Nie – rozstrzygnęła matka. – Muszą teraz zachowywać się jak dorośli, chociaż jeszcze nie są dorośli. Nie ma na to rady. Ruthie! Nie wolno wam z Winfieldem pisać słowa o tym, co tu usłyszycie. Jak się wygadacie, to zginiemy wszyscy.

– Nie, nie powiemy – obiecała Ruthie. – Jesteśmy dorośli.

– Dobrze. W takim razie bądźcie cicho.

Kubki z kawą zostały odstawione na podłogę. Krótki, szeroki płomień lampy, podobny do przyciętego skrzydła motyla, rzucał na ściany przyćmiony, żółtawy blask.

– No, mówcie – niecierpliwił się Tom.

– Ty gadaj! – zwróciła się matka do ojca. Stryj John siorbał kawę.

– No więc – zaczął ojciec – obcięli płace, tak jak mówiłeś. I zwała się cała kupa nowych robotników tak cholernie wygłodzonych, że gotowi byli pracować za bochenek chleba. Sięgniesz po brzoskwinię, a tu już ci ją ktoś sprzątnął sprzed nosa. Ani się obejrzymy, jak nie będzie co zrywać. Ludzie pędzą od drzewa do drzewa. Widziałem bójki – jeden gość woła, że to jego drzewo, a drugi rzuca się i chce z niego zrywać. Ściągnęli ich gdzieś aż z El Centro. Wygłodzone bractwo jak wilki. Harują przez cały dzień za kawałek chleba. Powiadam do kontrolera: „Nie możemy pracować za dwa i pół

centa od skrzynki”. A on na to: „No, to jazda, zabierajcie się stąd! Tamci mogą”. Więc tłumaczę mu: „Gdy tylko się trochę odżywią, to też rzuca robotę”. A on się śmieje: „Do diabła, nim się odżywią, już będzie po robocie!”. – Ojciec umilkł.

– To piekło, nie praca – odezwał się stryj John. – Podobno dziś wieczorem przyjeżdża jeszcze dwustu nowych.

– Tak, ale co z tamtą sprawą? – zapytał Tom.

Ojciec milczał przez chwilę. Wreszcie odpowiedział:

– Tom, zdaje się, żeś wykończył chłopca.

– Tak też myślałem. Nie widziałem tego co prawda, ale czułem przez skórę.

– Ludzie o niczym innym nie gadają – dodał stryj John. – Na wszystkie strony rozesłali patrole policji, a są i tacy, co przebąkują o linczu – jeśli naturalnie złapią gościa.

Tom popatrzył na dzieci, które miały oczy szeroko otwarte i wpatrywały się w niego, nie mrużąc prawie powiek, jakby bały się, że coś może się wydarzyć w tej krótkiej chwili, gdy przymkną oczy.

– No tak, ale przecież zrobił to dopiero wtedy, kiedy zabili Casy’ego – powiedział Tom.

– Teraz gadają inaczej – przerwał ojciec. – Mówią, że to tamten zaczął pierwszy.

– Ach! – westchnął głęboko Tom.

– Słyszałem, że podburzają przeciwko naszym całą okolicę. Wszyscy ci goście z Legionu, łóz i inna hołota. Odgrają się, że go złapią.

– A czy wiedzą, jak on wyglądał? – zainteresował się Tom.

– Nie, niedokładnie... Ale słyszałem, jak mówili, że oberwał po łbie. Myślą, że będzie miał...

Tom podniósł powoli rękę i dotknął zranionego policzka.

– Ale przecież to nieprawda, co wygadują! – zawołała matka.

– Spokojnie, mamó – wtrącił Tom. – To są zimne dranie i wiedzą, co robią. A każde ich łgarstwo będzie świętą prawdą, byle tylko obróciło się przeciwko nam.

Matka wyteżała w półmroku oczy, by widzieć twarz, a zwłaszcza usta Toma.

– Przysiękłeś! – powiedziała z naciskiem.

– Mamo, ja... ten gość powinien się wynieść. Jeżeli... zrobiłby naprawdę coś złego, to mógłby sobie pomyśleć: „No, dobrze. Niech mnie wieszają! Nawarzyłem piwa i muszę je wypić!”. Ale przecież gość ma sumienie czyste. Zawinił akurat tyle, co człowiek, który zatłukł śmierzdźla.

– Mamo – wtrąciła się do rozmowy Ruthie. – My z Winfieldem wiemy dobrze, o co chodzi. On nie potrzebuje mówić: „ten gość”.

Tom zachichotał.

– Ano, ten gość wcale nie ma ochoty wisieć, a jakby było trzeba, zrobiłby drugi raz to samo. Tylko że on nie chce, żeby przez niego rodzina miała kłopoty. Mamo... ja muszę się wynieść.

Matka zasłoniła mu palcami usta i odchrząknawszy, powiedziała:

– Nie, nie możesz od nas odejść. Nie znajdziesz nigdzie schronienia. Nie możesz zaufać nikomu, a nam możesz. Przechowamy cię i przeżywimy, póki twarz ci się nie zagoi.

– No tak, mamo, ale...

Matka wstała.

– Nie dam ci odejść. Zabieramy cię ze sobą. Al, podjedź ciężarówką pod same drzwi. Wszystko obmyśliłam. Położymy na dnie materac. Tom wdrapie się szybko na samochód, a my ułożymy nad nim drugi materac, w ten sposób, żeby leżał jak w budzie. Będzie dobrze schowany, bo przysłonimy go i obsiadziemy dokoła. Z jednego końca zostawimy szparę, żeby mógł oddychać, rozumiecie. I nie spieraj się już z nami, Tom. Tak zrobimy, i koniec.

– Widzę, że mężczyzna nie ma tu już nic do gadania – gderał głośno ojciec. – Cholera, nie baba! Niech tylko gdzieś osiadziemy na stałe, to jak amen w pacierzu wyłożę jej skórę.

– Wtedy tak – zgodziła się. – Pośpiesz się, Al. Już się ściemniło.

Al wyszedł do ciężarówki. Rozglądając się uważnie, cofnął ją pod sam próg.

– Teraz prędko! Połóżcie materac! – przynaglała matka. Ojciec i stryj John przerzucili materac nad tylną klapą. – A teraz ten! – Drugi materac przeleciał nad klapą. – Tom, teraz ty. Skocz do środka i kładź się. Szybko!

Tom wdrapał się z pośpiechem i padł na materac. Rozłożył go, po czym wciągnął na siebie drugi. Ojciec wygiął materac ku górze, opierając go brzegami tak, że nad Tomem powstało coś na kształt sklepienia. Mógł przy tym wyglądać na zewnątrz przez szpary w bocznych deskach ciężarówki.

Ojciec, Al i stryj John ładowali śpiesznie rzeczy na samochód, spiętrzając koce nad jaskinią Toma i obstawiając ją z boków wiadrami; z tyłu położyli ostatni materac. Garnki, patelnie, zapasową odzież rzucono na samochód luzem, bo wszystkie skrzynki poszły na opał. Kończyli już niemal ładowanie, gdy nadszedł strażnik z dubeltówką na zgiętym ramieniu.

– Co się tu dzieje? – zapytał.

– Wyjeżdżamy – odpowiedział ojciec.

– A dlaczego?

– Ano, mamy dostać robotę, i to dobrze płatną.

– Tak? A gdzie to?

– W okolicy Weedpatch.

– Niech no się wam trochę przyjrę.

Skierował światło latarki na twarz ojca, potem oświetlił kolejno stryja Johna i Ala.

– A nie było tu z wami jeszcze jednego?

– Ma pan na myśli tego włóczęgę? Małego gościa, bladego na gębie? – dopytywał się Al.

– Tak. Zdaje się, że tak właśnie wyglądał.

– Zabrał się tu z nami po drodze, ale wyniósł się dziś rano, kiedy obcięli stawkę.

– Więc powiadacie, że jak wyglądał?

– Nieduży. Gęba blada.

– A nie pokaleczony dzisiejszego ranka?

– Nie, nie zauważyłem – odparł Al. – Czy stacja benzynowa jeszcze otwarta?

– Tak, do ósmej.

– Wsiadajcie! – zawołał Al. – Jeżeli mamy dojechać na rano do Weedpatch, musimy się pośpieszyć. Czy mama usiądzie przy mnie?

– Nie, siadam z tyłu. Ojciec, ty też siadaj tutaj. Niech Rosasharn jedzie w szoferce z Alem i stryjem Johnem.

– Niech mi tato da kwitek na forszę – poprosił Al. – Wezmę benzynę, a jeśli się uda, i resztę w gotówce.

Strażnik śledził, jak ciężarówka posuwa się uliczką i skręca w lewo, ku pompom benzynowym.

– Wlejcie mi dwa galony – powiedział Al.

– Niedaleko jedziecie?

– Nie, nie bardzo daleko. Czy możecie mi wydać resztę na ten kwitek?
– Nie... Nie wolno mi tego robić.
– Słuchajcie no! – perswadował Al. – Jak dostaniemy się na miejsce dziś wieczór, to dadzą nam dobrą robotę. Ale jak się spóźnimy, pracę diabli wezmą. Pomóżcie nam.
– Niech i tak będzie. Podpiszcie się tylko na kwitku.
Al wysiadł i obszedł samochód od przodu, mówiąc:
– Zaraz podpiszę.
Odkręcił korek chłodnicy i dolał wody.
– Dwa powiadacie?
– Tak, dwa.
– W którą stronę jedziecie?
– Na południe. Dostaliśmy tam robotę.
– Naprawdę? Trudno dziś o zarobek i o stałą robotę.
– Mamy tam przyjaciela – powiedział Al. – Robota na nas czeka. No, do widzenia!

Samochód zakręcił i podskakując, wyjechał z piaszczystej drożki na drogę. Słabe światło lewego reflektora drgało nad ziemią. Wadliwie włączony prawy reflektor mrugał, zapalając się i gasnąc na przemian. Przy każdym wstrząsie brzęczały i klekotały stojące luzem na spodzie ciężarówki garnki i patelnie.

Rose of Sharon jęknęła cicho.

– Źle się czujesz? – zapytał stryj John.
– Tak. Ciągle źle się czuję. Chciałabym już raz wreszcie siedzieć spokojnie w jakiejś ładnej miejscowości. Bodaj byśmy byli zostali w domu i w ogóle nie wyjeżdżali! Jakbyśmy zostali w naszych stronach, Connie nie uciekłby nigdy. Wyuczyłby się fachu i doszlibyśmy do czegoś.

Ani Al, ani stryj John nie odpowiadali na jej lamenty. Każda wzmianka o Conniem wprowadzała ich w zakłopotanie.

Przed malowaną na biało bramą fermy podszedł do ciężarówki strażnik.

– Wyjeżdżacie na dobre? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Al. – Jedziemy na północ. Dostaliśmy tam robotę.

Wartownik oświetlił latarką samochód i skierował jej światło pod płachtę. Matka i ojciec wpatrywali się w latarkę nieruchomym wzrokiem.

– W porządku.

Strażnik otworzył bramę na oścież. Ciężarówka skręciła w lewo i potoczyła się w kierunku szosy 101, wielkiego traktu biegnącego z północy na południe.

– Czy wiesz, dokąd jechać? – spytał stryj John.

– Gdzie tam! Jedziemy, dokąd oczy poniosą, i rzygać mi się chce na to wszystko.

– Ja już bardzo niedługo będę rodzić – odezwała się z wyrzutem Rose of Sharon. – Powinniście pomyśleć o jakimś wygodnym mieszkaniu dla mnie.

Powietrze nocne po pierwszym przymrozku było zimne i ostre. Z rosnących przy drodze drzew owocowych zaczynały opadać liście. Matka siedziała na rzeczach oparta plecami o bok skrzyni. Naprzeciwko, twarzą do niej, siedział ojciec.

– Dobrze ci tam, Tom? – zawołała. Odpowiedział jej stłumiony głos:

– Trochę przyciasno. Wyjechaliśmy już z majątku?

– Bądź ostrożny! – ostrzegła matka. – Mogą nas zatrzymać.

Tom uniósł jeden z boków swej jaskini. W ciemnym wnętrzu ciężarówki pobrzękiwały garnki.

– Mogę się raz-dwa zasłonić z powrotem – odpowiedział. – A zresztą nie chciałbym tu się dać złapać jak w potrzasku. – Wsparł się na łokciu. – Ale robi się zimno, psiakrew!

– Chmurzy się – zauważył ojciec. – Mówią, że będzie wczesna zima.

– Czy wiewiórki zrobiły sobie gniazda wysoko? Czy może trawa się kłósi? – pytał Tom. – Można przepowiadać pogodę z byle czego. Założę się, że znajdzie się gość, co potrafi wróżyć pogodę z pary starych gaci.

– Bo ja wiem? – zastanawiał się ojciec. – Wydaje mi się, że ma się ku zimie. Trzeba by dłużej mieszkać w tych stronach, żeby móc coś przewidzieć.

– Dokąd jedziemy? – pytał Tom.

– Nie wiem, Al skręcił w lewo. Wracamy chyba tą samą drogą, którąśmy przyjechali.

– Sam nie wiem, dokąd najlepiej jechać – zastanawiał się na głos Tom. – Jeśli wyjedziemy na główną szosę, będzie tam jeszcze więcej policji. Z tą moją twarzą nakryją mnie od razu. Może raczej trzymać się bocznych dróg.

– Zapukaj w ścianę szoferki – zdecydowała matka. – Niech Al stanie.

Tom zaczął walić w deski przedniej ściany. Ciężarówka zatrzymała się na skraju szosy. Al wysiadł i podszedł od tyłu. Ruthie i Winfield wyjrzeni spod koca.

– Czego chcecie? – zapytał Al.

– Musimy się naradzić, co robić – odparła matka. – Może lepiej jechać bocznymi drogami. Tom uważa, że lepiej.

– Chodzi o moją twarz – dodał Tom. – Każdy się domyśli, a policja rozpozna mnie od razu.

– No to w którą stronę chcecie jechać? Ja myślałem o północy. Na południu już przecież byliśmy.

– Zgoda – przystał Tom – ale trzymaj się bocznych dróg.

– A może by tak stanąć gdzieś i przespać się trochę? – zaproponował Al. – Jutro ruszylibyśmy dalej.

– Jeszcze nie – powiedziała szybko matka. – Musimy odjechać jak najdalej.

– Dobrze.

Al wszedł z powrotem i ciężarówka ruszyła. Ruthie i Winfield znów nakryli głowy kocem.

– Jak tam Winfield? – zawołała matka.

– Dobrze – odpowiedziała Ruthie. – Śpi cały czas.

Matka oparła się znowu o ścianę ciężarówki.

– Dziwnie się człowiek czuje, kiedy go tak ścigają. Zaczynam się robić coraz gorsza.

– Każdy się robi coraz gorszy – rzucił ojciec. – Każdy. Widziałas, jak sobie dziś ludzie skakali do oczu? Człowiek się zmienia. W obozie rządowym byliśmy lepsi.

Al skręcił w prawo, na wyżwirowaną drogę. Żółte światła reflektorów drgały na ziemi. Skończyły się drzewa owocowe, miejsce ich zajęły plantacje bawełny. Jechali tak dwadzieścia mil wśród pól porośniętych bawełną, klucząc polnymi drogami. Droga biegła równoległe do strumienia, zakrytego gąszczem krzewów, potem skręciła na betonowy mostek i wiała się dalej wzdłuż drugiego brzegu potoku. Reflektory ciężarówki oświetliły długi szereg czerwonych wagonów towarowych bez kół, stojących na krawędzi wąwozu. Przy drodze widniała wielka tablica z napisem: „Potrzebni robotnicy do pracy przy zbiorze bawełny”. Al zwolnił. Tom wyjrzał przez szparę w bocznej ścianie samochodu. Gdy ujechali ze ćwierć

mili od wagonów, Tom ponownie zastukał w ścianę kabiny. Al zatrzymał samochód i wysiadł.

– Czego znowu chcecie?

– Zgaś silnik i włącz tutaj – powiedział Tom.

Al usiadł za kierownicą, wjechał do rowu, wyłączył silnik i reflektory, po czym wdrapał się przez tylną klapę na ciężarówkę.

– Ano jestem – oznajmił.

Tom przeczołgał się przez garnki i ukląkł przed matką.

– Słuchajcie – zaczął. – Potrzebują tu ludzi do roboty przy zbiorze bawełny. Widziałem tablicę z ogłoszeniem. Próbowałem wykombinować, jak by się tu dało z wami zostać i nie narazić was na kłopoty. Kiedy twarz mi się wygoi, może wtedy wszystko będzie dobrze, ale nie teraz. Widzieliście te wagony za nami. Na pewno mieszkają w nich robotnicy. I kto wie, czy i dla was nie znajdzie się praca. Czy nie byłoby dobrze postarać się tu o robotę i zamieszkać w jednym z wagonów?

– A co będzie z tobą? – niepokoiła się matka.

– Widzieliście ten zarośnięty krzakami wawóz. Mógłbym się tam schować i ukrywać. W nocy przynosilibyście mi jedzenie. Minęliśmy dopiero co taki mały przepust. Może udałoby mi się tam sypiać.

– Słowo daję – odezwał się ojciec – chętnie popracowałbym trochę przy bawełnie. To jest robota, na której się znam.

– W tych wagonach można zupełnie dobrze mieszkać – powiedziała matka. – Przyjemnie i sucho. Myślisz, że te krzaki są tak gęste, że można się w nich ukryć, Tom?

– Na pewno. Przyjrzałem im się. Mógłbym sobie w nich wynaleźć kryjówkę aż miło. A jak tylko twarz mi się zagoi, wyjdę na świat.

– Zostanie ci paskudna blizna – zauważyła matka.

– Co mi tam! Każdy może mieć bliznę.

– Kiedyś w jednym sezonie zbierałem bawełny po czterysta funtów – opowiadał ojciec. – Co prawda, urodzaj był jak rzadko. Jeżeli wszyscy będziemy pracowali, to możemy zarobić trochę grosza.

– I kupilibyśmy mięsa – marzył Al. – Ale co teraz robimy?

– Wracaj do szoferki i prześpij się do rana – doradził ojciec. – Jutro idziemy do roboty. Puch bawełniany dojrze nawet po ciemku.

– A co z Tomem? – pytała matka.

– Niech mama o mnie zapomni. Wezmę ze sobą koc. Rozejrzyjcie się w drodze powrotnej. Tam jest taki ładny przepust. Przyniesiecie mi wieczorem chleba, kartofli albo mamałygi i zostawicie tam, a ja już sam zabiorę.

– Dobrze.

– Myśl wydaje mi się całkiem do rzeczy – rzekł ojciec.

– Bo też jest do rzeczy – dowodził Tom. – Jak tylko twarz mi się trochę podgoi, zaraz wyłażę i biorę się do pracy.

– Niech i tak będzie – przystała matka. – Ale bądź ostrożny, żeby cię nikt nie wypatrzył.

Tom wczołgał się z powrotem w głąb ciężarówki.

– Zabieram koc, mamó. I jak będziecie wracali, niech mama rozejrzy się za tym przepustem.

– Uważaj! – błagała. – Bądź ostrożny!

– Pewnie, że będę ostrożny. – Wdrapał się na tylną klapę samochodu i zeskoczył na brzeg strumienia. – Dobranoc! – rzucił.

Matka patrzyła, jak postać jego wtapia się w noc i znika w nadbrzeżnych zaroślach.

– Jezu drogi, żebyż się to wszystko dobrze skończyło! – westchnęła.

– Chcecie, żebym jechał z powrotem? – zapytał Al.

– Jedź! – odparł ojciec.

– Tylko powoli! – prosiła matka. – Muszę się upewnić i zobaczyć ten przepust, o którym mówił Tom. Muszę go zobaczyć na własne oczy.

Al cofał i wykręcał samochód na wąskiej drodze, aż wreszcie udało mu się zawrócić. Podjechali wolno do szeregu wagonów. W blasku reflektorów ukazały się pochylnie z desek prowadzące do szerokich drzwi towarówek. W wagonach było ciemno. Najmniejszy ruch nie zakłócał ciszy nocnej. Al wyłączył reflektory.

– Wy ze stryjem Johnem siadajcie z tyłu – zwrócił się do Rose of Sharon.

– Ja będę spał tutaj na siedzeniu.

Stryj John pomógł ociężałej Rose of Sharon wdrapać się na ciężarówkę. Matka zgromadziła garnki na małej przestrzeni. Rodzina ułożyła się ciasno, jedno przy drugim, w tylnej części ciężarówki.

W jednym z wagonów zaniósł się przeciągłym, urywanym płaczem niemowlę. Do samochodu Joadów, węsząc i warcząc, podbiegł pies

i powoli obszedł go dokoła. Z parowu dobiegł szum wody płynącej korytem strumienia.

Rozdział 27

Potrzebni robotnicy do pracy przy zbiorze bawełny. Plakaty przy drodze, ulotki, żółte ulotki. Potrzebni robotnicy do pracy przy zbiorze bawełny.

To tu, tą drogą w górę! – wskazują plakaty.

Ciemnozielone rośliny dojrzały już i włókniste, ciężkie kule przywarły do strąków. Biała bawełna rozsadza je i wylewa się jak piana.

Lubię dotykać tych kul. Delikatnie, koniuszkami palców.

Ja też – znam się na tej robocie.

O, ten tam przyjmuje do roboty.

Chciałbym pracować przy bawełnie.

A worek macie?

Nie, nie mam.

Będzie was kosztował dolara. Potrąci się z pierwszych stu pięćdziesięciu funtów. Za pierwsze sto płacimy osiemdziesiąt centów, za następne – dziewięćdziesiąt. Weźcie sobie ten worek. Jeden dolar. Nie macie, to się wam potrąci z pierwszych stu pięćdziesięciu. Uczciwa cena, wiecie o tym sami.

Pewnie, że uczciwa. Worek jak się patrzy, wytrzyma przez cały sezon. A kiedy się zedrze od ciągnięcia po ziemi, odwróć go i używaj od drugiego końca. Zaszyj od góry, a rozpruj od spodu. A kiedy się zedrze i z drugiej strony, to i tak jeszcze zostanie kawał porządnego płótna. Będzie z niego ładna para letnich gaci. Albo koszula nocna. Co tu gadać – taki worek to dobra rzecz.

Zawieś go sobie u pasa. Stań nad nim okrakiem i ciągnij po ziemi. Z początku idzie ci to łatwo. Koniuszkami palców zbierasz puch i upychasz go rękami do worka. Za tobą idą dzieci. Nie masz dla nich worków, zrób im torby ze starego worka, a jak nie, to niech wkładają do worka taty. Ale worek jest coraz cięższy. Schyl się trochę, unieś go i dźwigaj dalej. Ja mam lekką rękę do bawełny. Palce mam takie czułe, że wiedzą same co i jak.

Mogę gadać albo i śpiewać przy robocie, a tymczasem worek jest coraz cięższy. Palce same sięgają do krzaków. Same wiedzą, co robić. Oczy niby patrzą na robotę, ale tak jakby jej nie widziały.

Ludzie wloką się naprzód i pogadują:

W naszych stronach przytrafiło się jednej kobiecie – nie powiem, jak się nazywała – że urodziła czarne dziecko. Nikt się tego nie spodziewał. I nie udało się złapać tego Murzyna. A ona od tego czasu nie śmiała nikomu spojrzeć w oczy. Ale nie o tym chciałem mówić... tylko dziecko dzieckiem, a do bawełny miała ta kobieta złote ręce.

Ale teraz worek jest już tak ciężki, że ledwie go za sobą taszczysz. Stań mocniej na nogach i wlecz worek jak koń roboczy. A dzieciaki zbierają bawełnę do worka taty. Ładny tu urodzaj! Tam, gdzie nisko, bawełna jest rzadka i żyłasta. Nigdy nie widziałem takiej bawełny jak ta kalifornijska. Długie włókna – najlepsza bawełna, jaką w życiu oglądałem. Ani się człowiek obejrzy, jak wyjałowi ziemię. Chciałoby się kupić kawał gruntu pod bawełnę... Nie, lepiej go wydzierżawić. A kiedy bawełna wysie z ziemi wszystko, co się da, przenieść się gdzie indziej.

Sznury ludzi ciągnących polami na przełaj. Ludzi o doświadczonych, wprawnych palcach. O czułych, skradających się palcach, które szukają puszystych kul. Pracują same, człowiek może nawet nie patrzeć.

Potrafiłbym zbierać bawełnę, gdybym nawet był ślepy. Mam jakieś czucie w palcach. Po mnie nie ma już co zbierać.

Ale oto worek jest pełny. Wleczesz go do wagi. Wyklócasz się. Wagowy posądza cię, żeś dołożył kamieni, aby worek był cięższy. A on to co? Fałszuje wagę. Czasem wagowy ma rację, bo dołożyłeś kamieni. Czasem rację masz ty, bo waga jest fałszywa. Czasem i ty, i on: w worku są kamienie, ale i waga fałszywa. Toteż kłóć się ciągle i ciągle walcz. To cię podnosi na duchu. Wagowego też. Cóż znaczy kilka kamieni? Zresztą, może to tylko jeden. A ćwierć funta różnicy? Nie, o to kłóć się do upadłego.

Wracasz z pustym workiem. Prowadź własny rachunek i zapisuj w notesie, ileś oddał. Musisz to robić. Kiedy wiedzą, że zapisujesz, wtedy nie oszukają. Ale niech cię Bóg ma w swej opiece, jeśli nie zapisujesz wagi.

To robota jak się patrzy. I dzieciaki nalatają się ile wlezie. A czy słyszeliście już o maszynie do zbierania bawełny?

A jakże, słyszałem.

I myślicie, że będzie kiedyś pracowała? Ano, jeżeli do tego dojdzie, to odbierze pracę ludziom.

Nadchodzi noc. Wszyscy są pomęczeni. Ale pracowało się nie najgorzej.

Ja, moja siostra i dzieciaki wyrobiliśmy razem trzy dolary.

Ku plantacjom bawełny ciągną ciężarówki. Obok plantacji rozkładają się obozem robotnicy. Ciężarówki o wysokich osłoniętych siatką skrzyniach i przyczepy wyładowane spiętrzoną wysoko białym puchem. Bawełna czepia się drutów ogrodzenia i za każdym podmuchem wiatru toczy się małymi kulkami po szosie. Czysta, biała bawełna idzie na maszyny, które usuną z niej nasiona. A wielkie, bryłowate bele powędrują pod prasy. Bawełna czepia się ubrania, przywiera do wąsów. Wyciera człowiek nos – i w nim jest bawełna.

Zginaj teraz częściej grzbiet i napełnij worek, zanim się ściemni. Wprawne palce szperają w białych kulach. Schylony do ziemi wleciesz worek. Teraz, pod wieczór, dzieci są już zmęczone. Potykają się o własne nogi na zoranej ziemi. A słońce jest coraz niżej.

Chciałbym, żeby to trwało dłużej. Bóg świadkiem, że zarobek lichy, ale niechby był jak najdłużej.

Zwabione ulotkami stare samochody gromadzą się na szosie.

Macie worek?

Nie.

Będzie was kosztował dolara.

Jakby nas było tylko pięćdziesięciu, pracowałoby się dłużej, ale co robić, kiedy zjechało pięciuset. Ani się obejrzysz, a już po robocie. Znałem jednego, co nawet nie wypłacił się za worek. Za każdym razem dostawał nowy i zanim nabierał bawełny za dolara – już po robocie.

Odłóżcie, na miłość boską, choć trochę grosza! Zima za pasem, a zimą nie dostanie się roboty w całej Kalifornii. Napełnij worek, zanim się ściemni. Widziałeś, gość wpakował do środka dwie grudy ziemi.

A nie wolno mi, do jasnej cholery? Tyle tylko, że wyrównam fałszywą wagę.

Tu zapisałem wszystko – trzysta dwanaście funtów.

Zgadza się!

Koniec świata – wagowy nie spierał się! Za to wagę ma na pewno fałszywą! Ale i tak miałem dobry dzień.

Powiadają, że tysiąc ludzi jest w drodze do tej plantacji. Jutro będziemy się bili o każdy krzak. Będziemy sobie wyrywali bawełnę z rąk.

Potrzebni robotnicy do pracy przy zbiorze bawełny. Im więcej będzie ich do roboty, tym prędzej bawełna pójdzie na maszyny.

A teraz do obozu!

Do pioruna! Dziś na kolację będzie boczek! Zarobiliśmy dosyć, żeby kupić boczek. Weź dzieciaka za rękę – ledwie się na nogach trzyma. Skocz przodem i przynieś cztery funty boczku. A babka – jeżeli nie jest zanadto zmęczona – zrobi nam smaczne grzanki.

Rozdział 28

Na małej równinie nad strumieniem stało jeden za drugim dwanaście wagonów towarowych. Ustawiono je w dwóch rzędach, po sześć w każdym, zdjawszy z nich koła. Do wielkich zasuwanych drzwi prowadziły pochylnie z desek. Wagony nadawały się na mieszkania: chroniły przed deszczem i chłodem. Miejsca starczyło na dwadzieścia cztery rodziny – po dwie na wagon. Wagony nie miały okien, ale szerokie drzwi były stale otwarte na oścież. Niektóre przedzielała na dwie części zawieszona pośrodku płachta. W innych jedynie drzwi były umowną granicą.

Joadowie zajęli połowę wagonu stojącego na końcu szeregu. Poprzedni mieszkańcy wstawili tu piecyk zrobiony ze starej bańki po oleju i przebili w ścianie otwór na rurę. Nawet przy otwartych na oścież drzwiach w dalszych kątach wagonu panował mrok. Matka rozwiesiła przez środek płachtę.

– Przyjemnie tu – powiedziała. – Lepiej nie było nam nigdzie, chyba tylko w obozie rządowym.

Co wieczór rozkładała na podłodze materace, a co rano zwijała je. Co rano rodzina wyruszała na plantację i zbierała bawełnę. Na kolację mieli co dzień mięso. Którejś soboty pojechali do Tulare, kupili żelazny piecyk i nowe kombinezony dla ojca, stryja Johna i Winfielda. Matka dostała nową suknię, a starą odświętną suknię matki odziedziczyła Rose of Sharon.

– Jest taka gruba – powiedziała matka – że szkoda pieniędzy na sprawianie jej nowej sukni.

Joadom poszczęściło się. Przyjechali w porę i zdobyli jeszcze mieszkanie w wagonie. Niebawem równinę zapełniły namioty późniejszych przybyszów. Mieszkańcy wagonów, jako zadomowieni wcześniej, stanowili w pewnym sensie arystokrację obozu. Nieopodal przepływał wąski strumień, który wynurzał się z kępy wierzb i ginął w wiklinowym gąszczu. Od każdego wagonu wiodła ku rzeczce dobrze wydeptana ścieżka.

Pomiędzy wagonami rozciągały się sznury, dzień w dzień zawieszone suszącą się bielizną.

Wieczorem Joadowie wracali z plantacji, niosąc pod pachą zwinięte worki. Wstępowali do sklepiku na rozstaju dróg. Można tam było zastać wielu robotników zaopatrujących się w żywność.

– Ile dziś zarobiliście?

– O, dziś mieliśmy dobry dzień! Zarobiło się trzy i pół dolara. Żeby to tylko potrwało dłużej! Dzieciaki zaczynają wprawiać się w robotę. Matka uszyła dla każdego woreczek. Nie uciągnęliby dużego worka. Wysypują puch do naszych. To woreczki ze starych koszul. Dzieci pracują jak złoto.

Matka podeszła do lady rzeźniczej i dmuchając na przyłożony do ust palec, zastanawiała się głęboko.

– Czy są kotlety wieprzowe? – spytała. – I po czemu?

– Trzydzieści centów funt, proszę pani.

– No to proszę trzy funty. I ładny kawałek wołowiny na rosół. Córka jutro ugotuje. I butelkę mleka dla córki. Przepada za mlekiem. Spodziewa się dziecka. Pielęgniarka kazała jej pić dużo mleka. Zaraz... co to jeszcze... Aha, potrzebuję ziemniaków.

Podszedł ojciec z puszką syropu w ręku.

– Może i to weźmiemy? – spytał. – Usmażyłabyś pączków.

Zmarszczyła brwi.

– Dobrze, dobrze. O, bierzemy tę puszkę. Zaraz, smalcu mamy dosyć.

Przysunęła się Ruthie, trzymając w rękach dwa duże pudełka biszkoptów. Z oczu jej wyzierało rozpaczliwe pytanie, które zależnie od „tak” lub „nie” matki mogło zmienić się w radosne podniecenie lub straszliwą tragedię.

– Mamo?!

Podniosła pudełka w górę, potrząsając nimi, by wykazać, jak są ponętne.

– Odłóż mi to zaraz!...

W oczach Ruthie ukazała się pierwsza zapowiedź tragedii. Tu wtrącił się ojciec:

– Pudełko kosztuje tylko pięć centów. A dzieciaki pracowały dziś uczciwie.

– Ano...

W oczach Ruthie ukazał się błysk podniecenia.

– Niech tam...

Ruthie zawróciła i uciekła. W połowie drogi do drzwi chwyciła za rękę Winfielda i wyciągnęła go na dwór, w mrok wieczoru.

Stryj John oglądał parę płóciennych rękawiczek o żółtych skórzanych spodach. Przymierzył je, zdjął i odłożył. Podsuwał się nieznacznie ku półkom z trunkami i przystanął, studiując etykiety na butelkach. Matka dostrzegła te manewry.

– Ojciec! – mruknęła, wskazując mu stryja Johna ruchem głowy.

Joad ruszył niedbałym krokiem w stronę brata.

– Masz ochotę się napić, John?

– Ani mi to w głowie.

– Zaczekaj, aż skończymy z bawełną – mówił ojciec. – Wtedy będziesz mógł zalać pałę.

– Wcale mnie to nie kusi – bronił się stryj John. – Pracuję jak koń, sypiam jak suseł. Nie dręczą mnie po nocach żadne zmy.

– Ale widzę, że gapisz się na butelki i ślina ci z gęby cieknie.

– Butelki? Ledwie mi je widział. Ale wzięła mnie chęć kupić to i owo. Ot, choćby maszynkę do golenia. Chciałbym też sprawić sobie takie rękawiczki. Tanie jak barszcz.

– Nie będziesz przecież zbierał bawełny w rękawiczkach – powiedział ojciec.

– Wiem, że nie. I maszynka też mi niepotrzebna. Ale tyle tu wszystkiego, że człowiek kupowałby a kupował, czy mu to potrzebne, czy nie.

Matka zawołała:

– Chodźcie! Mamy już wszystko.

Niosła torbę. Ojciec i stryj John wzięli każdy po paczce. Przed sklepem czekali Ruthie i Winfield z wytrzeszczonymi oczami i ustami pełnymi biszkoptów.

– Założę się, że nie tkną kolacji – powiedziała matka.

Ku obozowi płynął potok ludzi. W namiotach paliły się już światła. Z rur piecyków wzbijał się ku niebu dym. Joadowie wspięli się po pochyłym pomoście i weszli do wagonu. Pod piecykiem siedziała na skrzynce Rose of Sharon. Rozpaliła ogień i blaszany piecyk rozżarzył się do czerwoności.

– Dostaliście mleka? – zapytała.

– Tak. Mam je tu.

– Niech mi mama da. Nie piłam od południa ani kropli.

– Ona myśli, że mleko to lekarstwo.

– Pielęgniarka mówiła, że tak właśnie jest.

– Ziemniaki gotowe?

– Tam stoją. Obrane.

– Podsmażymy je dziś – powiedziała matka. – Mamy kotlety wieprzowe. Nakraj ziemniaków na nową patelnię. I dorzuć do nich cebuli. A wy idźcie się myć i przynieście wiadro wody. Gdzie się podziali Ruthie i Winfield? Powinni się też umyć. Dostali po pudełku biszkoptów – wyjaśniła córce. – Po całym pudełku.

Mężczyźni poszli się myć w strumieniu. Rose of Sharon pokrajała ziemniaki w plasterki i przewracała je na patelni końcem noża.

Nagle ktoś odsunął zasłonę. Ukazała się tęga, spocona twarz mieszkanki drugiej połowy wagonu.

– Jak wam dziś poszło, pani Joad?

Matka odwróciła się.

– O, dobry wieczór, pani Wainwright. Dziękuję, nie najgorzej. Trzy i pół. Dokładnie trzy pięćdziesiąt siedem.

– A my zarobiliśmy cztery dolary.

– No tak. Ale was jest więcej.

– To. prawda. Jonas podраста. Widzę, że macie kotlety wieprzowe na kolację.

Przez drzwi wczółgał się Winfield.

– Mamo!

– Cicho bądź choć przez chwilę! Tak, moi mężczyźni przepadają za wieprzowymi kotletami.

– A ja smażę boczek! – oznajmiła pani Wainwright. – Czuje pani, jak pachnie?

– Nie, nie czuję nic prócz swędu tej cebuli w ziemniakach.

– Boczek mi się przypala! – wrzasnęła pani Wainwright i głowa jej cofnęła się za płachtę.

– Mamo! – powtórzył Winfield.

– Co takiego? Niedobrze ci po biszkoptach?

– Mamo... Ruthie powiedziała...

– Co powiedziała?

– O Tomie.

Joadowa wpatrywała się w niego osłupiała.

– Powiedziała? – Uklękła przed chłopcem. – Winfield, przed kim się wygadała?

Winfield był coraz bardziej zmieszany. Usiłował się wycofać.

– Ach, powiedziała tylko trochę.

– Winfield! Powiedz mi zaraz, co powiedziała.

– Ona... ona nie zjadła wszystkich biszkoptów. Zostawiła sobie trochę, jadła wolniutko po jednym, jak to ona, i mówiła: „Żałujesz teraz, żeś już zjadł, a mnie jeszcze zostało”.

– Winfield! Powiedz mi zaraz! – Obejrzała się nerwowo na zasłonę. – Rosasharn, idź do pani Wainwright i zagadaj ją, żeby nic nie słyszała.

– A co z tymi ziemniakami?

– Dopilnuję ich sama. Idź zaraz. Nie chcę, żeby podsłuchiwała za płachtą.

Rose of Sharon powlokła się ciężko i znikła za zasłoną.

– Teraz opowiedz mi wszystko, Winfield.

– Mówiłem już, jadła po jednym biszkopcie, a niektóre łamała na pół, żeby dłużej trwało.

– Mów prędzej!

– No i przyszły inne dzieci i napierały się, żeby im dać. Ruthie jadła i jadła, ale nie podzieliła się z nikim. I dzieci się rozgniewały, i jeden chłopak wyrwał jej pudełko.

– Winfield, powiedz prędko o tamtym.

– Zaraz. Wtedy Ruthie wpadła w złość i zaczęła gonić te dzieci. Uderzyła jednego chłopca, potem drugiego, a później jedna duża dziewczynka nabiła ją ile wlezie. Dobrze jej przyłożyła. Ruthie w bek i woła, że ma dużego brata i że on zabije tę dziewczynę. A tamta na to: „Wielka mi rzecz! Ja też mam dużego brata!”. – Winfield przerwał na chwilę, bo zabrakło mu tchu. –

I pobiły się. Ruthie porządnie oberwała i gada, że jej brat zabije brata tamtej dziewczyny. A ta duża mówi: „A co będzie, jeśli mój brat zakatrupi twojego?”. I wtedy... wtedy Ruthie powiedziała, że jej brat zabił już dwóch ludzi. I... i... tamta dziewczyna krzyknęła: „O, rzeczywiście! Łziesz jak pies”. A Ruthie powiada: „Żebyś wiedziała. Mój brat właśnie się ukrywa, bo zabił człowieka”. I że może także zabić brata tej dziewczyny. Potem zaczęły się przezywać i Ruthie rzuciła kamieniem, i ta dziewczyna zaczęła ją gonić, a ja poleciałem do domu.

– O mój Boże! – jęknęła matka w udręce. – O Boże, Boże! I co my teraz pocniemy? – Przyłożyła rękę do czoła i przetarła oczy. – Co my teraz

poczniemy?

Od huczącego piecyka doleciała woń przypalonych ziemniaków. Matka podeszła machinalnie i odwróciła je na patelni.

– Rosasharn! – zawołała. Młoda kobieta wyszła zza zasłony. – Dopilnuj kolacji. Winfield! Skocz mi zaraz, odszukaj Ruthie i przyprowadź ją tutaj.

– Dasz jej w skórę, mamó? – zapytał pełen nadziei.

– Nie. Teraz to już nic nie pomoże. Co też jej strzeliło do głowy? Nie, bicie na nic by się nie zdało. Biegnij zaraz, poszukaj jej i sprowadź tutaj.

Winfield pobiegł do drzwi, wpadł jednak na trzech mężczyzn, którzy właśnie wchodzili po desce do wagonu. Usunął się, by ich przepuścić.

Matka odezwała się półgłosem:

– Ojciec, muszę ci coś powiedzieć. Ruthie wygadała się przed obcymi dziećmi, że Tom się ukrywa.

– Co takiego?

– Wygadała się. Pobiła się z nimi i wypaplała wszystko.

– A to dopiero małe ścierwo!

– No, nie wiedziała, co robi. Słuchaj teraz uważnie. Zostaniesz tu. Ja spróbuję znaleźć Toma i ostrzec go. Muszę mu powiedzieć, żeby był ostrożny. A ty pilnuj tu i uważaj na wszystko. Zabiorę coś dla niego na kolację.

– Dobrze – zgodził się ojciec.

– I nawet nie wspomnij Ruthie o tym co zrobiła. Sama z nią pomówię.

W tej chwili weszła do wagonu Ruthie, a tuż za nią Winfield. Dziewczynka była od stóp do głów umazana błotem. Usta jej lepiły się, z rozbitego w bójkę nosa wciąż jeszcze kapła krew. Minę miała zawstydzoną i wystraszoną. Winfield szedł za nią, triumfujący. Ruthie rozejrzała się ze złością wokoło, po czym ukryła się w kącie wagonu, opierając się plecami o ścianę. Wstyd walczył w niej z wściekłością.

– Powiedziałem jej, co narobiła – oznajmił Winfield.

Matka wyłożyła na blaszany talerz dwa kotlety i nieco smażonych ziemniaków.

– Cicho, Winfield! – skarciła chłopca. – Nie trzeba jej dokuczać, i tak już ma za swoje.

Ruthie przebiegła przez wagon szybko jak pocisk. Objęła matkę w pół i ukryła twarz na jej kolanach; zduszone łkania wstrząsały jej ciałem. Matka usiłowała wyswobodzić się z uścisku, ale brudne paluszki Ruthie trzymały

się jej kurczowo. Łagodnym ruchem odgarnęła jej włosy z czoła i poklepała po ramieniu.

– Cicho! Nie wiedziałas przecież, co robisz.

Ruthie podniosła brudną, umazaną krwią i zalaną łzami twarzyczkę.

– Ukradli mi pudełko z biszkoptami! A ta parszywa dziewczucha sprząła mnie pasem... – I znów wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem.

– Cicho! Nie mów tak! Już dobrze. Puść mnie, bo muszę iść.

– Dlaczego mama nie da jej w skórę? Jakby nie zadzierała nosa, że ma biszkopty, to nic by się nie stało. Niech ją mama spierze!

– Pilnuj swego nosa, smarkaczu! – zgromiła go gniewnie matka. – Bo jeszcze sam oberwiesz. Puść mnie, Ruthie.

Winfield wycofał się na zwinięty materac, spoglądając na rodzinę tępym, cynicznym wzrokiem. Zajął pozycję obronną, gdyż spodziewał się, że Ruthie zaatakuje go przy pierwszej sposobności. Lecz złamana rozpaczą dziewczynka odeszła spokojnie w przeciwny kąt wagonu.

Matka nakryła blaszany talerz gazetą.

– Idę już – powiedziała.

– Nie zjesz nic przed wyjściem? – spytał stryj John.

– Później. Jak wrócę. Teraz nie mogłabym nic przełknąć. – Skierowała się ku otwartym drzwiom i ostrożnie zeszła po desce.

Pomiędzy wagonami a strumieniem wznosiły się ustawione ciasno obok siebie namioty. Sznury ich krzyżowały się między sobą, a linki jednego namiotu przywiązane były do kołków drugiego. Przez ciemne ściany przeświecało światło zapalonych lamp, ze wszystkich rur od piecyków unosił się dym. Mężczyźni i kobiety stali przed namiotami i gawędzili. Dzieci uganiały się, podniecone. Matka kroczyła z powagą wzdłuż linii namiotów. Tu i tam poznawano ją, gdy przechodziła.

– Dobry wieczór, pani Joad!

– Dobry wieczór!

– Niesie pani coś?

– Mam tu przyjaciółkę, oddaję jej pożyczony chleb.

Wyszła wreszcie poza linię namiotów. Stała i obejrzała się za siebie. Nad obozowiskiem unosiła się luna światła i dochodził stamtąd stłumiony gwar licznych głosów. Od czasu do czasu dolatywał pojedynczy wyraźniejszy krzyk. Powietrze przesyczone było zapachem dymu. Ktoś grał

cicho na organkach, raz po raz w poszukiwaniu określonego efektu powtarzając tę samą frazę.

Matka weszła pomiędzy wierzby rosnące nad strumieniem. Zboczyła ze ścieżki i zatrzymała się, nasłuchując w ciszy, czy ktoś nie idzie jej śladem. Ścieżką przeszedł w kierunku obozu jakiś mężczyzna, przyciągając szelki i zapinając spodnie. Matka siedziała bez ruchu i mężczyzna minął ją, nie zauważywszy jej wcale. Przeczekała jeszcze pięć minut, potem podniosła się i wśliznęła na ścieżkę biegnącą wzdłuż strumienia. Stąpała cicho – tak cicho, że lekkie jej kroki na opadłych liściach wierzbowych nie zagłuszały szmeru wody. Ścieżka i strumień skręcały w lewo, a potem znów biegły w prawo, zbliżając się do szosy. W bladym świetle gwiazd matka dojrzała już skarpe i czarny, okrągły otwór przepustu, w którym zawsze zostawiała jedzenie dla Toma. Zbliżyła się ostrożnie, wsunęła do otworu przyniesioną paczkę i zabrała pusty blaszany talerz pozostawiony przez syna. Potem cofnęła się znowu w zarośla, przedarła przez gąszcz, usiadła i czekała. Widziała przez gęstwiny czarny otwór przepustu. Objęła rękami kolana i zastygła w bezruchu. Po chwili gąszcz wiklinowy znowu ożył. Myszy polne przemykały bezszelestnie po listkach. Drózką przeszedł ciężko pewny siebie skunks, wlokąc za sobą smugę słabego odoru. Wiatr zakołysał lekko wierzbami, jakby chciał wystawić je na próbę, i ulewa złocistych liści spłynęła na ziemię. Nagle silny powiew wdarł się między gałęzie, wstrząsnął drzewami i liście opadły ciężką kaskadą. Matka czuła je na włosach i na ramionach. Na niebo wpełzła ciężka, czarna chmura i przysłoniła gwiazdy. Posypały się grube krople deszczu, rozpryskując głośno na zeschniętych, opadłych liściach. Chmura przesunęła się dalej i znów ukazały się gwiazdy. Matką wstrząsnął dreszcz. Wiatr ucichł, cisza zaległa zarośla i jedynie drzewa nad strumieniem szumiały ciągle. Z obozu dolatywały wysokie, przejmujące tony skrzypiec, na których ktoś próbował dobrać melodię.

W pewnej chwili matka usłyszała, że gdzieś w oddali, na lewo od niej, ktoś stąpa ostrożnie po liściach. Zesztywniała w napięciu. By lepiej słyszeć, opuściła kolana i podniosła wyżej głowę. Kroki ucichły, lecz po chwili rozległy się znowu. Gałązka dzikiego wino trzasnęła głośno na zeschniętych liściach. Matka ujrzała wynurzającą się z gęstwiny ciemną postać zmierzającą w stronę przepustu. Czarny, okrągły otwór był przez chwilę zasłonięty, po czym postać cofnęła się. Matka zawołała cicho:

– Tom!

Postać stanęła nieruchomo, tak nieruchomo i tak przygięta do ziemi, że można ją było wziąć za pień. Matka zawołała znowu:

– Tom, Tom!

Dopiero teraz ciemna postać ruszyła z miejsca.

– To mama?

– Jestem tutaj...

Wstała i poszła mu na spotkanie.

– Nie powinna była mama tu przychodzić.

– Musiałam się z tobą zobaczyć, Tom. Mam ci coś do powiedzenia.

– To za blisko ścieżki. Ktoś może tędy przechodzić.

– A nie masz jakiej kryjówki, Tom?

– Tak... ale jeżeli... niech dajmy na to zobaczy mnie ktoś z mamą, cała rodzina wpadnie.

– Musiałam tu przyjść.

– No to niech mama idzie ze mną. Tylko cicho.

Przeszedł strumień, brodząc niedbale w wodzie. Matka podążała za nim. Przedarł się przez krzaki i wyszedł na pole po drugiej stronie gęstwiny, idąc dalej po zaoranej ziemi. Czerniejące łądyżki bawełnianych krzaczków sterczały ku górze, oblepione jeszcze gdzieś skąpym puchem. Szli tak ze ćwierć mili skrajem pola, po czym Tom skręcił znowu w zarośla. Zbliżył się do wielkiej kępy jeżyn, schylił się i odgarnął zasłonę z dzikiego wina.

– Będzie mama musiała wejść tu na czworakach.

Czołgała się, czując pod kolanami piasek. Po chwili w ciemnym wnętrzu zrobiło się przestronniej. Wymacała na ziemi koc syna. Tom zasłonił wejście pnączami. W kryjówce panowała nieprzenikniona ciemność.

– Gdzie mama jest?

– Tutaj, tutaj. Mów cicho, Tom.

– Niech się mama nie boi. Żyję tu od jakiegoś czasu jak królik w norze.

Doszedł ją szelest papieru odwijanego z blaszanego talerza.

– Kotlety wieprzowe – szepnęła. – I smażone ziemniaki.

– Boże, jeszcze nawet ciepłe!

W głębokim mroku nie mogła go dojrzeć, słyszała jednak, jak odrywa zębami, żuje i przełyka kęsy mięsa.

– Wspaniała kryjówka, co? – odezwał się.

Matka odparła z zakłopotaniem:

– Tom... Ruthie wypaplała o tobie. – Usłyszała, jak zachłysnął się z wrażenia.

– Ruthie? Dlaczego?

– To nawet nie jej wina. Pobila się z jakąś starszą od siebie dziewczynką i przechwalała się, że jej brat spierze brata tamtej. Wiesz, jak to między dziećmi bywa. A potem wygadała się, że jej brat zabił człowieka i że się ukrywa.

Tom zaśmiał się cicho.

– Kiedy byłem mały, zawsze w ten sposób straszyłem dzieci stryjem Johnem, choć nigdy by nic podobnego nie zrobił. To tylko takie dziecinne gadanie. To nie ma znaczenia, mamó.

– A ja ci mówię, że ma. Dzieci rozgadają to na cały obóz, potem zaczną plotkować starsi i skończy się na tym, że będą na wszelki wypadek szukać. Tom, musisz uciekać.

– Dawno już to mówiłem. Zawsze się bałem, że ktoś wypatrzy, jak mama wstawia jedzenie do tego przepustu, i że zaczną mamę śledzić.

– Wiem. Ale chciałam cię mieć blisko. Bałam się o ciebie. Nie widziałam cię tak dawno. I teraz nie mogę cię zobaczyć. Jak z twoją twarzą?

– Goi się, i to szybko.

– Zbliź się, Tom. Niech jej dotknę. Przysuń się. – Przyczołgał się do matki. Wyciągnęła rękę i znalazła po omacku jego głowę. Palce jej przesunęły się wzdłuż nosa, a potem dotknęły lewego policzka. – Zostanie ci brzydka blizna, Tom. I nos masz cały skrzywiony.

– Może to i lepiej. Nikt mnie przynajmniej nie pozna. Żeby tak jeszcze nie mieli odcisków moich palców, gwizdałbym na wszystko. – Zabrał się znów do jedzenia.

– Cicho! – szepnęła. – Posłuchaj!

– To wiatr, mamó! To tylko wiatr.

Gwałtowny podmuch powiał wzdłuż strumienia i zaszumiał wśród drzew.

Przyczołgała się w kierunku jego głosu.

– Chcę cię jeszcze raz dotknąć, Tom. Tak tu ciemno, że czuję się jak ślepa. Chcę cię zapamiętać, niech pamiętają cię choć moje palce. Musisz uciekać, Tom.

– Tak. Wiedziałem to od samego początku.

– Powodzi się nam nie najgorzej. Uciulałam trochę grosza. Wyciągnij rękę, Tom. Mam tu siedem dolarów.

– Nie wezmę tych pieniędzy – powiedział. – I bez nich dam sobie radę.

– Daj rękę, Tom. Nie zasnę ani na chwilę, jeśli nie będziesz miał przy sobie pieniędzy. Może będziesz musiał jechać autobusem lub coś podobnego. Musisz odjechać jak najdalej – ze trzysta, czterysta mil stąd.

– Nie wezmę pieniędzy.

– Tom – powiedziała surowo – weź. Słyszysz? Nie masz prawa mnie krzywdzić.

– Nieładnie tak ze mną postępować, mamo.

– Myślałam sobie, że może byłoby dobrze, gdybyś dostał się do jakiegoś dużego miasta. Może do Los Angeles. Nikt by cię tam nie szukał.

– Hm – mruknął. – Niech mama posłucha. Całymi dniami i nocami siedziałem tu w ukryciu sam jak palec. I niech mama zgadnie, o kim myślałem. O Casym! Chłop gadał jak najęty. Zanudzał mnie czasem na śmierć. A teraz myślałem o wszystkim, co mówił, i przypominałem sobie po kolei wszyściutko. Opowiadał, jak to kiedyś odszedł na pustynię, żeby odnaleźć własną duszę, i jak tam zrozumiał, że jego dusza nie należy tylko do niego. Mówił, że ma w sobie tylko maleńki kawałeczek jakiejś jednej wielkiej, ogromnej duszy. Mówił, że nie warto siedzieć na pustyni, bo ten jego mały kawałeczek duszy nie zda się na nic, jeżeli nie połączy się z tą wielką duszą i nie będzie z nią razem. Aż się dziwię, że tak wszystko spaśniałem. Nie przyszło mi nigdy na myśl, że słuchałem tak pilnie tego, co Casy wygadywał. Ale teraz wiem, że to na nic, kiedy człowiek jest sam.

– Poczciwy był ten Casy – szepnęła matka.

– Kiedyś cytował coś z Pisma Świętego. Ale nie brzmiało to wcale jak Biblia, która ciągle grozi ogniem piekielnym. Dwa razy powtarzał te słowa, zapamiętałem je sobie. To podobno z Księgi Eklezjasty.

– A jakie to słowa, Tom?

– Takie: „Lepiej tedy dwóm być społem niż jednemu, albowiem mają pożytek ze swego towarzystwa. Jeśli jeden upadnie, drugi go podeprze. Biada samemu, bo jeśli upadnie, nie ma nikogo, kto by go podniósł”. To pierwsza część.

– Mów, Tom – prosiła matka. – Mów dalej.

– Jeszcze tylko parę słów: „Jeśli dwaj spać będą, zagrzeje się jeden od drugiego. Jeden jako się zagrzeje? Jeśli też kto przemoże jednego,

dwóch mu się oprze; troisty sznur niełatwo się przerywa”².

– I tak jest w Piśmie Świętym?

– Casy mówił, że tak jest w Księdze Eklezjasty.

– Cicho! Posłuchaj!

– To tylko wiatr. Nasłuchałem się go tutaj. I zacząłem rozmyślać. Mamo... wszystkie kazania są o biedzie i o tym, że tak już być musi, bo jak nie masz, człowieku, nic, to złóż pobożnie ręce i czekaj, aż ci, psiakrew, po śmierci podadzą lody na złotym półmisku. Ale ta Księga Eklezjasty powiada, że dwóch ma z siebie lepszy pożytek.

– Tom, co ty chcesz począć z sobą?

Tom milczał dłuższą chwilę.

– Myślałem też, jak to było w tamtym obozie rządowym. Nasi ludzie zarządzili się sami, a jak dochodziło do bójk, to sami robili porządek. Nie było tam policjantów wymachujących o byle co pistoletami, a przecież bez nich był większy spokój niż z nimi. I zastanawiałem się, dlaczego nie możemy tego zrobić wszędzie. Dlaczego nie możemy wyrzucić na zbity pysk policjantów, bo to przecież nie nasi ludzie. I pracować razem dla siebie, razem uprawiać własną ziemię...

– Tom – powtórzyła – co chcesz zrobić?

– To samo, co Casy – odpowiedział.

– Ale przecież jego zabili.

– To prawda. Nie zdążył chłop schylić się w porę. Zabili go, choć nie zrobił nic złego. Myślałem nad tym diabli wiedzą jak długo, myślałem i o tym, że nasi ludzie żyją jak świny, a dobra, żyzna ziemia leży odłogiem, że jakiś jeden drań ma milion akrów, a sto tysięcy dobrych rolników zdycha z głodu. I przyszło mi do głowy, że jakby wszyscy nasi zebrali się razem i podnieśli krzyk, jak tamci pod bramą Hoopera, choć przecie było ich tak mało...

Matka przerwała mu:

– Tom, zaszczują cię i wykończą, jak wykończyli młodego Floyda.

– Ścigać i szczuć będą mnie tak czy owak. Szczują wszystkich naszych ludzi.

– Ale już nie zabijesz nikogo, Tom?

– Nie. Myślałem, że póki i tak jestem wyjęty spod prawa, mógłbym... E, do diabła, nie zastanawiałem się jeszcze nad tym tak dokładnie, mamo.

Niech mi mama da teraz spokój!

Siedzieli, milcząc, w oplecionej winem, ciemnej jak grób rozpadlinie. Wreszcie matka odezwała się:

– Skądże będę wiedziała, co się z tobą dzieje? Mogą cię zabić, a ja się nawet o tym nie dowiem. Mogą cię skrzywdzić, a ja nie będę wiedziała.

Tom roześmiał się z zakłopotaniem.

– Ano, może Casy miał rację, może człowiek nie ma własnej duszy, a tylko kawałek jednej wielkiej... a wtedy...

– Co wtedy, Tom?

– Wtedy to nie będzie ważne, że umrę. Wtedy i tak będę wszędzie, w mroku. Będę wszędzie, gdzie mama spojrzy. Wszędzie tam, gdzie ludzie walczą o to, by mieć co jeść. Będę wszędzie tam, gdzie policjant bije człowieka. Jeżeli Casy mówił prawdę, to będę tam, gdzie drą się wniebogłosy oszaleli z głodu ludzie, będę tam, gdzie dzieci się śmieją, kiedy chcą jeść i wiedzą, że zaraz dostaną kolację. A kiedy nasi ludzie będą jedli chleb z własnych pól i zamieszkają w pobudowanych przez siebie domach – będę i tam. Rozumie mama? Boże drogi, rozgadałem się jak Casy. To dlatego, że tak długo o nim myślę. Wydaje mi się czasem, że go widzę.

– Nie rozumiem – mówiła matka – i nie wiem doprawdy...

– Ja też nie – przerwał Tom. – To tylko to wszystko, o czym myślałem. Kiedy tak człowiek nie rusza się z miejsca, wtedy myśli a myśli. Musi już mama wracać.

– No to weź pieniądze.

Milczał przez chwilę.

– Dobrze – zgodził się wreszcie.

– I słuchaj, Tom, później... kiedy już wszystko przycichnie, wrócisz do nas. Znajdziesz nas?

– Na pewno. Ale teraz niech mama już idzie. Niech mi mama da rękę.

Poprowadził ją do wyjścia. Palce jej zacisnęły się na przegubie jego dłoni. Odsunął gałęzie i wyprowadził matkę z kryjówki.

– Niech mama idzie polem aż do drzewa, które tam rośnie na skraju. Potem trzeba przejść przez strumień. Do widzenia!

– Do widzenia! – odpowiedziała i oddaliła się szybko. Oczy ją piekły i zwilgotniały, ale nie płakała. Idąc przez zarośla, stąpała głośno po liściach, nie dbając już o ostrożność. Gdy tak zmierzała ku obozowi, z zamglonego

nieba zaczął padać deszcz; wielkie, rzadkie krople rozpryskiwały się ciężko na zeschniętych liściach. Matka zatrzymała się i stała bez ruchu w ociekającym wodą gąszczu. Zawróciła, zrobiła trzy kroki w kierunku wzgórza obrosniętego dzikim winem, potem znów szybko zmieniła kierunek i ruszyła w stronę obozowiska. Przeszła przez przepust i wdrapała się na drogę. Deszcz ustał, lecz niebo było wciąż zachmurzone. Matka usłyszała za sobą kroki i odwróciła się gwałtownie. Na drodze tańczył krąg nikłego światła latarki. Poszła dalej. Po chwili dogonił ją jakiś mężczyzna. Skierował przez grzeczność latarkę ku ziemi, aby nie świecić jej w twarz.

– Dobry wieczór pani! – pozdrowił ją.

– Dobry wieczór! – odpowiedziała.

– Chyba się rozpadało.

– Mam nadzieję, że nie. Nie można by zbierać bawełny, a bez roboty nie można żyć.

– I mnie też zależy na zebraniu bawełny. Czy pani mieszka w tym obozie?

– Tak, proszę pana.

Kroki ich wybijały na drodze zgodny rytm.

– Mam dwadzieścia akrów bawełny. Późno trochę, ale już dojrzała. Wybrałem się właśnie, żeby poszukać ludzi.

– Znajdzie pan bez trudu. Już prawie po sezonie.

– Mam nadzieję. Moje grunty są zaledwie o milę stąd.

– Jest nas sześcioro – powiedziała. – Trzech mężczyzn, ja i dwoje dzieci.

– Wywieszę ogłoszenie. To stąd ze dwie mile. Tą drogą.

– Jutro rano się zgłosimy.

– Mam nadzieję, że nie będzie deszczu.

– I ja mam nadzieję – zawtórowała. – Dwadzieścia akrów to nie potrwa długo.

– Im prędzej się skończy, tym lepiej dla mnie. Spóźniłem się z bawełną. Późno ją zasiałem.

– Ile pan płaci, proszę pana?

– Dziewięćdziesiąt centów.

– Zgoda. Słyszałam, że w przyszłym roku mają płacić po siedemdziesiąt pięć, a nawet i po sześćdziesiąt.

– Ja też tak słyszałem.

– Będzie bieda – zauważyła matka.

– A pewnie. Zdaję sobie z tego sprawę. Tacy drobni farmerzy, jak ja, nic na to nie poradzą. Towarzystwo ustala stawki, a my musimy się do nich stosować. Jeśli się kto wyłamie, traci farmę. Małego farmera przycisną zawsze.

Doszli do obozu.

– Będziemy na pewno – obiecała matka. – Tu robota już się kończy.

Ruszyła w stronę ostatniego wagonu i weszła po pochyłej desce. Przyćmione światło latarni rzucało posępne cienie. Pod ścianą przykucnęli ojciec i stryj John w towarzystwie starszego mężczyzny.

– Dobry wieczór, panie Wainwright! – zawołała matka.

Podniósł twarz o delikatnych rysach. Miał głęboko osadzone oczy i krzaczaste brwi. Piękne jego włosy były mlecznobiałe. Brodę i szczęki okrywała srebrzysta broda.

– Dobry wieczór pani! – odpowiedział.

– Mamy jutro robotę przy bawełnie – oznajmiła matka. – O milę stąd na północ. Dwadzieścia akrów.

– Chyba trzeba będzie pojechać ciężarówką – zdecydował ojciec. – Zwali się tam więcej chętnych.

Wainwright podniósł żywo głowę.

– A czy myśli pani, że byłaby tam i dla nas robota?

– Z pewnością. Szłam kawałek z właścicielem farmy. Wybrał się właśnie na poszukiwanie robotników.

– Tu bawełna już prawie zebrana. Zostały same resztki: to już tylko drugi zbiór. Trudno będzie teraz zarobić na życie. Za pierwszym razem obrało się krzaki do szczętu.

– Moglibyście się zabrać z nami – zaproponowała matka. – Podzielilibyśmy się kosztem benzyny.

– O, to bardzo ładnie z pani strony.

– Będzie to oszczędność i dla was, i dla nas.

– Pan Wainwright przyszedł tu do nas z kłopotem – powiedział ojciec. – Właśnie radziliśmy nad tym.

– A o co chodzi?

Wainwright patrzył w podłogę.

– O naszą Aggie... – wyjaśnił. – To już dorosła dziewczyna, niedługo kończy szesnaście lat.

– Aggie to ładna dziewczuszka – wtrąciła matka.

– Wysłuchajże, o co chodzi – powiedział ojciec.

– Ano, Aggie i wasz chłopak Al co wieczór chodzą razem. Aggie to zająca i zdrowa dziewczyna i powinna mieć męża, bo inaczej może napytać sobie biedy. Nigdy dotąd nie mieliśmy w rodzinie takich kłopotów. Ale teraz, kiedy gniecie nas bieda, martwimy się oboje – żona i ja. Co będzie, jak się nam dziewczyna wykolei?

Matka rozłożyła materac i usiadła.

– A czy i teraz wyszli razem? – zapytała.

– Zawsze wychodzą razem – odparł Wainwright. – Co wieczór.

– Hm... No, Al to porządny chłopak. Ubrdał sobie, że nie ma nigdzie większego od niego koguta, ale chłopak z niego dobry i można na nim polegać. Nie mogę narzekać.

– Och, my wcale się na niego nie uskarżamy. Chłopiec podoba się nam bardzo. Żona i ja boimy się tylko... co tu gadać, to już nie dziecko – to kobieta. Co będzie, jak wy się wyniesiecie albo my będziemy musieli wyjechać, a Aggie będzie już w biedzie? Takiego wstydu jeszcze w naszej rodzinie nie było.

– Postaramy się dopilnować, żebyście się nie musieli przez nas wstydzić – powiedziała cicho matka.

Wainwright podniósł się żywo.

– Dziękuję pani. Aggie to dorosła dziewczyna. Dobre dziecko, miłe i dobre. Będziemy pani bardzo wdzięczni, jeśli nas pani uchroni od wstydu. To nie jej wina, że jest już dorosła.

– Ojciec musi porozmawiać z Alem – postanowiła matka. – A nie, to ja z nim pogadam.

– Dobranoc pani i bardzo dziękuję! – pożegnał się Wainwright.

Znikł za zasłoną. Joadowie słyszeli, jak rozmawia przyciszonym głosem w drugim końcu wagonu, zdając sprawę z wyników swej misji. Matka nasłuchiwała przez chwilę, a potem przywołała mężczyzn.

– Chodźcie tu i siadajcie koło mnie.

Ojciec i stryj John podnieśli się ciężko i usiedli na materacu obok matki.

– Gdzie dzieci?

Ojciec wskazał materac w kącie.

– Ruthie rzuciła się na Winfielda i ugryzła go. Kazałem obojgu położyć się. Śpią chyba teraz. Rosasharn poszła odwiedzić sąsiadkę.

Matka westchnęła.

– Odszukałam Toma – powiedziała półgłosem – i... wyprawiłam go. Jak najdalej stąd.

Ojciec pokiwał wolno głową. Stryj John spuścił brodę na piersi.

– Nie było innej rady – rzekł ojciec. – Jak myślisz, John?

Stryj John podniósł oczy.

– Jestem niezdolny do myślenia – wyznał. – Czuję się tak, jakbym się nie mógł przebudzić ze snu.

– Tom to zacny chłopak – powiedziała matka i usprawiedliwiając się wobec męża, dodała: – Nie chciałam cię urazić, gdy powiedziałam, że sama pogadam z Alem.

– Wiem – odpowiedział spokojnie. – Wiem, że jestem już do niczego. Wciąż tylko myślę i myślę, jak było kiedyś. Od rana do wieczora myślę o naszych stronach, a przecież nigdy ich już nie zobaczę.

– Tu jest dużo ładniej... i ziemia lepsza.

– Ano niby tak. Ja tam tego nawet nie widzę i tylko wciąż myślę o tym, jak tam teraz z naszej wierzby lecą liście. Czasem znowu przychodzi mi do głowy, że trzeba załatać dziurę w płocie za domem. Dziwne jakieś to wszystko! Kobieta rządzi teraz w rodzinie. Kobieta mówi: „Zrób to czy tamto”, „Pojedziemy tu albo tam”. A mnie już wszystko jedno.

– Kobieta potrafi zmienić się i dopasować lepiej niż mężczyzna – pocieszała go matka. – Kobieta zamyka całe swoje życie w rękach, a mężczyzna – w głowie. Nie frasuj się, ojciec. Kto wie, może już w przyszłym roku będziemy na swoim.

– Nie mamy teraz nic – biadał ojciec. – Nadchodzą ciężkie czasy, bo ani zbiorów, ani pracy. Co pocniemy z sobą? Jak się wyżywimy? Tylko patrzeć, jak zlegnie Rosasharn. Ciężko o tym wszystkim myśleć. I żeby nie myśleć, wciąż rozpamiętuję dawne czasy. Wydaje mi się, że nasze życie skończyło się na zawsze.

– Nie, nie skończyło się – odparła matka. – Nie skończyło się i nie skończy. To właśnie też kobieta lepiej od mężczyzny rozumie. Dawno już to zauważyłam. Mężczyzna idzie przez życie, szarpiąc się jakby i skacząc. Urodziło mu się dziecko, umarł ktoś z rodziny – szarpnął się i już jest gdzie indziej. Osiadł na swojej farmie albo ją stracił – znowu się szarpie i rzuca w co innego. A kobieta płynie, płynie jak strumień, jak rzeka. Spotyka w drodze jakieś tam wiry, czasem tu i tam zakotłuje się coś, ale i tak wszystko płynie naprzód, wciąż naprzód. Kobieta tak właśnie widzi życie.

Nie bój się, nie skończymy się i nie wymrzemy. Ludzie wciąż jakoś wędrują naprzód, zmieniają się trochę, ale idą przed siebie, nie zawracając z drogi.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – wtrącił nagle stryj John. – Czy jest jakaś rada na to, by wszystko nie stanęło w miejscu, by ludzi nie zmogło zmęczenie i by nie legli wszyscy pokotem na drodze?

Matka zastanawiała się nad odpowiedzią. Prawą dłonią tarła grzbiet lewej, po czym splotła palce obu rąk.

– Jak by ci to wytłumaczyć? – odezwała się w końcu. – Ja myślę, że wszystko, co robimy, jest po to, byśmy szli naprzód, a nie stali w miejscu. Tak mi się wydaje. Nawet wtedy, kiedy nie ma co jeść, kiedy nawiedzi nas choroba; umierają tylko niektórzy, a inni stają się jeszcze mocniejsi. Trzeba starać się przeżyć tylko dzisiejszy dzień, tylko dzisiejszy.

– Żeby ona chociaż wtedy nie umarła... – zaczął stryj John.

– Przeżyć dzisiejszy dzień – przerwała mu matka. – Przestań się gryźć, John.

– A tam w naszych stronach może będzie w przyszłym roku piękny urodzaj – rzekł ojciec.

– Cicho! – powiedziała matka.

Ktoś szedł do nich po pochylni. Po chwili spoza zasłony wynurzył się Al.

– Dobry wieczór! – zawołał. – Myślałem, że już wszyscy śpicie.

– Zagadaliśmy się trochę – powiedziała matka. – Chodź, siadaj tu, Al.

– To dobrze, bo i ja chciałbym coś powiedzieć. Widzicie, niedługo już tu z wami zostanę.

– No, tego nie możesz zrobić. Jesteś nam potrzebny. Dlaczego miałbyś od nas odejść?

– Bo widzi mama, ja... i Aggie Wainwright... chcemy się pobrać. Postaram się o robotę w warsztacie samochodowym. Wynajmiemy sobie na jakiś czas mieszkanie, a potem... – Rozejrzał się dokoła wyzywającym wzrokiem. – Tak postanowiliśmy i nikt nam tego z głowy nie wybije.

Patrzyli na niego oszołomieni.

– Al – powiedziała wreszcie matka – jesteśmy bardzo radzi. Strasznie się cieszymy.

– Naprawdę?

– No, pewnie. Dorosły już z ciebie mężczyzna. Powinieneś się ożenić. Ale teraz nie odchodź jeszcze, Al.

– Przysięgłem Aggie. Musimy wyjechać. Nie możemy już dłużej czekać.
– Zostań chociaż do wiosny – błagała. – Tylko do wiosny. Nie zostaniesz?
A kto poprowadzi samochód?

– Ano...

Zza zasłony ukazała się głowa pani Wainwright.

– To wiecie już? – padło pytanie.

– A jakże. Właśnie powiedział nam wszystko.

– Ojej! Jaka szkoda, że nie mamy jakiegoś ciasta. Żeby przynajmniej placek lub coś podobnego.

– Nastawię kawy i zrobię naleśniki! – zawołała matka. – Mamy syrop.

– O mój Boże kochany! – roztkliwiała się pani Wainwright. – Ach, wiem już! Mam trochę cukru, to posypimy nim naleśniki.

Matka nałamała i podłożyła do piecyka gałązek, które zajęły się od razu płomieniem od żaru pozostałego po gotowaniu obiadu. Ruthie i Winfield wypęzli z posłania jak kraby ze swych muszli. Jakiś czas zachowywali się jak trusie, niepewni, czy ich zbrodnie poszły już w niepamięć. Widząc, że nikt nie zwraca na nich uwagi, rozzuchwalili się szybko. Ruthie skakała na jednej nodze do drzwi i z powrotem, nie dotknąwszy ani razu ściany. Matka sypała właśnie mąkę do miski, gdy po pochylni wdrapała się do wagonu Rose of Sharon. Przystanęła na chwilę, a potem podeszła ostrożnie.

– Co się tu dzieje? – zapytała.

– O, wielka nowina! – zawołała matka. – Al i Aggie Wainwright postanowili się pobrać. Chcemy to trochę uczcić.

Rose of Sharon skamieniała. Powoli przeniosła wzrok na Alę, który stał oszołomiony i zmieszany.

Pani Wainwright krzyknęła z drugiego końca wagonu:

– Aggie przebiera się w świeżą sukienkę. Zaraz przyjdziemy!

Rose of Sharon zawróciła powoli. Ruszyła z powrotem ku szerokim drzwiom i ociężale zeszła po pochylni. Stanąwszy na twardym gruncie, wolnym krokiem ruszyła w stronę strumienia i biegnącej obok niego ścieżki. Kroczyła drogą, którą niedawno przebyła matka – ku wiklinowym zaroślom. Wiatr wiał teraz niemal bez przerwy, szeleszcząc liśćmi. Rose of Sharon osunęła się na kolana i wczółgała głęboko w gęstwinę. Gałązki dzikiego wina smagały jej twarz i szarpały ją za włosy, nie zwracała jednak na to uwagi. Dopiero gdy poczuła, że ze wszystkich stron otaczają ją krzaki,

zatrzymała się i położyła na wznak. W głębi łona czuła ciężar spoczywającego tam dziecka.

Matka poruszyła się w mroku wagonu, odsunęła kołdrę i wstała. Przez otwarte drzwi przenikało blade światło gwiazd. Podeszła do wejścia i stanęła, wyglądając na świat. Gwiazdy bladły już na wschodzie. Nad gęstwiną wierzb wiał łagodny wiatr, od strony strumyka dochodziło stłumione bulgotanie wody. Cały niemal obóz spał jeszcze, przed jednym tylko namiotem płonęło małe ognisko, a wokoło niego stali, grzejąc się, ludzie. W drgającym blasku płomieni matka widziała ich zwrócone ku ognisku twarze i obserwowała, jak rozcierali sobie ręce. Po chwili wszyscy obrócili się plecami do ognia, zakładając ręce do tyłu. Splótłszy palce na brzuchu, matka przez długą chwilę patrzyła przed siebie. Nagły, gwałtowny poryw wiatru oziębził mroźne już powietrze. Matka wzdrygnęła się i zatarła ręce, a potem cofnęła się, szukając po omacku zapalek, które zostawiła koło lampy. Zgrzytnęła podnoszona szybko. Matka zapaliła knot, patrzyła chwilę, jak rozpala się błękitnym płomykiem, a potem powiększyła żółty, delikatny krążek światła. Zniosła lampę przed piecyk i zabrała się do łamania suchych wierzbowych gałązek. Włożyła je do paleniska i po chwili huczał już ogień.

Rose of Sharon obróciła się ciężko i usiadła.

– Zaraz wstaję – powiedziała.

– Może byś poleżała jeszcze chwilę, póki się nie ociepli.

– Nie, wstanę.

Matka nalała z wiadra wody do garnka od kawy i postawiła go na piecyku obok patelni z grubą warstwą tłuszczu, w którym miały się smażyć kukurydziane placki.

– Co ci się stało? – zapytała półgłosem.

– Jadę – oznajmiła Rose of Sharon.

– Dokąd?

– Zbierać bawełnę.

– Nie możesz jechać – sprzeciwiła się matka. – Jesteś przecież na ostatnich nogach.

– To nic, pojedę.

Matka wsypała do wody odmierzoną porcję kawy.

– Rosasharn, nie przyszłaś wczoraj na kawę i naleśniki. – Młoda kobieta milczała. – Dlaczego zachciało ci się zbierać bawełnę? – Wciąż nie było odpowiedzi. – Czy to z powodu Ala i Aggie? – Matka przyjrzała się bacznie córce. – Ach, tak! No, nie potrzebujesz przecież pracować.

– Pojadę.

– Dobrze, ale się nie podzwigaj. Ojciec, wstawaj! Wstawajcie wszyscy!

Ojciec mrugał oczami i ziewał.

– Wcale się nie wyspałem – jęknął. – Była już chyba jedenasta, kiedyśmy się położyli.

– Wstawajcie i myjcie się!

Mieszkańcy wagonu budzili się powoli; wygrzebując się spod koców, i drżąc z zimna, ubierali się. Matka krajała plastry solonego boczku na drugą patelnię.

– Wstawajcie i myjcie się! – powtarzała tonem komendy.

W drugim końcu wagonu zabłysło światło. Z kąta Wainwrightów rozległ się trzask łamanego chrustu.

– Pani Joad – dobiegło wołanie – już wstajemy! Zaraz będziemy gotowi!

– Po co zrywamy się dziś tak wcześnie? – narzekał zaspany Al.

– Tam jest tylko dwadzieścia akrów – tłumaczyła matka. – Musimy się pośpieszyć. Bawełna już się kończy, musimy się tam dostać, zanim będzie po wszystkim.

Matka poganiała, aby się prędzej ubierali i jedli śniadanie.

– Nie możemy przecież, mamó, zbierać bawełny po ciemku.

– Kiedy się rozwidni, musimy już być na miejscu.

– A może będzie mokro?

– Tak bardzo nie padało. Chodźcie teraz, wypijcie kawę. Al, jak tylko skończysz, idź, zapuść silnik.

– Prędko będziecie gotowi, pani Wainwright?

– Za chwilę. Jemy śniadanie.

Obóz się budził. Przed namiotami zapłonęły ogniska. Sterczące ze ścian wagonów rury piecyków buchały dymem.

Al dopił kawę i nabrał w usta fusów. Schodząc po pochylni, wypływał je na ziemię.

– Jesteśmy gotowi, pani Wainwright! – zawołała matka. Zwróciła się do Rose of Sharon i powiedziała: – Ty zostaniesz.

Młoda kobieta zacisnęła zęby.

– Nie, pojadę – upierała się. – Mamo, ja muszę jechać.

– Nie masz nawet worka na bawełnę. I nie mogłabyś go przecież ciągnąć za sobą.

– Będę zbierała do mamy worka.

– Wolałabym, żebyś została.

– Nie, jadę z wami.

Matka westchnęła.

– Będę musiała uważać na ciebie. Szkoda, że nie ma tu doktora.

Rose of Sharon kręciła się niespokojnie po wagonie. Włożyła letni płaszcz, lecz zaraz go zdjęła.

– Weź koc – poradziła jej matka. – Jak będziesz chciała odpocząć, to się okryjesz.

Za ścianą wagonu rozległ się warkot silnika.

– Musimy wyjechać pierwsi – mówiła matka podniecona. – Zabierajcie swoje worki. Ruthie, nie zapomnij tych koszul, które wam przerobiłam do zbierania bawełny.

Wainwrightowie i Joadowie wdrapali się w ciemności na ciężarówkę. Dniało, lecz brzask był opieszwały jakiś i blady.

– Skręć w lewo – powiedziała matka do Ala. – Tu zaraz będzie ogłoszenie, dokąd mamy jechać.

Ciężarówka posuwała się ciemną drogą. Za nią podążały inne. W obozie uruchamiano silniki, rodziny ładowały się gromadnie na samochody, które wyjeżdżały na szosę i kierowały się w lewo. Po prawej stronie drogi na skrzynce pocztowej przyczepiony był kawałek tektury. Niebieskim ołówkiem wypisano na nim drukowanymi literami: „Potrzebni robotnicy do zbierania bawełny”. Al skręcił w bramę i wjechał na podwórze przed stodołą. Stało tam już wiele samochodów. W głębi białego budynku kulista lampa elektryczna oświetlała grupę skupionych przy wadze ludzi ze zwiniętymi workami pod pachą. Niektóre kobiety okryły się workami, związawszy sobie z przodu ich końce.

– Nie jesteśmy tak wcześnie, jak nam się zdawało – zauważył Al.

Zjechał pod płot i zaparkował wóz. Dwie rodziny zeszły z ciężarówki i przyłączyły się do czekających ludzi. Z szosy nadjeżdżało coraz więcej samochodów i coraz dumniej było na podwórzu farmy. W świetle lampy umieszczonej w głębi stodoły farmer zapisywał zgłaszających się do pracy.

– Hawley? H-a-w-l-e-y? Ilu was jest?

- Czwororo. Will...
- Will.
- Benton...
- Benton.
- Amelia...
- Amelia.
- Claire...
- Claire. Następny. Carpenter? Ilu?
- Sześcioro.

Wpisywał nazwiska w zeszycie, zostawiając miejsce na notowanie wagi zebranej bawełny.

- Macie własne worki? U mnie znajdzie się kilka. Po dolarze.

Samochody wciąż wjeżdżały na podwórze. Farmer zapiął pod szyję skórzaną kurtkę podbitą baraním kożuszkím. Spoglądał z niepokojem na bramę.

- Te dwadzieścia akrów będą prędko zebrane – rzucił.

Dzieci wdrapywały się na wielką przyczepę służącą do przewożenia bawełny, wciskając palce nóg w oka siatki drucianej nad nadwoziem.

- Złazcie mi zaraz! – krzyknął farmer. – Zniszczycie siatkę.

Dzieci zsunęły się wolno na ziemię, przestraszone i milczące. Wstawał szary świt.

- Będę musiał odliczać coś z wagi, bo jest jeszcze rosa – uprzedził farmer.

– Przestanę, jak tylko pokaże się słońce. A teraz, jeśli chcecie, idźcie do roboty. Jest już dosyć widno.

Ludzie ruszyli szybko na plantację i zajęli każdy swój rząd. Opasawszy się workami, zacierali ręce, by rozgrzać palce i przywrócić im giętkość. Na wschodzie nad wzgórzami niebo przybrało barwę różową; długi łańcuch ludzi posuwał się polem wzdłuż rzędów bawełny. Z szosy wciąż zjeżdżały samochody, zatrzymywały się w podwórzu przed stodołą, aż wreszcie było ich tyle, że musiały się ustawiać po dwóch stronach drogi. Po polu powiał ostry wiatr.

– W głowę zachodzę, jakeście się wszyscy zwiedzieli o tej robocie – dziwił się właściciel farmy. – Musicie mieć diabelny wywiad. Moje dwadzieścia akrów nie starczy wam nawet do południa. Nazwisko? Hume? A ile osób?

Ludzie szli tyralierą przez plantację; nieprzerwany, silny wiatr zachodni podwiewał im ubrania. Palce wyciągały się ku białym kulom, z których wysypywał się puch, wędrując do długich, wciąż przybierających na wadze worków.

Ojciec nawiązał rozmowę z sąsiadem z prawej strony.

– W naszych stronach taki wiatr mógłby napędzić chmury deszczowe. Tylko coś mi się wydaje za mroźno na deszcz. Od dawna tu jesteście? –

Mówiąc to, Joad nie odrywał oczu od roboty. Sąsiad jego również nie podnosił oczu.

– Chyba już blisko rok.

– Jak myślicie, będzie padało czy nie będzie?

– Bez urazy, ale na to odpowiedzieć nie mogę. Nie potrafią też nic wam powiedzieć ludzie, którzy mieszkają tu całe życie. Ale powiadają, że gdy tylko deszcz może zaszkodzić zbiorom, to już ani chybi lunie jak z cebra. Tak tu mówią.

Ojciec rzucił okiem w stronę wzgórz na zachodzie. Pędzone porywistym wiatrem wielkie szare chmury płynęły tuż nad szczytami.

– Chmurzy się jak na deszcz – powiedział.

Sąsiad spojrzał z ukosa.

– Bo ja wiem – mruknął.

Jak pole długie i szerokie, ludzie oglądali się na chmury, po czym pochylali się jeszcze niżej nad krzaczkami, a palce ich sunęły szybko ku bawełnie. Był to wyścig pracy, zawody o czas i wagę zebranej bawełny – byle tylko wyprzedzić deszcz, byle zebrać jeszcze trochę i zarobić nieco grosza. Dotarli do skraju pola i rzucili się biegiem, aby zająć miejsce w następnym rzędzie. Teraz szli pod wiatr i widzieli wysoko na niebie szare chmury płynące ku wschodzącemu słońcu. Przy szosie zatrzymywało się coraz więcej samochodów i coraz więcej ludzi zapisywało się do pracy. Robotnicy sunęli gorączkowo ławą przez plantację, biegli do wagi, zapisywali we własnych notesach i pędzili do następnych rzędów.

O jedenastej zebrano całą bawełnę – robota była skończona. Ciężarówki o bokach z drucianej siatki holowały okryte taką samą siatką przyczepy i wyjeżdżały na szosę, wioząc swój ładunek do wyziarniarek. Kłaki puchu wymykały się przez oczka siatki i unosiły się w powietrzu, strzępy bawełny czepiały się chwastów przydrożnych, powiewając na wietrze. Przygnębieni

robotnicy stłoczyli się raz jeszcze na podwórzu przed stodołą, stając w kolejce po wypłatę.

– Hume James – dwadzieścia dwa centy, Ralph – trzydzieści centów, Joad Thomas – Dziewięćdziesiąt centów, Winfield – piętnaście centów.

Pieniądze leżały w rulonach – srebrne, niklowe i miedziane. Każdy robotnik zaglądał podczas wypłaty do swego notesu.

– Wainwright Agnes – trzydzieści cztery centy. Tobin – sześćdziesiąt trzy centy.

Kolejka przesuwała się powoli. Rodziny wracały w milczeniu do swoich samochodów. Jedni po drugich odjeżdżali z wolna.

Joadowie i Wainwrightowie czekali w obozie na zwolnienie się przejazdu przez bramę. Tymczasem spadły pierwsze krople deszczu. Al wysunął dla sprawdzenia rękę z ciężarówki. Obok niego siedziała Rose of Sharon, za nią matka. Oczy młodej kobiety znowu przysgasty.

– Nie powinnaś była przyjeżdżać – odezwała się matka. – I tak nie zebrałaś więcej niż dziesięć, piętnaście funtów.

Rose of Sharon spojrzała na swój wielki, sterczący brzuch, nie odpowiadając na uwagę matki. Nagle zadrżała i podniosła wysoko głowę. Obserwująca ją uważnie matka rozwinęła swój worek, otuliła nim ramiona córki i przygarnęła ją do siebie.

Wreszcie droga była wolna. Al uruchomił silnik i skręcił na szosę. Wielkie, rzadkie krople deszczu spadały jak groty, rozpryskując się na szosie; stopniowo deszcz stawał się drobniejszy i bardziej rześisty. Walił w dach szoferki tak głośno, że zagłuszał niemal łoskot starego, zużytego silnika. Jadący na skrzyni Joadowie i Wainwrightowie osłaniali workami głowy i ramiona.

Rose of Sharon trzęsła się z zimna w ramionach matki. Ta krzyknęła:

– Jedź prędzej, Al! Rosasharn ma dreszcze. Musi jak najprędzej włożyć nogi w gorącą wodę.

Al zwiększył szybkość łomoczącego silnika i gdy dotarli do obozu, podjechał tuż pod szereg czerwonych wagonów. Zanim jeszcze ciężarówka stanęła, matka już wydawała rozkazy.

– Al, skocz ze stryjem Johnem i z ojcem w wiklinę i przynieście tyle gałęzi, ile tylko udźwigniecie. Trzeba, żeby się rozgrzała.

– Czy czasem dach wagonu nie przecieka?

– Nie, chyba nie. Będzie sucho i przyjemnie, tylko musimy mieć opał. Musi być ciepło. Zabierzcie ze sobą Ruthie i Winfielda. Mogą zbierać gałęzie. Rosasharn źle się czuje.

Matka wysiadła z kabiny. Rose of Sharon próbowała iść za nią, lecz kolana ugięły się pod nią i usiadła ciężko na stopniu. Spostrzegła to gruba pani Wainwright i zawołała:

– Co się stało? Czy to już jej czas przyszedł?

– Nie, myślę, że nie – odpowiedziała matka. – Dostała dreszczy. Musiała się zaziębić. Daj rękę, pomogę ci wstać.

Obie kobiety dźwignęły Rose of Sharon pod ramiona. Po paru krokach młoda kobieta odzyskała siły i poszła dalej sama.

– Już mi lepiej, mam. Tylko na chwilę mnie zamroczyło.

Obie kobiety podtrzymywały ją wciąż pod łokcie.

– Nogi do gorącej wody – powiedziała zdecydowanym tonem matka.

Pomogły jej wejść na pochylnię i do wagonu.

– Niech ją pani rozetrze – poradziła pani Wainwright – a ja rozpalę w piecyku.

Z resztek chrustu roznieciła ogień, który zahuczał głośno. Z nieba lały się teraz potoki deszczu i spływały po dachu wagonu.

– Chwała Bogu, że przynajmniej nie przecieka. W namiocie, choćby był najlepszy, już by się lało na głowę. Niech pani z łaski swojej nastawi trochę wody.

Rose of Sharon leżała bez ruchu na materacu. Dała sobie zdjąć trzewiki i rozetrzeć nogi. Pani Wainwright nachyliła się nad nią.

– Chwyciły cię już bóle? – dopytywała się.

– Nie. Tylko mi niedobrze. Po prostu niedobrze mi.

– Mam proszki od bólów i sole – powiedziała pani Wainwright. – Chcesz, to ci dam. Powiedz, a dam ci.

Młoda kobieta drżała cała.

– Niech mnie mama przykryje. Zimno mi.

Matka przyniosła wszystkie koce i otuliła nimi chorą. Deszcz dudnił po dachu wagonu.

Powrócili mężczyźni z wielkimi naręczami gałęzi. Kapelusze ich i ubrania ociekały wodą.

– Ale leje! – zawołał ojciec. – Przemokliśmy do suchej nitki.

– Idźcie jednak jeszcze raz i przynieście więcej. To się pali szybko jak papier. A zaraz się ściemni.

Wrócili Ruthie i Winfield, mokrzy od stóp do głów. Dorzucili zebrane gałęzie na stos. Zawrócili już, by wyjść raz jeszcze, ale matka zatrzymała ich.

– Wy zostaniecie. Stańcie przy ogniu i osuszcie się.

Popołudniowe niebo srebrzyło się po deszczu, na drogach lśniły kałuże wody. Krzaczkę bawełny zdawały się czernieć i kurczyć z godziny na godzinę. Ojciec, Al i stryj John nie przestawali znosić naręczy gałęzi. Składali je na stos pod drzwiami, aż w końcu sięgał on niemal pod sam dach. Wreszcie przerwali pracę i podeszli do piecyka. Z kapeluszy spływały im na ramiona strugi wody. Brzegi marynarek ociekały wodą, w butach chlupotało.

– Dość! Teraz zdejmijcie ubrania – zarządziła matka. – Przygotowałam wam dobrą kawę. A tu są suche kombinezony. Nie stójcie tak pod piecem.

Zapadł wczesny wieczór. Rodziny w wagonach skupiały się razem, wsłuchując się w deszcz spływający po dachach.

² Pismo Święte Starego Testamentu, Ecclesiastes, IV, 9–12. Przekład J. Wujka.

Rozdział 29

Nad wysokie nadbrzeżne góry i nad doliny ciągnęły od oceanu szare chmury. Gwałtowny wiatr wiał cicho w górze, a po ziemi smagał krzewy i wył po lasach. Szarpane nim chmury napływały kłębam, warstwami, burymi zwałami, spiętrzając się i nawisając nisko nad zachodnią częścią horyzontu. Wreszcie wiatr ustał i głęboka, zwarta masa chmur zastygła w miejscu. Zaczął padać deszcz; najpierw były to przelotne fale, potem gwałtowna ulewa, a wreszcie drobny, równy kapuśniaczek, tworzący nieprzeniknioną dla oka, szarą zasłonę i zmieniający jasny dzień w ciemny wieczór. Wyschnięta ziemia wessała wilgoć i pociemniała. Wchłaniała deszcz przez dwa dni i dwie noce, aż wreszcie miała dość. Ukazały się kałuże, a w nizinach utworzyły się na polach małe jeziora. Błotniste rozlewiska wzbierały z godziny na godzinę; deszcz, który nie przestawał padać, smagał wciąż lśniąca ich powierzchnię. W końcu miała dość i góry, zbocza ich wezbrały strumieniami, które łączyły się w większe potoki i z hukiem płynęły wąwozami w dół. Deszcz padał wciąż nieprzerwanie. Strumienie i rzeczki wezbrały i wystąpiły z brzegów, podmywając wiklinę i korzenie drzew, zginając wierzby i nurzając je w potokach wody, podcinając bawełniane krzewy i obalając na ziemię drzewa. Mętna, pełna wirów woda wznosiła się coraz wyżej na spadziste brzegi, aż w końcu wylała na pola, na sady, na bawełniane działki, gdzie sterczały poczerwiałe łodygi. Nisko położone pola zamieniły się w ogromne, szare jeziora, których powierzchnię smagał wciąż deszcz. Wreszcie woda rozlała się i na szosy. Samochody posuwały się wolno, prując nurt i zostawiając za sobą mętną, pienistą smugę. Chłostana deszczem ziemia szemrała, zalewane spienionymi potokami wody strumienie huczały głośno.

Gdy zaczęło padać, wygnańcy skupili się po namiotach, powtarzając: „To niedługo przejdzie”, i zadając sobie wzajem pytanie: „Jak długo może to trwać?”.

Lecz gdy zaczęły się tworzyć kałuże, ludzie wyszli na deszcz z łopatami i zbudowali wokół namiotów niewielkie tamy. Deszcz bił nieprzerwanie w namioty, przenikając przez brezent i wdzierając się strumieniami do środka. Z kolei woda podmyła i zniosła słabe tamy ochronne, przedostała się do namiotów i zalała posłania i koce. Ludzie siedzieli w mokrej odzieży. Potem położyli na skrzyniach deski i siedzieli na nich dzień i noc.

W starych, zużytych samochodach, stojących obok namiotów, woda uszkodziła przewody elektryczne i zanieczyściła gaźniki. Małe, szare namioty sterczały w olbrzymich jeziorach wody. W końcu nie było rady – ludzie musieli się z nich wynosić. Ale samochody nie chciały ruszyć z miejsca: przewody były zniszczone. Gdy zaś silniki dawały się uruchomić, koła grzęzły w głębokim błocie. Uciekali więc pieszo, brnąc w rozmięklej ziemi i dźwigając mokre koce. Posuwali się z trudem, rozpryskując wodę; nieśli na ramionach dzieci i zgrzybiałych starców. Gdziekolwiek na wzniesieniu stała stodoła, tłoczyli się w niej drżący z zimna, zrozpaczeni wygnańcy.

Niektórzy szli z prośbą o wsparcie do najbliższej instytucji dobroczynnej, lecz niebawem wracali do swoich, smutni i zgnębieni.

Oni tam mają przepisy, że zapomogę może dostać tylko ten, co mieszka tu najmniej rok. Powiadają, że nam pomoże rząd. Ale kiedy – nie wiedzą.

I oto zawisła nad ludźmi groza największa.

Przez długie trzy miesiące nie będzie pracy ani zarobku.

Siedzieli stłoczeni po stodołach, przejęci grozą, z twarzami poszarzałymi z przerażenia. Dzieci płakały z głodu i nie było dla nich strawy.

Z kolei przyszły choroby: zapalenie płuc i rzucająca się na oczy i uszy odra.

A deszcz wciąż padał monotennie, nieprzerwanie, szosami zaś płynęła woda, bo przepusty były przepełnione.

Wtedy z namiotów i z zatłoczonych stodoł wyszły gromady ludzi w przesiąkniętych wilgocią, przemoczonych strzępach odzieży, w oblepionym błotem, rozmiękłym obuwiu. Brnęli w wodzie, dążąc do miast, do sklepików wiejskich, do instytucji dobroczynnych, by żebrać o łyżkę strawy, błagać o kęs chleba, kołatać o wsparcie, a wreszcie kłamać i kraść. Na dnie tych błagań, żebraniny i upokorzeń rozżarzał się coraz bardziej bezsilny, beznadziejny gniew. A po miasteczkach litość dla

ociekających wodą nędzarzy ustępowała miejsca wzmagającej się złości, złość zaś zamieniała się w strach przed wygłodzoną rzeszą. Szeryfowie zaczęli zaprzysięgać do służby całe armie ochotników i zamawiać na gwałt karabiny, amunicję i bomby łzawiące. A tymczasem trawieni głodem ludzie tłoczyli się w małych uliczkach na tyłach sklepów, żebrząc o chleb, o nadpsute jarzyny i kradnąc, gdzie tylko się dało.

Dobijali się z rozpaczą do drzwi lekarzy, ci jednak nie mieli dla nich czasu. Dotknięci żałobą, zostawiali w sklepikach wiejskich wiadomość dla koronera, by przysłał wóz po zwłoki.

Ten miał zawsze czas. Wóz jego, gdy było trzeba, przedostawał się przez błoto i zabierał zmarłych.

Bezlitosny deszcz bił wciąż o ziemię, rzeki i strumienie wystąpiły z brzegów i zalały całą okolicę.

W sercach ludzi stłoczonych po stodołach, skulonych na mokrym sianie, z głodu i lęku rodził się gniew. Młodzi chłopcy wymykali się już nie na żebranie, lecz po to, by kraść. Za nimi szli chwiejnym krokiem dorośli, by robić to samo.

Szeryfowie zaprzysięgali wciąż nowych ludzi i zamawiali nowe karabiny. A bogacze, bezpieczni w swych wygodnych domach, odczuwali w stosunku do wygnańców najpierw litość, potem wstręt, a w końcu nienawiść.

Na mokrym sianie, w stodołach o przeciekających dachach chore na zapalenie płuc kobiety wydawały na świat dzieci. Starcy umierali po kątach skuleni i skurczeni tak, że koroner nie mógł rozprostować ich zwłok. Doprowadzeni do rozpaczyny mężczyźni porywali zuchwale z grzęd rozgdakane kury. I nawet gdy do nich strzelano, nie rzucali się do ucieczki, lecz odchodzili spokojnie, człapiąc po kałużach. Gdy zaś którego trafiała kula, osuwał się powoli w błoto, jak gdyby zmogło go znużenie.

Wreszcie deszcz ustał. Na polach stała woda, w której odbijało się szare niebo, a gdy spływała, plusk jej był jak szept dobywający się z ziemi. Ze stodół, z szop wychodzili mężczyźni. Siadali w kucki, rozglądając się po zalanym wodą kraju. Trwali w milczeniu. Czasami rozmawiali cicho. Do wiosny ani myśleć o robocie.

A nie ma roboty – nie ma i pieniędzy, nie ma co do gęby włożyć.

Ma człowiek parę koni, każe im orać, bronować, żąć, ale kiedy nie ma dla nich pracy, to przecież nie morzy bydła głodem.

Ale konie to nie ludzie.

Kobiety wpatrywały się w mężczyzn, pełne obawy, śledząc, czy nie upadli na duchu. Patrzyły w milczeniu i czekały. Ale gdziekolwiek zbierała się większa gromada, z twarzy mężczyzn znikał lęk wypierany przez wściekłość. I kobiety oddychały z ulgą, wiedziały bowiem, że nie jest jeszcze najgorzej, że mężczyźni nie załamali się i nie załamią, póki strach potrafi przerodzić się u nich w gniew.

Małe kielki trawy zaczęły przebijać się z ziemi i po kilku dniach wzgórze osnuła blada zieleń – zwiastun nadchodzącego przedwiośnia.

Rozdział 30

W całym obozie stały kałuże wody, a deszcz z pluskiem padał wciąż w błoto. Małe strumyki płynęły z wolna zboczem nasypu ku równinie, na której stały wagony.

Gdy deszcz lał już drugi dzień bez przerwy, Al zdjął przedzielającą wagon zasłonę z nieprzemakalnego płótna. Wyniósł ją i nakrył maskę samochodu, po czym wrócił do wagonu i usiadł na swym materacu. Teraz, gdy nie było już zasłony, obie rodziny połączyły się w jedną. Przygnębieni mężczyźni przesiadywali razem. Matka podsycala stale mały ogień w piecyku, dokładając po kilka gałązek, by zużywać jak najmniej opału. Deszcz spływał strugami po płaskim niemal dachu.

Trzeciego dnia Wainwrightów ogarnął niepokój.

– Może lepiej wyruszyć stąd gdzieś dalej – odezwała się pani Wainwright.

Matka usiłowała ich zatrzymać.

– Gdzie znajdziecie kawałek dachu, żeby nie lało się na głowę?

– Sama nie wiem, ale czuję, że trzeba się stąd wynosić.

Spierały się, a matka obserwowała Alę.

Ruthie i Winfield usiłowali jakiś czas bawić się, wkrótce jednak zapadli w posępną apatię. Deszcz bębnił wciąż po dachu wagonu.

Trzeciego dnia szum strumienia począł zagłuszać dudnienie deszczu. Ojciec i stryj John stali w otwartych drzwiach, patrząc na wznoszącą się coraz wyżej wodę. Z lewej i prawej strony obozu dochodziła już ona do szosy, której skarpa stanowiła jego tyły, od przodu zaś strumień otaczał go jakby łukiem.

– Jak myślisz, John? – zapytał ojciec. – Wygląda na to, że jak woda pójdzie wyżej, to nas zaleje.

Stryj John otworzył usta i potarł szczeciniastą brodę.

– Ano chyba tak – powiedział w końcu. – Może nas zalać.

Rose of Sharon leżała przeziębiona i chora. Twarz jej płonęła, a oczy błyszczały od gorączki. Matka usiadła przy niej z kubkiem gorącego mleka.

– Wypij – namawiała córkę. – Dodałam tłuszczu z boczku, żeby było pożywniejsze. Pij!

Rose of Sharon potrząsnęła słabo głową.

– Nie chce mi się.

– Jakbyśmy chwycili za łopaty i zbudowali tamę, to założę się, że moglibyśmy zatrzymać wodę. Wystarczy, o, taka wysoka grobla. – Ojciec zatoczył palcem łuk w powietrzu.

– Chyba tak – przyznał stryj John. – Całkiem możliwe. Nie wiem tylko, czy inni się zgodzą. Może będą woleli wynieść się gdzie indziej.

– Ale tu w wagonach jest sucho – przekonywał ojciec. – Nigdzie nie znajdziemy takiego schronienia. Zaczekaj.

Wyciągnął ze stosu chrustu gałąź i zbiegł po desce. Pobrnął przez błoto do strumienia i zatknął pionowo gałąź nad brzegiem kłębiącej się wody. Po chwili wrócił do wagonu.

– Psiakrew, ale zmokłem! – zawołał.

Utkwili wzrok w sterzającej nad strumieniem gałązce. Widzieli, jak dokoła niej woda podnosi się i wspina coraz wyżej na brzeg. Ojciec przykucnął w drzwiach.

– Szybko wzbiera – zauważył. – Warto zaraz pogadać z sąsiadami. Dowiedzmy się, czy pomogą nam zbudować tamę. Jeżeli nie zechcą, trzeba będzie się stąd wynosić.

Rzucił okiem w drugi koniec długiego wagonu. Zobaczył tam Alę siedzącego obok Aggie. Ojciec wkroczył w rejon zajęty przez rodzinę sąsiadów, mówiąc:

– Woda przybiera. Co powiecie na to, żeby zbudować tamę? To się da zrobić, tylko wszyscy muszą się przyłożyć.

– Właśnie radziliśmy, co dalej. Chyba trzeba będzie się stąd zabierać.

– Znamie przecież okolicę. Sami wiecie, że niełatwo znaleźć suche schronienie.

– Wiem, ale tak czy owak...

– Jeżeli stąd wywędrują, to i ja z nimi – oświadczył Al.

Ojciec był niemile zaskoczony.

– Tego chyba nie zrobisz, Al. A ciężarówka? Nikt z nas nie umie prowadzić samochodu.

– To mnie nie obchodzi. Chcę być razem z Aggie.

– Czekaście! – zawołał ojciec. – Chodźcie tu.

Wainwright i Al wstali i podeszli do drzwi.

– Widzicie? – wskazał palcem ojciec. – Wystarczy tama stąd dotąd.

Spojrzał na gałązkę, wokoło której kłębił się wir wodny, wspinając się coraz wyżej na brzeg.

– Roboty będzie dużo, a może się na nic nie przydać – protestował Wainwright.

– I tak nic nie robimy, to trochę pracy nam nie zaszkodzi. Takiego mieszkania jak to nie znajdziemy nigdzie. Chodźcie, pogadamy z sąsiadami. Jak wszyscy chwycą za łopaty, to się zrobi.

Al powtórzył:

– Jeżeli Aggie opuści ten obóz, to i ja z nią.

– Słuchaj, Al, jeżeli sąsiedzi nie zechcą kopać, to wyniesiemy się wszyscy. Chodźcie, pogadamy z ludźmi.

Zgarbiwszy się, zbiegli po desce i wpadli przez otwarte drzwi do sąsiedniego wagonu.

Matka czuwała przy piecyku, raz po raz podsycając słaby ogień paroma gałązkami. Ruthie przytuliła się do niej.

– Jestem głodna – narzekała płaczliwie.

– Et, pleciesz. Jadłaś przecież taką dobrą mamałygę.

– Chciałabym pudełko biszkoptów. Nie mam co robić. Nudzi mi się.

– Jeszcze będzie ci wesoło – pocieszała ją matka. – Zaczekaj. Niedługo wszystko się odmieni. Będziemy mieli dom i kawałek ziemi.

– Chciałabym, żebyśmy mieli psa.

– Będziemy mieli i psa, i kota.

– Rudego kota?

– Nie nudź! – prosiła matka. – Przestań się naprzykrzać, Ruthie. Rosasharn jest chora. Bądź choć przez chwilę grzeczna. Później przyjdzie czas i na zabawę.

Ruthie odeszła nadąsana.

Z kąta, w którym leżała na materacu otulona kocami Rose of Sharon, dobiegł ostry, krótki krzyk. Matka zakręciła się w miejscu i podbiegła

do chorej. Rose of Sharon wstrzymała ze strachu oddech, oczy jej były pełne lęku.

– Co ci jest? – krzyknęła matka.

Młoda kobieta odetchnęła i nabrała ponownie powietrza w płuca. Matka wsunęła rękę pod koc, a potem wstała, wołając:

– Pani Wainwright! Pani Wrainwright!

Gruba kobiecina przybiegła z drugiego końca wagonu.

– Wołała mnie pani?

– Niech pani spojrzy – powiedziała, wskazując córkę.

Rose of Sharon przygryzła dolną wargę, czoło jej było zlane potem, w błyszczących oczach malowało się przerażenie.

– Chyba się zaczyna – mówiła matka. – Trochę może przed czasem.

Młoda kobieta westchnęła głęboko, doznając wyraźnej ulgi. Przestała zagryzać wargę i przymknęła oczy. Pani Wainwright pochyliła się nad nią.

– Czy chwyciło cię tak od razu, gadaj? Mów, nie wstydz się!

Rose of Sharon potwierdziła słabym ruchem głowy. Pani Wainwright zwróciła się do matki.

– Ano, tak! – rzekła. – Zaczyna się. Powiada pani, że przed czasem?

– Może to przez tę gorączkę.

– Tak czy owak, powinna być na nogach. Musi chodzić.

– Nie będzie mogła – odparła matka. – Nie ma siły.

– Ma czy nie ma, ale musi. – Pani Wainwright mówiła spokojnym, surowym tonem osoby doświadczonej. – Byłam już przy niejednym porodzie. Niech pani idzie, trzeba zamykać drzwi, żeby nie było przeciągu.

Obie kobiety zasunęły ciężkie drzwi, aż pozostała tylko szpara na szerokość stopy.

– Przyniosę tu naszą lampę – powiedziała pani Wainwright. Twarz jej była purpurowa z podniecenia. – Aggie! – zawołała. – Zajmij się dziećmi.

Matka kiwnęła głową z aprobatą.

– Ma pani rację. Ruthie! Idźcie z Winfieldem do Aggie. Idźcie zaraz!

– Dlaczego? – spytali.

– Bo tak trzeba. Rosasharn będzie miała dziecko.

– Ja chcę popatrzeć, mamó. Niech mi mama pozwoli!

– Ruthie! Wynoś się zaraz! Już!

Ton matki nie dopuszczał sprzeciwu. Dzieci, ociągając się, odeszły w drugi koniec wagonu. Matka zapaliła latarnię. Pani Wainwright

przyniosła lampę naftową i postawiła ją na podłodze. Wielki, kolisty płomień oświetlił jasno wagon.

Ruthie i Winfield stanęli za stosem gałęzi i podpatrywali z ukrycia.

– Rosasharn urodzi dziecko, a my będziemy wszystko widzieli – szepnęła Ruthie. – Tylko nie hałasuj. Matka nie chce, żebyśmy patrzyli. Jak tylko spojrzysz w tę stronę, przykucnij. Wtedy uda nam się wszystko zobaczyć.

– Inne dzieci tego nie widziały – odezwał się Winfield.

– Żadne nie widziało – podkreśliła z dumą Ruthie.

– A my zobaczymy.

Przy materacu, w jasnym świetle lampy, matka naradzała się z panią Wainwright. Aby zagłuszyć dudnienie deszczu po dachu, obydwie mówiły podniesionym nieco głosem. Pani Wainwright wydobyła z kieszeni fartucha nóż kuchenny i włożyła go pod materac.

– Może to i przesąd – usprawiedliwiała się – ale w naszych stronach zawsze tak się robi. W każdym razie nie zaszkodzi.

Matka skinęła głową.

– U nas podkładało się lemiesz. Myślę, że wszystko dobre, co ostre, bo przecina bóle. Mam nadzieję, że to długo nie potrwa. Dobrze się teraz czujesz? – zwróciła się do córki.

Rose of Sharon skinęła nerwowo głową.

– Czy to już?

– Na pewno – odpowiedziała matka. – Urodzisz śliczne dzieciątko. Ale musisz nas słuchać. Czy mogłabyś teraz wstać i pochodzić trochę?

– Spróbuję.

– Zuch dziewczyna! – pochwaliła ją pani Wainwright.

– Pomożemy ci, kochanie. Będziemy chodzić razem z tobą.

Pomogły młodej kobiecie podnieść się i zarzuciły jej koc na ramiona. Matka wzięła ją pod rękę z jednej strony, pani Wainwright z drugiej. Przechadzały się od stosu chrustu do materaca i z powrotem. Deszcz bębnił uparcie po dachu.

Ruthie i Winfield przyglądali się z niecierpliwością.

– Kiedyż nareszcie urodzi to dziecko? – zapytał Winfield.

– Cicho! Jeszcze usłyszają i nie pozwolą nam patrzeć.

Do dzieci stojących za stosem gałęzi przyłączyła się Aggie. W świetle lampy ukazała się szczupła twarz i płowe włosy. Na ścianę padł cień jej głowy z wydłużonym, spiczastym nosem.

– Widziałas już kiedy, jak się rodzi dziecko? – szepnęła Ruthie.
– Pewnie, że widziałam.
– No, to kiedy ona je urodzi?
– O, to jeszcze potrwa bardzo długo.
– A jak długo?
– Kto wie, czy nie do jutra rana.
– A to dopiero! To teraz nie ma po co patrzeć – zmartwiła się Ruthie. – O, spójrzcie!

Kobiety przestały spacerować. Rose of Sharon zeszywniała i jęknęła z bólu. Położyły ją na materacu i ocierały jej czoło. Jęcząc, zaciskała pięści.

– Spokojnie! – przemawiała do niej matka. – Wszystko będzie dobrze. Zaciśnij ręce. A teraz przygryź wargę. O, tak, teraz dobrze.

Fala bólu przeszła. Kobiety pozwoliły Rose of Sharon odpocząć, a potem dźwignęły ją znowu i wodziły dalej tam i z powrotem aż do następnego paroksyzmu bólów.

W wąską szparę w drzwiach wetknął głowę ojciec. Jego kapelusz ociekał wodą. Spostrzegł chodzące po wagonie kobiety.

– Dlaczego zamknęłyście drzwi? – zdziwił się.
– Rosasharn będzie rodzić – wyjaśniła matka.
– No to... no to i tak nie moglibyśmy się stąd ruszyć, choćbyśmy nawet chcieli.

– Ano nie.
– To musimy budować tamę.
– Musicie.

Ojciec poczłapał przez błoto w kierunku strumienia. Gałązka mierząca przybór wody zanurzyła się o dalsze cztery cale. W strugach deszczu stało dwudziestu ludzi.

– Musimy się zabrać do roboty! Córka mi zległa! – zawołał ojciec.
Otoczyli go całą gromadą.
– Dziecko?
– Tak. Nie możemy teraz stąd wyjechać.
– To nie nasze dziecko – mruknął jakiś wysoki chłop. – My możemy ruszać w drogę.
– Pewnie – warknął ojciec. – Idźcie sobie. Już! Nikt was nie zatrzymuje. I tak jest tylko osiem łopat.

Ruszył śpiesznie ku najniższej części brzegu i wbił łopatę w błoto. Rozmiękła ziemia oderwała się z kłasnieniem. Zagłębił w nią ponownie ostrze łopaty i rzucił błoto we wgłębienie na niskim brzegu. Inni ustawili się obok niego. Wznosili wspólnie długi wał. Ci, dla których zabrakło łopat, cięli witki wierzbowe, splatali je i umacniali nimi groblę. Wszystkich opanowała pasja pracy, pasja walki. Gdy jeden upuszczał łopatę, podejmował ją drugi. Pozrzucali marynarki i kapelusze. Koszule i spodnie przylgnęły im do ciał, buty zmieniły się w bezkształtne bryły błota.

Z wagonu Joadów dobiegł przeraźliwy krzyk. Mężczyźni przerwali robotę, nasłuchując chwilę z niepokojem, po czym znów pograżyli się w pracy. Mała ziemna grobla wydłużała się, aż wreszcie obu końcami dotknęła nasypu szosy. Teraz dopiero poczuli się zmęczeni i zaczęli wolniej poruszać łopatami. A strumień wzbierał ciągle. Poziom wody podniósł się powyżej miejsca, na które cisnęli pierwsze grudy błota. Ojciec zaśmiał się z triumfem.

– Wylałoby, gdyby nie nasza tama.

Woda podnosiła się teraz wolno przy świeżo wzniesionej grobli, szarpiąc umocnienie z wikliny.

– Wyżej! – wołał ojciec. – Musimy podwyższyć groblę!

Zapadał wieczór, lecz praca nie ustawała. Ludzie przemogli znużenie. Twarze ich były odrętwiałe i jakby martwe. Gwałtowne ruchy łopat przypominały ruchy maszyny. Gdy się ściemniło, kobiety wystawiły w drzwiach wagonów latarnie, trzymając w pogotowiu garnki z gorącą kawą. Jedna po drugiej biegły do wagonu Joadów i wślizgiwały się do środka.

Bóle wracały teraz w krótkich odstępach czasu – co dwadzieścia minut. Rose of Sharon nie panowała już nad sobą. Odpowiadała krzykiem na każdy nowy atak. Sąsiadki patrzyły na nią przez chwilę, głaskały ją delikatnie i wracały do swoich wagonów.

Matka rozpałała teraz suty ogień i nastawiła wodę we wszystkich naczyniach, jakie miała. Co chwila przez drzwi zaglądał ojciec.

– Jak tam, wszystko w porządku? – pytał.

– Zdaje się, że tak – uspokajała go matka.

Gdy ściemniło się na dobre, ktoś przyniósł nad strumień latarkę. Stryj John pracował zapamiętale, rzucając rozmiękłą ziemię na szczyt wznoszonego wału.

– Nie tak ostro! – hamował go ojciec. – Wykończysz się.
– Muszę! Nie mogę znieść tego krzyku. To zupełnie... zupełnie... jak wtedy...

– Rozumiem, ale nie przejmuj się.
– Ucieknę chyba. Jak Boga kocham, jeżeli pofolguję sobie w robocie, to pójdę, dokąd oczy poniosą – mamrotał stryj John.

Ojciec odwrócił się od niego.

– Jak tam z wodą? – zapytał.

Właściciel latarki skierował światło na gałązkę. Cienkie strugi wydawały się białe w jej blasku.

– Podnosi się.

– Teraz będzie podnosiła się wolniej – powiedział Joad.

– Ale jest coraz wyżej.

Kobiety raz jeszcze napełniły dzbanki kawą i wystawiły je w drzwiach wagonów. W miarę jak noc upływała, mężczyźni pracowali coraz wolniej, nogi ciążyły im jak zmordowanym koniom pociągowym. Błotnista grobla, umacniana plecionką z wikliny, rosła w oczach. Deszcz padał ciągle. W świetle latarek ukazywały się raz po raz nieruchome oczy i napięte z wysiłku mięśnie policzków.

Przez czas dłuższy z wagonu dochodziły przeraźliwe krzyki, wreszcie ucichły.

– Jakby się już urodziło, toby mnie matka zawołała – odezwał się ojciec i w dalszym ciągu z posępną miną zanurzał łopatę w błoto.

Wzbierająca woda kotłując się i wirując, napierała na groblę. W pewnej chwili w górnym biegu strumienia rozległ się głośny trzask. W świetle latarek ujrzeli, jak przewraca się wysoka topola. Mężczyźni przerwali pracę, by zobaczyć, co się stanie. Gałęzie drzewa zanurzyły się w wodzie, obracając się wolno w skłębionym nurcie, gdy tymczasem woda podmywała jego korzenie. Jeszcze chwila, a drzewo rozłączyło się z ziemią i powoli popłynęło z prądem. Zmęczeni mężczyźni patrzyli z otwartymi ustami. Unoszona prądem topola wpadła na jakiś pień, zaczepiając o niego gałęzią. Obracając się pomału w wodzie, korzenie drzewa wbijały się w nowo wzniesiony wał. Za drzewem piętrzyła się woda. Jeszcze jeden ruch płynącej topoli, a wczepione w groblę korzenie zaczęły rozdzierać tamę. Przez wyrwę przesączył się pierwszy strumyczek wody. Ojciec rzucił się naprzód, zatykając ją ziemią. Wzbierająca fala przelewała się przez

pień. I naraz woda zmyła wał i sięgnęła ludziom od razu do kostek, do kolan. Mężczyźni rzucili się do ucieczki, a woda, rozlewając się po płaskiej równinie, podpłynęła pod wagony i samochody.

Stryj John widział, jak przerwało groblę. Dojrzał to mimo ciemności. Zanim zdołał to sobie uświadomić, własny ciężar pociągnął go w dół. Osunął się na kolana, a szarpiącą nim woda kłębiła się wokół piersi. Ojciec dostrzegł to i zawołał:

– Halo, John! Co ci się stało? – Postawił brata na nogi, pytając: – Chory jesteś czy co? Chodź do wagonu, tam woda nie dojdzie.

Stryj John zbierał siły.

– Nie wiem, co mi się stało – usprawiedliwiał się. – Po prostu zważyło mnie z nóg.

Ojciec pomógł mu dowlec się do wagonu.

Gdy woda zniosła groblę, Al zawrócił i pobiegł do obozu. Nogi jego były ciężkie jak ołów, a gdy dotarł do ciężarówki, woda sięgała mu do połowy łydek. Zerwał płachtę okrywającą maskę samochodu i wskoczył do kabiny. Raz po raz naciskał rozrusznik; silnik obracał się, lecz ani razu nie odpowiedział warkotem. Dodał więcej gazu, naciskając mocniej rozrusznik. Bateria obracała zamokły silnik coraz wolniej. Al ponawiał wciąż próby – wszystko na nic, nie mógł uruchomic silnika. Przyśpieszył zapłon. Po omacku znalazł pod siedzeniem korbę i wyskoczył. Woda zalała już stopnie ciężarówki. Al dopadł wozu od przodu. Miska olejowa znalazła się już pod wodą. Gorączkowo założył korbę i kręcił nią zapamiętane. Jego dłoń, zaciśnięta na rękojeści, za każdym obrotem uderzała w powolny nurt wody. Wreszcie dał za wygraną. Silnik był pełen wody, bateria uszkodzona.

Nieopodal, na małym pagórku, usiłowano uruchomic, zapaliwszy reflektory, dwa inne samochody. Szamotały się one w błocie, koła grzęzły coraz głębiej, aż w końcu kierowcy wyłączyli silniki i wpatrzyli w snopy świetlnych promieni siedzieli bez ruchu. Białe smugi deszczu przecinały te świetlne snopy. Al obszedł ciężarówkę wokół, sięgnął do środka i wyłączył zapłon.

Gdy ojciec dobrnął do wagonu, dolny koniec pomostu unosił się w wodzie. Wdeptał go w błoto.

– Dasz sobie radę sam, John? – zapytał.

– Dam. Idź pierwszy i nie martw się o mnie.

Ojciec wszedł ostrożnie po desce i wcisnął się przez wąską szczelinę do wagonu. Obie lampy były przykręcone. Matka siedziała na materacu koło Rose of Sharon i wachlowała jej nieruchomą twarz kawałkiem tektury. Pani Wainwright dokładała suchych gałęzi do piecyka. Przez szpary między fajerkami wydobywał się dym przesycony wilgocią i wypełniał wagon wonią tłących się gałęzi. Gdy ojciec wszedł, matka podniosła oczy, lecz szybko je spuściła.

– Jak tam Rosasharn? – zapytał.

Matka nie podniosła oczu.

– Myślę, że dobrze. Śpi.

Duszne powietrze przesiąknięte było ciężkim odorem. Stryj John wgramolił się do wagonu i stanął z boku, oparłszy się o ścianę. Pani Wainwright przestała dorzucać gałęzi do piecyka i podeszła do ojca. Pociągnęła go za łokieć w róg wagonu. Podniósłszy lampę, oświetliła stojącą w kącie skrzynkę po jabłkach. Na kawałku gazety leżała tam sina, skurczona, mała mumijka.

– Nawet nie odetchnęło ani razu – powiedziała cicho. – Urodziło się nieżywe.

Stryj John odwrócił się i ciężkim krokiem poczłapał w ciemny róg wagonu. Deszcz szumiał teraz cicho – tak cicho, że nie zagłuszał dochodzącego z tyłu sapania stryja.

Ojciec spojrzał na panią Wainwright. Wziął z jej rąk lampę i postawił na podłodze. Ruthie i Winfield spali na swym pościeliu, osłoniwszy ramionami oczy przed światłem.

Ojciec podszedł powoli do materaca Rose of Sharon. Próbował przykucnąć, ale zmęczone nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wtedy ukląkł. Matka poruszała bez przerwy kawałkiem tektury. Patrzyła przez chwilę na ojca. Oczy jej były rozszerzone i martwe jak oczy lunatyczki.

Ojciec powiedział:

– Robiliśmy... co się dało.

– Wiem.

– Pracowaliśmy przez całą noc. Drzewo zrobiło wyrwę w tamie.

– Wiem.

– Słysząc, jak woda podchodzi pod wagon.

– Wiem. Słyszę to od dawna.

– Myślisz, że Rosasharn wyzdrowieje?

– Nie wiem.

– No, a nie dało się nic zrobić?

Wargi matki były blade i suche.

– Nie. To, co można było zrobić, zostało zrobione.

– Harowaliśmy do upadłego, a to drzewo... Deszcz jakby trochę mniejszy.

Matka podniosła oczy w górę i znów spuściła wzrok. Ojciec ciągnął dalej, ulegając nieodpartej potrzebie mówienia:

– Nie wiadomo, jak wysoko podniesie się woda. Może zalać wagon.

– Wiem.

– Ty wiesz wszystko.

Milczała, poruszając z wolna kawałkiem tektury.

– A nie zapomnieliśmy o czymś? – spytał żałośnie. – Czy nie należało jeszcze czegoś zrobić?

Matka popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem. Przez jej blade wargi przewinął się rozmarzony, pełen współczucia uśmiech.

– Nie masz sobie co wyrzucać. Cicho! Jeszcze wszystko będzie dobrze. Zmieni się wszystko i wszędzie.

– A może woda... może będziemy musieli się wynosić.

– Jak będzie trzeba, to się wyniesiemy. Zrobimy to, co będziemy musieli. A teraz daj spokój. Jeszcze ją obudzisz.

Pani Wainwright łamała chrust, podsycając dymiący ogień w piecyku.

Z zewnątrz doszedł gniewny głos:

– Pójdę i pogadam z tym skurwysynem.

Tuż za drzwiami odpowiedział głos Ala:

– A do kogo to się wybieracie?

– Chcę pogadać z tym draniem Joadem.

– No to się wam nie uda. A co się stało?

– Wymyślił, cholera, tę głupią groblę, a my przez to nie możemy się stąd wydostać. Samochód nie ruszy już teraz z miejsca.

– Myślicie może, że nasz ruszy?

– Muszę wejść i pogadać z nim.

Znowu odpowiedział mu zimny głos Ala:

– Nie, najpierw musielibyście się pobić ze mną.

Ojciec podniósł się powoli i podszedł do drzwi.

– Dosyć, Al. Wyjdę sam. Daj spokój. – Zszedł po desce i matka usłyszała, jak mówił: – Mamy chorą w domu. Chodźmy trochę dalej.

Na dach spadały teraz rzadkie krople deszczu, zmiotane przez podmuchy wiatru, który zerwał się nagle. Pani Wainwright odeszła od piecyka, by rzucić okiem na Rose of Sharon.

– Tylko patrzeć, a będzie świtało. Czemu pani nie prześpi się trochę? Ja przez ten czas posiedzę przy niej.

– Nie. Nie jestem zmęczona.

– Akurat! Niech pani położy się choć na chwilę.

Matka poruszała powoli kawałkiem tektury.

– Była pani dla nas bardzo dobra. Dziękujemy pani.

Tęga kobieta uśmiechnęła się.

– Nie ma za co. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Jakby nas spotkało jakieś nieszczęście, tobyście nam też pomogli.

– Ano chyba tak.

– I każdemu.

– I każdemu. Dawniej najpierw była rodzina. Teraz jest inaczej. Teraz wszyscy jesteśmy jedną rodziną. A że gorzej się nam wiedzie, to musimy sobie więcej pomagać.

– Nie można było uratować dziecka.

– Wiem – potwierdziła matka.

Ruthie westchnęła głęboko i zsunęła z oczu osłaniające je ramię. Przez chwilę patrzyła, mrugając, w lampę, a potem odwróciła głowę i spojrzała na matkę.

– Czy już się urodziło? – zapytała. – Czy już jest? – Pani Wainwright sięgnęła po worek i rozpostarła go na skrzynce stojącej w rogu wagonu. – Gdzie dziecko? – dopytywała się Ruthie.

Matka zwilżyła wargi językiem.

– Nie ma żadnego dziecka. I nie było. Pomyliliśmy się.

– Szkoda! – ziewnęła Ruthie. – Chciałabym, żebyśmy mieli małe dzieciątko.

Pani Wainwright usiadła koło matki, wyjęła jej z ręki tekturę i zaczęła wachlować chorą. Joadowa złożyła ręce na kolanach, nie odrywając znużonych oczu od twarzy córki, która spała wyczerpana.

– No, niechże się pani położy – namawiała pani Wainwright. – Będzie pani leżała tuż przy niej. I tak się pani obudzi, jak tylko Rosasharn głośnie

odetchnie.

– Dobrze, położę się.

Matka wyciągnęła się na materacu obok śpiącej. A pani Wainwright usiadła na podłodze i czuwała.

Ojciec, Al i stryj John siedzieli w drzwiach i patrzyli na wstający szary jak stal świt. Deszcz ustał, lecz niebo zakrywały wciąż gęste zwały chmur. Blask dzienny, rosnący z każdą chwilą, odbijał się w wodzie. Patrzyli na sunący przed nimi wartki nurt, który unosił poczerńnięte gałęzie, skrzynie i deski. Kłębiąca się woda wdzierała się na płaszczyznę, na której stały wagony. Po tamie nie było już śladu. Krańce rozlewu znaczyły żółte pasma piany. Ojciec wychylił się przez otwarte drzwi i położył gałązkę na pochyłej desce, tuż nad poziomem wody. Patrzyli, jak woda podpełza z wolna do gałązki, podnosi ją łagodnie i porywa z prądem. Ojciec umieścił drugą gałązkę o cal wyżej od poziomu wody i usiadł znowu, by ją obserwować.

– Myśli ojciec, że woda dostanie się do środka wagonu? – zapytał Al.

– Trudno wiedzieć. Z gór napłynie jej jeszcze do jasnej cholery. Licho wie, czy nie zacznie też znowu padać.

– Myślałem trochę nad tym – powiedział Al. – Jeśli woda przedostanie się do wagonu, to nam wszystko zamoknie.

– To prawda.

– No tak, ale nie podniesie się wyżej niż na trzy, cztery stopy, bo przedtem zaleje szosę i popłynie na drugą jej stronę.

– Skąd wiesz? – zdziwił się ojciec.

– Rozejrzałem się z ostatniego wagonu po okolicy. – I wyciągnąwszy rękę, dodał: – Dojdzie mniej więcej do tego miejsca. Musimy tu zostać. Tu jest nasza ciężarówka. Jak się skończy powódź, trzeba będzie z tydzień wylewać z niej wodę.

– To co chcesz zrobić?

– Można by rozebrać skrzynię samochodu i zbić z desek jakąś platformę, żeby było gdzie położyć rzeczy i siedzieć.

– Tak? A jak się będzie gotowało i gdzie będziemy jedli?

– Ale przynajmniej wszystko będzie suche.

Szary jak ołów świt rozjaśniał się coraz bardziej. Druga gałązka spłynęła z deski. Ojciec położył trzecią jeszcze kawałek wyżej.

– Ależ przybiera! Trzeba chyba będzie zrobić tak, jak radzisz.

Matka poruszyła się niespokojnie we śnie. Otworzyła szeroko oczy. Z ust jej wydarł się przenikliwy, ostrzegawczy okrzyk:

– Tom! Och, Tom! Tom!

Pani Wainwright uspokajała ją łagodnym głosem. Drżące powieki matki opadły znowu, wiła się jednak na posłaniu, dręczona złym snem. Pani Wainwright wstała i podeszła do drzwi.

– Ładna historia! – zawołała półgłosem. – Nie wydostaniemy się stąd tak prędko. – I wskazując kąt, w którym stała skrzynka po jabłkach, powiedziała:

– Niedobrze, że to tam leży. Niepotrzebny tylko kłopot i zgryzota. Nie moglibyście zabrać i pochować?

Mężczyźni milczeli. W końcu ojciec powiedział:

– Myślę, że to racja. Człowiek patrzy i gryzie się tylko. Ale przecież nie wolno tak chować bez zezwolenia.

– Tylu rzeczy nie wolno, a i tak musimy je robić.

– To też prawda.

– Trzeba zdjąć skrzynię ciężarówki, zanim woda podniesie się wyżej – przynaglał Al.

Ojciec zwrócił się do stryja Johna:

– Może ty weźmiesz to i pochowasz, a my z Alem powynosimy tymczasem do wagonu deski ze skrzyni.

– Dlaczego ja? – zaprotestował ponurym głosem stryj. – Dlaczego nie wy? Nie chcę. – Po chwili nagle powiedział: – Zabiorę to. Naturalnie. No, dajcie mi tę skrzynkę. – Podnosił coraz bardziej głos. – Dawajcie, prędko!

– Cicho! Bo je pan obudzi – skarciła go pani Wainwright. Przyniosła skrzynkę do drzwi i wygładziła starannie przykrywający ją worek.

– Łopata stoi za tobą – odezwał się ojciec.

Stryj John ujął łopatę jedną ręką i zsunął się z wagonu w wolno płynący nurt. Zanim zagruntował, zanurzył się niemal po pas. Wtedy odwrócił się i drugą ręką wziął pod pachę skrzynkę.

– Chodź, Al – powiedział ojciec. – Przeniesiemy deski ze skrzyni.

W szarym blasku wstającego dnia, wymijając ciężarówkę, stryj John brnął przez wodę wokoło wagonu, a potem wdrapał się na śliską skarpe szosy. Idąc nią, minął kotlinkę, w której stały wagony, i dotarł do miejsca, gdzie kłębiący się potok płynął tuż przy drodze, oddzielony od niej tylko rzędem wierzb. Zostawiwszy łopatę na drodze, przedzierał się przez zarośla,

trzymając przed sobą skrzynkę, aż znalazł się w końcu nad samym brzegiem wartkiego nurtu. Przez chwilę stał, wpatrując się w spienione wiry, pozostawiające płaty żółtej piany na wierzbowych gałązkach.

– Płyn z prądem i powiedz im wszystko – mruczał dzikim głosem. –

Wypłyn na ulicę i gnij tam, to może zrozumieją twoją mowę. Tylko tak przecież możesz do nich mówić. Bo ja nie wiem nawet, czyś chłopak, czy dziewczyna. I nie chcę wiedzieć. Płyn teraz, aż znajdziesz się na ulicy. Może wtedy zrozumieją.

Nakierował ostrożnie skrzynkę w bystry nurt i puścił ją. Zanurzyła się głęboko, płynąc bokiem i obracając się, po chwili zaś wywróciła się dnem do góry. Worek popłynął osobno, a skrzynka porwana prądem spłynęła w dół potoku i znikła za gęstymi krzakami. Stryj John chwycił łopatę i ruszył szybko z powrotem ku wagonom. Zagłębił się z pluskiem w wodę i pobrał w kierunku ciężarówki, gdzie ojciec z Alem mozolili się, zdejmując z wozu szerokie na sześć cali deski skrzyni.

Ojciec rzucił w jego stronę szybkie spojrzenie.

– Zrobione?

– Tak.

– No to słuchaj. Może pomożesz Alowi, a ja skoczę do sklepu i kupię coś do jedzenia.

– Niech tato weźmie boczku. Muszę zjeść trochę mięsa.

– Dobrze.

Zeskoczył z ciężarówki, a na jego miejsce wdrapał się stryj John.

Gdy wpychali deski w drzwi wagonu, matka obudziła się i usiadła.

– Co wy robicie?

– Chcemy zbudować pomost, żeby nam rzeczy nie zamokły.

– Jak to? Przecież tu jest sucho.

– Tak, ale woda przybiera.

Matka wstała z wysiłkiem i podeszła do drzwi.

– Musimy się stąd wynosić.

– Nie możemy – odparł Al. – Tu są wszystkie nasze rzeczy. I samochód. Wszystko, co mamy.

– Gdzie jest ojciec?

– Poszedł przynieść coś na śniadanie.

Matka spojrzała w dół na wodę. Już tylko sześć cali dzieliło ją od podłogi wagonu. Joadowa wróciła do materaca i spojrzała na Rose of Sharon. Córka

patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem.

– Jak się czujesz?

– Jestem zmęczona. Nie mam sił.

– Zaraz dostaniesz śniadanie.

– Nie jestem głodna.

Do matki zbliżyła się pani Wainwright, mówiąc:

– Wygląda nie najgorzej. Dobrze to wszystko zniosła.

Rose of Sharon pytała matkę wzrokiem, ale ta uciekała oczami. Pani Wainwright podeszła do piecyka.

– Mamo!

– Co takiego? Czego chcesz?

– Czy... czy wszystko... poszło dobrze?

Matka zrezygnowała z ukrywania prawdy. Uklękła przy materacu córki.

– Będiesz jeszcze miała dzieci. Zrobiłyśmy wszystko, co było można.

Rose of Sharon dźwignęła się i usiadła.

– Mamo!

– Nic nie można było na to poradzić.

Rose of Sharon położyła się znowu i zakryła rękami oczy. Do posłania przyczołgała się Ruthie. Przyglądała się siostrze z nabożnym lękiem.

– Czy ona chora? Czy musi umrzeć? – szepnęła ochryple.

– Ale gdzie tam! Wyzdrowieje. Będzie zdrowa jak ryba.

Do wagonu wszedł ojciec obładowany paczkami.

– Jak tam Rosasharn?

– Dobrze. Przyjdzie niedługo do siebie – odparła matka.

Ruthie zakomunikowała Winfieldowi:

– Mama powiedziała, że ona nie umrze.

A Winfield, który właśnie dłubał drzazgą w zębach, naśladując dorosłych, oświadczył:

– Wiedziałem to dawno.

– Skąd mogłeś wiedzieć?

– Nie powiem – odpowiedział Winfield i wypluł kawałek drzazgi.

Matka z resztek gałęzi rozpałała ogień, usmażyła boczek i przyrządziła sos. Ojciec przyniósł ze sklepu chleb. Na widok bochenka matka zasepiła się.

– Zostało nam jeszcze coś pieniędzy?

– Ani grosza – wyznał ojciec. – Ale byliśmy tacy głodni.

– I kupiłeś chleb! – skarciła go z wyrzutem.

– No cóż, kiszki nam marsza grały. Harowaliśmy całą noc.

Matka westchnęła:

– I co teraz zrobimy?

Podczas gdy jedli, woda nieprzerwanie podnosiła się coraz wyżej. Al przełknął z pośpiechem ostatni kęs i wraz z ojcem zabrał się do budowy platformy. Miała pięć stóp szerokości, sześć długości i wznosiła się o cztery stopy nad podłogą. Woda podpełzła pod próg wagonu, zdawała się wahać długą chwilę i powoli rozlewała się po podłodze. A na dworze znów zaczął padać deszcz. Jak przedtem, duże, ciężkie krople rozpryskiwały się na wodzie i dudniły głucho po dachu.

Al zawołał:

– Chodźcie teraz, pokładziemy na wierzch materace. I koce, żeby nie zamokły.

Spiętrzyli cały dobytek na platformie. Woda wciąż rozlewała się po podłodze. Ojciec, matka, Al i stryj John dźwignęli materac Rose of Sharon za rogi razem z młodą kobietą i położyli go na stosie rzeczy.

Chora protestowała:

– Przejdę sama! Czuję się dobrze.

Woda pokryła cienką warstwą całą podłogę.

Rose of Sharon nachyliła się do ucha matki. Joadowa wsunęła rękę pod koc, dotknęła piersi młodej kobiety i skinęła głową.

W drugim końcu wagonu Wainwrightowie zbijali deski, budując platformę u siebie.

Deszcz stawał się coraz rzęsiwszy, wreszcie ustał.

Matka spojrzała pod nogi. Woda rozlała się już po podłodze wagonu na pół cala wysoko.

– Ruthie, Winfield! – zawołała z niepokojem. – Włóżcie na górę, na rzeczy. Jeszcze się przeziębicie.

W tej samej chwili zobaczyła dzieci siedzące bezpiecznie w niewygodnych pozycjach obok Rose of Sharon. I nagle zawołała:

– Trzeba się stąd zabierać!

– Nie można – sprzeciwił się ojciec. – Al ma rację. Tu jest cały nasz majątek. Wyjmiemy drzwi, to będzie więcej miejsca do siedzenia.

Ogarnięta lękiem rodzina stłoczyła się w milczeniu na platformie. Gdy woda w wagonie podniosła się na sześć cali, rozlewisko zalało szosę i plantację bawełny po drugiej stronie. Cały dzień i całą noc mężczyźni drzemali, siedząc obok siebie na drzwiach wagonu. Matka leżała koło Rose of Sharon. Od czasu do czasu szeptała coś do córki, a potem znów siedziała w milczeniu, na twarzy jej malowała się troska. Pod kocem ukrywała resztki chleba.

Deszcz padał teraz z przerwami, krótkie ulewę przeplatały się z chwilami ciszy. Rankiem drugiego dnia ojciec przebrnął w wodzie przez obóz i przyniósł w kieszeniach dziesięć kartofli. Matka przyglądała się ponurym wzrokiem, jak porąbał część ściany wagonu, rozpalił ogień i zaczerpnął wody do garnka. Rodzina jadła palcami gorące gotowane kartofle. Gdy znikł ostatni kawałek, utkwili wzrok w szarej wodzie. Wieczorem nie kładli się do późna.

Rankiem zbudzili się pełni niepokoju. Rose of Sharon szepnęła coś matce. Joadowa skinęła głową.

– Tak – zgodziła się. – Wielki już czas.

A potem zwróciła się w stronę drzwi, na których leżeli mężczyźni i zawołała ostro:

– Wynośmy się stąd! Przenieśmy się na jakieś wyżej położone miejsce. Wy zresztą róbcie, jak uważacie, ale ja zabieram Rosasharn i dzieciaki.

– Nie można przecież... – protestował słabo ojciec.

– Jak sobie chcecie. Pomóżcie mi tylko przenieść Rosasharn do szosy, a potem wróćcie. W tej chwili nie pada.

– Dobrze, pójdziemy – zgodził się ojciec.

– Mamo, ja nie idę – odezwał się Al.

– Dlaczego?

– Ano... Aggie... przecież ona i ja...

Matka uśmiechnęła się.

– Naturalnie. Ty zostaniesz, Al. Zaopiekuj się rzeczami. Kiedy woda opadnie, to chyba wrócimy. Chodźcie prędzej, zanim zaczną lać znowu. Chodź, Rosasharn! Idziemy tam, gdzie będzie sucho.

– Mogę iść sama.

– Może później, na drodze. Ojciec, nachyl no się.

Ojciec zsunął się do wody, stanął i czekał. Matka pomogła Rose of Sharon zejść z platformy i przeprowadziła ją przez wagon. Ojciec wziął córkę

w ramiona. Trzymał ją tak wysoko, jak tylko mógł, i ostrożnie torował sobie drogę przez głęboką wodę. Obszedł dokoła wagon i skierował się ku szosie. Tam postawił Rose of Sharon i podtrzymał ją. Stryj John szedł za nim, niosąc Ruthie. Gdy matka ześliznęła się do wody, spódnica jej wydeła się na chwilę.

– Winfield, usiądź mi na ramionach. Al... wrócimy, jak tylko woda opadnie. – Urwała. – Jakby... przyszedł Tom... powiedz mu, że tu wrócimy. Powiedz mu, żeby był ostrożny. Winfield! Włóż mi na plecy, o tak! I nie machaj nogami!

Szła, chwiejąc się, w wodzie sięgającej jej do piersi. Przy skarpie szosy mężczyźni zdjęli chłopca z ramion matki i pomogli jej się wdrapać.

Stanąwszy na szosie, obejrzeli się, patrząc na rozlaną szeroko wodę, na ciemnoczerwone bryły wagonów, na ciężarówki i samochody zanurzone w wolno płynącym nurcie. Gdy stali, zaczął mżyć drobny deszczyk.

– Musimy iść – zdecydowała matka. – Rosasharn, czy utrzymasz się na nogach?

– Trochę mi się kręci w głowie. Czuję się jak przetrącona.

– Idziemy, ale dokąd? – narzekał ojciec.

– Ja też nie wiem. Chodź, ojciec, podaj rękę Rosasharn. – Matka wzięła córkę pod ramię z prawej strony, ojciec z lewej. – Poszukamy jakiegoś suchego miejsca. Musimy je znaleźć. Wy, mężczyźni, od dwóch dni macie na sobie przemoczone ubranie.

Posuwali się wolno szosą. Słyszeli szum potoku płynącego tuż koło drogi. Ruthie i Winfield szli razem, rozpryskując nogami błoto. Wszyscy wlekli się noga za nogą. Niebo było coraz ciemniejsze, deszcz wzrastał się. Wszelki ruch ustał na wymarłej szosie.

– Musimy się śpieszyć – mówiła matka. – Jak się dziewczyna przeziębii, to nie wiem, co z nią będzie.

– Nie powiedziałaś tylko, dokąd to mamy się tak śpieszyć – odparł uszczypliwie ojciec.

Droga biegła łukiem wzdłuż strumienia. Matka przeszukiwała wzrokiem okolicę i zalane wodą pola. Na lewo, daleko od drogi, na niewielkim wzniesieniu o łagodnych zboczach, stała poczerniała od deszczu stodoła.

– Patrzcie! – zawołała Joadowa. – Patrzcie! Założę się, że w stodole jest sucho! Chodźmy tam, to przeczekamy ulewę.

– Pewnie nas stamtąd wyrzuci właściciel – westchnął ojciec.

Ruthie dostrzegła przed sobą na skraju szosy czerwoną plamę i pobiegła w tamtym kierunku. Rósł tam nędzny, zdziczały krzak pelargonii o jednym wysmaganym przez deszcz kwiatku. Ruthie zerwała go. Ostrożnie oderwała jeden płatek i przyklepiła go sobie na nosie. Nadbiegł zaniepokojony Winfield.

– Daj mi jeden.

– Nie! To moje. To ja znalazłam.

I przyklepiła sobie drugi płatek – małe, jasnoczerwone serduszko – na czole.

– Daj, Ruthie! Ja też chcę jeden. Daj!

Chciał wyrwać jej kwiatek z ręki, ale nie udało mu się i Ruthie uderzyła go otwartą dłońią w twarz. Stał przez chwilę zaskoczony, potem wargi zaczęły mu drżeć i oczy wypełniły się łzami.

Nadeszli dorośli. Matka zapytała:

– Coś ty znowu zrobiła? Co zrobiłaś?

– Chciał mi odebrać kwiatek.

– Chciałem... tylko jeden... przyklepić sobie do nosa – łkał Winfield.

– Niech sobie znajdzie drugi kwiatek. Ten jest mój.

– Ruthie! Daj mu zaraz!

Ruthie wyczuła w głosie matki groźbę i zmieniła taktykę.

– Masz! – powiedziała z obłudną życzliwością. – Przyklepię ci sama jeden.

Starsi poszli dalej. Winfield nadstawił nos. Ruthie zwilżyła płatek językiem i z okrucieństwem przycisnęła go z całych sił do nosa braciszka.

– Ty mały draniu! – rzuciła półgłosem.

Winfield pomacał płatek palcami i przyklepił go mocniej. Ruszyli szybko, aby dogonić rodziców. Ruthie czuła, że zabawa przestaje ją interesować.

– Masz – powiedziała do Winfielda. – Masz tu więcej płatków. Poprzyklepiaj je sobie na czole.

Z prawej strony szosy rozległ się nagle głośny szum. Matka zawołała:

– Prędkiej! Zaraz lunie. Przejdźmy tędy, przez płot. Będzie bliżej. Chodźcie! Trzymaj się, Rosasharn!

Na wpół wlokąc ją za sobą, przeciągnęli przez rów ledwie trzymającą się na nogach Rose of Sharon i pomogli jej przeleźć przez płot. W tej chwili rozpętała się burza. Polały się na nich istne potoki deszczu. Brnęli z wysiłkiem przez błoto, wdrapując się na łagodne wzniesienie. Ulewa niemal przesłoniła szarym stodołę. Niesiony wzmagającą się wichurą

deszcz szumiał i rozpryskiwał się na wszystkie strony. Rose of Sharon ślizgała się, zwisając bezwładnie na rękach rodziców.

– Ojciec! Dasz radę ją unieść?

Ojciec schylił się i dźwignął córkę w górę.

Ledwie dysząc, dotarli do ociekającej deszczem stodoły i chwiejąc się na nogach, weszli od otwartej strony do środka. Nie było tu drzwi. Na ziemi leżało parę zardzewiałych narzędzi rolniczych, lemiesz od pługa, połamana brona i żelazne koło. Ulewa bębniła po dachu, przesłaniając jak kotarą wejście.

Ojciec posadził ostrożnie Rose of Sharon na zatłuszczonej skrzyni.

– Mocny Boże! – westchnął.

– Może gdzieś dalej jest siano – powiedziała matka. – Patrzcie, tu są drzwi! – Pchnęła drzwi na zardzewiałych zawiasach. – Jest siano! – wykrzyknęła. – Chodźcie do środka.

W stodole panował półmrok. Nikłe światło przenikało przez szpary pomiędzy belkami.

– Połóż się, Rosasharn – mówiła matka. – Połóż się i odpocznij. Muszę coś wymyślić, żebyś nie leżała mokra.

– Mamo! – zawołał Winfield, ale łoskot deszczu na dachu zagłuszył jego głos. – Maamoo!

– Co się stało? Czego chcesz?

– Niech mama spojrzy! Tu w kącie.

Matka popatrzyła w tym kierunku. W półmroku majaczyły dwie postacie: mężczyzna leżący na wznak i siedzący przy nim chłopiec, który utkwiał szeroko otwarte oczy w przybyszach. Dostrzegłszy spojrzenie matki, podniósł się z wolna i podszedł do niej. Zapytał ochryple:

– Czy to do was należy ta stodoła?

– Nie – odpowiedziała. – Schroniliśmy się tu tylko przed deszczem. Mamy ze sobą chorą córkę. Może macie suchy koc, żebyśmy mogli ją owinać? Zdjęłaby przemoczone ubranie.

Chłopiec wrócił w swój kąt, przyniósł brudną kołdrę i podał ją matce.

– Dziękuję. A co się stało temu człowiekowi?

Chłopiec odpowiedział ochrypłym, monotonnym głosem:

– Przedtem był chory. A teraz umiera... z głodu...

– Co?

– Umiera... z głodu. Zachorował przy zbieraniu bawełny. Od sześciu dni nic nie jadł.

Matka zbliżyła się do leżącego i przyjrzała mu się. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Pokryta zarostem twarz była zapadnięta, otwarte oczy zamglone i nieruchome. Chłopiec stał obok Joadowej.

– To twój ojciec? – zapytała.

– Tak. Mówił zawsze, że nie jest głodny albo że dopiero jadł. I oddawał mi całe jedzenie. Teraz jest taki słaby, że ledwie się może ruszać.

Dudnienie deszczu po dachu przycichło nieco, przechodząc w spokojny szelest. Wychudzony mężczyzna poruszył wargami. Matka uklękła przy nim, nastawiając ucha. Wargi poruszyły się znowu.

– Dobrze, dobrze! – odezwała się w końcu matka. – Nie martw się, chłopcze. Ojciec wyzdrowieje. Zaczekaj tylko, aż zdejmę z córki przemoczone ubranie. – Wróciła do Rose of Sharon, mówiąc: – Teraz rozbierz się. – Rozpostarła kołdrę, osłaniając córkę, gdy zaś ta była już naga, otuliła ją starannie.

Chłopiec znalazł się znowu przy jej boku i tłumaczył:

– Ja nic nie wiedziałem. Mówił, że dopiero co jadł albo że nie jest głodny. Wczoraj wieczorem poszedłem, włamałem się przez okno i ukradłem trochę chleba. Wsadziłem mu do ust, żeby zjadł. Ale zaraz zwymiotował i zrobił się jeszcze słabszy. Trzeba mu dać zupy albo mleka. Nie macie czasem pieniędzy na mleko?

– Cicho! Nie martw się. Coś się wymyśli.

Nagle chłopiec zaczął krzyczeć:

– On umiera! Mówię wam, że umiera! Umiera z głodu! Mówię wam!

– Cicho! – powtórzyła matka.

Spojrzała na ojca i stryja Johna, którzy stali bezradnie i przyglądali się choremu. Przeniosła wzrok na owiniętą w kołdrę Rose of Sharon. Spojrzenie matki ominęło oczy córki, lecz zaraz do nich wróciło. Obie kobiety głęboko spojrzały sobie w oczy. Oddech Rose of Sharon był szybki i urywany.

– Tak – powiedziała.

Matka uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że się zgodzisz! Wiedziałam! – Popatrzyła na własne ręce splecione ciasno na kolanach. Rose of Sharon wyszeptała:

– Niech... niech wszyscy... stąd wyjdą.

Schyliwszy się, matka odgarnęła dłonią zmierzwione włosy córki i pocałowała ją w czoło. Zerwała się szybko.

– Idźcie stąd wszyscy! – zawołała. – Idźcie do komórki z narzędziami.

Ruthie otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, ale matka uprzedziła ją, mówiąc:

– Cicho! Cicho bądź i wynoś się!

Odprowadziła ich do drzwi, przyciągnęła do siebie chłopca i zamknęła skrzypiące drzwi.

Rose of Sharon leżała nieruchomo wśród szelestów stodoły. Po chwili dźwignęła swe znużone ciało i owinęła się kołdrą.

Przeszła powoli do kąta i stanęła, patrząc w zmizerowaną, wyniszczoną twarz i szeroko rozwarte, pełne lęku oczy. Powolnym ruchem osunęła się obok niego. Potrząsnął głową kręcąc nią w prawo i w lewo. Rose of Sharon zsunęła kołdrę z jednej strony i obnażyła pierś.

– Tak trzeba – powiedziała.

Przysunęła się jeszcze bliżej i przechyliła ku sobie jego głowę.

– O, tak! – powiedziała. – O, tak!

Ręka jej powędrowała nieco dalej, by przytrzymać głowę od tyłu. Palce jej pieściły łagodnie jego włosy. Spojrzała w górę, a potem przed siebie – w przestrzeń. Wargi jej zwały się w uśmiech, który krył w sobie tajemnicę.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

Rozdział 29

Rozdział 30